

Marcin Ciszewski

Mróz

Copyright © Marcin Ciszewski, Ustroń 2010 „www.ciszewski.warbook.pl”

Redakcja i korekta: Ewa Górską

Redakcja techniczna, typografia, skład i łamanie: Dominik Trzebiński Du Châteaux atelier@duchateaux.pl

Projekt okładki: Mariusz Kozik

ISBN 978-83-930066-3-2

Wydawca: ENDER Sławomir Brudny

ul. Bładnicka 65, 43-450 Ustroń, www.warbook.pl Dystrybucja: Grupa A5 Sp. z o.o.

ul. Krokusowa 1-3, 92-101 Łódź, tel: 42 676 49 29, handlowy@grupaa5.com.pl Druk

i oprawa: jopolgraf (www.opolgraf.com.pl

Wszystkie wydarzenia i postacie przedstawione w książce są fikcyjne i nie mają bezpośredniego odniesienia do rzeczywistości.

„Mróz” powstawał w dwóch etapach. Konstrukcję fabularną i pierwsze sto stron tekstu stworzyłem na przełomie 2008 i 2009 roku. Potem odłożyłem projekt, by napisać „Majora”. Zeszło dłużej, niż myślałem. Do mojej pierwszej w życiu powieści sensacyjnej wróciłem wczesną wiosną bieżącego roku. Zacząłem pisać i byłem już nawet nieźle rozpedzony, gdy nadszedł dzień 10 kwietnia.

Długo zastanawiałem się, czy kontynuować powieść w kształcie, który sobie obmyśliłem. Zbyt wiele analogii wydało mi się oczywistych, zbyt wiele wydarzeń, jeszcze przed kilkoma dniami uchodzących za niemożliwe, wydarzyło się w rzeczywistości. Doszedłem jednak do wniosku, że życie i tak najczęściej przerasta najwymyślniejszą nawet fikcję.

Proponuję zatem historię, która, mam szczerą nadzieję, nigdy się nie wydarzy...

Marcin Ciszewski

PROLOG

3 grudnia 2011 roku

1.

Strzelec nacisnął spust o szesnastej, po blisko dwóch tygodniach przygotowań.

2.

Trzydzieści dni wcześniej dostał zlecenie od koordynatora.

Realizację zaczął od spacerów. Miał świadomość, że interesujący go obiekt jest monitorowany, dlatego zachował ostrożność. Odbył trzy rekonesanse, udając różne osoby: atrakcyjną młodą kobietę, brodatego studenta zaczytanego w najnowszym hicie modnego pisarza, samotnego emeryta z psem.

Tego sympatycznego kundelka o imieniu Szrek pół godziny wcześniej wziął ze schroniska. Po rekonesansie otrul go za pomocą cyjanku zawiniętego w plaster szynki, po czym zakopał daleko od celu. Nie chciał, aby cokolwiek, nawet zapach zachowany w anonimowej

psiej pamięci, łączyło go z miejscem zdarzenia. Zniszczył użyte podczas akcji ubrania, materiały do charakteryzacji, a także fałszywe dokumenty.

Wynik: Plan. Katalog sprzętu. Lista działań.

Strzelec dysponował pełną autonomią decyzyjną, koordynator przyjął zatem plan bez zbędnych dyskusji. Rozpoczął od wynajęcia -poprzez podstawione osoby posługujące się fałszywymi dokumentami - dwóch posesji. Pierwszą była prymitywna wiejska chałupa okolona sypiącym się płotem. Spełniała najważniejsze warunki postawione przez strzelca: położona na odludziu, prawie osiemdziesiąt kilometrów od celu, posiadała obszerny, ogrzewany pusty garaż wyposażony w gniazdko z napięciem trzystu osiemdziesięciu woltów. Druga nieruchomość, rezydencja o wysokim standardzie, znajdowała się w odległości półtora kilometra od obiektu i poza doskonałą lokalizacją wyróżniała się najważniejszą, z punktu widzenia strzelca, cechą: była otoczona wysokim, kamiennym ogrodzeniem.

Uzbrojenie, amunicja, sprzęt, narzędzia oraz wyposażenie zostały dostarczone do pierwszej z baz nierzucającym się w oczy, leciwym volkswagenem transporterem, ze specjalnie podrasowanym silnikiem i wzmocnionym zawieszeniem, a następnie złożone w garażu.

Zgodnie z założonym planem, jako podstawowe narzędzie niezbędne do realizacji zadania został wytypowany moździerz dziewięćdziesiąt osiem milimetrów wraz z dwunastoma minami. Pociski były zwykłymi, niekierowanymi ładunkami i jako takie w niewystarczającym stopniu spełniały podstawowe kryterium - celności. Strzelec nie mógł sobie pozwolić na najmniejszą pomyłkę. Pierwszy strzał musiał siedzieć prosto w celu.

Konieczna była modyfikacja amunicji.

Strzelec w pierwszej kolejności odciął nieruchome lotki znajdujące się z tyłu pocisku. Do skorupy dospawał lotki ruchome, poruszane za pomocą niewielkiego silownika i umożliwiające nakierowanie pocisku na cel. Wewnątrz korpusu zamontował urządzenie GPS, a następnie, po wielu próbach, zestroił je z lotkami. Operację tę powtórzył dwunastokrotnie, coraz zręczniejszymi narzędziami i szybciej wykonując poszczególne czynności. Po kilku wypełnionych znojem i emocjami nocach dysponował inteligentnymi pociskami, zdolnymi z dużą precyzją wykonać postawione przed nimi zadanie.

Jako że moździerz jest bronią strzelającą ogniem pojedynczym i zasilaną w amunicję przez obsługę, strzelec stanął przed problemem pozyskania ładowniczego.

Pomocnik? Bez sensu. Pomocnik kosztuje i trudno liczyć na stuprocentową dyskrecję.

Zatem?

Koordynator dostarczył na teren rezydencji przemysłowego robota najnowszej generacji. Było to urządzenie wyposażone w dwa uniwersalne chwytaki, dzięki systemowi hydraulicznych ściągów wykazujących zręczność niemal równą ludzkiej. Dla potrzeb zadania robot miał nawet spory naddatek umiejętności. Sterujący nim komputer dawał się łatwo programować. Ścisłe stosując się do instrukcji producenta, strzelec wprowadził do komputera odpowiednie polecenia, po czym przećwiczył

dwie sekwencje ruchów. Zgrał komputer z modułem telefonu komórkowego pełniącym rolę przekaźnika poleceń. W efekcie zyskał niezawodnego, precyzyjnego pomocnika, na dodatek milczącego niezależnie od okoliczności.

Następnie w dwóch pociskach głowice bojowe zastąpił równoważnymi wagowo atrapami. Zaprogramował w GPS-ie parametry ćwiczebnego celu, wprowadził do komputera sterującego robotem dwa esemesowe hasła i w ciemną, bezksiężycową noc, trzydzieści osiem godzin przed akcją, stojąc metr od mózdzierza, wysłał z komórki pierwszą wiadomość.

Po sekundzie, podczas której strzelec wstrzymał oddech i która zdawała się trwać w nieskończoność, robot podniósł jedną z atrap i umieścił ją tuż nad wylotem lufy. Strzelec nacisnął przycisk po raz drugi. Robot rozwarł chwytaki, pocisk zjechał w dół rury, huk wystrzału odbił się kilkukrotnym echem od zabudowań i mina poleciała w dal. Gdy tylko opuściła lufę, robot obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni, mechanicznym, ale płynnym ruchem wziął ze skrzynki następną atrapę i po zamarkowaniu uzbrojenia zapalnika posłał ją w ślad za pierwszą.

Strzelec odczekał pięć minut, aby sprawdzić, czy nikt nie zainteresował się nocnymi detonacjami. Ale posesja była znacznie oddalona od najbliższych zabudowań, więc zgodnie z oczekiwaniami próba wzbudziła tylko odległe ujadanie wiejskich kundli. Strzelec wsiadł na rower i pojechał do celu. Okazało się, że oba pociski trafiły nie dalej niż dwa metry od starej, porzuconej w polu cembrowiny, którą strzelec wypatrzył kilka dni wcześniej podczas jednego ze zwiadów i której położenie wprowadził do GPS-u.

Zasypał dziury po pociskach - oceniał, że mogły wbić się w ziemię na głębokość półtora metra, nie było sensu ich wydobywać - wsiadł na rower i nucąc cichutko pod nosem, wrócił do bazy. Biorąc pod uwagę amatorskie warunki przeróbki pocisków oraz fakt, że robota widział i programował pierwszy raz w życiu, uznał rezultaty próby jako więcej niż zadowalające.

W noc poprzedzającą operację strzelec zapakował do volkswagena uzbrojenie, amunicję i sprzęt; w ciągu półtorej godziny, ani razu nie przekraczając dozwolonej prędkości, dotarł do rezydencji.

Było całkowicie jasne, że w dniu akcji teren otaczający obiekt stanowiący cel ataku będzie patrolowany, prawdopodobnie także z powietrza. Zainstalowanie mózdzierza pod gołym niebem groziło dekonspiracją, dlatego strzelec nawet nie rozważał takiej możliwości. Stanowisko ogniowe zorganizował w stojącej na tyłach rezydencji drewnianej szopie.

Budyneczek wyglądał całkiem typowo, został jednak przez ludzi koordynatora poddany pewnej istotnej modyfikacji. W dachu wycięto kwadratowy otwór o wymiarach dwa na dwa metry, po czym zasłonięto klapą poruszaną elektrycznie i również sterowaną za pomocą esemesowych poleceń. Umieszczony w szopie mózdzierz, wraz z amunicją i mechaniczną obsługą, pozostawał całkowicie niewidoczny dla jakichkolwiek obserwatorów.

Plan przewidywał również drugą pozycję ogniową, obsługiwaną bezpośrednio przez strzelca. Była zlokalizowana w kępie jałowca rosnącej na skraju lasu, mniej więcej o sto dwadzieścia metrów od obiektu: eleganckiej, otoczonej ceglanym murem willi, której goście stanowili cel zadania.

Strzelec miał do dyspozycji wyposażony w celownik optyczny karabinek szturmowy M-4 z podwieszonym granatnikiem, policyjnego glocka z tłumikiem oraz pokaźny zapas amunicji. Długa, zawila i najeżona fałszywymi tropami droga, którą wyposażenie to przebyło od producentów do strzelca, była niemożliwa do wyśledzenia.

Noc poprzedzająca akcję była ciemna. Chmury zasłoniły księżyc.

3.

Strzelec zajął stanowisko w kępie jałowca pół godziny przed wyznaczonym terminem. Ustawił broń na dwójnogu, kolejny raz sprawdził nastawy

10

celownika. Brama oraz ogrodzenie były widoczne jak na dłoni - można było dostrzec niemal każdą cegłę i każde pęknięcie cementowej spoiny.

Opuścił na chwilę stanowisko, po czym skropił otoczenie środkiem odstraszającym psy. Gdy ponownie znalazł się w środku, nawet naj-wprawniejszy tropiciel, znajdujący się o metr od zarośli, nie zauważyłby ani nie wyczuł niczego podejrzanego.

Było zimno - temperatura spadała przez ostatnie dni, osiągając kilka stopni poniżej zera - i zaczął prószyć pierwszy tej zimy śnieg. Strzelec poczuł chłód.

Zapadał zmrok.

Cel oddalony o ponad sto dwadzieścia metrów - sto dwadzieścia trzy po dokładnych pomiarach - niemal wtapiał się w szare, zimowe tło. Widoczność pogarszała się i nie chodziło o ciemności. Z tym strzelec był gotów sobie poradzić, karabin wyposażony był w celownik optyczny z noktowizorem. Jednak nawet najlepszy noktowizor nie jest w stanie przebić się przez padający śnieg.

Mógł liczyć tylko na to, że śnieżycy nie rozhula się w ciągu najbliższych piętnastu minut.

Przybycie gości stanowiących cel zostało określone przez koordynatora na szesnastą. Zgodnie z przypuszczeniami strzelca pięć minut wcześniej przed bramę rezydencji wyszło dwóch strażników. Byli ubrani w szare kombinezony i uzbrojeni w broń maszynową.

Strzelec usłyszał leciutki szelest po lewej. Padający śnieg tłumiał i zniekształcał wszelkie odgłosy, ale wątpliwości nie było - patrol. Dwadzieścia metrów. Dwóch ludzi. Jeżeli utrzymają kierunek i dotychczasowe tempo, za kilka sekund przejdą tuż obok stanowiska.

Błyskawicznie skalkulował opcje. Likwidacja strażników niesła za sobą ryzyko przedwczesnej dekonspiracji. Nawet nie chodziło o to, że któryś z zaatakowanych ludzi mógł wystrzelić bądź w jakiś inny sposób powiadomić ochronę rezydencji. Bezszelestne likwidowanie przeciwników należało do podstawowych umiejętności strzelca. Jednak zniknięcie patrolu z eteru oznaczać będzie alarm.

Z drugiej strony pozostawienie członków patrolu przy życiu nie rozwiązywało niczego: mogli po prostu zauważyć strzelca i zaatakować go; skutków takiego starcia nie sposób przewidzieć.

Strzelec szybkim ruchem wyciągnął glocka z tłumikiem. Gdy strażnicy przeszli tuż przed stanowiskiem, cicho odczołgał się w tył. Wydostał

11

się z kępy, gdy dwójka ochroniarzy rozmazywała się w mroku. Cicho pobiegł za nimi. Bezszelestne przebycie ostatnich kilku metrów było niemożliwe, toteż na ostatniej prostej, uznając, że jest dostatecznie blisko, darował sobie środki ostrożności. Klęknął na jedno kolano, złożył się i oddał dwa szybkie strzały w głowę lewego strażnika. Tamten chrząknął krótko i poleciał do przodu, na twarz. Strzelec przeniósł ogień na jego partnera, gdy ten kończył półobrót i podnosił karabin szturmowy. Pierwsza kula trafiła go w ramię, odrywając je od broni, druga, celniejsza, przeszła na wylot gardło. Ochroniarz opadł na kolana, po czym wywrócił się na plecy.

Minutę później, po upewnieniu się, że obaj mężczyźni nie żyją, strzelec znalazł się z powrotem na stanowisku. Rozpaczliwie starał się uspokoić oddech.

Niemal natychmiast usłyszał pomruk silników. Podniósł lornetkę do oczu. Na drodze prowadzącej do rezydencji pojawiło się pięć samochodów. Kolumnę otwierało osobowe bmw z ochroną, za nim podążały trzy opancerzone vany. Na końcu, w pewnej odległości od kawalkady, jechało drugie bmw. Samochody poruszały się z dużą prędkością, kolebiąc się na nierównościach gruntowej, zasypanej śniegiem drogi. Strażnicy przy bramie otrzymali najwyraźniej radiowy sygnał o zbliżających się gościach, bo ożywili się wyraźnie.

Strzelec, z oczami przyklejonymi do noktowizyjnej lornetki, wyłuskał z kieszeni telefon komórkowy, wybrał zaprogramowany numer, po czym wysłał wiadomość. Półtorej sekundy później oddalony o przeszło kilometr siłownik uniósł klapę do góry. Następny esemes. Robot pewnym ruchem wyjął z otwartej skrzynki pierwszą minę moździerzową, uzbroił zapalnik i wzniosł chwytaki w górę. Lotki pocisku niemal dotykały patrzącej w niebo lufy.

Strzelec tymczasem liczył sekundy. Aby atak się powiódł, musiał nastąpić w momencie, gdy pasażerowie vanów wysiądą i będą przemierzać obszerny dziedziniec rezydencji. Nie wcześniej. I nie później.

Samochody przystanąły przed bramą w oczekiwaniu na kontrolę. Strażnicy, choć oczywiście o żadnych niespodziewanych gościach nie mogło być mowy, starannie sprawdzili dokumenty dowódcy ochrony konwoju oraz upoważnienie do wjazdu na teren rezydencji. Po chwili jeden z nich machnął ręką i samochody powoli wtoczyły się do środka.

Brama zatrzasnęła się z hukiem.

12

Według przeprowadzonych przez strzelca obliczeń mina moździerzowa będzie potrzebowała na przebycie półtora kilometra około dwudziestu sekund. Przez pierwszych kilkanaście pokona pionowy parametr krzywej balistycznej. Gdy osiągnie apogeum, na krótki ułamek sekundy jakby zawisnie w powietrzu, po czym zacznie z rosnącą prędkością opadać w dół. Wtedy uaktywni się urządzenie GPS, zgra parametry lotu z zaprogramowanymi danymi dotyczącymi celu i -w razie potrzeby - skoryguje ustawienie lotek.

Gdy wrota bramy zatrzasnęły się na dobre, strzelec wysłał kolejnego esemesa. Z ulgą skonstatował dochodzące z oddali, stłumione stęknięcie. Strażnicy przy bramie usłyszeli je również. Zaczęli uważnie nasłuchiwać. Dźwięk dotarł zniekształcony

przez odległość i śnieg, ale na tyle wyraźny, że zastanowił i zaniepokoił ich. Strzelec nie miał chwili do stracenia. Przytulił policzek do kolby karabinu, odetchnął głęboko i spojrzął przez celownik. Śnieg prószył w dalszym ciągu, ale wieczór był stosunkowo jasny, rozświetlony przez biały puch. Na skrzyżowaniu poprzecznych nitek celownika ujrzał nieco rozmazaną i niewyraźną głowę strażnika znajdującego się po prawej stronie bramy. Strzelanie w głowę z takiego dystansu nie było rozsądne, ale strzelec zdawał sobie sprawę, że tamten pod kombinezonem nosi kamizelkę kuloodporną, więc chociaż lecący z prędkością przeszło siedmiuset metrów na sekundę pocisk raczej poradziłby sobie ze standardową warstwą kevlaru, strzelec wolał nie ryzykować.

Płynnym ruchem nacisnął spust. Strażnik dostał w prawe oko. Impet pocisku rzucił go na mur, po czym martwe ciało osunęło się na zmarzniętą ziemię. Partner zabitego zareagował z szybkością unikającej ataku mureny. Błyskawicznie skoczył w bok, przeturlał się i, zanim pierwszy strażnik upadł w śnieg, miał już w ręku odbezpieczony i gotowy do strzału karabin szturmowy. Świst nadlatującej miny zaniepokoił go i zdekoncentrował na chwilę. Podniósł lekko głowę i zaczął nasłuchiwać.

Strzał.

Głowa drugiego strażnika opadła.

W tym momencie kilka metrów nad dziedzińcem gromko eksplodował pocisk kasetowy. Strzelec energicznie poderwał się na nogi i zaczął biec. Po przebyciu mniej więcej połowy dystansu zatrzymał się, wycelował pomiędzy masywne, drewniano-stalowe odrzwia i nacisnął

13

spust granatnika. Czterdziestomilimetrowy granat uderzył precyzyjnie, z siłą wystarczającą do wyrwania prawego skrzydła z zawiasów. Huk detonacji nie przebrzmiał jeszcze, gdy eksplodowała następna mina moździerzowa.

Strzelec ruszył dalej. Biegając niespiesznie, liczył coraz bliższe wybuchy. Zdawał sobie sprawę, że z każdym krokiem staje się coraz lepiej widoczny na tle rozprzestrzeniającego się pożaru i blasku eksplozji. Musiał jednak podjąć ryzyko. Zadanie obejmowało wejście na teren rezydencji, koordynator nalegał bowiem, aby strzelec osobiście potwierdził skuteczność wykonania zamachu.

Skończyła się pierwsza seria ładunków. Nastąpiła krótka przerwa, robot sięgnął do następnej skrzynki i zaczął wysyłać do celu pociski odłamkowo-burzące z opóźnionym zapalnikiem, których parametry lotu zostały zaprogramowane nieco odmiennie od min kasetowych. Miały uderzyć prosto w rezydencję. Ku zaskoczeniu strzelca pierwszy spudłował o dobre trzydzieści metrów.

Eksplozja zniszczyła kawał muru tuż obok bramy. Podmuch wyrwał pół ciężarówce cegieł i kawałków tynku i wyrzucił je w górę, przy okazji obalając strzelca, pozbawiając tchu i ogłuszając.

Na swoje szczęście uniknął opadających cegieł. Powrót do pełnej świadomości zajął mu dłuższą chwilę. Po następnej podniósł się, obolały i kulejący.

Cholerna elektronika, pomyślał. Można sobie było darować wywalanie bramy. Ze stoickim spokojem oczekiwał następnych eksplozji. Wyszedł z założenia, że jeżeli urządzenia sterujące pociskami zadziałają prawidłowo, nie ma się czego obawiać,

pozostałości muru osłonią go. Jeżeli nie - nawet najszybsza ucieczka nie na wiele się zda, jako że nie sposób przewidzieć rozmiarów błędu, a zatem i określić miejsc trafień.

Trzy ostatnie pociski, oddzielone piętnastosekundowymi interwałami, precyzyjnie trafiły w cel.

Strzelec odetchnął z ulgą. Minał martwego strażnika, po czym ostrożnie zajrzał przez zrujnowaną bramę w głąb dziedzińca. Zamknięta wysokim murem przestrzeń mogłaby służyć za scenografię wojennego filmu. Wszędzie: auta poszatkowane niezliczonymi stalowymi cząsteczkami rozrywającej się nad nimi subamunicji. Jeden z vanów leży na boku, drugi płonie niczym pochodnia. Wszystkie: powyrywane drzwi, powybijane szyby, karoserie dziurawe niczym durszlak.

14

Eleganckie, starannie wypielęgnowane drzewa i krzewy - większość iglasta, a więc zielona mimo zimy - zamienione w celulozową miazgę.

Okazała, utrzymana w modernistycznym stylu willa stała się właściwie płonąca ruina. Dach, rozerwany eksplozjami, runął. Frontowa ściana, złożona w większości z ogromnych rozległych przeszkleń, wyleciała na zewnątrz, ukazując zamieniony w wulkan szalejących płomieni hol wejściowy. Pożar szybko się rozprzestrzenił, po chwili z głośnym hukem wybuchła instalacja gazowa.

Ciała.

Leżące na eleganckiej granitowej kostce dziedzińca wykręcone, porozrywane postacie, zastygłe w najdziwniejszych piruetach. Rozbite o samochody głowy, poodcinane kończyny. Eleganckie garnitury zamienione w brudne i zakrwawione szmaty.

Roztapiający się od żaru płonącego budynku śnieg barwił się na różowo. Cisza przerywana była jedynie hukami płomieni.

Strzelec ostrożnie przekroczył linię bramy. Zauważył ruch. Ze środka willi, z miejsca, w którym kiedyś zapewne znajdowały się drzwi wejściowe, wyskoczył czarno odziany człowiek. Odzież płonęła w kilku miejscach, facet był w szoku i najprawdopodobniej nie stanowił żadnego zagrożenia. Pomimo tego strzelec podniósł karabin i oddał krótką serię.

Ochroniarz upadł na ziemię.

Strzał. Drugi. Trzeci.

Kule przeleciały tak blisko głowy strzelca, że poczuł ruch powietrza. Jedna rozerwała kominiarkę na wysokości skroni. Ostrzał, o czym poinformowały strzelca trzy nagle błyski widoczne w półmroku, pochodził z oddalonego o dwadzieścia kroków bmw ochrony.

Upadł w bok, przeturlał się i otworzył ogień. Celowanie w takich warunkach bywa niedokładne, ale mimo trudnych warunków przynajmniej pół serii, krzesząc błyski rykoszetów, weszło w cel. Tamten przestał strzelać.

Strzelec turlał się dalej, aż skrył się za obszerną tują, szczęśliwym trafem niezniszczoną przez mózdzierzowy atak. Klnąc pod nosem, zmienił magazynek i wycelował - tym razem dokładnie - w bmw. Szyby były wybite, w środku panowała ciemność. Agent, o ile przeżył serię, raczej nie zdażył opuścić auta; strzelec miał w

polu widzenia wszystkie drzwi.

15

Bmw było opancerzone, więc ostrzał z karabinka szturmowego kalibru 5,56 nie mógł wyrządzić ukrytemu we wnętrzu agentowi specjalnej krzywdy, o ile ten nie wystawi głowy i nie ukaze się w którymś z wybitych okien. Na to strzelec nie mógł liczyć. Ochroniarz, nawet ranny i w szoku, z pewnością posiadał dość wspomaganego wyszkoleniem instynktu samozachowawczego, by jak najstaranniej korzystać z osłony pancernych blach samochodu.

I to właśnie była szansa...

Strzelec przestawił M-4 na trzystrzałowe serie, poderwał się i strzelając z biodra, zygzakiem pobiegł w stronę bmw. Gdy od celu dzielilo go nie więcej niż pięć kroków, skończyła się amunicja, o czym poinformowało głośne szczęknięcie opadającej w pustkę iglicy. Strzelec zaklął i zaczął mocować się z magazynkiem. Agent, wciśnięty w przestrzeń pomiędzy przednim a tylnym fotelem, właśnie na to liczył. Wyprostował się gwałtownie, uniósł broń...

...i padł z przestrzeloną głową.

Strzelec podszedł do auta, spojrzal na martwego ochroniarza - dwa strzały w głowę z reguły powodują zgon - schował glocka do kieszeni i po raz ostatni omiół wzrokiem pobojowisko. Leżący na dziedzińcu ludzie nie dawali znaku życia. Z dwunastu zakontraktowanych VIP-ów miał w polu widzenia dziesięciu. Dwóch pozostałych spaliło się w jednym z vanów.

Dom płonął coraz gwałtowniej. Strzelec uznał, że zadanie zostało wykonane. Po raz ostatni spojrzal na swoje dzieło i opuścił teren rezydencji. Tym razem biegł szybko, najszybciej jak się dało, miarowymi susami przesadzał przestrzeń pomiędzy rezydencją a lasem.

Gdy zagłębił się między drzewa, oddychał zupełnie swobodnie. Ponownie wyjął z kieszeni telefon komórkowy. Wstukał numer i ostatni, trzeci esemes poleciał w eter. Po kilku sekundach dobiegł go odgłos silnej eksplozji. Ładunek C4 połączony z dwoma kanistrami benzyny zniszczył szopę, moździerz, skrzynie po amunicji, a także przemysłowego robota, bezużytecznego już mechanicznego mordercę.

Strzelec zasiadł za kierownicą, ukrytego wcześniej nissana path-findera, niespełna cztery minuty po opuszczeniu terenu rezydencji. Po pięciu minutach szybkiej jazdy był już pewien, że żaden pościg nie zdoła go dogonić.

Śnieg padał coraz mocniej.

16

Dwie godziny później strzelec włączył komputer. Wiatraczek chłodzący procesor zaszumił cicho. Duży, ciekłokrystaliczny ekran rozjarzył się zimnym blaskiem. Strzelec otworzył pocztę i w ciągu pięciu minut napisał krótki, rzeczowy raport. Zgodnie z oczekiwaniami po następnych pięciu minutach otrzymał odpowiedź od koordynatora.

Dzięki skomplikowanemu systemowi połączonych ze sobą kont na różnych serwerach niemal niemożliwe było wyśledzenie korespondujących ze sobą komputerów, a treść wiadomości była zaszyfrowana.

Zawartość e-maila spowodowała, że strzelec zamyślił się głęboko. Pierwszych kilka

akapitów było standardowych. Koordynator wyrażał zadowolenie z wykonania zadania. Informował, iż pieniądze zostały przelane na zagraniczne konta, znacznie przybliżając strzelca do założonego przed dwoma laty celu. Gdy strzelec przeczytał jednak dalszą część wiadomości, aż zmarszczył brwi ze zdumienia, choć od dawna starał się nie dziwić niczemu. Kwota proponowana jako honorarium za następne zlecenie niemal dwukrotnie przewyższała wszystko, co tej pory zarobił, pracując dla koordynatora. Łączna wysokość środków na koncie po zakończeniu operacji wyniesie grubo ponad dwa i pół miliona euro, co pozwoli wycofać się z interesu i zrealizować cele, dla których strzelec podjął się robić to, co robił. Ale samo zadanie... Strzelec nie obawiał się o techniczną stronę zlecenia - trudniejsze akcje udawało mu się zakończyć pełnym sukcesem. Chodziło raczej o skutki - z pewnością do tej pory nie robił niczego, co przyniosłoby tak daleko idące konsekwencje. Chaos i paraliż decyzyjny w państwie to tylko najłagodniejsze z nich.

Nie dziwiła także kwota zaproponowana jako honorarium. Zarówno zleceniodawca, jak i zleceniobiorca zdawali sobie sprawę, że po wykonaniu zadania strzelec będzie poszukiwany i ścigany przez połowę służb specjalnych świata. Nawet z dwoma i pół milionami euro w kieszeni zniknięcie nie będzie sprawą ani prostą, ani bezpieczną. Z drugiej strony było zobowiązanie. Cel.

Po dłuższej chwili strzelec wystukał odpowiedź.

17

5.

Po otrzymaniu wiadomości od strzelca koordynator uśmiechnął się. Spojrzał na zegarek: dziesiąta wieczorem. Jeszcze nie za późno na telefon. Na taki telefon.

- Proszę połączyć z senatorem Kołodyńskim - powiedział do interkomu.

Czekając na rozmowę, wpatrywał się w trzymaną w rękę szklaneczkę z trzydziestoletnią whisky.

Za przejście Rubikonu, pomyślał.

ROZDZIAŁ I

22 grudnia 2011 roku

1.

- No chodź! Przybiję ci jaja do ściany

- Też cię kocham.

- Dupek!

Zuzanna postąpiła pół kroku do przodu i uderzyła prawym sierpem. Tyszkiewicz, nie mogąc ochłonąć jeszcze po poprzedniej serii ciosów, od której tylko częściowo udało mu się uchylić - skutki tego „częściowo” będzie odczuwał jeszcze przez kilka dni, tak przynajmniej sądził - spóźnił się z blokiem o pół sekundy. Gdy się walczy z Zuzanną, pół sekundy to cała wieczność, pół sekundy zwykle wystarcza jej na wzięcie prysznic, zjedzenie kolacji i obejrzenie dwóch odcinków ulubionego serialu. Toteż uzbrojona w piastkówkę, małą rękawicę zaledwie zakrywającą kostki, zaciśnięta dłoń wylądowała czysto na szczęce Tyszkiewicza. Ciało ogarnęła słabość. Nogi nagle, bez uprzedzenia, przekształciły się w niezależne od siebie kolumny wykonane z miękkiej gumy, przed oczami wystąpiły poważne zakłócenia obrazu połączone

19

z - nie całkiem niemiłymi, trzeba uczciwie przyznać - halucynacjami, a mózg stracił

łączność z rzeczywistością.

Wpadka. Porażka. Wstyd.

Jakub odruchowo zrobił krok w bok i padł w ramiona przyglądającego się walce Krzeptowskiego. Zuzanna podskoczyła kilka razy i spojrzała na przeciwnika z nieukrywanym obrzydzeniem.

- Kurwa, co za lalusz. Wstawaj człowieku, walczysz jak ciota - powiedziała ze złością. Nawet nie była zdyszana.

Krzeptowski obejmował wiszącego na nim Jakuba, który powoli wracał do siebie.

- Nie mów tak do mnie. Jestem twoim szefem, w końcu - stęknął Tyszkiewicz.

- Szefem jesteś tam - wskazała poza obręb sali. - A tu jesteś ciocią kłocią, której się wydaje, że potrafi walczyć.

Krzeptowski spojrzał na Jakuba z góry.

- Chyba musis iść. Jak nie pójdziesz, to ci nie daruje.

- No, dziękuję wam piknie, baco, za dobre słowo - Tyszkiewicz wyprostował się. W głowie mu huczało. Ruszył niepewnie do przodu i podniósł rękę.

- Będiesz pydować jak baba w maglu, czy w końcu ruszysz dupę? - zapytał, nadrabiając miną i starając się ukryć drżenie głosu.

Skośne oczy Zuzanny zwięzły się. Wykonała miękki balans ciałem i zaatakowała. Rozpędzona do poddźwiękowej szybkości pięta przeleciała o kilka milimetrów od skroni Jakuba. Pięta, jak i cała noga, wisiała jeszcze w powietrzu, kiedy Tyszkiewicz ruszył do przodu, wyciągnął obie dłonie i popchnął Zuzannę, jednocześnie robiąc wykrok prawą nogą.

Nie spodziewał się, by ta prymitywna sztuczka zadziałała, ale, o dziwo, owszem.

Chwila nieuwagi, niewielki koszt, poważne konsekwencje.

Zuzanna upadła na plecy. Skoczył. Kolanami wbił jej klatkę piersiową w podłogę, po czym przetoczył się na bok. Przycisnął jej prawą rękę do piersi, niczym najcenniejszy skarb. Wypchnął biodra do góry, starając się przeprostować łokieć przeciwniczki.

Gdy się dobrze zastosuje tę technikę, nie sposób się z niej uwolnić. Ale w pośpiechu założył chwyt niezbyt dokładnie, a Zuzanna była zwinna jak łasica. Tyszkiewicz trzymał co siłą, ale spocona skóra miała zbyt dobry poślizg, by chwyt był stuprocentowo skuteczny.

20

z - nie całkiem niemiłymi, trzeba uczciwie-przyznać - halucynacjami, a mózg stracił łączność z rzeczywistością.

Wpadka. Porażka. Wstyd.

Jakub odruchowo zrobił krok w bok i padł w ramiona przyglądającego się walce Krzeptowskiego. Zuzanna podskoczyła kilka razy i spojrzała na przeciwnika z nieukrywanym obrzydzeniem.

- Kurwa, co za lalusz. Wstawaj człowieku, walczysz jak ciota - powiedziała ze złością. Nawet nie była zdyszana.

Krzeptowski obejmował wiszącego na nim Jakuba, który powoli wracał do siebie.

- Nie mów tak do mnie. Jestem twoim szefem, w końcu - stęknął Tyszkiewicz.

- Szefem jesteś tam - wskazała poza obręb sali. - A tu jesteś ciocią kłocią, której się wydaje, że potrafi walczyć.

Krzeptowski spojrzał na Jakuba z góry.

- Chyba musis iść. Jak nie pójdiesz, to ci nie daruje.

- No, dziękuję wam piknie, baco, za dobre słowo - Tyszkiewicz wyprostował się. W głowie mu huczało. Ruszył niepewnie do przodu i podniósł ręce.

- Będiesz pydować jak baba w maglu, czy w końcu ruszysz dupę? - zapytał, nadrabiając miną i starając się ukryć drżenie głosu.

Skośne oczy Zuzanny zwęziły się. Wykonała miękki balans ciałem i zaatakowała. Rozpędzona do poddźwiękowej szybkości pięta przeleciała o kilka milimetrów od skroni Jakuba. Pięta, jak i cała noga, wisiała jeszcze w powietrzu, kiedy Tyszkiewicz ruszył do przodu, wyciągnął obie dłonie i popchnął Zuzannę, jednocześnie robiąc wykrok prawą nogą.

Nie spodziewał się, by ta prymitywna sztuczka zadziałała, ale, o dziwo, owszem. Chwila nieuwagi, niewielki koszt, poważne konsekwencje.

Zuzanna upadła na plecy. Skoczył. Kolanami wbił jej klatkę piersiową w podłogę, po czym przetoczył się na bok. Przycisnął jej prawą rękę do piersi, niczym najcenniejszy skarb. Wypchnął biodra do góry, starając się przeprostować łokieć przeciwniczki. Gdy się dobrze zastosuje tę technikę, nie sposób się z niej uwolnić. Ale w pośpiechu założył chwyt niezbyt dokładnie, a Zuzanna była zwinna jak łasica. Tyszkiewicz trzymał co siłą, ale spocona skóra miała zbyt dobry poślizg, by chwyt był stuprocentowo skuteczny.

20

Zuzanna wyszarpnęła dłoń i po sekundzie stała na nogach. Tyszkiewicz podniósł się w chwilę później, spodziewając się natychmiastowego ataku. To, że nie nastąpił, jednoznacznie świadczyło o niebagatelnych skutkach upadku i chwilowego wypompowania powietrza z płuc przeciwniczki. W innym wypadku Tyszkiewicz już modliłby się

o szybką śmierć.

Zuzanna oddychała ciężko.

Satysfakcja. Zmusić Zuzannę do sapania to nie byle co. Nie - Byle - Kurwa Mać - Co.

Krzepkowski odszedł pod ścianę i ciężko opadł na ławkę. Nawet siedząc, górował nad innymi.

Przeciwnicy odpoczęli, pojedynek na parkiecie znów rozgorzał z pełną siłą.

Krzepkowski skrzywił się. Miał poważne obawy o rezultat walki. Musiał się zająć czymś innym. Teraz. W tym momencie.

Inaczej Zuzanna nie dożyje wieczora.

- Może chocias tak na pół gwizdka? Małe bim-bom? - zapytał siedzącego obok Smotrycza. Ten w odpowiedzi błysnął okularami.

- Stasiu, po ostatnim bim-bom powrót do domu zajął mi trzy razy więcej czasu niż zwykle. Dajże ty spokój.

- Lekutko... - Kątem oka widział Tyszkiewicza broniącego się przed kopnięciami, ale starał się nie zwracać na to uwagi.

-Nie.

- A ty? - Krzepkowski wychylił się i wyjrzał zza Smotrycza. Siedząca obok kobieta nie była nawet w połowie tak ładna jak Zuzanna, ale Krzepkowski zdecydowanie bardziej niż Zuzannę ją lubił. Razem z lekką nadwagą i nieco zbyt

obfitymi biodrami.

- Ja też nie. Chociaż niedługo, kto wie... - zawiesiła głos, a Krzeptowskiemu zrobiło się gorąco.

Na parkiecie Zuzanna parła do przodu z energią czołgu abrams

1 zwinnością gazeli. Tyszkiewicz nieuchronnie zmierzał do narożnika sali. Do swego Waterloo.

- Lubię go, ale miękki jest - mruknął Smotrycz.

- Głupiś - warknął Krzeptowski, patrząc na cięgi, które zbierał Tyszkiewicz.

Waterloo? Hiroszima! Nie pojmował tego. - Rozum ma...

- Nie mówię nie. Charakteru mu tylko trochę brakuje.

- Głupiś - powtórzył Krzeptowski zajadle, ale jeszcze bardziej się zasepił. - To, że ta laska sybciej nogami wywija, jescze nic nie znacy.

21

- Nie lubi go. I ciebie też nie.

- W dupie ją mam - powiedział nieco głośniejszym głosem, niż zamierzał.

Tyszkiewicz przystąpił do rozpaczliwego kontrataku. Jeden z ciosów doszedł, zachwiał nieco Zuzanną, ale oddała z nawiązką. Jakub po raz trzeci tego wieczoru znalazł się na deskach. Kilkunastu pozostałych ćwiczących zastygło w bezruchu.

- Koniec - krzyknął Krzeptowski, wychodząc na środek sali. - Od-pocnij se trochę, a potem ze mną spróbujes...

- Windy nie mam - skrzywiła się. Była wysoka, metr siedemdziesiąt osiem na bosaka, ale do spojrzenia Krzeptowskiemu prosto w oczy brakowało jej przynajmniej piętnastu centymetrów.

A Stanisław Krzeptowski, sękaty, muskularny góral z Kościeliska, chciał krwi.

- Strach cię obleciał? - zapytał, patrząc jej prosto w oczy i uśmiechając się leciutko. - Zuziu...?

Plan, genialny w swej prostocie, wypalił bez pudła. Nazwij Zuzannę Zuzią, wojnę masz jak w banku. Bez ostrzeżenia, bez jakichkolwiek przygotowań skoczyła szczupakiem do przodu, wbiła się barkiem w biodro Krzeptowskiego, jednocześnie obejmując go obiema rękami nieco poniżej siedzenia. Stał mocno na nogach i w gruncie rzeczy spodziewał się czegoś w tym rodzaju - gdy różnica wagi pomiędzy przeciwnikami jest więcej niż dwukrotna, zdecydowanie więcej szans daje szukanie rozstrzygnięcia walki w parterze - mimo to uległ precyzji i dzikiej zajadłości ataku. Upadł na plecy z hukiem, od którego zatrzęsły się ściany, z Zuzanną przyczepioną do tułowia niczym wahadłowiec do jumbo jęta.

Zuzanna przetoczyła się w bok, trzymając rękę Krzeptowskiego pomiędzy swoimi długimi udami. Ale nim zdołała wypchnąć biodra w górę („i złamać rękę kutasowi, raz na zawsze załatwić mu tę latającą pięść”), Krzeptowski przekrzywił nieco ramię, wbijając jednocześnie łokieć w jej łono. Gdy syknęła z bólu - zdziwiłby się, gdyby tego nie zrobiła, w ucisk włożył co najmniej połowę swej siły - zwinął się jak sprężyna, złapał nogę Zuzanny nieco poniżej kostki i skrzywił mocno. Ból zmusił ją do poluzowania chwytu. Więcej nie było trzeba.

- Masz być grzeczna, suko - wyszeptał czystą polszczyzną dziesięć sekund później, prosto w nabrzmiałe krwią ucho. Głowę Zuzanny trzymał w duszeniu

gilotynowym. Walczyła z zawziętością pitbulla,

22

ale to były próżne wysiłki. Pomału zaczynało brakować jej tchu. Zdrowy rumieniec na twarzy bladł, stopniowo przybierając barwę ścian. - Wobec niego i ogólnie.

Słyszysz?

- Wal się.

Nacisnął.

- Rozumiesz mnie?

- Górale... to... cioty... - stęknęła.

Nacisnął jeszcze mocniej. Wściekle walczące ciało zaczęło wiotzczeć.

Poczuł na sobie ręce. Odciągały go z całych sił. Krzyki.

Puścił.

Gdy otworzył oczy, Zuzanna klęczała nieopodal, rzucona suchymi torsjami.

Wyglądało na to, że jej twarz nie wróci prędko do normalnej barwy. Spojrzał na nią obojętnie i podniósł się. Tyszkiewicz, Smotrycz i Jadzia, jego Jadzia (chciałbyś, pacanku, pomyślał smętnie) oddzielali go od niedoszłej ofiary i wrzeszczeli.

Pozostali też wrzeszczeli, tylko nieco dalej.

Krzęptowski uniósł rękę w geście poddania.

- Już, już. Będę grzeczny.

- Powiedz to jej, głąbie - krzyknęła zwykle spokojna Jadwiga, tym razem mocno poruszona. - Nie zdajesz sobie sprawy, jaki jesteś silny.

- To był sparing. Miała takie same szanse - odparł słabo. Nie chciało mu się kłócić. Podszedł do walczącej o odzyskanie oddechu niedawnej przeciwniczki i wyciągnął dłoń.

- Chodź - powiedział. Słowo miało brzmienie parowozu zgrzytającego na zwrotnicach, w ocenie Krzęptowskiego jednak stanowiło wielkoduszny przykład dobrej woli.

- Spadaj - reakcja była oczywista. Zuzanna kolorem nadal przypominała szpitalne prześcieradło, ale nie oznaczało to wcale chęci przyjęcia pomocy od kogokolwiek. Zwłaszcza od kolegi. Faceta. Wroga.

- No chodź - powołał próbę, nadal trzymając wyciągniętą dłoń tuż przed jej nosem.

Łypnęła ponuro i bez niczyjej pomocy podniosła się na nogi.

- Dzień dobry, panie inspektorze. A właściwie dobry wieczór - powiedział Tyszkiewicz do niższego z dwóch mężczyzn, którzy stali w progu sali i z zainteresowaniem obserwowali rozwój wydarzeń. Pomyślał z niepokojem, że mogli tak stać od pewnego czasu, a to oznaczałoby, że widzieli zdecydowanie więcej, niż chciałby, aby widzieli, i będą

23

wyciągali inne wnioski, niż chciałby, aby wyciągali. To, co Tyszkiewicz i spółka robili na tej sali w czasie wolnym od pracy, było wewnętrzną sprawą grupy.

Przynajmniej w teorii.

- Czołem - odpowiedział inspektor. Szef. Naczelnik. Miał idealnie ponurą minę, jak zawsze. - Bawicie się?

- Trenujemy - odparł Tyszkiewicz. Nadal lekko dyszał. Ze zdenerwowania może.

- To jest trening? - inspektor uniósł brew. - Ciekawe.

Wyższy z mężczyzn przysłuchiwał się tej wymianie zdań z całkowitą, graniczącą ze znużeniem obojętnością. Jakub nie znał go. Pierwsze wrażenie: chęć poznania bliska zeru.

- Staramy się zachować formę - powiedział.

- W ten sposób? - pytanie świadczyło, że przybyli jednak widzieli coś niecoś.

- Właśnie w ten - poparł Tyszkiewicza Krzeptowski. - Jak się nie wywrócisz, to się nie naucysz.

Inspektor wzruszył ramionami.

- Przedstawiam wam nowego członka zespołu - powiedział, wskazując na swego towarzysza. - Komisarz Jan Tolak. Z Krakowa. Wydział dochodzeniowo-śledczy Komendy Miejskiej.

Facet nawet nie mrugnął. Stał sztywno wyprostowany, a Tyszkiewicz utwierdził się w przekonaniu, że go nie lubi. Gość mógłby grać bez żadnej charakterystyki gestapowców lub esesmanów w dowolnym wojennym filmie, wliczając te o dużym budżecie. Wyższy od Tyszkiewicza o ponad pół głowy - niezbyt wielki wyczyn, bo od Tyszkiewicza nawet Zuzanna była nieco wyższa - barczysty, o jasnych, gęstych włosach i niebieskich oczach. Wysunięta do przodu, masywna szczęka mogła świadczyć o uporze i stanowczości. Regularne rysy twarzy, prosty, rzymski nos sprawiały, że facet mógł naprawdę się podobać.

W związku z tym Tyszkiewiczowi od razu się nie spodobał. Jakub ocenił go jako upierdliwego dupka i miał zamiar konsekwentnie trzymać się tej nieco jednostronnej - był nawet skłonny to przyznać, w końcu starał się być obiektywny - opinii.

Ale wyciągnął rękę, przywołując na twarz coś w rodzaju uśmiechu.

- Nadkomisarz Jakub Tyszkiewicz - powiedział.

Tamten uściśnął dłoń.

- Miło mi - miał głęboki, niski głos.

24

Idealny do sekstelefonu dla napalonych emerytek, pomyślał Jakub.

- Komisarz Stanisław Krzeptowski.

- Aspirant Jadwiga Stec.

- Podkomisarz Antoni Smotrycz.

Zuzanna podeszła niechętnie i wyciągnęła rękę. Jej mina świadczyła wyraźnie, że uważa całą tę prezentację za zbędną bzdurę.

- Komisarz Zuzanna Cehak - powiedziała przez zęby.

Nieprawdopodobne, zielono-kocie oczy Zuzanny wywarły jednak na facecie wrażenie, bo ów ożywił się nieco.

- Bardzo mi miło - powiedział głośniej niż poprzednio i uśmiechnął się.

Przystojna twarz stała się jeszcze przystojniejsza. - Jan Tolak.

Zuzanna szybko wycofała dłoń i wyduła nieco wargi, aby wyraźnie dać do zrozumienia, że nie będzie tolerowała żadnych bzdetów w przyszłych relacjach.

Konieczne minimum, oto obowiązujący model.

Szef nie zwracał uwagi na niuanse.

- Nadkomisarz Tyszkiewicz jest szefem zespołu - powiedział tonem cierpliwego nauczyciela. Było to niezwykle, ponieważ na ogół przemawiał szybko i gwałtownie,

wybuchając złością, gdy ktoś nie nadażał. - Komisarze Krzeptowski i Cehak z Wydziału do walki z Terrorem Kryminalnym i Zabójstw. Podkomisarz Smotrycz, nasz geniusz komputerowy. A pani aspirant jest najlepszym technikiem od śladów, jakiego mamy w Warszawie. Z kolei komisarz Tolak wszystko to, co znajdziecie, przełoży na dowody procesowe.

- Aż z Krakowa? - wyrwało się Tyszkiewiczowi.

Inspektor spojrzał na niego surowo.

- Przyda wam się spojrzenie z zewnątrz.

Krzeptowski, widząc, że Jakub zbiera się do odpowiedzi, machnął ręką.

- Kraków od Kościeliska rzut beretem. Dogadamy się - wyszczerzył zęby w uśmiechu, co nieoczekiwanie sprawiło, że jego twarz stała się prawie przyjazna. Nawet nie znając komisarza, Tolak powinien wpaść w błogi nastrój.

To, że nie wpadł, świadczyło tylko na jego niekorzyść. Przynajmniej zdaniem Tyszkiewicza.

- Jutro o dziesiątej pan nadkomisarz się u mnie zamelduje. Z koncepcją. A najlepiej ze sprawcą - powiedział inspektor. Porzucił już uprzejmy ton, mówił szybko, połykając końcówki.

25

- Tak jest - odparł Jakub. Sprawca? Jutro? Cenił angielskie poczucie humoru szefa. - W takim razie my spotykamy się o ósmej trzydzieści - zwrócił się do zespołu. - Jak rozumiem, pan komisarz też będzie obecny.

Tamten skinął głową. Ruch zmierzyłaby jednak tylko precyzyjna suwmiarka, z podziałką do dziesiątych części milimetra.

Krzeptowski zerknął na Jadwigę, zobaczył przyjazne i pełne ciepła spojrzenie skierowane w stronę Tolaka, po czym błyskawicznie dołączył do grona przeciwników nowej gwiazdy zespołu.

Facet miał przebimbane już na starcie.

2.

- Facet ma przebimbane - powiedział Tyszkiewicz blisko kwadrans później. Nie mógł otworzyć drzwi samochodu. Zwykle w tej klasy autach problemy z zamkami nie występują, ale tym razem coś szwankowało. Wzdrygnął się. - Zimno.

- A tam - mruknął Krzeptowski, nie precyzując, do czego się odnosi uwaga. - Daj, pomogę ci.

Jakub podał mu kluczyk zintegrowany z pilotem. Dłoń, mimo iż okryta rękawiczką, była sztywna z zimna, choć na dworze przebywali od niespełna pięciu minut.

Krzeptowski przytknął urządzenie bliżej maski samochodu i energicznie nacisnął guzik.

Nic.

- Baterie kiedy zmieniałeś?

- Dawno. Ale jeszcze dwie godziny temu nie było problemu.

- Dwie godziny temu było pięć stopni cieplej. To znaczy o pięć stopni mniej zimno. - Ogrzewał pilota w wielkiej dłoni. - Dupek. I to obcy. Po co on tutaj?

Tyszkiewicz znał się z Krzeptowskim od tylu lat, że nagłe zmiany tematu nie robiły już na nim wrażenia. Nigdy nie tracił wątku.

- Szpicel.

- Myślisz? - zainteresował się Krzeptowski. - Wiesz, co to znaczy?
- Wiem. Że sprawa jest dużo poważniejsza, niż myślimy.

-I mamy przechłapane...

- ...bo obojętnie, czy wygramy, czy przegramy...
- ...i tak nas udupią...

Pilot w końcu zadziałał, zamek odskoczył z trzaskiem. Silniejszy niż inne podmuch wiatru zachwiał dyskutantami. Płatki śniegu wirowały w świetle ulicznych latarni. Drzwi dało się otworzyć nie bez pewnego oporu. Obaj z ulgą zasiedli w fotelach. Samochód, choć przyjechali nim nieco ponad dwie godziny temu, był zmarznięty na kość. Tyszkiewicz przekręcił kluczyk. Silnik zapalił, chociaż po nieco dłuższej niż zwykle chwili.

Jakub spojrział na tablicę rozdzielczą.

- Jezus Maria, minus dwadzieścia. Jeszcze w dzień było siedem stopni mrozu.
 - Nie przejmuj się. To szwedzki samochód. Na zimowy klimat robiony.
- Tyszkiewicz skinął głową. Volvo XC 90 z napędem na cztery koła wydawało się stworzone do jazdy w takich warunkach.

- Nie o samochodzie mówiłem, tylko o sobie. A pan dupek będzie musiał się trochę wykazać.
- Będzie musiał - przytaknął Krzeptowski. - Nie będzie miał łatwo.
- Ja jestem szefem i postaram się, żeby nie miał łatwo.
- Powinien mieć trudno.
- Raczej tak. Będzie miał.

Krzeptowski umilkł na chwilę. Silnik pomału się rozgrzewał. Wiatr targał samochodem, a niebo sypało śniegiem jeszcze gwałtowniej niż przed chwilą.

- Mam pewien pomysł...
- No? - zachęcił go Jakub. Przesunął dźwignię zmiany biegów na pozycję „D”, skręcił kierownicę i ruszył.
- W sprawie - wyjaśnił. Mówił o dochodzeniu, które zespół prowadził od wczoraj. - Może nie pomysł nawet, a podejrzenie. Ciężkie podejrzenie.
- To dobrze. Ja na razie nie mam żadnego. Powiesz mi?

Krzeptowski pokręcił głową.

- Jutro. Muszę jeszcze coś przemyśleć.
- Dobra. Powiesz mi jutro.
- No. I tylko tobie, na razie.

Tyszkiewicz zdumiał się, chociaż był przyzwyczajony do różnych, nieraz dziwacznych pomysłów Krzeptowskiego.

27

- Coś wiesz?
- Nie. Ale mam obawy. Powiem ci jutro - definitywnie uciął ten wątek rozmowy.
- A ta cipcia?
- Zuzanna? Zostaw ją. Sama nie wie, czego chce.
- Nie sądzę. Dałeś sobie skopać dupę. Specjalnie?
- Zwariowałeś? Odbiło jej. Składała się wyłącznie z adrenaliny.
- Niezbyt cię lubi. A jak ona kogoś nie lubi, trza się bać.
- Może ma trudny moment w życiu. Dlatego jest agresywna.

- Agresywna? To granat. Odbezpieczony. Chce walczyć z całym światem.
- Mimo wszystko to dobra dziewczyna - powiedział Tyszkiewicz. Ostatnio sam w to nie wierzył. - Trochę popierdolona, ale naprawdę okej.
- Nie - Krzeptowski był poważny jak nigdy. - Chciała ci zrobić krzywdę. Ona nie jest okej i ma coś do ciebie. Wiesz może, o co chodzi?
- Nie mam pojęcia - odparł Jakub, myśląc o dwóch splecionych w przyjacielskim uścisku osobach, które niedawno przypadkiem zobaczył na ulicy.
- Masz.

-Nie.

Kłamał.

3.

-Halo?

- Dzień dobry. Czy rozmawiam z panią Heleną Berezowicz?
- Przy telefonie. Kto mówi?
- W imieniu wspólnoty mieszkaniowej sprawdzam pewne dane. A więc pani Helena Berezowicz?
- Już mówiłam. Tak.
- Lat trzydzieści. Wzrost sto siedemdziesiąt pięć centymetrów. Rozmiar garderoby trzydzieści sześć. Rozmiar biustonosza siedemdziesiąt pięć C. Zgadza się? Helena od początku wiedziała, że nie chodzi o żadną wspólnotę mieszkaniową.
- Nie podoba mi się ta rozmowa...

28

- Mężatka?
- Proszę dać mi spokój...
- Nie mam najmniejszego zamiaru dać pani spokoju. Wprost przeciwnie. Helena spojrzała na display telefonu. Aparat nie identyfikował numeru, z którego dzwonił natręt.

- Pan mi się narzuca. Będę zmuszona zadzwonić na policję.

Mężczyzna roześmiał się gromko.

- Ależ bardzo proszę. Oni nigdy nie przyjeżdżają na czas. Ale nie odpowiedziała pani na moje pytanie: mężatka? Jest pani sama w domu?

Helena wcisnęła czerwony guzik i przerwała połączenie. Rozejrzała się. Pokój tonął w półmroku, za oknem śnieg padał wielkimi, cichymi płatkami. Wiatr napierał na szyby.

Zastanowiła się, czy jest gotowa na to, co ma wydarzyć się w ciągu najbliższych minut. Bo tego, że coś się wydarzy, była absolutnie pewna.

Cztery piętra niżej i pięćdziesiąt metrów dalej mężczyzna spojrział w zadumie na zamknięty nagle telefon. Uśmiechnął się do siebie.

To będzie łatwa zdobycz, pomyślał.

Wyciągnął z kieszeni pęk kluczy i wybrał jeden z nich. Już przy pierwszej próbie zamek drzwi wejściowych poddał się bez oporu. Mężczyzna wszedł do jasno oświetlonego hallu, z pewną miną skinął głową siedzącemu w przeszklonej budce ochroniarzowi, uklonił się mijającej go kobiecie, po czym wskoczył do windy.

Wybrał przycisk czwartego piętra. Po kilkunastu sekundach kabina z cichym szumem zakończyła swój bieg.

Wyszedł i rozejrzył się. Na klatce były tylko dwa mieszkania. Poszedł w lewo. Zatrzymał się przed drzwiami, pilnując, by nie znaleźć się w polu widzenia wizjera. Ponownie wyjął klucze, zawahał się przez chwilę, po czym jeden z nich włożył do zamka. Przekręcił, najciszej jak umiał. Nacisnął klamkę i pchnął lekko. Bingo. Ostrożnie wszedł do środka. Zamknął za sobą drzwi.

W mieszkaniu panował mrok. Tylko blask ulicznych latarni, przytłumiony padającym śniegiem, lekko rozjaśniał wnętrze. Mężczyzna postąpił krok do przodu. Pół sekundy później poczuł zimny, okrągły przedmiot uciskający skórę za uchem i zimny psi nos dotykający opuszczonej dłoni.

29

- Mam w ręku smith & wessona kalibru trzydzieści osiem setnych cala. Zrobisz krok i nie masz mózgu. O bok stoi pies rasy Tosa Inu. Zrobisz pół kroku i nie masz ręki - usłyszał miękkie, aksamitny alt, bez wątplenia należący do niedawnej rozmówczynie.

- Mózgu i ręki może nie. Ale mam coś innego. Znacznie lepszego...

- Tak? Ja też mam.

-A co?

- Mam pokazać?

- Pokaż.

Mężczyzna odwrócił się. Stojąca przed nim kobieta dorównywała mu wzrostem. Miała na sobie tylko krótki szlafrok. Mężczyzna pociągnął za pasek. Kobieta cofnęła ramiona, szlafrok rozchylił się i opadł na podłogę.

- Pięknie. Chcesz wiedzieć, jak to jest u mnie?

-Tak.

- Sprawdź sama.

- Chętnie - Helena wzięła Jakuba za rękę i powiodła wprost w mrok, do sypialni. Olbrzymi, ważący dziewięćdziesiąt kilogramów płowy pies odprowadził ich uważnym spojrzeniem.

4.

Dwa małe kinkiety rzucały raczej chybodiwe cienie, niż rozświecały wnętrze. Jakub spojrział na żonę. Delikatny profil, brzoskwiniowa skóra, kruczoczarne włosy i cała zachwycająca reszta były ledwie widocznymi w półmroku konturami, pozostawiając wyobraźni wielkie pole do popisu, z czego zresztą Jakub był bardzo zadowolony. Uwielbiał grę wyobraźni z Heleną w roli głównej.

- Pracowałaś? - zapytał.

- Tak. Prawie cały dzień. Przygotowania do Wigilii leżą. Może pogoda mnie tak nastraja, ale miałam pomysł.

Tyszkiewicz rozejrzył się i zauważył stojący w kącie blejtram. Zapalił nocną lampkę i przez chwilę przyglądał się obrazowi. Miętko padające światło podkreślało precyzyjną kompozycję i niespokojną, niemal

30

demoniczną formę. Barwy tańczyły na płótnie, żyły samodzielnym życiem, choć były przecież ściśle podporządkowane treści.

Oniemiał.

- Wspaniale. To jest absolutnie wspaniale. Lena, mówię poważnie. Najlepszy

obraz, jaki do tej pory stworzyłaś - powiedział cicho, gdy już był w stanie wydobyć z siebie głos. Patrzył na nią rozszerzonymi z zachwytu oczami.

- Miło - uśmiechnęła się czule. Stały rytuał: dzieło, które zdecydowała się pokazać światu, niedokończone w szczegółach, ale przemyślane co do koncepcji, wstawiała do sypialni, a Jakub był pierwszym recenzentem. Niefachowym, często nieumiejącym wyrazić słowami targających nim uczuć, ale uważnym i przenikliwym. Jego dziecięcy entuzjazm był najlepszym bodźcem do pracy, jaki Helena mogła sobie wyobrazić.

- Nie mówię tego, aby było miło. Serio. Weszłaś na jakiś kosmiczny poziom, to jest namalowane inaczej niż wszystkie dotychczasowe obrazy. To... arcydzieło. Lester dostanie spazmów z zachwytu.

Jonathan Lester był właścicielem jednej z największych galerii sztuki w Londynie. Gdy trzy i pół roku temu spotkała go na jednym ze swoich warszawskich wernisaży, była nikomu nieznaną, zaledwie dobrze rokującą malarką bez grosza przy duszy. Lester podjął się zostać jej agentem. Od tej pory zmieniło się wszystko.

- Nawet dzwonił dzisiaj. Chce mnie po Nowym Roku zaprosić do siebie. Ma dwóch klientów. Widzieli wcześniejsze rzeczy i nękają go codziennie. Tak się wyraził: „nękają”. Wiesz, co to znaczy w ustach Anglika? - zachichotała. - Aha i mówił o sumach sześciocyfrowych. W funtach szterlingach.

Jakub już dawno przyzwyczaił się do faktu, że w ich stadle to Helena jest myśliwym przynoszącym zwierzynę do domu.

- Wspaniała wiadomość - rzekł z namaszczeniem. - Nie mówię o pieniądzach. Po prostu domyślam się, co może dla artysty znaczyć docenienie jego dzieł przez odbiorców. A pieniądze...

- ...przydada się - dokończyła za niego.

Ponieważ Helena podniosła się na łokciu, kołdra opadła nieco

1 Tyszkiewicz zaczął z ogromną uwagą przyglądać się żonie.

- Muszę coś sprawdzić - powiedział, dotykając jej piersi. - Mały check in.

31

- Wszystko jest w porządku, ale sprawdź. Ostrożności nigdy dość.

Niezwłocznie przystąpił do przeglądu. Nie zgasła lampki, pozwalając mu rozkoszować się chwilą.

- Lubię swoje życie - szepnęła w ciemność po niezwykle wyczerpujących trzech kwadransach. Jakub, wtulony w jej ramię, posapywał lekko przez nos. Spał. -1 lubię swoje życie z panem, nadkomisarzu.

Jednak przebiegająca przez głowę myśl spowodowała, że Helena spochmurniała i nie mogła zasnąć niemal do świtu.

ROZDZIAŁ II

23 grudnia 2011 roku

1.

- Dobrze. Podsumujmy - powiedział nadkomisarz Jakub Tyszkiewicz, mieszając lurowatą kawę. Wypił łyk. - Jezu, to coś nie nadaje się do picia. Jadwiga?

- Zgadza się.

- Ja też - dodał Krzeptowski, tocząc wokół marsowym spojrzeniem.

- Nie mówię o kawie. Mówię o śledztwie.

- A prowadzimy jakies? - Smotrycz przechylił głowę i spojrzal uważnie na nadkomisarza.

Stalosc repertuaru. Niezmiennosc poczatkow zebrań. W tej czy innej konfiguracji ludzkiej, zawsze tak bylo. Tolak - Nowy Nabytek skrzywil sie z niesmakiem..

I wlasnie o to chodzi. Moze sam zrezygnuje.

Nowy Nabytek zjawił sie w komendzie kwadrans przed czasem, co tym bardziej potwierdzalo, ze ocena Tyszkiewicza w kwestii bycia em zostala dobrana calkowicie trafnie. Reszta zespolu schodzila piesznie, ostatni jak zwykle przyszedl Henio Niespodziany,

33

sapiac z wysilku i robiac w pietnascie sekund kosmiczny balagan w promieniu kilku metrow od siebie.

Siedzieli w malym i zagraconym pokoiku na drugim pietrze Komendy Stoolecznej.

Odkad rozkazem szefa zespol zostal powolany do zycia, przydzielono im to

pomieszczenie, uzasadniajac, ze znajduje sie w nim „najszybsza siec w calym wojewodztwie i inne udogodnienia". Siec rzeczywiscie funkcjonowala sprawnie,

innych udogodnien Jakub nie mogl sie, mimo szczerych chenci, dopatrzec. Kazde

biurko prezentowalo inny trend wzornictwa przemyslowego, krzesla pamietaly

poczatki policji, komputery, rowniez dosc antyczne, byly trzy - po jednym na dwie osoby.

Mimo wszystko nominacja byla krokiem w karierze. Tyszkiewicz mial trzydzieści

piec lat, nieczesto z jego stazem zostaje sie szefem specjalnego zespolu

dochodzeniowo-sledczego. Czul sie wyrozniiony, choc przeslanki, ktorymi kierowal

sie komendant przy wyborze, nie byly do konca jasne i, szczerze mowiac, mocno

Jakuba niepokoily. Konkurentami do objecia funkcji bylo przynajmniej dwuch

znacznie bardziej doswiadczonych policjantow.

- Prowadzimy. Aha, gwoli wyjasnienia. Heniu, jak zwykle nie bylo cie na treningu...

- Przeciez mowilem, ze cwicze w domu...

- .. wiec nie poznales pana komisarza - ciagnal Tyszkiewicz, probujac przebic sie przez smiech Krzeptowskiego, Jadwigi i cieniutkie rehotanie Smotrycza. -

Komisarz Jan Tolak, oddelegowany z Komendy Miejskiej w Krakowie - skinal glowa w strone nieruchomo siedzacego Nowego Nabytku. - A to komisarz Henryk

Niespodziany z wydzialu dochodzeniowo-sledczego.

- Miło poznac - mruknal Tolak tonem, ktorego zwykle uzywa sie do rozmow o pogodzie.

- Mnie rowniez - chrzknal Henio, wiercac sie niecierpliwie. Juz mu bylo niewygodnie. Mial kaca, glowa lupala zdrowo, a poranny telefon od tego czlowieka

wprawil go w niezbyt komfortowy miks konfuzji i lekkiego podniecenia. Swieta za pasem, a te telefony zwykle oznaczaly przyplyw gotowki, choc jej zdobycie nigdy nie bylo bezproblemowe.

- Okej. Zaczynamy. Jadwiga?

- Zgon nastapil pomiedzy polnocą a druga nad ranem poltorej doby temu, w nocy z dwudziestego pierwszego na dwudziestego drugiego grudnia. Ofierze zadano

jeden śmiertelny cios nożem. Narzędzia

34

*v

zbrodni nie znaleziono. - Jadwiga: precyzyjna, dokładna, wręcz pedantyczna. Żadnych wątpliwości, że swoją robotę wykonała rzetelnie. Porzuciła żartobliwy ton. Poranną policyjną kawę piła bez słowa skargi. - Mieszkanie zostało dokładnie wysprzątane, zespół oględzinowy nie znalazł żadnych istotnych śladów, odcisków palców, nic. Drzwi wejściowe nie noszą śladów włamania. Zabójca był praworęczny. Cios został zadany fachowo, prosto w serce. Może to przypadek, ale nie wierzę w to. Zabił człowiek, który umiał posługiwać się nożem. Myślę, że zabójca był tego samego wzrostu co ofiara: około metr siedemdziesiąt pięć, metr osiemdziesiąt. To tyle.

Jakub spojrział na Zuzannę.

- Kto znalazł ofiarę? - zapytał.

- Matka. Ma klucze. Nie mogła się dodzwonić ani na komórkę, ani na telefon stacjonarny, ani do pracy. Przyszła, znalazła syna leżącego na środku pokoju, zadzwoniła na policję. Od tej pory nie powiedziała ani słowa. Próbowałam ją przesłuchać, bez rezultatu. Lekarze mówią, że szok może potrwać.

Tyszkiewicz skinął głową. Kłopoty ze świadkami to był chleb powszedni.

- Co dalej?

- Krytycznej nocy żaden z sąsiadów ani na klatce, ani w ogóle w całej kamienicy nie widział, o której ofiara wróciła do domu. Także nikt nie zwrócił uwagi, czy ktoś Wicherka odwiedzał. Nikt nic nie słyszał, nikt nic nie widział. Nie mamy żadnego świadka, który mógłby coś wniesić - pozbawiony intonacji głosu, brak emocji, wzrok wbity w notatki. Ogólne wrażenie: zainteresowanie sprawą sprowadzone do mechanicznej wyliczanki. - Drzwi wejściowe nie noszą śladów włamania, w mieszkaniu brak śladów walki. W ogóle nie dało się stwierdzić śladów obecności kogoś innego niż ofiara. W rzeczach osobistych nie znaleźliśmy niczego ciekawego ani wartościowego.

- Ofiara to Bartosz Wicherka, mężczyzna, rasy białej, lat trzydzieści dwa - Krzeptowski płynnie przejął od Zuzanny pałeczkę. Po wczorajszej scysji nie zostało śladu. - Rozwodnik. Zamieszkały przy Wali-ców 17. Mieszkanie własnościowe, bez obciążonej hipoteki. Otrzymał je w spadku. Naukowiec, zatrudniony w Instytucie Meteorologii i Gospodarki Wodnej. Współpracownicy i szefowie twierdzą, że facet był cichy, pracowity i nie sprawiał żadnych kłopotów.

35

Zapadło milczenie. Po chwili odezwał się Smotrycz, moęno skupiony, świetnie zorganizowany i logiczny. Jak maszyny, z którymi przestawał na co dzień.

- W mieszkaniu znajdował się pecet wyposażony w najmocniejszy z dostępnych na rynku procesorów, osiem gigabajtów pamięci RAM i dwa terabajty miejsca na twardym dysku - nawet dla Tyszkiewicza, z informatycznymi nowinkami zaprzyjaźnionego wyłącznie w użytkowym zakresie, brzmiało to imponująco. - Na komputerze zainstalowanych jest szereg profesjonalnych, specjalistycznych aplikacji, związanych, tak mi się na razie wydaje, z wykonywanym zawodem. Zawartość poczty elektronicznej ma w zdecydowanej większości związek z pracą. Prywatne e-

maile tylko do i od niejkiej Patrycji - zajrzał do notesu - Winiarskiej. Poza tym...

- No? - zachęcił go Tyszkiewicz, dolewając nieco mleka do kawy. Nie mógł rozstrzygnąć, która wersja jest gorsza: z mlekiem czy bez. - Chyba przyniosę własną, pomyślał. Albo zacznę słodzić.

- Jest jeden folder. Zamknięty i na razie nie mogę go otworzyć. Mam też podejrzenia, że zawartość została zaszyfrowana. Co najciekawsze, wydaje mi się, że plik jest tak skonstruowany, że w razie nieautoryzowanego otwarcia uwalnia aplikację, która rozpoczyna nieodwołalny i błyskawiczny proces formatowania dysku. Krótko mówiąc, jeżeli coś pójdzie nie tak, utracimy wszystkie dane.

- Sprawdziłeś jego komputer służbowy? - zapytał Tyszkiewicz.

- Jeszcze nie. Mam go u siebie, ale na razie stoi i czeka. Obejrzałem tylko. Ma również dość mocne zabezpieczenia. Uznałem, że ważniejszy jest komputer domowy i ten zaszyfrowany plik. Chociaż, jeżeli pytasz mnie o zdanie, sądzę, że w obu tych maszynkach nie ma nic, co nam pomoże.

Znowu zapadła cisza.

- Podsumujmy więc - powiedział spokojnie nadkomisarz. - Mamy naukowca, meteorologa. Spokojnego. Miał nudne i uporządkowane życie zawodowe, o życiu prywatnym nie wspominając. Sprowadzało się do pracy w domu. Szefowie go chwala, współpracownicy lubią i cenią. Facet nie miał żadnego majątku, bo trudno nazwać majątkiem czterdziestometrową klitę w zrujnowanej kamienicy, gdzie nie przejdiesz korytarzem bez dania w mordę jakiemuś sikającym żulowi. Stan konta: tysiąc sześćset złotych. Zgadza się?

36

Pytanie miało w sobie pewien haczyk, co wszyscy obecni wyczuli, ale zgodnie kiwnęli głowami. Nawet komisarz Tolak.

- Gość był biedny i nie zajmował się żadną strategiczną dziedziną nauki. Nie miał nic, co warto by mu ukraść, i nie zajmował się niczym, dla czego warto by go zabić. A jednak zginął od ciosu nożem zadanego przez zawodowca, bo zgadzam się z Jadwigą: to mógł być zawodowiec, ponieważ nie zostawił po sobie żadnych śladów i umiał się maskować dostatecznie dobrze, by go nikt nie zauważył, a nawet jeżeli - nie zapamiętał. Wszyscy zatem zgadzacie się, że jesteśmy w dupie, koleżanki i koledzy. Pracujemy prawie drugą dobę i nie mamy nic, z czym mógłbym pójść do szefa. Tyszkiewicz omiół spojrzeniem zebranych. Wszyscy milczeli. Całe szczęście komisarz Tolak nie pozwolił sobie na jakikolwiek gest, który można by opacznie zinterpretować. Prawdę mówiąc, nie wykonał najmniejszego ruchu.

- Może jest coś takiego - powiedziała Zuzanna. Była skupiona i ostrożna. Doktor Jekyll i pan Hyde. Pani Hyde, poprawił się w myślach Tolak, wpatrując się w jej idealnie wykrojone wargi. Złapał się z niesmakiem na tym, że Zuzanna jednak działa na niego, w jakiś niezbyt uświadomiony sposób. A właściwie, szlag by trafił, uświadomiony. - Wicherek był rozwodnikiem. Rozwiódł się niespełna pół roku temu. Ta Patrycja Winiarska, o której mówił Antoni, to jego była żona. Krótkie małżeństwo, trwało niewiele ponad dwa lata, ale przebiegało dość burzliwie, zdaje się. Winiarska jest znaną modelką, sądząc z tytułów prasy kolorowej, dość rozrywkowym dziewczęciem - nadal zero intonacji i emocji, mechaniczny profesjonalizm. Zuzanna Maszyna, I am the robot, te rzeczy. - Państwo Wicherek postawili na swobodę

obyczajów, trójkąty, całowweekendowe balety, swingers party. Pogadałam z paroma znajomymi, głównie jej, bo on prawie nie miał swojego kręgu towarzyskiego. Wszyscy zgodnie i bez skrepowania twierdzą, że raczej ona była prowodyrem wszystkich akcji, on robił to dla niej, zakochany po uszy.

- Jeśli był zakochany, dlaczego pozwalał, żeby bzykali ją inni faceci, i to jeszcze na jego oczach? - zapytała Jadwiga z irytacją. Pracowała w policji od wielu lat, co wcale nie oznaczało akceptacji niektórych aspektów ludzkiego życia.

- Zapytaj jakiegoś faceta, nie mnie - warknięcie. Zuzanna opuściła szczerze przylegającą maskę, ale po sekundzie uniosła ją z powrotem.

37

Wrócił spokojny ton. - Chciał spełnić wszystkie jej zachcianki. Nawet takie. Chciał, żeby była szczęśliwa.

- O matko! - Jadwiga westchnęła głośno i skrzywiła się.

- Okej. Miał trudne życie małżeńskie - Tyszkiewicz za wszelką cenę nie chciał dopuścić do dyskusji światopoglądowej. Ale może rzeczywiście to był jakiś trop. - Mamy dwóch facetów: tego z okresu małżeństwa, balowicza i hulakę, nawet jeżeli nie z własnej woli, oraz rozwodnika, skupionego na pracy mola książkowego. Dwóch różnych ludzi, tak na moje oko. Co dla nas z tego wynika?

- To chyba dość proste - Zuzanna wysforowała się na czoło peletonu i nie zamierzała nikomu oddawać żółtej koszulki lidera. - W czasie małżeństwa był wyraźnie pod jej wpływem. Niektórzy znajomi określają ten wpływ słowem: „toksyczny”. Ta laska może się podobać, jest efektowna, na swój sposób inteligentna i ma kupę forsy, zazdrośnie chronionej, nawiasem mówiąc, bo zanim zaciągnęła go do ołtarza, pamiętała o podpisaniu intercyzy. On wyszedł z tego małżeństwa goły. Rozwód nastąpił na jej wniosek. Wzięła adwokata, ten zrobił z Wicherka sodomitę, gwałciciela i pedofila. Sąd orzekł rozkład pożycia z winy małżonka. Świadkowie twierdzą, że to bardzo kopnęło Wicherkiem. Pewnie przejrzał na oczy. Rozmawiałam z jego siostrą. Powiedziała mi, że od rozvodu nie mógł dojść do siebie. Przeżył załamanie nerwowe, miał stany depresyjne. Był na bezpłatnym urlopie i właściwie przeszedł na utrzymanie siostry. Tylko dlatego nie umarł z głodu. Wrócił do pracy miesiąc temu. Raz, gdy już stanął na nogi, w przypływie szczerości zwierzył się siostrze, że ją zabije. Swoją była żoną, żeby nie było wątpliwości.

- Ludzie mówią różne rzeczy w takich sytuacjach - zauważył Krzeptowski.

- Siostra twierdzi, że był śmiertelnie poważny. I nigdy wcześniej mu się to nie zdarzało.

- Masz zeznanie? - zapytał Tyszkiewicz.

- Mam - Zuzanna otworzyła leżącą przed nią na stole teczkę.

- Okej - Tyszkiewicz machnął ręką. Na tym etapie, czterdzieści minut przed spotkaniem z szefem, nie będzie zagłębiał się w lekturze protokołów. Wszyscy rozumieli, o co chodzi. Potem się będzie tłumaczył przed prokuratorem. - Na razie mamy cień poszlaki, i to nie na temat. Bo to Wicherek miał powód, aby zabić. A nie od-

38

wrotnie. Chyba że zdradził się byłej żonie ze swoimi planami i ona wykonała uderzenie uprzedzające, w swoście pojętej samoobronie. Albo wynajęła kogoś.

- Mam bilingi jego rozmów - Zuzanna wyjęła z teczki wielokrotnie złożony arkusz papieru. - W ciągu ostatnich trzech miesięcy dzwonił do byłej żony trzydzieści pięć razy na telefon komórkowy i piętnaście razy do domu. Niektóre z połączeń trwały bardzo krótko, ale, zwłaszcza ostatnio, zdarzały się rozmowy po czterdzieści minut. O czym mógł gadać Wicherek z byłą żoną przez tyle czasu? Kobieta, która go tak potraktowała podczas rozwodu?

- Dobre pytanie - podsumował Tyszkiewicz. - A co ona robi teraz? Ta żona?

- Baluje. Zmienia facetów co dwa tygodnie. Zarabia coraz lepiej i bawi się coraz lepiej.

- Rozmawiałaś z nią?

- Była poza Warszawą. Umówiłam się na spotkanie. Na dzisiaj, zaraz po naradzie.

- Dobrze. Idź i przyciśnij. Chcę też znać bilingi pani Patrycji.

-Jej?

- Tak. Dowiedz się, czy ona dzwoniła do niego. W ogóle chcę wiedzieć wszystko o jej kontaktach. Rozmowy, esemesy, poczta elektroniczna. Bierzemy łaskę pod lupę.

- Życia nam nie starczy, żeby się przez to przekopać.

- Antek ci pomoże. I może pan komisarz Tolak? - spojrzał na nowego. Tamten skinął głową. Zuzanna nie zareagowała w ogóle.

Dziś na treningu dostanę za swoje, pomyślał Tyszkiewicz. Ale przynajmniej tych dwoje zejdzie mi z oczu.

- Antek, ustal IP komputera byłej żony ofiary. Odczytaj jej pocztę...

- To nielegalne - Smotrycz ze świętoszkowatą miną wzniosł oczy do nieba.

- Poważnie? W takim rdzie zostaniesz przestępcą. Chcę wiedzieć wszystko, co się da. Druga sprawa: otwórz komputer służbowy Wicherka i ten zamknięty plik z prywatnego.

-Ale...

- Uruchom swoich znajomków, niech ci pomogą. Masz moje pozwolenie - z naciskiem powtórzył Jakub. Wszyscy zdawali sobie sprawę, o jakich znajomych Smotrycza mowa. - Jadwiga, badaj

39

dalej mieszkanie i narzędzie zbrodni. Musi być jakiś ślad. W końcu go znajdziesz.

- Już szukałam - Jadwiga potrząsnęła głową. Szopa niesfornych loków rozleciała się na boki. Biust zafalował. Krzeptowski westchnął.

- Wiem. Ale zrób to dla mnie i poszukaj jeszcze raz. Myślę, że jesteś dokładniejsza niż sprawca.

- Tak jest. - Z Jadwigą pracowało się świetnie. Była empatyczna, dobrze wychowana i profesjonalna.

- Heniu, pogrzeb w przeszłości Wicherka. Pogadaj z jego znajomymi, kolegami z pracy i szkoły. Dowiedz się, kto go nie lubił.

- Pewnie nikt - komisarz wzruszył ramionami. Ból głowy nie ustępował. Chciało mu się pić.

- Pewnie nie. Ale dowiedz się. Pana komisarza poproszę ze sobą do szefa - skinął na Krzeptowskiego.

- Inspektor prosił, abym ja też był obecny - powiedział cicho Tolak.
 - Pan dostał wyraźne polecenie, prawda? - Tyszkiewicz spojrział na komisarza beznamiętnym wzrokiem. Krzeptowski kochał te chwile. - Został pan przydzielony do zespołu komisarz Cehak.
 - Inspektor wyraźnie zaznaczył... - tamten nie zamierzał ustępować. Gładko wygolona szczeka zacisnęła się nieco.
 - Podlega pan mnie, bez żadnych dyskusji. I ja panu wydaję polecenia służbowe. Przed chwilą właśnie je wydałem i mam nadzieję, że zostało właściwie zrozumiane. Chwilę trwało milczenie. Pozostali członkowie zespołu nieźle się bawili. Doskonale znali zakończenie tej krótkiej wymiany zdań.
 - Tak jest - ramiona Tolaka opadły nieznacznie.
 - A my idziemy - rzucił Tyszkiewicz bez cienia satysfakcji i razem z nucącym pod nosem Krzeptowskim wyszli z pokoju.
- Tylko Jadwiga rozpoznała, że fałszywie intonowaną melodią był temat przewodni z „Pszczółki Mai”. Wybór oczywisty: Wodecki też jest z Krakowa.

2.

- Co sądzisz?
- To samo co ty.

40

- Mów.

Stanęli w najdalszym końcu korytarza. Nie było to dyskretne miejsce, ale nie mieli wielkiego wyboru. Krzeptowski wyciągnął gumę do żucia, odwinął z papierka i nie poczęstowawszy Tyszkiewicza, zaczął żuć. Nie spieszyło mu się. Do spotkania z szefem zostały całe cztery minuty.

- Dostrzegam kilka problemów - odezwał się w końcu. - Pierwszy: mamy na tapecie klasycznego pana nikt.
- Prawda. Nieznośna przeszkoda nie do przejścia.
- Cicho! - Szorstki ton. Uśmiech. Krzeptowski à la carte. - W facecie nie ma nic ciekawego. Nie miał żadnych powiązań z nikim istotnym, nie miał pieniędzy, ani nawet nie był fizykiem atomowym. Miał tylko eks-żonę nimfomankę, ale to też żadna rewelacja. Połowa facetów ma takie. Pytanie: dlaczego do tej sprawy zostaje utworzony specjalny zespół dochodzeniowo-śledczy i kilku dobrych fachowców odrywa się od innych zajęć? Nie mówię nawet o sobie, ale Smotrycz i Jadwiga mają co robić. Nawet ta cała Zuzia to też gwiazda - skrzywił się leciutko. - Drugi problem, związany ściśle z pierwszym: pan Tolak z Krakowa. Po cholere nam pan Tolak z Krakowa? Szpicel, wtyczka, kret. Jasne. To tylko potwierdza, że im bardziej się wszystko nie trzyma kupy, tym poważniej sp-awę traktują nasi szefowie, albo szefowie naszych szefów, albo diabli wiedzą kto. Ladies and gentlemen, problem numéro tri: nadkomisarz Jakub Tyszkiewicz jako szef zespołu. Gliniarz z ciebie jak z koziej dupy trąba...
- No, no...
- ...ale masz dobry węch i jesteś uczciwy. Od kiedy to jest powód, żeby kogoś robić szefem? Na czele zespołu, jeżeli już został utworzony, powinien stać ktoś starszy, z trzy razy większym doświadczeniem. Gliński, Bondaruk albo jakiś inny, wicie, rozumiecie, fachowiec - specjalista. Ty jesteś pięknoduch i dobry człowiek, bez

żadnych politycznych układów. Na mój nos, ktoś cię chce udupić. I to jest właśnie to, co mi się nie podoba.

Ta sama myśl męczyła Tyszkiewicza od momentu, w którym dostał nominację.

- Problem last but not least czwarty: morderca. Całkiem możliwe, że mamy do czynienia z zawodowym kilerem. Powiedz mi, co takiego przeszkrobał pan Wicherek, że zajął się nim zawodowiec? Nic mu nie

41

- Mów.

Stanęli w najdalszym końcu korytarza. Nie było to dyskretne miejsce, ale nie mieli wielkiego wyboru. Krzeptowski wyciągnął gumę do żucia, odwinął z papierka i nie poczęstowawszy Tyszkiewicza, zaczął żuć. Nie spieszyło mu się. Do spotkania z szefem zostały całe cztery minuty.

- Dostrzegam kilka problemów - odezwał się w końcu. - Pierwszy: mamy na tapecie klasycznego pana nikt.

- Prawda. Nieznośna przeszkoda nie do przejścia.

- Cicho! - Szorstki ton. Uśmiech. Krzeptowski a la carte. - W facecie nie ma nic ciekawego. Nie miał żadnych powiązań z nikim istotnym, nie miał pieniędzy, ani nawet nie był fizykiem atomowym. Miał tylko eks-żonę nimfomankę, ale to też żadna rewelacja. Połowa facetów ma takie. Pytanie: dlaczego do tej sprawy zostaje utworzony specjalny zespół dochodzeniowo-śledczy i kilku dobrych fachowców odrywa się od innych zajęć? Nie mówię nawet o sobie, ale Smotrycz i Jadwiga mają co robić. Nawet ta cała Zuzia to też gwiazda - skrzywił się leciutko. - Drugi problem, związany ściśle z pierwszym: pan Tolak z Krakowa. Po cholere nam pan Tolak z Krakowa? Szpicel, wtyczka, kret. Jasne. To tylko potwierdza, że im bardziej się wszystko nie trzyma kupy, tym poważniej sp-awę traktują nasi szefowie, albo szefowie naszych szefów, albo diabli wiedzą kto. Ladies and gendemen, problem numero tri: nadkomisarz Jakub Tyszkiewicz jako szef zespołu. Gliniarz z ciebie jak z koziej dupy trąba...

- No, no...

- ...ale masz dobry węch i jesteś uczciwy. Od kiedy to jest powód, żeby kogoś robić szefem? Na czele zespołu, jeżeli już został utworzony, powinien stać ktoś starszy, z trzy razy większym doświadczeniem. Gliński, Bondaruk albo jakiś inny, wicie, rozumiecie, fachowiec - specjalista. Ty jesteś pięknoduch i dobry człowiek, bez żadnych politycznych układów. Na mój nos, ktoś cię chce udupić. I to jest właśnie to, co mi się nie podoba.

Ta sama myśl męczyła Tyszkiewicza od momentu, w którym dostał nominację.

- Problem last but not least czwarty: morderca. Całkiem możliwe, że mamy do czynienia z zawodowym kilerem. Powiedz mi, co takiego przeszkrobał pan Wicherek, że zajął się nim zawodowiec? Nic mu nie

41

ukradł ani się na nim nie mścił, bo za co niby mścić się na Wicherku? A ilu jest na rynku morderców zabijających nożem, i to w taki sposób? Ilu umie zniknąć bez śladu? Ja sobie żadnego nie mogę przypomnieć. Przeważnie wszyscy wałą z pistoletu, kałacha albo podkładają bombę. Co więc zostaje?

- KGB - mruknął Tyszkiewicz.

- O kurwa, człowieku, że też na to nie wpadłem. Mi chodzili po głowie kosmici. Bez jaj. Wersję o zemście byłej żony, czy tam akcie samoobrony, jeśli wolisz, można między bajki włożyć. Pomijam fakt, że takie rozrywkowe panienki przeważnie nie są aż tak zdesperowane; żeby zlecić zabójstwo, trzeba mieć jaja. Postraszyć, może zlecić pobicie, ale nie zabić. To jest droga bez odwrotu. Panienska ma za dużo do stracenia. Więc odpada moim zdaniem.

- Zatem mamy wniosek, że Wicherka zabił zawodowca, nie mając do tego najmniejszego powodu, na zlecenie żony, która nie ma jaj, aby wydać takie zlecenie.

- Właśnie. Jesteś na właściwym tropie. Co robimy?

- Prześwietlamy pana Wicherka na wylot. W jego życiu tkwi odpowiedź na pytanie, kto zabił i dlaczego.

- Poważnie? Myślałem raczej o tym, że powinieneś złożyć rezygnację. Tu, teraz i natychmiast.

- Naprawdę tak myślisz? - Jeszcze wczoraj Tyszkiewicz rozważał tę opcję całkowicie poważnie.

- Serio. Nic dobrego z tego nie wyniknie. Tylko kłopoty.

- Uwielbiam kłopoty.

- Wiem. Jesteś ostatni osioł.

- Rozważny się znalazł.

Krzepkowski westchnął. Namawianie Jakuba do rezygnacji było zwykłą stratą czasu.

- Przynajmniej bądź ostrożny.

- Będę. A ty mi pomożesz nie robić głupstw.

- O Jezu. Dobra. Posłuchaj mnie uważnie - Krzepkowski spochmurniał. Jakub zadarł głowę, aby spojrzeć mu prosto w oczy. - We dwóch, dobra?

- Szpicel?

- Nie tylko. Cała sprawa śmierdzi na kilometr.

To dogłębne stwierdzenie zawisło w powietrzu. Sekretarka naczelnika wzywała ich na spotkanie.

42

Gdy przekroczyli próg, uderzyło w nich zimno.

Widoczność pogorszyła się znacznie. Pędzony wiatrem śnieg, padający skośnie, tworzący zasy i przedziwne formy małej architektury na dachach, wiatkach przystankowych i kioskach z gazetami, pokrywał ziemię grubą na metr, falującą, zmrożoną skorupą. Temperatura wolno, ale nieuchronnie spadała, tego ranka osiągając dwadzieścia sześć stopni poniżej zera. Połączenie mrozu i wiatru powodowało, że ludziom zaczynało brakować tchu. Zimno bezlitośnie atakowało każdy nie dość starannie zakryty kawałek ciała.

Zuzanna przeszła przez drzwi pierwsza, toteż wzięła na siebie cały impet pierwszego uderzenia. Zachwiała się lekko, z pewnym wysiłkiem opanowała próbującą się wyrwać klamkę. Tolak wyciągnął rękę, aby przytrzymać drzwi, ale Zuzanna prychnęła lekceważąco i wyszła na zewnątrz. Komisarz poszedł w ślad za nią. Brnęli przez parking gęsiego, niemal po kolana w śniegu. Choć do auta nie było dalej niż pięćdziesiąt metrów, Tolak poczuł się wyczerpany. Nigdy nie narzekał na kondycję, zwłaszcza ostatnio znajdował się w świetnej formie, ale ten marsz naprawdę go zmęczył. Po Zuzannie, osłoniętej szalem i wciśniętą głęboko narciarską

czapką, niewiele dało się poznać.

W końcu dobrnęli do samochodu. Wysłuzony passat był zasypany śniegiem, choć używano go nie dalej jak dwie godziny temu. Zuzanna z trudem otworzyła drzwi i wsiadła do środka. Za trzecią próbą silnik zaskoczył, chrypiąc i z wyraźnym trudem walcząc ze zgęstniałymi smarami. Tolak został na zewnątrz, przy pomocy szczotki i skrobaczki do lodu próbował uczynić samochód zdatnym do jazdy.

W końcu uznał rezultat za mniej więcej zadowolający, a może pomógł mu w decyzji wyjątkowo silny podmuch wiatru. Wrzucił narzędzia na tylne siedzenie, a sam zajął miejsce obok Zuzanny.

- Cholerna pogoda - mruknął, starając się rozetrzeć policzki. Odkąd odmroził je kilkanaście lat temu podczas dramatycznego zjazdu na nartach, miał z nimi ciągle kłopoty.

- Za zimno? - zapytała Zuzanna uprzejmym tonem. Zgrzytnęła biegiem i dodała gazu. Opony walczyły chwilę ze śniegiem, w końcu mniej więcej złapały przyczepność.

43

- Trochę - przytaknął komisarz, wypuszczając wielki kłęb pary. -A pani nie?

- Nie. Lubię zimno.

Pierwsze osobiste stwierdzenie.

- Pani temperament wskazuje na coś zupełnie przeciwnego

- zaryzykował.

- Nic pan nie wie o moim temperamencie - wydeła policzki - i niech tak pozostanie.

- A może jednak spróbuję się dowiedzieć? - uśmiechnął się. Czyżby pierwszy sukces? Niestety, Zuzanna w ciągu sekundy wyprowadziła go z błędu.

- Wyjaśnijmy sobie jedno, panie Tolak - powiedziała tuż po tym, gdy gwałtownie zatrzymała samochód na chodniku, niemal wbijając go w zaspę. Była zupełnie spokojna. - Jestem koleżanką z pracy i nikim więcej. Nie interesuje mnie, co pan o mnie myśli, i nie chcę słuchać żadnych komplementów. Zrobimy, co mamy zrobić, i za parę dni wróci pan do domu, zapominając o Zuzannie Cehak - „h” wymówiła z przydechem, odrobinę przedwojenną manierą.

- Jeżeli czymś uraziłem, przepraszam. - Zaskoczony? Broń Boże. W głębi ducha spodziewał się czegoś takiego.

- Nie uraził mnie pan, bo jak powiedziałam, mam w dupie, co pan o mnie sądzi.

- Tolak: niezłe miejsce do przechowywania poglądów. Zuzanna: że też muszę tym kretynom wszystko na okrągło tłumaczyć.

- Ograniczamy się tylko do wykonywania obowiązków służbowych. Koniec. Kropka. Jasne?

- Niepotrzebnie się pani tak unosi...

- Nie unoszę się. Wyjaśniam. Następnym wyjaśnieniom nie będzie - powiedziała ostro, po raz pierwszy od początku rozmowy patrząc mu prosto w twarz. Miała zarumienione policzki, ale oczy chłodniejsze niż temperatura na zewnątrz.

- To brzmi jak groźba - Tolak próbował się uśmiechnąć.

- Bo to jest groźba, panie Janie Tolak.

Komisarz uznał, że nie będzie się ustosunkowywał do powyższego stwierdzenia.

Wrzuciła jedynekę i wyjechała na jezdnię. Pozostała droga minęła w całkowitym milczeniu, zakłócanym tylko gwizdaniem wiatru wciskającym się w nieszczelne okna.

44

Sądząc z ruchu na ulicach, sporo mieszkańców stolicy pozostało w domach, starając się bez potrzeby nie tracić kalorii. Gdzieniegdzie przemykały pojedyncze autobusy i samochody, nie przekraczając trzydziestu kilometrów na godzinę, co zresztą często i tak okazywało się nie dość dużą ostrożnością. Co kilkaset metrów na poboczach i chodnikach stały w najrozmaitszych konfiguracjach rozbite samochody, nad którymi kierowcy stracili panowanie. Pługi śnieżne i piaskarki, nielicznie reprezentowane, wynurzały się z zadymki, błyskając żółtymi, ostrzegawczymi lampami, i wyglądały tak samo bezradnie, jak pozostali uczestnicy ruchu.

Silnik passata parokrotnie zakrztusił się, za każdym razem podejmując pracę z coraz większym wysiłkiem. Mimo to Zuzanna prowadziła pewnie, zręcznie omijając zaspę i nie dopuszczając do ślizgania się opon. Była skupiona, nie okazywała zniecierpliwienia żółtym tempem jazdy, ręce zdecydowanie operowały biegami i kierownicą. Tolak przyglądał jej się kątem oka, starając się nie dawać pretekstu do następnej lekcji. Kulił się z zimna. Ogrzewanie w leciwym aucie nie działało zbyt dobrze.

Myślał.

Kim jesteś Zuzanno Cehak? Interesująca z ciebie kobieta, nawet bardzo. Image a la ostra suka, gotowa do bitki przy byle okazji. Pancernik? Pewnie. Ale co pod spodem? Żeby było śmieszniej, jesteś dobrą policjantką i wygląda, że ci zależy. Twoje dokonania są imponujące. Łapiesz bandytów, czynisz świat lepszym, chociaż bronisz się przed nim ze wszystkich sił. Ktoś cię zna prywatnie? Nikt. Jeśli byli tacy, zginęli z przegryzionym gardłem. Nikt nie ma zielonego pojęcia, jaka jesteś, poza tym, że nie znosisz chłopców, co nawiasem mówiąc, chłopców tym bardziej podnieca. Przy twoim wyglądzie większość facetów uważa, że ta fobia jest zwykłym zawracaniem głowy, bo przecież takie ciało nie może się marnować i pozostać niedosiężne.

Niedostępność i ostre maniery kręcą facetów jak cholera, w tym niestety, kurwa, mnie, co ciebie, jak widać, tym bardziej doprowadza do furii.

Tolak zamyślił się głęboko. Nie usłyszał, że obiekt jego zainteresowania coś mówi, i to najprawdopodobniej od pewnego czasu.

- Słucham? - otworzył oczy. Zuzanna cmoknęła niecierpliwie.

- Już pan skończył z dupy wydrapany portret psychologiczny mojej skromnej osoby? Mówiłam, że zaraz będziemy na miejscu. Pewnie nie

45

zdołamy podjechać pod dom, bo droga stała się nieprzejezdna, a nie chcę się na dobre zakopać. Da pan radę przejść dwieście metrów? - pytanie zostało zadane bez ironii, ale ironia była niepotrzebna. Zuzanna nie brała pod uwagę nawet zwykłego rozejmu.

4.

Tyszkiewicz wyszedł od szefa umiarkowanie poruszony i umiarkowanie zły.

Spodziewał się ataku i zgodnie z oczekiwaniami atak nastąpił, a jakże. Co go zaskoczyło? Skład komisji egzaminacyjnej. Oprócz szefa, czyli naczelnika Wydziału do walki z Terrorem Kryminalnym i Zabójstw, za stołem konferencyjnym zasiedli

komendant stołeczny, pierwszy zastępca komendanta głównego oraz wiceminister z resortu odpowiedzialny za policję. Tyszkiewicz, czując się jak na egzaminie i nadrabiając miną, zdał szczegółowy raport z dotychczasowych ustaleń, omówił kolejne kroki zespołu oraz przedstawił hipotezę dotyczącą wynajęcia zabójcy przez byłą żonę ofiary. Nie podkreślał podejrzeń co do fachowości mordercy. Po zakończeniu sprawozdania został wypytany o szczegóły.

W podsumowaniu szef wygłosił szereg twierdzeń odnoszących się do niekompetencji, ślepoty i opieszałości zespołu. Nie przyjął do wiadomości, że zespół pracuje dopiero od wczoraj i zdołał zebrać w tym czasie solidną porcję informacji. Dał do zrozumienia, że dalsza kariera nadkomisarza Jakuba Tyszkiewicza jest ściśle, wręcz nierozzerwalnie (tak się wyraził) związana z szybkością skutecznego zakończenia śledztwa. Mówiąc o szybkości, szef miał na myśli termin przed Bożym Narodzeniem, co Jakub uważał za niemożliwe, nawet w teorii, postanowił jednak nie zdradzać się z wątpliwościami.

Gdy szef w końcu zamilkł, Tyszkiewicz, czując za sobą przychylnie milczenie Krzeptowskiego, zebrał się na odwagę i zadał pytanie dotyczące zasadności powołania specjalnego zespołu śledczego do rozwiązania sprawy zwykłego zabójstwa zwykłego, nikomu nieprzeszkadzającego obywatela. Został poinformowany, że jego wiedza w tym zakresie jest wystarczająca, po czym usłyszał polecenie, by niezwłocznie brał się do pracy.

Ale trafiła kosa na kamień.

46

- Panowie inspektorzy, panie ministrze - powiedział Jakub, kiedy tamci podnosili się już z krzesel. - Nie jestem w stanie pracować na ślepo. Nie powołuje się zespołu śledczego złożonego z najlepszych ludzi po to, aby wyjaśnić zagadkę śmierci jakiegoś pana Wicherka. Robi się to w przypadkach specjalnych, uznaję więc, że ten należy do kategorii specjalnych. Zresztą panów obecność tutaj, w tym właśnie gronie, tylko moje przypuszczenie potwierdza. Nie mając wiedzy na temat prawdziwych przyczyn powołania zespołu, nie będę w stanie prawidłowo wykonywać swoich obowiązków. Jeżeli panowie nie udzielicie mi informacji, tu, w tym pokoju, w tym momencie, składam rezygnację.

Ostatnie zdanie, wbrew intencjom autora, wypadło nieco me-lodramatycznie, ale i tak wywarło odpowiednie wrażenie. Słuchacze nie byli przyzwyczajeni do presji wywieranych przez jakichś gówniarzy.

- Przyczyny nie są istotne dla śledztwa - powiedział naczelnik. Dwaj pozostali jeszcze nie zdążyli ochłonać. Stwierdzenie szefa, potwierdzające obawy nadkomisarza, było małym sukcesem, ale nie wyjaśniało niczego.

- W porządku - powiedział zupełnie spokojnie Tyszkiewicz i otworzył zamkniętą przed chwilą teczkę z dokumentacją śledztwa. Wyjął z niej pojedynczą kartkę papieru z dwulinijkowym tekstem. - Oto moja rezygnacja. Podpisana.

Wyciągnięta ręka zawisła w powietrzu. Nikt nie kwapił się, aby odebrać nieoczekiwany prezent. Szef, gliniarz z dwudziestopięcioletnim stażem, który przeżył już niejednego szefa i niejednego wyszczekanego podwładnego, poczerwieniał. Tuż przed mającym nastąpić wybuchem, przedłużającą się ciszę przerwał wiceminister.

- Niech pan to schowa. Wyjaśnię, w czym rzecz - wypowiedział te słowa tak

cicho, że gwizd wiatru w nieszczelnych framugach stał się doskonale słyszalny. Zarówno on, jak i pozostała trójka ważniaków ponownie usiedli za stołem.

- Ale... - zachnął się zastępca komendanta głównego.

- Myślę, że pan nadkomisarz zasługuje na zaufanie - polityk uśmiechnął się samymi ustami. Reszta rozmówców powstrzymała się od głośnego wyrażenia opinii.

- Natomiast pana komisarza poprosimy o zostawienie nas samych.

47

Krzeptowski westchnął i zaczął wstawać. Tyszkiewicz cmoknął z dezaprobatą, po raz kolejny przygotowując trzech wysokich rangą policjantów o nerwowe tiki twarzy.

- Albo wszyscy, albo nikt. Jesteśmy zespołem i żaden z nas nie pracuje w policji od wczoraj. Umiemy dochować tajemnicy.

Zanim tamci zdołali cokolwiek powiedzieć, wiceminister skłonił lekko głowę i ponownie się uśmiechnął.

- Ma pan duży dar przekonywania. Proszę posłuchać...

Pięć minut później Tyszkiewicz i Krzeptowski byli już na zewnątrz gabinetu, patrząc na siebie z niedowierzaniem.

Wątpliwości. Pytania. Ryzyko.

I strach.

5.

Nim pokonali dystans dzielący ich od samochodu i odczekali dobre dwie minuty pod kutą furtką, wiatr wcisnął pod ubrania solidną porcję mrozu. Usłyszeli brzęczyk, ale zamek był zamrożony, więc furtka ustąpiła dopiero przy trzecim szarpnięciu.

Gdy w końcu znaleźli się na terenie zamienionego w lodową rzeźbę ogrodu, idąc zasypaną ścieżką prowadzącą do domu, marzyli tylko o znalezieniu się w środku, z dala od gwizdzącego w uszach wichru. Do drzwi wejściowych nie musieli się dobijać. Gospodyni otworzyła je, nim Tolak podniósł rękę do dzwonka. Weszli szybko, formalności zostawiając na później.

- Dzwoniłam do pani. Komisarz Cehak. - Zuzanna zdjęła szal i czapkę i zamrugła zmrożonymi powiekami. Nie przejawiała ochoty do dalszego pozbywania się garderoby, jakby nie dowierzając panującej wewnątrz temperaturze.

Stojąca przed nimi kobieta nie oszałamiała urodą - wśród modelek całkiem częste zjawisko - ale z pewnością była niezwykle fotogeniczna, co w tym zawodzie stanowi cechę kluczową. Zuzanna oceniła jednym spojrzeniem figurę, długie kasztanowe włosy i niepokrytą makijażem twarz. Całość uznała za interesującą, choć pozbawioną wyróżniających cech. Szare, obszerne spodnie od dresu i polarowa bluza świadczyły o tym, że gospodyni, nie przejmując się gośćmi, dba przede wszystkim

48

0 komfort i ciepło, uzyskany kosztem elegancji i prestiżu. W domu panowała temperatura daleka od zadowalającej i być może tu tkwiła przyczyna doboru niezbyt reprezentacyjnej garderoby.

Tolak rozejrzał się. Przestronny, urządzone ze smakiem hol - co zaskoczyło komisarza, spodziewał się raczej krzykliwego, nowobogackiego stylu - prowadził

prosto do salonu, w którym dominowały stonowane barwy i przyjemny dla oka minimalizm. Na razie gospodyni

1 jej otoczenie sprawiały pozytywne wrażenie.

Goście usiedli na skórzanej, kremowej kanapie, Patrycja Winiarska zajęła miejsce w fotelu naprzeciwko. Zuzanna prowadziła rozmowę, a Tolak już po pierwszych odpowiedziach eks-żony Wicherka nabrał przekonania, że przesłuchanie jest stratą czasu i nie wniesie do śledztwa niczego nowego. Dziewczyna zachowywała się dokładnie tak, jak powinna zachowywać się osoba, która zdaje sobie sprawę z faktu, że figuruje na czele listy podejrzanych. Była zalekniona - widać było, że miała po raz pierwszy do czynienia z policją we własnym domu - i niepewna swoich racji. W głębi duszy targała nią złość, urażona godność niewinnie podejrzanej. Odpowiadała jednak pewnie, nie starając się kluczyć czy kłamać. Swoje pożycie z Wicherkiem określiła jako pomyłkę, jednak wyrażała się o nim z sympatią, szacunkiem dla osiągnięć naukowych, a nawet niezbyt silnie eksponowaną, ale zauważalną czułością. Ona nie nadaje się na zlecniodawczynię morderstwa, pomyślał Tolak. Raczej poprosiłaby któregoś ze swoich znajomków-kochanków o przemówienie nieszczęsnemu mężowi do rozumu. Wicherka nie był typem twardziela, parę wyraźnie wyartykułowanych sugestii z pewnością zniechęciłyby go do prób zemsty. Komisarz pomyślał z niesmakiem, że tu w ogóle nie ma żadnego motywu. W którąkolwiek stronę.

Jednak Zuzanna nie dawała za wygraną. Dociskała gospodynię do ściany, z satysfakcją odnotowując niejasności w zeznaniach. Skonfrontowana z opiniami znajomych dotyczącymi szczegółów życia intymnego, modelka spojrzała wyzywająco na Zuzannę i bez mrugnięcia okiem potwierdziła to, co już wiedzieli. Dodała jednak, że działo się to za obopólną zgodą, Wicherka wręcz inspirował kolejne przygody.

Mówiła krótkimi, jasnymi zdaniami. Nie sprawiała wrażenia, że kłamie, czy stara się omijać niewygodne fakty. Nie uciekała wzrokiem,

49

nie miała nerwowych tików, nie pstrykała długopisem. Patrzyła Zuzannie prosto w oczy. Tolak pomyślał, że jest w niej jakaś desperacja, jakieś trudno uchwytnie szaleństwo, nadal jednak uważał, że nie mają przed sobą typu morderczyni. Nie potrafił sobie wyobrazić, jakim sposobem doszło do tego, że ona i Wicherka zostali małżeństwem - niechby i dwuletnim.

Zuzanna drażyła temat rozwodu, gospodyni odpowiadała bez wahania. Uwagę komisarza zwróciło jednak, że od pewnego czasu przestała bać się Zuzanny - on sam nie odzywał się, więc obie kobiety zgodnie go ignorowały - zaczęła się natomiast z zacięciem jej przyglądać. Coś nie dawało jej spokoju i komisarz był skłonny wiele dać, aby dowiedzieć się co.

W końcu Zuzanna z trzaskiem zamknęła notes, mruknęła: „nie za wiele się od pani dowiedzieliśmy”, i wstała.

- Gdyby przypomniawszy pani sobie cokolwiek, co uzna za ważne, proszę o telefon
- Tolak wręczył gospodyni wyciągniętą zza pazuchy wizytówkę. Chociaż odezwał się

po raz pierwszy w tych murach, Winiarska nawet na niego nie spojrzała. Wzięła prostokątny kartonik i niedbałym gestem rzuciła go na szklany blat klubowego stolika.

Zuzanna nie zwróciła uwagi na tę scenę, ruszyła już w stronę holu.

- Dobrze - powiedziała po dłuższej chwili gospodyni i w ułamku sekundy, w niemal niezauważalnym mgnieniu oka, komisarz nabrał pewności, że jego komórka, której numer wyraźnie widoczny był na wizytówce, zadzwoni wkrótce, może nawet dzisiejszego dnia.

Pożegnali się i wyszli.

G.

Podkomisarz Antoni Smotrycz przygryzł wargi. Czuł, że jest bardzo blisko. Nie mógł jednak zdecydować: zwycięstwa czy całkowitej katastrofy. Specjalny program deszyfrujący, od wczorajszego popołudnia próbujący uporać się z otwarciem folderu z prywatnego komputera Bartosza Wicherka, sygnalizował dziewięćdziesiąt pięć procent wykonania zadania. Po konsultacjach, na których podkomisarz spędził część nocy i cały dzisiejszy poranek - udzielone mu na zebraniu pozwolenie było tylko zasłoną dymną, ponieważ o pozwolenie nigdy nie pytał, tylko starał się osiągnąć cel, z czego zresztą Jakub doskonale

50

sobie zdawał sprawę - zastosował parę zabezpieczeń utrudniających wirusowi sformatowanie dysku, w razie gdyby ów wirus uznał, że do folderu stara się dostać ktoś obcy.

Gdy program przeliczał terabajty danych, próbując dojść właściwego hasła (właściwie sekwencji haseł), Smotrycz zajął się przeglądaniem korespondencji Wicherka, uprzednio drukując sobie wszystkie e-maile. Jednak od treści wynurzeń meteorologa adresowanych do byłej żony i jej nader lakonicznych odpowiedzi, podkomisarza bardziej zainteresowało to, czego w poczcie nie było. Przynajmniej na pierwszy rzut oka.

Kolejny program skanujący wykrył bowiem skasowanego e-maila. Data i godzina stworzenia tej wiadomości, wysłania, a następnie skasowania jej spowodowały, że Smotrycz gwizdnął cicho. Wystukał polecenie, ściągnął e-mail na twardy dysk swojego komputera i kolejny program zajął się otwieraniem wiadomości.

Zerknął na drugi ekran, na którym migwały liczby. Dziewięćdziesiąt osiem procent. Zaraz się dowiemy, co są wariaci moi przyjaciele hakerzy, pomyślał.

Choć pracował ciężko, postronny obserwator mógłby odnieść wrażenie, jakby Smotrycz po prostu siedział i gapił się w ekran.

Poczuł napięcie, ale wiedział, że to normalny stan. Nie umiał - i chyba nie chciał - traktować pracy z czysto profesjonalnego punktu widzenia. Był myśliwym, który przede wszystkim kochał tropienie i dopadanie ofiary. Żywej. Nienawidził, całym swoim jestestwem nie znosił, nader zresztą rzadkich wypadków, kiedy ofiara, tuż przed złapaniem, popełniała samobójstwo.

Dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Meta blisko, ostatnia prosta.

Pisnął komputer zajmujący się e-mailem. Smotrycz spojrzał na ekran.

- Mam cię, robaczku - uśmiechnął się, ale po przeczytaniu informacji wygenerowanej przez program spochmurniał. Nabrał niemal stuprocentowej

pewności, że otwieranie służbowego komputera Wicherka okaże się wpuszczeniem pary w gwizdek.

Zadzwoiła komórka. Porzucił próby stworzenia sobie jakiegoś spójnego obrazu tego, czego się przed chwilą dowiedział, i wcisnął zielony guzik.

- Cześć. Mówi Jadwiga - przez telefon miała jeszcze przyjemniejszy głos niż w realu, choć jakość przekazu telefonii komórkowej jest przecież daleka od jakości muzycznego studia nagraniowego.

51

- Czołem. Umawiamy się na wieczór? - zapytał. Żadnych szans na sukces, ale całodobowa gotowość do prób. Jadwiga powodowała u niego stan wzmożonej mobilizacji.

- Staszek by cię zabił - odparła pogodnie, dając do zrozumienia, że orientuje się w namiętnościach, z którymi borykają się członkowie zespołu.

- Chyba, że ja go zabiję pierwszy. Wiesz, uderzenie uprzedzające.

- No dobrze, zabij go i nie zwracajcie mi obaj głowy. Mam coś dla ciebie.

- O! Już drzę.

- Słusznie. Znalazłam pendrive" a - dopiero teraz Smotrycz oprzytomniał i uświadomił sobie, że Jadwiga prosto z zebrania pojechała do mieszkania Wicherka. - Bardzo głęboko schowanego. Użyłabym nawet określenia „sprytnie”.

- Niech zgadnę. W koszu na brudną bieliznę?

- Czy wy wszyscy musicie być tacy dowcipni? Nie, nie w koszu na brudną bieliznę.

-Nie?

- A ponieważ był tak dobrze schowany, można się domyślać, że zabójca go przeoczył - Jadwiga zignorowała pytanie. - Interesuje cię to?

Spojrzał na ekran komputera deszyfrującego plik. Aplikacja wesołymi, kolorowymi literami informowała go, że rozpoczął się proces formatowania twardego dysku.

Smotrycz spoważniał.

- Bardzo. Nawet nie wiesz jak bardzo - powiedział przez zaciśnięte zęby.

- Chyba wiem. Posyłam go radiowozem. Może znajdziesz coś ciekawego.

- Dzięki. Jesteś kochana.

- Wiem. Powodzenia.

Rozłączył się. Nie udało się otworzyć zaszyfrowanego folderu - to, że stracił resztę danych z dysku, nie miało znaczenia, ponieważ wcześniej je skopiował - nie udało się również otworzyć jego ewentualnej kopii na komputerze służbowym, ponieważ sprawę tę załatwił wysłany w e-mailu wirus.

I tak dowiedział się sporo. Wychodził z założenia, że w pewnych okolicznościach interesujące są również informacje, których nie udało się zdobyć. Mogą pomóc w ustaleniu kierunku poszukiwań. A Smo-

52

trycz nabierał pewności, że kierunek ten powinien być zupełnie inny od założonego dotychczas.

Dla formalności otworzył komputer służbowy. Proste hasło złamał w pięć minut. Na dysku było wszystko - wykresy, mapy satelitarne, kolumny liczb, wyniki badań.

Treść była niemal bliźniaczo podobna do zawartości komputera domowego.

Wicherek miał zwyczaj - błogosławiony dla śledczych - robienia kopii wszystkich plików, nad którymi pracował. Ale, choć podkomisarz szukał bardzo dokładnie, nie udało mu się natrafić na ślad tajemniczego folderu. Wirus był sprytny. Nie zniszczył całej zawartości dysku, a tylko jedną wybraną aplikację. Na pierwszy rzut oka wszystko było w porządku - ciężko jest dojść, czego na dysku nie ma, jeśli nie posiada się wiedzy, co powinno się na nim znajdować. Smotrycz tę wiedzę miał. Pozostaje zatem pytanie, dlaczego zabójca pozwolił tę wiedzę osiąść i po prostu nie wyczyścił dysku prywatnego komputera, zacierając wszystkie ślady? Nieuwaga? Czy działanie celowe?

Smotrycz zamyślił się głęboko. Tak głęboko, że nie usłyszał pukania do drzwi.

7.

- Spójrz za okno.
- Nie muszę.
- Zimno.
- Odkrywcze. Trzeba paru lat praktyki w policji, żeby do tego dojść.
- Mówię serio. Zimno. I coraz zimniej - Jakub dawno nie widział

Krzeprowskiego tak poważnego. - Ja jestem góral. Przepowiadanie pogody mam we krwi. I wiesz, co mi moja krew podpowiada?

- Że będzie zimno?
- Gówno. Że będzie ciepło. Że jest ciepło, a ma być ciepiej. Cała zima ma być łagodna.

Jakub zachichotał.

- Brawo. Zawsze mówiłem, że nadmiar marketingu pomieszał wam w głowach.
- Głupiś. Rozejrzyj się. Ja mówię, że ma być ciepło, a jest zimno, jak dawno nie było. Chyba przed wojną były takie zawieje.

53

-1 zamiecie. No, więc pomyliłeś się.

- Ja się nigdy nie mylę. Coś jest nie tak.

Tyszkiewicz spojrzał na niego uważnie!

- A Wicherek był... ..meteorologiem. Panem od pogody.

Rzeczywiście.

- To tylko zbitka skojarzeniowa - zastrzegł się Krzeptowski. - Ale tak się zastanawiam...

- Karkołomne. Bo co by to mogło oznaczać? •

Krzeprowski chciał coś odpowiedzieć, ale w kieszeni Jakuba rozległ się riff „Smoke on the Water”. Tyszkiewicz westchnął, przewrócił oczami, wyraźnie sugerując, co myśli o natrętach przerywających poważne, służbowe rozważania, po czym odebrał połączenie. Przez chwilę słuchał, poważniejąc.

- Wracamy do firmy - powiedział po zakończeniu rozmowy.

- Coś się stało?

- Owszem. Śledztwo nabrało pierwszej prędkości kosmicznej.

Wysiedli ze służbowej octavii, skuleni przebiegli przez dziedziniec

komendy i z ulgą wpadli do jasno oświetlonego holu. Panował zwykły ruch, ani

trochę niekojarzący się ze świąteczną atmosferą. Kręcący się po korytarzach

policjanci swetrami, polarowymi bluzami i dodatkowymi marynarkami narzucanymi

na mundur dawali wyraźnie do zrozumienia, że nad służbową elegancją przedkładają komfort termiczny i utrzymanie ciepłoty ciała. Ta garderobiana pstrokaczna sprawiała nieco niepoważne wrażenie, przez głowę Jakuba przemknęło nawet podejrzenie, że znalazł się w holu górnej stacji kolejki linowej na Kasprowym Wierchu.

Kasprowy... Wspomnienia sprzed roku przemknęły przez głowę Jakuba niczym wicher. Odgonił je, nie miał czasu o tym myśleć.

Wdrapali się na drugie piętro, Krzeptowski wstukał kod dostępu i znaleźli się w biurze zespołu. Smotrycz siedział samotnie przy największym biurku, zawłaszczając dla swoich potrzeb dwie trzecie przydzielonych zasobów komputerowych.

- Co jest? - Jakub powiesił kurtkę na wieszaku, ale szybko się zorientował, że poniosła go brawura. W pokoju było nie więcej niż dwanaście stopni. Smotrycz zdawał się w ogóle nie zwracać na to uwagi.

- Mam sporo różnych niusów. Same złe. Które chcecie najpierw?

54

WLL» 0

- Te złe. Mów, jesteśmy uodpornieni.

- Wątpię.

Krzeptowski zaczął trzaskać czajnikami i kubkami. Tak czy siak gorąca kawa, czy raczej to, co ją udawało, nie mogła zaszkodzić.

- Zacznę od początku, chociaż najfajniejsze jest na końcu i w zasadzie to, co jest na początku, jest w świade tego, co na końcu, zupełnie nieistotne.

- Logiczne. Acz nieco niejasne - zauważył pogodnie Tyszkiewicz. Pomimo braku postępów śledztwa i wieści przekazanych mu podczas spotkania z szefami był w świetnym humorze. Jeszcze przez minutę.

- TWardy dysk prywatnego komputera Wicherka został sformatowany.

-Nie dało się...?

- Nie dało się. Miałem najlepszy program do odczytu danych i do otwierania zaszyfrowanych i zamkniętych hasłami plików. Delikatny jak muśnięcie motyla. Nie poradził sobie. Najpierw całą treść dysku skopiowałem, oprócz najważniejszego folderu, bo ten się nie dawał skopiować. Potem zacząłem otwierać ten folder. Dysk się sformatował, więc folder straciłem. Po drugie, ze skrzynki e-mailowej Wicherka, o dwudziestej trzeciej zero sześć dwudziestego pierwszego grudnia, ktoś wysłał e-maila. Z kolejnym wirusem, profilowanym. Wirus ten zniszczył bliźniaczy folder, tak samo zresztą oznaczony, na komputerze służbowym Wicherka. Potem tego e-maila skasował. Służbowy komputer nam także nic nie powie, bo nie ma na nim niczego ciekawego, z wyjątkiem może paru pikantnych wiadomości do byłej żony. Mogę wam pokazać wydruki, jeśli jesteście ciekawi.

- Jak cholera. Mów dalej - warknął Tyszkiewicz. Już się nie uśmiechał. Był pełen złych przeczuć.

- Na szczęście, albo nieszczęście, Wicherka był zapobiegliwy i zrobił kopię na pendrive~ ie, który ukrył w mieszkaniu. I tego pendrive" a znalazła Jadwiga.

- Super.

- Nie sądzę. Odczytałem treść folderu. Był zamknięty hasłem, ale dość prostym - zamilkł, jakby zastanawiając się, jak im przekazać najnowsze wieści.

- No dajże spokój, mów chłapie, bo na serce umzemy - zawołał Krzeptowski, aż echo poszło po turniach.

- W zasadzie powinniście sami przeczytać. Ale to jest dość długie.

55

- No mówże, do cholery. Bo ci przykopię.

- Służę waszmości. Tylko żeby potem nie było na mnie - zaczerpnął tchu, po czym machnął ręką w kierunku okna. - Widzicie to tam? Zimno, nie? Wiatr i mróz, i w ogóle. Zima. No więc, chłopaki, to jest dopiero maleńka przygrywka, preludium zaledwie. Jesteśmy na plaży Copacabana. Według pana Wicherka jutro, najpóźniej pojutrze weźmiemy udział w pasjonującym widowisku typu światło i dźwięk, polegającym na tym, że syberyjskie mrozy przyjdą do nas z wizytą, po czym pomnożą się przez dwa. Jeszcze mocniej sypnie śniegiem -to jest między innymi ta anomalia, bo jak jest zimno, najczęściej nie pada - ciśnienie spadnie, że uśniemy na stojąco, a wiatr z rzadka osiągnie sto kilometrów na godzinę, bo na ogół będzie większy.

Zamilkł. Choć pomieszczenie było małe, Jakubowi wydawało się, że jakieś echo powtarza ostatnią frazę wypowiedzianą przez Smo-trycza. Informacja była na razie zbyt przytłaczająca, aby ogarnąć konsekwencje.

- Prognoza pogody? - w końcu udało mu się sformułować pytanie. Spojrzał bezradnie na Krzeptowskiego, jakby łudząc się, że się przesłyszał i komisarz wyprowadzi go z błędu. - Mówimy o prognozie pogody?

- Raczej przepowiedni apokalipsy - rzeczowym tonem odparł Smotrycz.

Milczenie. Zimno. Bulgot elektrycznego czajnika.

- Jaki zasięg ma mieć ta zima? - Krzeptowski przejął pałeczkę. Zawsze miał większą od Jakuba zdolność racjonalizowania faktów.

- Diabli wiedzą. Połowę Europy obejmie na pewno. On nazywa to nowym złodowaceniem.

- Ciekawe. Podał przyczyny?

- Podał. Wskutek ocieplenia...

- Oszalałeś?

- Nie ja. To świat oszalał. Wskutek ocieplenia zważyło się do morza trochę lodu na Antarktydzie. Od tego lodu oziębi się - czy raczej już się oziębił - ciepły prąd Golfstrom, coś jakby kaloryfer Europy. Jak wyłączy się kaloryfer, nastąpią mrozy. Tyle zrozumiałem. W tym raporcie jest sporo liczb i wykresów, jak dla mnie mogłyby być pisane po chińsku. Ale sens chyba złapałem prawidłowo.

- Słyszałem o tej teorii. Jakiś Angol kiedyś na to wpadł - mruknął Krzeptowski.

56

- No więc to nie są nieznane sprawy. Nie wyskoczyły nagle. Ja też słyszałem o jakimś raporcie przygotowanym dla Pentagonu, gdzie jeden ze scenariuszy przewidywał taką możliwość. Dlaczego nikt

0 tym nie mówi? Dlaczego nie trąbią o tym media? Wszystkie instytuty meteo są głuche i ślepe? - Tyszkiewicz bronił się przed złymi wieściami. Szukał luk i nielogiczności. Świat za oknem podpowiadał, że nadaremnie.

- Polityka - wzruszył ramionami Smotrycz. - Pokaż mi szefa państwa, który

wychodzi przed kamery i oznajmia, że od jutra czy pojutrze będzie nocą siedemdziesiąt stopni mrozu, a w dzień, jak się ociepli

1 słońeczko przyświeci, tylko pięćdziesiąt pięć. Że napada trzy metry śniegu przez pierwszy tydzień. Że będzie wichur, który zniszczy wszystko na swojej drodze. Widzisz takiego? Przecież by się bał, że przegra następne wybory...

- Pieprzenie - Krzeptowski skrzywił się z niesmakiem. - Może i polityków takich nie ma. Ale naukowcy powinni o tym trąbić na lewo i prawo. Czy nikt inny nie wpadł na to? Nikt inny nie przewidział, że nadchodzą wielkie mrozy? Wszyscy oprócz Wicherka byli ślepi? Amerykanie, Rusczy, Europa Zachodnia? CNN, TVN i kto tam jeszcze?

- Nikt nie miał na tyle odwagi, aby stawiać sprawy kategorycznie - powiedział Smotrycz. Na razie jeszcze analizował wszystko na, nomen omen, zimno, jak naukowiec ustosunkowujący się do odkrycia innego naukowca. - Rewolucyjność raportu Wicherka polega na tym, że najpierw przeprowadził rzeczową analizę zjawisk, a potem postawił jednoznaczne wnioski: tego i tego dnia, na tym i na tym obszarze nastąpią takie to a takie warunki pogodowe, temperatura spadnie do takich to a takich wartości, a wiatr będzie zapierdalał jak pershing na wysokości lamperii - Krzeptowski i Tyszkiewicz nawet się nie uśmiechnęli, choć w normalnych warunkach filmowe wstawki Smotrycza niezmiennie ich bawiły. - Facet dał gotowy scenariusz zjawisk i opisał szczegółowo konsekwencje, a na koniec pokusił się o przedstawienie wstępnej listy środków zaradczych.

- Może się mylić. Najczęściej prognozy pogody są nic niewarte.

- To nie jest prognoza. To przepowiednia. Na razie sprawdza się co do joty. Do siódmego miejsca po przecinku.

Rozmowa znowu utknęła. Tyszkiewicz poczuł się kompletnie wyczerpany.

57

- A te konsekwencje? - zapytał po dłuższej chwili Krzeptowski, chociaż przecież nie musiał pytać. Konsekwencje można łatwo przewidzieć.

- Kilka metrów zlodowaciałego śniegu spowoduje paraliż komunikacyjny. Stanie lotnictwo - chyba nawet już stoi, słyszałem w radiu komunikat, że loty zawieszono, ze względu na wiatr - kolej, samochody, wszystko, co chcecie. Będą wysiadać elektrociepłownie, elektrownie i gazociągi, co spowoduje brak ciepłej wody. I zimnej zresztą też. I ogrzewania. I światła. Wszystko pozamarza na kamień. Brak wody i ogrzewania spowoduje, że ludzie będą padać jak muchy.'

- Kurczę, to jakiś absurd - wybuchnął Tyszkiewicz. - Przecież, jeśli wierzyć raportowi, za tydzień nie będzie tego państwa i połowy obywateli.

- E tam, zaraz połowy - Smotrycz konsekwentnie trwał przy ironicznym spojrzeniu na rzeczywistość. - Może dwudziestu procent. Wicherka pisze o dwudziestu procentach.

- To i tak siedem i pół miliona ludzi.

Zamilkli. Tym razem na dobre trzy minuty. Wiatr walił w szyby i gwizdał ponure kantaty w nieszczelnych framugach. Ktoś dobijał się do drzwi, po czym odszedł, klnąc głośno. Lampa zamrugła parę razy.

Tyszkiewicz podszedł do okna. Chociaż nie minęło południe, na zewnątrz panował półmrok. Widoczność nie przekraczała pięćdziesięciu metrów. Z trudem dostrzegali

stojące na parkingu samochody i rozpaczliwe zmagania kilku załóg radiowozów, próbujących uruchomić służbowe pojazdy.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego zginął Wicherek - powiedział cicho, nie odwracając się.

Obaj współpracownicy docenili zmianę tematu. Każdemu potrzebna była chwila oddechu.

- Może go jednak zaciukała żona-modelka-nimfomanka - rzucił w przestrzeń Krzeptowski.

- Sam w to nie wierzysz.

- Nie bardzo.

- Dobra, panowie. Koniec improwizacji - rzekł Jakub, odwracając się. Przez te parę minut poszarzał na twarzy. - Musimy ustalić, co wiemy na pewno, co zakładamy z dużą dozą prawdopodobieństwa i co robimy dalej. Okej? Uwagi mile widziane. Jedziemy?

Krzeptowski i Smotrycz zgodnie skinęli głowami.

5

- A te konsekwencje? - zapytał po dłuższej chwili Krzeptowski, chociaż przecież nie musiał pytać. Konsekwencje można łatwo przewidzieć.

- Kilka metrów zlodowaciałego śniegu spowoduje paraliż komunikacyjny. Stanie lotnictwo - chyba nawet już stoi, słyszałem w radiu komunikat, że loty zawieszono, ze względu na wiatr - kolej, samochody, wszystko, co chcecie. Będą wysiadać elektrociepłownie, elektrownie i gazociągi, co spowoduje brak ciepłej wody. I zimnej zresztą też. I ogrzewania. I światła. Wszystko pozamarza na kamień. Brak wody i ogrzewania spowoduje, że ludzie będą padać jak muchy.

- Kurczę, to jakiś absurd - wybuchnął Tyszkiewicz. - Przecież, jeśli wierzyć raportowi, za tydzień nie będzie tego państwa i połowy obywateli.

- E tam, zaraz połowy - Smotrycz konsekwentnie trwał przy ironicznym spojrzeniu na rzeczywistość. - Może dwudziestu procent. Wicherek pisze o dwudziestu procentach.

- To i tak siedem i pół miliona ludzi.

Zamilkli. Tym razem na dobre trzy minuty. Wiatr walił w szyby i gwizdał ponure kantaty w nieszczelnych framugach. Ktoś dobijał się do drzwi, po czym odszedł, klnąc głośno. Lampa zamrugła parę razy.

Tyszkiewicz podszedł do okna. Chociaż nie minęło południe, na zewnątrz panował półmrok. Widoczność nie przekraczała pięćdziesięciu metrów. Z trudem dostrzegał stojące na parkingu samochody i rozpaczliwe zmagania kilku załóg radiowozów, próbujących uruchomić służbowe pojazdy.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego zginął Wicherek - powiedział cicho, nie odwracając się.

Obaj współpracownicy docenili zmianę tematu. Każdemu potrzebna była chwila oddechu.

- Może go jednak zaciukała żona-modelka-nimfomanka - rzucił w przestrzeń Krzeptowski.

- Sam w to nie wierzysz.

- Nie bardzo.

- Dobra, panowie. Koniec improwizacji - rzekł Jakub, odwracając się. Przez te parę minut poszarzał na twarzy. - Musimy ustalić, co wiemy na pewno, co zakładamy z dużą dozą prawdopodobieństwa i co robimy dalej. Okej? Uwagi mile widziane. Jedziemy?

Krzepkowski i Smotrycz zgodnie skinęli głowami.

5

- A te konsekwencje? - zapytał po dłuższej chwili Krzepkowski, chociaż przecież nie musiał pytać. Konsekwencje można łatwo przewidzieć.

- Kilka metrów zlodowaciałego śniegu spowoduje paraliż komunikacyjny. Stanie lotnictwo - chyba nawet już stoi, słyszałem w radiu komunikat, że loty zawieszono, ze względu na wiatr - kolej, samochody, wszystko, co chcecie. Będą wysiadać elektrociepłownie, elektrownie i gazociągi, co spowoduje brak ciepłej wody. I zimnej zresztą też. I ogrzewania. I światła. Wszystko pozamarza na kamień. Brak wody i ogrzewania spowoduje, że ludzie będą padać jak muchy.'

- Kurczę, to jakiś absurd - wybuchnął Tyszkiewicz. - Przecież, jeśli wierzyć raportowi, za tydzień nie będzie tego państwa i połowy obywateli.

- E tam, zaraz połowy - Smotrycz konsekwentnie trwał przy ironicznym spojrzeniu na rzeczywistość. - Może dwudziestu procent. Wicherek pisze o dwudziestu procentach.

- To i tak siedem i pół miliona ludzi.

Zamilkli. Tym razem na dobre trzy minuty. Wiatr walił w szyby i gwizdał ponure kantaty w nieszczelnych framugach. Ktoś dobijał się do drzwi, po czym odszedł, klnąc głośno. Lampa zamrugła parę razy.

Tyszkiewicz podszedł do okna. Chociaż nie minęło południe, na zewnątrz panował półmrok. Widoczność nie przekraczała pięćdziesięciu metrów. Z trudem dostrzegał stojące na parkingu samochody i rozpaczliwe zmagania kilku załóg radiowozów, próbujących uruchomić służbowe pojazdy.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego zginął Wicherek - powiedział cicho, nie odwracając się.

Obaj współpracownicy docenili zmianę tematu. Każdemu potrzebna była chwila oddechu.

- Może go jednak zaciukała żona-modelka-nimfomanka - rzucił w przestrzeń Krzepkowski.

- Sam w to nie wierzysz.

- Nie bardzo.

- Dobra, panowie. Koniec improwizacji - rzekł Jakub, odwracając się. Przez te parę minut poszarzał na twarzy. - Musimy ustalić, co wiemy na pewno, co zakładamy z dużą dozą prawdopodobieństwa i co robimy dalej. Okej? Uwagi mile widziane. Jedziemy?

Krzepkowski i Smotrycz zgodnie skinęli głowami.

- Przyjmuję, że raport to prawda. Chętnie bym go uznał za bujdę, ale widoczki za oknem jakoś mi pomagają uwierzyć. No więc dla mnie sprawa wygląda tak: Wicherek odkrył, że jutro nastąpi w naszym pięknym kraju koniec świata. Sporządził raport. Zabezpieczył go hasłami. Ktoś dowiedział się o raporcie. Przyszedł do

Wicherka, zaciukał go, wprowadził do komputera wirus formatujący dysk w razie nieautoryzowanego otwarcia, po czym wysłał e-maila z drugim wirusem niszczącym taki sam folder na komputerze służbowym. Zrobił to w taki sposób, że równie dobrze można podejrzewać, że to Wicherek miał hyzja na punkcie bezpieczeństwa i sam pozabezpieczał pliki. Gdyby nie trup, niczego byśmy się nie domyślili. Zabójca posprzątał mieszkanie, ale przeoczył pendrive'a. Pytanie pierwsze: jaki związek ma raport z zabójstwem? Pytanie drugie: czy pendrive został przeoczony, czy specjalnie pozostawiony przez zabójcę? Może treść pliku z komputera i z pendrive'a to dwie różne rzeczy? Pytanie trzecie: jaki związek z tym wszystkim ma fakt, że Wicherek był bliską rodziną pana prezydenta? - Smotrycz gwizdnął cicho. Każdy z członków zespołu domyślał się czegoś w tym rodzaju, ale wyartykułowana przez nadkomisarza informacja, otrzymana przed godziną od wiceministra spraw wewnętrznych, potwierdziła obawy, że mają do czynienia ze sprawą polityczną. Sprawą Polityczną. Sprawą, Kurwa Mać, Polityczną. - A precyzyjnie: pani prezydentowej. Z Pałacu idą naciski na jak najszybsze rozwiązanie sprawy i ujęcie sprawcy. Pytanie czwarte: co robimy dalej?

- Wicherek zginął, bo wiedział za dużo - zaczął ostrożnie Krzeptowski po dłuższej chwili milczenia.

- Niewątpliwie. Zgadzam się. Ale przyznacie, że to źle brzmi: facet zginął, bo wiedział za dużo o pogodzie.

- To nie jest zwykła prognoza pogody, przyznasz.

- Nie jest - warknął Tyszkiewicz.

- Wszystko jest logiczne, tylko nic się kupy nie trzyma - ciągnął Krzeptowski. - Dlaczego Wicherek nikomu nie pokazał raportu? Przecież, o ile jest prawdziwy, rzeczywiście nastąpi apokalipsa. Całe państwo się zawali. Powinien trąbić o swoim odkryciu na lewo i prawo. Jeśli tego nie zrobił, powinien sobie uświadamiać, że taki manewr odbędzie się kosztem śmierci milionów ludzi, którzy w tej chwili beztrudnie się przygotowują do świąt, a powinni na wyprzódki kupować

59

żeliwne kozy, ciepłe kołdry i opał. Nie wyczytałem w jego dossier, żeby miał jakieś socjopatyczne odchylenia czy terrorystyczne skłonności...

- On nie - mruknął Smotrycz.

- Słucham? - zapytał Jakub. Smotrycz wyraził myśl, która kłuła się już od pewnego czasu w umyśle nadkomisarza, tylko nie mógł jej precyzyjnie sformułować.

- On był tylko naukowcem, który przygotował raport. Na przykład na zlecenie.

Mogło być tak: ktoś, może jakaś grupa ktosiów, ma w planach coś brzydkiego.

Przypadkiem, albo i nie przypadkiem, dowiaduje się o przepowiedniach Wicherka.

Zamawia szczegółowy raport, jednocześnie nakazując ścisłą tajemnicę. Raport

zostaje sporządzony i przekazany ktosiowi, któremu wnioski się podobają, ale nie jest pewny utrzymania tajemnicy, wysyła więc zabójcę, aby uciszył Wicherka po wsze czasy. Ślady po raporcie zostają zniszczone, z wyjątkiem pendrive'a. To by wyjaśniało, dlaczego zabójca był zawodowcem.

- Ale nie wyjaśnia, dlaczego zniszczył pliki w taki sposób, że dodaliśmy dwa do dwóch. I przeoczył pendrive'a.

- Może zabrakło mu czasu. Jeżeli chodzi o pliki na obu komputerach liczył na to,

że się nie domyśliliśmy, że przy nich manipulował. W końcu zabezpieczenia mogły być pomysłem Wicherka. Wszystko poskładaliśmy, bo znaleźliśmy kopię raportu. Gdyby nie to, kręcilibyśmy się dalej dookoła własnego ogona. A jutro lub pojutrze i tak wszystko szlag trafi.

- Fajna teoria - powiedział po chwili Krzeptowski. - Tylko powiedz mi, do czego komuś może być potrzebny raport o anomalii pogodowej?

- No, zatajenie tej informacji spowoduje chaos w państwie. I może właśnie o to chodzi. Raport ma datę sprzed tygodnia. Tydzień to sporo, jak się chce coś brzydkiego przygotować. A tego tygodnia zabraknie władzom, aby podjąć kroki zapobiegawcze.

- Dobra - Tyszkiewicz już ich właściwie nie słuchał. - Wdepnęliśmy w dużą sprawę, panowie. Bardzo dużą. Jak dla mnie za dużą. Idę do szefa. Aha, Antoś...

- Przecież wiesz, że nie znoszę...

- No dobrze. Antek...

- Trochę lepiej...

- Czy Wicherek wypowiedział się na temat czasu trwania tej katastrofy? Czy zostaniemy już na zawsze przykryci kilometrem lodu?

BO

- Nie. Założył, że to jest pierwsze uderzenie, jakby rekonesans, bo nie cały lód Antarktydy się stopił. Anomalia potrwa może tydzień. Raczej krócej. Przed Nowym Rokiem powinno się ocieplić. Do minus dwudziestu.

Tyszkiewicz zignorował pełen ironii ton wypowiedzi. Wziął z biurka wydruk raportu i wyszedł z pokoju.

8.

Komisarz ledwie usłyszał dźwięk dzwonka. Silnik warczał, wiatr za szybą wył, Zuzanna klęła pod nosem. System ogrzewania w leciwym passacie wysiadł, albo może pracował, ale nie radził sobie z tak wymagającymi zadaniami, więc Tolak marzył coraz bardziej. Zgrabiłymi rękoma wyciągnął z kieszeni komórkę. Display pokazywał numer, który komisarz widział na oczy po raz pierwszy w życiu.

- Halo?

- Mówi Patrycja Winiarska - usłyszał daleki głos. Połączenie było złe, trzaski, szumy i zanikanie dźwięku sprawiały trudności w zrozumieniu rozmówcy. - Czy jest pan sam?

-Nie.

- Zadzwoń pan do mnie?

-Tak.

Trzasnęło i połączenie zostało przerwane. Samochodem zarzuciło, chociaż Zuzanna utrzymywała prędkość niewiele większą od zwykłego marszu.

- Niech mnie pani wysadzi. Mam jeszcze coś do załatwienia.

- Trafi pan? - Zuzanna oczywiście rozumiała, że nagła przerwa we wspólnej podróży spowodowana jest odebraniem przed chwilą połączeniem, ale miała to gdzieś. Zapytała, bo uznała, że komisarz oczekuje reakcji w tym stylu.

- Trafie. To niedaleko.

Wruszyła ramionami, czego zresztą Tolak pod grubą kurtką nie dostrzegł, po czym

zatrzymała samochód. Komisarz wyskoczył, starając się, aby drzwi były otwarte jak najkrócej. Przebiegł kilkanaście metrów w stronę najbliższego budynku. Gdy się odwrócił, nie dostrzegł już tylnych świateł samochodu. Ulica wyglądała jak wymarła.

Skulony, zasłaniając twarz kołnierzem kurtki, dotruchtał do pierwszej z brzegu klatki schodowej. Domofon był popsuty, więc bez przeszkód znalazł się w środku. Było nieco cieplej, ale przede wszystkim oddzielił się barierą szklanych drzwi od posepnego wycia wiatru. Wybrał numer ostatniego połączenia. Usłyszał kobiecy głos już po pierwszym dzwonku.

- Komisarz Jan Tolak. Dzwoniła pani przed chwilą.
- Pana koleżanka rozmawiała ze mną, jakbym już była oskarżona - powiedziała bez żadnych wstępów. Było ją słyhać lepiej niż za pierwszym razem. - Jakbym to ja go zabiła...

Zwierzenia. Najwyraźniej zastosowany u Winiarskiej system „dobry policjant, zły policjant” zadziałał prawidłowo. Tolak był tym dobrym.

- Chce mi pani coś powiedzieć?
- Dwie sprawy. A właściwie trzy. Ta trzecia na końcu.

Logiczne. Trzecia powinna znajdować się po pierwszej i drugiej.

- Słucham.

-Mój mąż... mój były mąż - ponownie usłyszał w jej głosie coś na kształt czułości. Ale może się mylił. - Ostatnio zachowywał się dziwnie. Był jakby... przestraszony. Poruszony. My... po rozwodzie utrzymywaliśmy przyjacielskie stosunki, wcale nie byłam taką heterą, jak sugeruje pana koleżanka. Często do mnie dzwonił albo pisał. Dzielił się różnymi swoimi myślami. Wie pan, on był dość dziwny, miał duszę dziecka, ale był najmądrzejszym człowiekiem, jakiego spotkałam w życiu.

Tolak pomyślał, że biorąc pod uwagę środowisko, w którym obracała się Patrycja Winiarska, nie było wielką sztuką uchodzić za geniusza.

- No więc, dlaczego się pani rozwiodła? - nie interesowało go to, ale chciał, żeby mówiła.

- Wtedy byłam pewna. Teraz nie wiem. Dwie różne prędkości życia, dwa różne charaktery... - zamilkła na dłuższą chwilę. Tolak był pewien, że wątek zostanie rychło porzucony i szybko się okazało, że miał słuszność. - Parę dni przed morderstwem przyszedł do mnie. Był bardzo podniecony, takiego go jeszcze nie widziałam. Błagał, abym wyjechała.

- Wyjechała? Gdzie? Z jakiego powodu? - komisarz był odrobinę zaskoczony.
- Nie powiedział z jakiego. Chciał, żebym spakowała się i poleciała na południe Europy, a najlepiej jeszcze dalej: do Meksyku, na Kubę albo do Australii. Nalegał.

- Odmówiła pani?

- Oczywiście. Mam masę pracy. Kontrakty. Zobowiązania.

- Jasne - Tolak to rozumiał. Pięć minut sławy nie trwa wiecznie. -Czy powiedział coś jeszcze?

- Był natarczywy. Twierdził, że grozi mi wielkie niebezpieczeństwo, że nastąpi katastrofa. Nie chciał powiedzieć nic ponadto. Miałam wrażenie, że jemu też coś grozi i nie może więcej zdradzić. W pewnym momencie wybuchnął: „I tak

powiedziałem więcej, niż powinienem. Wyjedź. Mnie już pewnie nic nie uratuje".

- Czy sprawiał wrażenie, że się czegoś boi?

- Na pewno o mnie. A o siebie...? Możliwe. Nie wiem. Raczej tak. Wyglądał, jakby ktoś zabronił mu mówić.

- A ta druga informacja?

- Jakies trzy tygodnie temu, może nieco więcej, na początku grudnia, albo pod koniec listopada, spotkałam go w kawiarni. Właściwie nie spotkałam, tylko widziałam. On mnie nie poznał. Byłam incognito, przebrana. Udzielałam wywiadu do jednego z magazynów, a nie znoszę, jak paparazzi zaglądają mi do kawy - Tolak uśmiechnął się bezgłośnie do słuchawki, ale nie skomentował. - Mój mąż siedział dwa stoliki dalej z jakimś mężczyzną. Obserwowałam ich, mam podzielną uwagę. Tamten człowiek był elegancki, przystojny, widać było po nim pieniądze. Zresztą mój mąż sam by nigdy do tej knajpy nie poszedł, nie stać go. Rozmawiali ze dwadzieścia minut. Poszłam do toalety. Gdy przechodziłam obok ich stolika, usłyszałam, jak tamten mówi: „To jest bardzo ważne. Najważniejsze w pana życiu”.

- To mógł być kolega z pracy.

- Nie. Znam większość jego kolegów. Wiem, jak wyglądają i jak się zachowują. To nie ten typ. To był ktoś... ważny. A co śmieszne, dziwnie mówił. Tak jakby... - zawahała się - był cudzoziemcem. Mówił świetnie po polsku, ale miał jakby leciutki obcy akcent. Ale może się mylę.

- To bardzo ciekawe. Rozpoznała pani rodzaj akcentu?

-Nie.

- Da pani radę opisać tego człowieka?

- Siedział, więc nie wiem, ile miał wzrostu, ale wydaje mi się, że był dość wysoki. Około pięćdziesiątki. Przystojny, szatyn. Oczy piwne. Nos prosty. Ciemny zarost. Garnitur Hugo Boss, koszula ze spinkami.

- Ma pani fotograficzną pamięć - pochwalił ją.

- Taki zawód. Spostrzegawczość jest dość istotna.

- Gdybym przysłał do pani policyjnego rysownika, pomoże nam pani sporządzić portret pamięciowy tego'mężczyzny?

- Chyba tak.

- Chyba?

- Wie pan, jest jeszcze ta trzecia sprawa... - tym razem wahanie było znacznie dłuższe.

- Nie pomogę, jeśli nic nie wiem.

- Cóż... chodzi o pana koleżankę...

9.

- Jak tam zdrowie, panie komisarzu?

Henio Niespodziany zdębiał. Spodziewał się telefonu, ale przecież, do cholery, był w pracy. Czy tym ludziom obilo się o uszy słowo „dekspiracja”?

- Dobrze - bąknął.

- To świetnie. Mam dla pana zadanie.

- Nie...

- Bez obawy, ta linia nie jest podsłuchiwana.

Henio przełknął ślinę. Dwaj przechodzący korytarzem policjanci pozdrowili go hałaśliwie.

- Wiem. Ale nie sądzę, by...
- Och, tym razem to nic takiego. Trochę informacji. Zasady bez zmian, plus oczywiście świąteczna premia. Spotka się pan ze mną? Za godzinę?

Henio ponownie przełknął ślinę. Tym razem głośniej.

- Tam gdzie zwykle? - zapytał w końcu.
- Będę czekał.

10.

Dojechanie do komendy zajęło Zuzannie prawie dziesięć minut, choć od miejsca, w którym wysadziła Tolaka, nie było dalej niż pół kilometra. Śnieg pokrywał jednak ulice coraz grubszą warstwą, wiatr

64

* fi

I

rozwiewał go, wydzierając nieraz powierzchnię do samego asfaltu, gdzie indziej natomiast formując zaspę na metr i więcej wysokie. W kilku miejscach spadły i roztrzaskały się świetlne, świąteczne dekoracje. Służby miejskie jeszcze się nie poddawały: gdzieś błyskały żółte koguty piaskarek i pługów, na ulicach dało się także zauważyć ludzi z łopatami. Radio podawało oględne komunikaty i sygnalizowało pewną poprawę pogody, począwszy od jutrzejszego poranka.

Zuzannie na kilometr pachniało to świątecznym optymizmem.

Zaparkowała samochód na niewielkim, w miarę oczyszczonym kawałku chodnika.

Wjazd na parking był nieprzejezdny: w ogromnej, co najmniej dwumetrowej zaspie tkwił radiowóz. Wokół niego kręciło się kilku zmarzniętych policjantów, usiłujących wypchnąć pojazd na mniej zasypany teren. Wyglądało to na syzyfową pracę - bez wyciągarki z pewnością się nie obejdzie.

Zuzanna westchnęła, okręciła się szalem, wcisnęła na uszy czapkę i wysiadła z samochodu. Wiatr zachwiał nią, ale mimo to miała wrażenie, że jest nieco słabszy niż rano. Po chwili była pewna - łatwiej i szybciej stawiała kroki, nie musiała walczyć o utrzymanie równowagi. Weszła do oświetlonego holu, machnęła ręką stojącemu na warcie, wyraźnie zziębniętemu funkcjonariuszowi i różnym krokiem poszła do biura zespołu. Wystukała kod na panelu kontroli dostępu, kiwnęła głową wpatrzonemu w ekran Smotryczowi i rozejrzała się po pokoju.

- Reszta gdzie? - zapytała, pozbywając się szala, czapki, rękawiczek i grubej, puchowej kurtki.

- Jadwiga w mieszkaniu denata. Krzeptowski nie wiem gdzie. Henio zniknął. A Kuba u szefa.

- Znowu? Czy jeszcze nie przyszedł z tamtego spotkania?

- Znowu. Są nowiny.

-Jakie?

- Gdzie Tolak? - odpowiedział pytaniem na pytanie. - Zostawiłaś go w zaspie?

- Jeszcze nie zasłużył, choć bardzo się starał. Jakie nowiny?

-Złe.

Nie znosiła protekcjonalnego traktowania.

- Mów - warknęła. Nie wyszło to najlepiej, jeszcze miała zeszywniałe wargi, ale Smotrycz i tak zrozumiał, że nadciąga burza.

65

Streścił jej odkrycia dzisiejszego przedpołudnia. Mówił krótko, ale przekazał wszystko, co istotne. Na koniec zostawił wieść o tym, kim dla prezydenta był Wicherek. Ta ostatnia informacja nie zrobiła na Zuzannie żadnego wrażenia. W odróżnieniu od poprzednich.

Nie czekając na koniec sprawozdania, machnęła ręką, że już nie słucha, i wyskoczyła na korytarz. Wcisnęła się w najdalszy kąt i wyciągnęła komórkę. Numer tej karty SIM nie figurował w żadnych dostępnych rejestrach. Wybrała numer znajdujący się na czele listy książki telefonicznej. Oznaczony jako „aa”. Po czterech sygnałach połączenie zostało odebrane.

- To ja - powiedziała cicho. - Możesz rozmawiać?

- Nie powinnaś dzwonić - usłyszała. Głos po drugiej stronie, choć niewyraźny i daleki, spowodował, że zaczęła drżeć.

- Wiem - odpowiedziała z wysiłkiem. - Znasz najnowsze wieści?

-O?

- Pogodzie?

- Nie. Poza tym, co widzę za oknem. Co się stało?

- O Boże! - Zuzanna westchnęła ciężko. - Trochę się wszystko komplikuje.

Bardzo bym chciała cię zobaczyć.

- To nie jest dobry pomysł.

- Wiem. Smutno mi. Brakuje mi ciebie.

- Mnie też. Czasami - głos po drugiej stronie zabrzmiał melancholijnie. - Co nie zmienia faktu, że nadal to nie jest dobry pomysł.

Zuzanna poczuła pieczenie pod powiekami.

- Martwię się o ciebie. Chciałabym być z tobą.

- Wiem. Ja... chyba też. Ale mam się kim zająć. Ty także masz się kim zająć.

Czyli pieprz się, Zuzanno, pomyślała z goryczą.

- Trzymaj się.

- Do widzenia. Wesołych świąt.

- Wzajemnie.

Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale połączenie zostało przerwane. Chwilę oddychała głęboko, zastanawiając się, czy uda jej się opanować. Udało się. Z najwyższym trudem. Czasami te pieprzone sztuki walki do czegoś się przydają.

Osoba znajdująca się pod drugim numerem również przyprawiała ją o drżenie serca. Z zupełnie innego powodu.

- Cześć, mamó - powiedziała.

- Dzień dobry, Zuzanno - głos jak zawsze, oprócz chrypy wywołanej paleniem dwóch paczek papierosów dziennie, zawierał w sobie potężną dawkę oficjalnej sztywności. I dystansu.

- Jak się czujesz?

- Dobrze.

- A Zosia?
- O co pytasz, konkretnie?
- Mamo, proszę cię... - zamknęła oczy, próbując się opanować. Wojna. Permanentna i totalna. Bez brania jeńców. Bez szans na zwycięstwo. - Pytam o to, jak minęła noc i dzisiejszy poranek. Jak Zosia się czuje. I czy niczego wam nie potrzeba.
- Już południe - w głosie matki trudno się było dopatrzeć pretensji, ale była tam, tkwiła jak cierń. Zuzanna miała ochotę krzyczeć.
- Posłuchaj, mamo - powiedziała z wyczuwalnym w głosie wysiłkiem. Wiedziała, że nie powinna się wdawać w polemikę. To zawsze kończyło się źle. - Nadchodzi zła pogoda. Bardzo zła. Czy masz w domu zapasy jedzenia? Koce? Kołdry? Świece?
- Jedzenia mam tyle, co na święta - odparła matka. Nie wydawała się poruszona. Nie zapytała o nic.
- Bardzo cię proszę, poproś panią Brożkową, niech zaopiekuje się Zosią przez godzinę. A ty weź wszystkie pieniądze, jakie masz w domu, i zrób zapasy żywności. Konserwy, mąka, ryż, mięso. Ile dasz radę przynieść. Jeżeli możesz, idź dwa razy. Ja postaram się przyjechać niedługo, przywiozę wam resztę. I zwrócę ci pieniądze.
- Jutro Wigilia. Przygotowuję świąteczną kolację - zabrzmiało to w taki sposób, jakby Boże Narodzenie było w tej rodzinie czasem radosnego przeżycia duchowego.
- Mamo... Wigilia jest ważna... bardzo ważna nawet, ale... - nie bardzo wiedziała, jak skończyć.
- Czy coś się stało? - po raz pierwszy Zuzanna usłyszała w głosie matki zainteresowanie. Nieznaczne.
- Tak. Stanie się jutro. Będzie bardzo zimno. Ogromna ilość śniegu...
- W radiu mówią o ociepleniu...
- Mamo, spójrz za okno - wybuchnęła w końcu. - Tak wygląda ocieplenie? Nie. A to dopiero początek.

67

- Nie podnoś głosu. Nie życzę sobie takiego tonu. Zuzanna zamknęła oczy.
 - Przepraszam - udało jej się to powiedzieć. Nieźle. - Zrób to, o co cię proszę, dobrze? Błagam. Nadała swemu głosowi takie brzmienie, jakie matka chciałaby zapewne słyszeć na co dzień. Sygnał został odczytany właściwie.
 - Dobrze. Poproszę panią Brożkową. O której przyjedziesz?
 - Postaram się wyjść z pracy w ciągu godziny. Potem spędzę trochę czasu na zakupach. Drogi są słabo przejezdne. Trzy godziny? Cztery? Postaram się jak najszybciej.
 - Dobrze. Bądź jak najszybciej - trzask.
- Koniec.
- Zuzanna poczuła się bardziej wyczerpana niż po wczorajszym sparingu z Krzeptowskim.

11.

- O moją koleżankę?
- O komisarz Cehak.

- Tak? - Tolak poczuł się jak pies gończy, który uchwycił trop.
- W sumie nie wiem, czy powinnam panu o tym mówić. Z jednej strony to może nie mieć żadnego znaczenia. Z drugiej... w końcu jesteście z jednej firmy... - wahała się. Ale powie. Po to dzwoni.

Tolak milczał.

- Widziałam już panią Cehak. Może miesiąc temu.
 - Pani komisarz spotyka wielu ludzi. Na tym między innymi polega jej praca.
 - No, ale niekoniecznie w tym miejscu.
 - Cóż to za miejsce?
 - Słyszał pan o klubie „Orlando”?
 - A powinienem?
 - Jeżeli nie zetknął się pan z nim zawodowo, a nie sądzę, aby tak było, mógł pan nie słyszeć. Ten klub raczej się nie reklamuje. A nawet wprost przeciwnie. Zależy mu na dyskrecji.
 - No, przyznaję, nie słyszałem.
- Zarejestrował jakiś niewyraźny dźwięk. Kaszel? Śmiech?

- Pana koleżanka przysłała tam przed północą, o najlepszej porze. Porze transferów.

- Transferów? - nie był pewien, czy dobrze usłyszał.

Winiarska zignorowała pytanie.

- Byłam tam w większym towarzystwie, zajmowaliśmy łożę blisko wejścia, bo część moich znajomych miała transfer na widoku. Ja zresztą też miałam. Zabawa trwała, było sporo niezłego towaru, wieczór zapowiadał się jako udany. I wtedy weszła ona. Rude włosy, niemal do pasa. Zielone, skośne oczy. Wysoka. Figura jak z Photoshopa. Nogi do sufitu. Czarny obcisły golf bez rękawów i nic pod spodem, czarne obcisłe spodnie, czarne buty na obcasie. Srebrna biżuteria, bardzo dyskretna, srebrne kolczyki. Ani grama tłuszczu, ani grama silikonu, ani grama botoksu. Czyste mięśnie i krok pantery. Była wyższa niż większość facetów. Niech mi pan wierzy, sala zamilkła.

- Pani komisarz nie jest ruda. I ma krótkie włosy. Nie nosi srebrnych kolczyków
- wiedział, że to, co mówi, nie ma żadnego znaczenia. Patrycja Winiarska opisała Zuzannę. Gdy Zuzanna wchodzi do sali, z reguły sala milknie.

- Proszę pana, charakterystyka jest częścią mojego zawodu. To była pani Cehak. Na pewno.

Tolak myślał intensywnie. Usłyszane informacje pasowały do przypuszczeń, ale nie pasowały do założeń.

Jedźmy dalej.

- To wszystko?

- Pani komisarz spędziła godzinę przy barze. Sporo osób próbowało startować, ale odbijały się jak od ściany. Wyszła parę minut po pierwszej. W towarzystwie najlepszej na sali dziewczyny, równie zgrabnej, choć z pewnością niedorównującej jej urodą. Obejmowały się.

Strzał w dziesiątkę. Tylko nie do tej tarczy.

Zwłaszcza jeżeli komisarz Zuzanna Cehak robiła takie rzeczy w ramach swoich

obowiązków służbowych.

- Proszę pani, co to za kjob?

- Najbardziej ekskluzywne w Warszawie targowisko. Giełda. Rynek. Może pan tam znaleźć każdego, dziewczynkę, chłopca, czarną, białą, żółtą, nieletnią albo nieletniego. W najlepszym gatunku. Z gwarancją czystości. Bez ryzyka. Na poziomie. Ze znajomością języków. Na stałe albo na raz. Może pan tam zmienić swoje życie albo zmienić życie

69

innym. Wszystko w doborowym, kulturalnym towarzystwie. Żadnych gangsterów, żadnych nowobogackich, żadnego obciachu. I dyskrecja na najwyższym poziomie.

- A ta dziewczyna, z którą wyszła Zu... pani Cehak? Znają pani?

- Widziałam ją ze dwa razy. Wolny strzelec. Dwa fakultety, trzy języki obce. Bi.

- Słucham? - jestem policjantem, do cholery. Czemu się dziwię?

- Bi. Lubi i chłopców, i dziewczynki.

-1 pani komisarz wyszła z nią.

- Tak.

- Zna pani jej adres?

- Takie dziewczyny nie ogłaszają się w internecie. Są dyskretne. Nie mam jej adresu.

- A ktoś z pani znajomych ją zna?

- Popytam, jeśli panu zależy.

-Bardzo proszę. Zadzwoń jeszcze dzisiaj. Ostatnie pytanie. Czy pani Cehak panią widziała?

- Nie sędzę. Siedziała przy barze, nie zwracała uwagi na salę ani na loże.

Upolowała tę dziewczuszkę i wyszły. Zresztą dzisiaj nie zachowywała się, jakby mnie znała, prawda?

- Rzeczywiście. Rozumiem. Zadzwoń w sprawie dziewczyny. I przyślę rysownika.

- Proszę spróbować. Aha, jeszcze jedno...

-Tak?

- Musi pan coś jeszcze wiedzieć o tym klubie...

Komisarz słuchał przez pół minuty, po czym pożegnał się i z ulgą zakończył rozmowę. Oparł się o ścianę i zamknął oczy. O Jezu! Czasami zdarzały się sytuacje, kiedy usilnie starał się czegoś dowiedzieć, a potem, po uzyskaniu pożądanej informacji, żałował, że w ogóle zapytał.

Czasami bardzo żałował.

Wybrał numer dyżurnego i poprosił o połączenie z Sekcją Technik Audiowizualnych.

Jej szefowi w kilku zdaniach wyłuszczył prośbę. Facet protestował, Tolak nalegał.

Tak, teraz, sprawa nie może czekać. Wiem, że macie urwanie głowy, a babka mieszka daleko, ale bardzo mi zależy na sporządzeniu jak najdokładniejszego portretu pamięciowego. Nie macie transportu? Pożyczcie coś, co jeździ. Chciałbym

portret mieć na dziś wieczorem. Tak, dobrze pan słyszał, komisarzu, na dziś. No dobrze, pójdę na kompromis. Jutro rano. Zrobicie to, czy mam niepokoić komendanta? Okej, nie musi pan mnie kochać, mam to gdzieś. Podaję numer komórki i e-mail, proszę mi portret przesłać drogą elektroniczną. Tak, panie komisarzu, serdecznie dziękuję za współpracę i w razie gdybyśmy się nie widzieli, życzę wesołych świąt.

Z ulgą się rozłączył i westchnął głęboko. Coś okropnego. Świat zaludniony jest dupkami ponad przyzwoitość.

Wystukał następny numer. Odezwał się nagrany komunikat. Tolak wypowiedział do mikrofonu osiem liczb. Po pięciu sekundach połączenie zostało odebrane.

- Tolak. Numer dziewiętnaście, trzydzieści sześć, zero trzy.

- Mów.

- Dwa tropy...

W klatce wionęło mrozem. Drzwi wejściowe otworzyły się i do środka weszło dwóch mężczyzn. Gdy Tolak cofnął się, aby ich przepuścić, przelotnie zerknął na twarze. Choć ukryte były pod daszkami bejsbo-lówek, w półmroku korytarza udało mu się dostrzec grubo ciosane rysy i więzienny tatuaż pod okiem pierwszego z nich. Przeszli gęsiego, rozrośnięci w barach, wysocy.

Tolak przerwał połączenie w sposób oznaczający alarm.

Już mieli zniknąć na schodach, gdy drugi odwrócił się i podszedł do Tolaka, nadal trzymającego komórkę w ręku.

- Czekasz na coś? - Pytanie? Skąd. Warknięcie psa szkolonego do walki.

-Nie.

- Szukasz czegoś?

-Nie.

- To wypierdalaj. Nie lubimy tu obcych.

Tolak nie dyskutował. Skinął głową, schował komórkę do kieszeni i wyszedł na zewnątrz. Szedł przez kilkanaście metrów, zdając sobie sprawę, że jest obserwowany. Gdy uznał, że zniknął już w zadymce, zatrzymał się. Zerknął przez ramię. Bloku niemal nie było widać. Odczekał minutę, po czym zawrócił. Ostrożnie, trzymając się ściany, podszedł do klatki, którą przed chwilą opuścił. Rozpiął suwak kurtki, pozwalając wiatrowi hulać bezkarnie po góralskim swetrze. Wyciągnął

71

glocka, zaciągnął z powrotem suwak i uchylił drzwi na tyle, by się bez szmeru prześliznąć. Światło na klatce było zgaszone. Postąpił chwilę, by przyzwyczaić wzrok do półmroku. Ruszył przed siebie. Gumowe podeszwy ułatwiały skryte podejście. Zaczął się wspinać na schody. Przez bicie serca usłyszał szmery i stuki dochodzące z wyższego piętra. Schody były dwubiegowe. Na podeście półpiętra dobiegające z góry hałasy usłyszał znacznie wyraźniej. Był już niemal u celu.

Odetchnął bezgłośnie i czterema szybkimi susami pokonał ostatnich kilkanaście stopni. Jego nowi znajomi stali przy drzwiach na wprost, jeden z nich pochylony był nad zamkiem. Drugi z mężczyzn, niedawny rozmówca, zareagował szybko.

Usłyszawszy kroki, podniósł się i zaczął sięgać za pazuchę. Tolak stanął na piętrze,

podniósł broń na wysokość oczu i krzyknął:

- Policja! Nie ruszać się!

Tamten był głupi albo zbyt ufał własnym umiejętnościom. Wyjął pustą rękę z za pazuchy, ale jednocześnie skoczył w stronę komisarza, odbijając się z lewej nogi. Był szybki i potężny, zderzenie z pewnością nie skończyłoby się dobrze. Tolak uskoczył w prawo i uderzył przelatującego obok przeciwnika w głowę lufą pistoletu. Mocno. Najmocniej, jak potrafił. Z doświadczenia wiedział, że na poprawki przeważnie nie ma drugiej szansy

Mężczyzna kwiknął i pokoziołkował w dół.

W tym czasie drugi z zespołu, spec od zamków, natarł na Tolaka, próbując uderzyć go trzymanym w rękę narzędziem: połączeniem młotka z łomem. Komisarz sparował cios, po czym znowu użył pistoletu w charakterze maczugi. Tamten uchylił się, więc uderzenie nie doszło, dźgnął za to żelazem na wprost. Tolak nie miał na sobie kamizelki, toteż pchnięcie, pomimo kilku grubych warstw ubrania, odczuł boleśnie. Gdy napastnik zamachnął się, aby uderzyć od góry w głowę zgiętego z bólu policjanta, ten odskoczył i po raz pierwszy od rozpoczęcia bójki użył pistoletu zgodnie z przeznaczeniem.

Huk był ogłuszający, powiększony dodatkowo ciasnotą klatki schodowej i jej powykręcaną akustyką. Echo kilkakrotnie powtórzyło odgłos wystrzału. Kula uderzyła w ścianę, odbiła się od niej i z gwizdem poleciała na wyższe piętro. Facet wrzasnął ze strachu. Niezbędnik włamywacza brzęknął o podłogę i poturlał się do stóp komisarza.

Tolak mało humanitarnym gestem pchnął złodzieja na ścianę, wykręcił tyłem do siebie, kopem rozstawił nogi do całkiem szerokiego

72

rozkroku, czym wywołał głośny jęk. Przeszukał go szybko. Broni nie było, w każdym razie nie znalazł jej. Na nadgarstku lewej ręki zatrzasnął obrączkę wyciągniętych z kieszeni kajdanek, szarpnął, po czym przykuł jęczącego i klnącego głośno faceta do bariery schodów.

Zszedł na półpiętro, gdzie właśnie podnosił lekko nieprzytomną głowę drugi z napastników. Tolak dla pewności ponownie uderzył go pistoletem, tym razem używając kolby. Odgłos był głuchy i przyprawiający o mdłości. Szarpnął faceta za kołnierz kurtki i pociągnął w górę, do kolegi. Odpiął bransoletkę od bariery, przełożył łańcuszek przez poręcz, po czym zatrzasnął na przegubie nieprzytomnego. Przeszukał go, wyciągnął z za pazuchy starą tetetkę. Czując w ręce jej solidny ciężar, spocił się jeszcze bardziej, choć na klatce było naprawdę zimno.

Obaj włamywacze tworzyli malowniczą kompozycję, spoczywając w niewygodnych pozycjach, z wyciągniętymi i wykreconymi ramionami przykutymi do schodów. Tylko jeden, ten ogłuszony wystrzałem, mógł się skarżyć, kląć i narzekać. I robił to. Tolak pokazał legitymację policyjną wychylającej się z za drzwi roztrzęsionej staruszce, wykręcił numer dyżurnego, podał swój numer służbowy i złożył meldunek. Tak, poczeka na przybycie patrolu. Nie, zeznania złoży później. Adres? Zamenhofa 5, pierwsza klatka.

Zziębnięty patrol pojawił się kilka minut później. Tolak przekazał im oba zarekwirowane złodziejom przedmioty, w kilku zdaniach streścił przebieg zdarzenia,

obiecał stawić się przed śledczym w celu złożenia obszernych zeznań, spojrzął po raz ostatni na obu złodziei i zszedł na dół. Ponownie wykrecił numer, podał ośmiocyfrowy kod. Po czym rzucił do słuchawki:

- Tolak. Numer dziewiętnaście, trzydzieści sześć, zero trzy.
- Włączyłeś kod alarmu.
- Odwołuję. Trzy, jeden, zero, dwa.
- Mów. Nie skończyłeś raportu.
- Mam dwa tropy. Pierwszy idealnie pasuje do profilu. Komisarz Jakub Tyszkiewicz...

Raport nie zajął mu więcej niż pięć minut. Jego rozmówca nie odezwał się ani słowem. Dopiero gdy Tolak umilkł, głos po drugiej stronie linii powiedział:

- Przyjąłem. Ktoś się tobą interesował. Sprawdzał dane. Bardzo szczegółowo.
- Znalazł coś?
- Nie wiemy. Był sprytny. Umiał się maskować. Pracujemy nad IP komputera, którym się posługiwał.

Tolak skrzywił się. Pięknie.

12.

-Antoni...

Smotrycz o mało nie spadł z krzesła. Był zamyślony tak głęboko, że nie usłyszał, kiedy Zuzanna znalazła się z powrotem w pokoju. Wpatrywał się w ekran, próbując dojść cech profilowanego wirusa, który umiał niszczyć wybrane aplikacje na wybranym komputerze.

Zuzanna nigdy się tak do niego nie zwracała. Szczerze mówiąc, mógł sobie przypomnieć najwyżej ze trzy przypadki na przestrzeni ostatnich pięciu lat - odkąd dołączył do składu ekipy Wydziału do walki z Terrorem Kryminalnym i Zabójstw Komendy Stołecznej Policji - kiedy komisarz Cehak zwróciła się do niego bezpośrednio. Zawsze były to oficjalne formułki, zmrożone przez wyraz oczu i sposób artykulacji do temperatur bliskich zeru absolutnemu. Toteż teraz nawet nie starał się ukryć zaskoczenia.

- Czy należysz do ludzi dyskretnych? - oczy tym razem patrzyły czujnie, ale bez zwykłej wrogości. Rany boskie, jeszcze chwila i ona się uśmiechnie, pomyślał Smotrycz. Nie zwrócił uwagi na przedwojenną formę pytania.

- Oczywiście. Do pewnych granic, rzecz jasna - czuł, że się czerwieni. Wyszło to gorzej niż źle.

-Nie pytam o te granice. Chcę... chcę cię poprosić, abys coś dla mnie sprawdził. O ile to nie będzie kłopot.

Kłopot? Zuzanna Cehak nie chce sprawiać kłopotu? Spojrział na nią z zaciekawieniem. Śniada cera była odrobinę bledsza niż zwykle. Niewiele. Ale jednak.

- Zależy, co chcesz, abym sprawdził.
- Jan Tolak, Komenda Miejska, Kraków.

Patrzyła mu prosto w oczy. Bez żadnego wahania, żadnych wątpliwości, że prośba jest czymś niezwykłym czy niezgodnym z procedurą, chociaż należała przecież do obu tych kategorii.

Smotrycz poczuł się zaskoczony. Nie treścią próby, bo sam zainteresował się komisarzem Tolakiem już wczoraj. W nocy, z prywatnego, niemożliwego do wyśledzenia komputera przetrząsnął w sposób niezostawiający śladu informatyczne zasoby policji. Ponieważ poziom jego upoważnień należał do stosunkowo wysokiej kategorii, było doprawdy niewiele drzwi, które musiał wyważać. Uczynił to dyskretnie i dowiedział się sporo. Nie był w stanie stwierdzić, czy wszystko: część danych została zaszyfrowana i opatrzona najwyższymi klauzulami tajności, ale i tak przewyższał wiedzę na temat ich krakowskiego kolegi wszystkich członków zespołu, szefa tegoż oraz, miał uzasadnione podejrzenia, także szefa tego szefa, oraz szefa obydwu.

Podkomisarz chciał znać powód, dla którego Zuzanna interesowała się ich nowo poznanym znajomym.

- Po co ci to? - zapytał.
- Sprawdzisz?
- Sprawdzę. Jak odpowiesz na pytanie.

W normalnych warunkach Zuzanna przystępowałaby właśnie do ataku. Jednak warunki dalekie były od normalnych, nawet tak roztargniony, zatopiony przeważnie we własnych myślach człowiek jak Smotrycz dostrzegł to bez pudła.

Zuzanna uśmiechnęła się smutno.

Mimo że w uśmiechu było więcej melancholii niż radości, w pokoju wzeszło słońce. Więc jednak, stęknął w myślach. Ona to potrafi. W morde, jest jeszcze ładniejsza niż zwykle.

- A ja ci powiem, dlaczego pytam - dodał na zachętę, gdy już uznał, że może wydobyć z siebie głos pozbawiony chrypy.

Milczała chwilę, jakby się zastanawiała. Decyzję być może przyspieszył natręt, który przez chwilę szarpał za kłamkę. Żadne z nich nie ruszyło się, by otworzyć.

- Jestem przekonana, że on nie jest żadnym członkiem zespołu. To agent, który ma za zadanie sprawdzać nas. Dlatego jest obcy, nikt go nie zna.
- Ciekawe. Co ma niby sprawdzać?
- A w jakim celu się inwigiluje policjantów?
- Masz jakieś dowody?

- Nie - wzruszyła ramionami. - Ale mam oczy i zmysł obserwacji. Spędziłam z nim pół dnia. Nie interesuje go śledztwo ani Wicherek. Interesujemy go my.

Była pewna. Mówiła przekonywająco. Smotrycz przekrzywił głowę. Ona idzie do głowy jak wino. Powiedzieć czy nie?

- Może masz rację. Pan komisarz Tolak nie figuruje na liście płac Komendy Miejskiej w Krakowie. To znaczy, źle mówię, figuruje, ale fikcyjnie. Tak naprawdę jest młodszym inspektorem Wydziału Wewnętrznego.

Zuzanna spojrzała mu prosto w oczy. Nie widać było po niej zaskoczenia.

- Już to sprawdziłeś?
- Owszem. Pan Tolak nie podobał mi się od początku.
- Wiesz, co to znaczy?
- Wiem. Ale jeśli chodzi o mnie, niech węszy.
- Naprawdę? - zapytała. Podniosła się z krzesła i podeszła do okna. Przez

dłuższą chwilę miał okazję poobserwować jej ramiona i talię. Gdy w końcu się odwróciła, była poważna. Nie agresywna i buńczuczna jak zawsze, ale właśnie poważna. Uroczysta wręcz.

- Denat jest kuzynem prezydenta - powiedziała cicho. - Autorem raportu na temat klęski żywiołowej, która zdmuchnie ten kraj z powierzchni ziemi. W zespole, który ma wyjaśnić zabójstwo, znajduje się wysoki rangą funkcjonariusz policyjnego kontrwywiadu. A zespół nawet nic nie wie o celach, do jakich został powołany. Gdy omawiali te sprawy z Tyszkiewiczem i Krzeptowskim, potrzebowali niemal godziny, aby sformułować wniosek, który jej zajął dziesięć sekund. A danych miała zdecydowanie mniej. Smotrycz pokiwał głową z podziwem.

- Już się boję - powiedział na przekór temu, co myślał.

- Całkiem słusznie. Jakub wie?

- O Tolaku? Nie. O reszcie tak. Właśnie siedzi u szefa.

Otwierała usta, aby coś powiedzieć, ale pisnął panel kontroli dostępu i do pokoju weszła Jadwiga. Twarz miała siną. Choć zapewne przebywała w budynku co najmniej od kilku minut, trzęsła się z zimna.

- Cześć - mruknęła Zuzanna.

Nowo przybyła lekko skinęła głową i zdecydowała się na razie nie pozbywać płaszcza ani rękawiczek, zdjęła jedynie czapkę. Ciężko

76

usiadła na krześle. Smotrycz podniósł się i bez słowa pstryknął włącznikiem elektrycznego czajnika.

- Radiowóz się popsuł - powiedziała w końcu Jadwiga, gdy syk gotującej się wody zagłuszył na moment gwizd wiatru. Usta miała zsiniałe. - Nie mogli go zapalić. Cholerny diesel. Próbowaliśmy pchać, nic, przyjechał drugi, pociągnął, wysiadły oba. W końcu, po czterdziestu minutach przyjechała laweta. Czterdzieści minut bez ogrzewania... - Jadwiga zawsze była w świetnym humorze i optymistycznie nastawiona do świata. Dziś był ten jedyny raz, kiedy nie była.

- Złom - rzuciła Zuzanna. Znowu stała tyłem do pokoju, wpatrzona w zamieć za oknem.

Ponownie usłyszeli pisk, szcęk zamka, drzwi otworzyły się i wszedł naczelnik. Za nim Jakub, Krzeptowski i Henio. Pochód zamykał zziębnięty i zeszywniały komisarz Jan Tolak.

Młodszy inspektor Jan Tolak, pomyślał Smotrycz. Gdy spojrzął na twarz szefa, przestraszył się; jeszcze nie widział go w takim stanie. Nie miał zresztą czasu analizować dalej zaistniałej sytuacji. Sytuacja gnała do przodu, nie poddając się żadnym analizom.

- Proszę siadać - warknął inspektor i usiadł na jednym z krzeseł.

Podczas tych rzadkich chwil, kiedy zespół zbierał się w komplecie, pokój stawał się ciasny, ale wszyscy mieli już jakąś wprawę w szybkim zajmowaniu miejsc. Tyszkiewicz też zwykł był zaczynać narady z marszu. •

- Są wszyscy? - pytanie nie było zwrócone do nikogo konkretnego, szef nie czekał na jakikolwiek komentarz czy odpowiedź. Tolak poruszył się, jeszcze nie mogąc dojść do siebie po krótkim marszu do komendy. Na razie nie wiedział, o czym

mowa. - Uwaga. Z chwilą obecną wasz zespół zostaje rozwiązany. Wszyscy udacie się do miejsc zamieszkania na pełnopłatne urlopy. Natychmiast. Spędzicie święta z rodzinami. Należy mieć przy sobie włączone telefony komórkowe. Jesteście zobowiązani do bezwzględności przestrzegania tajemnicy śledztwa. Nic, co zostało przez was ustalone lub zebrane jako dowód, nie ma prawa być komukolwiek przekazane czy opowiedziane. Wszystkie raporty, notatki, dowody rzeczowe, cokolwiek ma wspólnego z śledztwem, mają zostać zdeponowane w tym pokoju. Niniejszym odbieram wam autoryzację dostępu do danych, zmieniam kody dostępu do tego pokoju. Możecie zachować broń,

odznaki i samochody służbowe. Nie jesteście zawieszani, jesteście na urlopie do odwołania. Podpiszecie zobowiązania zachowania tajemnicy. Pan nadkomisarz Tyszkiewicz przygotowuje szczegółowy pisemny raport z dotychczasowych ustaleń śledztwa i zamelduje się u mnie jutro o dziewiątej rano.

Zapadła cisza.

- Ale... dlaczego? - wyjąkał Tyszkiewicz.

- Śledztwo przejmuje cebees - odparł naczelnik i nieoczekiwanie uśmiechnął się. Proporcje... Troska i obawa: sto procent. Wesołość: zero procent. - Macie wolne, korzystajcie.

- Cebees - prychnął Krzeptowski. Jakub pociągnął go za rękaw, pomimo to komisarz nie zamierzał oddać pola bez walki. - Co jest grane, szefie? W co myśmy wdepnęli?

- Nic więcej nie musicie wiedzieć. Podpiszcie zobowiązania - inspektor rzucił na stół kilka formularzy. - Uporządkujcie rzeczy i już was nie ma.

Nikt się już nie odezwał, choć każdemu z członków zespołu cisnęły się na usta dziesiątki pytań.

13.

Dla przewodniczącego Joachima Terleckiego ten przedświąteczny dzień zaczął się źle. Potem niestety nie było wcale lepiej.

W porannym, nadawanym w najlepszym czasie antenowym programie radiowym zirytował go dziennikarz. Zadawał głupie, pozbawione sensu pytania, ślizgające się po powierzchni zjawisk. Terlecki miał nieodparte wrażenie, że ten niespełna trzydziestoletni człowiek nic nie rozumie z rzeczy, o których rozmawiają, jednak za wszelką cenę próbuje zapędzić swojego rozmówcę w kozi róg. Na koniec jednak zaatakował i trafił: na pytanie o niedawny transfer kilku prominentnych posłów partii rządzącej do jego ugrupowania - samo w sobie zjawisko niezwykle, bo z reguły ruch odbywał się w przeciwnym kierunku - przewodniczący odpowiedział spokojnie, uzasadniając przejście względami ideowymi i merytorycznymi. W odpowiedzi został wyśmiany. Dziennikarz wręcz zasugerował motywację finansową transferowiczów. Terlecki zareagował wybuchem gniewu, trzasnął

78

słuchawkami o stół i obrażony wyszedł ze studia, nie pożegnawszy się z nikim.

W samochodzie, gdy nieco ochłonał, jego własny asystent wbił kolejny gwóźdź do trumny, mówiąc, iż taki wybuch na antenie wygląda bardzo źle i z pewnością odbije się na notowaniach partii i przewodniczącego osobiście, co natychmiast pokażą

sondaże. Jako że do wyborów prezydenckich pozostały cztery lata, Terlecki w pierwszej chwili nie przejął się tym zbyt, nawet zbeształ asystenta, ale po namyśle uznał, że młody człowiek ma rację: nie na darmo od roku budował swój image statecznego, rozsądnego męża stanu. Niedawne wybory parlamentarne udowodniły słuszność tej strategii. Ugrupowanie Terleckiego zajęło trzecie miejsce i stało się największą partią opozycyjną w sejmie. Przewodniczący Terlecki, ojciec wielkiego sukcesu, przyjmując gratulacje od działaczy, dziennikarzy, a także nagle objawionych sponsorów i przyjaciół, pomyślał, że za cztery lata ten kraj będzie leżał u jego stóp. W istocie, wybuch złości na antenie popularnej rozgłośni radiowej mógł zniweczyć lub znacząco osłabić obraz męża stanu. Trzeba się będzie zastanowić nad następnym posunięciem, neutralizującym, pomyślał, nachmurzony jeszcze.

Jednak w siedzibie partii - jego kwaterze głównej, nie znosił atmosfery sejmowych korytarzy - czekały na niego kolejne złe wieści. Jeden z posłów upił się i spowodował wypadek samochodowy, co ochoczo podchwyciły media. Innemu postawiono zarzuty korupcyjne - sprawa była dość stara, ale cuchnęła na kilometr. Telewizja, gazety i radio trąbiły o tym z wielką radością, tradycyjnie optymistyczne wieści świąteczne przeplatając komunikatami z frontu walki z nepotyzmem i korupcją. Jednak najistotniejsza była informacja, którą Terlecki znalazł w niepozornej broszurce będącej bilansem partyjnych funduszy. Sporządzony właśnie raport przedstawiał niewesołe wnioski: kasa świeciła pustkami, rosły stosy niezapłaconych faktur związanych jeszcze z niedawną kampanią wyborczą, a sponsorzy, czekając na konkretne deklaracje sejmowych inicjatyw ustawodawczych, wpłacali pieniądze w rozwlekłej kapaninie, obwarowanej na dodatek rozlicznymi warunkami. Długi i zobowiązania to jedno, ale przecież kolejne, starannie zaplanowane posunięcia na drodze do prezydentury również wymagały pieniędzy.

79

I

m

Terlecki przerzucał ze złością kartki bilansu. W sumie nie jest tak źle, do wyborów sporo czasu, zdążymy zebrać odpowiednie fundusze, pomyślał. Nasza pozycja i tak wzrosła w ciągu ostatnich kilku lat.

Zabrzączał interkom, sekretarka zaanonsowała przybycie gościa umówionego na godzinę trzynastą.

- Ach tak - mruknął do siebie. Całkiem zapomniał. Ktoś zarekomendowany przez partyjnego kolegę, tegd JakMuTam, Kołodyńskiego. Dziesięć minut, obiecał sobie. Spławię go po dziesięciu minutach. - Niech wejdzie - rzucił do słuchawki. Po chwili rozległo się pukanie i bez oczekiwania na zaproszenie do pokoju wszedł mężczyzna. Terlecki ocenił go na pięćdziesiąt lat -choć trudno to było stwierdzić jednoznacznie, facet mógł być starszy, ale niewątpliwie należał do kategorii bardzo zadbanych i wysportowanych, takich, którzy sporo czasu spędzają na świeżym powietrzu -i z niechęcią skonstatował, że mógłby się od niego wiele nauczyć, jeśli chodzi o elegancję. Ciemny garnitur, bez wątplenia szyty na miarę, i to z pewnością za granicą, spinki do mankietów koszuli, drogie czarne buty i dyskretny, świetnie

zawiązany krawat - raczej ręcznie robiony - wszystko to noszone było z niewymuszoną swobodą i elegancją, której nie sposób się nauczyć, a którą raczej ma się w genach. Mężczyzna był przystojny, szpakowaty, miał szarostalowe oczy, skóre do uśmiechu usta. Wyciągnął przyjaźnie rękę.

- Zygmunt Wieszczycki, bardzo mi miło.

- Joachim Terlecki. Niech pan siada - przewodniczący wskazał jedno z krzeseł usytuowanych przy niewielkim okrągłym stoliku. Sam pozostał w fotelu przy biurku.

- Dziękuję, że zechciał pan poświęcić mi czas - powiedział mężczyzna, sadowiac się na krzesło. - Mam nadzieję, że obydwaj spędzimy go pożytecznie.

Terlecki skinął głową, ale nie odpowiedział. Zapowiadała się kolejna bezowocna wizyta, na które z reguły szkoda czasu.

- Czym mogę służyć? - zapytał, obdarzając gościa lekko znudzonym, rutynowym uśmiechem.

- Proszę powiedzieć, czy jest pan człowiekiem zdecydowanym?

- Słucham? - tak się nie zaczęło jeszcze nigdy żadne spotkanie. Przynajmniej z nikim z zewnątrz. To zawsze przewodniczący rozdawał karty. - Cóż za pytanie.

80

- Precyzyjne. Czy dąży pan konsekwentnie do celu, czy raczej ufa sondażom i doradcom?

-Wypraszam sobie. Jestem politykiem z wieloletnim stażem i z ogromnym doświadczeniem...

- Drogi panie, nie jesteśmy na partyjnej konwencji ani na wiecu wyborczym - nieznajomy skrzywił się nieznacznie, a ciepło zauważalnie zaczęło się ulatniać z jego oczu. Zresztą chyba nigdy go tam nie było. Terlecki zaczął zdawać sobie sprawę, że najprawdopodobniej zupełnie fałszywie ocenił swego gościa. - Nie przyszedłem tu wysłuchiwać sloganów. Chcę zaproponować ogromne przyspieszenie pana kariery, ale w tym celu muszę usłyszeć, czy jest pan człowiekiem zdecydowanym.

Terlecki stłumił gniew. W normalnej sytuacji wyrzuciłby faceta za drzwi. Jednak głos instynktu szepnął mu, aby się powstrzymać. Może stała za tym pewność siebie rozmówcy? Może przekonanie, że za tym obcesowym wstępem kryją się naprawdę poważne sprawy? Może... strach?

- Tak, sądzę, że jestem człowiekiem zdecydowanym i konsekwentnym. Mam jednoznaczna...

- Moment - Wieszczycki podniósł rękę. Terlecki nie wierzył własnym uszom. Rozmówca po raz drugi przerwał wypowiedź gospodarza, a on sam nawet nie zaprotestował. Zdumiewające. - O tym za chwilę. A więc twierdzi pan, że jest człowiekiem zdecydowanym. Doskonale. Jak bardzo?

- Nie rozumiem... - Terlecki pokręcił głową.

- Jak bardzo jest pan konsekwentny? - powtórzył cierpliwie nieznajomy. - Ile jest pan skłonny poświęcić, aby osiągnąć cel?

- Dużo. Być może wszystko. Ale nie rozumiem...

- Zaraz wyjaśnię. Na razie wróćmy do tematu. A więc dużo. Może wszystko. Doskonale. Ja ze swej strony wyznam, że obserwuję pana od pewnego czasu.

Dowiedziałem się o panu co nieco. I mam podobne zdanie - jest pan człowiekiem

konsekwentnym, skłonnym wiele poświęcić dla osiągnięcia celu. Być może wszystko. To mi odpowiada, nie będę ukrywał.

Nie było to jasne. Nic nie było jasne. Poza tym, że życie Joachima Terleckiego, posła na sejm, przewodniczącego największej partii opozycyjnej w Polsce, zmieni się tego dnia w sposób radykalny. Rasowi politycy umieją takie rzeczy wyczuć na kilometr.

81

- Kim pan jest?

- Jak powiedziałem, przyjdzie czas i na to. Teraz ostatnie pytanie.

Najważniejsze. Proszę go uważnie posłuchać i zastanowić się nad odpowiedzią. Od niej zależy nasza ewentualna współpraca. Lub jej brak.

- Słucham - rzucił Terlecki z udawaną nonszalancją, choć wewnętrznie drżał. Nadal nie bardzo zdawał sobie sprawę, co się, do ciężkiej cholery, dzieje.

- Czy jest pan skłonny zagrać o całą pulę? Zaryzykować wszystko, aby wygrać wszystko?

- To znaczy co? - Terlecki wcale nie zaczął nadażać. Po prostu poczuł krew.

- O władzę.

- Drogi panie, ja już gram o władzę...

-1 na razie niewiele pan ugrał.

- Mam inne zdanie.

- Pozostanę przy swoim. Chyba że odpowiada panu rola szefa partii opozycyjnej, bez żadnych szans na zwycięstwo.

- Bzdury! Rosnę w siłę bez niczyjej pomocy. Właśnie przeszło do mnie kilku posłów z koalicji rządzącej.

- Czyżby? - nieznajomy uśmiechnął się, ale niewiele było radości w tym uśmiechu. Raczej groźba. Terlecki myślał gorączkowo. W kuluarach krążyły różne plotki... I ten dziennikarz dzisiaj rano...

- Panie przewodniczący, myślę, że nadszedł czas, aby zagrać w otwarte karty. - Mężczyzna wstał i podszedł do biurka Terleckiego. Sięgnął do kieszeni, wyjął z niej niewielkie czarne pudełeczko z dwoma diodami i niewielkim wyświetlaczem. Położył urządzenie na biurku i cofnął się, ale nie usiadł. - Proponuję rzecz następującą. Zamknie pan drzwi od wewnątrz, poprosi sekretarkę, aby przez najbliższą godzinę nikogo nie łączyła ani nie wpuszczała, a następnie wyłączy pan wszystkie swoje telefony komórkowe i wyjmie pan z nich karty SIM. Jeżeli ma pan obawy, że pana biuro jest na podsłuchu, pragnę pana uspokoić. Było, ale w nocy zostało oczyszczone przez moich współpracowników, o czym świadczą wskazania tego oto skanera - wskazał na leżące na biurku pudełeczko. - Moi współpracownicy pilnują również, aby w chwili obecnej nikt nie zakłócał nam spokoju jakimiś na przykład mikrofonami kierunkowymi. Zapewniam, że z tego punktu widzenia możemy rozmawiać zupełnie swobodnie.

82

Milczenie.

Terlecki za wszelką cenę nie chciał dać po sobie poznać, jakie wrażenie zrobiła informacja o podsłuchu w jego biurze. Zawsze się tego obawiał i nigdy nie był w stanie wyegzekwować dokładnego sprawdzenia. Być może nie miał dostępu do właściwych ludzi. Dotychczasowe kontrole niczego nie wykazały. Pewność siebie i

przygotowanie do rozmowy nieznanego robiły na nim coraz większe wrażenie. Przemógł się i postanowił przypuścić mały kontratak.

- Pan się włamał do mojego biura?

Milczenie.

- Nie mam żadnej gwarancji, że z kolei pan nie nagrywa tej rozmowy.

- W istocie, nie ma pan - przytaknął mężczyzna. - Ale za chwilę stanie się jasne, że tak naprawdę nie ma żadnego znaczenia, czy nagrywam tę rozmowę, czy nie. Gdy pan spojrzy na jej bilans, powiedzmy za godzinę, w kolumnie „winien” będzie mało. Bardzo mało, prawie nic. W kolumnie „ma” natomiast... - zawahał się. - Skutków i konsekwencji pana aktywów nie będzie pan w stanie oszacować nawet przez najbliższy rok.

- Zaintrygował mnie pan - Terlecki uśmiechnął się i nadał swej twarzy wyraz radosnego zaciekawienia. Podniósł się, wydał polecenia sekretarce, zamknął drzwi na klucz i usiadł ponownie. Już nie w fotelu za biurkiem. Przy stole, na wprost nieznanego. Poczul nieoczekiwany przyływ energii. - Chętnie pana wysłucham.

- Doskonale. A zatem zaczynamy - nieznanym podniósł się i zaczął krążyć po pokoju, zmuszając Terleckiego do ciągłego odwracania głowy. - W istocie nie nazywam się Zygmunt Wieszczycki. Moje prawdziwe nazwisko byłoby zresztą tak samo anonimowe i nie ma znaczenia. Nie ma także znaczenia, gdzie mieszkam ani skąd się wziąłem. Z pana punktu widzenia ma znaczenie wyłącznie to, kogo reprezentuję i czego chcę. "tylko to. I aż to. Otóż reprezentuję grupę prywatnych inwestorów, osiadłych i prowadzących interesy w Polsce, którzy zdecydowali się na pana postawić. Uważają, a ja zresztą uważam tak samo, że w istocie jest pan człowiekiem odpowiedzialnym i mającym rzetelne kwalifikacje do sprawowania władzy w tym kraju. Najwyższej władzy - nieznanym zatrzymał się na moment. Terlecki mimowolnie wstrzymał oddech. - Chcemy panu pomóc tę władzę

83

1 * *

zdołać, a następnie utrzymać ją. Długo. Przez kilka kadencji. Ku obopólnemu zadowoleniu.

Terlecki pokiwał głową. Słowa o grupie poważnych inwestorów wywarły pozytywne wrażenie.

- O jakiej władzy pan myśli?

- No cóż, ustrój naszego pięknego kraju jest tak skonstruowany, że głową państwa jest prezydent, przewidujemy więc dla pana właśnie to stanowisko. Ale nie z dzisiejszymi uprawnieniami. Nie interesuje nas, a sądzimy, że pana również nie, władza tytularna, blichtr pozbawiony znaczenia. Dlatego sądzimy, iż konieczna będzie zmiana konstytucji. Być może napisanie jej na nowo. Naszym zdaniem Polsce potrzebny jest ustrój prezydencki, z bardzo silnymi prerogatywami głowy państwa.

- Stanowisko prezydenta istotnie jest moim celem w najbliższych wyborach. Ale widzę, że nie orientuje się pan w panującym aktualnie układzie sił - Terlecki uśmiechnął się dobrodziejnie, choć kosztowało go to naprawdę sporo wysiłku. Ta rozmowa zmierzała w kierunku, który jednocześnie Terleckiemu bardzo się podobał i przerażał go. - Obecnej koalicji nie zależy na zmianie konstytucji. Nigdy się pan z nimi nie dogada.

- Pana partia złożyła wniosek o odwołanie marszałka sejmiku na dzisiejszym posiedzeniu, o ile się nie mylę? - zapytał nieznajomy, jakby nie słuchając.

- Pro forma - machnął ręką Terlecki. - Zawsze tak się robi. To należy do uświęconej tradycji.

- Nie tym razem. Dziś po południu zostanie pan wybrany marszałkiem sejmiku. Cisza, która zapadła w pokoju, była niemal doskonała. Terlecki pomyślał, że to nierealne. Takie rozmowy zdarzają się tylko w filmach.

- Zupełnie niemożliwe.

- Takiego wyrazu nie ma w moim słowniku. Głosowanie odbędzie się o siedemnastej i pana kandydatura zdobędzie zdecydowaną większość.

Milczenie.

- O jakiej sumie na kampanię myślą pana przyjaciele?

Mężczyzna uśmiechnął się.

- To akurat mogę powiedzieć, ale najpierw winien jestem wyjaśnienie. Mówimy nie o pieniądzach przeznaczonych na kampanię

wyborczą, lecz na zdobycie władzy. To istotna różnica i mam nadzieję, że pan ją rozumie. Chcę, aby pan zapamiętał, iż moi przyjaciele, jak pan ich trafnie nazwał, są biznesmenami. Rzeczywistość postrzegają w kategoriach zysków i strat lub z innego punktu widzenia: inwestycji i zwrotu. Pan jest inwestycją. Są skłonni zainwestować, a zatem będą oczekiwali godziwej stopy zwrotu na swoim kapitale.

- To oczywiste. Zawsze tak jest.

-I tak będzie i tym razem, aczkolwiek reguły zwrotu są dość specyficzne. Ustalimy je za moment.

-A zatem...

Nieznajomy wypowiedział trzy krótkie słowa.

Terleckiemu zadrżały ręce, co ze wszystkich sił starał się ukryć. Zupełnie niepotrzebnie. Gość czytał w nim jak w otwartej księdze.

- Czy jadł pan lunch? - zapytał w końcu przewodniczący, gdy już był w stanie wydobyć głos. - Może zjedlibyśmy coś i pogadali. Zapraszam. Do głosowania mamy jeszcze masę czasu.

Mężczyzna uśmiechnął się uprzejmie. Polowanie zakończyło się, zanim się na dobre rozpoczęło.

14.

- Helena?

- Przy telefonie. Poznają pana po głosie. Czy znowu sprawdza pan dane w imieniu wspólnoty mieszkaniowej?

- Hi policja.

- Ach! Czegóż może chcieć ode mnie policja?

- Lena, posłuchaj. Przez moment porozmawiajmy poważnie...

- Przecież rozmawiamy poważnie. Zawsze jestem śmiertelnie poważna podczas rozmów z policją.

- Słuchaj, głuptasie, skup się. Niedługo przyjadę do domu...

- To rzeczywiście poważna sprawa...

- ...bardzo cię proszę, spakuj najcieplejsze ubrania i całe jedzenie, jakie

znajdziesz w domu. Weź wszystko. Także koce i lampę naftową.

- Wybieramy się na Spitsbergen?
- W pewnym sensie. Czy w naszym Wiejskim Domku są jakieś zapasy?

85

- Głównie alkoholu. Kuba, co się dzieje?
- Musimy przenieść się na wieś na parę dni. Przyjadę niedługo. Wszystko ci wyjaśnię po drodze.
- Powiedz teraz. Skupię się i postaram zrozumieć. Jutro Wigilia. Nie mieliśmy w planach wyjazdu do Wiejskiego Domku wyekwipowani jak na biegun północny.
- Plany się zmieniły. Zadzwoń do rodziców, przeproś ich i powiedz, żeby nie ruszali się z Wrocławia. Wspólna Wigilia jest nieaktualna. Poproś, żeby jeszcze dziś, jak najszybciej, zrobili zapasy na dziesięć dni. Powiedz im, że nadciąga bardzo zła pogoda.

- Zła? Teraz jest zła. Dawno takiej nie było.
- To nic. Zła dopiero przyjdzie. Zrobisz to, o co proszę?

Helena należała do osób, które były w stanie podjąć decyzję w ciągu sekundy. I żadne klęski żywiołowe nie mogły w tym przeszkodzić.

- Będę gotowa, panie kapitanie. Czy zabrać pana ulubione piwo?
- Odmaszerować, kapralu.
- A jakiś meczyk na DVD?

Rozłączył się.

W pokoju panował harmider, Tyszkiewicz z trudem usłyszał zakończenie rozmowy. Wszyscy kłócili się, porządkowali swoje rzeczy, w sposób oczywisty czyniąc na biurkach jeszcze większy bałagan, i przygotowywali się do wyjścia. Przyglądał się temu znudzony policjant, przysłany przez szefa w celu „zabezpieczenia lokalu”. Niska ranga funkcjonariusza wskazywała dobitnie, że naczelnik, wbrew surowemu obliczu prezentowanemu na niedawnej odprawie, a także najsurowszym rozkazom i zaleceniom, ufa swoim ludziom i w zasadzie zostawia im wolną rękę co do sposobu zabezpieczenia danych.

W końcu wyszli. Korytarz minęli w milczeniu, odprowadzani ciekawymi spojrzeniami. Na dole pożegnali się. Jakub uściskał dłoń każdego z nich, życząc wesołych świąt. Miał wrażenie, że jako szef zespołu zawiódł tych ludzi. Co więcej, wyglądało na to, że członkowie zespołu, przynajmniej niektórzy, podzielają ten pogląd. Nie wykryli sprawcy, dali sobie odebrać śledztwo. Fakt, iż wydobyli na światło dzienne apokaliptyczną prognozę paneuropejskiej katastrofy, był w tej sytuacji tylko częściowym pocieszeniem.

Wyszli na dziedziniec. Wiatr zdecydowanie osłabł, śnieg prószył tylko. Temperatura odczuwalnie wzrosła. Kilku funkcjonariuszy od-

86

śnieżało samochody i parking. Świat sprawiał wrażenie, jakby wracał do normy. Albo łapał oddech przed drugą rundą.

Pożegnali się ponownie, siódmy raz złożyli sobie życzenia świąteczne - wypadło to całkiem serdecznie, biorąc pod uwagę, że Tolaka znali od wczoraj, a Zuzanna prezentowała zwykły, lodowaty dystans

- i wsiedli do samochodów. Zuzanna pojechała passatem ze Smotry-czem, Tolak

zabrał służbową octavię, Henio poczłapał do autobusu, a Jakub do swojego prywatnego auta wziął Krzeptowskiego i Jadwigę. Wszyscy troje mieszkali na Ursynowie, nie nadkładał drogi.

Po wczorajszych przygodach Jakub z samego rana wymienił baterie w pilocie na nowe, nasmarował gumowe uszczelki w drzwiach, a także dolał do baku specjalnego preparatu niepozwalającego zamarznąć dieslowskiemu paliwu. Toteż drzwi otworzyły się z wesołym trzaskiem, a potężny, trzylitrowy silnik zaskoczył od pierwszego przekręcenia kluczyka.

Jakub nacisnął gaz. Ruszyli.

- Padało raptem dwa dni, a i to z przerwami - mruknął Krzeptowski.
- Mróz był, owszem, ale też krótko i znowu nie taki wielki. A patrzcie, jak to wygląda. Gdyby nie to, że teraz jest cisza i można wszystko ogarnąć, to jutro by na ulice nie dało się wyjechać. Nawet nie mówię, że pogoda by się pogorszyła, ale gdyby była dalej taka jak dzisiejszego ranka czy w nocy. To co będzie, jak przyjdzie naprawdę ta anomalia?
- Bedzie walka, a potem polegniemy z honorem. Zostanie odtrąbiony stan klęski żywiołowej. Media będą miały używanie, wszyscy zarzucą władzom nieudolność. - Tyszkiewicz był mocno skupiony na jeździe, pomimo poprawy warunków droga była śliska i pełna kolein wyżłobionych w nieodgarniętym śniegu. Silna, wielka terenówka dawała sobie radę bez większych problemów, ale Jakub pomyślał o tych dziesiątkach tysięcy właścicieli zwykłych miejskich aut i doszedł do wniosku, że znikomy ruch na ulicach ma swoje głębokie uzasadnienie.
- Fajny masz samochód - powiedziała z tyłu Jadwiga. Była wielką miłośniczką motoryzacji, mogła godzinami dyskutować o najnowszych trendach w samochodowym wzornictwie i rozwiązaniach technicznych. Podczas jakiegokolwiek dyskusji większość facetów pozostawała w tyle już na pierwszej prostej.

87

- Żona mi kupiła - mruknął Tyszkiewicz, nagle zażenowany.
- Fajną masz żonę.
- Bardzo fajną - wtrącił trzy grosze Krzeptowski, uśmiechając się pod nosem. - Nie wiadomo tylko, co ona w nim widzi. Z nas dwóch wybrała jego i to jest skandal, normalnie...
- Aha, tylko powiedz, że jak cię poznała, byłeś kompletnie pijany i waliłeś sztachetą dwóch gości weselnych, którzy o raz za dużo zatańczyli z twoją siostrą - powiedział Jakub ze złością. Jadwiga zachichotała. Słyszała tę opowieść kilkakrotnie, za każdym razem w innej nieco wersji.
- Musiałem bronić honoru kobiety, ty ceprze sakramencki.
- Po pijaku...
- A co za różnica - obruszył się Krzeptowski. - Honor jest honor...
- Uważaj! - krzyknęła Jadwiga.

Tyszkiewicz odruchowo nacisnął na hamulec. Kątem oka dostrzegł, jak w poprzek skrzyżowania sunie przegubowy autobus, rozpaczliwie starający się złapać przyczepność na litym pasie żywego lodu pokrywanego stalowym błękitem co najmniej dwadzieścia metrów dojazdu do skrzyżowania. ABS skrzypiał rozpaczliwie, ale ciężki pojazd sunął bezwładnie, powoli, z majestatyczną nieuchronnością tracąc

prosty tor jazdy na rzecz poruszania się bokiem. Z niemałą jeszcze prędkością wyjechał na środek skrzyżowania. Jakub, z wciśniętym do oporu pedałem hamulca, walczył z kierownicą, starając się maksymalnie zejść autobusowi z celownika. Po kilku ciągnących się w nieskończoność sekundach doszedł do wniosku, że nie zdąży, puścił więc hamulec i z całej siły przycisnął pedał gazu. Dwustukonny silnik ryknął, w sekundę osiągając niemal szczyt mocy, cztery grube zimowe opony strzeliły zmielonym śniegiem i auto zaczęło gwałtownie skręcać w prawo. Prawie się udało.

Autobus niemal ich minął, wlokąc za sobą ogon przegubowej przedłużki. I właśnie koniec pojazdu uderzył w tył volvo, jadącego już prawie równoległe do toru jazdy autobusu. Samochód odbił się, przez ułamek sekundy zdradzał tendencję do skrętu w przeciwną stronę i staranowania burty autobusu, ale Jakub energicznie skontrolował kierownicą i terenówka skoczyła do przodu kursem zdecydowanie rozbieżnym od czerwono-żółtego wehikułu. Oba pojazdy po chwili

88

odzyskały przyczepność i zatrzymały się za skrzyżowaniem, oddalone od siebie o dwadzieścia, może trzydzieści metrów.

15.

Prywatna posiadłość koordynatora położona była w eleganckiej, willowej części jednej z najstarszych dzielnic stolicy, gdzie zdecydowaną większość stanowili ludzie bogaci lub bardzo bogaci. Ogromna, utrzymana w stylu lat dwudziestych rezydencja stała na stosunkowo dużej, zadrzewionej działce. Tu koordynator prowadził życie prywatne, spotykał się z przyjaciółmi, wydawał przyjęcia i cieszył się zasłużonym poważaniem statecznego obywatela lokalnej społeczności.

Miejsce pracy natomiast położone było w centrum Warszawy, w nabytej przez jedną z jego spółek zabytkowej kamienicy. Został w niej przeprowadzony gruntowny remont, wykonany ściśle według wskazówek i zaleceń miejskiego konserwatora zabytków, który po zakończeniu inwestycji był niezwykle zadowolony ze współpracy z tak elastycznym i pełnym zrozumienia dla kulturowego dziedzictwa stolicy inwestorem. Przy okazji remontu budynek został poddany - o czym już konserwator zabytków nie wiedział - pewnym dość istotnym z punktu widzenia planów koordynatora modyfikacjom i przeróbkom. Kwatera główna - czy jak nazywał to koordynator: centrum dowodzenia - została rozbudowana w dół, pod powierzchnią gruntu kryła się podziemna kondygnacja, na której znajdowały się pomieszczenia wyposażone w najnowsze systemy łączności i obserwacji. Były one dwadzieścia cztery godziny na dobę obsługiwane przez najwyższej klasy, wysoko opłacanych specjalistów.

- Sygnał mi się urwał -' powiedział jeden z nich do kierownika zmiany. Technik ten odpowiedzialny był za monitoring systemów GPS.

- Gdzie? - kierownik zmiany podszedł do stanowiska technika i zajrzał mu przez ramię.

- Na rogu Marszałkowskiej i Królewskiej.

- Kiedy?

Technik spojrzął na zegar.

- Przed minutą.

Kierownik zmiany pochylił się. Na ogromnym, dwudziestosześcioro-wym ekranie komputera widać było niezwykle dokładną, cyfrową mapę przedstawiającą spory fragment Śródmieścia. Pulsująca czerwona kropczka zaznaczała miejsce ostatniego kontaktu ze śledzonym obiektem.

- Co się stało?
- Nie wiem - technik wzruszył ramionami. - Może ta cholerna pogoda. Powoduje zakłócenia. Mogło paść też zasilanie.
- Pogoda jest lepsza, niż była, a wtedy działało. Zasilanie powinno wystarczyć na trzy doby pracy non stop. Podaj jakiś inny powód.
- Jest namiar! - wykrzyknął technik, wpatrując się w ekran. Czerwony punkcik zmienił barwę na zieloną i zaczął przemieszczać się Marszałkowską w stronę Pałacu Kultury. - Wszystko w porządku.
- Pilnuj tego - mruknął kierownik zmiany i odszedł.

IB.

Nawet nie byli w nastroju do porządnego zbesztania nieuważnego kierowcy autobusu. Zapisali jego numer, mruknęli „uważaj pan na przyszłość”, stwierdzili, że volvo odniosło minimalne uszkodzenia i nadaje się do dalszej jazdy, po czym ruszyli w drogę. Przez dobry kwadrans przebyta w milczeniu.

Jechali powoli, ale bez przeszkód. Nieoczekiwana przerwa w ataku zimy spowodowała energiczną kontrofensywę służb miejskich. Drogi, przynajmniej te główne, zrobiły się niemal przejezdne, na chodnikach pojawiało się coraz więcej pieszych. Jakubowi kilkakrotnie udało się przekroczyć czterdzieści kilometrów na godzinę.

- Dupa nie kierowca - mruknął Krzeptowski, gdy już minęli Śródmieście.
- Każdemu się spieszy - powiedział Jakub usprawiedliwiającym tonem.
- Myślicie, że to przypadek? - zapytała Jadwiga.
- Sądzisz, że ktoś nas chciał przejechać? Wątpię - Tyszkiewicz machnął ręką.

Temat wypadku uznawał za nieistotny.

Odwrotnie niż Jadwiga. Nie dawała jej spokoju sekwencja ostatnich wydarzeń: odkrycie raportu Wicherka, odebranie śledztwa bez słowa wyjaśnienia, próba staranowania przez autobus.

30

Zapamiętała nazwisko kierowcy i postanowiła przy najbliższej okazji sprawdzić tego człowieka.

- Co dalej? Ze śledztwem? - Krzeptowski też zatopiony był w myślach. Zerkał na Jakuba od czasu do czasu.
- Słyszałeś. Nic. The team is out.
- Aha. Gadaj zdrów. Przecież cię znam.
- No właśnie. Ja też cię znam - pogodnym tonem włączyła się do rozmowy Jadwiga. - Już nie jesteś szefem, ale od myślenia nikt cię nie zwalniał.
- Dajcie spokój, dobra? - Jakub był skupiony najeździe. W kieszeni czuł podłużny kształt pendrive'a, a w głowie dźwięczały mu ostatnie słowa Smotrycza wypowiedziane szybko, na korytarzu, tuż przed pożegnaniem: „Masz tu raport Wicherka, wszystkie moje notatki i jakieś tam wnioski. Nic nie musisz wymyślać,

sklej to w jeden dokument i masz na jutro gotowe sprawozdanie dla starego. No chyba że się nie zgodzisz z wnioskami, ale wątpię, szczerze mówiąc. I... nie ufaj nikomu". Jakub spojrział na Smotrycza uważnie, ale w tym momencie dołączyła do nich Zuzanna i podkomisarz płynnie zmienił temat, rumieniąc się - jak zawsze, gdy Zuzanna była blisko - i zacinając nieco. Od tej pory Tyszkiewicz myślał intensywnie. Jeszcze intensywniej niż zwykle. Nawet stłuczka nie była w stanie oderwać go od tego procesu. - Na razie mamy ważniejsze problemy na głowie. Musimy zadbać o rodziny i przeżyć do sylwestra.

- Dlaczego tylko tyle? - zapytała Jadwiga. Nie czytała raportu Wicherka, nie była obeznana ze szczegółami. Jej uwadze nie umknął jednak fakt, że myśli Jakuba krążą bardzo daleko od wnętrza luksusowego wyrobu szwedzkiego przemysłu motoryzacyjnego i tematu rozmowy.

- Nasz wieszcz od pogody twierdzi, że ciężko będzie przez tydzień, do Nowego Roku - Krzeptowski nie odmówił sobie spojrzenia na Jadwigę. Na tyle krótkiego, aby nie być posądzonym o natarczywość, a na tyle długiego, by dać wyraz swemu zainteresowaniu. Ponadstan-dardowemu. - A potem ma odpuścić. Masz jakieś zapasy w domu?

- Prawie nic. Miałam jechać na Wigilię do mamy. - Jadwiga, jak wielu policjantów, nie pochodziła z Warszawy. Dorobiła się tu jednak malutkiej, przytulnej kawalerki.

- Może ci pomogę? Jak zrobimy razem zakupy, nie będziesz musiała latać wte i wewte.

91

-A ty?

- Dam sobie radę. Wiele mi nie trzeba.

Jadwiga uśmiechnęła się. Deklaracja Krzeptowskiego sprawiła jej -zupełnie nieoczekiwanie - przyjemność. Wiedzioną impulsem skinęła głową, co spowodowało głęboki uśmiech na twarzy wielkiego górala. Zwykle Jakub wolał, żeby Krzeptowski tego nie robił, wyglądał wtedy jak zgłodniały krokodyl, co nieodmiennie go bawiło, w związku z czym uśmiechał się jeszcze szerzej. Teraz Tyszkiewicz ledwie zwracał na to wszystko uwagę. Machinalnie skreślił w małą osiedlową uliczkę, zabudowaną nowoczesnymi, czteropiętrowymi blokami, jakich ostatnio wyrosło sporo na Ursynowie i Kabatach. Stanęli.

- Przejaśnia się - mruknął Tyszkiewicz, spoglądając w górę.

- No, może nie będzie tak źle - powiedział Krzeptowski wesoło. Przepowiednia katastrofy nie robiła na nim specjalnego wrażenia, przynajmniej od momentu, kiedy Jadwiga zgodziła się na wspólne zakupy. - Może cała ta prognoza jest funta kłaków warta.

- Może - mruknął Tyszkiewicz bez przekonania. - Wysiadacie?

- No. Wesołych świąt, chłopie - Krzeptowski objął go i ucałował z dubeltówki.

- Nawzajem. I tobie też, najlepszego - zwrócił się do Jadwigi.

Krzeptowski patrzył złym okiem, jak ci dwoje całują się serdecznie, po czym oboje z Jadwigą wyskoczyli na zewnątrz. Koła zabuksowały na lodzie, po chwili złapały przyczepność i wielka czarna terenówka zaczęła rozplływać się w zapadającym mroku. Pomachali i poszli w stronę najbliższego sklepu.

Nie zauważyli - podobnie zresztą jak pogrążony w rozmyślaniach nadkomisarz - że w zaparkowanym niedaleko starawym, nierzucają-cym się w oczy opłu siedzi mężczyzna i obserwuje ich uważnie.

17.

- Cześć - mruknęła Zuzanna. Stary passat trząsał, silnik pracował nierówno, ale i tak Zuzanna miała wrażenie, że zachowuje się o niebo lepiej niż rano, gdy jechała z Tolakiem do Patrycji Winiarskiej.

- Czołem. Trzymaj się. I wesołych świąt, bo już się pewnie nie będziemy widzieli - Smotrycz był niezwykle uroczysty.

92

Zuzanna skrzywiła się. Nie znosiła pompy i sztucznej uprzejmości. Zwłaszcza ze strony kolegów z pracy. Z drugiej strony Smotrycz był miły i starał się nie narzucać.

- Tobie też miłych i wesołych - powiedziała. Oficjalnie, sucho, beznamiętnie. - I uważaj na siebie - dodała po chwili, całkowicie innym tonem. Zastanawiała się potem wielokrotnie, co ją skłoniło do tego osobistego wynurzenia.

- Będę. Dzięki. Trzymaj się - pociągnął za klamkę i wysiadł. Zuzanna ruszyła gwałtownie.

Jechała szybko, na granicy ryzyka, jednak samochód słuchał jej, niczym spojony w jedną całość z ludzkimi mięśniami i mózgiem. Wcześniej, zanim się pożegnali, Smotrycz uparł się, aby pomóc jej zrobić zakupy, motywując to nadmiarem wolnego czasu i nudą - był samotny, nie miał w zwyczaju czynić nadmiernych przygotowań do Wigilii, a teraz, w obliczu klęski żywiołowej, poczuł się zwolniony z jakichkolwiek obowiązków - toteż z przygotowaniami do wkroczenia na teren fortecy bronionej przez matkę uwinęła się szybciej, niż myślała.

Omijali szerokim łukiem zatłoczone supermarkety, zakupy spożywcze robiąc w kilku małych sklepikach osiedlowych, zaopatrzenie innego typu - które zresztą wzbudziło niemałe zdziwienie Smotrycza; widząc wzrok Zuzanny, powstrzymał się jednak od komentarzy, posłusznie taszcząc ciężkie pakunki do samochodu i upychając je w bagażniku - nabyli w sklepie technicznym i na stacji benzynowej. Gdy Zuzanna zaparkowała przed starą kamienicą na Woli, nie minęła jeszcze piąta. Było mroźno, ale po niedawnych wichurach nie zostało nawet śladu, temperatura dawała się z łatwością znieść. Powietrze było niezwykle czyste, takie, jakim zwykle zachłystują się turyści w Tatrach.

Wdrapanie się na trzecie piętro przedwojennej kamienicy wymaga sporego wysiłku nawet bez bagażu. Zuzanna pokonała tę trasę sześciokrotnie. Szerpa podczas himalajskiej wyprawy to przy niej pikuś, jej zdaniem. Pod koniec operacji dyszała mocno, co tylko ją rozżłościło. Gdy jednak po raz ostatni wspięła się na schody i ostatecznie przekroczyła próg mieszkania, lawirując pomiędzy zalegającymi w całym przedpokoju i połowie saloniku pakunkami i torbami, poczuła ulgę.

Matka nie pytała o nic ani niczego nie komentowała. W milczeniu, systematyczna niczym niemiecki urzędnik, rozpoczęła rozpakowywanie zapasów.

93

- Witaj - powiedziała Zuzanna, gdy udało jej się złapać oddech.

- Dobry wieczór - odparła starsza z pań Cehak. W przeszłości była niezwykle urodziwą kobietą. Wysoką, trzymającą się prosto. Miała wąskie, nieskore do

uśmiechu usta, cienko wykrojony nos, krótko obcięte włosy. Ani śladu makijażu lub biżuterii. Czarna, obszerna suknia. Silne, spracowane dłonie.

Pozbawienie się komfortu, jakichkolwiek przyjemności oraz bijąca w oczy asceza stanowiły jej życiowe credo i sposób poruszania się po onegdaj wytyczonej drodze. Wytyczonej raz na zawsze. Skutecznie niszczącej ślady dawnej urody.

- Mam nadzieję, że doczekam się wyjaśnień.

- Oczywiście - skinęła głową Zuzanna. Z ulgą zdjęła kurtkę i pola-rową bluzę. Niedawny wysiłek. Upał. Ćmienie mięśni. - Rozpakujemy, zajrzę do Zosi, a potem wszystko ci opowiem.

Pracowały przez kwadrans w całkowitym milczeniu. Matka zdawała się nie zauważać kilku budi gazowych, które Zuzanna wepchnęła do szafy w przedpokoju, oraz dwóch zasilanych gazem piecyków postawionych w kącie. Zignorowała także pudełka ze świecami, kilka zwiniętych w rulon wełnianych koców, dużą latarkę i zapas baterii. Gdy skończyły, Joanna Cehak zapaliła papierosa, zwrócona twarzą do okna. Patrzyła w ciemność, choć niewątpliwie widok nie należał do interesujących.

Zuzanna starannie umyła ręce, po czym weszła do jednej z sypialni. Pomieszczenie pomalowane było w wesołe, pastelowe kolory. Meble współgrały tonacją z barwą ścian. W rogu leżała ogromna gumowa piłka, z sufitu, zawieszona na linach, zwisała wymoszczona miękką pianką półka, przypominająca kształtem deskę surfingową. Pokój sprawiał wrażenie skrzyżowania wesołej sypialni małego dziecka z gabinetem rehabilitacyjnym. W istocie pełnił obie te funkcje.

Przy łóżku, na wózku inwalidzkim, siedziała dziewczynka. Wyglądała na siedem lat, w rzeczywistości miała dwanaście. W rękach trzymała zabawkę i obracała ją monotonnym, kolistym ruchem, od czasu do czasu podnosząc do ust.

- Cześć, Zośka - zawołała Zuzanna wesoło, podchodząc bliżej. Dziecko nie zareagowało. Jedynym przedmiotem zainteresowania pozostawała zabawka.

94

- Fajny dzień dzisiaj, co? - Zuzanna klęknęła przed nią, patrząc w niewidzące oczy. Uśmiechnęła się. - Jutro będzie jeszcze fajniejszy, bo jutro Wigilia i wszyscy dostaniemy prezenty, a ty najwięcej ze wszystkich.

Zosia przechyliła głowę i spojrzała na Zuzannę. Choć zakrawało to na cud, przez ułamek sekundy Zuzanna miała pewność, że dziecko dostrzegło ją i zrozumiało treść wypowiedzianych przed chwilą zdań. Mogłaby przysiąc, że dostrzega nikły uśmiech na ślicznej, choć zniekształconej chorobą buzi.

I cud się stał.

Niezręcznym, drżącym ruchem dziewczynka wyciągnęła rękę i dotknęła twarzy Zuzanny. Przez chwilę trzymała dłoń przy policzku. Małe palce poruszały się wolno, jakby badając każdy centymetr skóry. Posuwały się w górę, w stronę oczu, obramowały nos i usta. Po czym opadły na podolek, razem z dłonią i ramieniem. Dziecko drżało lekko.

Zuzanna nawet nie próbowała ocierać łez, które jedna po drugiej płynęły po policzkach. Odwróciła się na pięcie i wybiegła z pokoju. Po sekundzie zgrzytnął klucz w łazience.

Mała, toczona chorobą, niewidząca i niemal niesłysząca kopia Zuzanny Cehak

wróciła do monotonnego obracania zabawki w palcach.

18.

- Czy rozmawiam z magistrem Antonim Smotryczem?
- Przy telefonie magister Smotrycz. W czym mogę pomóc?
- Po tej stronie magister inżynier Stanisław Krzeptowski. Witam was, magistrze Smotrycz.
- Witam was, magistrze inżynierze Krzeptowski, i zwracam się z ponownym zapytaniem, w jaki sposób mogę wam pomóc.
- Magistrze Smotrycz, to prywatna prośba.
- Magistrze inżynierze Krzeptowski, w takim razie nie mogę wam pomóc w żaden sposób. Wiecie dobrze, że nie spełniam niczyich prywatnych próśb. Możecie się do mnie zwrócić w sprawie służbowej i wyłącznie drogą służbową. Procedury, jak dobrze wiecie, stanowią dla mnie nienaruszalną świętość.

95

Krzeptowski zachichotał. Ten facet dawał się lubić i w pracy, i poza nią.

- Oj Antek, Antek. Dla mnie także. Potraktujmy moją prośbę jako służbową.
- Stasiu, to całkowicie zmienia postać rzeczy - chichot w słuchawce. Diabełki w oczach. - Przy tak postawionej sprawie oczywiście mogę ci pomóc.
- To dobrze. Chcę, żebyś ruszył głową. Rozmawialiśmy niedawno o pewnej osobie.
- Jasne. Baby z magla to przy nas dzieci...
- Antoś, kurwa, skup się...
- Nie Antoś, Stasiu.
- No dobra, Nieantoś. Skupisz się?
- Jestem skupiony od pół godziny, nie moja wina, że masz kłopoty z wyartykułowaniem tematu rozmowy.
- Więc uważaj. Kilka dni temu wymienialiśmy uwagi na temat pewnej osoby.
- Podejrzanego?
- Niezupełnie. Niezupełnie.
- Ach tak.
- Tak.
- Pamiętam tę rozmowę - Smotrycz spoważniał. Jego kolega i partner wkraczał na śliski grunt. Ale zawsze warto było go słuchać.
- Chwytasz w lot. Chodzi o... - Krzeptowski zawahał się. Musiał być pewny, że Smotrycz go zrozumie - tę osobę.
- Zrozumiałem za pierwszym razem. No i?
- Powieszysz?
- Oficjalnie?
- Oczywiście, że nie. Interesuje mnie wszystko, pełne menu. Najmniejszy brud za paznokciem. Najdrobniejsza skaza na portrecie.
- Jakieś konkretne podejrzenia?
- Raczej konkretne przeczucia.
- Ach tak. Przeczucia - Smotrycz ciężko westchnął. Walczyło w nim zaciekawienie i poczucie lojalności. Ale zdawał sobie sprawę, że w sugestiach Krzeptowskiego może być coś na rzeczy. Sam miał podejrzenia.

- Przypomnę sobie, poszukam i dam wam znać, magistrze inżynierze.
- Dziękuję wam, magistrze.

96

Smotrycz odłożył telefon i spojrzał w kierunku komputera. Podejrzenia? W gruncie rzeczy Krzeptowski rzucił poważne oskarżenie. Takie rzeczy niemal się nie zdarzały. Co się do cholery dzieje? W co oni wszyscy wdepnęli?

Z drugiej strony: nie ma się co dziwić. Smotrycz sam czasami prze-myślał, aby poszukać czegoś na temat osoby, o której wspomniał Krzeptowski.

Czegoś więcej niż rutynowe CV. Zalogował się i zaczął poszukiwania.

19.

Technik odpowiedzialny za monitorowanie rozmów telefonicznych przywołał gestem kierownika zmiany. Odtworzył nagraną przed chwilą rozmowę. Kierownik skinął głową i przeszedł do drugiego pomieszczenia, w którym rezydowali operatorzy komputerów śledzących sieć. Kierownik podszedł do jednego ze stanowisk. Podał nazwisko osoby, która go interesowała.

Technik wpisał polecenie. Umieszczony przed kilkoma dniami na śledzonym komputerze trojan - wirus umożliwiający szczegółowe monitorowanie pracy komputera znajdującego się nawet w odległym zakątku globu - zaktywizował się. Po chwili technik uzyskał obraz, identyczny z obrazem znajdującym się na monitorze śledzonego komputera.

Gdy kierownik zmiany zobaczył, kogo dotyczą poszukiwania, aż gwizdnął z wrażenia. Szybkim krokiem poszedł do swojego, całkowicie zabezpieczonego przed podsłuchem gabinetu, starannie zamknął drzwi, podniósł słuchawkę telefonu, poczekał, aż włączy się urządzenie szyfrujące, i wybrał znany na pamięć numer. Gdy odebrano połączenie, wypowiedział cztery zdania. Rezydujący dwa piętra wyżej Jurij zaklął i bez pożegnania odłożył słuchawkę.

Wcisnął na komórce guzik szybkiego wybierania.

- Cześć, Jurij.
- Dzień dobry. Niestety, mam złe wieści, panie prezesie. Węszą dookoła naszego człowieka.

-Kto?

- Ludzie Tyszkiewicza.

97

Milczenie.

- Musimy dowiedzieć się, o co chodzi.
- Oczywiście.
- U źródła.
- Tak jest.
- Działaj.
- Natychmiast.

20.

- A więc twierdzisz, że czeka nas katastrofa.
 - Owszem. Jakoś wierzę w ten raport.
- 1 dlatego zmykamy z Warszawy.

- O ile przewidywania raportu spełnią się choć w części, tylko w Wiejskim Domku mamy szansę to przeżyć.

Dojeżdżali do Piaseczna. Droga była przejezdna, śladem po niedawnej nawałnicy były już tylko dwumetrowe hałdy odgarniętego śniegu zalegające na poboczach. Odkąd zrobili zakupy, zapakowali samochód zapasami i ruszyli w drogę, Tyszkiewicz mówił non stop przez dwadzieścia minut. Opowiedział o raporcie Wicherka, o rozwiązaniu zespołu i o swoich wątpliwościach. Nie powiedział wszystkiego. Część informacji, a także wniosków zatrzymał dla siebie. Nie z powodu dbałości o przestrzeganie tajemnicy służbowej, już dawno uznał, że poddanie swoich pomysłów i przemyśleń dotyczących niektórych spraw pod ocenę Heleny przynosiło czasami spore korzyści. Mógł liczyć na jej ostry jak brzytwa umysł, zdolność trzeźwej oceny sytuacji, a przede wszystkim dostrzegania różnych, czasami głęboko ukrytych znaków. Po prostu, gdy tylko mógł, wystrzegał się przynoszenia pracy do domu. Starał się utrzymywać zdrowy rozdział tego, co służbowe, od tego, co prywatne. Dlatego oszczędził Helenie szczegółów śledztwa.

Po wysłuchaniu relacji Helena bez słowa sięgnęła po telefon i zadzwoniła do rodziców. Pełnym troski głosem potwierdziła odwołanie wspólnej Wigilii i kilkakrotnie powtórzyła prośbę o dokonanie solidnych zakupów na co najmniej dziesięć dni. Szczegółowo uzgodniła listę potrzebnych rzeczy, kilkakrotnie upewniając się, czy wszystko zostało przez starszych państwa właściwie zrozumiane.

98

Tyszkiewicz przysłuchiwał się tej wymianie zdań z mieszaniną irytacji i zazdrości. Denerwowała go powolność starszych ludzi, nienadążanie za światem, apodyktyczne opinie dotyczące ich małżeństwa. Ale zazdrościł Helenie tego, że w ogóle ma z kim o tych sprawach dyskutować. Jego rodzice nie żyli od piętnastu lat.

Helena z westchnieniem odłożyła słuchawkę.

- Zrozumieli? - zapytał.

- Nie jestem pewna. Przecież nie mogłam im powiedzieć o raporcie - uśmiechnęła się smutno. - Ale chyba się trochę przejęli. Już byli w sklepie, obiecali, że pójda jeszcze raz.

Spojrzał na nią. Po raz kolejny zachwyił się delikatnym profilem i po raz kolejny stwierdził, że jest szczęściarzem. Cholernym szczęściarzem. Zdażył się już nawet przyzwyczać do towarzyszącego tego typu konstatacjom zdumienia.

Minęli Piaseczno. Droga zrobiła się węższa i gorzej odśnieżona. Jechali wzdłuż torów starej, nieczynnej kolejki wąskotorowej, po czym minawszy Zalesie Dolne, skręcili w lewo, na południe. Ostrożnie wyprzedzili jadący wolno pług śnieżny.

Samochód kolebał się na coraz mniej równym podłożu, wszystkie systemy wspomagające kierowcę pracowały pełną parą.

Przejechanie ostatnich ośmiu kilometrów zajęło im niemal dwadzieścia minut.

Rzadko spotykali na drodze samochody, zwalniali wtedy do prędkości piechura, a i tak manewr mijania dostarczał sporo emocji. W ich stronę nie jechał nikt.

W końcu dotarli do wsi, w której znajdował się Wiejski Domek. Zgodnie z przewidywaniami Tyszkiewicza, poza z grubsza odśnieżoną główną, przecinającą osadę szosą, okolica pokryta była prawie metrowej grubości śnieżną czapą. Jaskrawa,

gładka biel śnieżnego całunu rozświecała ciemności, odbijała światło księżyca. Jakub doszedł do wniosku, że mogliby jechać bez włączonych reflektorów. I nigdy nie wracać do cywilizacji.

- Do domu oczywiście nie dojedziemy - powiedział. Dom zlokalizowany był o dobre sto metrów od głównej drogi. Prowadziła do niego zwirowa dróżka, przez nikogo oprócz nich nieużywana. Sąsiedzi - nader względne pojęcie w tej słabo zaludnionej wsi, zwłaszcza w miejskich kategoriach - znajdowali się w sporej odległości i mieli własne dojazdy. - Zostawimy samochód przy szosie, weźmiemy lekkie rzeczy i pójdziemy na piechotę. Ty zaczniesz rozpałać, a ja odśnieżę podjazd.

99

- Świetny plan, kapitanie.

- Wykonać, kapralu.

-Tak jest. Wykonuję. Z przyjemnością. Natychmiast.

Jakub zatrzymał samochód na poboczu, wbijając go w śnieg. Tył auta sporo wystawał na drogę, ale Tyszkiewicz uznał, że większym ryzykiem jest zakopanie się w śniegu niż to, że ktoś im wjedzie w bagażnik. Ruch na szosie był znikomy.

Gdy wyszli, zapadli się po pas. Pies, ciężki olbrzym o imieniu Yamato, miał wyraźne trudności z utrzymaniem łba ponad śniegiem, ale parsknął wesoło, całą sytuację traktując jak niezłą zabawę. Gdy doszli do domu, oboje dyszeli mocno, Yamato natomiast wyglądał na zachwyconego.

Z reguły cała trójka czuła się w Wiejskim Domku doskonale, leniwie płynący czas i otaczające wieś sosnowe lasy sprawiały, że życie wydawało się zupełnie czymś innym niż w zabieganej, złej i sfrustrowanej Warszawie. Z wyjątkiem ostatniego, to właśnie tutaj powstawały najlepsze obrazy Heleny.

Dom przywitał ich chłodem, jakiego nie powstydziliby się wewnątrz lodowca, ale Tyszkiewicz wiedział, że ten stan się szybko zmieni. Jeżeli gdzieś mają przeżyć nadchodzące wydarzenia, Wiejski Domek stwarzał najpewniejsze szanse. Zbudowany w zeszłym roku, od początku pomyślany był jako niezależny od świata azyl. Miał własne ujęcie wody, niezależne od elektryczności czy gazu ogrzewanie kominkiem z rozprowadzeniem gorącego powietrza i generator prądu. Wszystko zostało zaprojektowane i wykonane z dbałością o maksymalną energooszczędność.

Przez godzinę pracowali w pocie czoła. Za pomocą spalinowego pługu Jakub odśnieżył drogę prowadzącą od głównej szosy do domu, po czym wprowadził samochód do garażu i rozpakował go. W kącie spoczęły cztery dwudziestolitrowe kanistry z ropą, dwudziestoczerogodzinny zapas paliwa do generatora prądu. Helena rozpałała w kominku. Była mistrzynią tej czynności, osiągnięcia Jakuba w tej materii z reguły sprowadzały się do, przejściowego co prawda, uczynienia z Wiejskiego Domku lokalnej odmiany wędzarni. Wspólnie ułożyli w spiżarni zapasy.

Około dziewiątej wieczorem w domu było całkiem ciepło, ogień buzował w kominku, Yamato pochrapywał na swoim posłaniu. Noc była mroźna i wyjątkowo jasna, krajobraz jak z bajki.

Odkorkowali wino. Przed kominkiem położyli zakupioną w zeszłym roku niedźwiedzią skórę.

100

Zanim zanurzyli się w sobie, Jakub pomyślał, że właśnie tak wygląda szczęście.

21.

- Tolak. Numer dziewiętnaście, trzydzieści sześć, zero trzy.
- To Smotrycz przeszukuje zasoby.
- Jego zawód polega na szukaniu w sieci różnych rzeczy.
- Bardzo dowcipne. Przede wszystkim szukał informacji o tobie. Zapewne coś znalazł.

Tolak skrzywił się. Pierwsza dekonspiracja. Trochę za szybko.

- Ale to nie wszystko. Teraz szuka informacji jeszcze o kimś. Znalazł coś interesującego. Nawet my o tym nie wiedzieliśmy - rozmówca wymienił nazwisko. Tolak cmoknął z podziwem. - Idź do Smotrycza i pogadaj z nim.

- Wszystko się sypnie.

- Już się sypnęło. Masz coś jeszcze?

-1 tak, i nie. Zespół Tyszkiewicza został rozwiązany - Tolak szczegółowo opowiedział o decyzji naczelnika i raporcie Wicherka. - Wydaje mi się, że żadne z nich nie było zaskoczone.

- Nic dziwnego. Załapali, że sprawa ich przerosła. Ale to nie zmienia twojego podstawowego zadania. Jedź do Smotrycza.

- Rozumiem. Pojadę.

22.

- Chodzi o mnie?

- Skąd - Krzeptowski uśmiechnął się szeroko. - Myślisz, że mógłbym cię sprawdzać?

- Ty mi powiedz.

- Nie mógłbym.

- Kłamczuch. Ale miły...

- Nie kłamię - powiedział, poważniejąc.

Jadwiga stała w progu kuchni, opierając się o framugę. Przekrzywiła głowę i przyglądała się Krzeptowskiemu z zainteresowaniem. Coraz

101

większym. Krzeptowski poczuł wibrowanie komórki w kieszeni. Gdy odczytał treść esemesa, zmarszczył brwi.

- To o kim mowa?

Krzeptowski zastanowił się. Nie mógł na razie powiedzieć prawdy.

- Muszę wyjść. Wrócę za godzinę. Lub dwie.

23.

Strzelec zawsze był punktualny. Cierpliwość natomiast nie była jego wrodzonym darem, ale nauczył się jej. Te cechy, oprócz czysto profesjonalnych umiejętności, stanowiły nieodłączne atrybuty jego zajęcia.

Specyfika najbliższego zadania wymagała jednak zastosowania taktyki polegającej na szybkim uderzeniu, a nie długim oczekiwaniu. Strzelec nie mógł sobie pozwolić na wcześniejsze zajęcie pozycji i cierpliwe trwanie, ryzyko wykrycia stanowiska przez ochronę obiektu stanowiącego cel zadania było bowiem zbyt duże. Strzelec musiał zjawić się na miejscu nie wcześniej niż kilka minut przed akcją, przeprowadzić ją i zniknąć, korzystając z powstałego w jej wyniku zamieszania.

Plan ten, prosty w teorii, niósł za sobą wielotygodniowe przygotowania wielu ludzi, z

których nikt, poza koordynatorem, nie zdawał sobie sprawy, fragmentem jakiej całości są poszczególne zadania. Najważniejszą kwestią było określenie dokładnej godziny i miejsca uderzenia. Tu z pomocą przyszedł przypadek, obiekt zaplanował bowiem przedświąteczną uroczystość w miejscu i czasie najbardziej dogodnym z punktu widzenia planów koordynatora, po czym podał to do publicznej wiadomości. Ustalono zatem miejsce akcji. Dla potrzeb strzelca przygotowano kilka wariantów przykrywki, pod którą będzie występował, kilka podrasowanych samochodów, którymi (wariantowo) będzie opuszczał miejsce zdarzenia, a także komplet dokumentów, identyfikatorów i elektronicznych kart dostępu.

Uderzenie miało nastąpić o dziewiętnastej czterdzieści pięć. Trzy kwadranse przed tym terminem strzelec wszedł do wynajętego mieszkania znajdującego się o pół kilometra od dachu biurowca, który przez cztery decydujące minuty będzie jego stanowiskiem.

Strzelec przebrał się w efektowny, kolorowy strój, stanowiący ostatni krzyk mody w bieżącym sezonie, następnie okręcił się kilkoma

102

większym. Krzeptowski poczuł wibrowanie komórki w kieszeni. Gdy odczytał treść esemesa, zmarszczył brwi.

- To o kim mowa?

Krzeptowski zastanowił się. Nie mógł na razie powiedzieć prawdy.

- Muszę wyjść. Wróć za godzinę. Lub dwie.

23.

Strzelec zawsze był punktualny. Cierpliwość natomiast nie była jego wrodzonym darem, ale nauczył się jej. Te cechy, oprócz czysto profesjonalnych umiejętności, stanowiły nieodłączne atrybuty jego zajęcia.

Specyfika najbliższego zadania wymagała jednak zastosowania taktyki polegającej na szybkim uderzeniu, a nie długim oczekiwaniu. Strzelec nie mógł sobie pozwolić na wcześniejsze zajęcie pozycji i cierpliwe trwanie, ryzyko wykrycia stanowiska przez ochronę obiektu stanowiącego cel zadania było bowiem zbyt duże. Strzelec musiał zjawić się na miejscu nie wcześniej niż kilka minut przed akcją, przeprowadzić ją i zniknąć, korzystając z powstałego w jej wyniku zamieszania.

Plan ten, prosty w teorii, niósł za sobą wielotygodniowe przygotowania wielu ludzi, z których nikt, poza koordynatorem, nie zdawał sobie sprawy, fragmentem jakiej całości są poszczególne zadania. Najważniejszą kwestią było określenie dokładnej godziny i miejsca uderzenia. Tu z pomocą przyszedł przypadek, obiekt zaplanował bowiem przedświąteczną uroczystość w miejscu i czasie najbardziej dogodnym z punktu widzenia planów koordynatora, po czym podał to do publicznej wiadomości. Ustalono zatem miejsce akcji. Dla potrzeb strzelca przygotowano kilka wariantów przykrywki, pod którą będzie występował, kilka podrasowanych samochodów, którymi (wariantowo) będzie opuszczał miejsce zdarzenia, a także komplet dokumentów, identyfikatorów i elektronicznych kart dostępu.

Uderzenie miało nastąpić o dziewiętnastej czterdzieści pięć. Trzy kwadranse przed tym terminem strzelec wszedł do wynajętego mieszkania znajdującego się o pół kilometra od dachu biurowca, który przez cztery decydujące minuty będzie jego stanowiskiem.

Strzelec przebrał się w efektowny, kolorowy strój, stanowiący ostatni krzyk mody w bieżącym sezonie, następnie okręcił się kilkoma

102

zwojami bardzo grubego szala, dzięki czemu wyglądał na znacznie cięższego. Na to wszystko wcisnął kombinezon służb technicznych jednego z koncernów telekomunikacyjnych. Dziesięć minut poświęcił na charakteryzację: doklejona bródka, brązowe szkła kontaktowe, specjalna masa plastyczna wypychająca policzki i całkowita zmiana figury sprawiły, iż strzelec, spojrzawszy w lustro, aż gwizdnął z podziwu. Gdy założył podwyższające buty, jego obraz był całkowitym przeciwieństwem prawdziwej osoby. Teraz jawił się jako wysoki, barczysty, piwnooki drab z kozią, niechlujnie przyciętą bródką. Kilka przysiadów i skrętów tułowia uświadomiło strzelcowi, iż przebranie w pewnym stopniu kępuje swobodę ruchów. Nie były to jakieś wielkie ograniczenia, ale zapamiętał je. Takie szczegóły mogły współdecydować o sukcesie lub niepowodzeniu akcji.

Jeszcze raz przejrzał się w lustrze, westchnął, założył pikowaną kurtkę z logo operatora telekomunikacyjnego, wziął do ręki skrzynkę z narzędziami, zgasił światło i opuścił mieszkanie.

Wyszedł o dziewiętnastej dwadzieścia pięć. Droga zajęła siedem minut. Gdy wszedł do jasno oświetlonego hallu biurowca, aż zmrużył oczy. Po lewej stronie, za obszernym kontuarem recepcyjnym siedział znużony ochroniarz i oglądał telewizję, niespecjalnie się nawet z tym kryjąc. Był czas przedświąteczny, strzelec był gotów się założyć, że ostatni, ci najbardziej ambitni pracownicy opuścili ten nowoczesny, prestiżowy budynek, usytuowany w jednej z najbardziej atrakcyjnych lokalizacji w Warszawie, co najmniej dwie godziny temu. Jednak to nie pracownicy mieli stanowić zasadniczą przeszkodę na drodze strzelca.

Obok recepcji stał wysoki, krótko ostrzyżony mężczyzna. Chłodnym wzrokiem otaksował przybysza.

- Cześć - strzelec przywołał na twarz szeroki uśmiech. Starał się mówić cicho, niezbyt wyraźnie i ukrywać prawdziwą barwę głosu. - Szefostwo nas nie lubi, no nie?

- W jakiej sprawie? - warknął ochroniarz. Najwyraźniej nie miał poczucia humoru.

- Mówię, że szefostwo nas nie lubi, no bo komu wlepią się służbę tuż przed Wigilią? - strzelec podszedł do blatu i sięgnął za pazuchę. Wyciągnął identyfikator. Nie rezygnował z wesołego tonu. Nadal mówił cicho. - Jak jest jakaś awaria albo coś, to zawsze mnie, kurczę, wysyłają. Jak w święta coś nawali, to też przyjadę.

103

- W jakiej sprawie? - powtórzył pytanie strażnik. Strzelec już wpadł na to, dlaczego tamten jest zły. Po prostu nie lubił odrywać się od ulubionego serialu. Albo dobranocki. Stojący obok mężczyzna nie odzywał się słowem.

- Awaria przekaźnika. Nie dzwonili od nas?

- Strażnik niechętnie oderwał wzrok od ekranu i zaczął grzebać w szufladzie.

- Faktycznie - mruknął. - Dzwonili. Proszę tam stanąć - wskazał miejsce przed kontuarem. Oderwał się od krzesła, wziął do ręki podłużny, czarny przedmiot, okrążył recepcję i niespiesznie przejechał urządzeniem wzdłuż boków strzelca. Zbadał nogi, tułów, barki, ramiona. Nic. Wykrywacz metalu milczał jak zaklęty.

Strażnik spojrzął na wysokiego mężczyznę. Ten podszedł do strzelca, uważnie obejrzał identyfikator, porównując zdjęcie ze stojącym przed nim oryginałem. Wziął do ręki narzędziową skrzynkę, niespiesznie przejrzał jej zawartość, zwrócił strzelcowi, po czym nieznacznie skinął głową.

- Winda druga, ósme piętro - powiedział strażnik.

- Dzięki.

Zadźwięczał brzęczyk, szklana bramka uchyliła się i strzelec przeszedł do holu windowego. Wszedł do kabiny, drzwi zamknęły się i winda ruszyła. Wysoki mężczyzna powiedział kilka słów do umieszczonego w rękawie mikrofonu.

Strzelec odetchnął, starając się stać w samym centrum pola widzenia umieszczonej pod sufitem kamery. Podróż trwała krótko. Coś uwierało go w bucie. Tupnął nogą.

Gdy otworzyły się drzwi, ujrzał stojącego na wprost drugiego mężczyznę, jakby brata bliźniaka czuwającego przy recepcji funkcjonariusza.

Strzelec ponownie uśmiechnął się szeroko.

- Czolem - powiedział. Wyciągnął identyfikator. - Ja do pomieszczenia osiemset pięćdziesiąt. Do serwerowni.

Mężczyzna, wzorem kolegi z dołu, bez słowa wziął identyfikator, obejrzał go, po czym pokazał brodą lewą stronę korytarza.

- Znam drogę - powiedział strzelec, ruszając.

Ochroniarz zignorował tę deklarację i ruszył pół kroku za nim. Gdy doszli do pomieszczenia serwerowni, strzelec wyciągnął kartę magnetyczną otwierającą wszystkie drzwi w budynku chronione systemami kontroli dostępu. Przeciągnął kartę przez czytnik, po czym wystukał

104

czterocyfrowy kod. Nic. Lampka nadal paliła się na czerwono. Ponowił próbę. Z tym samym skutkiem.

Strzelec odwrócił się do ochroniarza i uśmiechnął się przeproszająco.

- To mi się czasami zdarza - powiedział.

- Jeszcze jedna próba i zmykasz stąd - odezwał się w końcu tamten. Głos miał wysoki, niemal chłopięcy.

- Wiem, wiem - strzelec spojrzął porozumiewawczo, jak profesjonalista na profesjonalistę. - Mam kłopoty z zapamiętywaniem PIN-ów. To skutki roboty rozrzuconej po całym mieście. Ale w notesie... - zawiesił głos i sięgnął do metalowej skrzynki z narzędziami.

Gdy prawa ręka wynurzyła się ze skrzynki, zamiast notesu tkwił w niej śrubokręt z dwudziestocentymetrowym, naostrzonym szpikulcem. Strzelec płynnym ruchem wbił go w gardło stojącemu o krok ochroniarzowi, po czym popchnął go, podcinając prawą nogą. Mężczyzna upadł, trzymając się za szyję. Chrapał i chrząkał, dławiąc się krwią. Strzelec złapał go za głowę i zdecydowanym ruchem skrzył mu kark.

Ochroniarz kopnął dwa razy w podłogę i zastygł.

Morderca. Najemny zbir, pomyślał strzelec.

I nie była to myśl dotycząca ochroniarza.

Przez chwilę dyszał i nasłuchiwał. Ciszka. Dzięki informacjom zebranych przez ludzi koordynatora wiedział, że korytarze na piętrach biurowych nie są monitorowane

przez kamery. Przy odrobinie szczęścia zabójstwo ochroniarza przez jakiś czas pozostanie niezauważone.

Przy czym ten czas nie będzie zbyt długi.

Wstał, przeciągnął kartą przez czytnik kontroli dostępu, wstukał tym razem prawidłowy kod, złapał ochroniarza pod pachy i sapiąc z wysiłku, wniósł do pomieszczenia serwerowni. Zamknął za sobą drzwi. Ułożył martwego mężczyznę pod ścianą, a sam zanurkował na podłogę, tuż koło potężnej szafy, w której z szumem pracowały serwery.

Pomiędzy szafą a podłogą było dziesięć centymetrów pustej przestrzeni osłoniętej solidnie przykręconą, stalową blachą. Strzelec, zgodnie z instrukcją, nacisnął mocno na maskownicę. Rozległo się ciche kliknięcie, blacha cofnęła się nieco i odskoczyła z cichym trzaskiem. Strzelec schylił się i sięgnął głęboko pod szafę. Z ulgą wymacał owinięty w brezent pakunek. Wyciągnął go i rozpakował. Metal zaśnił matowo w świetle lamp. Kilkoma płynnymi ruchami strzelec złożył

105

broń, w łożę wsunął magazynek, podczepił dwójnóg, na lufę nakręcił tłumik, po czym przewiesił karabin przez plecy.

Ostrożnie uchylił drzwi. Nikogo.

Gdy wyszedł ponownie na korytarz, spojrzął na zegarek. Dziewiętnasta trzydzieści dziewięć. Szybkim krokiem poszedł do końca korytarza. Znajdowały się tam drzwi do klatki schodowej prowadzącej na górę, na piętro techniczne.

Karta, PIN, czytnik kontroli dostępu. Czerwona lampka zmieniła kolor na zielony, nikły trzask i drzwi stanęły otworem. Strzelec ostrożnie przekroczył próg. Cicho ruszył do góry. Wiedział, że będzie miał do czynienia z dalszymi dwoma funkcjonariuszami ochrony, zabezpieczającymi spokojny przebieg uroczystości na dziedzińcu pałacu zlokalizowanego czterysta metrów dalej. Ukrytych, czujnych i połączonych ze sobą bezpośrednimi kanałami łączności.

Przed akcją strzelec miał sposobność zapoznać się z dokładnymi planami budynku, ze szczególnym uwzględnieniem ostatnich kondygnacji i dachu. Wytypował kilka miejsc, w których zabezpieczający teren ochroniarze mogliby się ukryć. Na dach prowadziły drzwi będące zwieńczeniem schodów, którymi strzelec się właśnie poruszał. Założył, że jeden z funkcjonariuszy siedzi ukryty za niewielkim murkiem oporowym i ma drzwi na oku, a jednocześnie dobry widok na boki. Jego kolega patroluje teren, robiąc obszerne koło wzdłuż owalnego obwodu budynku. Strzelec wyliczył, że jedno takie okrążenie zajmuje co najmniej pięć do siedmiu minut. Te kalkulacje, jak i kilka innych możliwych wariantów kryjówek czy stanowisk ochroniarzy, mogły się zresztą okazać całkowicie mylne.

Strzelec dotarł do końca schodów i stanął przed stalowymi drzwiami. Huk znajdujących się za ścianą urządzeń klimatyzacyjnych zagłuszał wszelkie możliwe dźwięki. Strzelec zaczął się wdrapywać po drabince przyklepionej do ściany tuż koło wyjścia na dach budynku. Gdy dotarł na miejsce, wyciągnął rękę i dotknął masywnej, stalowej klapy zabezpieczonej potężną kłódką. Zamkniętą.

Dobry znak. Oznacza, że żaden z funkcjonariuszy nie przebywa na dachu pomieszczeń klimatyzatorowni.

Ostrożnie wyjął z kieszeni klucz, wsadził do zamka kłódki i przekręcił. Ramię

odskoczyło z cichym trzaskiem, a strzelec uświadomił sobie, że od dłuższego czasu wstrzymywał oddech. Powoli wypuścił powietrze.

106

broń, w łożę wsunął magazynek, podczepił dwójnog, na lufę nakręcił tłumik, po czym przewiesił karabin przez plecy.

Ostrożnie uchylił drzwi. Nikogo.

Gdy wyszedł ponownie na korytarz, spojrzął na zegarek. Dziewiętnasta trzydzieści dziewięć. Szybkim krokiem poszedł do końca korytarza. Znajdowały się tam drzwi do klatki schodowej prowadzącej na górę, na piętro techniczne.

Karta, PIN, czytnik kontroli dostępu. Czerwona lampka zmieniła kolor na zielony, nikły trzask i drzwi stanęły otworem. Strzelec ostrożnie przekroczył próg. Cicho ruszył do góry. Wiedział, że będzie miał do czynienia z dalszymi dwoma funkcjonariuszami ochrony, zabezpieczającymi spokojny przebieg uroczystości na dziedzińcu pałacu zlokalizowanego czterysta metrów dalej. Ukrytych, czujnych i połączonych ze sobą bezpośrednimi kanałami łączności.

Przed akcją strzelec miał sposobność zapoznać się z dokładnymi planami budynku, ze szczególnym uwzględnieniem ostatnich kondygnacji i dachu. Wytypował kilka miejsc, w których zabezpieczający teren ochroniarze mogliby się ukryć. Na dach prowadziły drzwi będące zwieńczeniem schodów, którymi strzelec się właśnie poruszał. Założył, że jeden z funkcjonariuszy siedzi ukryty za niewielkim murkiem oporowym i ma drzwi na oku, a jednocześnie dobry widok na boki. Jego kolega patroluje teren, robiąc obszerne koło wzdłuż owalnego obwodu budynku. Strzelec wyliczył, że jedno takie okrążenie zajmuje co najmniej pięć do siedmiu minut. Te kalkulacje, jak i kilka innych możliwych wariantów kryjówek czy stanowisk ochroniarzy, mogły się zresztą okazać całkowicie mylne.

Strzelec dotarł do końca schodów i stanął przed stalowymi drzwiami. Huk znajdujących się za ścianą urządzeń klimatyzacyjnych zagłuszał wszelkie możliwe dźwięki. Strzelec zaczął się wdrapywać po drabince przyklepionej do ściany tuż koło wyjścia na dach budynku. Gdy dotarł na miejsce, wyciągnął rękę i dotknął masywnej, stalowej klapy zabezpieczonej potężną kłódką. Zamkniętą.

Dobry znak. Oznacza, że żaden z funkcjonariuszy nie przebywa na dachu pomieszczeń klimatyzatorowni.

Ostrożnie wyjął z kieszeni klucz, wsadził do zamka kłódki i przekręcił. Ramię odskoczyło z cichym trzaskiem, a strzelec uświadomił sobie, że od dłuższego czasu wstrzymywał oddech. Powoli wypuścił powietrze.

106

Otworzył klapę i wyszedł na zewnątrz. Znajdował się pięć metrów powyżej ostatniej kondygnacji budynku, na dachu niewielkiej przybudówki mieszczącej urządzenia klimatyzacyjne. Ostrożnie wychylił się znad krawędzi. Z ulgą stwierdził, że zgodnie z przewidywaniami pierwszy z funkcjonariuszy tkwi na wprost drzwi, jest zmarznięty i leniwie rozgląda się dookoła.

Było jasno, światło ulicznych latarni odbijało się od śniegu, księżyc dokładał swoje. Strzelec przebiegł skulony na drugą stronę budyneczku i bez większych problemów dostrzegł drugiego ochroniarza stojącego po przeciwległej stronie budynku i

patrzącego na majestatyczny gmach Teatru Wielkiego, znajdujący się nie dalej niż o pięćdziesiąt metrów od biurowca.

Spojrzał na zegarek. Dziewiętnasta czterdzieści trzy. Zerknął na oddalony o czterysta metrów cel. Uroczystość w pałacu dobiegała końca. Odpiął z paska karabin.

Heckler & Koch MSG 90A1. Dobra, ciężka broń.

Ponownie wyrzwał zza krawędzi. Ochroniarz zbliżył się o dobre trzydzieści metrów. Szedł wolno i patrzył przed siebie; była szansa, że przez kilka sekund nie dostrzeże wychylonego i złożonego do strzału strzelca znajdującego się kilkadziesiąt metrów dalej i co najmniej trzy metry powyżej linii wzroku.

Kilka sekund wystarczyło. Strzelec pociągnął za spust, karabin fuknął, ochroniarz wyrócił się na plecy. Miał go jeszcze przez chwilę na celowniku, ale tamten nie poruszył się więcej. Jak na strzał z ręki, w stresie i w nocy, skutek był więcej niż zadowalający.

Strzelec poderwał karabin i przebiegł na drugą, właściwą stronę przybudówki.

Pierwszy ochroniarz nadal tkwił schowany za murkiem oporowym. Wyglądało na to, że niczego nie usłyszał. Strzelec błyskawicznie ocenił dystans. Piętnaście metrów.

Rzucił trzymany w ręku śrubokręt szerokim łukiem. Narzędzie spadło na lewo od funkcjonariusza ochrony, wywołując hałas. Ochroniarz poderwał głowę, patrząc w przeciwną stronę. Strzelec szybkim ruchem wychylił się ponad krawędź. Wycelował w ciągu sekundy i dwukrotnie pociągnął za spust. Tamten kwiknął i zniknął za murkiem.

Zostało niewiele czasu. Alarm spowodowany zniknięciem z eteru trzech ochroniarzy jest kwestią najwyżej minuty.

Strzelec położył się na dachu przybudówki. Oparł karabin na dwój-nogu. Wyjętym z kieszeni aerometrem sprawdził siłę wiatru. Spojrzał

107

przez celownik. Nitki błędziły chwilę wśród tłumu gości, po czym wychwyciły obiekt wysforowany do przodu i kończący przemówienie. Teren był jasno oświetlony. Strzelec odetchnął kilka razy. Głęboko. Długo. Spokojnie.

Strzał.

Lecąca z prędkością dwóch tysięcy dwustu kilometrów na godzinę kula potrzebowała jednej trzeciej sekundy do przebycia dystansu dzielącego strzelca od celu. Minęła o kilka centymetrów kamienne rzeźby wieńczące gzyms jednego z zabytkowych i pięknie odrestaurowanych budynków stojących wzdłuż Krakowskiego Przedmieścia, przeleciała nad ulicą, wpadła pomiędzy żelazne sztachety wysokiego ogrodzenia otaczającego pałac, w mgnieniu oka pokonała kawałek dziedzińca i trafiła w cel.

Prosto w oko.

Śmierć na żywo, pomyślał strzelec. Marzenie milionów. Dzisiaj spełnione.

Przez chwilę nie działo się nic. Strzelec oderwał oko od celownika i spojrzał w stronę celu. Po sekundzie bezruchu na dziedzińcu pałacu zakotłowało się. Ochrona rzuciła się w stronę zastrzelonego mężczyzny, poniewczasie osłaniając go przed następnymi kulami. Tłum zgromadzony na uroczystości zaczął krzyczeć i rozbiegać się w panice. Stratowano kamery i obsługujących imprezę dziennikarzy.

Strzelec już tego nie widział. Z pakunku, w którym wcześniej znajdował się karabin,

wyciągnął pięćdziesięciometrowy zwój liny wraz z uprzężą i karabińczykami. Skoczył w stronę klapy. Pokonanie piętnastu szczebelków zajęło mu trzy sekundy. Otworzył stalowe drzwi. Wybiegł na dach i skierował się w prawo, w stronę pierwszego zabitego ochroniarza. Minął go biegiem. Po następnych kilkunastu sekundach ostrego sprintu - musiał obieć budynek niemal dookoła - osiągnął jego zachodnią pierzeję. Zatrzasnął karabińczyk z podwójnym bloczkiem na stalowej barierze okalającej dach. Błyskawicznie włożył na siebie uprzęż, przypiął karabińczyk, przeciągnął linę przez bloczek. Resztę zwoju zrzucił na dół. Sześć kondygnacji to jakieś dwadzieścia metrów. Zjazd na linie doświadczonemu taternikowi zająłby może dziesięć sekund. Strzelec nie miał taterniczego doświadczenia, ale był sprawny fizycznie i zdeterminowany. Znalazł się na chodniku po niecałych dwunastu sekundach.

108

Ruszył biegiem w stronę ulicy Wierzbowej, po drodze wyplątując się z uprzęży i zwijając linę, którą szarpnięciem ściągnął na dół. Gdy biurowiec zniknął mu z oczu, zwolnił nieco, aż przeszedł do normalnego marszu. Zdjął kurtkę, wy dostał się z kombinezonu (zatraski w nogawkach niesłychanie ułatwiły tę operację) i odkręcił szal. Wyjął soczewki kontaktowe, odkleił bródkę, wyjął z ust masę plastyczną wypychającą policzki.

Po minucie osiągnął Senatorską. Nacisnął guzik schowanego w kieszeni pilota. Bagażnik stojącej na chodniku starej skody posłużył za tymczasowy schowek na wszelkiego rodzaju obciążające rekwizyty, z glockiem na czele. Za minutę jeden z ludzi koordynatora posłużył się drugim kompletem kluczyków i odjedzie skodą, która jeszcze tego samego wieczoru zniknie na zawsze.

Strzelec, uwolniony od swojego przebrania, całkowicie przemieniony, przeszedł kilkadziesiąt metrów i sięgnął po drugiego pilota. Audi A6 allroad quattro błysnął światłami. Strzelec zajął miejsce za kierownicą, uruchomił silnik i odjechał w stronę placu Bankowego i alei Solidarności, starannie przestrzegając przepisów kodeksu drogowego.

Dopiero minawszy Żelazną, roześmiał się głośno.

Histeria. Ustępująca panika.

Spokój.

24.

- Jasna cholera! - zaklął Smotrycz. Puszka szynki wyślizgnęła mu się z rąk, uderzyła w stopę i poturlała pod szafkę. Mruczając pod nosem szyderczą opinię na temat swoich talentów organizacyjnych, ukląkł i zaczął gmerać pod meblem w poszukiwaniu krnąbrnej konserwy.

Zanim przyszedł do domu i zaczął na prośbę Krzeptowskiego przeczesywać sieć, dwa razy był w sklepie. Wzbudził zdziwienie i rozbawienie personelu, kupując spory zapas świec, kilka grubych koców, plastikowe kanistry na wodę i porcję jedzenia wystarczającą dla plutonu wojska. Wydał niemal całą pensję, co zresztą skwitował wzruszeniem ramion. Na pytanie ekspedientki, czy zamierza spędzić święta na Alasce, odparł z poważną miną, że owszem, ponieważ nie zamierza zamarznąć, a jej radzi zrobić to samo.

Stwierdzenie wywołało szczery i otwarty śmiech.

Teraz kończył układać zapasy i myślał intensywnie nad tym, co znalazł w pewnym trudno dostępnym pliku umieszczonym na starannie ukrytym policyjnym serwerze.

Po raz kolejny potwierdziło się, że przypuszczenia Krzeptowskiego, jakkolwiek często oparte wyłącznie na intuicyjnym „bo mi się wydaje”, okazują się trafne.

Facet ma nosa. Rasowy policyjny pies.

Trop był niejasny, zagmatwany i cuchnął jak zdechła ryba. Przynosił sporo pytań i niemal żadnych odpowiedzi. W sumie: gówno, nie trop.

Może dlatego nie dawał Smotryczowi spokoju.

Nagle zatrzymał się w połowie drogi pomiędzy kuchnią a pokojem. Przez głowę przemknęło mu skojarzenie - dziwne i karkołomne - z niedawno zasłyszаныmi plotkami.

Kilka tygodni temu gruchnęła w środowisku wieść, całkowicie nieoficjalna i przez zwierzchników dementowana, o jakiejś poważnej katastrofie, o kosmicznej wpadce służb, kompromitacji na skalę międzynarodową. Co dziwne, prasa i telewizja niczego nie wywęszyły, to znaczy wywęszyły, ale kręciły się dookoła własnego ogona. Jednak w policji nieoficjalne kanały informacji funkcjonują bardzo dobrze, więc z zasłyszanych aluzji, szczątkowych faktów i kontekstu można się było domyślić tego i owego.

Dlaczego te wydarzenia skojarzyły mu się z tą osobą? Nie wiedział.

Najprawdopodobniej był to ślepy tor. Ale mógł sprawdzić? Mógł. Miał ogromną ilość wolnego czasu i nic do roboty.

W mieszkaniu było gorąco, kaloryfery grzały, jakby chcąc nadrobić stracony czas.

Zdjął sweter, zatarł ręce i ponownie zabrał się do pracy. Gdy po dwudziestu minutach rozległo się pukanie do drzwi, był już niemal pewien, że skojarzenie było trafne.

Trop, który uchwycił, przewracał wszystkie dotychczasowe ustalenia śledztwa do góry nogami.

Był dowodem na to, że on i jego grupa wpadła w bagno po uszy.

Niebezpieczne. Śmiertelne.

Wysłał zaszyfrowanego e-maila. Wylogował się ze skrzynki. Z trudem oderwał wzrok od ekranu.

Pukanie powtórzyło się.

Myśląc o pięciu sprawach naraz, wstał i poszedł otworzyć.

110

25.

- Muszę ci coś powiedzieć - głos był cichy, ale Jakub otworzył oczy. Helena opierała się o wezglowie łóżka, posrebrzona blaskiem księżyca.

- Która godzina?

- Jedenasta.

- Matko boska, kobieto, daj żyć! Próbowałem usnąć.

- To ważne.

- Jakie by nie było, może poczekać do rana.

- Chyba już nie...

Ton głosu spowodował, że Tyszkiewicz usiadł, w ułamku sekundy pozbywając się

resztek snu.

-Mam... miałam... kogoś.

Poczuł ukłucie bólu, niemal fizycznego. Często myślał, jak zareaguje i co będzie czuł w takim momencie. Durna podświadomość podpowiadała, że nastąpi i właśnie, kurwa, nastąpił. Całe ich małżeństwo składało się z takiego oczekiwania, teraz w przeraźliwie krótkim momencie uświadomionego z całą mocą.

Wzmocnionego coraz wyraźniejszymi podejrzeniami.

Zerwał się na równe nogi. Czuł, że ogarnia go szaleństwo. Uporządkowany świat zawalił się, nim jeszcze zapadła cisza po wypowiedzianych przez Helenę słowach. Zdawał sobie sprawę, jak bardzo jest uzależniony. Od tembru głosu, zapachu skóry, uśmiechu, kruczoczarnych włosów odgarnianych przed oczu niecierpliwym dmuchnięciem...

Kochał jej ciało i duszę, rozum i talent. Kochał jej brak i jej obecność, choć to drugie rzecz jasna znacznie bardziej. Krótkie i rzadkie momenty rozstań znosił źle. Gdy była w Londynie czy Nowym Jorku, nabijał zyski operatorom telefonicznym, bez najmniejszego poczucia winy. Daleki głos zza oceanu był tylko marnym ekwiwalentem rzeczywistości, ale nie mógł się bez niego obejść w codziennych, niemal mistycznych rytuałach.

Teraz, być może, będzie się musiał obejść na dłużej.

Helena mówiła coś jeszcze.

- ...skończone...

- Co skończone?

- Ta sprawa... ta znajomość.

111

m

- Bardzo pocieszające. Nie wiem, czy chcę tego słuchać. - Chciał, pewnie, że chciał. Perwersja? Masochizm? Jasne. Tyle że, jeżeli kiedykolwiek ma nastąpić oczyszczenie, ogień musi wypalić ból do końca.

Do końca. Im szybciej, tym lepiej.

- Proszę...

- Po co?

- Bo to ciężar. Nie mogę tak dalej...

-1 chcesz, żebyśmy się nim podzielili?

- Nie kpij. I tak chyba za chwilę stracę rozum.

- Oczywiście. Nie to co ja. Ja się czuję świetnie. - Nie za bardzo mógł zdecydować: wściekłość czy żal? Urażona duma czy ból? Chęć ucieczki czy wzięcia Heleny w ramiona?

Agresja?

- Wiem, że nie. Cokolwiek bym powiedziała.

- Jasne. Znam?

- Owszem - zawahała się. Przez króciutką chwilę. - To... Zuzanna.

Agresja.

26.

Dzień nie chciał się skończyć.

Tolak był zły, zmarznięty i zmęczony. Dałby wiele, by przyłożyć głowę do poduszki w wynajętym - prosto urządzonym, ale przytulnym - służbowym mieszkanku i odpocząć. Rozkaz rzucił go jednak z powrotem do Śródmieścia.

Odpoczynek?

Nie teraz, kochany, nie teraz. Teraz trzeba zapierdalać, gdy ojczyzna wzywa.

Wysłużona octavia z trudem przebijała się przez częściowo tylko usunięte zaspy, opony co chwila traciły przyczepność. Mimo poprawy warunków jazdy Tolak dla własnego bezpieczeństwa nie przekraczał czterdziestu kilometrów na godzinę. Radio trzeszczało; zdecydowanym ruchem wyłączył je.

Myślał.

Informacje od przełożonych.

Zeznanie Winiarskiej.

112

Obserwacja zespołu Tyszkiewicza, począwszy od wczorajszego wieczoru.

Sens? Na razie niewielki.

Uzyskane wiadomości nie układały się w całość, stanowiły chaotyczną mozaikę fragmentów, w żaden sposób do siebie niepasujących. Być może informacja na temat przyczyn, dla których Smotrycz zaczął przeszukiwać sieć, szukając danych konkretnych osób - wliczając samego Tolaka - pozwoli dostrzec lub odkryć nowe fakty.

Może.

Dojechał na miejsce.

Późno, ulica jak wymarła. Typowy blok osiedla Za Żelazną Bramą, wysoki mrówkowiec z setkami mieszkań. Nieliczne rozjaśnione okna.

Wysiadł. Mróz zaatakował z mocą, rzekome ocieplenie w nocy nie obowiązywało.

Szybkim krokiem ruszył do wejścia i z ulgą znalazł się w środku. W holu było jasno i ciepło, więc wrażenie przytłaczającego ogromu nawet nie wydało się takie straszne.

Wsiadł do windy, wcisnął guzik piątego piętra. Podróż trwała krótko. Wysiadł, rozejrzał się i poszedł w prawo.

Gorąco, suwak kurtki w dół.

Mieszkanie Smotrycza trzecie w kolejności. Spokój korytarza. Jasne światło jarzeniówek. Dochodzący zza licznych drzwi bełkot telewizyjnych programów.

Instykt podniósł łeb i zaczął powarkiwać. Ręka powędrowała w kierunku służbowego glocka, wyciągnęła go, druga przeladowała. Gumowe podeszwy zimowych butów nie wytwarzały hałasu.

Tolak podszedł do drzwi mieszkania Smotrycza. Rozejrzał się na boki.

Cisza. Żywego ducha. '

Drzwi były najzwyczajniejsze w świecie, z płyty paździerzowej, z dwoma zamkami i śmiechu wartymi blokadami antywłamaniowymi, które nie były w stanie powstrzymać nawet najbardziej zielonego i nieudolnego włamywacza. Uważając, by nie znaleźć się w polu widzenia wizjera, inspektor ostrożnie nacisnął klamkę. Ku jego zaskoczeniu - choć instykt nadal powarkiwał i twierdził, że tak właśnie miało być - drzwi ustąpiły. Otworzył je delikatnie lewą ręką, w prawej wysoko dzierząc broń. W miniaturowym przedpokoiku nie paliło się światło.

113

k

Pusto.

Tolak zrobił krok i zjrzał do pokoju. Zobaczył zawalone papierami biurko, nieco dalej kanapę i zajmujący cały kąt wielki telewizor. Wszystko skąpane w łagodnym blasku stojącej przy biurku lampy, rzucającej rozproszone, miłe dla oka światło.

Uporządkowane wnętrze - w kategoriach starokawalerskich standardów głównego lokatora - przytulne i czyste. Żadnego bałaganu, żadnej przemocy, bezruch i spokój. Nie opuszczając pistoletu, przekroczył próg.

Usłyszał za sobą szelest ubrania. Zdażył wykonać pierwszą ćwiartkę półobrotu, gdy otrzymał potężny cios w głowę.

Nawet go nie poczuł, ponieważ natychmiast stracił przytomność.

27.

Zuzanna Cehak leżała w ciemności, ze wzrokiem wbitym w ledwie widoczny sufit. Sen nie nadchodził. Myślała o mijającym dniu,

o wszystkim, co się wydarzyło.

I o sobie.

Ona. Robocop w spódnicy. Kapitałny przykład niezależności. Chodzenia własnymi ścieżkami. Rezultat? Wojna.

Na wszystkich frontach. Z matką: o miłość, akceptację, o wolność w końcu. Z kolegami z pracy: o święty spokój, odrobinę szacunku, dojrzenia w niej czegoś więcej niż zgrabnego tyłka. Z przyjaciółmi: .. wojny brak, ponieważ przyjaciół brak. Chrzanić wojnę. To już nieważne. Wszystko, co miało zostać zrobione, zostało zrobione.

Wyjedzie. Jutro, z samego rana. Zabierze Zosię i pojedzie na południe. Gdzie oczy poniosą. Co ją tu trzymało? Nic.

Czyżby? A Helena?

Zamknęła oczy i przyszło wspomnienie. Słodkie. Bolesne. Dalekie.

I bliskie.

Zosia. I Helena.

114

Jutro wyjazd. Cena?

Nieistotna. Nie gra roli. Jest w kalkulowana. Zuzanna usnęła. Bez snów.

28.

Tolak wracał do przytomności powoli i niechętnie. Bolała go głowa.

Ból? Nie, to nie ból. Po prostu: głowa spadła z ramion, trzyma się reszty ciała tylko na kilku nitkach nerwów i te nerwy naciągnięte są ponad ludzką miarę. W środku dwie drużyny krasnoludków grają w baseball, raz po raz objając piłkę o wewnętrzną stronę czaszki.

Gdy mimo upiornego rwania z tyłu głowy spróbował otworzyć oczy, krasnoludki, choć wydawało się to niemożliwe, przyspieszyły grę, a obraz nie przynosił żadnych istotnych wiadomości - był rozmazany, szary i chwiały się niczym pijany.

Tolak podjął próbę wyparcia upierdliwych krasnali ze świadomości.

Prawie się udało. Prawie, bo o takiej dolegliwości nie sposób zapomnieć ot tak, na pstryknięcie palcami, jednak wieloletni trening zrobił swoje. Tolak policzył do

dziesięciu, potem znowu, następnie jeszcze raz. Zrobił w tym czasie kilka głębokich wdechów i ostrożnych, powolnych wydechów.

Otworzył oczy. Zamknął. Otworzył.

Rwanie przeszło w tępe ćmienie. Baseballiści zwolnili. Biorąc pod uwagę brak czasu na długi pobyt w sanatorium oraz niesprzyjające uzalaniu się nad sobą okoliczności, był w stanie warunkowo to zaakceptować.

Leżał na podłodze w pokoju, nie był skrupowany, miał rozpiętą kurtkę. Przypomniawszy sobie wszystko, co stało się przedtem. Drogę, jazdę windą, drzwi niezamknięte na klucz...

Czyje to mieszkanie? Ach tak, szedł do Smotrycza. Potem...

W polu widzenia nie było nikogo. Przekręcił się ostrożnie na plecy, na co głowa zareagowała gwałtownymi protestami. Poczł mdłości. Odczekał chwilę. Lepiej.

Ostrożnie, powoli, podciągnął się na łokciach,

115

przesunął kawałek, po czym oparł o stojącą za plecami komodę. Widział teraz niemal cały pokój.

Drgnął na widok masywnej postaci siedzącej na kanapie. Odruchowo, choć niewiele szybciej od chorego na podagrę żółwia, sięgnął za pazuchę...

Bez sensu, przecież przedtem trzymał broń w ręku.

- Spokojna głowa, mam pistolet - powiedział komisarz Stanisław Krzeptowski uprzejmym, konwersacyjnym tonem.

- To ty? - nie pili bruderszaftu, ale Tolak uznał, że mówienie sobie w tych okolicznościach per „pan” zahaczałoby o groteskę.

- Ja - Krzeptowski uśmiechnął się. Z satysfakcją.

-Bo...?

- Po co tu przyszedłeś? - uśmiech zniknął, głos stwardniał. Po przyjaznym tonie nie zostało śladu.

- A ty? - Tolak powoli dochodził do siebie. Ćmienie z tyłu głowy z akordu przeszło na dniówkę. Była szansa, że jutro krasnale wezmą wolne.

- Rąbnąłem cię w łeb i mam twoją broń. Więc jestem ten dobry. Mów.

Tolak pokręcił głową.

- Gdzie Smotrycz?

Krzeptowski wstał gwałtownie i podszedł do Tolaka. Był wielki niczym góra. I chmurny.

- Posłuchaj, przyjacielu - powiedział cichym głosem, ale inspektora przeszedł dreszcz. Wolałby chyba usłyszeć wrzask. - Wdepnąłeś w niezłe gówno. Gdy przyszedłem tutaj kilka minut temu, zastałem otwarte drzwi i idealny porządek, tyle że w krajobrazie brakuje głównego lokatora i jego komputera. A zaraz potem zjawiasz się ty, z giwerą w ręku. Po co?

- Rąbnąłeś mnie, bo wiedziałeś, że to ja? - Tolakowi kojarzenie faktów przychodziło z trudem. Smotryczem zajmie się za chwilę, najpierw prostsza rzecz. Przyczyna bólu z tyłu głowy.

- Nie wiedziałem - wzruszył ramionami komisarz. - Zaskoczyłeś mnie.

Usłyszałem, że otwierasz drzwi, stanąłem z boku, zobaczyłem broń, dostałeś w ucho,

a potem zorientowałem się, że to ty. Zresztą gdybym od początku to wiedział, pewnie też byś dostał.

- Dzięki - stęknął Tolak i zaczął wstawać. Wróciły zawroty głowy, choć nie tak silne jak przedtem. Chwiejnie podszedł do kanapy, na któ-

116

rej jeszcze przed chwilą siedział Krzeptowski, i z ulgą na nią opadł. - Może zamknij drzwi, w razie jakichś następnych gości.

- Już zamknąłem - Krzeptowski rozsiadł się na krześle, dokładnie naprzeciwko inspektora. - A teraz powiesz mi, co tu robisz.

Tolak rozejrzał się, jakby szukając pomocy. Ale pomoc nie nadeszła. Ściany i meble milczały jak zaklęte. Nie było powodu, by zacząć mówić.

Krzeptowski czytał w jego myślach.

- Może zainteresuje cię fakt - powiedział od niechcienia - że niecałą godzinę temu został zastrzelony prezydent.

- Prezydent? - powtórzył tępo Tolak. Co to? Nowy serial?

- Owszem. Nie słuchasz radia? Prezydent naszego kraju. Oprócz niego zginęło trzech gości z BOR-u.

- Niemożliwe - zaprotestował odruchowo. Chyba jednak nie serial.

- Myślisz, że to bożonarodzeniowy żart? - Krzeptowski zmarszczył brwi. - Było kilkuset bezpośrednich świadków i miliony ludzi przed telewizorami. Dlaczego nic o tym nie wiesz, choć wyglądasz, jakby cię to bardzo interesowało?

Tolak nadal nie kojarzył. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął komórkę. Okazało się, że jest wyłączona. Jasne, sam to przecież zrobił, wchodząc na klatkę schodową.

Zalogował się do sieci. Miał sześć nieodebranych połączeń, ostatnie piętnaście minut temu.

- Pozwolisz? - nie czekając na zgodę, wcisnął klawisz szybkiego wybierania. Odczekał kilkanaście sekund, ale w słuchawce słychać było tylko szum. Spróbował jeszcze raz. To samo. Wybrał inny, rezerwowy numer.

Nic.

Dziwne. Tylko wybuch bomby atomowej albo jakiś inny ogólnonarodowy kataklizm mógł spowodować, że po drugiej stronie linii nikt nie czekał.

Ogólnonarodowy kataklizm...?

Zapomniał o bólu głowy.

- Chyba rzeczywiście musimy pogadać - powiedział. - Szczerze.

- Zawsze - Krzeptowski obserwował jego szamotaninę ze spokojem i nieprzeniknioną miną.

- No to mów.

- Nie, robaczku. To ty jesteś ten zły, pamiętasz? Więc...

117

- Proszę cię - w głosie Tolaka było coś, co kazało Krzeptowskiemu zamilknąć. - Mamy problem, poważny. Poważniejszy, niż mógłbyś sądzić. Powiedz, co wiesz, a ja postaram ci się zrewanżować.

- Postarasz się? To znakomicie - Krzeptowski odzyskał rezon.

- Serio. Jesteś zwykłym gliniarzem. Ja... nie.

No, to już coś. Krzeptowski uznał deklarację Tolaka za znaczący postęp w

negocjacjach.

- Dobra, pogadamy. Jednak jeżeli rzeczywiście Smotrycz zniknął, to nie jest odpowiednie miejsce. Obejrzyjmy, co się da, i spadamy.

Inspektor kiwnął głową i wstał. Głowa dała sobie spokój jak na zawołanie. Lekkie pulsowanie i guz jak śliwka, wielkie rzeczy. Miał ochotę zapalić, ale nie mógł się zdecydować. Przebywał w miejscu prawdopodobnego przestępstwa i dym papierosowy jakoś się z tym kłócił. Papierosy pozostały w kieszeni.

Przeszukiwali mieszkanie w milczeniu i pośpiechu, mimo to starali się być maksymalnie dokładni. Cisza przerywana była dowodami aktywności sąsiadów. Trzaskały drzwi, szumiała woda w rurach, w de dudniły basy jakiegoś hip-hopowego przeboju.

Nie znaleźli nic. Żadnych śladów przemocy, żadnych oznak dłuższej nieobecności głównego lokatora. Na kuchence stał czajnik z ciepłą jeszcze wodą, szczoteczka do zębów karnie zajmowała miejsce przed lustrem w łazience, szafa wypchana była ubraniami.

Jedynie: brak Smotrycza i komputera.

Wychodząc, drzwi zamknęli znalezionymi w jednej z szafek zapasowymi kluczami.

Przepytyli kilku sąsiadów. Zdziwienie, przestrach na widok policyjnych blach, niechęć. Brak rezultatów. Po pięciu minutach byli na dole. Silnik skody zaskoczył za trzecim razem. Tolak ruszył i ostrożnie wyjechał na opustoszałą jezdnię.

- Co wiesz o raporcie Wicherka? - zapytał Krzeptowski.

- Niewiele. Nikt nie był łaskaw wyjaśnić.

- Mogę ci streścić. Chcesz?

- Chcę.

- Gość dowodzi, że jutro w naszym pięknym kraju zacznie się koniec świata - w kilku zdaniach przekazał najważniejsze hipotezy. Skutki. Wnioski.

Tolak prowadził w milczeniu, jakby nie słyszał. Albo jakby to go nic nie obchodziło. Albo jakby nadal bolała go głowa.

118

- Słyszałeś? - to dziwne, jak na ludziach nie robią wrażenia informacje o nadchodzącym końcu. Wpływ mediów, niestety. Przesyt. Obojętność. Znużenie.

- Słyszałem. Po co przyjechałeś do Smotrycza? - zapytał w końcu Tolak.

- Nic wspólnego ze sprawą.

- Skoro Smotrycz zniknął, wszystko, co się do niego odnosi, ma związek ze sprawą. Zwłaszcza że, jak mówisz, to on odszyfrował raport Wicherka.

- Może - Krzeptowski zawahał się.

Tolak skręcił gwałtownie kierownicę. Samochód stanął.

- Poczekaj - rzucił, po czym wysiadł, wpuszczając do samochodu porcję zimnego powietrza.

Nie było go dziesięć minut.

Gdy wrócił, usiadł za kierownicą, ale nie ruszał. Silnik pracował nierówno, jakby za chwilę miał wyzionąć ducha.

- Będziemy tak stali? - zapytał Krzeptowski. Pomimo że rzekomo się ociepliło, a ogrzewanie działało na cały regulator, zaczęły mu marznąć ręce. I policzki. I nogi.

Ogólnie: chłodno i do domu daleko.

Tolak nadal milczał. Zapatrzonej w dal poprzez zaszronioną szybę.

- Zatkalo cię?
- Oddaj mi moją broń - powiedział inspektor mechanicznym, zgrzy-diwym głosem. Gdyby Krzeptowski nie widział otwierających się ust, pomyślałby, że to radio.

Albo głos zza grobu.

- Proszę? Bez wygłosu...
- Dawaj - to samo. Terminator na popsutych scalakach. - Musimy naprawdę szczerze pogadać.

-1 chcesz mnie trzymać pod lufą?

- Słuchaj, kurwa mać, to nie zabawa - Tolak zwrócił twarz w stronę komisarza i teraz dopiero Krzeptowski zauważył, jaka zmiana w nim zaszła. Ściągnięte usta, zmrużone oczy. Blade, niemal papierowe policzki. - Zabawa się skończyła. Masz jakieś bezpieczne miejsce? O którym nikt nie wie?

Strach?

Okej, strach to dobry powód takiego wyrazu twarzy. Taki sam dobry jak każdy inny.

119

Jednak nie. Najlepszy.

- Bezpieczne miejsce? Boisz się czegoś?
- Ty też powinienes.

Krzeptowski przemyślał to sobie gruntownie. Ze wszystkich stron. Dokonał kompleksowej analizy położenia, wedle wszelkich zasad sztuki.

Zajął mu to masę czasu, całe pięć sekund. W szóstej sięgnął za pazuchę, wyjął glocka, podał. Tolak skinął głową, odfajkowując ten punkt programu.

- Skoro już jesteśmy przyjaciółmi, powiedz, o co chodzi.
- Za chwilę. Na razie, jeżeli masz kogoś, na kim ci zależy, zadzwoń i poproś, by zmienił miejsce zamieszkania. Najlepiej w ciągu pięciu minut.
- Bez jaj.
- Absolutnie. To tylko dobra rada.

Krzeptowski popatrzył na niego przeciągle i do głosu doszła intuicja, która nie krzyczała nawet. Darła się wniebogłosy, wrzeszczała jak opętana, ryczała niczym sto trąb jerychońskich wzmocnionych sprzętem Metallicy.

Zrób to! Już! Czemu nie dzwonisz?! Wyciągnął komórkę i wybrał numer Jadwigi.

- Halo? - jej głos zwykle wpływał na niego kojąco. Gdyby nie okoliczności, teraz też by wpływał.
- Czołem. Tu twój ulubiony góral.
- Witaj. Już się martwiłam.
- Niepotrzebnie. Nie masz ochoty na małą wycieczkę w piękną noc przedwigilijną? - Tolak nie prosił o wstrzeźliwość w kontaktach przy użyciu komórki, ale ta była zrozumiała sama przez się.
- Z tobą? - Jadwiga zaśmiała się, niczym z najlepszego żartu.
- Natychmiast.

Krzeptowski miał świadomość konwencji, ale mimo to przełknął ślinę.

- To świetnie. Podjadę pod ciebie za... - rozejrzał się. Mijali Odyńca

- ...dwadzieścia minut. Weź ze sobą coś na wieczór.

Zachichotała. -1 na rano też?

120

- Jasne.

Rozłączył się. Ponownie przełknął ślinę.

- Jedziemy na Ursynów.

- Okej - Tolak patrzył przed siebie, skupiony na prowadzeniu. Octavia chrypiała, ale postanowiła odwlec zgon. Posuwali się do przodu. Ruch na ulicach był minimalny, za to ze wszystkich okien połyskiwały wesoło telewizory i świeżo ubrane choinki. - A potem?

- Rozumiem, że moje mieszkanie odpada.

- Owszem. I moje też.

- Możemy nocować na komendzie.

- Zwariowałeś? - Tolak wzruszył ramionami. - To już lepiej dajmy ogłoszenie w internecie, gdzie nas można znaleźć.

- Aż tak źle?

Tolak roześmiał się. Krzeptowskiego przeszedł dreszcz. Może z zimna.

- No dobra, mam jedną awaryjną chatę. Kumpel wyjechał do Austrii na narty, bo się bał, że w Polsce nie będzie śniegu. Zabawne, nie? Zawsze się boi i wyjeżdża na święta. Zostawił mi klucze, żebym podlewał kwiatki.

- Daleko?

- Niedaleko. I nikt o tym mieszkaniu nie wie, bo to kumpel spoza służb.

Do Ursynowa milczeli. Gdy zajechali pod blok Jadwigi, rozejrzeli się uważnie. Wszystko było po staremu, białe hałdy lśniły w świetle latarni, drobinki śniegu wirowały w powietrzu. Całość sprawiała wrażenie bezludnej wyspy z lokalizacją na Księżycu. Nieco życia do krajobrazu wprowadzała tylko sącząca się z okien łagodna poświata.

- Dziwne - mruknął Tolak.

- Co mianowicie?

- Jest jedenasta. Mróz jak cholera. A w tamtym samochodzie jakiś facet udaje, że śpi.

Komisarz spojrział we wskazanym kierunku. W istocie, w nieokreślonego koloru opłu, zaparkowanym kilka samochodów dalej, siedział mężczyzna. Prawie go nie było widać zza zaparowanych i zmrożonych szyb.

- Rzeczywiście - przytaknął Krzeptowski.

- Był tu, jak wychodziłeś?

- Możliwe. Nie rozglądałem się.

- Błąd.

121

- Pewnie tak. Ale zaraz go naprawimy.

Zanim Tolak zdążył zareagować, komisarz wysiadł energicznie i ruszył przed siebie. Po chwili był przy opłu. Zapukał. Mężczyzna poruszył się i z wyraźną niechęcią opuścił szybę.

- Policja - warknął Krzeptowski najbardziej warkliwym tonem z katalogu. - Dokumenty.

Mężczyzna patrzył i nie ruszał się. Sprawiał wrażenie, jakby nie słyszał.

- Dokumenty - podniósł głos Krzeptowski. Pomyślał, że facetowi trzeba będzie przeczyścić ucho.

A potem urwał mu się film.

29.

Tyszkiewicz ponuro wpatrywał się w szklanę.

W szklance, podobnie jak i w stojącej na stoliku butelce, świeciło dno.

Będę miał jutro kaca. Albo stawię się przed obliczem szefa pijany, pomyślał przytomnie. I będzie to, kurwa mać, najmniejszy z moich problemów.

Helena siedziała na kanapie z podkulonymi nogami. Patrzyła na niego wielkimi, czarnymi jak węgiel oczyma.

I mówiła.

Wolno, starannie, dobitnie.

Jakby opowiadała cudze wspomnienia.

Jakub pił piętnastoletnią whisky niczym wodę, siedział i słuchał.

30.

Wspólnymi siłami zapakowali go do samochodu, a po krótkiej podróży jakoś z niego wyjęli. W drodze do windy chwiał się. W windzie zresztą też. Wymagał pomocy - inaczej by upadł. Mięśnie, częściowo sparaliżowane, odmawiały posłuszeństwa, choć i tak funkcjonowały lepiej niż przed kwadransem.

Gdy już rozlokowali się w obcym, pustym mieszkaniu, Krzeptowski w końcu odzyskał głos.

122

- Co to było? - zapytał ochryple.

- Głupota - Tolak był w kuchni. Doszedł do wniosku, że przydałoby im się po kubku gorącej herbaty. - Gość dziabnął cię paralizatorem i zdążył odjechać, zanim dobiegłem.

- Amatorka - mruknął Krzeptowski. Nie sprecyzował, co ma na myśli.

- Miałeś sporo szczęścia. Pamiętasz jego twarz?

- Jak ją zobaczę, przypomnę sobie. A ty pamiętasz numer?

-Nie.

Budujące wnioski. Spostrzeżenia godne pochwały. Zawodowstwo.

Jadwiga zwiedzała mieszkanie. W każdym pomieszczeniu zapaliła światło. Podobało jej się tu. Wnętrze było przestronne i urządzone ze smakiem. Nie wyglądało na kawalerskie gospodarstwo. Przeciwnie, meble i rozmaite detale zostały trafnie dobrane i dobrze świadczyły o guście właściciela.

Nie bardzo wiedziała, dlaczego się tu znalazła. Telefon od Staszka niczego nie wyjaśniał, poza tym, że włączył w jej głowie sygnał alarmowy. Stara dobra policyjna intuicja, nos do wyczuwania niebezpieczeństw i przeszkód.

Toteż, choć od telefonu do pojawienia się w progu zmartwionego Tolaka minęło niespełna dwadzieścia minut, zdążyła spakować się w dwie poręczne torby. Wzięła wszystko, co niezbędne: zapasy żywności i ciepłe ubranie.

Oraz broń.

- Jest parę pytań - Krzeptowski kiwał się na kanapie. Przód. Tył. Przód. Tył. Dziwne, że nie dostał choroby morskiej. Ale wzrok odzyskiwał dawną ostrość. -

Ukrywamy się. Po co? Ktoś nas śledzi i traktuje paralizatorem. Kto? Dowiem się, o co chodzi?

-1 ja? - Jadwiga skończyła obchód mieszkania i weszła do salonu. Patrzyła na Tolaka z zainteresowaniem.

Inspektor znalazł w końcu kubki, ustawił je na blacie, po czym pstryknął włącznikiem elektrycznego czajnika.

- Port Szczeciński? Gazociąg?

Było o tym głośno jakieś pół roku temu. Świeżo oddana do użytku rura Gazociągu Północnego została uszkodzona przez wpływający do portu statek. Zbiegiem okoliczności pod polską banderą. Zrobił się szum, Rosjanie otwarcie oskarżyli Polskę o sabotaż.

Trudno było nie słyszeć. Krzeptowski i Jadwiga skinęli głowami.

123

Tylko co to ma wspólnego z facetem w opłu?

- Powołano wspólną komisję rosyjsko-polsko-unijną. Rosjanie upierali się, że rura położona prawidłowo, nasi, że za płytka i blokuje większym statkom dostęp do portu. Afera. Krzyki, wzajemne oskarżenia. Niemcy wściekli, Rusczy wściekli. My się do niczego nie przyznajemy. Media mają używanie. Nawet Amerykanie się zdenerwowali. A Niemcy chcieli nas niemal wyrzucać z Unii, NATO i zagrozili sankcjami. Ale to był tylko początek. Potem ruszyła lawina przejęć firm energetycznych w całym regionie. Głównie w Polsce, ale nie tylko. Na Słowacji, Węgrzech, w Czechach. Fala dziwnych zabójstw lub zniknięć grubych ryb finansjery i idących w ślad za tym dziwnych nominacji. Tapnięcia na giełdzie. Przepływy kapitałów w dziwną stronę. Uwierzcie mi: gigantycznych. A sąsiad ze Wschodu wygrażał i słał coraz ostrzejsze sygnały, że jest bardzo z nas niezadowolony. Potem był atak hakerów na żywotne obszary aktywności państwa. Pamiętacie, przez dwa tygodnie połowa kraju nie funkcjonowała. Sytuacja zrobiła się na tyle groźna, że Amerykanie poczuli się zaniepokojeni. Dotarło do nich, że raczej nie my to wszystko wymyślamy i nie my stoimy za tym cyrkiem. A jak Amerykanie się czymś niepokoją, jest szansa, że będą działać. W końcu ustalono, że odbędzie się spotkanie szefów wywiadów.

Milczenie.

- Słyszeliście o Konstancinie? - zapytał po dłuższej chwili.

- No. Parę osób z telewizji tam mieszka.

Tolak znalazł to, czego szukał, z trzaskiem postawił na blacie pojemniki z herbatą i cukrem, po czym odwrócił się. Nawet najzdolniejszy behaviorysta nie znalazłby na jego twarzy cienia uśmiechu.

- Spotkanie miało się odbyć trzy tygodnie temu w jednym z tajnych ośrodków wojskowych pod Warszawą. Amerykanie, Brytyjczycy, Niemcy, Francuzi. Do tego Szwedzi, Finowie, Czesi i Słowacy, a także Węgrzy. No i my. Sami big bossowie. Miano ustalić sposób przeciwdziałania agresji - bo to była agresja, choć utajona - i zarekomendować go politykom.

- Mówisz, że spotkanie miało się odbyć...

- Nie gadaj tyle, musisz oszczędzać siły. Miejsce akcji: willa otoczona wysokim murem, w zamożnej części Konstancina. Monitorowana, chroniona z powietrza i

przez piesze patrole. Na miejscu

124

czekał zamachowiec. Świetnie przygotowany. Wynajął podobną rezydencję, o półtora kilometra od naszej. Ustawił na terenie posesji moździerz z automatycznym ładowaniem. Załatwił pieszy patrol. Z bliska, używając pistoletu z tłumikiem. Potem dwóch strażników przy bramie z karabinu szturmowego M-4. Gdy konwój z gośćmi pojawił się na terenie, odpalił zdalnie kilka pocisków, część kasetowych, część zwykłych, odłamkowo-burzących. Masakra. Nie było co zbierać. Z granatnika rozwalil bramę, wszedł na teren rezydencji, dobił kilku naszych, upewnił się, że wykonał zadanie, po czym wycofał się i ślad po nim zaginął, pomimo tego, że służby były na terenie w ciągu kilku minut, a obława i blokada dróg została zarządzona zaraz potem.

- Jak jeden człowiek mógł załatwić tylu ludzi?

- Mówię: zamachowiec, ale pewności, czy działał sam, nie ma. Jedna z wersji śledztwa zakłada, że mogło ich być kilku, inna - że jeden. Padał śnieg, zasypał ślady. Osobiście sądzę, że jednak był jeden człowiek. Moździerz odwalił większość roboty. Zamachowiec przerobił amunicję moździerzową na inteligentną. Tylko jeden pocisk nie trafił bezpośrednio w cel. A nasz gość był dobry. Bardzo dobry. Świetnie strzelał i miał nerwy ze stali. Z pewnością był człowiekiem po przeszkoleniu wojskowym. Albo wręcz żołnierzem, i to raczej z sił specjalnych.

Umilkł.

Krzepkowski słyszał rozmaite pogłoski, służby to jedno wielkie pudło rezonansowe, ale nie przyszło mu do głowy, że jest aż tak źle. Próbował sobie wyobrazić konsekwencje. Nic z tego nie wyszło, miał za mało bujną wyobraźnię.

Do tego Wicherek i jego raport.

Do tego...

...dzisiejszy zamach...

- Zrobił się burdel jak stąd do Miami. Amerykanie oskarżyli nas o nieudolność, głupotę, złą wolę i co jeszcze chcecie. Zagrozili surowymi sankcjami, jeśli nie znajdziemy winnych. Byli, i zresztą są nadal, wściekli. Nie dziwne, pierwszy raz w historii szef CIA zginął w zamachu, i to jeszcze na terenie sojuszniczego kraju. Podejrzewają, że nasze władze w taki czy inny sposób maczały w tym palce.

- Absurd.

125

- Nie taki bardzo. Śledztwo wykazało, że przeciek nastąpił u nas. I zamachowiec też raczej krajan.

- Niemożliwe.

- Możliwe. Ostatnio dzieją się różne dziwne rzeczy.

Krzepkowski już otwierał usta, ale w końcu nie powiedział nic.

Za to odezwała się Jadwiga.

- A jaki to ma związek z nami? I z tobą?

- Nasze władze zdecydowały się, wbrew oskarżeniom, działać. Utworzono szereg grup specjalnych działających niezależnie od siebie i poza strukturami służb. Istnieją podejrzenia, że służby są nieszczerne i wróg, kimkolwiek jest, ma tam sporo swoich ludzi: przekupionych, zastraszonych, na których są teczki, diabli wiedzą co.

-Więc ty...? '

- Owszem - Tolak skinął głową ze znużeniem. Był nieuduzko zmęczony i choć gorąca herbata świetnie mu zrobiła, najchętniej położyłby się spać. - Istotnie nazywam się Jan Tolak. Nie jestem komisarzem z Komendy Miejskiej w Krakowie. Smotrycz odkrył, że to przykrywka, a w rzeczywistości pracuję jako inspektor z wydziału wewnętrznego. Też nieprawda. Mam stopień majora i jestem pracownikiem kontrwywiadu wojskowego.

Cisza. Nawet wiatr za oknem ucichł, nie chcąc się narzucać.

Jadwiga i Krzeptowski spojrzeli po sobie.

Coś tu bardzo nie pasowało.

- Skoro śledztwo jest tajne do tego stopnia, że nawet prasa niczego nie zwąchała, dlaczego nam o tym mówisz? I co robisz w zespole zajmującym się jakimś Wicherkiem? Wicherek ma z tym związek?

- Wicherek nie.

-A kto?

Tym razem Tolak namyślał się przez dłuższą chwilę. Jakby starał się podjąć jakąś decyzję. Lub coś sobie przypomnieć.

- Kapitan osiemnastego batalionu desantowo-szturmowego. Dwie tury w Iraku i jedna, niecała, w Afganistanie - odezwał się po dłuższej chwili. - Wyszkolony snajper. Dowódca jednej z grup bojowych. Bohater największej bitwy z talibami w historii naszego udziału w misji. Nagum Thal, cztery godziny regularnej jatki. Tamci zaskoczyli naszych podczas rutynowego patrolu, ale w wyjątkowo niekorzystnym otoczeniu. Góry z trzech stron, idealne miejsce na zasadzkę. Kapitan nie

126

chciał wchodzić do wioski, ale rozkaz był wyraźny. Weszli, wsparcie zostało z tyłu. Dostali ostrzał. Odpowiedzieli. Kapitan sam załatwił trzech snajperów, i to ze zwykłego beryla. Wezwał wsparcie. Oskrzydlenie przeciwnika, kontratak, snajperzy, rosomaki, moździerz. Nasi: siedmiu rannych. Tamci: sześćdziesięciu zabitych, osiemnastu schwytanych. Talibowie jeszcze przez pół roku nie podejmowali żadnych akcji zaczepnych, mieli dość. A to wszystko dzięki naszemu kapitanowi. Bohater. Ale dwa miesiące później wyleciał z wojska, razem ze swoim najbliższym kumplem, porucznikiem - specem od rozpoznania, również doskonałym strzelcem, również uczestnikiem bitwy. A dlaczego wyleciał? Bo był zbyt dociekliwy. Odkrył, że duża część kadry oficerskiej wpisuje się na lipne patrole i bierze za nie kasę, nie wyściubiając nosa za bramę. Pomimo nacisków nie chciał milczeć. Zrobił aferę. Zagrożono mu dyscyplinarką. Ołał to. Kumpel porucznik go poparł. I obaj wylecieli, i to z zarzutami prokuratorskimi za jakieś rzekome przestępstwa. Zrobił się straszliwy smród, groziło, że po powrocie do kraju staną się gwiazdami mediów, więc zawarto kompromis. Wycofano dyscyplinarkę i zarzuty, a nasi bohaterowie zobowiązali się milczeć. W zamian w nadzwyczajnym trybie zainteresował się nimi pewien inny resort i zaproponował pracę oraz utrzymanie stopni i brak najmniejszej wzmianki w aktach o aferze. Delikwenci poszli na układ. Odbyli półroczne, przyspieszone szkolenie i teraz pracują w resorcie na niezbyt eksponowanych, ale wysokich stanowiskach. Wiecie może, o kim mowa?

Krzeptowski siedział bez ruchu i nie odzywał się. Jadwiga przeniosła wzrok z Tolaka

na komisarza.

- Staszek, dlaczego on to mówi? Co to za historia? Kim są ci ludzie?
- Ten porucznik to ja - mruknął Krzeptowski.

Na Tolaku oświadczenie nie zrobiło żadnego wrażenia. Stanowiło potwierdzenie faktu, o którym doskonale wiedział.

- Dla wyjaśnienia: niezłomny kapitan to Jakub Tyszkiewicz.
- Pięknie - powiedziała Jadwiga. Już do niej dotarło. Niech to szlag. Facet wydawał jej się prostolinijny i szczery. A tymczasem głównie o nim wiedziała. - Masz jeszcze jakieś tajemnice? Coś jeszcze ukrywasz?
- Już nic - odparł Krzeptowski i uśmiechnął się nieśmiało. Sporo roboty go czeka, z nią. Na razie zwrócił się do Tolaka. - Śmierdzieliśmy? Dlatego cię do nas wsadzili?

127

- Idealnie pasowaliście do profilu. Po zamachu na szefów służb szybko doszliśmy do wniosku, że to krajowy cyngiel. Mniejsza o źródła. Rzecz została fachowo przygotowana od strony wojskowej i technicznej. Automatyka ładowania mózdzierza, choć większość śladów uległa zniszczeniu w wyniku eksplozji, była wykonana pomysłowo. Tak więc szukaliśmy bardzo biegłego wykonawcy z przeszkoleniem i praktyką wojskową. Zaczęły spływać rozmaite informacje. W żadnym środowisku nie słyszano o takim zabójcy. Natomiast pewne ślady prowadziły do jednostek specjalnych wojska i policji. Stąd pomysł wsadzenia kretów takich jak ja.

- Jakub i ja jesteśmy twoimi głównymi podejrzanymi. Po co nam to wszystko opowiadasz?

Przez twarz Tolaka przemknął cień. Wahanie było widoczne z odległości kilometra.

- Dziś po południu dostałem w waszej sprawie raport. Na czas zamachu macie alibi. Byliście na dwudniowej konferencji w Zegrzu. Jest przynajmniej kilkunastu świadków, którzy was widzieli. Wasze życiorysy zostały gruntownie prześwidone. Podśluch też nie wykazał niczego szczególnego. To raczej nie wy.

- Podśluchujecie nas?
- Już nie. Wygląda na to, że jesteście czyści.
- Co za ulga. Więc dlaczego?
- Dlatego, że potrzebuję sojuszników. Urwał mi się kontakt z centralą. Nikt nie odbiera telefonów alarmowych, a pod alarmowym adresem nikogo nie ma. Takie rzeczy się nigdy nie zdarzają. Dziś wieczorem zabity został prezydent państwa. Do tego raport Wicherka i samo zabójstwo. Nie uważacie, że sprawa ostro śmierdzi?

ROZDZIAŁ III

24 grudnia 2011 roku

1.

Radio eksplodowało. ...zamach terrorystyczny... ..miliony ludzi w szoku...

...nieuchwytny snajper...

...śmierć trzech oficerów Biura Ochrony Rządu... ..nowo wybrany marszałek sejmu

Joachim Terlecki przejmuje obowiązki głowy państwa... ..kompromitacja służb...

...konieczność głębokich zmian w państwie... ..obywatele czują się zagrożeni...

...szok w Europie... ..niepokój na świecie...

Wszystkie kanały wypływały z siebie słowa z szybkością wielolufowych dział systemu Gadinga. Dominował ton głębokiego oburzenia. Troski. Współczucia. I strachu.

129

Gdy minęło zaskoczenie, Jakub zaczął słuchać uważniej. Wyglądało na to, że gdy przeżywał swoje osobiste Waterloo, kraj, w którym mieszkał, zmienił się w dość gruntowny sposób.

Wrażenie: chaos.

Jak to się ma do jego spraw?

Pendrive otrzymany od Smotrycza spoczywał w kieszeni. Jakub sam się dziwił, jak to możliwe, że zawodowe odruchy zadziałały i zdołał rano przejrzeć zawartość. Było tak, jak "Smotrycz obiecywał. Dane. Fakty. Wnioski.

W ciągu dziesięciu minut scalił kilka plików w jeden dokument, rzucił okiem na śpiącą żonę i z pustką w skacowanej głowie ruszył do Warszawy.

Automatycznie włączył radio.

Skutek? Był, a jakże. Mieszanka: Helena i prezydent, - Wicherek i Zuzanna, aberracje pogodowe i zmiana warty w sejmie.

Widok dwóch nagich kobiecych ciał splecionych w miłosnym uścisku.

Obraz śnieżnej czapy zamrożonej na kość.

W kieszeni pisnęła komórka.

- To ty? - głos Krzeptowskiego był słaby i daleki.
- Ja - mruknął. Nie miał ochoty na rozmowy.
- Wiesz już?
- To i owo.
- Nie słyszę, żebyś się przejął.
- Przejąłem się. Bardzo.

Chwila ciszy.

- Stało się coś? Oprócz?
- Owszem. Ale nic takiego.

Jakub kłamca. Sprawa jasna dla obu rozmówców.

- Co robisz?
- Jadę do fabryki. A potem nie wiem.
- To niedobrze, że nie wiesz - Krzeptowski właściwie odczytał komunikat. - Zadzwoń do mnie. Potem. Mam małą sprawę. Dzwoniłem wczoraj wieczorem, nie odbierałeś.

Tyszkiewicz odsunął komórkę od ucha, wcisnął przycisk i przyjrzał się displayowi.

- Faktycznie. Może nie miałem zasięgu.

130

1

-
- Może. Zadzwonisz?
- Za godzinę. Trzask.

Jakub jechał dalej.

Słońce świeciło, okrywając krajobraz wesołym blaskiem. Gdyby jednak przyjrzeć się temu obrazkowi uważniej, można byłoby zauważyć, że światło jest płaskie, a świat

jakby wyprany z kolorów. Jakby czegoś brakowało.

2.

Obudził go zgrzyt klucza w zamku.

Otworzył oczy. Pustka w głowie doskonale komponowała się z widokiem dwóch mężczyzn, którzy weszli do pomieszczenia. Ani zamaskowani faceci, ani miejsce nie przypominały niczego, co znał.

Pomieszczenie było niewielkie. Umieszczone pod samym sufitem okienko zdawało się wskazywać, iż znajduje się pod poziomem gruntu.

Wnioski: piwnica, mała i obskurna. Temperatura: chłodniutko, ciśnienie... bez jaj, kogo obchodzi ciśnienie? Łóżko niewygodne i wąskie, kocyk cieniutki, ściany pomalowane na mysi kolor, jakieś liszajowate.

Wrażenie artystyczne: dwójeczka. I to słaba.

Pomyślał leniwie, że mimo wszystko bardzo dobrze, że sobie tu leży. Leży i będzie leżał, odpoczywał. Należy mu się, nie? Ostatnimi czasy harował jak wół.

Zmarszczył brwi. Harował?

A co robił?

Ach tak.

Przypomniał sobie.

Był w swoim mieszkaniu, pracował, nastawiając się raczej na bezsenną noc.

A potem...

Co się stało potem?

No właśnie, może ci faceci coś wiedzą. Z ich zdecydowanych ruchów można wywnioskować, że na pewno.

131

Niższy pochylił się nad pryczą.

- Obudziłeś się? To bardzo dobrze. Byłeś nieprzytomny trochę dłużej, niż chcieliśmy, ale teraz już naprawdę musimy pogadać. - Miał niski, przyjemny głos. Pachniał kosztowną wodą kolońską.

- Pogadać? O czym? - Swoim brzmieniem głosu Smotrycz z kolei się zdziwił: miejsce dźwięcznego barytonu zajął żabi skrzek. Co się dzieje u diabła? Kim są ci faceci? Czego chcą? Czy...

Myśli zaczęły krążyć zwawiej, działanie narkotyku ustępowało.

- O dwóch rzeczach. Potem damy ci spokój. Odpowiedź na dwa pytania to nie jest jakiś straszny wysiłek, prawda?

Smotrycz zamknął oczy. Gdy je otworzył po chwili, widział już znacznie lepiej i znacznie lepiej kojarzył. Pytający był uprzejmy, ale za tą uprzejmością...

Kątem oka dostrzegł drugiego faceta. Niezbyt imponującego wzrostu, ale sądząc ze sposobu poruszania się, silnego i zręcznego.

Oczy, patrzące żywo przez otwory kominiarki...

Zwierzę.

Szybkie. Śmiercionośne. Okrutne. Bezwzględne. Bez sumienia.

Smotrycz chciał wstać. Gwałtownie. Wtedy poczuł, że lewy przegub ma przykuty do ramy łóżka zwyczajnymi, policyjnymi kajdankami.

Żołądek w gardle. Ślina na zewnątrz. Wysiłek, by zwieracz funkcjonował jak należy.

- Och, nie ma się czym denerwować - mężczyzna uśmiechnął się samymi

kącikami ust. Jego głos zdradzał człowieka myślącego i czytanego. Smotrycz nie zdziwiłby się, gdyby facet był wielkim miłośnikiem teatru, opery i baletu na najwyższym poziomie.

La Scala, Comédie Française, te sprawy. Teatr Bolszoi też jest niezły, podobno.

- Nie denerwuję się - Smotrycz zaczął drżeć. Niemożliwe do ukrycia. Punkt dla tamtych. Przesłuchanie się właściwie nie zaczęło, a przesłuchiwany już brudzi spodnie.

- To bardzo dobrze. A więc zacznijmy. Połóż się i spokojnie mnie wysłuchaj. O tak, doskonale. Otóż pytanie pierwsze brzmi: z jakiego powodu szukałeś w sieci danych dotyczących... - gdy mężczyzna wymienił nazwisko, Smotrycz drgnął. Już wiedział, o co chodzi. Wiedział także, jak się skończy to, w co wpadł.

132

Ci ludzie podsłuchiwali jego rozmowy i śledzili komputer. Dokładnie wiedzieli, czego szukał, co udało mu się znaleźć i na czyją prośbę to robił. Pytanie jest logiczne. Nie ma się co dziwić, że je zadali. Sam by je zadał na ich miejscu.

Sposoby postępowania?

Taktyka opóźniania. Powolne wycofywanie się na wcześniej przygotowanie pozycje. Bohaterska obrona, a potem odwrót. Nieprzyjaciel musi opanowywać teren kawałek po kawałku i z każdej zdobyczy powinien być zadowolony.

Przestał drżeć, a zaczął myśleć.

3.

Helena wstała natychmiast po tym, jak za Jakubem zamknęły się drzwi. Ubrała się błyskawicznie, bez zbytej dbałości o szczegóły. Polar i dres are the best. Wyszła z psem i celowo, z uporem brnęła przez najgłębsze zasy. Yamato zapadał się po brzuch, ale prychnął szczęśliwy. Wyczuwał oczywiście wczorajsze napięcie, jednak instynktownie też czuł, że spacer pomoże pani uwolnić się od kłopotów. Toteż zachęcał do wspólnej zabawy: nurkował, skakał i wykonywał skomplikowane ewolucje. Parę razy zdobył się nawet na szarpanie za nogawki spodni.

Gdy wrócili, przypominali leśne sople.

W istocie, wysiłek pomógł nieco.

A jeszcze bardziej: butelka Bordeaux.

Helena czuła się pusta.

Wiedziała już przedtem, że wyznania będą sporo kosztowały, ale rezultat zaskoczył ją: bezsprzecznie, pustka w głowie, ale...

.. .brak poczucia winy, tęsknota - za obojgiem?

Specyficzna euforia?

A i owszem.

Próbowała doszukać się powodów, dla których miałaby zrezygnować ze znajomości z Zuzanną. Wszystkie wydały jej się błahe. O ile wczoraj postanowienie było nienaruszalne, rozmowa z Jakubem przyniosła odwrót od tej myśli.

133

Szczerze? Jedno i drugie było najwyższą wartością w jej życiu.

Szczęście i pełna paleta fizycznych rozkoszy.

Dreszcz.

Kolejny kieliszek Bordeaux.

Zuzanna miała swój klucz, więc gdy otworzyła drzwi na klatkę schodową, jeszcze niczego nie podejrzewała. Zresztą w głowie przebywała już zaplanowaną trasę. Liczyła, że zdąży przed tym zrobić trzysta kilometrów. Może, jeśli będzie miała szczęście, czterysta.

Powoli weszła na trzecie piętro. Pachniało kapustą i grzybami. Zza drzwi dochodziły odgłosy awantur i ulubionych seriali. Przygotowania do Wigilii szły pełną parą. Co powie matce? Dobre pytanie.

Brak dobrej odpowiedzi.

Pewnik: bez walki się nie obędzie.

Włożyła klucz do zamka, ale nie przekreślił się. Spróbowała jeszcze raz.

Cisza. Bezruch. „M jak miłość”.

Najciszej jak mogła cofnęła się i skryła za framugą. Glock, wyciągnięty bezgłośnie z kabury na biodrze, sam znalazł się w dłoni.

Regulamin mówił, że nie wolno nosić broni z nabojem w komorze, ale miała w dupie regulamin, jak zresztą wiele innych rzeczy. Niesubordynacja? Trzymała w ręku broń gotową do strzału, bez konieczności wywołującego hałas przeładowania i tylko to się Uczuło.

Przyłożyła ucho do chłodnego drewna. Cisza.

Delikatnie nacisnęła na klamkę. Drzwi ustąpiły. Postąpiła krok i znalazła się w dobrze znanym przedpokoju. Na wprost salon. Kawalek stołu nakrytego świątecznym obrusem. Po lewej wejście do pokoju Zosi.

Stojące otworem.

Drzwi do pokoju Zosi powinny być zamknięte. Dziecko nie tolerowało przeciągów. Zuzanna wstrzymała oddech. Z bronią wyciągniętą przed siebie zajrzała do pokoju.

4.

Alarm.

Pusto.

134

i-

Ani Zosi, ani wózka.

Opuściła broń. Wiedziała, co znajdzie w salonie.

Z zaciśniętymi ustami i zimnym wzrokiem przekroczyła próg pokoju. Obeszła stół. Matka leżała na podłodze. Na plecach. Miała zamknięte oczy. Sprawiała wrażenie, jakby spała. Mała dziurka pośrodku czoła wyglądała jak narysowana. Równiutki, okrągły otworek.

Rana wylotowa musiała być znacznie większa. Na podłodze zebrała się już spora kałuża krwi.

5.

- Mówisz dużo i nawet z sensem - przesłuchujący usiadł na krześle stojącym naprzeciwko łóżka i założył nogę na nogę. Nadal się uśmiechał. Nadal było całkiem przyjemnie. - Ale niestety mam wrażenie, że kłamiesz.

- Nie - Smotrycz włożył w zaprzeczenie całą pozostającą jeszcze do dyspozycji energię. - Po co? Wiem, że możecie mnie zmusić do gadania. Mówię prawdę. Mężczyzna westchnął, pokręcił głową niczym ojciec zafrasowany dwójkami syna, po czym wyciągnął z kieszeni mały dyktafon.

Wcisnął „start”.

„...Więc uważaj. Kilka dni temu wymienialiśmy uwagi na temat pewnej osoby.

...Podejrzanego?

... Niezupełnie. Niezupełnie.

...Ach tak.

...Tak.

...Pamiętam tę rozmowę.

... Chwytasz w lot. Chodzi o ...tę osobę.

...Zrozumiałem za pierwszym razem. No i?

.. Powieszysz?

...Oficjalnie?

...Oczywiście, że nie. Interesuje mnie wszystko, pełne menu. Najmniejszy brud za paznokciem. Najdrobniejsza skaza na portrecie.

...Jakieś konkretne podejrzenia?

135

... Raczej konkretne przeczucia.

...Ach tak. Przeczucia.

...Przypomnę sobie, poszukam i dam wam znać, magistrze inżynierze.

...Dziękuję wam, magistrze."

Trzask. Koniec nagrania.

Dźwięk krystalicznie czysty, bez żadnych zakłóceń. Wyraźnie słyhać oddechy rozmówców, a w de niewyraźne odgłosy.

Technika!

Przez głowę Smotrycza w sekundę przebiegło wiele tysięcy bitów informacji.

Faceci. Sytuacja. Wiedza.

Lojalność.

- Dobrze słyszałeś? - mężczyzna nachylił się. Uśmiech zniknął. -W tym nie ma niczego nadzwyczajnego, prowadzę rozległe interesy i stosuję adekwatne zabezpieczenia. Dlatego jest istotne, byś podzielił się ze mną swoją wiedzą.

Przypomnę pytanie pierwsze: dlaczego zainteresowałeś się wymienioną przeze mnie osobą i dlaczego interesuje się nią twój kolega Staszek? Od razu, do kompletu zadam drugie pytanie: jaki jest związek Wicherka i raportu z waszymi poszukiwaniami?

No, tego już za wiele. Podśluch? W komendzie...?

A czemu nie? Skoro gość nagrywa rozmowy telefoniczne (a to nie byle co, zdobyć dostęp do danych operatora komórkowego), może też mieć podśluch. Chociaż... w takim razie wiedziałby, skąd raport się wziął.

Wahanie trwało zbyt długo.

Mężczyzna westchnął, jakby zmartwiony. Skinął głową towarzyszowi. Ten otworzył drzwi i warknął niezrozumiałe polecenie. Do pokoju wszedł następny zamaskowany mężczyzna. Z tych całkiem dużych.

Dwa na dwa plus uziemienie, jak niegdyś mawiano.

Smotrycz szarpnął się w tył, ale na tamtych nie zrobiło to żadnego wrażenia. Przesłuchujący usunął się, na scenę wkroczyli obaj pomocnicy. Duży jednym ruchem poderwał Smotrycza do pionu, drugi odpiął kajdanki. Nim podkomisarz zdołał się zorientować, już siedział na krześle dotychczas zajmowanym przez uprzejmego mężczyznę, a ręce miał skute z tyłu za poręczą.

136

A

... Raczej konkretne przeczucia.

...Ach tak. Przeczucia.

...Przypomnę sobie, poszukam i dam wam znać, magistrze inżynierze.

...Dziękuję wam, magistrze."

Trzask. Koniec nagrania.

Dźwięk krystalicznie czysty, bez żadnych zakłóceń. Wyraźnie słycać oddechy rozmówców, a w de niewyraźne odgłosy.

Technika!

Przez głowę Smotrycza w sekundę przebiegło wiele tysięcy bitów informacji.

Faceci. Sytuacja. Wiedza.

Lojalność.

- Dobrze słyszałeś? - mężczyzna nachylił się. Uśmiech zniknął. -W tym nie ma niczego nadzwyczajnego, prowadzę rozległe interesy i stosuję adekwatne zabezpieczenia. Dlatego jest istotne, byś podzielił się ze mną swoją wiedzą.

Przypomnę pytanie pierwsze: dlaczego zainteresowałeś się wymienioną przeze mnie osobą i dlaczego interesuje się nią twój kolega Staszek? Od razu, do kompletu zadam drugie pytanie: jaki jest związek Wicherka i raportu z waszymi poszukiwaniami?

No, tego już za wiele. Podśluch? W komendzie...?

A czemu nie? Skoro gość nagrywa rozmowy telefoniczne (a to nie byle co, zdobyć dostęp do danych operatora komórkowego), może też mieć podśluch. Chociaż... w takim razie wiedziałby, skąd raport się wziął.

Wahanie trwało zbyt długo.

Mężczyzna westchnął, jakby zmartwiony. Skinął głową towarzyszowi. Ten otworzył drzwi i warknął niezrozumiałe polecenie. Do pokoju wszedł następny zamaskowany mężczyzna. Z tych całkiem dużych.

Dwa na dwa plus uziemienie, jak niegdyś mawiano.

Smotrycz szarpnął się w tył, ale na tamtych nie zrobiło to żadnego wrażenia.

Przesłuchujący usunął się, na scenę wkroczyli obaj pomocnicy. Duży jednym ruchem poderwał Smotrycza do pionu, drugi odpiął kajdanki. Nim podkomisarz zdołał się zorientować, już siedział na krześle dotychczas zajmowanym przez uprzejmego mężczyznę, a ręce miał skute z tyłu za poręczą.

136

Nogi obwiązali mu taśmą, scalając z nogami krzesła.

Głównodowodzący obserwował te zabiegi obojętnie, paląc cienkiego papierosa.

Smotrycz miał przed oczami kojący widok odrapanej ściany nad pryczą. Kolor ohydny, widok ohydny, samopoczucie jeszcze gorsze.

Drżenie całego ciała, zaciśnięte szczęki.

Duży trzymał głowę w uścisku. Ani w lewo, ani w prawo, ani w ogóle.

Niższy otworzył niewielką czarną skrzyneczkę i wyciągnął akumulatorową wiertarkę. Ze zwykłym, cienkim i długim wiertłem.

- Musisz wiedzieć, że każdy mówi. Bez wyjątku. Opór tylko przysporzy cierpienia. Wiertło w uchu to nie są wczasy w siodle. Przebije błonę bębenkową, potem dostanie się do jamy bębenkowej, gdzie natrafi na strzemiączko, by w końcu zaatakować ślimaka. Ale nie bój się, Jurij jest najwyższej klasy fachowcem. Będziesz odczuwał spory ból, ale zachowasz przytomność. Twojemu życiu nic nie zagraża. Ulga. Jak wyrazić radość przy szczękościsku?

Uprzejmy westchnął.

Duży zacieśnił chwyt. Bez sensu. I bez tego głowa Smotrycza tkwiła niczym w kowalskim imadle.

- Poczekam na zewnątrz - mruknął koordynator.

Niższy kiwnął głową. Uruchomił wiertarkę. Wiertło zaczęło się obracać. Ten nowoczesny sprzęt jest naprawdę bezszmerowy.

Tym wyraźniej kontrastował z wrzaskiem, który odbił się od ścian piwnicy.

6.

Tyszkiewicz wpadł w sam środek kotła.

Szum. Bieganina. Brak organizacji.

Komenda sprawiała wrażenie nawiedzanej przez najazd Obcych. Nigdy - a był to już czwarty sezon Tyszkiewicza w firmie - te szacowne mury nie widziały takiego ruchu. Wigilia stanowiła zwykle czas szybkich życzeń, szybkiego załatwiania resztek niedokończonych spraw i równie szybkiego wymykania się do domu.

137

Jakub na razie zapomniał o kłopotach.

- Coś się stało? - złapał za rękaw jednego z przebiegających kolegów.

Równocześnie uświadomił sobie, że pytanie w kontekście wczorajszych wydarzeń musi brzmieć zabawnie.

Ale rozmówca nie potraktował go jako zabawnego.

- Gdzie ty żyjesz, człowieku? - wyszarpnął rękaw i zaczął biec. - Naczelnik...

- Co: naczelnik?

Odpowiedź zginęła w gwarze.

Jakub ruszył na górę. Niezależnie od tego, „Co: naczelnik?“, i tak miał się u niego zameldować.

Ale na piętrze został zatrzymany przez barczystego typu, z napisem „przejście wzbronione” w oczach. Drugi, jeszcze sympatyczniejszy, stał obok.

- Gdzie? - warknięcie. Ten drugi. Rządzi.

- Do szefa - ton odpowiedzi wart pytania.

- Po co?

- Po nic. Nie twoja sprawa - Tyszkiewicz zrobił pół kroku, chcąc wyminąć barczystego. Zbędny trud. Tamten nie dał się wyminąć, a łapy miał ze stali.

- Moja. Pytam, po co idziesz do naczelnika? - Obaj usta wąskie. Wzrok dziki. Suknia pługawa.

- Służbowo - Tyszkiewicz jeszcze grał, ale już wiedział, że gada po próżnicy.

- Bardzo zabawne. Masz jakąś legitymację?

-A wy?

Rządzący leniwym ruchem sięgnął za pazuchę. Legitymacja, a jakże. Gość nawet ładnie wyszedł na zdjęciu. Nadkomisarz Ludwik Mailert, Centralne Biuro Śledcze. Przystojniaczek.

No, skoro do pilnowania porządku na schodach wysłali nadkomisarza z cebeesiu wraz z pomocnikiem...

Człowiek może się naprawdę czuć bezpieczny w miejscu pracy.

Niemal żałował, że zabawa się skończyła. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął swoją legitymację.

- Nadkomisarz Jakub Tyszkiewicz.

- Zgadza się.

138

- Po co idziesz do szefa?

- Byłem umówiony.

- W jakiej sprawie?

- Wiesz - Jakub nachylił się i zniżył głos do konfidencjonalnego szeptu. - U nas w policji istnieje coś takiego jak tajemnica służbowa.

- W jakiej sprawie?

Jakub pokręcił głową.

Kac. Problemy osobiste. I cebees jak wrzód na dupie.

Gwar na dole nie sprzyjał milczeniu, mimo to milczeli.

W końcu odezwał się Mailert.

- Chodź - odwrócił się i poszedł. Kolega pomocnik został, przyspawany do funkcji pilnowacza schodów.

Jakub ruszył za Mailertem. Korytarz był jak wymarły, drzwi do wszystkich gabinetów, zwykle pootwierane na oścież, teraz zamknięto na głucho. Brak sekretarek. Brak oficerów. Brak kogokolwiek.

Weszli do sekretariatu inspektora. Dwóch ludzi w lateksowych rękawiczkach przeszukiwało biurko i szafy. Mailert otworzył drzwi gabinetu.

Naczelnik siedział za biurkiem i opierał się plecami o fotel. Na biurku stało parę standardowych drobiazgów: komputer, zdjęcie żony i dzieci, dwa telefony, staroświecki kałamarz bez atramentu. W pokoju panował idealny porządek, szef generalnie był pedantem, zwracającym uwagę na najmniejszy nawet przejaw bałaganiarstwa. Ogólnie: fajny z niego gość...

...tyle że nieżywy.

Kula wleciała ustami, przebiła podniebienie, mózg, czaszkę i oparcie fotela, po czym wbiła się w ścianę, o pół metra nad głową komendanta. Z boku, niemal pod biurkiem, leżał pistolet, piętnasto-strzałowy walther.

Nawet bez żadnego śledztwa wyglądało to na samobójstwo.

- Nawet bez żadnego śledztwa wygląda to na samobójstwo - powiedział Mailert.

- Prawda?

Kac przeszedł jak ręką odjął.

- Kiedy to się stało?

- Sekretarka znalazła go o ósmej rano. Dokładnego czasu zgonu nie znamy,

patolog jeszcze się nie wypowiedział. Może jednak pogadamy?

139

Tyszkiewicz skinął głową. Wychodząc, zerknął jeszcze raz na siedzącą w fotelu postać: cham i skurwysyn, ale dobry glina, odporny na stres i naciski z góry. O skórze nosorożca.

Na pewno niezdolny do strzelenia sobie w łeb.

Weszli do jednego z opustoszałych pokoi. Na początek gra wstępna: a co, a z kim, a po co, a kiedy ostatni raz, a kim jest i tym podobne. Rytualna gadka szmatka. Potem przeszli do ciekawszych rzeczy.

- Po co szedłeś do szefa?
- Miałem zdać raport z prowadzonego śledztwa.
- Czego dotyczyło śledztwo?

Jakub był skłonny oddać mecz przeciwnikowi.

- Morderstwo niejakiego Wicherka. Meteorologa geniusza.

Mailert podniósł brwi do góry. George Clooney w nadwiślańskiej wersji soft.

- Mów dalej.
- Wyglądasz, jakbyś słyszał to nazwisko.
- Nie. Mów dalej.
- Dostałem sprawę trzy dni temu. Wczoraj szef zamknął dochodzenie i rozwiązał zespół.

- Zamknął dochodzenie? Wykryliście sprawcę?

- Nie. Nawet się nie zbliżyliśmy. Okoliczności zabójstwa, głównie domniemany motyw, a precyzyjniej, odkrycie Wicherka, którego ujawnienie mogłoby posłużyć za motyw, przekazałem szefowi. Pięć minut później już nie istniałem jako szef zespołu. Wszyscy dostaliśmy bezterminowe urlopy, bez słowa wyjaśnienia. Miałem się dzisiaj zjawić ze szczegółowym raportem podsumowującym śledztwo i to miał być koniec mojego udziału w sprawie.

- Masz ten raport?

Zaprzeczenie było zbędne.

- Owszem.
- Pokaż.

Wahanie. Kruchy lód, podtopiony wodą.

Sięgnął do kieszeni. Wyjął pendrive* a. W innej kieszeni miał drugiego, z kopią.

- Tu masz raport i materiały ze śledztwa.
- Dobrze. Powiedz mi, dlaczego twoim zdaniem zespół został rozwiązany bez wykrycia sprawcy?

140

- Chyba najpierw musisz przeczytać raport. Tam jest przyczyna.
- Opowiedz. Postaram się zrozumieć.

Jakub wzruszył ramionami. Sprawy zaszły i tak za daleko, by mieć jeszcze jakieś tajemnice.

Opowiadanie trwało piętnaście minut. Syntetyczne. Nasycone szczegółami.

Imponujące. Ponure.

Gdy Jakub zamilkł, Mailert pozwolił wybrzmieć ostatnim sylabom. Zdecydowanie

miał wycucie dramatyizmu.

- Kto oprócz ciebie wchodził w skład zespołu?

Jakub wymienił nazwiska wraz z telefonami kontaktowymi. Przy nazwisku Tolaka Mailert wyraźnie się zawahał. Dostrzegł też, że nie uszło to uwagi Tyszkiewicza.

- To na razie wszystko - Mailert wstał. - Miej włączoną komórkę.

Skontaktujemy się. Być może jeszcze dziś.

Wow. To z pewnością będzie Wigilia dwudziestolecia.

W drzwiach Tyszkiewicz odwrócił się. Jak jakiś Columbo.

- Jeszcze jedno - powiedział. - Samobójstwo to zdecydowanie ostatnia pozycja na liście ulubionych rozrywek naczelnika. On tego nie zrobił.

.....7.....

o

Zuzanna siedziała w samochodzie.

Spędziła w mieszkaniu matki pięć minut. Miała świadomość, że powinna zostać dłużej i zacząć zachowywać się profesjonalnie, ale nie mogła wykonać najmniejszego gestu. Po prostu stała w pokoju Zosi i wpatrywała się w miejsce, gdzie zwykle stał wózek. Wspomnienia przebiegały przez głowę niczym kolorowy film w wysokiej rozdzielczości z wyłączoną fonią. Dziecko śmiało się. Rzadziej płakało. Najczęściej obracało w palcach zabawkę monotonnymi, powtarzającymi się ruchami. Kochało i tęskniło. I było kochane.

Zuzanna w końcu uczyniła pierwszy krok. Potem drugi. I trzeci. Zamknęła drzwi na klucz i powłócząc nogami, zeszła na dół.

Telefon.

Wyjęła służbową komórkę i wybrała numer z książki adresowej. Kiedyś używała go kilkanaście razy dziennie.

141

-Witaj. Chcesz do nas dołączyć? - męski głos, wysoki i piskliwy. W de śmiechy i brzęk szkła.

- Nie - powiedziała. - Potrzebuję pomocy.

- Kochana, jasne, nie ma sprawy. Ale po świętach, co? - głos wyraźnie ubawiony, a właściciel pod wpływem.

- Nie, Stefan. Teraz.

Podinspektor Stefan Bondaruk spoważniał.

- Co się stało?

- Zabójstwo i porwanie. Weź ludzi i przyjedź.

Następnie wytrzeźwiał.

- Odpowiednich ludzi - dodała z lekkim, niemal niewyczuwalnym naciskiem.

- Jasne - już myślał, jak zwykle szybko i precyzyjnie. - Gdzie?

Podawała adres.

- Będę za dwadzieścia minut. Czekać na nas.

Odłożyła komórkę.

Siedziała, trzymała ręce na kierownicy i patrzyła przed siebie.

Łzy. Ból w piersiach. Ucisk w żołądku. Puls sto dwadzieścia. Zatykający dech żal. Rozpacz? Dobre słowo, jednak nijak nieoddające istoty rzeczy. Istota rzeczy musi pozostać nienazwana.

Ile to trwało? Długo. Łzy zdążyły obeschnąć, wszystko inne nie.

Wszystko inne raczej nie obeschnie nigdy.

Po kwadransie uruchomiła silnik, przejechała na sąsiednią ulicę i zaparkowała. Pod dom matki wróciła piechotą. Pięć minut po umówionym terminie pod budynek podjechały dwa nieoznakowane radiowozy. Wysiadło z nich kilku mężczyzn. Najniższy z nich, podobny do okutanej w kozuch kuli bilardowej, podszedł do Zuzanny i spojrzał jej prosto w twarz. Zobaczył czerwone, przekrwione oczy, blade policzki, sine usta. Nie-Zuzannę. Anty-Zuzannę.

- Które piętro? - zapytał.
- Czwarte. Mieszkania dwadzieścia.
- Daj klucze i poczekaj w samochodzie, jeśli nie chcesz wchodzić.
- Wolałabym nie.
- Zejdę do ciebie za chwilę.

Towarzysze Bondaruka wzięli z samochodów kilka niewielkich walizeczek i poszli. Po dwudziestu minutach podinspektor ponownie wsiadł do samochodu. Już się nie uśmiechał.

142

- Paskudna sprawa - powiedział. - Znasz ofiarę?
- Owszem. To moja matka. Oprócz tego z mieszkania porwano dziecko, dziewczynkę. Dwanaście lat, jest niepełnosprawna, porusza się na wózku. Nie widzi, prawie nie słyszy, nie je samodzielnie. To moja córka.

- Twoja córka? - Bondaruk obrzucił Zuzannę zdumionym spojrzeniem. Do tej pory wydawało mu się, że zna ją dość dobrze. - Nie wiedziałem, że masz dziecko.

- Wielu rzeczy nie wiedziałeś - głos matowy, głuchy i drżący. Wychodził z ust jakby wbrew woli właścicielki. - To teraz bez znaczenia. Chcę, żebyś poprowadził śledztwo.

- Oczywiście. Masz jakieś pomysły? Ktoś ci źle życzył?

- Pół miasta? Nieważne. Zróbcie wszystko zgodnie z procedurą. Zbierzcie ślady, ustalcie kaliber i rodzaj broni, z której moja matka została zastrzelona, popytajcie sąsiadów. To się musiało stać dziś w nocy albo nad ranem. Matka jest w koszuli nocnej, musieli ją wyrwać ze snu.

- Brak śladów włamania. Twoja matka albo im otworzyła, albo mieli zapasowe klucze.

-Jedno i drugie dość mało prawdopodobne. Musicie mocno powęszyć.

- Myślisz, że to może być zemsta?

- Możliwe. Nie wiem.

- Chyba nie mówisz wszystkiego.

- Chyba nie.

Bondaruk westchnął. Wiedział, że sprawa śmierdzi i najprawdopodobniej śledztwo nie przyniesie niczego dobrego. Ale nie miał specjalnie możliwości manewru.

- Co teraz planujesz? - zapytał.

- Poszukam na własną rękę - odparła i nacisnęła klawisk. Zimno natychmiast zaatakowało. Po chwili jakby sobie coś przypomniała, sięgnęła do kieszeni, wyciągnęła telefon komórkowy i podała Bon-darukowi. - To komórka na kartę, anonimowa. Jest w niej wbity mój nowy numer. Kontaktuj się ze mną tylko w ten

sposób, dobrze?

- W porządku - wziął aparat. Nie był zdziwiony. Nie po tylu latach pracy z Zuzanną.

- Dzięki.

143

- Nie rób głupstw - powiedział ciepło. Zuzanna już była na zewnątrz i nie był pewien, czy usłyszała ostateczne zdanie.

- Zastrzelono mi matkę i porwano dziecko, którego pewnie już nie zobaczę na oczy. Właśnie zostałam na świecie sama - powiedziała cicho, nachyliwszy się do uchylonych jeszcze drzwi. Więc jednak usłyszała. - Myślisz, że będę przejmowała się nierobieniem głupstw? Poprowadź śledztwo i jesteście kwita. Dług zostanie anulowany.

Zatrzasnęła drzwi i poszła w kierunku swojego samochodu. Skręciła za róg, upewniła się, że nikt jej nie obserwuje, po czym wyciągnęła z kieszeni kluczyki. Szczękniętym centralnym zamkiem. Wsiadła, zapaliła silnik i ruszyła w drogę. Wyjęła komórkę, tę prywatną, następnie wybrała numer z listy. Sygnałów było pięć, jak zwykle. Przerwała połączenie, po czym powtórzyła je, po półminucie.

- Halo? - znowu męski głos, tym razem ochryply i nosowy. Znajomy. Przyjazny. -To ja.

- Cześć.

- Będę za piętnaście minut.

- Mam bałagan...

Rozłączyła się.

Prowadziła szybko, ale bez szarżowania. Ból nie ustępował. Wiedziała, że prędko nie ustąpi. Zresztą, z pewnego punktu widzenia, to nawet nie najgorzej. Pomoże w skupieniu i popchnie do działania.

Podjechała pod niczym niewyróżniający się blok na Bemowie. Domofon nie działał, na klatce było zimno. Wjechała windą na drugie piętro. Zapukała do drzwi.

Mężczyzna, który je otworzył, miał nie więcej niż dwadzieścia pięć lat. Gdyby nie Zuzanna, następnych pięć spędziłby w więzieniu.

- Wejdz - gospodarz nie zdążył się ogolić, ale to był jedyny przejaw abnegacji. Pachniał wodą toaletową dobrej marki i uśmiechał się zachęcająco.

Stereotyp hakera podpowiada, że powinien on zamieszkiwać ponurą norę, składającą się tylko z komputera, sieci, pudełek od pizzy i puszek po piwie. Zgodnie ze wzorcem haker żyje w nocy, całe dni przesypia, śniąc o kolejnych wirtualnych zdobyczach. Płeć przeciwna może dla niego nie istnieć, podobnie jak i reszta realnego świata.

144

Gospodarz nie miał ze wzorcem nic wspólnego. W mieszkaniu, pomalowanym w przyjemne barwy, wbrew telefonicznej deklaracji, panował idealny porządek. Dwa wielkie monitory komputerowe w istocie zdominowały spore biurko, ale kilkakrotnie więcej miejsca w pokoju zajmowała szafa z książkami oraz albumami z awangardową architekturą i artystyczną fotografią. Całość uzupełniała stojąca w kącie gustowna rzeźba utrzymana w abstrakcyjnym stylu.

Główne zajęcie lokatora najwyraźniej nie zżarło mu mózgu. I przynosiło niezłe, choć

zapewne nielegalne dochody. Zuzanna, wyciągając go z kłopotów dziesięć miesięcy temu, postawiła na dobrego konia.

Zdjęła kurtkę i rzuciła na fotel. Z kabury na biodrze wyciągnęła glocka, a z kieszeni kurtki kopertę. Oba przedmioty położyła na biurku. Mężczyzna stał pośrodku pokoju, obserwował te zabiegi i uśmiechał się lekko. Lubił Zuzannę. To była jednostronna i niełatwa przyjaźń, ale naprawdę ją lubił.

- Masz dwie możliwości - powiedziała, patrząc mu w oczy. - Pomożesz mi - wskazała ręką na kopertę - albo nie - palec wycelowała w pistolet.

- Załapałem się do teleturnieju? - uśmiech nie zniknął, choć stał się nieco wymuszony. A oblicze bledsze. Z jego znajomości Zuzanny wynikało niezbitcie, że to, co mówiła, należało traktować niezwykle poważnie.

- Wybieraj. Potrzebuję twojej pomocy, ale nie mam czasu na bzdury. Zrobisz coś dla mnie, to, co jest w środku, możesz zatrzymać, a ja zniknę z twojego życia na zawsze. Nie ma długu, nie ma przeszłości, nie ma winy.

Mężczyzna podszedł powoli do biurka. Pistolet zignorował, zajrzał natomiast do koperty. Po sekundzie przeniósł wzrok na Zuzannę.

- Jednak załapałem się do teleturnieju - stwierdził. Uśmiech znikł. Bładość nie. - Jak brzmią pytania?

- Chcę, żebyś dobrze zrozumiał. To ważne i dla ciebie, i dla mnie.

- Co mam zrozumieć?

- Masz stracić pamięć. Zapomnieć wszystko, o czym będziemy mówili. Nie chcę ci grozić, ale amnezja jest przede wszystkim w twoim interesie. Szczerze mówiąc, na twoim miejscu wyjechałabym. Jeszcze dziś.

145

- Nigdy cię takiej nie widziałem...

- Mało widziałeś. Nigdy sytuacja nie była aż tak zła. Mężczyzna zastanowił się.

Lubił Zuzannę, ale nie chciał narażać

życia. Czuł, że jeżeli się zgodzi jej pomóc, wejdzie na ścieżkę z napisem: droga jednokierunkowa.

Westchnął. Może nie tylko lubił Zuzannę.

- Co mam zrobić? Powiesz mi, o co chodzi?

Tym razem to ona się zawahała. Też go lubiła. Na swój sposób.

- Powiem ci, co masz zrobić, ale nie dowiesz się, o co chodzi. Siadaj - wrócił zwykły ton.

Mężczyzna usiadł przed ekranem. Odłożył na bok kopertę. Zuzanna przysunęła sobie drugie krzesło i schowała glocka. Uznała, że układ został zawarty.

Odpalił komputer i wszedł do sieci. Spojrzał na nią pytająco.

- Puść mnie. Z punktem pierwszym poradzę sobie sama. Posłusznie się przesunął. Zuzanna zajęła miejsce za klawiaturą,

wpisała adres serwera, w okienku logowania wpisała login i hasło. Po chwili na ekranie ukazał się obraz z czterech telewizyjnych kamer. Przedstawiał fragmenty niewielkiego, skromnie umeblowanego mieszkania. Zuzanna ustawiła w aplikacji opcję „odtwórz”, wpisała godzinę dwudziestą wczorajszego wieczora i włączyła funkcję szybkiego przewijania do przodu. Obraz stał nieruchomo, tylko w prawych dolnych rogach okienek z wielką prędkością miały się rzędkie cyfr.

0 dwudziestej trzeciej czterdzieści coś się zaczęło dziać. Zuzanna włączyła odtwarzanie obrazu w normalnym tempie.

Do mieszkania weszło dwóch mężczyzn. Byli ubrani w czarne kurtki

1 dzinsy. Wyglądali jak studenci. Tyle że studenci z reguły nie posługują się pistoletami z tłumikiem.

Mężczyźni szybko zajrzeli do wszystkich pomieszczeń. Nie dotykali niczego, nie zapalali świada. Po chwili usiedli na kanapie. Nie wypuszczali broni z ręki.

Zuzanna ponownie ustawiła opcję szybkiego przewijania. Mężczyźni poruszali się groteskowo, kilkakrotnie opuszczali kanapę, chodzili do łazienki, wszystko w nienaturalnym, gorączkowym pośpiechu.

Któregoś razu wstali obaj i zniknęli na dobre. Komputerowy zegar wskazywał czwartą nad ranem.

146

1

- Co to było? - haker przełknął głośno ślinę. Nawet nie próbował ukryć zaniepokojenia.

- Mieszkanie. I chłopcy z pistoletami - Zuzanna zamyśliła się. Na policzki zaczął wracać rumieniec. Puls nieco zwolnił. Myśli układały się w logiczne ciągi.

- To twoje mieszkanie? Kim byli?

- Pamiętasz lekcję? Lepiej, żebyś nie wiedział. Więc nie pytaj.

- Chcieli zabić? - w pytaniu więcej było twierdzącej nuty.

- Owszem. Gdyby przyszli tylko nastraszyć, byliby zamaskowani - powiedziała obojętnie. Po czym odwróciła się w jego stronę. - Dasz radę powiększyć twarz i wzmocnić obraz?

- Światło nie było zbyt dobre. Ale powinno się udać.

- Działaj.

Zuzanna wstała. Haker usiadł przed ekranem. Cofnął obraz, poszukał kilku najlepszych ujęć, zatrzymał kadr, po czym skopiował go na dysk. Włączył specjalny program do obróbki zdjęć. Po kilku minutach milczenia drukarka stojąca obok na niskim stoliku zaszumiała cicho. Pierwszorzędna robota. Każdy z nocnych gości figurował w dwóch ujęciach, en face i z półprofilu. Zdjęcia były ostre i wyraźne. Zuzanna przez moment wpatrywała się w nie, jakby chciała zapamiętać każdy szczegół. Pierwszy krok został zrobiony. Pora na drugi.

- Wejdz do zasobów ABW, wywiadu, kontrwywiadu, cebeesiu i informacji kryminalnej. Interesują mnie zabójcy, zawodowi cyngle z wysokiej półki. Raczej z importu.

- Z importu?

- Cudzoziemcy - powiedziała niecierpliwie. Rozdygotanie i wzburzenie opadło, jednak czuła, że każda sekunda zwłoki pali ją rozgrzanym żelazem. - Najemnicy, profesjonaliści, byli żołnierze lub funkcjonariusze jednostek specjalnych.

- Jakie kryterium?

- Mają przebywać na terenie kraju. Nie muszą mieć u nas żadnych akcji na koncie ani sformułowanych podejrzeń. Wystarczy, że tutaj są.

Przełknął ślinę. Miała rację. Amnezja będzie najlepszym wyjściem.

Czuł, że stoi tuż za jego plecami i szczerze mówiąc, przeszkadzało mu to. Nie używała perfum, ale i tak pachniała w sposób przyprawiający o zawrót głowy. Świeżość, stanowczość, adrenalina. Aż się bał spojrzeć.

147

r

Wystukał adres, połączył się z serwerem, z którego usług zwykle korzystał podczas wirtualnych wypraw. Zaczął przeszukiwanie sieci.

Po pięciu minutach drukarka ponownie zaszumiała cicho.

Pierwsze dwa nazwiska. Krótkie biografie. Niewyraźne zdjęcia. Domniemane adresy bądź miejsca pobytu. Niezły początek.

Zuzanna usiadła na kanapie i wpatrywała się w kartkę. Starła się jej treść wdrukować w pamięć. Porównała z nocnymi gośćmi. Nie oni. Myślała, jak zaplanować dalsze kroki. O co zapytać facetów ze zdjęcia, jeżeli ich znajdzie.

Po dziesięciu minutach dostała dalszych pięć nazwisk. Międzynarodowy przekładaniec. Zintegrowana Europa.

- Wszystko?

- Jeżeli chodzi o ekstraklasę, owszem. Sporo chłamu, ale on cię chyba nie interesuje.

- Dobrze. Bardzo dobrze. Teraz druga sprawa. Trochę poważniejsza. Podyktuję ci adres e-mailowy. Chcę, żebyś znalazł IP komputera, który ostatnio odbierał pocztę z tego adresu. Przypominam: nikt cię nie może zauważyć.

Mężczyzna uśmiechnął się pod nosem. Maskowanie było jego żywiołem, na tym gruncie czuł się znacznie pewniej.

Przez chwilę tłumaczyła mu, czego ma szukać i jakich aplikacji użyć.

Uśmiech zniknął jak zdmuchnięty. Zadanie wyglądało na niemożliwe do wykonania, na dodatek cholernie niebezpieczne. Przez chwilę namyślał się, czy nie odmówić.

Prawdopodobieństwo znalezienia IP komputera, który naprawdę chce się ukryć, jest bliskie zeru. Nieco nad kreską, ale tylko statystycznie. Spojrzawszy na Zuzannę, zrezygnował jednak z protestów.

- To może potrwać - powiedział.

- Rób swoje. Nie spieszy nam się.

Wzruszył ramionami i przystąpił do pracy.

Zuzanna wstała. Nie musiała zaglądać hakerowi przez ramię. Rozumiała wirtualny świat, ale jej nie fascynował ani nie obchodził. Służył jako narzędzie - prywatne lub służbowe. Zresztą i tak jego palce były szybsze niż jej percepcja.

Okrażyła pokój. Wzięła z półki album o architekturze. Ponownie usiadła na kanapie. Otworzyła na przypadkowej stronie. Nie widziała

148

jednak zachwycających kształtów najbardziej znanego z dzieł Gaudie-go. Nie interesowało jej piękno i harmonia. Nie teraz.

Myślała o matce. Dalekiej, obcej, wojującej z całym światem, a najbardziej z własną córką.

Będącej jednak jakimś punktem odniesienia, jakimś - pokrętnym i złowieszczym, ale zawsze - drogowskazem. Katalizatorem myśli, pomocą w koncentracji.

Ogranicznikiem i strażnikiem pilnującym, by córka konsekwentnie podążała wytyczoną ongiś ścieżką. Zuzanna instynktownie czuła, że brak owego punktu oparcia wkrótce uderzy w nią z całą siłą.

A może nie?

Pozostała przecież Zosia.

Słońce. Szczęście. Miłość.

Ta ostatnia bardzo trudna; już chociażby z tej racji, że aby kochać, należało zaakceptować. By zaakceptować, trzeba było wpierw skryć w mroku niepamięci okoliczności, które sprawiły, że Zosia mogła przyjść na świat. Że w organizmie zbyt młodej matki pojawiło się życie.

Zostało poczęte, kiełkowało, po czym postanowiło spróbować samodzielności.

O sześć tygodni za wcześnie.

Ten moment, dla odmiany, Zuzanna pamiętała doskonale. Nagły ból i piekielny strach. Irracjonalny, drapieżny strach, jeszcze wtedy podszyty nienawiścią i agresją. I maleńkie ciało pod szklaną kopułą inkubatora, przez miesiąc walczące o życie. Mała istotka, która uchwyciwszy cieniutką jak włos nić życia, trzymała ją kurczowo w maleńkiej, zaciśniętej piąstce...

...i wygrała, odniosła pierwsze, oszałamiające zwycięstwo.

A kiedy po wielu tygodniach przebudziła się i spojrzała niewidzą-cymi oczyma na Zuzannę, zmieniło się wszystko. Choć przed trzema kwartałami życie Zuzanny zawało się, teraz nabrała przekonania, że ponownie pojawił się cel. Iriny. Gorzki, ale i słodki. Dojrzały, a jednocześnie dziecinny. Wymagający poświęcenia, a zarazem przynoszący zapierającą dech w piersiach radość.

Pamiętała, jak wróciła z dzieckiem do domu. Do osiemnastych urodzin brakowało jej równego miesiąca. Matka powitała córkę i wnuczkę w progu, bez słowa wyjęła z ręki maleńkie zawiniątko i zaniósła do pokoju.

149

Objęła nad Zosią pieczę, zasłoniła barierami przed światem. Wzięła na siebie całą odpowiedzialność za to, co się stało. Ukryła głęboko ból. I rozczarowanie.

Od tej pory Zosia stała się treścią, istotą i celem życia ich obu, choć każda z nich inaczej tę treść, istotę i cel pojmowała. Matka zasklepiała się w bólu i poświęceniu, wybierając bliską śmierci ascezę. Zuzanna ze swej strony szybko doszła do wniosku, że rozpacz do niczego nie prowadzi. Ma moc wyłącznie destrukcyjną. Umie niszczyć, nie oferując nic w zamian. Musiała poszukać czegoś, co jej życie ponownie napełniłoby treścią. Musiała znaleźć motor, który popychałby ją do przodu.

Miała osiemnaście lat, ale przestała być dzieckiem.

Znalazła, choć poszukiwania zajęły o wiele więcej czasu, niż pierwotnie przypuszczała.

Zmiany przyszły stopniowo. To, co dawniej wydawało się naturalne, teraz stało się obmierzłe i nienawistne. Proste pojęcia, jak dobro czy zło, straciły swą moc. Straciły powab i czar.

Świat zasługiwał na inne traktowanie.

Ewolucja trwała dwanaście lat i właśnie się zakończyła. Uzyskała ostateczny kształt. Zuzanna sądziła, że ma te przemiany już dawno za sobą, ale dopiero teraz poczuła, że się myliła. Dopiero teraz gotowa była zrobić wszystko. Bez wyjątków. Bez wahania.

Bez wyrzutów sumienia.

W domu matki, stojąc w pustym pokoju Zosi, miała wrażenie, że popada w obłąd. Że demon, którego przez tyle lat starała się trzymać w głębokim ukryciu i z którym nawet z czasem udało się zaprzyjaźnić i wykorzystywać jego możliwości, że demon ten wychodzi na zewnątrz i pożera ją razem z całym światem. Sama się dziwiła, dlaczego ostatecznie nie zwyciężył. Może nie był jeszcze gotowy. A może ona nie była gotowa, by zanurzyć się w szaleństwie. Ostatnim wysiłkiem woli wyszła z mieszkania, spotkała się z Bondarukiem, po czym przyjechała tutaj.

Teraz koło ewolucji się domknęło, demon rozsiadł się wygodnie w jej umyśle i sercu. Ale o żadnym szaleństwie nie było już mowy.

Zuzanna widziała swe kolejne kroki, niczym alfabet w elementarzu. Droga, którą miała podążać, stała otworem, jasno oświetlona.

150

I zapraszała.

8.

- Stasiu?
- Czołem. Już po rozmowie z szefem naszym kochanym?
- W pewnym sensie. Gdzie jesteś?
- Mogę być tam gdzie ty.
- Dobra. Za piętnaście minut tam gdzie zwykle?
- Za dwadzieścia.
- Będę.

Tyszkiewicz wsiadł do samochodu. Chwilę patrzył przed siebie tępo i myślał o kilku rzeczach jednocześnie. Niewiele z tego wynikało. W końcu przekreślił kluczyk. Silnik zagrał basem. Radio włączyło się i wypluło z siebie głos spikera poważnym tonem zapowiadającego przemówienie prezesa Rady Ministrów.

Jechał wolno i słuchał jednym uchem. Po chwili zaczął słuchać oboma. Następnie zatrzymał samochód. Zauważył, że ruch uliczny, nieporównywalnie większy niż wczoraj, zamarł, zastygł w bezruchu. Kierowcy znieruchomieli, podobnie jak on sam, z uchem przyklejonym do głośnika.

Premier przemawiał przez kilka minut, po czym nadano hymn. Już chociażby z tego powodu sprawa zasługiwała na uwagę. I troskę.

Więc jednak władze zdecydowały się ujawnić fakty. Zdecydowały się powiedzieć o kalandrycznych przypuszczeniach. Zdecydowały się obsadzić premiera - ostatnio poważnie tracącego w rankingach popularności - w roli pogodynki.

Sprawa zdecydowanie zasługiwała na uwagę i troskę.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki ulica zaroiła się ludźmi. Biegli, pędzili wręcz, a ludzka rzeka rosła z każdą chwilą. Samochodami i pieszo, autobusami i sankami, jechali, ślizgali się, pełzli i truchtali do sklepów, dyskontów i hurtowni, zarzucając uszczęśliwionych sprzedawców gigantycznymi zamówieniami.

Tyszkiewicz oderwał się od pobocza i ruszył przed siebie. Na spotkanie z Krzeptowskim wkroczył spóźniony o kwadrans. Nie był w stanie wzbudzić w sobie z tego powodu wyrzutów sumienia.

151

Zresztą komisarz sprawiał wrażenie, jakby sam przyszedł dopiero przed momentem.

- Słyszałeś?
- Transmisja leciała na wszystkich kanałach zamiast koled. Trudno było nie słyszeć.

-1 co myślisz?

Tyszkiewicz wzruszył ramionami.

- Nic. O ile proroctwo się spełni, pewnie zginie trochę mniej ludzi. Krzeptowski spojrzał uważniej. Cynizm raczej do faceta nie pasował.

- Co się dzieje?

Tyszkiewicz ponownie wzruszył ramionami. Może odrobinę za energicznie. -Nic.

- Na pewno?

- Nie na pewno. Ale zostaw to.

Komunikat był wyraźny. Mimo to został zignorowany.

- A Helena jak się czuje?

- Mam nadzieję, że dobrze. Nie widziałem jej od rana. Krzeptowski wiedział już, że Jakub tkwi po uszy w kłopotach, ale nie wrywał się z dalszymi pytaniami. Owszem, czasami ingerował w jego życie, nawet bez zaproszenia, ale czuł, że to nie ten przypadek. Że stało się coś, co przerasta dotychczasowe kłopoty. Jeżeli Jakub dojrzeje, sam mu powie.

Teraz milczał. Więc nie czas na bratnią pomoc. Krzeptowski zmienił temat.

- Sporo się dzieje.

- No. Naczelnik nie żyje.

Komisarza zamurowało. W kawiarni trwała nerwowa krzątanina, obsługa szykowała się do zamknięcia lokalu.

- Dzisiaj rano znaleźli go zabitego w swoim gabinecie. Klasyczne samobójstwo. Porządek, żadnych śladów przemocy, tylko dziura w głowie i trochę krwi na ścianie. Cebees prowadzi śledztwo.

- Nie dziwne. To ich kaliber - Krzeptowski miał ściągniętą twarz. Ogorzałe policzki były bledsze niż zwykle. Fakty. Pieprzone fakty. Pieprzona wymowa faktów.

- Skąd wiadomo, że to samobójstwo? Jakiś list pożegnalny, czy coś?

152

- Nie wiem. Byłem przesłuchiwany przez koleżkę z cebeesiu. Nawet sympatyczny. Bardzo go interesowało, dlaczego nie kontynuujemy śledztwa w sprawie Wicherka.

- Wiedział o Wicherku?

- Możliwe. Niewątpliwie natomiast sporo mówiło mu nazwisko Tolak.

Krzeptowski po raz kolejny poczuł się zaskoczony. Czemu się dziwi? Ostatnie trzy dni to jedna wielka niespodzianka.

- Co mówił o Tolaku?

- Nic. W ogóle był tajemniczy. Ale sporo pytał. O Wicherka, o raport, a zwłaszcza o to, w jakich okolicznościach straciliśmy śledztwo. Miałem wrażenie, że to go najbardziej interesuje. Może szukał śladów nacisku na starego od góry, żeby sprawie ukrećić łeb.

- Mówiłem, że się na tym przejeździemy.

- Już się przejechaliśmy. Możliwe, że Biuro o całej sprawie wiedziało wcześniej

i prowadziło swoje śledztwo.

Coraz lepiej. Krzeptowski zastanowił się.

- Myślisz, że zabójstwo szefa ma związek z Wicherkiem i naszą sprawą?
- Pewności nie mam. Ale na to wygląda. Cebees coś wie.

Krzeptowski zaklął. Coraz lepiej. Coraz fajniej. Coraz weselej.

- Tolak to mistyfikacja - powiedział.
- Wiadomo było od początku.
- Spokojnie. Większy numer. Chodziło mu o nas.
- Wiadomo.
- O nas.

Wiadomość w końcu dotarła do adresata i wybiła Tyszkiewicza z obojętności. Coś ścisnęło go w dole brzucha.

- A dokładniej?
- Facet wie o twoich wyczynach w Nagum Thal. I później.
- Poważnie? Skąd?
- Ma dostęp do tajnych danych.
- Gliniarz?
- Nie jest gliniarzem.
- A kim? O co mu chodzi?
- To dłuższa historia. Szuka dużego kozaka. Takiego, co byłby skłonny i miałby umiejętności, by zamachnąć się na przykład na pana prezydenta.

153

- Absurd. Myślał o mnie?
- O nas obu, generalnie. Węszył, bo pasowaliśmy do profilu.
- Absurd, mówię ci. Wczorajsze popołudnie i wieczór spędziłem z Leną.
- No, świetne alibi - Krzeptowski roześmiał się. Kawiarnia zrobiła się pusta.

Kelner patrzył na nich znacząco.

- Nie mówię, że alibi. Mówię, co robiłem.
- Spokojna głowa. Okazało się, że to nie my.
- Kamień spadł mi z serca.
- Mnie też. Ale Tolak potrzebuje pomocy.
- Od nas?
- Akurat nawinęliśmy się pod rękę i próbuje nam zaufać. Kontakt mu się urwał z szefami. Martwi go to.
- Ja bym się cieszył. Hulaj dusza, starych nie ma w domu, święta spokojne.
- Niezupełnie. Oprócz tego, że nie żyje prezydent, wydarzyło się jeszcze parę innych rzeczy. Na przykład Smotrycz zniknął.

Tym razem Tyszkiewicz już naprawdę się przejął. Lubił Smotrycza. Ból z dołu brzucha jął przesuwając się ku górze.

- Co to znaczy?
- Nie ma go w domu, nie odbiera komórki. Umówiłem się z nim wczoraj. Pojechałem, zastałem drzwi otwarte i zero kolesia w domu. Mieszkanie wyglądało, jakby wyszedł na chwilę po papierosy. A potem zjawił się Tolak...

Tyszkiewicza pokręcił głową. Co za szajs. Co za pieprzony świąteczny szajs.

- Stasiu, tak się nie da. Opowiedz wszystko od początku, dobra?

0 Smotryczu, o Tolaku i o tym, co ja w tym wszystkim robię.

- Ile masz czasu?

- Ile trzeba. Nie spieszy mi się.

W normalnych warunkach, nawet najważniejsze gadki na tematy służbowe Tyszkiewicz odłożyłby na po świętach. Helena była ważniejsza niż wszystko inne. Ale Krzeptowski zaczął mówić na temat Tolaka

1 Smotrycza, a Jakub nie protestował. Słuchał uważnie.

Helenę zostawił w spokoju. Przyjdzie moment i na nią. Komisarz zdążył opowiedzieć może pół początku. Podczas opisu mózdzierza, zastosowanego przez zamachowca, rozległ się riff „Smoke

154

- Absurd. Myślał o mnie?

- O nas obu, generalnie. Węszył, bo pasowaliśmy do profilu.

- Absurd, mówię ci. Wczorajsze popołudnie i wieczór spędziłem z Leną.

- No, świetne alibi - Krzeptowski roześmiał się. Kawiarnia zrobiła się pusta.

Kelner patrzył na nich znacząco.

- Nie mówię, że alibi. Mówię, co robiłem.

- Spokojna głowa. Okazało się, że to nie my.

- Kamień spadł mi z serca.

- Mnie też. Ale Tolak potrzebuje pomocy.

- Od nas?

- Akurat nawinęliśmy się pod rękę i próbuje nam zaufać. Kontakt mu się urwał z szefami. Martwi go to.

- Ja bym się cieszył. Hulaj dusza, starych nie ma w domu, święta spokojne.

- Niezupełnie. Oprócz tego, że nie żyje prezydent, wydarzyło się jeszcze parę innych rzeczy. Na przykład Smotrycz zniknął.

Tym razem Tyszkiewicz już naprawdę się przejął. Lubił Smotrycza. Ból z dołu brzucha jął przesuwać się ku górze.

- Co to znaczy?

- Nie ma go w domu, nie odbiera komórki. Umówiłem się z nim wczoraj.

Pojechałem, zastałem drzwi otwarte i zero kolesia w domu. Mieszkanie wyglądało, jakby wyszedł na chwilę po papierosy. A potem zjawił się Tolak...

Tyszkiewicz pokręcił głową. Co za szajs. Co za pieprzony świąteczny szajs.

- Stasiu, tak się nie da. Opowiedz wszystko od początku, dobra?

0 Smotryczu, o Tolaku i o tym, co ja w tym wszystkim robię.

- Ile masz czasu?

- Ile trzeba. Nie spieszy mi się.

W normalnych warunkach, nawet najważniejsze gadki na tematy służbowe Tyszkiewicz odłożyłby na po świętach. Helena była ważniejsza niż wszystko inne. Ale Krzeptowski zaczął mówić na temat Tolaka

1 Smotrycza, a Jakub nie protestował. Słuchał uważnie.

Helenę zostawił w spokoju. Przyjdzie moment i na nią. Komisarz zdążył opowiedzieć może pół początku. Podczas opisu mózdzierza, zastosowanego przez zamachowca, rozległ się riff „Smoke

on the water". Jakub sięgnął niechętnie do kieszeni - już zdążył się wkręcić w temat, co zresztą uznał za interesujące w kontekście nocnych przeżyć, może tego właśnie mu było trzeba - i wyciągnął aparat. Display jarzył się niebiesko, mówił: numer prywatny. Taka praca: często dzwoniли ludzie, którzy życzyli wszystkiego najgorszego i nie mieli ochoty być zidentyfikowani na pierwszy rzut oka. W zasadzie przebywał na urlopie, więc wahał się, czy nie zlekceważyć połączenia, jednak zdecydował się odebrać.

- Halo?

- Czy rozmawiam z nadkomisarzem Jakubem Tyszkiewiczem? - głos: stanowczy i władczy, wyraźnie nawykły do wydawania szorstkich poleceń i bez zdziwienia konstatający bezzwłoczne ich wykonywanie.

- Przy telefonie. Kto mówi?

- Moje nazwisko Lawicz. Dzwonię z kancelarii prezesa Rady Ministrów. Jestem osobistym asystentem premiera.

- Ach tak. Miło mi. Mówi Tyszkiewicz, pierwszy sekretarz prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Jakub: idealnie ponura mina. Krzeptowski: głośny rechot.

Głos zatkało na chwilę. Gdy odezwał się ponownie, prezentował temperaturę zbliżoną do punktu pomiarowego zlokalizowanego na najzimniejszym zadupiu Alaski.

- Proszę posłuchać. Polecono mi skontaktować się z panem i zaprosić na spotkanie z premierem. Pan premier nie jest przyzwyczajony do żartów na swój temat.

- Nie żartuję z premiera, tylko z pana. Czemu zawdzięczam zaproszenie?

- To już wyjaśni pan premier na spotkaniu.

Zapadło obustronne milczenie. Krzeptowski robił miny, Jakub natomiast starał się skupić. Wyglądało na to, że facet nie żartuje. Tyszkiewicz znał ten ton. Nadęte dupki używają go nawet w święta. Jechać, nie jechać?

- Pan dzwoni z kancelarii premiera?

- Tak jak powiedziałem...

- Dobrze usłyszałem: Lawicz?

-Tak

- Proszę mi podać numer telefonu, pod którym jest pan uchwytny.

-Ale...

- Słuchaj, koleś, jeżeli rzeczywiście jesteś tym, za kogo się podajesz, i twój szef chce mi osobiście złożyć życzenia, da ci kopa w dupę, że nie załatwiłeś sprawy. Albo dajesz numer, albo się wyłączam.

Wściekle sapnięcie. Walka z urażoną dumą.

- Proszę zanotować - głos zgrzytliwie wypowiedział kilka cyfr, po czym

Tyszkiewicz usłyszał trzask. Najpewniej słuchawka nie przeżyła uderzenia o widełki. Ze swojej komórki, w której brakowało tylko automatu do coca-coli i prywatnej skoczni narciarskiej (kolejny - kurwa mać - prezent -od - żony - artystki), Jakub szybko zalogował się do internetu. Wpisał adres. Po chwili znalazł to, czego szukał. Nie mając cyfrowa łączność.

Zbigniew Lawicz, sekretarz kancelarii premiera. W randze podsekretarza stanu. I numer, który nadkomisarz przed chwilą zanotował na kartce.

- Widzisz to samo co ja?
- Znacie się z panem premierem z podstawówki?
- Niezupełnie. Mimo wszystko chce ze mną pogadać.
- Pan premier.
- Osobiście.
- Ciekawe o czym.
- Tak, to właśnie jest ciekawe. Chyba muszę jechać.
- Jedź. A potem zadzwoń. Ustalimy, co dalej.

Tyszkiewicz spojrzał na Krzeptowskiego. Dwóch bliskich sobie ludzi przygniecionych brzemieniem. Postarzałych. Zatroskanych.

Podjął decyzję.

- Pojadę, ale ratowanie ojczyzny odłożymy na później. Po rozmowie z panem premierem chciałbym bryknąć do domu i spędzić czas jakiś w pieleszach.

Nie wspominając o rozmowie z pewną kruczowłosą laską. Poważnej rozmowie.

- Kubuś, to ważne. Możliwe, że musimy znowu zacząć działać razem. I na przykład zniknąć.

Ale Tyszkiewicz nie słuchał go. Wybrał podany przez Lawicza numer. Po pierwszym sygnale rozległo się znane sapnięcie. Jeszcze bardziej wściekłe niż poprzednio.

156

- Czy rozmawiam z panem Lawiczem?

-Tak.

- Prosił pan, abym oddzwonił - głos Tyszkiewicza był samą uprzedzającą grzecznością. Ociekał nią. - Więc zgodnie z pana wskazówkami oddzwaniam.

- Już? Sprawdził pan? Wszystko się zgadza? - ironia. I ból, rozdierający trzewia ból urażonej ambicji.

- Owszem. Wie pan, do mnie dzwoni dużo ludzi, którzy czegoś ode mnie chcą. Duża część nie chce niczego dobrego albo robi sobie żarty. To sukinsyny i dupki, nieceniący cudzego czasu i prywatności.

Tyszkiewicz kochał sprowadzać dupków do parteru i spuszczać z nich powietrze. Zwykle Krzeptowskiego setnie to bawiło, ale teraz ani się uśmiechnął. Już nie. Czuł, że burza nadejdzie szybciej, niż myślał.

- Wie pan, gdzie znajduje się siedziba Urzędu Rady Ministrów?
- Byłem tam kiedyś z wycieczką szkolną.
- Bardzo dowcipne. O której może pan przyjechać?
- Za dziesięć minut.
- Bardzo proszę zaparkować przed budynkiem. Strażnik wpuści pana i pokieruje

dalej.

- Będę.

Rozłączył się.

- Pan premier jednak nalega.

- Jedź. A potem chociaż zadzwoń. Aha, Tolak naciska, żebyśmy wszyscy zmienili telefony. Na kartę. Ja już mam nowy. Zapisz numer.

- Boicie się podsłuchu?

- Ty też powinienes. Kup komórkę na kartę albo przynajmniej wsadź nową kartę do swojego aparatu. I sprawdź samochód.

- Pluskwa?

- Możesz mieć, serio. Dziwne rzeczy się dzieją ostatnio. A zamach na prezydenta to tylko wierzchołek góry lodowej.

Tyszkiewicz skinął głową."

- Dobra. Przekonałeś mnie. Zmienię komórkę i sprawdzę samochód. Zadzwonię i pogadamy. Ale potem naprawdę będę musiał załatwić pewne sprawy domowe. To akurat było dla Krzeptowskiego jasne od początku rozmowy.

Tyszkiewicz wbił w komórkę nowy numer komisarza i wyszedł w zmrozone słońce.

9.

Było ich pięciu. Zsiedli ze skuterów. Czwórka wyznaczona do bezpośredniego wykonania zadania przypięła narty do jazdy terenowej. Rozłożyli tobogan. Jeden z nich został, by pilnować sprzętu.

Ostatni kilometr musieli pokonać w ten sposób, ponieważ skutery śnieżne są zbyt głośne.

Ruszyli. Szli wolno, zapadali się, śnieg utrudniał ruchy. Nie odczuwali jednak zmęczenia. Kilometr na nartach w takim śniegu i przy takiej pogodzie to nic. Byli zawodowcami.

10.

Yamoto przekrzywił łeb i zaczął nasłuchiwać. Pionowa zmarszczka między oczami pogłębiła się. Po chwili wstał i podszedł do okna.

Coś odbiegało od rutyny wiejskiego dnia.

11.

- Wydaje mi się, że mam.

- Wydaje ci się? - Zuzanna otrząsnęła się z zamyślenia jak z resztek snu. - Nie jesteś pewien?

Haker oderwał wzrok od ekranu. Zuzanna spojrzała na zegarek. Dwie godziny minęły nie wiadomo kiedy.

- To jest zagmatwane. I bardzo profesjonalne. Nigdy czegoś takiego nie widziałem, nawet gdy sobie robiłem wycieczki po różnych rządowych instytucjach, niekoniecznie polskich.

- Nie przychodziłabym do ciebie, gdyby sprawa była prosta. Znalazłeś czy nie?

- Tak. Chyba tak. Ostatnich kilka kroków było aproksymacjami, ryzyko błędu rosło wykładniczo. Ale chyba trafiłem.

- Dobrze. Jesteś w stanie dopasować IP do fizycznego adresu?

- Już to zrobiłem - kliknął myszką i drukarka zaczęła z cichym szumem

wypluwać kartkę papieru. Było na niej kilka słów. - Pod tym numerem ukrywa się pewna szacowna i uczciwa firma.

158

Zuzanna wyjęła kartkę z drukarki i przeczytała niespełna jedną linijkę tekstu. Zwykły warszawski adres. Zwykła warszawska ulica. Zwykły warszawski dom.

Lista zabójców i numer kamienicy. Niewiele. Ale od czegoś trzeba zacząć.

12.

Chmury przykryły słońce.

Czteryście metrów. Koniec lasu. Dalej odkryty teren. Idealna, gładka biel śnieżnego całunu. Wiatr kręcący na jego powierzchni niewielkie pióropusze.

Dowódca wyjął lornetkę i zaczął obserwować cel. Z komina unosił się dym i kładł się płasko w powietrzu. Spokój.

Bezruch.

13.

Helena nie zwracała uwagi na psa. Szczerze mówiąc, nie zwracała uwagi na nic, poza sobą. Butelka pokazała dno, a jej nie chciało się ruszać do kuchni. Leżała w sypialni i myślała.

Alkohol spełnił o tyle swoją rolę, że rozlał się po ciele przyjemnym ciepłem.

Rozleniwił. Nie natchnął jednak optymizmem. Spowodował jedynie, że rzeczywistość dostała nieco ostrzejszych konturów. Nieco wyraźniejszych barw.

Nieco bardziej wyrazistego smaku.

Myślenie obrazkowe: wielka przestrzeń, łagodne, jasne kolory. I trzy postacie. Para z przodu, a jedna, samotna, na drugim planie. Która? Kto był samotnikiem podążającym za wiodącą dwójką?

Kto gonił, być może bez nadziei na osiągnięcie celu?

Poczuła delikatne mrowienie w klatce piersiowej. Do sztucznie wywołanego ciepła doszło drżenie. Pożądanie. Uczucie tak silne, że zawładnęło nią, ogarnęło od stóp do głów. Zresztą, nie bardzo się broniła. Dała się ponieść. Obraz przed oczami złągodniał. Wszystkie trzy postacie falowały splecione w tańcu-akrobacji.

159

Zuzanna wyjęła kartkę z drukarki i przeczytała niespełna jedną linijkę tekstu. Zwykły warszawski adres. Zwykła warszawska ulica. Zwykły warszawski dom.

Lista zabójców i numer kamienicy. Niewiele. Ale od czegoś trzeba zacząć.

12.

Chmury przykryły słońce.

Czteryście metrów. Koniec lasu. Dalej odkryty teren. Idealna, gładka biel śnieżnego całunu. Wiatr kręcący na jego powierzchni niewielkie pióropusze.

Dowódca wyjął lornetkę i zaczął obserwować cel. Z komina unosił się dym i kładł się płasko w powietrzu. Spokój.

Bezruch.

13.

Helena nie zwracała uwagi na psa. Szczerze mówiąc, nie zwracała uwagi na nic, poza sobą. Butelka pokazała dno, a jej nie chciało się ruszać do kuchni. Leżała w sypialni i

myślała.

Alkohol spełnił o tyle swoją rolę, że rozlał się po ciele przyjemnym ciepłem. Rozleniwił. Nie natchnął jednak optymizmem. Spowodował jedynie, że rzeczywistość dostała nieco ostrzejszych konturów. Nieco wyraźniejszych barw. Nieco bardziej wyrazistego smaku.

Myślenie obrazkowe: wielka przestrzeń, łagodne, jasne kolory. I trzy postacie. Para z przodu, a jedna, samotna, na drugim planie. Która? Kto był samotnikiem podążającym za wiodącą dwójką?

Kto gonił, być może bez nadziei na osiągnięcie celu?

Poczuła delikatne mrowienie w klatce piersiowej. Do sztucznie wywołanego ciepła doszło drżenie. Pożądanie. Uczucie tak silne, że zawładnęło nią, ogarnęło od stóp do głów. Zresztą, nie bardzo się bronila. Dała się ponieść. Obraz przed oczami złagodniał. Wszystkie trzy postacie falowały splecione w taricu-akrobacji.

159

r

f

Usłyszała muzykę.

Tańczyła. Może minutę, kwadrans albo wieczność.

Yamato warknął głucho.

Obraz i muzyka zniknęły. Pożądanie odpłynęło. Helena otworzyła oczy i zaczęła nasłuchiwać. Warknięcie powtórzyło się. Głuche, basowe...

...złowieszcze.

Wstała. Yamato nigdy nie warczał w ten sposób. W ogóle odzywał się raz na tydzień. Był wzorem dyskrecji. Zobaczyła go w saloniku, przy oknie wychodzącym na las. Wyjrzała. Biel śniegu i nic poza tym.

Pies, zazwyczaj legawiec wiecznie pochrapujący na swym pośłaniu, zamienił się w uważnego obserwatora, czujnego stróża i gotowego na wszystko opiekuna. Stał i wystawiał pysk ponad framugę. Obserwował teren, nasłuchiwał. Był wyprężony, sierść zjeżyła się, biegnąc wąską pręgą od łba aż do końca ogona. Gdy podeszła, spojrział na nią uważnie, po czym wrócił do obserwacji.

- Co zobaczyłeś? Coś cię martwi? - klepnęła go po muskularnym zadzie. W innych okolicznościach służyłoby to jako pretekst do zabawy. Ale nie teraz. Nie dziś. Helena ponownie spojrzała przez okno. Nic. Cisza i spokój.

Wzruszyła ramionami.

- Pilnuj pani, a pani pójdzie się napić - powiedziała. Zachwiała się lekko i poszła do kuchni.

14.

- Proszę tędy - głos zimny jak stal na mrozie. Wzrok ostry. Usta w wąską kreskę. Własna skala. Numer jeden: maksi buc. Polityk albo szołbiznesmen (ka). Nadęty, wyniosły, mający za durni wszystkich stojących niżej w hierarchii. Często w TV. Tok szoł, tańczące talenty, te sprawy.

Numer dwa: buc nie mniejszy, ale celebryta najnowszej kategorii, pretendent mający dość talentu, uporu i ostrych zębów, by wejść do pierwszej grupy. Mniejszy tok szoły w mniejszych stacjach.

Numer trzy: liczna grupa planktonu okupująca dół hierarchii, bez szans na wdrapanie

się wyżej. Gryząca się między sobą i walcząca o resztki spadające z pańskiego stołu.
160

Lawicz: gość raczej z drugiej grupy. Dupek około trzydziestoletni, całkiem przystojny, urodą prącego po trupach do celu partyjnego partyzanta z prowincji. Wysoki, szczupły, starannie ogolony i modnie ostrzyżony. Na twarzy wypisana modlitwa o wywiad telewizyjny. Marzenie: zdobycie pięciu minut w prime time. Aby oglądały miliony.

Powinien być piosenkarką, pomyślał Tyszkiewicz i uśmiechnął się szeroko.

- Bardzo dziękuję. Jestem wdzięczny, że pan się osobiście fatygował.
- Proszę sobie darować - wow, Tyszkiewicz nie sądził, że można mówić jeszcze zimniejszym tonem niż przy powitaniu, ale tamten był zdolny. Bardzo zdolny. Dokonał tej trudnej sztuki, mało tego, sprawiał wrażenie, jakby posiadał jeszcze pewne rezerwy.

Odwrócił się i zaczął iść bardzo szybkim krokiem. Może liczył, że zmusi gościa do biegania. W przejściu chciał przytrzasnąć Jakuba drzwiami, ale Jakub przytrzymał drzwi ręką. Na przystojnej twarzy dupka mignęło coś w rodzaju rozczarowania.

Weszli do jakiegoś pomieszczenia. Sekretariatu, jak się okazało.

Pod ścianą stało dwóch niczym niewyróżniających się ochroniarzy. Wyższy spojrzał na Jakuba zimnym wzrokiem, a Jakub bez pudła zrozumiał przekaz: niespiesznie zdjął kurtkę, wyjął pistolet wraz z zapasowym magazynkiem, kluczyki do samochodu oraz komórkę, po czym położył to wszystko na niewielkim stolyczku. Wyższy przejechał wzdłuż ciała Tyszkiewicza skanerem do wykrywania metalu, drugi podszedł i przejechał jakimś innym gadżetem, bardziej prostokątnym. Obaj nic nie znaleźli, więc niechętni kiwnęli głowami.

- Proszę - powiedział Lawicz. Tak się toczka w toczkę wymawia „spierdalaj”. - Premier czeka na pana.

Tyszkiewicz przelotnie przejrzał się w lustrze (ulubiony strój Heleny: czarny golf, delikatny pulover w serek i czarne spodnie) i pomyślał, że wkracza na salony władzy ubrany zgoła niestosownie. Garnitur, oto obowiązujący w tych progach kod. Przywiązywał wagę do stroju, no cóż, takim się urodził. Nawet na misjach się z niego śmiali, ponieważ lubił mieć wyprasowaną garderobę.

Zapukał. Nie czekając na zaproszenie, otworzył drzwi i wszedł do środka.

Przy stole czterech mężczyzn. Premiera Tyszkiewicz znał z telewizji - nawet taki apolityczny typek jak on coś jednak kojarzył - pozostali

161

trzej też mu kiedyś mignęli. Minister spraw wewnętrznych, minister obrony narodowej, minister spraw zagranicznych. Najbliżsi współpracownicy, stara gwardia, wspólnicy sukcesu.

Teraz zasepieni. Być może myśleli, jak podzielić się porażką.

Premier wstał i wyciągnął rękę na powitanie. Był niższy od Tyszkiewicza. Miał pobrużdżoną zmarszczkami twarz, siwe włosy. I miły, zawodowy uśmiech.

- Witam, nadkomisarzu - powiedział. Telewizja czyni cuda. Nie dość, że

człowiek wydaje się wyższy, to na dodatek ma niski, modulowany głos, a wyrazy wypowiada z nienaganną dykcją.

- Dzień dobry. Nadkomisarz Jakub Tyszkiewicz. Bardzo mi miło pana poznać - starał się nie okazywać skrępowania, jednak nie wiedział, czy jest w stanie nad nim zapanować, w końcu debiutował w tak wysokich progach.

- Moi współpracownicy. Ministrowie... - przedstawił siedzących przy stoliku mężczyzn nazwiskami znanymi z gazet. Po chwili gestem zaprosił Tyszkiewicza, by usiadł.

Jakub zajął miejsce na brzeżku krzesła. Czuł się jak przed klasówką.

I słusznie. Już pierwsze pytanie było strzałem w punkt.

- Po co pojechał pan do Afganistanu?

Jakuba zatkało. Co to, rozmowa w sprawie pracy? Wywiad dla popularnego dziennika? Skrępowanie odeszło, jak ręką odjął.

- Słyszałem o pana przygodach. Tu jest wszystko dość dokładnie opisane - premier wskazał na leżącą na stoliku kartonową teczkę kilkucentymetrowej grubości. Najwyraźniej nie zwrócił uwagi na milczenie rozmówcy. - Kilkakrotnie dał pan wyjątkowy przykład odwagi. Przy okazji o mało nie postradał życia. Dwie rany w Iraku, dwie w Afganistanie, dość demokratyczny podział. Zachowywał się pan jak trzeba. Nawet uwzględniając ostatni epizod, przebieg pana służby mógłby być podawany jako wzór dla młodszych. Ale pytam o motywację. Po co pojechał pan do Afganistanu?

Tyszkiewicz zaczął myśleć. O co facetowi chodzi? O szczerą odpowiedź?

Voilà.

- Dla pieniędzy... - zawiesił głos. Na pewno nie pozwoli się wciągnąć w żadne ideologiczne rozważania. - Chciałem podreperować budżet domowy.

162

Ministrowie z resortów siłowych poruszyli się, ale premier skwitował odpowiedź jeszcze życzliwszym uśmiechem.

- Ci, którzy pana znają, mówili mi o pańskim poczuciu humoru - stwierdził. Podniósł teczkę, otworzył, chwilę szperał w papierach, w końcu wyciągnął pojedynczą kartkę. - Jak się okazuje, mieli rację. To jest PIT pani Heleny Berezowicz za rok dwa tysiące siódmy. Dwieście dwadzieścia tysięcy złotych dochodu po opodatkowaniu. Wtedy zaczęła być sławna, prawda? To dopiero pierwszy rok sukcesów, zaledwie skromny początek, ale ponad dwieście tysięcy to nie tak źle na bezdzietne małżeństwo, zgodzi się pan ze mną? Pana PIT wskazuje na dochód rzędu stu tysięcy, wliczając tę nieszczęsną turę w Afganistanie. O ile mnie pamięć nie myli, przerwana w połowie. Nadal pan twierdzi, że pojechał pan na misję dla pieniędzy? Uppss, gospodarz znacznie lepiej przygotowany do rozmowy niż gość.

- No... - zawahał się. Postanowił się jeszcze nie poddawać. Wysłać na tamtą stronę kortu podkreconą piłkę. - Jestem ambitny. Nie znoszę, jak kobieta zarabia więcej ode mnie.

Premier westchnął i pokręcił głową. Milczał. Pozostali patrzyli na Jakuba z niesmakiem.

No dobrze. Niech będzie. Jakub nie znosił sztuczności i wielkich słów. Ale jakoś to trzeba powiedzieć.

- Nie podobały mi się widoczki dwóch wieżowców z wbitymi w nie samolotami. Inteligencji wystarczyło mi na tyle, by dostrzec związek... Terrorysty równie dobrze mogą uderzyć i u nas. Wyszedłem z założenia, że lepiej nakłaść im do tyłka na ich własnym terenie.

- Brawo, brawo - premier pokiwał głową z aprobatą. I być może z ulgą. Najwyraźniej czas przejść do poważniejszych rzeczy. - Tak właśnie myślę. Że pojechał pan tam, bo uznał, że sytuacja w Afganistanie jest związana z bezpieczeństwem naszego kraju. Że powinien pan zrobić to, co konieczne.

- Możliwe. Stare dzieje. Teraz nie mam z tym nic wspólnego. I chyba całe szczęście.

- Rozumiem. Mimo wszystko sądzę, że ludzie nie zmieniają się tak łatwo. Że jak ktoś w coś wierzył kilka lat temu, wierzy i teraz. Zwłaszcza gdy mówimy o sprawach tak prostych, jak przyzwoitość i wiara w pewne podstawowe wartości. Co to za lekcja historii? Czy nie lepiej byłoby, gdyby władza zaczęła przygotowywać się na przyjście apokalipsy?

163

Okazało się, że właśnie się przygotowywała.

- Panie nadkomisarzu, wiem z pana akt, że jest pan człowiekiem odpowiedzialnym. Jednak muszę pana prosić, aby nic, co zostanie powiedziane w tym pokoju, nie wydostało się poza te ściany. O tym, co powiemy i ustalimy, może wiedzieć tylko nasza piątka. Zgoda?

- Nie bardzo rozumiem, do czego pan, zmierza, panie premierze...

- Zaraz wytłumaczę. I zobaczy pan, że dyskrecja leży w interesie nas wszystkich.

Dyskrecja. W policji ważna rzecz. W życiu ważna rzecz. U polityków ważna rzecz.

- No cóż, nie wiem, o co chodzi, ale chyba nie mam wyjścia.

- A zatem rozumiem, że się dogadaliśmy. Przejdźmy do rzeczy. Wiem, że prowadził pan przez ostatnich kilka dni bardzo interesujące śledztwo. Proszę nam o nim opowiedzieć.

- Nie wiem, czy mogę je nazwać interesującym. Może poprzez osobę ofiary, która z jednej strony była krewnym żony naszego prezydenta... to znaczy świętej pamięci prezydenta - aż się zająknął. Przez głowę przemknęło mu bardzo wiele informacji i skojarzeń naraz. Przerwa trwała długo, wszyscy ją zauważyli, ale premier nie poganiał go. Jakub w końcu zmusił się do mówienia. - Z drugiej strony ofiara była autorem hipotezy o nowej epoce lodowcowej, która ma dziś wieczorem zacząć się na terenie naszego państwa i kilku ościennych krajów. Jak rozumiem, o tym już pan wie, słyszałem przemówienie w radiu. Natomiast jeżeli chodzi o śledztwo, zanim zdołaliśmy osiągnąć jakiegokolwiek rezultaty, zespół został rozwiązany. Dzisiaj rano miałem się zgłosić z raportem zamykającym, tymczasem okazało się, że mój szef, naczelnik Wydziału do walki z Terrorem Kryminalnym i Zabójstw Komendy Stołecznej, w nocy popełnił samobójstwo.

Premier kiwnął głową. Zgadzał się? Miał takie same wiadomości?

- Właśnie. Czy to nie zastanawiające? - zapytał. - Oczywiście, wiem, że tak bystry człowiek jak pan, na pewno zwrócił uwagę na tę sekwencję zdarzeń:

Wicherek, prezydent, pana szef. To niestety tylko część zjawiska, i to, obawiam się,

mała część. W kraju od pewnego czasu dzieją się bardzo złe rzeczy.

Wykonał zachęcający gest ręką, niemy do tej pory minister spraw wewnętrznych wziął ze stołu następną teczkę, daleko cieńszą od dossier Jakuba, wyjął z niej kartkę papieru i zaczął czytać. Obo-

164

jętny ton, zły grymas. Oczy chłodne. Adekwatne do przekazywanych treści.

- Trzynasty sierpnia. Porwanie córki prezesa Najwyższej Izby Kontroli. Pomimo zaangażowania najlepszych negocjatorów i wpłacenia przez rodzinę okupu, dziewczynę znaleziono martwą na początku października. Najprawdopodobniej umierała bardzo długo i w bardzo bolesny sposób. Oszczędzę nam wszystkim szczegółów. Nie muszę dodawać, że miesiąc później prezes złożył rezygnację z powodu depresji i rozstroju nerwowego. Szósty września. Zabójstwo wicemarszałka senatu. Sprawcą okazał się mężczyzna nieźrównoważony psychicznie, dwa tygodnie wcześniej wypuszczony z zakładu zamkniętego. Przyczyny, dlaczego go wypuszczono, są niejasne, acz formalnie wszystko jest w porządku. Zabójcy nie można przesłuchać, jest całkowicie niepoczytalny. Szesnasty września. Zniknięcie zastępcy komendanta głównego policji. Zaginiony zostawił list pożegnalny, w którym zawiadamia rodzinę, że nie jest w stanie podołać nawałowi obowiązków i musi gwałtownie zmienić otoczenie i sposób życia. Pomimo poszukiwań przepadł jak kamień w wodę. Tak się składa, że był odpowiedzialny za działania Centralnego Biura Śledczego. Pierwszy października. Samobójstwo szefa Zarządu Planowania Operacyjnego Sztabu Generalnego. Brak listu, motywu, czegokolwiek. Ale samobójstwo zostało stwierdzone ponad wszelką wątpliwość. W ciągu ostatnich kilku miesięcy czterech posłów umiera na zawał, piąty rezygnuje z wykonywania mandatu. W końcu trzeci grudnia. W zamachu pod Warszawą giną szefowie albo wiceszefowie wywiadów blisko dziesięciu państw, w tym zastępcy szefów CIA, MI6, SDECE i wywiadu niemieckiego. Z naszych: szef wywiadu, kontrwywiadu i wiceminister obrony narodowej. Lista nie jest kompletna, nie wymieniłem kilkunastu innych, nieco pomniejszego kalibru przypadków. Dalej: szereg aktów cyberterrorizmu, w tym jeden szczególnie groźny, skierowany przeciwko systemowi bezpieczeństwa ministerstwa obrony narodowej. Nawiasem mówiąc, atak ten został odparty, choć nie obyło się bez strat. Jest możliwe, że niektóre informacje padły łupem hakerów. Dalej: duża liczba szkodliwych operacji finansowych, wiele ważnych z punktu widzenia interesów naszego państwa spółek zmieniło swoje zarządy. No i na koniec mamy to, co wydarzyło się w ciągu ostatnich kilku dni: zabójstwa

165

jętny ton, zły grymas. Oczy chłodne. Adekwatne do przekazywanych treści.

- Trzynasty sierpnia. Porwanie córki prezesa Najwyższej Izby Kontroli. Pomimo zaangażowania najlepszych negocjatorów i wpłacenia przez rodzinę okupu, dziewczynę znaleziono martwą na początku października. Najprawdopodobniej umierała bardzo długo i w bardzo bolesny sposób. Oszczędzę nam wszystkim szczegółów. Nie muszę dodawać, że miesiąc później prezes złożył rezygnację z

powodu depresji i rozstroju nerwowego. Szósty września. Zabójstwo wicemarszałka senatu. Sprawcą okazał się mężczyzna nie zrównoważony psychicznie, dwa tygodnie wcześniej wypuszczony z zakładu zamkniętego. Przyczyny, dlaczego go wypuszczono, są niejasne, acz formalnie wszystko jest w porządku. Zabójcy nie można przesłuchać, jest całkowicie niepoczytalny. Szesnasty września. Zniknięcie zastępcy komendanta głównego policji. Zaginiony zostawił list pożegnalny, w którym zawiadamia rodzinę, że nie jest w stanie podjąć nawałowi obowiązków i musi gwałtownie zmienić otoczenie i sposób życia. Pomimo poszukiwań przepadł jak kamień w wodę. Tak się składa, że był odpowiedzialny za działania Centralnego Biura Śledczego. Pierwszy października. Samobójstwo szefa Zarządu Planowania Operacyjnego Sztabu Generalnego. Brak listu, motywu, czegokolwiek. Ale samobójstwo zostało stwierdzone ponad wszelką wątpliwość. W ciągu ostatnich kilku miesięcy czterech posłów umiera na zawał, piąty rezygnuje z wykonywania mandatu. W końcu trzeci grudnia. W zamachu pod Warszawą giną szefowie albo wiceszefowie wywiadów blisko dziesięciu państw, w tym zastępcy szefów CIA, MI6, SDECE i wywiadu niemieckiego. Z naszych: szef wywiadu, kontrwywiadu i wiceminister obrony narodowej. Lista nie jest kompletna, nie wymieniałem kilkunastu innych, nieco pomniejszego kalibru przypadków. Dalej: szereg aktów cyberterrorizmu, w tym jeden szczególnie groźny, skierowany przeciwko systemowi bezpieczeństwa ministerstwa obrony narodowej. Nawiasem mówiąc, atak ten został odparty, choć nie obyło się bez strat. Jest możliwe, że niektóre informacje padły łupem hakerów. Dalej: duża liczba szkodliwych operacji finansowych, wiele ważnych z punktu widzenia interesów naszego państwa spółek zmieniło swoje zarządy. No i na koniec mamy to, co wydarzyło się w ciągu ostatnich kilku dni: zabójstwa

165

Wicherka, siostrzeńca pani prezydentowej, oraz samego prezydenta, no i na koniec pana szefa.

Minister zamilkł, schrypnięty. Jakub miał wrażenie bolesnego nieporozumienia.

- Rzeczywiście, czytałem na ten temat w prasie. W jakim celu panowie mi to wszystko opowiadacie?

- Widzi pan, mój szanowny kolega nie powiedział jednej istotnej rzeczy - odezwał się premier. - Mianowicie, że pomimo zaangażowania ogromnej liczby najbardziej doświadczonych policjantów, sił prokuratury i przydzielenia ogromnych środków, śledztwa w ani jednym przypadku nie przyniosły najmniejszych rozstrzygnięć. Nie udało się złapać ani jednego sprawcy, ani wyjaśnić przyczyn zniknięć czy samobójstw. Nie zbliżyliśmy się nawet o włos do poznania prawdy. Smutne. Ale stosunkowo łatwe do wyjaśnienia.

Tyszkiewicz poruszył się niespokojnie, ale premier powstrzymał go gestem dłoni.

- Nie wiem, na ile interesuje się pan polityką, być może w ogóle, co oczywiście jestem w stanie zrozumieć. Powiem zatem, że tej kampanii terroru, bo myślę, że możemy użyć tej nazwy, jest to po prostu skoordynowany atak terrorystyczny na najbardziej żywotne obszary państwa, mające za cel wywołanie poczucia bezsilności, towarzyszą bezprecedensowe ruchy tektoniczne na scenie politycznej. Jak pan się zapewne orientuje, moja partia dysponuje znaczącą większością parlamentarną, na tyle dużą, że po raz pierwszy w historii wolnej Polski możemy rządzić samodzielnie.

I to nam stwarzało stabilny klimat do przeprowadzenia poważnych zmian modernizacyjnych. Jednak większość parlamentarna jest już przeszłością, jest nieaktualna. W ciągu ostatnich kilku miesięcy odeszło z mojej partii ponad dwudziestu posłów, w tym ośmiu przez ostatnie kilka dni. Od przedwczoraj większość ma koalicja dwóch pozostałych partii, która na początek opowiada się za wprowadzeniem stanu wyjątkowego na okoliczność nadchodzącej klęski żywiołowej. Marszałkiem sejmu został Joachim Terlecki, człowiek, któremu jeszcze kilka lat temu prokuratura nie nadążała stawiać zarzutów karnych. Nawiasem mówiąc, wszystkie sprawy zostały umorzone, pomimo, zdawałoby się, pewnych i mocnych dowodów. Zarządzone przeze mnie wnikliwe kontrole nie wykryły niczego podejrzanego. W świadze ostatnich zdarzeń utrzymanie się

166

mojego rządu jest kwestią kilku godzin, może kilku dni. Teraz proszę samemu dodać dwa do dwóch.

Jakub milczał. Ministrowie milczeli. Wiatr uderzył w okno.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego mi pan to opowiada, panie premierze. Owszem, dostrzegam związek pomiędzy tymi wydarzeniami, widzę niebezpieczeństwa wynikające z zabójstwa prezydenta, a przede wszystkim z paraliżu państwa związanego z nadchodzącą katastrofą pogodową i nieuniknioną katastrofą służb. Być może straci pan władzę, ale proszę wybaczyć szczerłość, co z tego? Stracił pan większość parlamentarną, będzie rządził kto inny. Tak chyba funkcjonuje demokracja?

- Nie, nie tak - premier wstał. Już się nie uśmiechał. Słońce zaszło za chmury, w gabinecie zrobiło się niemal ciemno. Wiatr targnął oknem ponownie. Silniej. - To nie jest normalna utrata władzy w wyniku przegranych wyborów parlamentarnych. Przyzna pan, że sytuacja, kiedy z rządzącej partii posłowie odpływają do opozycji, nie jest typowa, prawda? Przyjrzelіśmy się bliżej temu zjawisku. Pewności nie ma, bo być nie może, ale jestem przekonany, że mamy do czynienia z korupcją na niewyobrażalną skalę. Najprawdopodobniej w grę wchodzi olbrzymie pieniądze, które ktoś był skłonny zapłacić, aby moi ludzie zaczęli nagle myśleć i postępować zupełnie inaczej niż do tej pory. Aby doznać nagłej iluminacji, że w istocie tylko program polityczny i gospodarczy obu partii opozycyjnych może przynieść Polsce korzyści, a to, co robimy my, to faszyzm, reakcjonizm, bandycki liberalizm, wilcze prawa kapitalizmu i tym podobne rzeczy. Niech się pan nie śmieje, takie argumenty usłyszałem od tych, którzy odeszli. Mówili to całkiem poważnie, z dużym przekonaniem, choć jeszcze niedawno mówili zupełnie co innego. To już nie jest demokracja, prawda?

Jakub poczuł się zmęczony. Znowu zaczęła go boleć głowa, ślad po, zdawałoby się, zapomnianym kacu. Korupcja, zwłaszcza wśród polityków, to nie jego działka. Są inni, godniejsi, bardziej wyspecjalizowani.

- Panie premierze. Rozumiem, co pan do mnie mówi, natomiast chyba nie rozumie pan mnie. Jestem zwykłym gliną, i to z niewielkim stażem, o czym wiadomo z moich akt. Od korupcji jest specjalne biuro, ma pan cebees, wywiad, kontrwywiad, ABW...

Podczas nieco zbyt głośnego spiczu Jakuba premier chodził niespiesznie po

gabinecie. Biurko. Okno. Okno. Biurko. Znowu okno. Milczenie. Oszaleć można.
167

- Jeżeli nasi przeciwnicy byli w stanie skorumpować kilkudziesięciu posłów, przeprowadzić zamach na prezydenta i w zasadzie przejąć władzę w państwie, myśli pan, że nie zadbali o to, by umieścić swoich ludzi w wymienionych przez pana służbach? - odezwał się w końcu minister obrony. Jako jedyny z siedzącej w fotelach trójki patrzył na Tyszkiewicza z odrobiną sympatii. - Z przedstawionych faktów wynika jasno, że mamy do czynienia z pełzającym zamachem stanu. Ci, którzy zginęli, zaginęli bądź popełnili samobójstwo, byli naszymi zaufanymi ludźmi. Z kolei zamach na szefów wywiadów miał na celu nadszarpnięcie zaufania sojuszników, pokazanie światowej opinii publicznej, że nie panujemy nad sytuacją. Jak się na to spojrzy z odpowiedniej perspektywy, można zobaczyć, że cała ta sekwencja zdarzeń ma na celu wyizolowanie nas, odcięcie od zaufanych ludzi, sparaliżowanie i skompromitowanie organów państwowych i w końcu przejęcie kontroli, czyli de facto przejęcie władzy. I stopniowo zostajemy jak Robinson na bezludnej wyspie. Nie mamy nikogo, na kim moglibyśmy się oprzeć. Na kim moglibyśmy polegać. Komu moglibyśmy zaufać.

Prawda, Jakubie Tyszkiewiczu. Prawda cię wyzwoli. Oni chcą ci zaufać.

Wszyscy czterej politycy mogliby występować w teatrze. Pozwolili gościowi oswoić się z wypowiedzianymi przed chwilą słowami. Nie przeszkadzali. Wiedzieli, że czasami cisza brzmi wymowniej niż słowa.

Jeszcze jedna próba: skryć się w mysiej norze z napisem „gliniarz prostaczek udaje durnia”.

- Nadal nie mogę zrozumieć, czemu zawdzięczam wizytę. Zostałem wysłany na przymusowy urlop. Ze sprawą Wicherka nie mam już nic wspólnego. Z pozostałymi przypadkami opisanymi przez panów tym bardziej. Powtórzę: moje doświadczenie jako gliniarza jest mizerne.

- To wszystko prawda - premier zakończył spacer i stanął naprzeciw Tyszkiewicza. Od początku spotkania jakby trochę się przygarbił. Było widać, że nie kupił słabo zamaskowanych wykrętów rozmówcy. Najwyraźniej Tyszkiewicz, w odróżnieniu od pozostałych uczestników konferencji, musiał jeszcze popracować nad umiejętnościami dramaturgicznymi. - Nie rozmawiamy z panem jako z doświadczonym policjantem. Rozmawiamy z panem jako z uczciwym obywatelem tego kraju.

168

- Uczciwym? - to był jakiś trop. Jakub myślał gorączkowo. Wiedział, w co go chcą ubrać ci elegancko wyglądający faceci. I zostało mu tylko jedno, jakże polskie, zgodne z tradycją romantyczną wyjście: bronić się do ostatniego tchu. Oto hit tygodnia. Gwóźdź programu. Creme de la creme stresującej wizyty na wysokim szczeblu. - Skąd pewność, że mnie również nie zaproponowano łapówki, żebym był głuchy i ślepy?

- Pewności nie ma nigdy - premier kiwnął głową. Wiedział to z doświadczenia. - Ale niech mi pan przypomni, na jakiej kwocie stanęły negocjacje między panem a przedstawicielem grupy oficerów, którzy w Afganistanie brali lewe patrole i

otrzymywali nienależne pieniądze? Wiem, że zaczęło się od dwudziestu tysięcy złotych. Potem było pięćdziesiąt. A potem?

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Ejże, wie pan doskonale. Czytałem pańskie zeznania. I opinię prokuratury. Tamci stawali na głowie, żeby pana przekonać, żeby pan siedział cicho. Cały ten system zrzucił się na łapówkę dla pana. No więc ile? Sto tysięcy?

Co za szajs. Najgorzej gadać z ludźmi, którzy wszystko wiedzą lepiej od ciebie.

- Sto tysięcy - Jakub niechętnie kiwnął głową. Po czym dodał:

- dolarów.

Suma zrobiła odpowiednie wrażenie.

- Zaproponowali panu sto tysięcy dolarów za milczenie. I spotkali się z odmową. Musieli dopiero sprokurować przeciwko panu fałszywe oskarżenia, a i tak nie poddał się pan bez walki. - Premier wyglądał na usatysfakcjonowanego. Był naprawdę dobrze przygotowany do tego wyścigu.

- Czy już jest jasne, dlaczego uważamy pana za uczciwego obywatela?

Jakub nie miał nic do powiedzenia. Pot spływał mu ciurkiem wzdłuż kręgosłupa. W pokoju było nie więcej niż dwadzieścia stopni, ale jemu raczej wydawało się, że panuje afrykański upał.

- Chcemy pana prosić o kontynuowanie śledztwa w sprawie zabójstwa Wicherka i bez względu na koszty doprowadzenie do wykrycia sprawców. Jesteśmy przeświadczeni, że jeżeli odnajdzie pan morderców, odnajdzie pan również ludzi, którzy zagrażają naszemu państwu. Otrzyma pan wszelkie pełnomocnictwa i wszelką pomoc. Całe zasoby państwa, które możemy jeszcze zmobilizować, są do pańskiej dyspozycji, panie nadkomisarzu.

169

#

- Uczciwym? - to był jakiś trop. Jakub myślał gorączkowo. Wiedział, w co go chcą ubrać ci elegancko wyglądający faceci. I zostało mu tylko jedno, jakże polskie, zgodne z tradycją romantyczną wyjście: bronić się do ostatniego tchu. Oto hit tygodnia. Gwóźdź programu. Creme de la creme stresującej wizyty na wysokim szczeblu. - Skąd pewność, że mnie również nie zaproponowano łapówki, żebym był głuchy i ślepy?

- Pewności nie ma nigdy - premier kiwnął głową. Wiedział to z doświadczenia. - Ale niech mi pan przypomni, na jakiej kwocie stanęły negocjacje między panem a przedstawicielem grupy oficerów, którzy w Afganistanie brali lewe patrole i otrzymywali nienależne pieniądze? Wiem, że zaczęło się od dwudziestu tysięcy złotych. Potem było pięćdziesiąt. A potem?

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Ejże, wie pan doskonale. Czytałem pańskie zeznania. I opinię prokuratury. Tamci stawali na głowie, żeby pana przekonać, żeby pan siedział cicho. Cały ten system zrzucił się na łapówkę dla pana. No więc ile? Sto tysięcy?

Co za szajs. Najgorzej gadać z ludźmi, którzy wszystko wiedzą lepiej od ciebie.

- Sto tysięcy - Jakub niechętnie kiwnął głową. Po czym dodał:

- dolarów. •

Suma zrobiła odpowiednie wrażenie.

- Zaproponowali panu sto tysięcy dolarów za milczenie. I spotkali się z odmową. Musieli dopiero sprokurować przeciwko panu fałszywe oskarżenia, a i tak nie poddał się pan bez walki. - Premier wyglądał na usatysfakcjonowanego. Był naprawdę dobrze przygotowany do tego wyścigu.

- Czy już jest jasne, dlaczego uważamy pana za uczciwego obywatela? Jakub nie miał nic do powiedzenia. Pot spływał mu ciurkiem wzdłuż kręgosłupa. W pokoju było nie więcej niż dwadzieścia stopni, ale jemu raczej wydawało się, że panuje afrykański upał.

- Chcemy pana prosić o kontynuowanie śledztwa w sprawie zabójstwa Wicherka i bez względu na koszty doprowadzenie do wykrycia sprawców. Jesteśmy przeświadczeni, że jeżeli odnajdzie pan morderców, odnajdzie pan również ludzi, którzy zagrażają naszemu państwu. Otrzyma pan wszelkie pełnomocnictwa i wszelką pomoc. Całe zasoby państwa, które możemy jeszcze zmobilizować, są do pańskiej dyspozycji, panie nadkomisarzu.

169

- Uczciwym? - to był jakiś trop. Jakub myślał gorączkowo. Wiedział, w co go chcą ubrać ci elegancko wyglądający faceci. I zostało mu tylko jedno, jakże polskie, zgodne z tradycją romantyczną wyjście: bronić się do ostatniego tchu. Oto hit tygodnia. Gwóźdź programu. Creme de la creme stresującej wizyty na wysokim szczeblu. - Skąd pewność, że mnie również nie zaproponowano łapówki, żebym był głuchy i ślepy?

- Pewności nie ma nigdy - premier kiwnął głową. Wiedział to z doświadczenia. - Ale niech mi pan przypomni, na jakiej kwocie stanęły negocjacje między panem a przedstawicielem grupy oficerów, którzy w Afganistanie brali lewe patrole i otrzymywali nienależne pieniądze? Wiem, że zaczęło się od dwudziestu tysięcy złotych. Potem było pięćdziesiąt. A potem?

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Ej że, wie pan doskonale. Czytałem pańskie zeznania. I opinię prokuratury. Tamci stawali na głowie, żeby pana przekonać, żeby pan siedział cicho. Cały ten system zrzucił się na łapówkę dla pana. No więc ile? Sto tysięcy?

Co za szajs. Najgorzej gadać z ludźmi, którzy wszystko wiedzą lepiej od ciebie.

- Sto tysięcy - Jakub niechętnie kiwnął głową. Po czym dodał:

- dolarów.

Suma zrobiła odpowiednie wrażenie.

- Zaproponowali panu sto tysięcy dolarów za milczenie. I spotkali się z odmową. Musieli dopiero sprokurować przeciwko panu fałszywe oskarżenia, a i tak nie poddał się pan bez walki. - Premier wyglądał na usatysfakcjonowanego. Był naprawdę dobrze przygotowany do tego wyścigu.

- Czy już jest jasne, dlaczego uważamy pana za uczciwego obywatela? Jakub nie miał nic do powiedzenia. Pot spływał mu ciurkiem wzdłuż kręgosłupa. W pokoju było nie więcej niż dwadzieścia stopni, ale jemu raczej wydawało się, że panuje afrykański upał.

- Chcemy pana prosić o kontynuowanie śledztwa w sprawie zabójstwa Wicherka i bez względu na koszty doprowadzenie do wykrycia sprawców. Jesteśmy przeświadczeni, że jeżeli odnajdzie pan morderców, odnajdzie pan również ludzi,

którzy zagrażają naszemu państwu. Otrzyma pan wszelkie pełnomocnictwa i wszelką pomoc. Całe zasoby państwa, które możemy jeszcze zmobilizować, są do pańskiej dyspozycji, panie nadkomisarzu.

15.

Ruszyli.

Posuwali się gęsiego. Dowódca zakładał ślad, człowiek ciągnący tobogan jechał na końcu. Kierowali się nieco na prawo od celu. Chcieli sprawiać wrażenie, że przejadą obok. Że są zwykłymi turystami, grupą kolegów, którzy korzystając z ostatnich chwil dziennego światła, zanim zasiądą do wigilijnego stołu, zażyją jeszcze nieco ruchu. Przejadą przeszło czterysta metrów i przestaną się maskować. Na wysokości domu gwałtownie skręcają w lewo i sprintem osiągną cel. Zaatakują z trzech stron jednocześnie.

16.

Helena siedziała w kuchni i patrzyła w kieliszek. Odkąd Jakub wyjechał, nie dokładała do ognia. Po prostu jej się nie chciało. Gdy zrobiło się zimno, założyła jeszcze jedną bluzę. Butelka wina także zrobiła swoje, alkohol rozgrzewał ją, chociaż myśli nadal nie mogły złapać właściwego rytmu. Może zresztą tak było najlepiej? Ponownie usłyszała głuchy warkot, jeszcze bardziej basowy. Potem szczeknięcie. Yamato zwykł był ostrzegać o gościach w sposób rutynowy, działając trochę na zasadzie dzwonka u drzwi. Po prostu wysyłał komunikat: ktoś idzie, sprawdźcie, proszę, kto, bo mnie się nie chce.

To szczeknięcie, pojedyncze, dobyte z głębi trzewi oznajmiało: uwaga, niebezpieczeństwo.

Odniosło skutek. Helena podniosła się. Wyszła z kuchni i ponad pism łbem dostrzegła czterech mężczyzn poruszających się na nartach jeden za drugim, niemal znikających z pola widzenia gdzieś na lewo od domu. Wyglądało na to, że przebiegną obok, może o pięćdziesiąt metrów, ale Helenie nie spodobało się kilka rzeczy. Na przykład: jednolity strój nieoczekiwanych turystów, równy, jakby wojskowy krok. Tobogan ciągnięty przez ostatniego narciarza.

Była bystrą dziewczynką i nie lubiła być zaskakiwana. Pomyślała, odganiając od siebie alkoholowy opar, że warto byłoby sprawdzić, czy Jakub wziął ze sobą broń. Precyzyjnie: tę drugą, ze służbowym gloc-

170

kiem nie rozstawał się bowiem nigdy. Ale swego czasu kupił również mały rewolwer s&w kalibru trzydzieści osiem setnych cala i z reguły, gdy Helena pozostawała sama na wsi, zostawiał go do jej dyspozycji. Nie, żeby okolica należała do szczególnie niebezpiecznych. Przeciwnie: było tu cicho, sielsko i spokojnie, okoliczni złodzieje albo siedzieli w więzieniu, albo hołdowali staroświeckiemu kodeksowi honorowemu, nakazującemu pozostawienie sąsiadów w spokoju. O poważniejszych przestępstwach nikt w okolicy nie słyszał.

Jakub mimo wszystko nauczył Helenę strzelać, co z początku wcale nie rokowało sukcesu. Popelniała wszystkie możliwe błędy początkujących: celowała nie z tego oka, zamykała oba przy strzale, szarpiąc spustem zrywała strzały, wskutek czego kule dziurawiły niebo. Ale z czasem opanowała tę sztukę i zaczęła trafiać. Potem trafiała

już za każdym razem. Umiała naładować i rozładować broń, a także rozłożyć na części i wyczyścić. Sprawiało jej to przyjemność. Lubiła zapach metalu i oliwy do konserwacji.

Teraz o tym wszystkim nie myślała. Wzięła ze stołu komórkę i wybrała numer Jakuba. Ze słuchawką przy uchu szybkim krokiem podeszła do szafki, sięgnęła wysoko i z ulgą stwierdziła, że broń leży na swoim miejscu. Obok: pudełko z amunicją. Wyjęła oba przedmioty, jednym ruchem uwolniła bębenek, otworzyła kartonowe pudełko i zaczęła ładować naboje.

W słuchawce pojawił się sygnał.

Naboje wskakiwały do bębna.

Pierwszy, drugi...

Jakub nie odbierał. Włączyła się automatyczna sekretarka. Helena zaczęła mówić do słuchawki.

...trzeci...

Yamato przestał warczeć. O ile to możliwe, zjeżył się jeszcze bardziej, aksamitne czarne fafle uniosły się, ukazując kły. Zaczął się cofać.

...czwarty...

Pies stanął pośrodku pokoju. Ugiął przednie łapy. Opadł do pół-przysiadu. Był milczący i gotów do akcji.

...piąty...

Cisza. Głucha, niezakłócona najmniejszym szmerem, klaustrofobiczna.

...szósty.

Brzęk wybijanych szyb i łomot walącego się na podłogę ciała. Trzask zamykanego bębna. Stukot komórki upadającej na ziemię. Yamato skoczył.

17.

- Panie premierze, z całym szacunkiem, to jakaś pomyłka. Absolutnie nie nadaję się do roli zbawcy ojczyzny. Przecież Wicherek jest w tym wszystkim najmniejszym problemem. Panu chodzi o wykrycie spisku. Naprawdę pan sądzi, że poradzę tam, gdzie nie poradziły wszystkie służby, cały aparat, jaki ma pan do dyspozycji? - Jakub aż się podniósł. Czwórka słuchaczy miała niemalże znudzone miny.

- Mimo wszystko uważamy, że jest pan właściwym człowiekiem -premera ponownie wyreczył minister spraw wewnętrznych. - A służby są dziurawe jak rzeszoto. Nie ma żadnej gwarancji, że będą chciały dojść prawdy, odwrotnie, mamy pewność, że nie będą chciały. Są utkane przekupionymi ludźmi, którzy pilnują, by niczego istotnego nie wykryto. A pan, jako samotny strzelec, ma szansę. Tylko szansę, ale może warto spróbować.

Chryste, kolesie chyba nie słyszą, jakie to bzdury. Na kilometr pachnące manipulacją. Zwłaszcza że nie oni będą nadstawiać karku.

- Nie podołam. Nie nadaję się - Jakub wstał. Chciał jak najszybciej wyjść. - Musicie panowie poszukać innej osoby.

- Proszę siadać - premier podniósł nieco głos. Właściwie nie tyle podniósł głos, co zaostrzył ton. To zwykle pomagało jego rozmówcom w koncentracji. Tyszkiewicz wykonał polecenie. - Widzę, że do pana nie dociera. Powtórzę: sytuacja jest tak

dramatyczna, że musimy chwycić się środków niestandardowych. Pan się nadaje, nawet lepiej, niż pan myśli. Nikt pana nie zna, przepraszam za szczerość, nie ceni i nie dostrzega z pana strony żadnego zagrożenia. I to właśnie jest atutem, niech to w końcu do pana dotrze. Damy panu do dyspozycji wszystko, co możliwe, nieograniczone środki materialne i finansowe. Może pan używać dowolnych metod, nawet pozaprawnych. Nie oczekujemy zbawienia ojczyzny, jak był pan to łaskaw nazwać. Celem jest wykrycie sprawców zabójstwa Wicherka. Tylko tyle. Proszę powyższe potraktować jako polecenie

172

Brzęk wybijanych szyb i łomot walącego się na podłogę ciała. Trzask zamykanego bębena. Stukot komórki upadającej na ziemię.

Yamato skoczył.

17.

.....*.....r.....
.....

- Panie premierze, z całym szacunkiem, to jakaś pomyłka. Absolutnie nie nadaje się do roli zbawcy ojczyzny. Przecież Wicherka jest w tym wszystkim najmniejszym problemem. Panu chodzi o wykrycie spisku. Naprawdę pan sądzi, że poradzę tam, gdzie nie poradziły wszystkie służby, cały aparat, jaki ma pan do dyspozycji? - Jakub aż się podniósł. Czwórka słuchaczy miała niemalże znudzone miny

- Mimo wszystko uważamy, że jest pan właściwym człowiekiem -premiera ponownie wyręczył minister spraw wewnętrznych. - A służby są dziurawe jak rzeszoto. Nie ma żadnej gwarancji, że będą chciały dojść prawdy, odwrotnie, mamy pewność, że nie będą chciały. Są utkane przekupionymi ludźmi, którzy pilnują, by niczego istotnego nie wykryto. A pan, jako samotny strzelec, ma szansę. Tylko szansę, ale może warto spróbować.

Chryste, kolesie chyba nie słyszą, jakie to bzdury. Na kilometr pachnące manipulacją. Zwłaszcza że nie oni będą nadstawiać karku.

- Nie podołam. Nie nadaję się - Jakub wstał. Chciał jak najszybciej wyjść. - Musicie panowie poszukać innej osoby.

- Proszę siadać - premier podniósł nieco głos. Właściwie nie tyle podniósł głos, co zaostrzył ton. To zwykle pomagało jego rozmówcom w koncentracji. Tyszkiewicz wykonał polecenie. - Widzę, że do pana nie dociera. Powtórzę: sytuacja jest tak dramatyczna, że musimy chwycić się środków niestandardowych. Pan się nadaje, nawet lepiej, niż pan myśli. Nikt pana nie zna, przepraszam za szczerość, nie ceni i nie dostrzega z pana strony żadnego zagrożenia. I to właśnie jest atutem, niech to w końcu do pana dotrze. Damy panu do dyspozycji wszystko, co możliwe, nieograniczone środki materialne i finansowe. Może pan używać dowolnych metod, nawet pozaprawnych. Nie oczekujemy zbawienia ojczyzny, jak był pan to łaskaw nazwać. Celem jest wykrycie sprawców zabójstwa Wicherka. Tylko tyle. Proszę powyższe potraktować jako polecenie

172

służbowe wydane przez pana zwierzchnika, czyli ministra spraw wewnętrznych.

- Ale... - Jakub uczepił się ostatniej myśli, jaka mu została. - Przecież panowie wiecie, co się zacznie dziś po południu. Może nawet - spojrzął przez okno - już się

zaczęło. Jeżeli nawet nie wszystkie parametry zawarte w raporcie Wicherka się spełnią, jeśli będzie nieco cieplej i mniej śnieżnie, to najprawdopodobniej i tak nie da się prowadzić żadnego śledztwa. Jedyńm celem wszystkich będzie przetrwanie.

- I tak, i nie - premier miał nieruchomą twarz. - Taki moment jest dla naszych przeciwników właśnie idealny na atak. Zdają sobie sprawę, że nasze możliwości obronne, już bardzo osłabione, w czasie kataklizmu spadną niemal do zera. I powtarzam: właśnie dlatego uważamy, że samotnemu strzelcowi, formalnie z nami niezwiązanemu, może się udać.

Jakub zrezygnował z oporu. Od pewnego czasu czuł, że się nie wywinie. Ci przebiegli mężczyźni po prostu poprowadzili go za rączkę w kierunku podjęcia odpowiedniej, jedynie odpowiedniej decyzji. A więc należało ją podjąć i Jakub właśnie to zrobił.

- Uważam ten pomysł za szaleńczy, panie premierze. I co więcej, nieskuteczny. Nie mam doświadczenia, a być może już za chwilę nie będę miał nawet możliwości podjęcia jakichkolwiek działań. Naszymi potencjalnymi przeciwnikami są ludzie zdeterminowani i bardzo dobrze zorganizowani, którzy nie przestraszą się byle gliniarza. W razie czego po prostu mnie zlikwidują. Zważywszy, że porwali się na życie głowy państwa, nie powinno to dla nich stanowić problemu. Moje życie nie będzie warte złamanego grosza, odkąd tylko opuszczę te mury...

- Nikt o panu nie wie i tylko od pana zależy, kiedy się dowie. A moim zdaniem ma pan dość woli walki i sprytu, by sobie poradzić.

- ...ale mogę spróbować - ciągnął Jakub, jakby premier w ogóle nie otwierał ust, jakby nie uczynił wtrętu. - Bez żadnej gwarancji sukcesu. Więc niech panowie sobie raczej nie robią nadziei.

- Decyzja godna podziwu. Może to nie jest odpowiednie słowo, ale cieszę się, że pan ją podjął - powiedział premier poważnie. Po uśmiechu nie było śladu. Ministrowie skinęli głowami. Satysfakcja? Byli zbyt sprytni, by ją okazywać. Zresztą, cóż to za satysfakcja z prawie pewnej przegranej?

173

- Ja nieco mniej, ale mniejsza z tym. Będę potrzebował środków i pełnomocnictw.

- Oczywiście - premier skinął głową, wstał i podszedł do masywnego biurka stojącego w przeciwległym kącie gabinetu. Wyjął z szuflady teczkę. Wrócił do stolika. - Pisemne upoważnienie już przeze mnie podpisane. Wszystkie państwowe instytucje, do których się pan zwróci, są zobowiązane udzielić wszelkiej koniecznej pomocy. Obojętnie, święta, kataklizm czy choroba żony - wszyscy mają pomóc. Może pan poprosić o dowolny sprzęt czy ludzi. Następnie karta płatnicza z kodem PIN. Jest na niej pięć milionów złotych. Nie jestem pewien, czy prywatne systemy bankowe będą działać, no ale zawsze może pan wyciągnąć z pieleszy naszego prezesa banku państwowego i zażądać otwarcia skarbcza. W neseserze ma pan gotówkę: milion złotych oraz sto tysięcy euro, na wszelki wypadek. Pod adresem zapisanym na tej kartce czeka na pana wsparcie sprzętowe. Nie wiem, czy satysfakcjonujące, mieliśmy mało czasu, by zgromadzić niezbędne środki. Niemniej to, co pan tam znajdzie, powinno panu ułatwić życie.

- Nie wiem, co powiedzieć - Jakub patrzył na trzymaną w ręku teczkę. Jedna

myśl goniła drugą.

- Proszę nic nie mówić i działać. Odprowadzę pana.

Wstali. Jakub pożegnał się z ministrami i ruszył do drzwi ramię w ramię z premierem. Ministrowie zostali przy niskim stoliku i dyskutowali między sobą przyciszonymi głosami.

- Postaram się znaleźć morderców Wicherka. Ale nic więcej nie mogę obiecać.

- Niech pan ich po prostu zidentyfikuje i odszuka - powiedział premier półgłosem. A potem schylił się i dodał jeszcze ciszej: -1 jeżeli o mnie chodzi, nie muszą stawać przed sądem.

18.

Tosa Inu.

Hardy, nieznający strachu, niezwycięzony wojownik. Duma Nipponu. Japończycy byli (i są nadal) rozkochani w walkach psów. Mieli swoje uformowane w wyniku wielowiekowej ewolucji rasy, z których byli dumni. Gdy jednak w drugiej połowie dziewiętnastego wieku

174

otworzyli się na świat (precyzyjnie: gdy zostali zmuszeni do otwarcia się na świat i wpuszczenia przedstawicieli Zachodu), doszło do konfrontacji psów japońskich z europejskimi i amerykańskimi. Japonia w tym meczu poległa, ponieważ nie miała szans. Japońskie psy były znacznie mniejsze i mniej agresywne. Mądrzy synowie Nipponu zastosowali zasadę mistrza Nakayamy: ugięli się, by zwyciężyć. Zamiast obrażać się na rzeczywistość, zaczęli krzyżować swoje rasy z rasami europejskimi. W końcu, po wielu próbach, wyhodowali mocarnego zapaśnika będącego skrzyżowaniem japońskiego szpica, europejskiego mastiffa, a także bernardyna i buldoga. Tak narodził się wojownik niemający sobie równych.

Na pierwszy rzut oka Tosa wygląda jak ogromna pluszowa zabawka. Płowa sierść, czarna kufa z opadającymi, wiecznie zaślinionymi faflami, pofałdowana skóra z przynajmniej trzydziestoprocentową nadwyżką ilościową. Łagodne, flegmatyczne usposobienie. Szczekanie? Raz na tydzień. Spacery? Byle nie za daleko. Nawet lekkie klepięcie prowokuje do zabawy, a muskularny, długi ogon wprawia w wesołe majtanie.

Gdy Jakub kupował Helenie Yamato trzy i pół roku temu, nie wiedział o tych psach zbyt wiele, ot, tyle, ile wyczytał w internecie. Trzymiesięczny szczeniak składał się głównie z łap, skóry i melancholijnego spojrzenia. Jakub był zachwycony. Jednak właściciel hodowli na odchodnym powiedział: „To spokojny pies, niewiele jest w stanie wyprowadzić go z równowagi. Ale gdy będzie dorosły, nie życzę panu, by miał pan okazję zobaczyć go naprawdę zdenerwowanego. Proszę mi wierzyć, widziałem atakującego samca Tosy kilka razy w życiu i choć oczywiście nie ja byłem przedmiotem ataku, nie chciałbym tego oglądać już nigdy więcej”.

Jakub zapamiętał tę naukę i razem z Heleną wychowali szczeniaka w duchu łagodności i tolerancji dla jego, zresztą nielicznych, wybryków. Yamato wyrósł na olbrzymiego osobnika o pięknej linii i starannie ukrytych pod skórą stalowych mięśniach. Miał mnóstwo wad i jedną podstawową zaletę: dawał się kochać i odpłacał swoim właścicielom taką samą, pierwszorzędną jakością miłością.

Teraz, po raz pierwszy w życiu (odbytego kilka miesięcy temu króciutkiego jak

mgnienie oka starcia z amstaffem nie liczył, bo wtedy nie zdążył się nawet rozgrzać, gdy amstaff-napastnik wylądował

175

na plecach przygnieciony niemal kwintalem masy spoczynkowej przeciwnika)

Yamato wyczuł, że jego pani grozi niebezpieczeństwo. Uśpiony instynkt wojownika w jednej chwili wydobył się z letargu, odrzucił precz cywilizacyjną otoczkę i zaczął sterować krokami swego nosiciela, przejmując od mózgu funkcję stanowiska dowodzenia.

Toteż gdy pies zobaczył ruch w oknie i Ktoś - Obcy - Wrogi — Ze Złymi Zamiarami z akompaniamentem rozbitej szyby wskoczył do środka, bez wahania zaatakował. Dziewięćdziesiąt kilogramów mięśni, ścięgien, zębów i pazurów rozpędziło się na odcinku niespełna dwóch metrów i uderzyło w momencie, gdy Zły podnosił się po wykonaniu przewrotki. Potężne łapy trafiły w pierś napastnika.

Nie ma takiego mężczyzny, który - wyszkolony czy nie - utrzymałby się na nogach po zderzeniu z atakującą Tosą, tym bardziej że psy te mają zwyczaj nie uprzedzać o ataku i walczą bezgłośnie, bez zwykłego u innych psów warkotu.

Toteż mężczyzna, nim zdążył zrozumieć, co się stało, z hukiem wylądował na ziemi, po czym uderzył potylicą o podłogę. Zamroczyło go nieco, ale to był najmniejszy z jego problemów.

Tosy umieją walczyć całym ciałem i łapami, zębów używają rzadko. Po prostu nie muszą. Teraz jednak Yamato nie bawił się w półśrodku, czuł, że w tym wypadku użycie łap i wojowniczej psychiki nie wystarczy, toteż uzyskawszy powodzenie w pierwszej fazie ataku, otworzył pysk, górne zęby oparł o nasadę nosa mężczyzny, a dolnymi objął brodę. Napastnik w panice złapał rękoma kark psa.

Yamato zacisnął szczękę.

Chrupot łamanych kości i stłumione wycie wydawane przez konającego w męce człowieka...

... w de strzały, głośnie, ogłuszające.

Helena ataku swego obrońcy nie obserwowała, zajęta była bowiem innymi sprawami.

Omam nie upadła, wystraszona dźwiękiem tłuczonych w kuchni i sypialni szyb.

Napaść zastała ją w krótkim korytarzyku, skąd teoretycznie miała widok na trzy główne pomieszczenia domu. W kuchni pociemniało, napastnik już niemal był na nogach, a w ręku trzymał jakiś podłużny, czarny przedmiot. Helena podniosła rewolwer i bez celowania, w panice bliskiej szaleństwu, z adrenaliną huczącą w żyłach i podnoszącą włosy na głowie, wystrzeliła trzykrotnie. Biała, zakapturzona postać zachwiała się, dwa pociski poszły bokiem, ale

176

jeden trafił w pierś, odrzucił mężczyznę w tył i pozbawiał tchu. Jednak kamizelka wytrzymała atak i napastnik, po króciutkiej jak mgnienie oka chwili był ponownie gotów do działania.

Helena widziała wszystko jak na zwolnionym filmie. Za plecami wyczuła ruch - to ten z sypialni, a zatem co najmniej trzech już jest w domu - ale zignorowała go.

Podniosła ponownie broń, po czym spokojnie, tak jak uczył ją Jakub, wycelowała, zacisnęła dłoń na rękojeści i strzeliła.

Prosto w twarz.

Mężczyzna poleciał na ścianę. Kula nie przebiła czaszki, ale krew wytrysnęła obfitym strumieniem z wielkiej dziury na policzku. Napastnik upadł, jeszcze przez chwilę wił się w śmiertelnych drgawkach, po czym znieruchomiał.

Helena zaczęła się odwracać o sekundę za późno.

19.

Jakub popatrzył krzywo. Miał wrażenie, że się przesłyszał. Nie sądził, by coś było go w stanie jeszcze dzisiaj zaskoczyć, ale premier co i rusz wyciągał z rękawa kolejne asy.

- Tak jak powiedziałem, spróbuję rozejrzeć się sytuacji. To mogę obiecać - odparł po chwili. Chciał jak najszybciej opuścić te mury. - Jednak osobiście sądzę, że w ciągu najbliższych dni i tak najistotniejsza będzie kwestia, jak przeżyć. A potem...

- Potem może być za późno na jakiegokolwiek działania. Proszę robić swoje i kontaktować się ze mną możliwie jak najczęściej. - Położył nieznaczny nacisk na słowo: ze mną. A może Jakubowi się tylko wydawało. Był naprawdę zmęczony. Ucisnął dłoń jednego z najważniejszych ludzi w państwie i wyszedł. Zaraz za drzwiami natknął się na Lawicza. Facet sprawiał wrażenie, jakby właśnie odskoczył od dziurki od klucza. Jakub zignorował go, szybkim krokiem podszedł do wieszaka, założył kurtkę i czapkę, po czym odebrał od ochroniarza swoje rzeczy. Podając komórkę, tamten mruknął:

- Dzwoniło.

Jakub zerknął na display. Rzeczywiście. Helena. Zdecydował, że to nie takie pilne. Myślał raczej o pętli, którą sobie właśnie założył na szyję.

- Dzięki - odmruknął i opuścił sekretariat.

177

Lawicz podążył w ślad za nim. Chciał się umówić, czy co? W końcu, już prawie przy wyjściu, złapał go za ramię.

- Nie daruję ci, rozumiesz? - syknął mu w ucho. - Skończy się brzydka pogoda i będziesz miał przejebane. Przeklniesz każdy dzień, który cię dzieli od śmierci. Na początek cię dyscyplinarnie zwolnię, i to będzie dopiero początek kłopotów.

Mocno powiedziane. Dobitnie. Hollywood rządzi, lekcja odrobiona na sto dwa.

Jakub nie tracił czasu na gadanie. Złapał Lawicza za łokieć, tak by palce zacisnęły się na bruździe nerwu łokciowego. Ścisnął. Uchwyt miał mocny, wytrenowany. Lawicz zbladł i zaczął syczeć. Tyszkiewicz wzmacnił chwyt. Gdy tamten zwiotczał i zrobił się całkiem purpurowy, Jakub uderzył go drugą ręką w brzuch. Lekko.

Wystarczyło. Facet zgiał się i opadł na kolana.

- To jest dla ciebie właściwa pozycja. Zostań, póki pan nie przyjdzie - powiedział Jakub, uśmiechnął się przelotnie do kamery umieszczonej nad wyjściem i przekroczył próg.

Wiatr nie był tak silny jak wczoraj, ale zdecydowanie bardziej odczuwalny niż rano. Temperatura spadła nieznacznie, było raptem dziewięć - dziesięć stopni poniżej zera. Ale niebo...

Jakub spojrział w górę i naprawdę się zaniepokoił. Jeszcze nie widział takiego koloru. Sinogranatowy, jakby poszarpany ołów tworzący pierzaste, owalne obłoki pędzące niemal tuż nad ziemią. Mieniły się szaro, poruszając się niczym w tańcu. Ocieżałym,

dostojnym i złowieszczym. Powietrze było gęste, nieprzyjemne, mimo mrozu wilgotne. Choć do zachodu słońca brakowało jeszcze blisko godziny, panował półmrok.

Jakub doszedł szybkim krokiem do samochodu, otworzył go i usiadł za kierownicą. Myślał o tym, co przed chwilą usłyszał, i o tym, co miał przed oczami. Uświadomił sobie, że przeszkadza mu ból w piersiach, jakby klatkę piersiową miał ściśniętą ciasno zawiniętym bandażem. Oddychał przez usta, szybko, łapczywie chwytając powietrze. Miał wrażenie, że odbyta przed chwilą rozmowa i złożona mu propozycja -z tych nie do odrzucenia - jest jakimś kiczowatym snem, scenariuszem kiepskiego filmu o niezbyt znaczącym budżecie.

Zadzwoiła komórka. Dźwięk był ostry, niespodziewany, naglący. Wyjął aparat. Poczuł. Włożył do ucha bezprzewodową słuchawkę, po czym zapalił silnik. I tak musiał się ruszyć.

178

m

Wyjechał z parkingu. Automatyczny niby-głos skończył skandować numer Heleny. Jakub był już na ulicy, gdy usłyszał początek nagrania.

...Śmiertelny, bolesny ryk, jaki wydaje konający człowiek, zaraz potem trzy strzały z rewolweru, głowę mógł dać jego własnej trzydziestki ósemki, potem następny ryk, jeden, drugi, a potem jeszcze jeden strzał i krzyk Heleny. W jej głosie było wszystko: ból, strach, rozpacz i nienawiść.

Jakub niemal automatycznym ruchem włączył sportowe, najbardziej dynamiczne przełożenie i docisnął gaz do deski.

20.

Jurij przyjrzał się ekranowi. Program śledzący pracował bez zarzutu. Zielona kropka wystartowała jak rakieta. Szybkim ruchem założył słuchawki z mikrofonem.

- Delta, tu Alfa, zgłoś się.

Trzaski.

- Delta, tu Alfa, zgłoś się - znowu trzaski i zakłócenia. Po chwili mechaniczne stuknięcie.

- Hi Delta, zgłaszam się.

- Melduj.

- Akcja zakończona. Mamy minus dwa i pół.

- Zrozumiałem. Wynoście się. Jedzie wsparcie.

- Tak jest. Ale tu jest trochę bałaganu. Musimy posprzątać.

- Migiem.

21.

Wiktor, dowódca grupy, rozłączył się i zaklął, na czym świat stoi.

Popatrzył na leżącą na podłodze kobietę. Drugą ręką trzymał przy jej ustach i nosie gazę ze środkiem usypiającym. Zbyt długo nie poddawała się, walczyła wściekle, wierzgała i próbowała gryźć. Dopiero w ciągu ostatniej minuty powoli, jakby próbując jeszcze stawić opór, uspokoiła się.

179

Cel osiągnęli, przynajmniej jego pierwszą fazę. Ale Wiktor był wściekły. Zbyt wielkie straty ponieśli, zbyt wiele czasu stracili, zbyt wiele hałasu narobili. Wszystko od początku szło źle. Gdy Jurij, szef i dawny towarzysz broni, przedstawił wczoraj plan akcji - rutynowy, wynikający z doświadczenia i dokładnej analizy terenu oraz celu -który rokował bliskie stu procent szansę powodzenia, koordynator pokręcił głową.

- Żadnych granatów hukowych, dymnych ani gazowych - powiedział i spojrzał na obu znacząco. - Jeżeli ma alergię, mogłaby się udusić. A huku nie chcemy, tam są wścibscy sąsiedzi. Chcę ją mieć żywą i całą. Jest was czterech, dacie sobie radę.

- Ona może być uzbrojona, wygląda na ostrą zawodniczkę - zaprotestował Jurij. Nie robił tego zbyt energicznie, to w kontaktach z koordynatorem nigdy się nie opłacało. Chodziło tylko o delikatne zaakcentowanie odrębnego zdania, broń Boże żadnych sporów czy upierania się przy swoim. - Poza tym ma psa.

- No, chyba się przesłyszałem - koordynator roześmiał się wesoło. -Mam rozumieć, że czterech doświadczonych żołnierzy boi się kobiety i jakiegoś cherlawego kundla?

Cherlawy kundel okazał się blisko stukilogramowym bydlakiem, który jednym kłapinięciem gargantuicznej szczęki zerwał prawie całą twarz, a także przegryzł gardło Niklasowi - żołnierzowi z piętnastoletnim stażem i szeregiem cichych akcji na koncie. Nim Wiktor wpakował w psa pół magazynka, ten zdążył jeszcze chwycić drugiego z członków ekipy za dłoń i strzaskać ją.

A kobieta?

No właśnie, kobieta zgodnie z przypuszczeniami Jurija okazała się rzeczywiście ostrą zawodniczką. Nawet bardzo ostrą. Nie dość że faktycznie była uzbrojona, to jeszcze potrafiła zrobić z broni użytek. Świadczył o tym trzeci członek ekipy, który leżał w kuchni z wielką, krwawą dziurą poniżej oka i w chłodnej atmosferze drewnianego domku właśnie zaczynał stygnąć.

Tak więc dowódca jako jedyny pozostał nietknięty i na chodzie. Podniósł z ziemi smith & wessona i schował do kieszeni. Ponownie spojrzał na leżącą kobietę i pokręcił głową.

To miała być szybka, łatwa i skuteczna robota nagrodzona specjalną premią.

180

& *

Ranny skończył opatrywać sobie rękę i spojrzał na dowódcę zamglonym wzrokiem. Jego gotowość do dalszej akcji nie była zbyt wielka.

- Rozejrzyj się, czy nikogo nie ma - rozkazał dowódca.

- Tak jest - odparł żołnierz. Wyszkolenie i doświadczenie wzięło górę nad słabością, ranny wyszedł do przedpokoju i opuścił dom. Dowódca połączył się z Jurijem.

- Tu Delta, Alfa słyszysz mnie?

- Tu Alfa.

- Jak sytuacja?

-Tamten jest za blisko. Przejdziemy do planu B... - Jurij przez chwilę wydawał

instrukcje. - Zrozumiałeś Delta?

- Tak jest, Alfa, zrozumiałem.

-Wykonuj.

Wiktor usłyszał, że jego towarzysz wraca z rekonesansu.

- W porządku - powiedział.

- Dobra. Zbierzemy broń. Sprawdź, czy nie zostawiliśmy innych śladów.

-Tak jest.

- Pojedziesz przodem. Zostanę i będę cię ubezpieczał...

Wydanie rozkazu zajęło kilka sekund. Szybko posprzątaali dom -

w bardzo wąskim rozumieniu tego słowa - po czym wspólnie wynieśli Helenę na zewnątrz. Chwilę zajęło im właściwe rozłożenie ciężaru na toboganie. Wiktor pomógł podkomendnemu założyć specjalną uprzęż z liną przymocowaną do toboganu oraz przypiąć narty. Żołnierz wziął w dłoń kijek, zranioną rękę ułożył w rozpięciu kurtki niczym na temblaku.

Ruszył założonym uprzednio śladem. Pochylił się i sapnął z wysiłku. Tobogan wpadł w koleinę, ale i tak stawiał silny opór. W założeniu, w powrotnej drodze zdobycz miało ciągnąć dwóch ludzi. Ranny żołnierz wyglądał, jakby sam potrzebował pomocy.

Posuwał się wolno, o wiele za wolno. Gdy dotarł do lasu, było niemal ciemno. Wiatr wył i targał gałęziami.

22.

- Mówię ci, kurwa mać, co słyszałem. Nie wiem, co się stało...

181

- Spokojnie. Tylko staram się pomóc. Już jesteśmy w samochodzie. Gdzie to jest?

- Trafisz, byłeś tam przecież. Wiejski Domek, pamiętasz?

Krzepkowski pamiętał, co miał nie pamiętać. Był tam raz, upili się wtedy, że hej.

Od siedziby Urzędu Rady Ministrów do Wiejskiego Domku Jakub miał do pokonania trzydzieści trzy kilometry, precyzyjnie podane przez usłużny GPS. Jechał już od kilku minut i sam nie wiedział, dlaczego do tej pory nie wylądował na latarni. Na długich światłach, z włączonymi halogenami i ręką wbitą w klakson przejechał Belwederską i Sobieskiego z szybkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Skręcił w Sikorskiego, po czym docisnął pedał gazu. Ruchu prawie nie było, ale wystarczających emocji dostarczał wiatr -targający na boki dwutonową maszyną i starający się za wszelką cenę zepchnąć ją z toru jazdy - a także wprasowane w asfalt kryształki lodu, nadające jezdni przyczepność toru panczenowego. Wszystkie systemy kontroli trakcji pracowały na pełnych obrotach, silnik wył, katowany wysokimi przełoženiami, a kierownica zdawała się żyć własnym życiem.

Jakub kłął i walczył z ogarniającymi go na przemian falami przerażenia i wściekłości.

Nocna kłótnia, ranne wydarzenia, wizyta u premiera, nadciągająca nawałnica - wszystko zrobiło się nieważne, blade i dalekie. Poczuł, że ma do załatwienia tylko jedną rzecz: zdążyć, nim rozegra się tragedia, i wpakować w sprawców dwa magazynki. Wiedział, był pewien, że to przyniesie ulgę. Wywoła łyzy radości. Cały czas próbował dodzwonić się do Heleny, ale niezmiennie słyszał gęsty,

przerywany sygnał. Najprawdopodobniej jej komórka nadal był włączona. Jakub nie odsłuchiwał całej wiadomości, początek mu całkowicie wystarczył; uznał, że musi skupić się na prowadzeniu samochodu i opanowaniu paniki. Jedno i drugie nie było proste.

W Puławską ślimakiem koło Wyścigów wjechał niemal na dwóch kołach, rzuciło go potężnie, odbił się od krawężnika, przez moment miał pewność, że wylądaje na słupie. Jednak dodanie gazu pomogło, samochód rzucił się do przodu i opadł na cztery koła, złapał przyczepność, po czym pomknął dalej. Przy Poleczki Jakub nieco zwolnił,

182

skrzyżowanie przejechał na czerwonym świetle, rozganiając nieliczne, przecinające ulicę samochody. Potem przyspieszył.

Wiatr wzmagał się, pomimo ryku silnika było go dobrze słyszeć, a przede wszystkim - czuć. Kierownica próbowała wyrwać się Jakubowi z rąk. Ścisnął ją z całych sił, nie miał nawet czasu wytrzeć potu skapującego z nosa.

Trafił na kilka z rzędu zielonych świateł - nieczęste zjawisko na Puławskiej - toteż osiągnięcie Piaseczna zajęło mu niecałe pięć minut od minięcia Wyścigów. Zwolnił, znowu na czerwonym świetle przejechał skrzyżowanie, omal nie wbijając się w autobus. Łukiem skręcił w prawo, pojął, że uczynił błąd, jadąc przez miasto, ale było już za późno na zmianę decyzji, ponownie napał na klakson i znowu rozganiał przestraszonych, nielicznych przechodniów, powodując wściekłe wygrażanie i litanie przekleństw.

Przejechanie przez Piaseczno zajęło mu cztery długie minuty, podczas których myślał, że oszaleje, przez chwilę jechał za wlokącą się z prędkością trzydziestu kilometrów na godzinę starszą panią, która najwyraźniej miała ogromne problemy z orientacją w terenie, refleksem i utrzymaniem kierunku. Tyszkiewicz w końcu wyprzedził ją, ryzykując czołowe zderzenie z ciężarówką, znowu go rzuciło, skręcił w prawo, na szosę grójecką, i posuwając się wzdłuż torów starej wąskotorowej ciuchci, przyspieszył.

Ruch był minimalny, Zalesie Dolne osiągnął w minutę. Za kościołem skręcił w lewo, znowu przyspieszył do setki, choć wiedział, że prędkość przekraczająca sześćdziesiąt kilometrów na godzinę w tym miejscu bezpośrednio graniczy z samobójstwem.

Droga była ciemna, wąska, kręta, źle wyprofilowana. Kłykcie na kierownicy zbiegły, pot kapał ciurkiem, Jakub przygryzał dolną wargę tak mocno, że na języku poczuł krew.

Nie zwracał na to uwagi. Był tak skoncentrowany, że bodźce zewnętrzne mogły dla niego nie istnieć.

Jednocześnie myślał.

Wszystkie poranno-nocne pretensje wydały mu się śmieszne i niewarte uwagi.

Wiedział o tym już wcześniej, ale teraz myśl przeszła go niczym rozpalone żelazo: nie wyobrażał sobie życia bez Heleny. Romansującej czy nie, lubiącej innych chłopców albo dziewczynki, bez różnicy: był gotów wybaczyć, był gotów z tym żyć...

183

skrzyżowanie przejechał na czerwonym świetle, rozganiając nieliczne, przecinające

ulicę samochody Potem przyspieszył.

Wiatr wzmagał się, pomimo ryku silnika było go dobrze słycać, a przede wszystkim - czuć. Kierownica próbowała wyrwać się Jakubowi z rąk. Ścisnął ją z całych sił, nie miał nawet czasu wytrzeć potu skapującego z nosa.

Trafił na kilka z rzędu zielonych świateł - nieczęste zjawisko na Puławskiej - toteż osiągnięcie Piaseczna zajęło mu niecałe pięć minut od minięcia Wyścigów. Zwolnił, znowu na czerwonym świedle przejechał skrzyżowanie, omal nie wbijając się w autobus. Łukiem skręcił w prawo, pojął, że uczynił błąd, jadąc przez miasto, ale było już za późno na zmianę decyzji, ponownie napał na klakson i znowu rozganiał przestraszonych, nielicznych przechodniów, powodując wściekłe wygrażanie i litanie przekleństw.

Przejechanie przez Piaseczno zajęło mu cztery długie minuty, podczas których myślał, że oszaleje, przez chwilę jechał za wlokącą się z prędkością trzydziestu kilometrów na godzinę starszą panią, która najwyraźniej miała ogromne problemy z orientacją w terenie, refleksem i utrzymaniem kierunku. Tyszkiewicz w końcu wyprzedził ją, ryzykując czołowe zderzenie z ciężarówką, znowu go rzuciło, skręcił w prawo, na szosę grójecką, i posuwając się wzdłuż torów starej wąskotorowej ciuchci, przyspieszył.

Ruch był minimalny, Zalesie Dolne osiągnął w minutę. Za kościołem skręcił w lewo, znowu przyspieszył do setki, choć wiedział, że prędkość przekraczająca sześćdziesiąt kilometrów na godzinę w tym miejscu bezpośrednio graniczy z samobójstwem.

Droga była ciemna, wąska, kręta, źle wyprofilowana. Kłykcie na kierownicy zbiegły, pot kapał ciurkiem, Jakub przygryzał dolną wargę tak mocno, że na języku poczuł krew.

Nie zwracał na to uwagi. Był tak skoncentrowany, że bodźce zewnętrzne mogły dla niego nie istnieć.

Jednocześnie myślał.

Wszystkie poranno-nocne pretensje wydały mu się śmieszne i niewarte uwagi.

Wiedział o tym już wcześniej, ale teraz myśl przeszyła go niczym rozpalone żelazo: nie wyobrażał sobie życia bez Heleny. Romansującej czy nie, lubiącej innych chłopców albo dziewczynki, bez różnicy: był gotów wybaczyć, był gotów z tym żyć...

183

...był gotów zrobić wszystko, by Helenie nic się nie stało.

Minął Jazgarzew, na drodze do Łbisk znowu rozpedził się do stu dwudziestu, przez wieś przemknął niczym rakietą z kreskówki, ostatnich pięć kilometrów pokonał w tempie, którego nie powstydziliby się rajdowy mistrz świata. Szczerze mówiąc, gdy się potem nad tym zastanawiał, wątpił, by któryś z zawodowych kierowców, kozaków żyjących z dobrze skalkulowanego ryzyka, odważył się na taką prędkość w takich warunkach.

Jakub przejechał trzydzieści trzy kilometry w dwadzieścia minut. Dokonał tego w terenie w przeważającej części zabudowanym, w ciemnościach i przy wiejącym z prędkością huraganu wicherze. To, że dojechał na miejsce żywy, bez najmniejszej rysy na lakierze, zakrawało na cud.

Kilometr przed celem zwolnił, zgasił długie światła. W samochodach marki volvo nie

można wyłączyć światła w ogóle, nawet w dzień, co z punktu widzenia Jakuba było dość istotną przeszkodą, gdyby chciał podjechać pod dom niepostrzeżenie.

Ale nie dbał o to. Skręcił kierownicę, pokonał szybko ostatnie sto metrów, po czym nie wyłączając silnika zatrzymał się. Wprawnym ruchem wyciągnął pistolet, otworzył drzwi i wysiadł.

Reflektory samochodu oświetlały drzwi wejściowe do domu, zamknięte i wyglądające na niezniszczone. Jakub szybkim spojrzeniem otaksował otoczenie. Nic. Nikogo. Ale po lewej od domu masa śladów, jakby nart i stóp. Ostrożnie wyjrzał zza węgła.

Wybite okno.

Przeładował broń, wprowadził nabój do lufy. Podniósł pistolet na wysokość oczu. Ostrożnie podszedł do wybitego okna. Powoli, starając się nie zwracać uwagi na skrzypiący pod nogami śnieg, zajrzał do środka. Było już ciemno, w domu nie paliło się światło, toteż nie dostrzegł zbyt wiele. Jakieś niewyraźne postacie na podłodze; naprzeciw drugie okno, szczerzące zębate resztki wybitych szyb.

Zaczął nasłuchiwać. Wiatr wył i szumiał w koronach drzew, więc efekty nasłuchu były dość mizerne. Wyglądało jednak na to, że w środku nie ma nikogo. Przynajmniej nikogo żywego.

Ze zjeżonymi ze strachu włosami i żołądkiem w kowalskim imadle cofnął się, drżącą dłonią wyciągnął z kieszeni klucze. Podszedł do drzwi, jasno oświetlonych reflektorami samochodu. Otworzył górny

184

zamek, dolny był otwarty. Nacisnął na klamkę i ostrożnie wszedł do przedpokoju.

Cisza. Warkot potężnego trzylitrowego diesla V5 common rail.

Ruszył dalej. Na progu kuchni, głową w stronę okna, leżał trup. Ubrany w biały maskujący strój, w butach narciarskich na nogach. Krew wokół głowy zdążyła utworzyć już wielką kałużę. W salonie następny trup, w identycznym stroju, za to pozbawiony twarzy. Obok Yamato z niewygasłym jeszcze grymasem wściekłości na czarnym pysku, wyszczerzonymi zębami i rozprutym kulami bokiem.

Jakubowi zakręciło się w głowie. Nawet w tym cholernym Nagum Thal, pod kulami szuszwoli, nie czuł takiego strachu.

Ale w następnych pomieszczeniach: sypialni, pokoju gościnnym i łazience, a także w garażu oraz składziku drewna nie znalazł nic. Panował porządek i ład.

Ponownie wyszedł na zewnątrz. Przyjrzał się śladom. Ostrożnie postąpił kilka kroków wzdłuż prawego boku domu. Po kilku sekundach wrócił biegiem, otworzył z hukiem drzwi garażu, podszedł do stojącej w rogu szafy, wyjął z niej narciarskie buty, błyskawicznie pozbył się zwykłych, założył tamte, wziął z kąta biegówki i kije, wyszedł na zewnątrz, rzucił narty na śnieg, podwójne kliknięcie oznajmiło, że buty zespoliły się z wiązaniami. Pęde kijków przełożył przez dłonie już w biegu. Glock powędrował do kieszeni kurtki.

Nie był Justyną Kowalczyk, ale jeździł i biegał całkiem nieźle. Całe dzieciństwo spędził, jeżdżąc zawodniczo w klubie narciarskim, a ponieważ Helena była chętną i pojętną uczennicą, podczas zimowych wypadów do Wiejskiego Domku dużo czasu spędzali, biegając na nartach. Okoliczne lasy były jakby do tego stworzone. Szerokie przecinki i równe leśne drogi stwarzały wymarzone warunki do zimowej, sobotnio-

niedzielnej rekreacji. Wycieczki miały między innymi ten skutek, że Jakub znał okolicę jak własną kieszeń.

Gdy tylko przyjrzał się śladom, stało się jasne, co zaszło w domu. Grupa ludzi, trzech, może czterech, przyjechała od strony lasu na nartach, ciągnąc coś za sobą, prawdopodobnie sanki lub tobogan, kołyskę na płozach, używaną przeważnie przez ratowników górskich, ale dającą możliwość również ciągnięcia jej za sobą w płaskim terenie przy użyciu lin i specjalnej uprząży. Napastnicy zaatakowali dom z trzech stron, obezwładnili Helenę, przywiązali pasami i pobiegli

185

z powrotem w stronę lasu. Nie mogli być daleko, został jeden lub najwyżej dwóch, a nie jest łatwo ciągnąć kilkudziesięciokilogramowy ciężar w tak głębokim śniegu. Tempo ucieczki nie mogło być zatem zbyt szybkie. Założywszy, że całe zdarzenie rozegrało się na przestrzeni ostatnich dwudziestu minut, była szansa, że napastników można dogonić, zanim zmienią środek lokomocji na szybszy.

Te wszystkie myśli przemknęły przez głowę Jakuba niczym trans-kontynentalny ekspres. Miarowo odbijał się od podłoża, ruchy po pół-minucie stały się skoordynowane i sprężyste, rozpacz dodawała sił. Był w dobrej formie, treningi z Krzeptowskim i resztą przeprowadzane kilka razy w tygodniu przynosiły efekty, toteż biegł naprawdę szybko. Usłyszał, że dzwoni komórka, początkowo miał zamiar zignorować natręta, potem do niego dotarło, że to może Krzeptowski, więc nie przerywając biegu i odpychając się tylko jednym kijkiem, nacisnął przycisk tkwiącej w uchu bluetoothowej słuchawki.

- Dojeżdżamy - usłyszał głos Krzeptowskiego. - Gdzie jesteś?
- Ścigam sprawców. Zaraz będę w lesie za domem.
- Poczekaj. Pomożemy ci.
- Nie mam czasu. Porwali Lenę...
- O kurwa.
- Wejdźcie do środka, drzwi są otwarte i rozejrzyjcie się. Niczego nie dotykałem. Czekajcie na mnie. Odezwę się.

23.

Jurij skinął głową siedzącemu obok technikowi. Ten kilkakrotnie kliknął myszką. Zlokalizował telefon komórkowy pościgu. Na mapie, obok poruszającego się wolno czerwonego punkciku, pojawił się drugi, zielony. Zielony poruszał się szybciej niż czerwony i szybko, zbyt szybko, do kurwy nędzy, go doganiał.

- Delta Dwa, masz na plecach gościa, jest za tobą o pół kilometra. Ile masz do pierwszej bazy?
 - Za minutę tam będę - głos ciągnącego tobogan żołnierza był zdyszany, chrapliwy i z trudem przebijał się przez zakłócenia. Cholerna pogoda.
 - Pospiesz się. Tamten jest zbyt blisko. W razie czego wiesz, co robić.
- Tak jest.

186

24.

Jakub wydłużył krok. Rytmicznie odbijał się kijami, starał się wdychać powietrze nosem, a wydychać ustami. Teren był z lekka pofałdowany, przecinka szeroka na cztery metry.

Wiatr huczał w koronach drzew, ale w lesie się go na razie nie odczuwało, w każdym razie Jakub nie zwracał na niego uwagi. Było ciemno, ale śnieg z reguły rozjaśnia zimowy mrok, więc dawało się wytrzymać, ślad założony przez porywaczy był w każdym razie widoczny.

Bacznie obserwował teren.

Gdy wbiegł na niewielkie wzniesienie, siedemdziesiąt, może osiemdziesiąt metrów przed sobą zobaczył majaczące w oddali niewyraźne kształty. Dwie postacie, tobogan, niski, opływowy pojazd...

Wiedział, że tamci mogą być uzbrojeni, nawet na pewno są, ale nie dbał o to. Serce waliło mu jak młotem, ale niczego innego nie pragnął, jak tylko dopaść tych skurwysynów...

...puścił prawy kijek i wyciągnął z kieszeni pistolet. Tempo biegu znacznie spadło. Widział już dość wyraźnie. Dwóch ubranych na biało ludzi, takich samych jak martwi towarzysze w Wiejskim Domku, tobogan i...

...skutery śnieżne. Tamci uwijali się jak w ukropie. Jakub usłyszał warkot rozrusznika, nadzieja na to, że mróz skuł smary, okazała się płonna, silnik zaskoczył za pierwszym razem, ryknął przegazowany, dwie postacie zajęły miejsce na siodełku - Jakub był może o dwadzieścia pięć metrów - silnik ryknął jeszcze raz i pojazd ruszył, ciągnąc za sobą tobogan na krótkiej, dwumetrowej linii.

Skuter wyjechał na drogę. Jakub właśnie stawał w pozycji strzeleckiej. Pasażer skutera odwrócił się, coś zamajaczyło czarno w jego rękę, Jakub usłyszał huk, kula przeleciała dobry metr obok. Następny strzał mógł już być znacznie lepszy, należało zakładać, że pasażer skutera nie używał broni ód święta, ale Tyszkiewicz nie dbał o to. Nie dbał w ogóle o nic, poza uspokojeniem oddechu i opanowaniem drżenia rąk. Ugiął nieco nogi w kolanach, oparł dłoń na wbitym w ziemię kiju - nigdy takiego strzelania nie trenował, ale rozwiązanie nasunęło mu się już w czasie biegu, narciarski kij był idealną w tych okolicznościach podstawą, stwarzającą warunki do oddania w miarę precyzyjnego

187

,4

strzału. Oczywiście teoretycznie. Była noc, wiało, Jakub miał w ręku pistolet, a nie snajperski karabin, tężno strzelca oscyloowało około stu pięćdziesięciu uderzeń na minutę, wiatr z pewnością nie pomagał, tylko kręcił jak w jakimś kode czarownic...
...Jakub strzelił po czterech sekundach od startu porywaczy, zanim skuter zdołał nabrać prędkości.

Odległość: trzydzieści metrów. Muszka, szczerbinka, ręce wyprostowane.

Pasażer zachwiał się i przechylił na bok. Jakub wystrzelił ponownie. Przechylony zrobił koziołka i spadł ze skutera. Kierowca pochylił się i dodał gazu. Jakub nacisnął spust po raz trzeci, potem czwarty i piąty. Kierowca nie zwalniał, z tej odległości nie dało się zaobserwować, czy został trafiony. Jakub strzelił po raz szósty. Po sekundzie stracił skuter z oczu, słyszał tylko oddalający się warkot. Miał wrażenie, że silnik pracuje na nieco mniejszych obrotach, ale może to wiatr. Może złudzenie.

Wyobraźnia.

Jakub zaklął, schował pistolet do kieszeni, chwycił kijek i ruszył dalej.

25.

Krzeptowski w istocie przypomniał sobie drogę, toteż dojechali jak po sznurku. Choć mieli do przebycia znacznie krótszy dystans niż Jakub, o jakieś siedem kilometrów, przyjechali dobre dziesięć minut po nim, mimo że poruszali się najszybciej, jak się dało, znacznie ponad granicą ryzyka. Szybszej jazdy sfatygowana octavia, nie mówiąc o pasażerach, najprawdopodobniej by nie przeżyła.

Gdy Krzeptowski skręcił w ostatnią, prywatną dróżkę prowadzącą do domu, zwolnił. Jadwiga i Tolak wyjęli broń, z rozmowy z Tyszkiewiczem wynikało, że niepotrzebnie. I tak byli spóźnieni, ale zadziałał odruch. Zatrzymali się tuż za pracującym cały czas i jasno oświadczonym volvo. Drzwi do domu stały otworem i z zewnątrz nic nie zwiastowało nieszczęścia.

Tolak został na zewnątrz, przyglądając się bacznie samochodowi Jakuba. Jadwiga i Krzeptowski ostrożnie przekroczyli próg. Znajdujące się w środku zwłoki dwóch ubranych na biało mężczyzn, psa, a także masa krwi i wyraźne ślady walki zrobiły na nich takie samo wrażenie

188

jak na Tyszkiewiczzu, może nawet większe, ponieważ mieli nieco więcej czasu, aby się nad tym zastanowić.

Zadzwoiła komórka Krzeptowskiego.

Jakub.

- Gdzie jesteś?

- Weź mój samochód i jedź z powrotem - Tyszkiewicz tak dyszał, że z trudem można go było zrozumieć. - On ma Lenę, ucieka skuterem. Jedzie na północ, ścigam go, jest być może ranny.

- Już. Nie rozłączaj się. - Krzeptowski wybiegł, gestem dając znak Tolakowi, aby pobiegł za nim. - Bierz skodę i wyjeżdżaj - krzyknął.

- Jadę z tobą.

- Nie. Zostań z Jadwigą. Tamten jest jeden, dam radę.

Tolak pokręcił głową, ale nie dyskutował więcej. Wskoczył do octa-vii, zgrzytnął biegiem i zaczął się wycofywać na drogę. Krzeptowski usiadł za kierownicą volvo, chwilę patrzył na skrzynię biegów, jeszcze nigdy nie prowadził automatu, w końcu przełożył dźwignię na pozycję „R”, samochód zaczął się toczyć, wcisnął lekko gaz i płynnie wyjechał na szosę. Zmienił bieg na „D”, skręcił kierownicę i ruszył. Auto skoczyło do przodu, Krzeptowski nie był przyzwyczajony do tak ogromnej mocy silnika, ale systemy kontroli nie pozwoliły na najmniejsze odchylenie od kursu, o poślizgach nie wspominając. Wiatr zdawał się nie przeszkadzać. Krzeptowski zapalił długie światła i dodał gazu. Jechał przez las, potem wyjechał na otwartą przestrzeń, przyspieszył, grubo przekraczając setkę. Na zakręcie omal nie wpadł do rowu, musiał gwałtownie hamować, zarzuciło go nieco, ale łatwo opanował wóz. Znowu przyspieszył.

- Jesteś?

- Owszem - głos jeszcze bardziej chrapliwy i urywany.

- Przejeżdżam przez Łbiska. Co dalej?

- Jedź prosto. Za wsią zwolnij. Koło zielonego domu po lewej będzie skręt w pełną drogę. Musisz uważać, słabo go widać. Jedź tą drogą, a jak dojedziesz do

poprzecznej, skręć jeszcze raz w lewo, w stronę lasu. Jak dojedziesz, wyłącz silnik i nasłuchuj. Moim zdaniem on się porusza w twoją stronę, tak przynajmniej idzie jego ślad.

Krzepkowski za wsią zwolnił i po chwili znalazł skręt. Na polnej drodze przyspieszył, nie przejmując się żałosnym jękiem amortyzatorów. Dno samochodu parę razy zaszorowało o lodowy garb

189

pośrodku drogi, raz uderzył w coś mocno, ale nie zwalniał. Po chwili dojechał do czegoś w rodzaju poprzecznej drogi. Skręcił w lewo. W istocie las majaczył nieopodal. Krzepkowski pokonał pozostałych dwieście metrów i zatrzymał się. Wyłączył silnik, wysiadł i zaczął nasłuchiwać.

- Gdzie jesteś? - usłyszał głos Jakuba.
- Tam, gdzie kazałeś. Przy wjeździe do lasu. Ale nic nie słyszę.
- On jedzie cały czas prosto, powinien na ciebie wyjechać. Myślę, że gdzieś tam w okolicy powinien czekać na niego samochód.

Krzepkowski rozejrzał się uważnie

- Nic nie widzę, może jest w głębi. Jak daleko jesteś?
- Niedaleko. On powinien zaraz na ciebie wyjechać.

Rzeczywiście. Być może natrętne brzęczenie komara przebijające się przez wycie wiatru to silnik skutera.

Pojawiło się i zaraz osłabło.

Krzepkowski już zrozumiał.

- Rzeczywiście w lesie mają samochód. Przepakowują się do niego.
- Zaraz tam będę - głos był jeszcze bardziej urywany i chrapliwy, Jakub najpewniej starał się przyspieszyć kroku. - Postaraj się ich zatrzymać.
- Spokojna głowa - Krzepkowski wcale nie był pewien, czy to, co mówi, jest prawdą.

Od dłuższej chwili prowadził rozmowę z Jakubem i pracował. Rozdarł na pół znaną w bagażniku szmatę i upchał za wycieraczkami reflektorów. Korzystając z tego zaimprovizowanego zaciemnienia, włączył silnik i cofnął samochód głębiej w las. Ustawił dziesięć metrów od drogi. Miał z tego miejsca dobrą widoczność, pole ostrzału i osłonę. Wyjął pistolet, odruchowo sprawdził naboje w magazynku, przeładował. Skrył się za maską terenówki i czekał.

Po chwili usłyszał przytłumiony warkot. W ciemności zamajaczył niewyraźny kształt. Poruszał się powoli, podskakując na nierównościach drogi. Furgonetka. Mocna, ale nie najnowsze typu. Do bólu standardowa, w do bólu trywialnym kolorze. Najpewniej o numerze rejestracyjnym zasłoniętym zmrożoną papką.

Przejechała na wprost stanowiska Krzepkowskiego. Komisarz w tym czasie miał już oba łokcie oparte o maskę samochodu, a muszka zgrała się ze szczerbinką.

190

Strzał. Poprawka.

Zmiana celu. Strzał. Poprawka.

Wyskoczył zza osłony - szaleństwo, tamtych mogło być więcej, a on nie miał na sobie nawet głupiej kamizelki, nie mówiąc o wsparciu, bo będącego najpewniej na skraju omdlenia i znajdującego się z dala od pola bitwy Tyszkiewicza nie brał,

szczerze mówiąc, pod uwagę - ponieważ wiedział, że powodzenie akcji może zależeć wyłącznie od szybkości jej przeprowadzenia i czynnika zaskoczenia. Toteż rzucił się w kierunku furgonetki, która z przebitą przednią oponą - taką przynajmniej miał nadzieję - i rannym lub zabitym kierowcą, toczyła się do przodu. Wyraźnie jednak zwalniała, w końcu jakieś dziesięć metrów dalej zatrzymała się.

Krzepkowski był już o kilka metrów od pojazdu, gdy zobaczył ruch, niewyraźny kształt wychylił się zza ściany samochodu i strzelił szybko, kilkakrotnie, całe szczęście, cholernie niecelnie. Kule gwizdnęły tym swoim złowróżbnym chichotem, który potem różnym żołnierzom i policjantom śni się po nocach niezależnie od tego, jakich twardzieli udają w świede dnia. Komisarz zanurkował rozpaczliwie, starając się skrócić dystans, a przede wszystkim skryć się za drugim bokiem samochodu.

Uderzył boleśnie o zmrożoną ziemię. Wiatr wył nad głową, coraz głośniejszy i głośniejszy. Na czworakach podpełzł w stronę szoferki, mając świadomość, że tamten, a może tamci, diabli wiedzą, za sekundę wychyli się zza rogu. Sam zamierzał skryć się za maską furgonetki.

Spóźnił się, wyraźnie się spóźnił. Usłyszał huk i coś szarpnęło go za rękaw, nie czuł bólu, tylko jakieś gorąco nieco powyżej łokcia, zresztą cholera wie gdzie, bo nie miał czasu o tym myśleć. Odruchowo rzucił się do przodu, kolejne kule - dwie albo trzy, człowiek w takich chwilach naprawdę nie ma głowy do matematyki - odbiły się od ziemi i poszybowały w stronę Jazgarzewa. Pomyślał, że następne już wejdą gładko w cel, osłona mu się skończyła, do drzew po bokach było po kilka metrów, czyli dwie, trzy sekundy potrzebne do ukrycia się, więcej niż nadto nawet dla średnio rozgarniętego strzelca, a ten na takiego nie wyglądał...

...i wtedy do akcji wkroczyła kawaleria.

Krzepkowski nie słyszał co prawda koniecznej w takich wypadkach trąbki wzywającej do szarży, jednak odległy huk trzech wystrzałów

191

powiedział mu aż nadto wyraźnie, że do gry wkroczył Tajemniczy Strzelec Z Lasu Być Może Wybawca.

Z tyłu furgonetki rozległ się jęk, w de zabrzmiał jeszcze jeden strzał i wszystko ucichło.

Cisza była nader względna. Wiatr wył i śpiewał w gałęziach, drzewa trzeszczały z wysiłku, próbując ustać we względnym pionie, silnik furgonetki pracował na wolnych obrotach, jakieś pół metra od głowy komisarza. Mimo wszystko, nie licząc pojawiającego się w lewym ręku pieczenia (a jednak, nie dość uważnie chyba słuchał, gdy koledzy opowiadali o swoich ranach, co stanowiło ulubiony temat rozmów we wszystkich bazach jak Afganistan długi i szeroki), czuł się świetnie, niemal jak młody bóg.

Ostrożnie przekręcił się na plecy, a potem usiadł. Pomacał rękę, krwawiła, ale miał wrażenie, że niezbyt mocno; draśnięcie, może nawet obcierka. Kość w każdym razie wyglądała na nienaruszoną, co było dość istotnym pocieszeniem. Oцениwszy, że będzie żył, wstał i ostrożnie, z lufą wyciągniętą przed siebie, ruszył w stronę tyłu furgonetki.

Obok drzwi leżał człowiek i nie ruszał się. Krzepkowski kopnięciem wybił pistolet z

zaciśniętej dłoni leżącego i celując w niego cały czas, nogą obrócił z pleców na brzuch. Schylił się i lewą dłonią, tą od rannego przedramienia, dotknął szyi mężczyzny. Nic. Żadnego tętna. Nie był jednak pewien, palce miał zdrętwiałe. Usłyszał zgrzyt nart o zmrożony śnieg. Podniósł głowę. Tyszkiewicz, dysząc jeszcze po morderczym biegu, podjechał szybko, zdjął narty, omiód spojrzeniem sytuację, odrzucił kijki, wyciągnął z kieszeni rozgrzanego jeszcze glocka, szarpnięciem otworzył tylne drzwi furgonetki, bardzo się przy tym starając, aby pozostać poza linią strzału ewentualnego, pozostałego jeszcze przy życiu pasażera.

Ale pasażera nie było.

Za kierownicą trup zastrzelonego przez Krzeptowskiego kierowcy. W przestrzeni ładunkowej skuter śnieżny, kopący jeszcze nieco z rury wydechowej. Obok tobogan, z podłużnym, przykrytym kocem kształtem.

Jakub rzucił się w tę stronę, zerwał koc...

...i zobaczył równo ułożone klocki drewna z zapasów Wiejskiego Domku. Ciężar, mający sprawiać wrażenie, że tobogan dźwiga człowieka.

192

26.

Zuzanna wyszła z mieszkania hakera, zamknęła za sobą drzwi, zastanowiła się, czy o niczym nie zapomniała - często różne rzeczy sprawdzała po kilka razy, czasami nawet po uprzednim sprawdzeniu sprawdzała jeszcze raz - uznała, że nie, zeszła schodami na dół, po czym wsiadła do samochodu.

Dowiedziała się sporo, a jednocześnie niewiele. Obraz dwóch zabójców w jej mieszkaniu tylko potwierdził to, co już wiedziała od momentu, gdy zobaczyła martwą matkę. Miała zginąć, i to właśnie było pierwszoplanowym celem gości, którzy nie doczekawszy się jego realizacji, przystąpili do - najprawdopodobniej opracowanego wcześniej - wykonania planu rezerwowego. Osiągnięcia celu numer dwa.

Najpewniej: mają za zadanie zmusić Zuzannę do milczenia. Do uległości. Być może do współpracy. Spowodować, że stanie po ich stronie.

Zuzanna miała taką nadzieję. Liczyła na to. Nie mogli przecież wiedzieć, że nikt i nic nie zmusi jej do współpracy na warunkach niebędących jej własnymi warunkami.

Zapaliła silnik i ruszyła, nawet nie spojrzawszy za siebie.

Plan.

Punkt numer jeden: baza.

Numer dwa: środki - odzież, sposób poruszania się.

Numer trzy: uzbrojenie.

Numer cztery: wiedza.

Numer pięć: modus operandi.

Baza: śmiech na sali. Wynajmowała zapasowe mieszkanie, które dziś w nocy uratowało jej życie, i do tego tylko ograniczały się jego możliwości. Oczywiście nie nadawało się do stawienia czoła nawałnicy, która właśnie zaczęła wysuwać na świat pazury - wiatr wzmógł się znacznie i zaczęło być naprawdę zimno - ale na razie Zuzanna nie miała nic innego na widoku. Zresztą, nie zamierzała spędzić w bazie zbyt wiele czasu. Przebrać się, sprawdzić broń, może nieco odpocząć. Tyle.

Ponieważ o mającym nadejść kataklizmie dowiedziała się wczoraj, oprócz zakupów,

które, niepotrzebnie jak się okazało, zrobiła razem
193

ze Smotryczem dla matki i Zosi, pewną część wieczoru poświęciła również sobie. Odwiedziła sklep sportowy i kupiła dwa komplety zimowej termoaktywnej bielizny, polarowe bluzy, kombinezon, puchową kurtkę, przeciwśnieżną maskę, czapkę i specjalnie wzmocnione rękawice oraz komplet nart terenowych.

Paradoksalnie, zakupy były efektem poważnego błędu.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że wyjechać powinna wcześniej, mordercy w jej domu byli aż nadto widocznym dowodem, że się spóźniła z decyzją. Gdyby nie to, byłaby już daleko. Z Zosią.

Pokiwała głową nad swoją głupotą. Po czym odrzuciła ją precz. Skoncentrowała się na chwili bieżącej.

Weszła do mieszkania, malutkiej kawalerki na Grochowie wynajętej kilka miesięcy temu. Była w niej całkowicie anonimowa, zresztą, jak sądziła, trzy czwarte mieszkań było przez właścicieli wynajmowanych. Nikt nikogo nie znał, nikt nikomu nie mówił „dzień dobry” i ta w normalnych warunkach dość frustrująca okoliczność była Zuzannie niezwykle na rękę.

Rzuciła na ziemię torbę z rzeczami - kolejny atrybut porannego marzenia o ucieczce - zamknęła drzwi na wszystkie zamki oraz łańcuch, po czym poszła prosto do łazienki. Gdy spojrzała w lustro, niemal się przestraszyła. Takiej nie oglądała się od dawna, od dwunastu lat. Brzoskwiniowa cera pokryła się trupią błądzą, sine i popękane wargi krwawiły, sińce pod oczami zdawały się zakrywać większą część twarzy, a z pewnością były najlepiej widoczne. Krótko przystrzyżone włosy o naturalnym, jasnym odcieniu sterczały w nieładzie.

I łzy. Wielkie i gęste, skapujące z policzków na marmurowy blat otaczający umywalkę. Nawet nie próbowała ich powstrzymywać.

Prysznic. Długi gorący prysznic. Tego jej właśnie trzeba.

Otarła policzki wierzchem dłoni i bez pośpiechu rozebrała się. Ubranie wraz z bielizną rzuciła w kąt. Stała naga przed lustrem i bez zainteresowania przyglądała się muskularnym przedramionom, płaskiemu, pokrytemu paskami mięśni brzuchowi, krągłym biodrom, długim, silnie umięśnionym nogom, niewielkim, zgrabnym piersiom.

Oraz bliznom, biegnącym w różnych kierunkach na klatce piersiowej.

Dawno przestała zwracać uwagę na urodę, którą obdarzył ją los. W niektórych okolicznościach była sporym ułatwieniem; przeważnie

194

jednak stanowiła przekleństwo. Doskonale zdawała sobie sprawę, że większość facetów ślini się na jej widok, rozbiera ją wzrokiem i chciałaby zaciągnąć do łóżka. Niektórzy byli uparci i decydowali się przekroczyć granice, jakie na ich drodze stawiała. Z tymi była zmuszona walczyć. Inni, bardzo nieliczni, zdawali się dostrzegać coś więcej niż tylko atrakcyjną powłokę. Tych obserwowała z nieufnością. Byli wyjątkami potwierdzającymi regułę.

Kęś dupy, pomyślała. Dupa i cycki. Tylko to się liczy. Co pod spodem - nieważne.

Mimo wszystko tamte czasy, które skończyły się ledwie dziś rano, wydały jej się z

obecnego punktu widzenia jakieś beztroskie, może nie beztroskie, ale niosące w sobie nadzieję, wąty promyk światła pozwalający wytrzymać codzienną walkę o przetrwanie. Nieraz była naprawdę dumna z drogi, którą przeszła. Innym razem, gdy przypominała sobie pewne szczegóły, napawała ją przerażeniem. Choć zdarzenia sprzed dwunastu lat opancerzyły jej wrażliwość grubą skorupą - inaczej by zwariowała, tego była pewna - i stepiły radykalnie zdolność empatycznego odczuwania, nadal potrafiła odróżnić dobro od zła i miała sumienie, a także kodeks wartości...

...schowane w najgłębiej ukrytej skrzyni, zatrzaśniętej na głucho. Zapomnianej na samym dnie duszy.

Jeszcze niedawno była pewna, że pieprzony świat musi zapłacić za wszystkie demony, które towarzyszyły jej przez tyle długich lat. Że to świat jest jej coś winien. Teraz wiedziała, że się pomyliła. To ona musiała zapłacić. To jej przyszło spłacić dług.

Weszła pod prysznic, bez mrugnięcia przetrzymała pierwszych kilka sekund lodowatej wody, po czym dokładnie się namydliła. Spłukała pianę, następnie przeszła przez standardowy program: pięć minut lodowatych i wrzących strug wody na przemian. W łazience było jak w tureckiej łaźni. Wyszła, wytarła się i poszła do pokoju będącego sypialnią, pokojem dziennym i gabinetem zarazem.

Przez dziesięć minut wykonywała ćwiczenia rozciągające i oddechowe. Gdy poczuła, że zarówno tętno, jak i oddech ustabilizowały się na zwykłym poziomie, bez pośpiechu wstała, podeszła do szafy, wyjęła dres, po czym założyła go na gołe ciało. Poczowała, że jest gotowa do rozpoczęcia planowania.

195

27.

- Kurwa mać - zaklął Krzeptowski.

- Zrobili nas - stęknął Jakub. W dalszym ciągu nie mógł złapać tchu. Blisko siedmiokilometrowy sprint doprowadził go do hiperwentylacji. Ciężko dyszał, ale myślał szybko. - Wywieźli ją...

- Samochodem - Krzeptowski kręcił głową. Nadal nie mógł pogodzić się z porażką. - Ten, co został, wziął ją na ręce, wyszedł na drogę, wsparcie przyjechało i tyle w temacie. Są już o dwadzieścia kilometrów stąd.

Jakub splunął i oparł się ciężko na kijach. Rozpacz.

Krzeptowski starał się skupić. Odrzucić emocje. Przekształcić zdarzenia z ostatnich trzech kwadransów w normalną policyjną robotę.

- Nic tu więcej nie zwojujemy. Goście nie mają przy sobie niczego istotnego. Furgonetka na pewno jumnięta i też w niej nic nie ma.

Mówił w zasadzie do siebie, bo Jakub nie dawał znaku życia, zwieszony na kijach ze wzrokiem wbitym w śnieg. Jego oddech powoli się uspokajał.

- Zrobimy tak - gdy się wyprostował, nagle stał się innym człowiekiem.

Skupiona, ściągnięta twarz, uważny wzrok. Żadnej rozpacz czy żalu. W ogóle żadnych emocji. Tylko profesjonalna rzeczowość. - Wrzucimy tych ludzi do środka, pojedziemy oboma samochodami do mojego domu. Poprosimy Jadwigę, żeby zrobiła dokładne badanie miejsca zdarzenia oraz furgonetki. Może masz rację, pewnie niewiele znajdziemy. Poprosimy Tolaka, aby towarzyszył Jadwidze. Zostawimy im

volvo, bo gdyby zaczęło padać, będzie im łatwiej wrócić do Warszawy samochodem z napędem na cztery koła. My weźmiemy skodę i pojedziemy załatwić kilka spraw. A po drodze pogadamy.

Krzeptowski skinął głową i bez słowa zabrał się do pracy. Odnalazł broń zastrzelonego człowieka, ostrożnie włożył do kieszeni. Dźwignął trupa i ułożył w przestrzeni bagażowej furgonetki.

Jakub w tym czasie zdjął narty, razem z kijami wrzucił je do volvo. Wyciągnął zza kierownicy zastrzelonego kierowcę - Krzeptowski nie wyszedł z wprawy, dwie dziury w skroni, jedna trzy centymetry od drugiej - i ułożył obok towarzysza.

W pięć minut zmienili koło. Krzeptowski usiadł za kierownicą. Ruszyli.

196

Jechali nie przekraczając pięćdziesiątki, Krzeptowski kierował furgonetką, Tyszkiewicz volvo. Po dziesięciu minutach dojechali do Wiejskiego Domku. Gdy stanęli na podjeździe, zapaliła się dodatkowa silna lampa, uruchamiana przez czujnik ruchu. Ktoś musiał obserwować ich przyjazd przez okno w kuchni, bo nim zdążyli zapukać, drzwi stały otworem.

Tolak bez pośpiechu schował pistolet.

- Widzę, że się nie udało? - mruknął.

- Nie - pokręcił głową Jakub. Wszedł do środka, przepuścił Krzeptowskiego i zamknął drzwi na zasuwę. - Ten na nartach był na wabia.

- Tak myślałem. Pewien nie jestem, ale na drodze dojazdowej widziałem ślady stóp. Mocno odcisnięte, jakby bardzo ciężkiego człowieka.

- Albo dźwigającego ciężar.

- Dokładnie. Mieli dwa środki transportu. Wywieźli ją tym drugim.

Jadwiga wyszła z sypialni. Jakub rozejrzał się. Zobaczywszy Yamato, szybko odwrócił wzrok.

- Wiecie, co tu się wydarzyło? - zapytał.

- Masz swoją służbową komórkę? - odpowiedział pytaniem na pytanie Tolak.

Cały czas przyglądał się im obu uważnie.

- Mam. Ach tak, rzeczywiście, Staszek mi mówił. - Jakub sięgnął do kieszeni, po czym zawahał się. - Oni mogą się chcieć skontaktować.

- Owszem. Mogą chcieć. Mimo wszystko daj mi.

- Tam jest nagrane porwanie.

Wszyscy spojrzeli pytająco.

- Lena próbowała się ze mną połączyć. Nie odebrałem, bo akurat byłem u premiera. W trakcie połączenia porywacze weszli do domu. Lena upuściła komórkę. Zanim ją wyłączyli, nagrało się około półtorej minuty.

- Ciekawe - odezwała się Jadwiga. Nieczęsto zdarza się mieć przestępstwo zarejestrowane w czasie rzeczywistym. Nawet jeżeli to tylko nagranie audio. - Może być bardzo pomocne.

Jakub doskonale o tym wiedział. Ociągając się, wydobył komórkę i podał Tolakowi. Ten rozłożył ją dwoma szybkimi ruchami i wyciągnął kartę SIM. Aparat podał Jadwidze.

- Teraz możemy rozmawiać - powiedział. - Sprawdziłem dom. Goście raczej nie

zostawili mikrofonów ani kamer. Ale to - wyciągnął
197

Jechali nie przekraczając pięćdziesiątki, Krzeptowski kierował furgonetką, Tyszkiewicz volvo. Po dziesięciu minutach dojechali do Wiejskiego Domku. Gdy stanęli na podjeździe, zapaliła się dodatkowa silna lampa, uruchamiana przez czujnik ruchu. Ktoś musiał obserwować ich przyjazd przez okno w kuchni, bo nim zdążyli zapukać, drzwi stanęły otworem.

Tolak bez pośpiechu schował pistolet.

- Widzę, że się nie udało? - mruknął.
- Nie - pokręcił głową Jakub. Wszedł do środka, przepuścił Krzeptowskiego i zamknął drzwi na zasuwę. - Ten na nartach był na wabia.
- Tak myślałem. Pewien nie jestem, ale na drodze dojazdowej widziałem ślady stóp. Mocno odcisnięte, jakby bardzo ciężkiego człowieka.
- Albo dźwigającego ciężar.
- Dokładnie. Mieli dwa środki transportu. Wywieźli ją tym drugim.

Jadwiga wyszła z sypialni. Jakub rozejrzał się. Zobaczywszy Yamato, szybko odwrócił wzrok.

- Wiecie, co tu się wydarzyło? - zapytał.
- Masz swoją służbową komórkę? - odpowiedział pytaniem na pytanie Tolak.

Cały czas przyglądał się im obu uważnie.

- Mam. Ach tak, rzeczywiście, Staszek mi mówił. - Jakub sięgnął do kieszeni, po czym zawahał się. - Oni mogą się chcieć skontaktować.
- Owszem. Mogą chcieć. Mimo wszystko daj mi.
- Tam jest nagrane porwanie.

Wszyscy spojrzeli pytająco.

- Lena próbowała się ze mną połączyć. Nie odebrałem, bo akurat byłem u premiera. W trakcie połączenia porywacze weszli do domu. Lena upuściła komórkę. Zanim ją wyłączyli, nagrało się około półtorej minuty.
- Ciekawe - odezwała się Jadwiga. Nieczęsto zdarza się mieć przestępstwo zarejestrowane w czasie rzeczywistym. Nawet jeżeli to tylko nagranie audio. - Może być bardzo pomocne.

Jakub doskonale o tym wiedział. Ociągając się, wydobył komórkę i podał Tolakowi. Ten rozłożył ją dwoma szybkimi ruchami i wyciągnął kartę SIM. Aparat podał Jadwidze.

- Teraz możemy rozmawiać - powiedział. - Sprawdziłem dom. Goście raczej nie zostawili mikrofonów ani kamer. Ale to - wyciągnął

197

drugą dłoń, leżał na niej podłużny, czarny, oblodzony przedmiot - znalazłem pod błotnikiem twojego samochodu.

Jakub wczoraj by się zdziwił. Ba, nawet jeszcze dzisiaj rano. Teraz tylko wzruszył ramionami.

- GPS? - zapytał Krzeptowski.
- Najnowszy model.
- No cóż, samochód jest czysty - powiedział cicho Jakub. - To dobrze. Będzie ci lepiej służył.

- Mnie?
 - Ja ze Staszkiem pojedę skodą.
 - Gdzieś się wybieracie?
 - Mamy kilka spraw do załatwienia. Chcemy was poprosić, żebyście tu zostali jeszcze przez jakiś czas i obejrzeliby wszystko do końca. Poszukali wszystkich śladów, jakie uda się znaleźć. W furgonetce przed domem leży dwóch nieboszczyków. To członkowie ekipy. W środku jest też broń i skuter śnieżny. Sprawdźcie wszystko, co się da. Zostawimy wam volvo. Wróćcie nim do Warszawy. Spotkamy się... - zawahał się. To była sprawa, której jeszcze nie omówili. - Gdzie wy właściwie mieszkacie?
 - Jest takie mieszkanie na Ursynowie. Kumpla, który wyjechał na narty. Raczej bezpieczne.
 - Raczej?
 - No, pewien nie jestem. Ale nie mam nic innego na widoku.
 - Na razie musi wystarczyć - Jakub machnął ręką. Nie chciał tracić czasu. Myślni był już przy następnych posunięciach. - Jadwiga, zostaniesz?
 - Zostanę - powiedziała spokojnie.
 - Można cię prosić, żebyś jej towarzyszył? — pytanie skierowane do Tolaka. Lekkie kiwnięcie głową.
 - Dobra. Macie już pogląd, co tu się stało?
 - Z grubsza - Jadwiga przygryzła wargę. Żonę Jakuba widziała dwa razy w życiu, ale zdążyła ją polubić. Natomiast obrazy Heleny wprost chłoneła. Działy na jej wyobraźnię w zgoła niezwykły sposób, nigdy wcześniej nie podejrzewała się o takie pokłady wrażliwości. - Napastników było czterech. Przyjechali na nartach. Uderzyli od strony salonu, kuchni i sypialni. Czwarty również wskoczył przez okno sypialni. Pies
- 198
- zaatakował tego w salonie. Prawie całkowicie odgryzł mu twarz. Facet wykrwawił się na śmierć w kilka minut, zwłaszcza że pies jeszcze dziabnął go w gardło. Potem zdążył się rzucić na drugiego napastnika i ranić go. Nie wiadomo jak poważnie, ślady nie są wyraźne. Twoja żona zastrzeliła tego w kuchni. Oddała cztery strzały. Dwie kule poszły w ścianę, jedna w kamizelkę, a ostatnia była śmiertelna, napastnik dostał w twarz. Śmierć nastąpiła natychmiast. Łusek brak.
- Strzelała z rewolweru - mruknął Jakub. - W zeszłym roku kupiłem smitha, trzydziestkę ósemkę. I nauczyłem Lenę strzelać.
 - Tak myślałam - skinęła głową Jadwiga. - Jednak nie znalazłam żadnej broni. Musieli ją zabrać. Twoja żona najprawdopodobniej została obezwładniona paralizatorem albo środkiem odurzającym. Raczej to drugie. Gdy przyjechaliśmy tutaj, miałam wrażenie, że czuję lekki zapach chloroformu. Pewna nie jestem, bo przez wybite szyby jest przeciąg jak cholera, możliwe, że mi się wydawało. Posłucham nagrania, może dojdzie trochę szczegółów. Ale wydaje mi się, że wszystko odbyło się mniej więcej tak, jak powiedziałam. Komórki twojej żony nie znalazłam. Ją też musieli zabrać ze sobą.
 - Czy ci faceci coś mają przy sobie? - zapytał Krzeptowski. Dla prostej formalności, nie spodziewał się twierdzącej odpowiedzi.
 - Nic. Ale mamy ich odciski palców i pobraliśmy próbki krwi do zbadania DNA.

Zrobię też zdjęcia. Jeżeli uda mi się dostać do laboratorium i przejrzeć bazę danych, może któryś z nich gdzieś figuruje.

- Może. Furgonetka jest z pewnością kradziona, ale skuter wygląda na bardzo drogi model, nie sądzę, by w Polsce wiele takich jeździło. Możemy spróbować dotrzeć do sprzedawcy.

Tolak jednocześnie skinął głową i pokręcił nią.

- Jest Wigilia i stan kłęski żywiołowej. Myślę, że prowadzenie jakiegokolwiek śledztwa będzie, mówiąc eufemistycznie, nieco utrudnione.

- I tak, i nie. Mam środki, by dowolnego członka naszego szanownego społeczeństwa wypruć z pieleszy i postawić na baczność.

Krzepkowski, Jadwiga i Tolak zgodnie spojrzeli na niego w zdumieniu.

- To znaczy? - Jadwiga. Jak zwykle refleks i przytomność umysłu.

- Wyjaśnię wam później. Teraz mam wrażenie, że musimy się wszyscy pospieszyć. Psuje się pogoda - przez chwilę nasłuchiwał, a w ciszę wdarł się gwizd wiatru w wybitych oknach. Tolak co prawda zamknął

199

okniennice, ale i tak było sporo szpar, na których dało się wykonywać dowolne formy wokalne-muzyczne.

- Dobra. My z Jakubem bierzemy oktasie i jedziemy załatwić, co mamy załatwić. Wy kończycie oględziny, zamykacie dom i jedziecie do Warszawy, do mieszkania. Tam się spotkamy.

- Jeszcze jedno. Na ile wystarcza bateria w twojej komórce?

- Proszę? Ach, bateria - Jakub dopiero po chwili zorientował się, że pytanie jest skierowane do niego. - Zwykle na tydzień. Ale teraz jest może połowa.

- Masz ładowarkę?

- Nie przy sobie. Ale nie, mam samochodową.

- Dobra. Podładuję.

- O co chodzi?

- Spieszycie się, wyjaśnię później. Masz - wręczył mu wyciągnięty z kieszeni niepozorny, najprostszy aparat. - To jest komórka na kartę. Już sobie wbiłem jej numer. Porozumiewamy się tylko przy pomocy tego.

- A kontakt od porywaczy?

- Nie martw się. Usłyszysz ich.

- Dobra. Uważajcie na siebie.

- Wy również.

- Powodzenia.

- Wzajemnie.

28.

Wiktor oparł głowę o framugę okna samochodu. Całe szczęście pomyśleli z Jurijem o planie B. W odległości kilku kilometrów od celu ataku stał na poboczu terenowy nissan z kierowcą w środku. Wezwany przez Jurija, w kilka minut pojawił się na miejscu. Wiktor tych kilka minut spędził w dużym napięciu - stał przy szosie z nieprzytomną kobietą przewieszoną przez ramię i pistoletem w dłoni - gdy w końcu zza zakrętu wyprysnęły światła. Ku swej uldze skonstatował, że to wezwane wsparcie. Nie miał ochoty spotkać się z pędzącym na ratunek mężem kobiety. Razem

z kierowcą zapakowali zdobycz na tylne siedzenie, przypięli pasami i przykryli kocem W razie kontroli - bardzo

200

mało prawdopodobnej, ale Wiktor nauczył się, że takie z pozoru mało prawdopodobne zdarzenia mogą zniweczyć nawet najdoskonalsze scenariusze - mogli śmiało udawać jadących na spóźnioną Wigilię. Kobieta sprawiała wrażenia, jakby spała, a Wiktor w pierwszym rzędzie pozbył się kombinezonu.

Mieli przed sobą jeszcze kilka kilometrów, ale posuwali się szybko. Pogoda wyraźnie się psuła, ale Wiktor przewidywał, że raczej bez problemu powinni osiągnąć bazę.

Kobieta jęknęła i zaczęła się wiercić. Po chwili jednak uspokoiła się.

29.

- Dobra. Jesteśmy czyści, żadnych podsłuchów. Mów wszystko, co wiesz.

Wszystko, co usłyszałeś od Tolaka - powiedział Jakub, gdy ruszyli. Wiatr podejmował nieustanne próby zepchnięcia samochodu z szosy, ale Krzeptowski na razie panował nad kierownicą. Jechał, nie przekraczając pięćdziesiątki, wpatrzony w zamazaną smugę świada wydobywającego przed samochodem fragmenty zimnego, wigilijnego krajobrazu.

- Tolak jest pracownikiem kontrwywiadu, i to, uważasz, w stopniu majora. Jakubowi zdawało się, że jest przygotowany na wszelkie niespodzianki, ale aż gwizdnął ze zdziwienia.

- Szyszka.

- Otóż to, chwytasz w lot. Kontrwywiad nam go wsadził, bo chłopcom się wydawało, że ty albo ja, albo obaj, maczaliśmy palce w pewnych paskudnych przestępstwach o charakterze kryminalnym.

Jakub skinął głową. Taki ton mu pasował, czemu nie?

- Chodzi o zlikwidowanie szefów służb wywiadowczych paru zaprzyjaźnionych krajów oraz, całkiem niedawno, zamach na prezydenta?

- Tak jest, Sherlocku. Tolak twierdzi, że jeden samotny strzelec przeprowadził obie akcje.

- Potem opowiesz mi szczegóły. Co dalej?

- Węszył, węszył i niczego nie wywęszył. Przynajmniej, jeżeli chodzi o nas. A potem urwał mu się kontakt z własną centralą. Wczoraj wieczorem i dzisiaj rano spędził sporo czasu na odnowieniu kontaktów.

201

Nie dość, że nie udało mu się ich nawiązać, to jeszcze odniósł wrażenie, że ktoś go poszukuje.

- Wie kto?

- Podejrzewa, że niektórzy z jego własnych kolegów. Na dodatek chyba nie życzą mu najlepiej. Więc się schował i zastanawia, co dalej. Żeby było śmieszniej, odkrył parę ciekawych rzeczy w sprawie Wicherka.

- Na przykład? - Jakub nadstawił uszu. Zaczął odczuwać wobec siebie coś w rodzaju podziwu: słuchał z uwagą Krzeptowskiego, a jednocześnie myślał o kilku innych sprawach naraz. Jasno, klarownie, bez niedomówień. I udało mu się trzymać z dala strach o Helenę.

Uniwersalny, symultaniczny Napoleon, przynajmniej w lokalnej wersji.

- Na przykład od żony Wicherka, tej...
 - Winiarskiej.
 - ..właśnie, Winiarskiej, uzyskał całkiem dokładny portret pamięciowy faceta, który zdaje się groził Wicherkowi kilka dni przed śmiercią.
 - Groził? Skąd Winiarska to wie?
 - Widziała ich razem w jakiejś knajpie i podsłuchiwała pewien fragment rozmowy. Zastanawiający fragment.
 - Najgorzej, jak ludzie nie podsłuchują porządnie...
 - ...i od początku - Krzeptowski uśmiechnął się. Stara zabawa, stare dzieje. Sprzed katastrofy. - Ale mimo wszystko jest jakiś trop.
 - Jest. W sprawie Wicherka... - Zarzut. Zawołowany, ale wyczuwalny.
 - Na razie w sprawie Wicherka. Zaraz dojdziemy do twojej żony.
 - Nie tak prędko - robienie wyrzutów Krzeptowskiemu było idiotyzmem. Jakub zamknął oczy. Tak mu się lepiej myślało. Nie widział przynajmniej skodowanej rzeczywistości przed maską. - Przepraszam. Skończ o odkryciach Tolaka, potem opowiesz mi o reszcie, a dopiero potem pogadamy o Lenie...
- Krzeptowski skontrował kierownicą, gdy na zakręcie wpadli w niewielki poślizg. Silnik ryknął, koła zgrzytnęły na śniegu, zakołysało jak podczas sztormu, ale w końcu samochód złapał właściwy kurs.
- Gdzie my właściwie jedziemy? - zapytał, gdy już obaj odetchnęli po kilka razy.
 - Prawda. Przecież nic nie wiesz - Jakub odwrócił się i wziął z tylnego siedzenia teczkę, którą otrzymał od premiera. Otworzył, poszu-
- 202

igr

kał chwilę, w końcu wyciągnął pojedynczą kartkę. Odczytał adres. Mokotów, nie najgorzej. Przynajmniej nie musieli przebijać się przez całe miasto. - Mów dalej.

- Pogoda się psuje - odparł Krzeptowski, starając się dostrzec coś poza jasnym snopem rzucanym przez reflektory.

Jakub zerknął przez boczną szybę. Zobaczył niewyraźne, pędzone przez wiatr drobinki śniegu. Mimo wszystko rzeczywistość nadal funkcjonowała w miarę normalnie. Latarnie uliczne paliły się, szosa była przejezdna, z okien mijanych domów łagodny blask rzucały lampki choinkowe. Ruch na ulicach był znikomy. Dojeżdżali do Piaseczna.

- Rzeczywiście. Ale może zdążymy. Pod tym adresem ma na nas czekać wsparcie.

Krzeptowski po raz kolejny spojrzął pytająco, ale nie czekając nawet na przynaglenie Jakuba, wrócił do tematu.

Opowiedział wszystko dokładnie, mniej więcej od momentu, w którym przerwał podczas ich porannego spotkania, jeszcze przed wizytą u premiera. Przy opisie powitania Tolaka w mieszkaniu Smotrycza Jakub parsknął śmiechem. Już dawno zapomniał o niechęci do Tolaka, ale mimo wszystko sytuacja wydawała się śmieszna. Po chwili, gdy dotarło do niego, co mogło się stać z gospodarzem mieszkania, przestał się uśmiechać. Krzeptowski nie zdradził się ze swoimi podejrzeniami i nie powiedział, czego kazał Smotryczo-wi szukać w sieci. Tę informację zostawił na

koniec. Było całkiem możliwe, że okaże się nieistotna. Z drugiej strony istniało prawdopodobieństwo, że stanowi klucz do wyjaśnienia przynajmniej części zagadek. Jakub skrzywił się, gdy usłyszał, jak Krzeptowski został potraktowany przez faceta z paralizatorem. Wszystko zapętało się w jakiś dziwny, niezrozumiały splot wydarzeń. Permanentną inwigilację.

- Ktoś się na nas wziął - powiedział, gdy Krzeptowski skończył. -Wszyscy w mniejszym czy większym stopniu doświadczyliśmy na własnej skórze czyjejś ingerencji. Komuś nadepnęliśmy na odcisk. Pytanie komu? I jaki to ma związek z Wicherkiem?

- Możliwe, że ma jakiś. Albo nie - pokręcił głową Krzeptowski. Jechał coraz wolniej, widoczność zmniejszyła się do najwyżej dwudziestu metrów. - W sumie w sprawie Wicherka gównu odkryliśmy.

203

Nie mogliśmy nikomu zagrozić, bo nie mamy nawet cienia podejrzenia. Jedyne portret pamięciowy faceta, który być może powiedział coś, co przy odrobinie szczęścia może mieć związek ze sprawą, a i to też zależy, jak się sprawę zinterpretuje. Pendrive" a z prognozą odkryliśmy trochę przypadkiem. Więc powiedz mi, dla kogo jesteśmy groźni?

Jakub wzruszył ramionami. Męczyła go i ta podróż, i ta rozmowa. Jednego i drugiego nie mógł uniknąć.

- Smotrycz zniknął. Możemy przyjąć' roboczo, że został uprowadzony. Moja żona została uprowadzona. Jesteśmy śledzeni, o czym świadczy facet przed blokiem Jadwigi i GPS w moim samochodzie. To przypadki, twoim zdaniem?

- Nie. Ale może musimy sięgnąć głębiej. Może to wszystko nie ma nic wspólnego z Wicherkiem.

- Ma - Jakub ponownie zamknął oczy. - Ma na pewno. Inaczej nie dostałbym zlecenia od premiera na dokończenie śledztwa.

- Zlecenia? - Krzeptowski miał wrażenie, że się przesłyszał.

- Może raczej polecenia. Mam znaleźć morderców Wicherka. Bez względu na koszty i złą pogodę.

- Poważnie? O tym rozmawialiście?

- Nie tylko. Pan premier udowadniał mi przez godzinę, że w naszym kraju dochodzi właśnie do przejęcia władzy, i to w sposób niemający wiele wspólnego z demokracją.

-1 ty masz wykryć spisek?

- Pośrednio. Premier twierdzi, że wystarczy, jeśli wykryję zabójców Wicherka i tego, kto za tym stoi. Dziwnym trafem ktoś w tym samym momencie porywa mi żonę. Te typki, których na spółkę z Heleną i Yamato zlikwidowaliśmy, nie wyglądały na uczestników szkoły niedzielnej. Ktoś naprawdę ostro gra.

- Szaleństwo. To jest robota dla służb specjalnych. ABW, te sprawy...

- To samo powiedziałem premierowi. On się upierał przy swoim. Zgodziłem się, bo chciałem się od niego i kumpli jak najszybciej odczepić. Za chwilę i tak łączność szlag trafi, wszyscy się zaszyją w mysią dziurę i nic nie będzie ważne, poza chęcią przeżycia. Po powrocie sytuacji do normy zastanowiłbym się, co dalej...

Krzeptowski spojrział szybko na pasażera i parsknął śmiechem.

- Co cię tak bawi?

204

- Ty. Znamy się tyle lat, a do ciebie nie dociera, że kłamać nie umiałeś i nadal nie umiesz.

- O co ci chodzi?

- O motywację, kochany, o twoją motywację. Pamiętasz, jak upierałeś się, że z wyjazdu do Afganistanu najważniejsza jest kasa? Pamiętasz? A potem pierwszy się wyrwałeś na patrole. Bo uważałeś, że tak trzeba i się jakąś przysługę robi temu krajowi, choć większość baranów zamieszkujących ten kraj myśli inaczej, a najczęściej ma w dupie, czy się dla tego kraju nadstawia karku, czy nie.

- Po co mi to mówisz?

- Bo teraz masz taką samą motywację, ty ceprze sakramencki. Chcesz pomóc, bo uważasz, że jednak przyzwoitość obowiązuje. I nie lubisz, jak ci ktoś paskudzi w ogródku.

- A ty lubisz?

Krzeptowski tym razem roześmiał się już na głos.

- Widzisz? Przyznałeś się.

- Do niczego się nie przyznałem. Owszem, może coś jest na rzeczy, a raczej było...

- ..bo sytuacja się zmieniła?

- Właśnie. Teraz mnie nie interesuje Wicherek, pan premier i nasze państwo. Chcę odzyskać Helenę. Tylko to się liczy.

- Wiem - Krzeptowski wierzył. Ten ton znał lepiej niż dobrze. Ośli upór i niedostrzeganie ryzyka oraz konsekwencji. A także śmiertelne niebezpieczeństwo dla wszystkich, którzy staną na drodze.

- W tej sytuacji nie pytam, czy mi pomożesz, bo nawet nie mam prawa cię w to wciągać.

- Pytać? Znamy się długo. Nie musisz.

- Nie...

- Tak. I koniec tematu.

Milczeli przez chwilę.

- Dzięki.

- Nie ma za co. Obiecałem Helenie już dawno, że się będę tobą opiekował, pamiętasz?

Rzeczywiście, jeszcze przed wyjazdem do Afganistanu. Byli niespełna pół roku po ślubie.

Śnieg padał coraz gęstszymi płatkami. Poziome smugi mieniły się w świecie latarni. W zasięgu wzroku był tylko jeden samochód. O dziwo,

205

na horyzoncie pojawił się pług, dziarsko zamiatając przestrzeń żółtym, ostrzegawczym światłem.

- Słyszysz? - Jakub ocknął się z zamyślenia. Krzeptowski przekreślił w prawo potencjometr przy radiu.

- ...posłowie podjęli decyzję o kontynuowaniu bieżącej sesji posiedzenia sejm.

Aktualnie głosowana jest ustawa o natychmiastowym wprowadzeniu na terenie całego kraju stanu wyjątkowego. Marszałek sejmu Joachim Terlecki w krótkim uzasadnieniu stwierdził, że jest to konieczne, ponieważ rząd całkowicie nie panuje nad sytuacją. Do akcji wkroczy wojsko. Marszałek sejmu, jako pełniący obowiązki głowy państwa, przesłał do ministerstwa obrony narodowej wniosek o przeprowadzenie natychmiastowej mobilizacji wszystkich jednostek.

- Marszałek Terlecki powiedział również, że w późniejszych godzinach wieczornych głosowany będzie kolejny punkt porządku obrad, podczas którego posłowie zajmą się nowelizacją konstytucji. Obecne zapisy ustawy zasadniczej są zdecydowanie nieadekwatne do wyzwania, przed jakim wszyscy stoimy, powiedział marszałek. Potrzebna jest bardzo silna władza wykonawcza, która będzie potrafiła stawić czoła najpoważniejszemu kryzysowi, z jakim Polacy mają do czynienia od zakończenia drugiej wojny światowej. Taki silny ośrodek to prezydent ze zwiększonymi prerogatywami, prezydent, który jest w stanie jeszcze w ciągu dzisiejszej nocy powołać rząd złożony z fachowców, ludzi nielekających się wyzwań.

- Tyle marszałek Terlecki. Posłowie ciągle jeszcze rządzącej, ale już będącej w zdecydowanej mniejszości partii przyznają, że mamy do czynienia z bezprecedensowymi działaniami mającymi znamiona działań kryminalnych. Niektórzy mówią nawet o zamachu stanu. Żaden z nich nie chciał jednak wypowiedzieć się inaczej niż anonimowo - głos reportera był podniecony. Choć zawałił wigilijną kolację, czuł krew; paliwo, pokarm i sens istnienia mediów. Jakub przyciszył głos.

- Słyszałeś to samo co ja?

- No. Ale wolałbym, żeby to był sen.

- Nie wiem, co gorsze, mróz jak skurwysyn, czy skurwysyn u władzy.

- On sobie zapewnił właściwie legalną dyktaturę - Krzeptowski pokręcił głową. Aż wpadli w lekki poślizg. - Bo przecież zaraz mu uchwalą tę nowelizację.

206

- Premier wspominał o tym. Zdaje się, że gość przekupił połowę posłów z partii premiera i teraz ma większość.

- No to mu na pewno uchwalą. Kurwa, nie wiedziałem, że to takie proste. Wiesz, co mi przyszło do głowy?

- Wiem. Że zamiast ganiać nie wiadomo za czym, najprościej byłoby dobrać się do dupy panu marszałkowi.

- Nie uważasz, że tak byłoby prościej? Jak by go przycisnąć, tak po naszymu, to wyśpiewałby, kto mu to wszystko namotał. I za tym stoją porywacze Heleny, głowę sobie dam uciąć.

- Kuszące. Ale po pierwsze, nie bardzo wiem, jakbyśmy mieli dorwać pana marszałka i pogadać z nim na osobności. Poza tym to tylko hipoteza.

- Granicząca z pewnością.

- Być może. Mam ochotę pójść na skróty, wierz mi, ale tak się chyba nie da. Musimy pogrzebać, odwalić normalną policyjną ciesiołkę.

- Możemy trochę nie mieć możliwości. Tak poważnie, jak sobie wyobrazasz prowadzenie śledztwa w tych warunkach? - wysunął nieznacznie podbródek w stronę tego, co za szybą.

- Nie wiem. W ogóle o tym nie myślałem.

Krzepkowski nie odpowiedział. Oderwał na moment rękę od kierownicy i zgasił radio, bo przyciszony co prawda, ale nadal dobrze słyszalny bełkot reportera działał mu na nerwy.

Dojeżdżali do celu.

30.

Otworzyła szafę i wyjęła z niej sporych rozmiarów podłużną skrzynię z rączką umożliwiającą przenoszenie z miejsca na miejsce. Wsadziła klucz do zamka i przekręciła. Wieko odskoczyło. Podniosła je.

Na wierzchu leżał fabrycznie nowy pistolet maszynowy heckler & koch MP-5 w najnowszej wytłumionej wersji, z szynami montażowymi, przednim uchwytem i wysuwaną kolbą. Obok, w gąbkowych zagłębieniach: celownik optyczny, noktowizor, latarka oraz dziesięć magazynków.

Wyjęła górną półkę. Na niższym poziomie spoczywał równie nowy sig sauer, laserowy znacznik celu, latarka, tłumik i sześć zapasowych

207

magazynków. Na trzecim poziomie nóż, rewolwer smith & wesson, mrozoodporna latarka.

Wprawnymi ruchami zaczęła składać broń. Do szyny montażowej pistoletu maszynowego przymocowała celownik optyczny, obok zamontowała latarkę. Do lufy sigy dokręciła tłumik i przymocowała znacznik celu - efektem była broń umożliwiająca naprawdę ciche strzelanie, z możliwością wycelowania w ciemnościach.

Po dwóch kwadransach była gotowa. Ekwipunek i uzbrojenie zostały przejrane, sprawdzone i przygotowane do użycia. Spojrzała na zegar. Szósta po południu.

Zwykle o tej porze odpakuje się bożonarodzeniowe prezenty.

Pomyślała, że najlepszym prezentem będzie sen. Ludzie, których zamierzała odwiedzić, raczej nie kładą się spać zbyt wcześnie. Głęboki przedświt, oto właściwa pora.

Zatem odpoczynek pozwoli się odpowiednio przygotować.

Pogasiła światła, zasłoniła szczelnie zasłony i położyła się. Przez chwilę słuchała ponurego wycia wiatru za oknem. Potem usnęła.

3i. : :

Strażnik przy bramie sprawiał wrażenie niezbyt rozzębionego. Z pewnością był zmarznięty i chciał mieć z głowy niechcianych gości. Najpierw długo oglądał ich legitymacje służbowe, upoważnienie od premiera, potem dowód osobisty Jakuba. Na koniec wyduł wargi.

- Nie mam żadnego polecenia, żeby panów wpuścić - powtórzył, już chyba po raz trzeci. Drżał wyraźnie. Sort mundurowy najwidoczniej wczesnozimowy, ani śladu przygotowań do stawienia czoła katastrofie klimatycznej. Ale ton i mina służbisty.

- Zawołaj przełożonego - powiedział Jakub, nachylając się ku otwartej po stronie Krzepkowskiego szyby. Zwykle łamanie biurokratów stanowiło niezłą zabawę, ale teraz naprawdę mu się spieszyło. - Migiem.

Tamten popatrzył niezdecydowany. Miał swoje rozkazy, była Wigilia, jego zmiana kończyła się za piętnaście minut. Chciał jak najszybciej opuścić posterunek i kłopoty

z jakimiś przybłędami w starym grucho-cie były ostatnią rzeczą, której sobie życzył.
Z drugiej strony goście

208

podtykali mu pod nos pismo z pieczęcią prezesa Rady Ministrów i jego osobistym podpisem. Znał ten podpis i tę pieczęć, do jego obowiązków należało nauczenie się ich na pamięć.

W końcu zdjął z widełek słuchawkę i rzucił do mikrofonu trzy krótkie zdania.

Polecono mu czekać. Po chwili inny głos, znacznie głośniejszy i bardziej stanowczy, kazał mu niezwłocznie wpuścić gości. Strażnik aż musiał oddalić słuchawkę od ucha.

- Proszę - powiedział kwaśno. Cofnął się ponownie do budki i nacisnął guzik. Szlaban, pokonując opór narastającego oblodzenia, ze zgrzytem się podniósł.

Krzepkowski ostrożnie ruszył. Podjechali pod niski, piętrowy dom, którego kontury majaczyły przez śnieg. Zatrzymali się. Drzwi wejściowe były otwarte. Stał w nich postawny mężczyzna w swetrze. Zdawał się nie zwracać uwagi na temperaturę i wiatr.

- Dostałem telefon z kancelarii premiera. Panowie wybaczą. Strażnik zostanie ukarany - powiedział i uśmiechnął się życzliwie. Nosił wąsy, miał nadwagę i wyglądał na kompetentnego urzędnika państwowego wyższego szczebla.

- Starał się tylko. A jest zimno, więc był zły - machnął ręką Jakub. Całą tę operację chciał mieć jak najszybciej za sobą.

- Proszę do środka - powiedział energicznie wąsaty, po czym, gdy weszli, wyciągnął rękę i przedstawił się krótkim nazwiskiem, z rodzaju tych, które zapomina się po pięciu minutach.

- Formalności musi stać się zadość - powiedział przepaszającym tonem. - Wiem, że to strata czasu, ale muszę zobaczyć panów pełnomocnictwa.

- Proszę - Jakub podał mu kartkę otrzymaną od premiera wraz z policyjną legitymacją. Pomyślał, że musi pełnomocnictwo jakoś oprawić w plastik, ponieważ przy tym tempie używania już dziś wieczorem nie zostanie z niego zbyt wiele.

- Wszystko w porządku. A pan? - spojrzał pytająco na wielkiego górala.

- Komisarz Stanisław Krzepkowski. Jest moim współpracownikiem.

Policyjna blacha zawisała dziesięć centymetrów przed nosem gospodarza. Kontemplacja trwała trzy sekundy i również była formalnością.

- W porządku. Proszę zatem powiedzieć, czego panom potrzeba.

209

- Wszystkiego, co niezbędne - odparł Jakub. - Po pierwsze środka poruszania się skutecznego w warunkach polarnych. Myślałem o skuterach śnieżnych...

- Oczywiście. Ale mam dla panów coś lepszego - powiedział mężczyzna. - Proszę za mną, rozumiem, że panowie się spieszą, przejdźmy zatem od razu do magazynu.

Ruszyli w głąb budynku. Na końcu długiego korytarza gospodarz otworzył jedne z drzwi. Za nimi ukazały się schody prowadzące w dół.

- Nasz garaż i magazyn-wyjaśniającym "tonem powiedział gospodarz.

- Poza tym odzież polarna. Kilka kompletów, powiedzmy... - Jakub zawahał się. Mówił do pleców mężczyzny schodzącego schodami przed nim. - ...sześć. Broń. Żywność. Zapasy paliwa. Butle gazowe. Piecyki. Lamy. Latarki. Sprzęt łączności.

Nie był pewien, czy tamten słuchał. Plecy milczały jak zakłete.

Po chwili znaleźli się na poziomie minus jeden, jakieś cztery metry pod poziomem gruntu. Gospodarz pstryknął umieszczonym na ścianie przełącznikiem.

Hala miała co najmniej trzysta metrów kwadratowych i była wysoka. Surowe betonowe ściany odbijały każdy dźwięk nieprzyjemnym, krótkim echem. Po bokach: kilka korytarzy ciągnących się do następnych pomieszczeń. Pod ścianami: stojaki z bronią i regały z różnorodnym zaopatrzeniem. Stosy pudeł i kartonów oraz plastikowych kontenerów na kółkach. Bliżej środka: dwa terenowe bmw z napędem na cztery koła, wyglądające na całkowicie nowe. Pośrodku: czerwona, ogromna maszyna na szerokich gąsienicach.

Jakub aż gwizdnął z podziwu. Zarówno on, jak i Krzeptowski byli pod wrażeniem.

- Gdzie my w ogóle jesteśmy?

Gospodarz uśmiechnął się szeroko.

- Wie pan, staramy się, aby rząd był w miarę samowystarczalny w niektórych niespodziewanych sytuacjach. Tam - wskazał na sufit - jest coś w rodzaju centrum kryzysowego. Tu - machnął ręką kolistym ruchem - magazyn.

- Zdziwiająca.

- No, to tylko mała część. Niezależnie od rządzącej opcji politycznej, niespodzianki nam niestraszne.

- Jestem pełen podziwu. Możemy przejść do konkretów?

210

- Oczywiście. Mówił pan o środku poruszania się. Proszę spojrzeć - gospodarz podszedł do krwistoczerwonej maszyny. - To ratrak, zeszłoroczny model. Benzynowy silnik o mocy trzystu koni mechanicznych, przystosowany do dużych przeciążeń i pracy w niskich temperaturach. Ma pan cały bak paliwa. I cztery kanistry zapasu. Benzyna jest dość odporna na niskie temperatury, pomimo to została wzbogacona, powinno być w porządku w temperaturze nawet minus sześćdziesiąt stopni. Oleje smarownicze arktyczne. Kabina mieści pięć osób. Kazałem zdjąć z pojazdu urządzenia do przygotowania tras narciarskich, poza pługiem, bo ten się może przydać. W zamian zamontowaliśmy platformę ładunkową, można na niej umieścić tonę ładunku. Tutaj - wskazał ręką - trzy skutery śnieżne.

Krzeptowski spojrział na Jakuba, uśmiechnął się i kiwnął energicznie głową. To było znacznie więcej, niż się spodziewali. A gospodarz atakował dalej.

- Jakiego rodzaju broń panów interesuje?

- A co mamy do wyboru?

- Niech pan powie, co pana interesuje, a ja powiem, czy mogę pomóc.

-M-4?

- Ile sztuk?

- Pięć - odparł Jakub, udając, że nie widzi zdziwionego spojrzenia

Krzeptowskiego.

- Bez problemu.

- Granatniki czterdzieści milimetrów.

- Podwieszane pod karabinem?

- Tak. Dwie sztuki.

- W porządku. Co jeszcze?

Jakub skrzywił się.

- Karabin snajperski?
- Sako albo H&K.
- Wezmę oba. Pięć pistoletów, komplet tłumików i laserowych znaczników celu. Amunicja. Latarki. GPS. Noktowizory.

- Oczywiście - mężczyzna wskazał regały pod ścianą. Żadnym gestem nie wyrażał zdziwienia.

- Odzież polarna, buda gazowe, oświedzenie, piecyki. Liofilizowana żywność.

211

- Żadnego problemu.

- Okej, w takim razie zabierajmy, co mamy zabrać, i zmykamy - Jakub spojrział na zegarek. Miał dojmujące poczucie traconego czasu. Zdawał sobie sprawę, że przygotowania są niezbędne, ale chciał mieć to z głowy jak najszybciej.

Zaczęli wybierać sprzęt. Gospodarz był pomysłowy i uczynny, doradził wzięcie szeregu przydatnych elementów wyposażenia. Całość została spakowana w osiem kontenerów o różnych rozmiarach. Ułożyli je na platformie ładunkowej ratraka i przymocowali do szyn montażowych, starając się, by ładunek był symetrycznie rozłożony. Starannie przymocowali też skutery, po czym na stalowy stelaż naciągnęli grubą plandekę wykonaną z elastycznego i, wedle zapewnień producenta, odpornego na niskie temperatury brezentu.

- Ratrak prowadzi się lekko. Używa pan kierownicy jak w normalnym samochodzie.

- Dziękuję. Skodę panu zostawiamy. Zgłosimy się po nią... po wszystkim. Gospodarz nie tracił dobrego humoru.

- Mam nadzieję, że panom się powiedzie. I że wyjdziemy z tej katastrofy bez strat - powiedział. Być może chodziło mu tylko o pogodę.

- Zobaczymy. Może się uda - odparł Jakub.

- Ja poprowadzę - Krzeptowski otworzył drzwi ratraka. - Kiedyś już miałem do czynienia...

Jakub wiedział, że Krzeptowski już miał do czynienia. Sam też miał, niestety, do czynienia, dlatego bez słowa zajął miejsce pasażera.

Krzeptowski chwilę rozglądał się po kabinie. Upewnił się, że gałka zmiany biegów jest na pozycji „N”, po czym nacisnął starter. Potężny silnik zaskoczył od razu.

Krzeptowski pozwolił mu przez chwilę pracować na wolnych obrotach. Przyjrzał się włącznikom reflektorów - miał do wyboru kilka kombinacji, włącznie z umieszczonymi na ramie nad kabiną silnymi halogenami przeciwmgielnymi - po czym zapalił zwykle drogowe światła.

Spojrzał z ukosa na Jakuba, jakby czekając na zachętę, nie doczekał się, więc wcisnął sprzęgło, wrzucił pierwszy bieg i lekko dodał gazu. Silnik wszedł od razu na wyższe obroty, Puścił sprzęgło i dwutonowa maszyna zadziwiająco lekko i płynnie ruszyła do przodu.

212

Gospodarz wyjął z kieszeni jakiś podłużny przedmiot, przycisnął guzik i ciężkie odrzwia, zlokalizowane dziesięć metrów przed ratrakiem, zaczęły się podnosić. Maszyna minęła je i wjechała na stromy, betonowy podjazd. Pokonała wzniesienie

bez najmniejszego wysiłku, jakby go w ogóle nie zauw. ażyła, po czym wyjechała na podwórze.

Krzepkowski lekko przyspieszył i skręcił w stronę bramy. Szarpnęło, jedna z gaśnic zatrzymała się, ratrak wykonał płynny skręt. Szlaban poszedł w górę i po chwili znaleźli się na ulicy.

32.

Obudził ją dzwonek telefonu. Przez chwilę zupełnie nie wiedziała, gdzie jest i co tak dotkliwie wwierca się w mózg. Gdy oprzytomniała i zapaliła światło, stwierdziła, że jest w pół do dziewiątej. Numer na wyświetlaczu był znajomy. Bez wahania odebrała połączenie.

- I Stefan. Możesz?

- Oczywiście - błyskawicznie odgoniła resztki snu. Oparła się na łokciu i mocniej przycisnęła słuchawkę do ucha.

- Chcesz się spotkać?

- Powiedz przez telefon.

- Okej. Mamy pewne ustalenia - głos, jak zwykle piskliwy i połykający niektóre głoski, był przytłumiony. Jego właściciel musiał być bardzo zmęczony.

- Mów - usiadła na łóżku i opuściła stopy na podłogę.

- Sprawa najprawdopodobniej wydarzyła się przed szóstą rano. Pod dom podjechała karetka pogotowia. Do środka weszło dwóch gości z noszami i trzeci, jakby lekarz. Zadzwonili do mieszkania twojej matki. Dlatego im otworzyła i dlatego nie ma żadnych śladów walki. Po prostu zaskoczyli ją. Została zastrzelona pojedynczym strzałem w głowę z bliskiej odległości. Nie znaleźliśmy łuski, ale kulę owszem, pojechała już do laboratorium. Zresztą rodzaj broni, jakiej użył zabójca, nie jest chyba w tej chwili taki ważny. Z pokoju dziecka, tak nam się wydaje, zniknęło część ubrań, co może jest pewnym pocieszeniem. Zamierzają ją trzymać. Czy twoja córka używała pieluch?

- Używała.

- Nie ma ani jednej. Też zabrali. Raczej będą negocjować.

213

- Jeszcze nikt się nie skontaktował.

- To może potrwać, wiesz przecież.

- Wiem - zamknęła oczy. Czuła suchość w ustach. - Znaleźliście jakieś ślady?

- Trochę. Obuwie, jakieś cząstki bawełnianych włókien. Niestety typowe. Ale...

-No?

- ...może mamy coś jeszcze. Mieszka obok taka sąsiadka, wygląda na wścibską babę, której się nudzi.

- Brożkowa.

- Dokładnie. Przesłuchaliśmy ją. Twierdzi, że nie mogła spać i wyglądała przez okno. Akurat, kiedy podjechała ta karetka.

- Ona zawsze wygląda przez okno.

- Tak właśnie myślałem. Potem obserwowała przez wizjer tych rzekomych sanitariuszy. Sporządziliśmy prowizoryczny portret pamięciowy.

Zuzanna zamarła. Odezwała się dopiero po dłuższej chwili.

- Masz możliwość wysłania e-maila?

- Tak. Mamy tu laptopa z bezprzewodowym internetem.
- Przyślij mi te portrety.

Tym razem milczenie zapadło po drugiej stronie linii.

- Czegoś mi chyba nie mówisz.
- Taka była umowa.
- Pracowałoby mi się lepiej, gdybym więcej wiedział.
- Nie. Pracowałoby ci się znacznie gorzej.

Westchnienie.

- Dobra. Przyślę. Podaj adres.

Zuzanna przekazała żadaną informację, po czym rozłączyła się bez pożegnania.

Wstała i podeszła do laptopa. Włączyła go. Z kieszeni kurtki wyciągnęła otrzymanego od hakera pendrivesa. Były na nim zdjęcia zabójców znalezionych w zasobach rozmaitych rządowych agencji. Włożyła pendrive'a do gniazda USB, kliknęła odpowiedni folder, po czym otworzyła wszystkie sześć zdjęć i zminimalizowała je, by zajmowały tylko lewą część ekranu. Zalogowała się do sieci, wpisała adres serwera, na którym miała skrzynkę pocztową.

Czekając na e-maila, siedziała bez ruchu. Sen odszedł, jednak nie zwracała na to uwagi, choć wiedziała, że aby być stuprocentowo skuteczną, powinna jeszcze się przespać.

214

w .

W końcu komputer pisnął i zasygnalizował przyjscie korespondencji. Zuzanna otworzyła e-maila, skopiowała załączniki na twardy dysk i odłączyła komputer od sieci.

Dopiero wtedy otworzyła wszystkie trzy pliki. Bingo. \

Już pierwszy z nich przedstawiał jednego z mężczyzn ze zdjęcia. Podobieństwo nie było uderzające, portrety pamięciowe z reguły nie przypominają ostrej fotografii, czasami jednak, przy odrobinie szczęścia, zawierają pewną ogólną charakterystykę twarzy, jakiś specyficzny grymas, układ oczu lub ust, szczególny kształt nosa...

Z lewej części ekranu wybrała jedno ze zdjęć, powiększyła je, po czym porównała z rysunkiem po prawej.

Żadnych wątpliwości. Gruba szyja, niebieskie, jakby wodniste oczy, krzywy, najwyraźniej złamany nos. Twarz, której nie sposób zapomnieć. Zuzanna zapamiętała ją już u hakera.

Otworzyła plik z charakterystykami personalnymi. Jefrim Walkiewicz, lat 41, obywatel Białorusi, były zawodowy podoficer KGB, sekcja antyterrorystyczna, od dwóch lat na emeryturze. Obecnie wolny strzelec.

Wzrost, waga, kolor oczu. Przypuszczalny adres. Dopiero po półgodzinie uspokoiła się na tyle, by wrócić do łóżka. Ponownie zgasła światło, przykryła kołdrą i zamknęła oczy. Sen nadszedł niechętnie, ciężko, niczym duszący opar.

33.

- Musimy się zatrzymać - powiedział Krzeptowski.
- Wiem - westchnął Jakub. Sama myśl o opuszczeniu kabiny powodowała przyływ złego humoru. - Zróbmy to teraz. Potem mogę nie mieć motywacji. Krzeptowski skręcił ostrożnie, wjechał na chodnik - przypuszczalnie, bo sam chodnik

przykryty był kilkunastocentymetrową warstwą śniegu, którego zresztą z każdą minutą przybywało - po czym zatrzymał się.

Dopięli kurtki, założyli czapki oraz rękawice i wyszli na zewnątrz.

215

Choć wiatr starał się za wszelką cenę zniechęcić ich do podejmowania wysiłku, sprawdzili ratrak niezwykle starannie. Każdy zakamarek, każdą osłoniętą powierzchnię, każdy schowek. Poświęcili na to dwadzieścia długich minut, jednak nie znaleźli nic.

Jakub był zły. Chciał mieć to z głowy, wiedział, że coś powinni znaleźć, jednak maszyna była czysta.

- Zostaje szoferka - krzyknął prosto w' ucho Krzeptowskiego, gdy spotkali się przy lewej gaśienicy, obaj tak samo bezradni. - Tam jest fabrycznie wmontowany GPS, może mieć moduł komórki i wysyłać lokalizację.

- Nie damy rady sprawdzić, nie mamy urządzeń - odkrzyknął Krzeptowski. - Musielibyśmy wszystko rozwalić.

- Może to nie jest zły pomysł.

- Może nie.

Weszli do szoferki. Krzeptowski sprawdzał każdy centymetr powierzchni, siedzenia, tapicerkę, podsufitkę, wszystkie schowki. Jakub natomiast przyjrzał się GPS-owi, stanowiącemu fabryczne wyposażenie maszyny. Nie nosił znamion ingerencji, ale to akurat o niczym nie świadczyło - doświadczony monter byłby w stanie rozmontować deskę rozdzielczą i złożyć ją z powrotem bez żadnych widocznych śladów.

Tyszkiewicz doszedł do wniosku, że musiałby zdemolować połowę deski, a niewykluczone, że ich życie będzie zależeć od sprawnego funkcjonowania umieszczonych w niej urządzeń. Pozostawienie ich w nienaruszonym stanie leżało niewątpliwie w interesie wszystkich obecnych i potencjalnych uczestników misji. Toteż wyciągnął ze skrzynki narzędziowej niewielki krzyżakowy śrubokręt, odkręcił dwie małe śrubki zabezpieczające skrzynkę z bezpiecznikami, zdjął pokrywę i chwilę przyglądał się dwóm rzędom małych blaszek. W końcu wyciągnął jedną z nich, zerknął na ekran GPS-a i stwierdził, że trafił za pierwszym razem. Ekran był ciemny i martwy.

- Moduł komórkowy może siedzieć gdzieś z tyłu i mieć własne zasilanie.

- Może. Pewnie ma. Ale GPS raczej nie, działałby.

- Możliwe. Jesteś pewien?

- Niczego nie jestem pewien. Spędzimy tu mało czasu - pokazał oczami na kabinę. Podśluch. Krzeptowski zrozumiał.

216

- Oczywiście. Jedziemy?

- Nie mamy innego wyjścia.

Krzeptowski uruchomił silnik i ruszyli ponownie.

Jakub sądził, że poruszanie się pojazdem przystosowanym do pracy w ciężkich, górskich warunkach, o szerokich na metr gaśienicach dostarczy mu więcej emocji. Ale komfort jazdy był porównywalny do średniej klasy samochodu, silnik pracował tylko umiarkowanie głośno, Krzeptowski już po trzecim zakręcie nabrał wprawy i nauczył się unikać szarpania oraz gwałtownych zmian prędkości. Toteż na miejsce

przyjechali bez przygód, jeśli nie liczyć obserwacji coraz bardziej pogarszającej się pogody.

Temperatura przekroczyła minus dwadzieścia stopni. Wiatr wiał silniej, niż zanim się pojawili w magazynie, Jakub oceniał jego prędkość na jakieś czterdzieści kilometrów na godzinę. I śnieg. Jeszcze niezbyt duże, ale coraz gęstsze płatki lecące niemal równoległe do powierzchni ziemi, oblepiające wiaty przystankowe, latarnie i domy, tworzące już pierwsze zaspę na ulicach. Przejechawszy niemal całą dzielnicę, spotkali tylko dwa śnieżne pług, wyglądające niczym Robinson z Pię-taszkim na bezludnej wyspie.

Wyspa nie była jednak całkiem bezludna.

Gdzieś w oddali przemknął niepewnie autobus, tramwaj zazgrzytał na zalodzonych szynach, ale kompletny brak przechodniów i niemal całkowity brak ruchu samochodowego powodował skojarzenia z lodową pustynią.

Wtedy Jakubowi po raz pierwszy przemknęła przez głowę myśl, że to wszystko robi się niepokojąco podobne do, widzianego do tej pory tylko w niezliczonych filmach, krajobrazu będącego skutkiem jakiegoś globalnego kataklizmu. Otrząsnął się. Musi myśleć o czymś innym. Konkrety, zadania, cele, bieżące działania. Tak wygląda lekarstwo.

Dojechali pod jeden z wielu anonimowych, nowych bloków na Ursynowie, o trzy kilometry od mieszkania Jakuba. Krzeptowski wyciągnął z kieszeni pilota, wrota garażu ze zgrzytaniem zaczęły się unosić.

- Nie jestem pewien, czy się zmieścimy - mruknął Jakub. Otworzył drzwi i wysiadł. - Zjeżdżaj powoli, będę cię asekurował.

Zeskoczył lekko ze stopnia i stanął z boku, tuż przed otwartymi wrotami do podziemnego garażu. Ratrak mruknął nieco głośniej i zaczął

217

się toczyć w dół. Powoli zbliżał się do wjazdu, Jakub ocenił, że raczej się zmieści, machnął ręką i Krzeptowski lekko nacisnął gaz.

Nie zmieścił się. Coś chrupnęło głośno, rozległ się brzęk tłuczonego szkła i po szoferce popłynęło żółte konfetti. Krzeptowski nawet tego nie słyszał, reszta pojazdu była o metr niższa od wrót, więc ratrak bez dalszych przeszkód popędził w kierunku wolnego miejsca.

Z hukiem opadła brama i oddzieliła garaż od wycia wiatru. Po chwili umilkł także warkot silnika.

Zapadła cisza.

Jakub podszedł do ratraka. Drzwi otworzyły się. Krzeptowski zeskoczył na ziemię.

- Co to było?

- Straciliśmy oba ostrzegawcze migacze - odpowiedział Jakub, oglądając sterczące na ramie kikuty. - Gdyby było o dwa centymetry niżej, stracilibyśmy również halogeny.

Krzeptowski spojrzał obojętnie.

- Mniejsza z tym - machnął ręką. - Migacze raczej nie będą nam potrzebne.

- Trzeba by te druty jakoś zabezpieczyć, bo jak się dostanie trochę wilgoci, może być zwarcie.

- Zakleimy taśmą. A teraz bierzmy się do roboty.

W milczeniu i pośpiechu zaczęli rozpakowywać zapasy. Krzeptowski odpinał kontenery i ostrożnie podawał Jakubowi. Ten, korzystając z kółek, odtaczał je pod drzwi, za którymi były windy. Po kwadransie na platformie ładunkowej pozostały tylko skutery zapakowane w największy, zamknięty na klucz kontener.

Krzeptowski zamknął drzwi ratraka. Musieli skorzystać z dwóch kursów windy, by wwieźć wszystkie zapasy na czwarte piętro. Gdy w końcu zamknęli za sobą drzwi mieszkania, byli spoceni.

W mieszkaniu, choć przestronnym, nagle zrobiło się ciasno.

Krzeptowski zdjął kurtkę i sweter, po czym wyciągnął z kieszeni komórkę. Wybrał numer figurujący w liście kontaktów jako numer jeden.

- Jadwiga? Czołem. Tu twój ulubiony góral. Jak idzie? Skończyliście? Świetnie. Jedziecie? Aha, dopiero ruszyliście. Znaleźliście coś? Super, ale nie mów. Pogadamy jak dojedziecie. Przygotujemy kolację. Uważajcie na siebie, naprawdę jest paskudnie. Pa, czekamy.

218

Zrobiło mu się gorąco, ale pomyślał, że to od wysiłku i gwałtownej zmiany temperatury. Mieszkanie było ciepłe, jasno oświetlone i przyjazne. Zdawało się mówić, że razem są w stanie przetrwać każdą przeciwność losu.

- No, Kubuś, mamy długą noc przed sobą. Leć pod prysznic, ja tu trochę rozpakuję, a potem się zamienimy.

- Dzięki. Właśnie miałem zaproponować...

- Nie ma co gadać.

Gdy za Jakubem zamknęły się drzwi łazienki, Krzeptowski wziął się ostro do roboty. On, Jadwiga i Tolak cały ranek ciężko pracowali. Zrzucili się po pięćset złotych i zakupili sporo żywności i potrzebnego ekwipunku. Ale potem wszyscy byli dość zajęci, toteż torby z żywnością i różnorakimi artykułami przemysłowymi stały w korytarzu i kuchni. Kontenery przyniesione z dołu do reszty wypełniły każdy wolny kąt.

Komisarz postanowił podejść do sprawy systematycznie. Otworzył przepastną lodówkę i wyrzucił z niej wszystko, co stare, przeterminowane lub niepotrzebne. Włączył nieużywaną dotychczas zamrażarkę - przyszło mu do głowy, że to całkiem zbędny gest, wystarczy wystawić coś za okno, a bez trudu będzie można uzyskać efekt naprawdę głębokiego mrożenia - i zaczął wrzucać do niej zapasy przeznaczone na później. W lodówce ułożył artykuły mające pójść na pierwszy ogień. Na półkach w spiżarni poukładał konserwy, kartony soku, dzemy, wielkie torby płatków śniadaniowych, kilka zgrzewek mleka, warzywa, worek ziemniaków, makarony, ryż. Pod kran podstawił jeden z dziesięciu zakupionych rano plastikowych kanistrów. Bude gazowe wrzucił do szafy w przedpokoju, na półkach powyżej poukładał lampy zasilane gazem oraz dwa piecyki.

Do sypialni wrzucił po dwa koce i śpiwory. Dodatkowe koce, a także młotek i gwoździe położył przy największym z okien.

Musiał się rozebrać do koszulki, taki był zapracowany.

W salonie ułożył kontenery z bronią i amunicją. Ich rozpakowanie zostawił na później, nie spieszyło się.

Dopiero po półgodzinie Jakub wynurzył się z łazienki, owinięty w ręcznik. Był

przygarbiony i sprawiał wrażenie postarzałego. Stare blizny blado odcinały się od skóry. Bez pośpiechu otworzył torbę zabraną z Wiejskiego Domku, przez chwilę zastanawiał się, co wybrać, po czym założył na siebie bieliznę i polarowy dres.

219

- Moje ubranie nie nadaje się do niczego - powiedział usprawiedliwiającym tonem.

- Luzik. Wybór jest.

- Dobra. Co mam robić?

- Możesz zasłonić okna kocami. A potem dalej rozpakowuj kontenery.

- Można mu zaufać?

Krzepkowski był już w połowie drogi do łazienki. Przyzwyczajony do nagłych zmian tematu, jednak odrobinę się zawahał.

- Tolakowi? - zapytał na wszelki wypadek.

- Tolakowi - Jakub wyglądał na zniecierpliwionego. - Pytam, czy możemy go uważać za sojusznika.

Krzepkowski zastanawiał się nad tym od wczoraj.

- Zależy w jakiej sprawie - powiedział ostrożnie, gdy milczenie stało się stanowczo zbyt długie. Postanowił na razie zrezygnować z kąpeli. - Wygląda na zmartwionego, ale sam wiesz, jakie służby potrafią prowadzić gierki...

- Wiem. Mieliśmy tego po uszy...

- No. Tylko że...

- Mów.

- ... sprawia wrażenie szczerego.

- Sprawia wrażenie.

- Wiem, to bzdet.

- Wrażenie może być istotne - Jakub był jakiś nieobecny. Dawno go takim

Krzepkowski nie widział. Może w zeszłym roku, podczas zjazdu z Kasprowego. Obaj wtedy mało nie zginęli. - Pytanie, czy może nam pomóc znaleźć Helenę.

- To ta sama sprawa.

- Wiem. Wszystko się jakoś dziwnie łączy.

- Dokładnie. Więc jeżeli będzie chciał pomóc nam odszukać Lenę, będzie po naszej stronie i w innych sprawach.

- No więc można mu zaufać czy nie?

Znowu milczenie trwało dłuższą chwilę.

- Miejmy go na oku. Nie zostawiamy samego. Posłuchajmy, co ma do powiedzenia. Zobaczmy, czy naprawdę pomaga.

- Dobry plan - Jakub uśmiechnął się samymi ustami. I dodał zupełnie nieoczekiwanie: - Lena ma romans. Z Zuzanną.

220

Krzepkowski, który otwierał właśnie kontener zawierający broń, zmarł. Wieko odbiło się na zawiasach i opadło z trzaskiem. Komisarz nawet nie mrugnął. Po prostu wpatrywał się w Jakuba.

- To żart? - wykrztusił w końcu.

- Nie. Domyślałem się, że coś jest grane, od pewnego czasu Lena była jakaś dziwna, a Zuzanna zaczęła mnie wyraźnie nie znosić, jeszcze bardziej, niż zwykle nie

znosi facetów. Kiedyś zobaczyłem je razem na ulicy, ale myślałem, że to przypadek. Zachowywały się normalnie. Miałem zapytać pięć razy i nie zapytałem. Lena sama mi powiedziała. Wczoraj wieczorem.

- Po co?

- Sumienie ją ruszyło. Podobno zerwały ze sobą.

Krzeptowski trzasnął pięścią w wieko kontenera. Specjalnie wzmocniony plastik pękł, cienka szczelina podzieliła zamknięcie niemal równo na pół.

- Kurwa mać, co za czasy. Już nawet nie na innych facetów musisz uważać...

- Może to nie jest takie złe. Dwie niezłe dupy w uściskach. Jakby człowiek dobrze zagadał, można by się przyłączyć...

Krzeptowskiego zatkało po raz kolejny. Jakub: ton zupełnie obojętny, w oczach nie wiadomo co, treść nie do przyjęcia. W góralskim kodeksie takie rzeczy nie figurowały.

- Nie pieprz - powiedział. - Romans to zdrada, obojętnie, z facetem czy kobitką.

- Może tak, może nie - odparł Jakub. - Może lepiej to sobie jakoś

zracjonalizować, nie uważasz?

- Nie uważam.

- A może jednak? Co mam zrobić? Rozwieść się?

- No... - Krzeptowskiemu przemknęło przez głowę, że z dużą dozą prawdopodobieństwa problem rozwiąże się sam. Odgonił jednak czym prędzej tę myśl. - Nie, pewnie, że nie.

- No widzisz.

- Nic nie widzę. Wiesz, jak to się stało?

- To długa historia. Nie wiem, czy mi się chce ją opowiadać w całości.

- Opowiedz najciekawsze fragmenty.

Jakub poszedł do kuchni, chwilę kontemplował zawartość lodówki, znalazł butelkę wódki, nalał do szklanki solidną porcję, po czym wrócił

221

do salonu i usiadł na kanapie. Bez pośpiechu wypił połowę drobnymi łykami. Nawet się nie skrzywił.

- Poznały się rok temu, na jakimś wernisażu. Zaczęły rozmawiać, spodobały się sobie, ludzie pewnie patrzyli jak na zjawisko. Wyobraź sobie, że Zuzanna interesuje się architekturą i malarstwem i podobno naprawdę się na tym zna. Tamten wernisaż to był szajs, jacyś młodzi awangardiści, Helena poszła tam z obowiązku. Potem umówiły się na kawę, wymieniły numery telefonów. Zuzanna podobno odnalazła w internecie obrazy Leny i odpadła. Stała się jej największą fanką. No i się zaczęło.

- Co się, kurwa, zaczęło? Zuzanna mnie nie dziwi, zawsze podejrzewałem, że jeżeli w ogóle bara-bara, to tylko dziewczynki. Ale Helena?

Jakub wzruszył ramionami.

- Pewnie odnalazła coś, czego jej nie mogę dać.

- Gadanie. Tak można usprawiedliwić wszystko.

Tyszkiewicz powoli, jakby sennie, pokręcił głową.

- Może tak, może nie. Wiesz, że Zuzanna ma dziecko?

- Dziecko? Ona? Z kim? - Za dużo tych niespodzianek. Krzeptowskiego zaczęła boleć głowa.

- Nie wiem z kim. Ma dziewczynkę, dwunastoletnią. Niepełnosprawną. Wózek, pieluchy, te rzeczy. Dziecko nie mówi, nie widzi i ma dziewięćdziesiąt procent utraty słuchu.

- Dwunastoletnią? Jesteś pewien?

- Niczego nie jestem pewien. Zuzanna zaprosiła kiedyś Lenę do domu. Helena potem płakała całą noc. Nie chciała powiedzieć, co się stało, myślałem, że oszaleję. Zaraz potem powstał obraz, jej najlepszy. „Rozpacz”, pamiętasz? Krzeptowski skinął głową. Nie rozumiał malarstwa Heleny i trochę nie pojmował szumu, jaki mu towarzyszył, ale ten obraz i na nim zrobił wrażenie.

- Dziecko ma dwanaście lat? To bardzo ciekawe - powiedział. - Chyba musimy poważnie porozmawiać.

- Poważnie? Przecież rozmawiamy poważnie.

- Musimy poważnie porozmawiać o Zuzannie. Coraz więcej rzeczy się nie zgadza. O coraz więcej rzeczy trzeba by ją zapytać. I powiem ci coś: jestem pewien, że nie chciałaby udzielić nam odpowiedzi.

222

34.

.....

Helena otworzyła oczy.

Leżała na łóżku, nawet dość wygodnym. Tyle mogła stwierdzić, konkretnie. Reszty nie pamiętała. No dobrze, a więc leżała, było jej w miarę ciepło, łóżko było miękkie. Poruszyła ręką i dotknęła koca, który ją okrywał. Dobra wełna, przyjemna w dotyku, dająca dużo ciepła. Raczej górna półka, Helena знаła się na tym.

Jakiś obraz wydobyty z pamięci nie dawał jej spokoju. Gwałtowny ruch, szybkie zmiany, krzyk. Może raczej krzyki.

Przemoc?

Powoli usiadła, stwierdziła, że kręci jej się w głowie, ale starała się nie zwracać na to uwagi. Chaotyczne obrazy zaczęły układać się w ciągi, podświadomość włączyła fonię, więc film zrobił się dźwiękowy, rozpaczliwy krzyk, huk wystrzałów, szarpanie, nakładające się wrzaski, ponownie wystrzał, łomot, zbite szyby...

Przypomniała sobie wszystko.

Przez dłuższą chwilę walczyła z narastającą falą paniki. Czuła mdłości, skurcze żołądka, w gardle obrzydliwy, oślizgły czop, niedający się usunąć. Starła się oddychać głęboko, skierować myśli na jakiś neutralny tor, ze wszystkich sił opanować drżenie ciała.

W końcu się udało. Powoli, niechętnie i z oporami panika ustąpiła. Żołądek uspokoił się, czop z gardła spłynął gdzieś w dół, puls ustabilizował się na poziomie zbliżonym do normalnego.

Napadnięto na nią. Zastrzeliła najprawdopodobniej jednego z napastników, drugi pozbawił ją przytomności. Nie wiedziała, w jaki sposób, nie widziała, ilu jeszcze napastników zaatakowało jej dom, nie wiedziała, co się stało z Yamato.

Znowu poczuła trwogę. Nie sądziła, by Yamato trzymał się z boku podczas napadu, rozpaczliwe wrzaski dowodziły, że wprost przeciwnie, możliwe, że zaatakował kolejnego z napastników...

...więc zapewne nie żyje.

Łzy same zaczęły cisnąć się do oczu i skapywać po policzkach. Helena zaczęła szlochać, padła bezwładnie na łóżko i płakała, długo, rozpaczliwie, boleśnie. Jakby chciała wypłakać wszystkie żale i smutki tego świata.

Straciła rachubę czasu. Płacz w końcu ustał, a Helena zapadła w krótką drzemkę. Gdy się obudziła, poczuła się, paradoksalnie,

223

znacznie lepiej. Doszła do wniosku, że, choć nadal się boi i pierś ściska jej żal po psie, może zacząć racjonalnie myśleć.

Rozejrzała się po pokoju. Miał może dziesięć metrów kwadratowych, był dyskretnie oświetlony dwoma kinkietami, a ściany pomalowano na białą. Jedyne sprzęt stanowiło łóżko i stojąca w kącie chemiczna toaleta. Pomieszczenie pozbawione było okien, drzwi wyglądały na bardzo solidne i zamknięte na głucho, czego zresztą Helena nie omieszkała sprawdzić.

Zaczęła spacerować. Początkowo jeszcze czuła w głowie szum, ale wkrótce nawet i te objawy ustąpiły.

Bacznie zlustrowała samą siebie. Nie była skrępowana i nie licząc zamkniętych drzwi, miała pełną swobodę ruchów. Nie stwierdziła także na swoim ciele żadnych obrażeń, siniaków czy otarć. Nie sądziła, by ktoś się do niej dobierał, choć oczywiście tego akurat nie mogła być pewna. Nie wiedziała także, ile czasu była nieprzytomna.

Miała na sobie ten sam dres, który nosiła w domu. Słowem: poza utratą wolności i zmianą miejsca pobytu, niewiele się zmieniło.

Ucieszyła się, że zaczęła myśleć i nawet stacją na ironię.

Pierwsza myśl: Jakub i Zuzanna. Dwie najważniejsze osoby w jej życiu, nie licząc rodziców.

Uświadomiła sobie, że prezentuje typowy przypadek, ale, szczerze mówiąc, miała to gdzieś: w sytuacji ekstremalnej myślisz o bliskich ci osobach i na nich zawieszasz nadzieję. Jeżeli dodatkowo te bliskie osoby są w stanie ci pomóc...

Żadnych wątpliwości: Jakub i Zuzanna należeli do gatunku drapieżników. Jeżeli w ogóle ktoś jest w stanie pomóc, oboje z pewnością nie figurują na końcu listy.

Raczej bliżej początku. Konkretnie: okupują pierwsze dwa miejsca.

Uśmiechnięta, położyła się na łóżku ze wzrokiem wbitym w sufit.

35.

- Co się z Zuzanną nie zgadza, poza tym, że bzyka moją żonę? Krzeptowski sięgnął po butelkę, wziął z szafki szklaneczkę i nalał też sobie, po góralsku, solidnie.

- Wczoraj poprosiłem Smotrycza, żeby trochę poszperał w jej aktach.

224

- Bo? Z jakiegoś konkretnego powodu?

-1 tak, i nie. Wiesz, ona mnie wkurwia.

- No, to jest wyjaśnienie...

- Jest. Wszyscy ją chcą bzyknąć, a ja nie. Za to zacząłem się zastanawiać, co może się kryć za tą pancerną maską. Przecież ona w zasadzie nie nadaje się na policjantkę, u nas raczej człowiek musi być bardziej elastyczny.

- Taaaa...

- No właśnie. No i parę dni temu doszły mnie słuchy o jakiejś sprawie związanej z Bondarukiem. Kojarzysz go?

- Taki mały, gruby?

- Ten sam.

Sporo się o tym mówiło w komendzie, mniej więcej piętnaście miesięcy temu. Bondaruk był zamieszany w sprawę zniknięcia bardzo dużej sumy pieniędzy z miejsca przestępstwa. Ekipa wpadła do jednego z dużych dilerów narkotyków, nakryto kasę, towar i paru mocnych gości. Po jakimś czasie okazało się, że goście poszli siedzieć, towar powędrował do magazynu, pieniądze natomiast zniknęły. Ogromne pieniądze. Szefem ekipy robiącej nalot był Stefan Bondaruk, policjant z dwudziestoletnim stażem.

- Zrobił się smród, pamiętasz? Szef za cholerę nie chciał wpuścić chłopców z wydziału wewnętrznego, więc utworzył nieoficjalnie wewnętrzną grupę śledczą, która miała wywęszyć, co się naprawdę stało. To było tylko dwoje policjantów, z drugiego szeregu. Zgadnij, kto był w tej grupie.

- Zuzanna Cehak.

- Powinieneś grać w totolotka. A teraz pytanie numer dwa. Jakim wynikiem skończyło się śledztwo?

- Masz minę jak kotek w składzie śmietany.

- Dobrze myślisz. Śledztwo wykazało jednoznacznie, że Bondaruk i jego ludzie są czyści jak łąza. Zuzanna i ten drugi policjant dostali pochwały i po pięćset złotych premii, Bondaruka odwieszono i do dziś ściga się z Glińskim o miano największej gwiazdy stołecznej policji.

- Łapówka?

- Całkiem możliwe. Słuchaj dalej. Pół roku później ktoś zaciukał znanego hakera, niejakiego Szmaję.

- Słyszałem.

225

- Masz dobry słuch. Śledztwo prowadziła nasza urocza blondynecz-ka. Szybko wyjaśniło się, że Szmaję zabili panowie, którym Szmaja obrabował konto. Po prostu zrobił standardowy hakerski włam, tylko ukradł niewłaściwe pieniądze niewłaściwym ludziom. Zuzanna wykryła sprawców zabójstwa i o ile wiem, nawet dostali wyroki.

-1 co w tym ciekawego?

- Ano to, że Szmaja nie działał sam, miał współnika, niejakiego Carriego. Zuzanna odkryła to bardzo szybko, ale chłoptaş do więzienia nie poszedł. Były tylko pewne podejrzenia wobec niego, jednak prokurator nie zdecydował się wnieść oskarżenia. Nie miał dowodów, Zuzanna wniosowała o umorzenie śledztwa.

- Ciekawe - Jakub próbował dopasować to, czego się dowiedział, do wiedzy, którą posiadał wcześniej. A także umieścić w tym kontekście Zuzannę jako kochankę swojej żony. Nic z tego nie wynikało. - Skąd to wiesz?

- Bo Smotrycz, zanim zniknął, zdążył mi wysłać e-maila z paroma ciekawymi załącznikami. Znalazł te rzeczy w jakichś naszych archiwach, nawet nie wiedziałem, że są takie. Ale to, rozumiesz, nie wszystko. Smotrycz to naprawdę bystry gość i chyba najlepszy haker, jaki żyje. O ile żyje. Aż szkoda go dla policji.

Tyszkiewicz mimo ponurego nastroju parsknął śmiechem.

- Widzisz, już trochę bardziej wyglądasz jak człowiek. Otóż Smotrycz włamała się też do bazy danych ministerstwa spraw wewnętrznych.

- Po co?

- Bo część danych na temat Zuzanny, uważasz, została utajniona, a tropy dotyczące powodów utajnienia wiodły do MSWiA.

Jakub gwizdnął. Robiło się naprawdę interesująco. Na razie postanowił zostawić swoje prywatne sprawy na boku.

- Okazało się, że nasza panienka w wieku lat osiemnastu zgłosiła się do policji, poszła do szkoły podoficerskiej, skończyła ją, odsłużyła dwa lata w jednostce, a potem zgłosiła się do oddziału AT.

- Fiu, fiu. Chyba jej nie przyjęli?

- Nie chcieli, ale musieli. Była najlepsza. Na egzaminach zakasowała wszystkich bez wyjątku, facetów i kobitki. Wyszło im na testach, że jest trochę nie tegeś, ale odwoływała się dwa razy i w końcu ją przyjęli.

Jakub kręcił głową z niedowierzaniem. Wyglądało na to, że życie Zuzanny kryje w sobie więcej tajemnic niż jego własne.

226

- Była świetnie zapowiadającym się specjalistą. Od początku jasno postawiła sprawę: interesuje ją tylko służba w pierwszej linii. I została operatorem-kobietą, pierwszą w historii. Po roku wyleciała.

- Jakoś mnie to nie dziwi. Za co?

- Nie zgadniesz. Postrzeliła swojego przełożonego.

- Spudłowała?

- Nie. Chciała ranić.

- Nieźle sobie dziewczuszka radzi. Nawet nieźle niż ja czy ty.

- No. Dużo bardziej nieźle. Okazało się, że ten jej szef to wyjątkowa gnida, a jeszcze dostał za zadanie zniechęcić ją do AT w szczególności, a do policji w ogóle.

Wiesz, jak to jest, jak szef chce być przykry, to będzie i gówno mu zrobisz. Panna zacisnęła zęby i wytrzymała. Nadal była najlepsza. Po jakimś czasie miała przeciwko sobie nie tylko własnego szefa, ale i paru innych. W końcu sytuacja stała się taka, że dziewczyna nigdzie, nawet do kibla, nie ruszała się bez broni. W końcu dopadli ją, gdzieś na uboczu. Może chcieli tylko postraszyć, nie wiadomo. Postrzeliła jednego, złamała szczękę drugiemu. Sama też nieźle oberwała. Do akcji wszedł prokurator. Śledztwo wykazało niezły syf, jej szef wyleciał. No, ale i ona nie miała czego szukać w jednostce. Na zasadzie kompromisu przeniesiono ją do kryminalnego.

- Kurwa, nie wiedziałem, że mamy siostrę bliźniaczkę.

- Nie chcę takiej siostry. Dalej jest jeszcze ciekawiej. Piętnaście miesięcy temu zniknęła.

- Wiem. Była na trzymiesięcznym bezpłatnym urlopie.

- Tylko że nikt nie wie, dlaczego go wzięła i gdzie w tym czasie była. Formalnie wszystko jest w porządku. W uzasadnieniu napisała, że ma zszargane nerwy i musi odpocząć.

Jak wszyscy. Jakub zastanowił się.

- Sprawy z Bondarukienl i tym hakerem były po urlopie?

- Owszem. Wróciła jak nowa, wesoła i uśmiechnięta, no i potem miała te dwie historie. Co ciekawe, nie wygląda na to, że ktoś to próbował połączyć. Nikt nie widział związku.

- Coraz ciekawiej. Wiedziałem, że ma porypany życiorys, Helena mi coś mruknęła wczoraj w nocy na ten temat, ale bez szczegółów. Zresztą nie byłem w nastroju do słuchania. Coś o tym dziecku wiadomo?

227

- Nic. To też jest ciekawe. Nikt nic nie wie. Jeżeli rzeczywiście Lena je widziała, jest jedyną obcą osobą, która dostąpiła tego zaszczytu.

- Kurwa, przecież ona jest lesbą.

- No, to akurat nie jest przeszkodą, żeby posiadać dziecko, nie uważasz? Jest jeszcze coś. Smotrycz odkrył, że w okolicach, kiedy to dziecko mogło być poczęte, mniej więcej trzynaście lat temu, panna Zuzanna była umoczona w jakąś sprawę karną. Nie wiadomo,

o co chodzi, dane są również utajnione, tb dla Smotrycza pewnie nie stanowiłyby przeszkody, tylko że nie zdążył się niczego dogrzebać. Napisał mi jedynie, że coś znalazł z Zuzanną w roli głównej, sprawa jest stara i śmierdzi.

Jakub machinalnie sięgnął po butelkę i dolał sobie kolejny kieliszek. Pomyślał, że stanowczo za dużo pije i z tą konstatacją przechylił szklaneczkę do samego dna.

- Kurna, sprawa rzeczywiście śmierdzi, panna ma bogaty życiorys

1 przypadkiem jest, albo była, dupeńką mojej żony. Moja żona została porwana. Pytanie: co ma z tym wspólnego Zuzanna?

- Formalnie nic. Miłość to jedno, a porwanie drugie.

- Sam w to nie wierzysz.

- Nie bardzo. I jest jeszcze coś, co być może wiąże się ze sprawą tych pieniędzy Bondaruka. Tolak mi powiedział dziś rano, że Winiarska...

- Żona Wicherka.

- ...ta sama, więc ta Winiarska widziała Zuzannę parę tygodni temu w pewnym ekskluzywnym klubie nocnym, gdzie sobie można dobrać partnera na miarę, według specjalnego obstalunku, z gwarancją na dwa lata albo na całe życie. Więc Zuzanna w tym klubie była na polowaniu i wyszła z jedną długonogą dziewczuszczką.

- Zerwała z Heleną, organizm domagał się swych słusznych praw.

- Pewnie. Tyle, że jest jedno ale. Roczny karnet do tego klubu kosztuje dwanaście tysięcy euro i trzeba mieć dwie osoby wprowadzające z tak zwanych kręgów.

Kręgi Jakub pomiął. Kasa? Nawet nie musiał jej dzielić przez policyjną pensję.

- Pięknie. Więc jednak wzięła łapówkę.

- No, raczej nie ma innego wytłumaczenia.

Zamilkli obaj. Wiatr naciskał na okna, w całym domu aż huczało od rozmaitych dźwięków. W tę względną ciszę wdarł się dzwonek

228

komórki Krzeptowskiego. Sięgnął po leżący na stole aparat, zobaczył, kto dzwoni, i czym prędzej nacisnął przycisk z zieloną słuchawką.

-Już jesteście? Świetnie. Schodzę.

Odłożył komórkę.

- Przyjechali?
- Przyjechali. Zejdę im otworzyć. Nie mają pilota do garażu. O Zuzannie na razie ani mru mru.

36.

Zastanawiała się, kiedy zaatakować. Zastanawiała się, czy zgromadziła już wszystkie siły, jakie miała do dyspozycji. Zastanawiała się, czy dość tego nudnego preludium. Miała i wiatr, i mróz, i śnieg. Mróz wzmagał się i tak miało pozostać przez co najmniej dobę. Śnieg padał coraz większymi płatkami i jego możliwości wcale nie wyglądały na wyczerpane.

A wiatr? O tak, wiatr miał jeszcze spore rezerwy. Niech powieje mocniej, niech da z siebie trochę więcej, niech zaszumi, jak należy.

Zaatakujcie niebawem. Jak będzie naprawdę gotowa.

ROZDZIAŁ IV

25 grudnia 2011 roku

1.

Było ich trzech. Wychynęli zza zakrętu i z początku wcale nie wyglądali groźnie. Ot, łebki, jakich pełno, w wieku tuż pomaturalnym, może nawet studenci. Żadnych dresów, żadnych sznytów, żadnych dziargów pod oczami.

Idący obok młody mężczyzna nieco mocniej ścisnął jej dłoń. Znała go na tyle krótko, że nie wiedziała dokładnie, co oznaczają wszystkie jego gesty - ale na tyle długo, by mieć nadzieję, że pojawi się to coś, odmiennego, zwiewnego i kolorowego, co może będzie piękne - więc nie wyczuła jego intencji. Na zaczepne spojrzenie pierwszego z łebków odpowiedziała wrogim łypnięciem. Nie znosiła takich typków, mierzili ją, rzygać jej się chciało na sam widok.

- Ty, skąd taki frajer ma taką dupę? - usłyszała.

- Ja ją znam. To ta nedoruchana Zuzia z drugiej B, królowa niedotykańska.

Szarpnęła się, mężczyzna ścisnął dłoń jeszcze mocniej. Ale tamtym już wystarczyło.

231

Cios w twarz powalił jej partnera na ziemię. Zanim zdążyła zareagować, upadła, podcięta kopniakiem. Słyszała obok głuche uderzenia i jęki. Kopnięcie w brzuch odebrało dech. Jak przez mgłę zarejestrowała, że towarzysz przestał jęczeć, uderzenia trwały jeszcze przez chwilę; potem ktoś włókł ją po ziemi. Ile to trwało? Nie wie. Zdarli z niej bluzkę, kopnęła na oślep, noga trafiła w coś miękkiego i wywołała głośne przekleństwa. Dostała w twarz, nie zdążyła się zasłonić, nadal widziała jak przez mgłę, może z winy łez. Poczowała, że ściągają z niej spodnie, a potem rozszarpują bieliznę. Broniła się, jak umiała, kopała i gryzła, tamci oddawali z nawiązką, gdy zdawało się, że w pobliżu znalazła się twarz jednego z nich, wbiła się w nią paznokciami i pociągnęła palcami w dół. Usłyszała wrzask, ktoś znowu uderzył ją w twarz, a zaraz potem między nogami poczuła ból, straszny, rytmiczny, idący wzdłuż brzucha aż po gardło. Facet na niej rzeził i krzyczał na przemian, słów nie rozumiała, pozostali śmiali się okropnie.

Pchnięcia ustały, kopniakiem przewrócili ją na brzuch i znowu weszło w nią zło, które powodowało ból, jakby przypiekanie rozgrzanym żelazem. Ktoś złapał ją za włosy, podniósł twarz do góry, do ust wcisnął coś wielkiego, drgającego i ohydneho.

Poczuła kleisty smak, walczyła o oddech, próbowała zacisnąć zęby na tym obmierzłym czymś, ale nie miała siły. Myślała, że się udusi, dubeltowe pchnięcia zdawały się trwać w nieskończoność, już nie wiedziała, czy czuje cokolwiek poza obrzydzeniem i rozpaczą.

Popadła w zbawienne osłupienie, przestała gryźć i drapać, po prostu czekała na rozwój wypadków. Nieoczekiwanie ból między nogami ustał, poczuła za to w dole brzucha życie, jakąś nową istotę, która powiększała się w niezwykle sposób, prawie wypełniała cały brzuch, rozdeła go i rosła, rosła, rosła. Krzyknęła rozpaczliwie; istota zaczęła wychodzić na zewnątrz. Spojrzała przerażona w dół, między nogi, tam gdzie zaraz się ukáže...

...i obudziła się w jednej chwili, od razu przytomna i przerażona. Nie mogła złapać tchu. Serce łopotało w piersi niczym oszalały ze strachu ptak, skórę pokryła gęsia skórka, w ustach jeszcze czuła obrzydliwy, metaliczny smak. Gardło miała tak wyschnięte, jakby za sekundę miało się zająć żywym ogniem.

Usiadła. Zaczęła oddychać. Próbowała wrócić do świata żywych.

232

w

m

Siedziała długo. Kołdra opadła jej z ramion. W pokoju było dość chłodno, ale temperatura była ostatnią rzeczą, na którą chciała zwracać uwagę. Tylko: strach, przerażenie i daleka, już dawno wypalona nienawiść.

W końcu opuściła nogi na podłogę. Parkiet pokryty był grubą wykładziną dywanową, ale i tak poczuła ciągnący od dołu chłód. Poszła do kuchni, wypila łączywie pół butelki wody. W łazience weszła pod prysznic. Woda była ledwie letnia, ale nadal nie zwracała na to uwagi. Po prostu chłoneła dobrodziejstwa płynące z chłodnej, ostrej strugi, która masowała i przynosiła namiastkę ukojenia. Dziesięć minut później umyła zęby, przez chwilę zbierała się na odwagę, po czym wróciła do pokoju. Czym prędzej pozapalała wszystkie światła.

Już od bardzo dawna nie miała tego snu.

Przypomniała sobie o dziecku i ponownie poczuła ucisk w gardle. Inny, bardziej zatykający niż po przebudzeniu. Wzburzenie pomieszane było z czułością i tak ogromnym żalem, że znowu zaczęło brakować jej tchu. Minęło kilka długich minut, nim się uspokoiła.

Spojrzała na zegarek. Piętnaście po drugiej. Było jeszcze wcześniej, zbyt wcześniej na zaplanowane działania, ale nie chciała się kłaść i próbować zasnąć. Była pewna, że wysiłki spełzną na niczym; nie chciała leżeć w ciemności i walczyć z myślami.

Zaczęła niespiesznie się ubierać. Krótki rzut oka za okno potwierdził obawy: zima kontynuowała atak, nawet nasiliła go. Wiatr dął z większą mocą - wzmógł się gwizd w szparach okiennych, a szyby trzeszczały od naporu powietrza - i padał gęsty śnieg. Wyglądało na to, że jest naprawdę bardzo zimno. Na ulicach: kompletny, absolutny bezruch, część latarni wyłączona, w mieszkaniach, jak okiem sięgnąć, ciemność i martwy spokój. Samochody stojące na chodnikach ukryte pod grubymi czapami świeżo nawianego śniegu.

Broń, zapasową amunicję oraz resztę sprzętu zapakowała do dużej brezentowej torby

ze sztywnym dnem. W myślach przebiegła czynności, które jeszcze musiała wykonać. Przypomniała sobie wszystkie detale i zastanowiła się, czy o niczym nie zapomniała. Wzruszyła ramionami - czynnik niewiadomej był tak duży, że i tak nie sposób wszystkiego zaplanować i przewidzieć. Choćby pogody. Może się pogorszyć tak gwałtownie, że uniemożliwi jakiegokolwiek poruszanie się. Zuzanna wyobrażała sobie - z trudem, co prawda - przebywanie

233

na otwartej przestrzeni przy temperaturze minus sześćdziesięciu stopni, ale po pierwsze czysto teoretycznie, nigdy bowiem nie doświadczyła choćby zbliżonych temperatur, zwykle zimno jej było przy minus dwudziestu, a po drugie, kto zagwarantuje, że ten martwy geniusz od pogody się nie pomylił i nie będzie jeszcze gorzej?

No właśnie.

Czy miała szanse? Pewnie nie. Zacznie grę przeciwko ludziom znacznie bardziej potężnym od niej, zasobniejszym w środki i możliwości. Ale miała w pamięci opowieść swojego dawnego instruktora walki wręcz. To było jakiś czas po urodzeniu Zosi, kiedy rzuciła się jak szalona w wir przygotowań do zemsty nad światem. Tych kilka zdań towarzyszyło jej od wielu lat, jak memento.

Jeśli jesteś kobietą, wyobraź sobie teraz, że idziesz ulicą, trzymając za rękę małe dziecko, z którym czujesz się emocjonalnie związana. Może to być dziecko twoje, twoich krewnych, znajomych, twoja mała siostra albo brat, czy jakiegokolwiek dziecko, które kochasz albo choćby bardzo lubisz. Powiedzmy, że jest słoneczne niedzielne popołudnie i wybraliście się na lody.

Wyobraź sobie, że widzisz, jak z naprzeciwka, z oddali, zaczyna zbliżać się do was podejrzenie wyglądający mężczyzna. Bynajmniej się nie uśmiecha. Kiedy się mijacie, mężczyzna wpatruje się intensywnie w dziecko, które trzymasz za rękę i kiedy znajduje się już kilka metrów za tobą, słyszysz, jak się zatrzymuje, odwraca, podbiega w waszym kierunku, wyszarpuje ci dziecko i zaczyna z nim uciekać.

Co wtedy zrobisz? Większość kobiet w takiej sytuacji jest gotowa walczyć do śmierci swojej albo napastnika. Kiedy masz tego rodzaju motywację, możesz biec za porywaczem o wiele szybciej i dłużej, niż byś się mogła tego kiedykolwiek spodziewać. Możesz bić o wiele mocniej i drzeć się o wiele głośniej. Stajesz się naprawdę groźna.

Nie zwracasz uwagi na ból, nie interesuje cię niebezpieczeństwo, na jakie się narażasz, i właściwie nie ma końca wściekłości twoich ataków. Tak naprawdę jest bardzo niewielu mężczyzn, którzy w takiej sytuacji byliby w stanie cię zatrzymać. Nigdy nie przypuszczała, że te przemawiające do wyobraźni słowa, wypowiedziane dawno temu, będą aż tak pasowały do obecnej sytuacji. Do wczorajszej traumy. I do katharsis, które ją czeka.

Musiała przestać o tym myśleć.

234

Stała pośrodku pokoju i zaczęła ćwiczyć kata. Tym razem zaaplikowała sobie czterdziestominutową sekwencję obejmującą długie serie kopnięć, ciosów i uników. Wyłączyła myśli, skupiła się tylko na ruchu i oddychaniu. Darowała sobie okrzyki, nie chciała postawić na nogi całego bloku, ale wydychała powietrze z głośnym

świstem, całą energię wkładając w precyzję i siłę ruchu.

Na koniec wykonała dziesięciominutowy blok ćwiczeń rozciągających i oddechowych.

Gdy skończyła, oddychała ciężko, a serce waliło jak młotem. Ale poczuła się oczyszczona.

Była gotowa.

2.

Helena nie mogła zasnąć. Przekręcała się z boku na bok, próbowała nie myśleć o wydarzeniach ostatnich kilkunastu godzin, ale zbyt wiele obrazów przebiegało przez głowę, by mogła się uspokoić. Panowała tak idealna cisza, że głośniejsze zdawało się nawet brzmienie nocy w Wiejskim Domku.

Tym wyraźniej, prawem kontrastu, zabrzmiał dźwięk. Pojedynczy, niezbyt daleki, przytłumiony. Być może taki głos kiedyś słyszała; nie postawiłaby na to pieniędzy, wyobraźnia podsuwała wiele rozwiązań naraz, jednak coś jej mówiło, że gdy tylko się skupi, wyteży pamięć...

Dźwięk powtórzył się.

Helena usiadła. Żadnych wątpliwości. Za ścianą płakało dziecko.

3.

Jakub spał jak zabity. Gdy się kładł, po skromnej kolacji, którą Jadwiga uparła się nazwać wigilijną - zresztą szybko się okazało, że wszyscy są wdzięczni, gdy po półgodzinie od przyjazdu Jadwigi i Tolaka na stole pojawił się biały obrus, elegancka zastawa i kilka kupionych co prawda w sklepie, ale dobrej jakości i świetnie dobranych, tradycyjnych potraw - był lekko pijany, zmartwiony i przekonany, że nie zmruży oka. Ale ledwie przyłożył głowę do poduszki i zdążył

235

pomyśleć, że Krzeptowski musi być dziś najszczęśliwszym człowiekiem na świecie - Jadwiga po kolacji znacząco na niego spojrzała, mruknęła coś o klęsce żywiołowej i potrzebie bliskości, poszła do łazienki, by po chwili pomaszerować prosto do pokoju, który zajmował przy-jaciel-góral-komisarz - usnął jak dziecko.

Nie śniło mu się nic.

4.

Zuzanna kończyła się ubierać. Wprost na nocną koszulę wciągnęła gruby wełniany sweter, potem kamizelkę kuloodporną, kamizelkę taktyczną, a na końcu polarową, o dwa numery za dużą bluzę z kapturem. Założyła puchową kurtkę, do kieszeni wepchnęła czapkę, gogle, neoprenową maskę śnieżną, grube rękawice oraz drugą parę cieńszych, bawełnianych.

Jak zwykle poczuła się ciężka i niezgrabna. Zwłaszcza kamizelka ograniczała możliwości manewru, była jednak konieczną do zapłacenia ceną za iluzję bezpieczeństwa.

Plecak ze skrupulatnie dobranymi zapasami żywności i napojów, a także kilkoma innymi istotnymi drobiazgami był ciężki i dodatkowo krępował ruchy. Z wysiłkiem podniosła torbę ze sprzętem i wychodząc, przelotnie spojrzała w lustro. Bładość skóry nie zniknęła, przeciwnie, Zuzanna miała wrażenie, że nawet się pogłębiła. Ale

w oczach zobaczyła coś, co od biedy mogła uznać za rokujące nadzieję na przyszłość. Zdecydowanie. Upór. Determinację. Lustro pokazywało białą odzianą postać, która zdawała się być przygotowana, by stawić czoło przeciwnościom losu.

Wyszła, zamknęła drzwi na klucz i zjechała windą do garażu.

Odnalazła kupiony niedawno samochód, czteroletnią toyotę land cruiser z największym silnikiem diesla, jaki był dostępny na rynku. Do bagażnika, w którym znajdowały się już zakupione wczoraj narty śladowe, kije i buty narciarskie, wrzuciła torbę i plecak. Zimowe paliwo uzupełniła o preparat, który dodatkowo zwiększał odporność ropy na niskie temperatury, a potem o butelkę denaturatu - ten z kolei miał zapobiegać zawilgoceniu przewodów paliwowych. Dziesięć minut zajęło jej założenie łańcuchów na koła.

236

Wsiadła, zapaliła silnik, przez kilka minut pozwoliła mu pracować na wolnych obrotach. Samochód niedawno przeszedł przegląd i wszystko funkcjonowało jak należy. W GPS-ie zaprogramowała adres Walkiewicza. Ta sama strona Wisły, Goćław, nowe bloki. Sześć kilometrów.

Podjechała pod wyjazd z budynku. Gdy nacisnęła guzik pilota, przez dłuższą chwilę nie było żadnego efektu. Siłownik mocował się z oporem stawianym przez zamrożone podzespoły, ale w końcu elektryczna moc przeważyła. Brama z hukiem i zgrzytaniem zaczęła się otwierać. Do środka wtargnął skłębiony tuman śniegu, błyskawicznie układając się na gładkim betonie podłogi w okazałej wielkości jezior. Zuzanna wrzuciła pierwszy bieg i ruszyła. Samochód wjechał w śnieg, po czym zaczął wspinać się podjazdem ku górze.

Choć spociła się z emocji, bez specjalnych problemów osiągnęła poziom ulicy. Skreśliła, zatrzymała auto i rozejrzała się. Nie zdawała sobie sprawy, że jest aż tak źle. Ciemność, rozświetlana tylko przez nieliczne palące się latarnie, które zresztą sprawiały raczej wrażenie robaczek świętojańskich, i to u kresu życia, napierała na szyby z nie mniejszą intensywnością niż wiatr. Pędzony orkanem śnieg tańczył w świetle reflektorów, oblepiał szyby i karoserię, pogrubiał koła, wciskał się dosłownie wszędzie, niczym pustynny piach podczas chamsinu. Krajobraz pozostający w zasięgu wzroku przypominał sen oszalałego surrealisty: ciemność, błyskające w świetle reflektorów smugi śniegu, zasy uformowane w najdziwsze, podłużne, spiczaste, owalne, wysokie lub niskie formy. Niemal nie sposób było domyślić się, gdzie znajduje się jezdnia.

Zresztą - czy miała wybór? Czy nawet gdyby warunki były po stokroć gorsze, mogłaby po prostu zrezygnować?

Nie wyobrażała sobie.

Poczuła, że wewnątrz samochodu pomału rozgrzewa się, choć termometr wskazywał, że na zewnątrz jest trzydzieści dwa stopnie poniżej zera. To nie tak źle. Jeszcze da się działać. Jeszcze wszystko funkcjonuje w miarę normalnie.

Ruszyła. Napędzany wszystkimi czterema kołami samochód z trudem pokonał pierwszy opór śniegu, ale potem już poszło. Land cruiser jest prawdziwą, mocną terenówką, wysoko zawieszonym wędrowcem skonstruowanym specjalnie po to, by móc stawić czoła różnym

237

mm

przeciwnościom losu. Jego konstruktorzy nie projektowali go z myślą o pokonywaniu grenlandzkich trudności, jednak mimo wszystko był to najlepszy z możliwych wyborów.

Zuzanna, znając Warszawę jak własną kieszeń, pomyślała początkowo, że GPS nie będzie jej potrzebny, jednak już po pierwszych kilku metrach okazał się niezwykle użyteczny z całkowicie prozaicznego powodu: wyznaczał tor jazdy, asfalt jezdni zniknął bowiem całkowicie. Trzymanie się drogi było zresztą chwilami nieco umowne: Zuzanna musiała kluczyć, omijając zasy, z którymi nawet mocny silnik land cruisera by sobie nie poradził.

Jechała slalomem, skupiona, trzymając mocno kierownicę i starając się w równej proporcji dzielić uwagę pomiędzy to, co widziała przed przednią szybą, a zerkaniami na ekran GPS-a. Pomyślała, przelotnie, że działanie nawigacji satelitarnej też może się niebawem skończyć - nie wiedziała, jaka jest odporność tego typu systemów na warunki atmosferyczne, ale podejrzewała, że ograniczona - i wtedy będzie zdana już tylko na swoje zmysły.

Brała także pod uwagę, że w pewnym momencie samochód odmówi posłuszeństwa - mróz był na razie o połowę mniejszy od prognozowanego przez Wicherka. Była na to przygotowana. Po prostu: zrobi wszystko, by odzyskać Zosię i to stwierdzenie wyczerpywało temat ewentualnych przeszkód.

Wyjechała na Grochowską i zaczęła posuwać się na wschód. Używała wyłącznie pierwszego i drugiego biegu, szybkość nawet w najbardziej optymalnych warunkach nie przekraczała trzydziestki, samochód kołysał się i szarpał, ale pokonywał dystans w niezłym tempie. Ostrożnie przejechała rondo Marsa, po czym skręciła w Ostrobramską. Minęła wielkie centrum handlowe i na migających żółtych światłach skręciła w lewo. Wjechała na Gocław, ogromne i stale rozbudowujące się osiedle, prawobrzeżny odpowiednik Ursynowa.

Wiatr nieco osłabł. Śnieg nadal padał gęstymi płatkami, ale jego trajektoria zdecydowanie spionizowała się. Temperatura osiągnęła trzydzieści pięć stopni poniżej zera.

GPS miękkim, damskim głosem podpowiadał trasę. Zuzanna przejechała dwieście metrów, skręciła w prawo, po czym zagłębiła się w płataninę osiedlowych uliczek. Bloki były ciemne, tylko w dwóch czy trzech oknach mrok rozjaśniało palące się światło.

238

im

W końcu zatrzymała się pod nowoczesnym czteropiętrowym budynkiem o ładnej elewacji i dużych oknach. GPS pokazywał, że dojechała na miejsce.

Zaparkowała na jakimś stosunkowo płaskim kawałku terenu, który mógł być poboczem lub chodnikiem. Tył samochodu wystawał na jezdnię, ale biorąc pod uwagę, że parkujące obok auta były przysypane niemal metrową warstwą zmrożonego śniegu, pogoda zniechęcała do jakichkolwiek prób wyściubienia nosa poza własny próg, a na dodatek była szósta nad ranem, Zuzanna stwierdziła, że fakt niewłaściwego zaparkowania samochodu nie ma żadnego znaczenia. Zgasiła światła,

ale nie wyłączała silnika.

Zastanawiała się, jak to rozegra. Plan w zasadzie miała gotowy, zanim wyruszyła, nawet w kilku wariantach, ale teraz, gdy była u celu, żaden nie wydał jej się wystarczająco dobry. Wiedziała, że ma tylko jedną szansę. Gdy spłoszy Walkiewicza, niechcący uczyni go niezdolnym do mówienia albo po prostu adres, który ABW określiła jako potencjalne miejsce pobytu Walkiewicza, okaże się fałszywy czy z jakichś innym powodów nieaktualny, nie pozostanie jej nic.

Nie miała żadnego innego tropu, no, może poza pewnym adresem w Śródmieściu, pod którym zarejestrowany był komputer, którego IP znalazł Carrie. Nie spodziewała się tam znaleźć niczego istotnego. Domyślała się, że ludzie, którzy zabili niewinną kobietę i porwali małe dziecko, należą do ekstraklasy w swoim fachu, a ich zleceniodawcy z pewnością są ludźmi zapobiegliwymi i ostrożnymi. Dokładają wszelkich starań, by nie pozostawić żadnego tropu, który potencjalni myśliwi mogliby podjąć.

Sięgnęła na tylne siedzenie, wyciągnęła z torby pistolet, tłumik i kilka innych przedmiotów. Spojrzała melancholijnie na leżące z tyłu narty i wielką szufłę do odgarniania śniegu. Westchnęła, zgasiła silnik, otworzyła drzwi, wysiadła i stanęła twarzą w twarz z żywiołem.

Mimo że miała na twarzy maskę przeciwśnieżną i gogle, na głowie naprawdę ciepłą czapkę, a kurtka należała do tych z górnej półki, zimno spowodowało, że niemal się zachłysnęła. Wiatr, ten rzekomo osłabły wiatr, zaatakował i rzucił ją na burtę samochodu. W sekundę oślepla - śnieg zalepił gogle, których szyby na dodatek zaparowały. Po omacku ruszyła przed siebie. Potknęła się i wpadła w śnieg, sięgający grubo

239

W końcu zatrzymała się pod nowoczesnym czteropiętrowym budynkiem o ładnej elewacji i dużych oknach. GPS pokazywał, że dojechała na miejsce.

Zaparkowała na jakimś stosunkowo płaskim kawałku terenu, który mógł być poboczem lub chodnikiem. Tył samochodu wystawał na jezdnię, ale biorąc pod uwagę, że parkujące obok auta były przysypane niemal metrową warstwą zmrożonego śniegu, pogoda zniechęcała do jakichkolwiek prób wyściubienia nosa poza własny próg, a na dodatek była szósta nad ranem, Zuzanna stwierdziła, że fakt niewłaściwego zaparkowania samochodu nie ma żadnego znaczenia. Zgasiła światła, ale nie wyłączała silnika.

Zastanawiała się, jak to rozegra. Plan w zasadzie miała gotowy, zanim wyruszyła, nawet w kilku wariantach, ale teraz, gdy była u celu, żaden nie wydał jej się wystarczająco dobry. Wiedziała, że ma tylko jedną szansę. Gdy spłoszy Walkiewicza, niechcący uczyni go niezdolnym do mówienia albo po prostu adres, który ABW określiła jako potencjalne miejsce pobytu Walkiewicza, okaże się fałszywy czy z jakichś innym powodów nieaktualny, nie pozostanie jej nic.

Nie miała żadnego innego tropu, no, może poza pewnym adresem w Śródmieściu, pod którym zarejestrowany był komputer, którego IP znalazł Carrie. Nie spodziewała się tam znaleźć niczego istotnego. Domyślała się, że ludzie, którzy zabili niewinną kobietę i porwali małe dziecko, należą do ekstraklasy w swoim fachu, a ich zleceniodawcy z pewnością są ludźmi zapobiegliwymi i ostrożnymi. Dokładają

wszelkich starań, by nie pozostawić żadnego tropu, który potencjalni myśliwi mogliby podjąć.

Sięgnęła na tylne siedzenie, wyciągnęła z torby pistolet, tłumik i kilka innych przedmiotów. Spojrzała melancholijnie na leżące z tyłu narty i wielką szufłę do odgarniania śniegu. Westchnęła, zgasiła silnik, otworzyła drzwi, wysiadła i stanęła twarzą w twarz z żywiołem.

Mimo że miała na twarzy maskę przeciwśnieżną i gogle, na głowie naprawdę ciepłą czapkę, a kurtka należała do tych z górnej półki, zimno spowodowało, że niemal się zachłysnęła. Wiatr, ten rzekomo osłabły wiatr, zaatakował i rzucił ją na burzę samochodu. W sekundę oślepla - śnieg zalepił gogle, których szyby na dodatek zaparowały. Po omacku ruszyła przed siebie. Potknęła się i wpadła w śnieg, sięgający grubo

239

J

W końcu zatrzymała się pod nowoczesnym czteropiętrowym budynkiem o ładnej elewacji i dużych oknach. GPS pokazywał, że dojechała na miejsce.

Zaparkowała na jakimś stosunkowo płaskim kawałku terenu, który mógł być poboczem lub chodnikiem. Tył samochodu wystawał na jezdnię, ale biorąc pod uwagę, że parkujące obok auta były przysypane niemal metrową warstwą zmrożonego śniegu, pogoda zniechęcała do jakichkolwiek prób wyściubienia nosa poza własny próg, a na dodatek była szósta nad ranem, Zuzanna stwierdziła, że fakt niewłaściwego zaparkowania samochodu nie ma żadnego znaczenia. Zgasiła światła, ale nie wyłączała silnika.

Zastanawiała się, jak to rozegra. Plan w zasadzie miała gotowy, zanim wyruszyła, nawet w kilku wariantach, ale teraz, gdy była u celu, żaden nie wydał jej się wystarczająco dobry. Wiedziała, że ma tylko jedną szansę. Gdy spłoszy Walkiewicza, niechcący uczyni go niezdolnym do mówienia albo po prostu adres, który ABW określiła jako potencjalne miejsce pobytu Walkiewicza, okaże się fałszywy czy z jakichś innym powodów nieaktualny, nie pozostanie jej nic.

Nie miała żadnego innego tropu, no, może poza pewnym adresem w Śródmieściu, pod którym zarejestrowany był komputer, którego IP znalazł Carrie. Nie spodziewała się tam znaleźć niczego istotnego. Domyślała się, że ludzie, którzy zabili niewinną kobietę i porwali małe dziecko, należą do ekstraklasy w swoim fachu, a ich zleceniodawcy z pewnością są ludźmi zapobiegliwymi i ostrożnymi. Dokładają wszelkich starań, by nie pozostawić żadnego tropu, który potencjalni myśliwi mogliby podjąć.

Sięgnęła na tylne siedzenie, wyciągnęła z torby pistolet, tłumik i kilka innych przedmiotów. Spojrzała melancholijnie na leżące z tyłu narty i wielką szufłę do odgarniania śniegu. Westchnęła, zgasiła silnik, otworzyła drzwi, wysiadła i stanęła twarzą w twarz z żywiołem.

Mimo że miała na twarzy maskę przeciwśnieżną i gogle, na głowie naprawdę ciepłą czapkę, a kurtka należała do tych z górnej półki, zimno spowodowało, że niemal się zachłysnęła. Wiatr, ten rzekomo osłabły wiatr, zaatakował i rzucił ją na burzę samochodu. W sekundę oślepla - śnieg zalepił gogle, których szyby na dodatek zaparowały. Po omacku ruszyła przed siebie. Potknęła się i wpadła w śnieg, sięgający

grubo

ponad kolana. Zdjęła gogle. Rzęsy momentalnie pokryły się lodem, ale przynajmniej coś widziała.

Wydostała się z zasy i ruszyła przed siebie. Sto metrów ciągnęło się w nieskończoność. Z westchnieniem ulgi osiągnęła wejście do klatki schodowej. Zewnętrzne drzwi nie były zamknięte. Weszła do środka. Miała do pokonania następne drzwi zabezpieczone elektrycznym zamkiem otwieranym kluczem bądź kodem, ale była przynajmniej osłonięta od wichru, co w połączeniu z nieco wyższą temperaturą panującą w wiatrołapie pozwalało pracować w mniej więcej normalnych warunkach. Zdjęła prawą rękawicę i wyciągnęła z kieszeni uniwersalny wytrych. Pomimo zeszywniałych palców pokonanie zamka zajęło jej piętnaście sekund. Drzwi otworzyły się z cichym trzaskiem.

Weszła schodami na drugie piętro, starając się zachowywać jak najciszej. Jeszcze na klatce schodowej zdjęła buty, czapkę, kurtkę, bluzę, obie kamizelki, sweter i ocieplaczkowe spodnie. Została w nocnej koszuli założonej na gołe ciało. Z plecaka wyciągnęła rudą perukę i założyła ją. Miała na twarzy makijaż - z niechęcią wykonała go przed wyjściem z domu - i soczewki kontaktowe zmieniające kolor oczu na brązowy. Zdjęła grube, wełniane skarpety, wyciągnęła z plecaka kapcie, założyła na bose stopy, a wszystkie zimowe rzeczy, z wyjątkiem kamizelki, wepchnęła do plecaka.

Nie musiała spoglądać w lustro, by wiedzieć, że wygląda jak młoda dama, w rodzaju tych, które nawet wyciągnięte z łóżka o szóstej rano w pierwszy dzień świąt są gotowe pokazać światu wszystko, co mają najlepszego: nienaganną figurę przebijającą przez cienki materiał koszuli, świeży makijaż, promienny uśmiech i chęć nawiązania nowych, być może podniecających znajomości.

Nadszedł właśnie ten moment.

Po cichu podeszła do drzwi oznaczonych numerem szesnaście. Włożyła do ucha słuchawkę, a mały, prostokątny przedmiocik umocowany na drugim końcu kabla przytknęła do drzwi. Przez chwilę próbowała się skupić i odciąć od wszystkich bodźców zewnętrznych. W pierwszym momencie słyszała tylko bicie własnego serca, po chwili jednak zaczęły do niej dochodzić dźwięki z wnętrza mieszkania. Oddech. Chrapliwy, nieregularny, tak jakby właściciel miał kłopoty z górnymi drogami oddechowymi lub przegrodą nosową. W głębi - tego nie była pewna - słyszała niewyraźny dźwięk, być może drugiego oddechu, szybsze-

240
go i bardziej regularnego. Zwinęła urządzenie i wsadziła do bocznej kieszeni stojącego na ziemi plecaka. Nogą przesunęła go pod ścianę, przyglądziła włosy i nacisnęła dzwonek.

5.

Jakub nie słyszał pukania, choć nie spał od przeszło godziny. Nawet wycie wiatru za oknem nie bardzo do niego docierało. Pokój był zaciemniony - okna szczelnie oblepione grubymi kocami, które wczoraj razem ze Staszkiem przybili do kosztownych, mahoniowych framug - i sprzyjał kontemplacji. Toteż Jakub

intensywnie analizował sytuację, odkąd tylko się obudził. Przetrawiał wszystko, co wydarzyło się wczoraj i co usłyszał od Krzeptowskiego. Myśl, że mógł rozegrać całą sprawę inaczej, na przykład nie obrażać się na Helenę i nie zostawiać jej samej w Wiejskim Domku, odrzucił. Wzbudzała w nim tylko poczucie winy, w tym wypadku uczucie całkowicie nieproduktywne. Starał się skupić na śledztwie. Przypomnieć sobie wszystkie szczegóły, nawet najbardziej błahę i niegodne uwagi. Znaleźć połączenia pomiędzy wydarzeniami, z pozoru zupełnie ze sobą niezwiązanymi. Jadwiga wsadziła głowę przez drzwi. Uśmiechała się, a z jej oczu bił blask.

- Napijesz się kawy?

- Chętnie. Daj mi pięć minut. - Spojrzał na nią w zadumie, ale po chwili też się uśmiechnął. Jej dobry nastrój był zaraźliwy. Efekty dedukcji, o ile jakieś były, wyfrunęły mu z głowy niczym ptaki z klatki.

- To wstawaj. Robimy naradę wojenną.

Jakub posłusznie podniósł się z leżącego na ziemi materaca, założył spodnie od dresu, koszulkę oraz bawełnianą bluzę, po czym pomaszerował do łazienki. Gdy kilka minut później wkroczył do salonu, cała trójka siedziała przy stole i jadła śniadanie. Wszyscy wyglądali na wypoczętych i gotowych do akcji. No, Tolak był wypoczęty i gotów do akcji, Jadwiga z Krzeptowskim sprawiali raczej wrażenie gotowych do akcji mimo wyczerpania; Jakub był pewien, że nie chodzi o zwykłą policyjną robotę. Usiadł, a Jadwiga przysunęła mu kubek z pierwszorzędnie pachnącą kawą.

241

- Dobra - skonstatował upiwszy łyk. Po służbowych paskudztwach każda była dobra.

- Gospodarz nie oszczędza na gadżetach. Ma ciśnieniowy ekspres za pięć tysięcy złotych - odparła, jakby sam ekspres załatwiał kwestię smaku.

- Kupił na wyprzedazy? - Jakub rozejrzał się. Po wczorajszym bałaganie nie zostało śladu. Sprzęt zginął w przepastnych czeluściach szaf w przedpokoju. Miejsce pod ścianą zajmowała tylko broń i amunicja. Pomimo wiszących w oknach koców mieszkanie prezentowało się niezwykle szykownie. - W ogóle wygląda na to, że uratował nam tyłek.

- Mielіśmy farta - skinął głową Krzeptowski i leciutko się uśmiechnął. Wziął ze stołu pilota i podgłośnił dźwięk wiszącego na ścianie pięćdziesięciocalowego telewizora LCD. Po czym dodał: - Z tym wszystkim.

Telewizor został nastawiony na całodobowy kanał informacyjny. Realizator przedzielił ekran na pół. Jeden obrazek ukazywał reportera na de sali sejmowej, drugi składał się głównie ze smug padającego skośnie śniegu.

Głos z offu stosownie dobranym, dramatycznym tonem wyjaśniał, że mamy do czynienia z najgorszą klęską żywiołową od stulecia; że nie działają porty lotnicze i koleje, a także nastąpiły już pierwsze wyłączenia prądu. Wiele regionów kraju zostało odciętych od świata, drogi w dużej mierze są nieprzejezdne, coraz więcej pojazdów służb komunalnych utyka w zaspach. Ogłoszono mobilizację Narodowych Sił Rezerwowych.

Kamerzysta robił, co mógł, by urozmaicić obraz, ale były to próżne wysiłki. Lewa część telewizora pozostawała białą-szara, zmieniał się najwyżej kąt padania śniegu.

Frenetyczny komentarz pluł słowami niczym karabin maszynowy; w końcu realizator zlitował się i głos zabrał reporter zamontowany w sejmie. Jego również rozsadały emocje, choć na pierwszy rzut oka zgoła innego rodzaju. Rwącym się głosem poinformował, że posiedzenie wysokiej izby trwa w dalszym ciągu, choć posłowie zarządzili kilkugodzinną przerwę; nowa konstytucja nie została jeszcze przyjęta. Obrady mają być wznowione w południe i raczej wszystko wskazuje na to, że zgłaszane wczoraj poprawki zostaną wkrótce uchwalone, późnym wieczorem lub jutro rano zaakceptowane przez senat, a następnie podpisane przez pełniącego obowiązki głowy państwa marszałka sejmu.

242

Tyle sprawozdawca sejmowy. Akcja przeniosła się do studia, gdzie kilku wyrwanych z łóżek komentatorów starało się udzielić widzom odpowiedzi na pytanie, co się właściwie dzieje. Dyskusja była jałowa i nie wносиła niczego nowego.

Krzepkowski uznał, że ma dosyć i przyciszył dźwięk.

- Nie ma to jak dobre wieści z samego rana.
- Świetnie pasują do całości.

Milczenie.

- Musimy coś ustalić - powiedział komisarz. Światło zamrugało parę razy, ale po chwili zapłonęło równym blaskiem. Jeżeli którykolwiek z obecnych prezentował przed transmisją dobry humor, ślad po nim zaginął. - Musimy podjąć decyzję, co robimy dalej. Wicherek miał rację. Pogoda jest zła. I pewnie się jeszcze pogorszy. Kończy nam się czas.

- Pogoda jest głównie warta i nasza wiedza jest głównie warta - odezwał się Jakub.
- Mamy trochę rozproszonych śladów i tyle. Wiemy, że Wicherek przewidział taką pogodę, a potem zginął. Na temat porwania, zaginięcia Smotrycza czy samobójstwa naczelnika nie wiemy nic.

- Bez przesady - zaprotestował Krzepkowski. - Mamy portret pamięciowy faceta, który widział się z Wicherkiem i być może groził mu.

- Ten portret też może być głównie wart. „Być może”. „Jeżeli”. „Zależy od”. „Pod warunkiem że”. Tyle właśnie wiemy. - Jakub pił kawę małymi łykami, ale nie czuł już ani intensywnego aromatu, ani wybornego smaku. Miał w głowie myśli koloru zawartości kubka.

- Pesymista.

Jakub machnął ręką.

- Zebraliśmy trochę śladów w twoim domu na wsi - Jadwiga poparła Krzepkowskiego. Spojrzała na Tyszkiewicza ze współczuciem. - Zrobiłam szereg zdjęć sprawcom. Zdjęłam odciski palców. Jeżeli o mnie chodzi, chciałabym pojechać do laboratorium i poszperać w bazach danych. Możliwe, że któryś z nich był notowany. Wtedy będziemy mieli punkt wyjścia.

- Badanie śladów z miejsca porwania może dać jakiś efekt, ale wcale nie musi. Jeżeli goście nie byli notowani, tak naprawdę nie mamy nic. Musimy liczyć, że porywacze się odezwą. A wątpię, by mieli mój nowy numer.

- Spokojnie - Krzepkowski nie dawał się łatwo zbić z tropu. - Podejźmy do sprawy metodycznie. Jak gliniarze. Czy ktoś ci ostatnio groził?

- Ostatnio? Nie.

- A nie ostatnio?
- Owszem, tyle że nie ten kaliber. Paru gościom nadepnałem na odcisk, ale to leszcze. Ci, których zabiliśmy, są z innej bajki.
- Dobra. Widzisz związek między porwaniem a wizytą u premiera?
- Czasowy, owszem. Merytoryczny? Jeżeli przyjmujemy, że każdy mój krok jest śledzony, to zatkanie mi gęby w związku z poleceniem premiera było dla kogoś na tyle ważne, by zorganizować taki numer. Ktoś mi zamontował GPS-a w samochodzie, więc wiedział, gdzie jadę. Widać gołym okiem, że to duża operacja: sześciu gości, samochody, skutery śnieżne, a wszystko dla jednej laski, która nie ma nic wspólnego ze sprawą.
- No, ta laska na spólkę z obślinionym pluszakiem załatwiła na amen dwóch wyglądających na zawodowców cyngli i raniła trzeciego.
- Nie o to chodzi - Jakub machnął ręką. Gdy przypomniał sobie widok, jaki ujrzał tuż po wkroczeniu do Wiejskiego Domku, zrobiło mu się niedobrze. Z głośnym trzaskiem odstawił kubek na blat. - Tu się nic kupy nie trzyma. Nawet zakładając, że jestem nie tylko śledzony, ale i podsłuchiwany, czy może raczej byłem - spojrzał na milczącego jak głaz Tolaka - porywacze nie mogli podjąć decyzji na podstawie podsłuchania mojej rozmowy u premiera, bo cała operacja ewidentnie była zorganizowana wcześniej. Ten motyw odpada. Krzeptowski pomyślał, że wcale niekoniecznie, ale zachował tę refleksję dla siebie.
- Komuś do tego stopnia zależy, aby zabójca Wicherka brykał na wolności, że decyduje się na porwanie. Zresztą rzekome samobójstwo komendanta też może mieć z tym związek.
- Domniemania. W sprawie komendanta nie mamy nic - Jakub wyduł wargi. Nudności przeszły, za to zaczęła go boleć głowa. Tak jak wczoraj, może nawet bardziej. Zastanawiał się, czy się znowu nie napić.
- Jeżeli porywacze będą chcieli się skontaktować, nie musisz się martwić o łączność. W domu na wsi - Tolak odezwał się po raz pierwszy, odkąd Tyszkiewicz wszedł do pokoju - zostawiłem twoją komórkę wraz z drugim urządzeniem, przekierowującym. Masz rację, nie chciałem, żebyś służbową komórkę miał przy sobie, bo można cię dzięki niej zlokalizować i może nawet podsłuchać. Zakładam, że goście, którzy umieszczają GPS w twoim samochodzie i w ogóle wyglądają na dość dobrze zorganizowanych, mają takie możliwości. Więc

jeżeli porywacze będą się chcieli skontaktować, zadzwonią na starą komórkę, ta przez transmiter przekaże sygnał do tego aparatu, który ci wczoraj dałem.

- Ciekawe - mruknął Jakub. Zdecydował, choć nie bez trudności, że na razie daruje sobie alkohol. - Byłeś przygotowany na taką ewentualność?
- Byłem przygotowany na różne ewentualności - odparł Tolak ze spokojem. - Moi szefowie wyposażyli mnie w środki łączności, nieraz dość wyrafinowane, i

nauczyli, jak się nimi posługiwać.

Znowu wszyscy zatopili się we własnych myślach.

- Okej. Nie będziemy siedzieć i czekać - Krzeptowski był zdecydowanym przeciwnikiem bezruchu i ciszy. Spojrzał na Tolaka. - Po pierwsze chciałbym wiedzieć, czy jesteś z nami. Czy pomożesz nam prowadzić śledztwo.

Tolak: niezdecydowany wyraz twarzy. Mina z repertuaru: „No, nie wiem, nie wiem”.

- Moim zadaniem było sprawdzenie, czy ktoś z waszego zespołu nie maczał palców w zamachu z trzeciego grudnia - odezwał się w końcu. - Jesteście czysti. Zadanie zostało zakończone. Jestem odcięty od centrali, pozbawiony łączności i dostępu do danych.

- Oprócz nas interesowała cię Zuzanna?

Tolak wzruszył ramionami.

- Ona, tak jak wy, pasuje do profilu. Dowiedziałem się paru szczegółów od Winiarskiej, zleciłem centrali sprawdzenie jej, uzyskałem kilka ciekawych informacji. Zaraz potem otrzymałem polecenie, że mam się nią nie interesować, bo dostała osobnego opiekuna.

- Ciekawe. Wiesz kogo?

-Nie.

- Nie mówiłeś tego wcześniej.

Ramiona: góra, dół. Jakby z rezygnacją.

- To było tuż przed utratą łączności. Możliwe, że już coś było nie tak. Ale polecenie to polecenie. Przestałem węszyć, a teraz to i tak nieważne.

- No więc jesteś z nami czy nie?

- Nie uśmiecha mi się bieganie za mordercą Wicherka ani za porywaczami żony Jakuba. To nie moja działka i można na dodatek nabić sobie niezłego guza. Ale - podniósł rękę, widząc, że zarówno

245

Tyszkiewicz, jak i Krzeptowski otwierają usta - również nie uśmiecha mi się siedzenie w tym mieszkaniu i czekanie, aż wyłączą prąd, wodę i ogrzewanie. I zdaje się, że w telewizji dają te same filmy co rok temu.

- To znaczy?

- To znaczy, że wam pomogę. Nie wiem, na jak długo, ani nie wiem, jaki będzie rezultat, ale wchodzę do śledztwa.

Jakub spojrział na Krzeptowskiego i Jadwigę. Oboje energicznie skinęli głowami.

- Więc dobra. Podsumujmy, co mamy-Jakub wstał. Kawa pomogła, ból głowy zszedł na drugi plan, zniknęły resztki snu. Zaczął myśleć. Możliwe, że reszta ekipy miała rację. Jałowe narzekanie nie było żadnym rozwiązaniem. - Portret pamięciowy faceta od Wicherka. Martwych porywaczy i ślady z miejsca zdarzenia. No i trop trzeci: Zuzanna.

- Zuzanna nie pasuje - Krzeptowski spojrział na Jakuba znacząco. - Ma tajemniczy życiorys, ale poza tym, że lubi panienki, a każdemu facetowi, który stanie na drodze, przegryza gardło, nie mamy żadnego dowodu, że jest w jakikolwiek sposób zamieszana w sprawę.

Tolak pokręcił głową.

- Zanim urwała mi się łączność, dostałem o niej wstępny raport. Tam parę rzeczy ostro śmierdzi.

- Och, łapówki to nie nasza działka. Niech się CBA nią zajmie albo wewnętrzni - Krzeptowski prychnął lekceważąco. Jego twarz nie zdradzała emocji. - Zuzanna jest poza śledztwem, moim zdaniem.

- Może tak, a może nie.

- Ale...

- Zostawmy na razie Zuzannę - Jakub podniósł rękę. Pozostali umilkli. - Zrobimy tak: ponieważ oficjalnie przebywacie na urlopach, a Jan w ogóle nie jest gliniarzem, napiszę dla was imienne pełnomocnictwa, pan premier był łaskaw wyposażyć mnie w stosowne druki. Będziecie moimi oficjalnymi pomocnikami w śledztwie dotyczącym zabójstwa Wicherka. Podzielimy się na dwa zespoły. Jadwiga z Janem pojedą do laboratorium i zbadają ślady z mojego domu oraz spróbują się dostać do bazy danych, żeby porównać linie papilarne i DNA, a także zdjęcia sprawców porwania. Nawiasem mówiąc: masz możliwość dostania się do bazy danych twojej firmy?

246

- O ile mi nie zablokowali loginów i haseł, tak. Ale wątpię. Myślę, że jestem out. A o co chodzi? - Tolak mówił cicho i bez przekonania. Był równie ponury jak reszta.

- Ci zabici goście wyglądają na zawodowców. Może twoja firma, ABW albo CBS ma na nich oko i zgromadziła jakieś dane. Mielibyśmy punkt zaczepienia.

- Spróbuję. Ale nie rób sobie nadziei.

- Nie będę. Do bazy danych warto wrzucić też portret pamięciowy faceta, który rzekomo groził Wicherkowi przed śmiercią. Dalej. My ze Staszkiem pojedziemy do mieszkania Wicherka, popytamy sąsiadów, powęszymy. Potem zajrzemy do mieszkania Smotrycza. Też pogadamy z sąsiadami. Być może mamy dwa porwania. No i czekamy na telefon od porywaczy. Może się odezwą. Na wypadek gdyby urwała nam się łączność, umówmy się, że to mieszkanie stanowi punkt kontaktowy.

- Okej. Możemy też porozumiewać się e-mailem, wysyłając zaszyfrowane wiadomości. - Tolak przez chwilę objaśniał im zasady szyfrowania korespondencji przy pomocy kodów publicznych. - Przez telefon nie ujawniamy konkretów.

- Przyjąłem. Poradzisz sobie z prowadzeniem ratraka? - Jakub spojrzał pytająco na Tolaka. Tamten roześmiał się.

- Widziałem w garażu tego czerwonego potwora. Jeżeli pozwolisz, wolałbym volvo. Myślę, że jeszcze na dzisiaj wystarczy, zwłaszcza że w twoim domu znalazłem łańcuchy.

- Okej - Jakubowi było wszystko jedno. - Bierzcie volvo i jazda. W tym momencie ekran telewizora zaśmiał się na szaro. Wiatr złamał antenę satelitarną.

6.

- Witam, panie marszałku.

Terlecki w pierwszej chwili nie zidentyfikował rozmówcy. Czuł piasek pod powiekami. Nocna sesja była niezwykle nerwowa i wymagająca ogromnych umiejętności moderacyjnych. Rozpaczliwie potrzebował snu.

Ale po kilku sekundach dotarło do niego, z kim rozmawia.

- Dzień dobry, panie prezesie.
- Śledzę obrady w telewizji. Widzę, że jest pan na dobrej drodze.
- Tak mi się wydaje - powiedział Terlecki ostrożnie. Nie chciał czegoś zaprzepaścić niezręcznym sformułowaniem. - Wszystko idzie w pożądanym kierunku.
- Ale bardzo powoli - głos rozmówcy nadal był grzeczny i empa-tyczny. - Zalecam przyspieszenie całego procesu.
- Jednak...
- Ponieważ nie wszystkie karty jeszcze trzymamy w ręku, rozumie pan? Musi pan dokonać dzisiaj szybkiego skoku legislacyjnego, zgodnie z naszymi ustaleniami.
- Pamiętam ustalenia - Terlecki nieco się nastroszył. - Jednak opozycja nadal jest silna, torpeduje prace na każdym kroku.
- Czyżby brakowało panu argumentów? - przed uprzejmość w głosie rozmówcy wysforowała się ironia. I może coś jeszcze. Jakby groźba. - Wydawało mi się podczas naszej ostatniej rozmowy, że dobrze rozumie pan znaczenie czynnika czasu. Jestem także przekonany, że wyposażyłem pana we wszystkie potrzebne do realizacji naszej umowy środki. Czyż nie tak?
- Oczywiście - Terlecki spokorniał. Walka z tym człowiekiem nie miała najmniejszego sensu i nikomu nie mogła przynieść żadnego pożytku. - Postaram się zrobić wszystko, co w mojej mocy...
- Dziś - rzucił krótko koordynator. Nie obawiał się podsłuchu. To on był w tym kraju tym, który podsłuchiwał. - Dziś do końca dnia konstytucja ma być uchwalona, zaakceptowana bez poprawek przez senat i podpisana przez pana. Jutro do południa chcę zobaczyć nowego premiera, a do końca dnia nowy rząd.
- Mimo wszystko...
- Do widzenia.

7.

Przez dłuższą chwilę nie działo się nic. Potem wydało jej się, że przez bicie serca słyszy kroki. Ktoś obserwował ją przez wizjer. Zrobiła zakłopotaną minę. - Kto tam? - usłyszała w końcu.

- Dzień dobry. Bardzo przepraszam, że tak wcześnie. Jestem sąsiadką z dołu. Mieszkam pod panem - eksperymentowała z poziomem głosu: powinien dotrzeć do mężczyzny za drzwiami, a sąsiadów nie powyrywać z łóżek. - Chyba u pana jest przeciek. Zalało mi łazienkę...
 - Przeciek? - obcy akcent? Chyba tak, chociaż może to wyobraźnia.
 - Tak, coś cieknie. Jeszcze się tak bardzo nie leje, jeśli teraz sprawdzimy, nie będziemy mieli oboje zepsutych świąt.
- Starła się być samą słodyczą, dziewczynką - kusicielką - idiotką. Jeżeli się nie myliła, faceci lubią takie. W każdym razie niektórzy. Może tacy jak ten. Kiedy myślała, że się nie doczeka, usłyszała zgrzytnięcie zamka. Potem następnego. Zadzźwięczał łańcuch. Po chwili drzwi uchyliły się. Połowa twarzy mężczyzny raczej nie należała do Jefrima Walkiewicza. Ale Zuzanna uznała ją za interesującą. Oko zlustrowało Zuzannę od stóp do głów, bez najmniejszej żenady zatrzymując się

na wiadomych kobiecych atrybutach. Oględziny najwyraźniej wypadły pomyślnie, bo drzwi otworzyły się na całą szerokość. Zuzanna przestąpiła próg. Mężczyzna był od niej wyższy, dobrze zbudowany i miał twarz przeciętą niewielką blizną. Patrzył zimno i wyglądał na zirytowanego. No, ale w końcu była szósta rano, w mieszkaniu panowała temperatura daleka od ideału, a facet figurował tylko w gatkach i podkoszulce. Śmierdział nie gorzej niż całe mieszkanie: starym męskim potem, papierosami i przetrawionym alkoholem.

Mężczyzna cofnął się nieco, ale patrzył na nieoczekiwanego gościa z coraz większą podejrzliwością. Gość miał bowiem prawą rękę wyciągniętą na powitanie, ale lewą schowaną głęboko za plecami.

Zuzanna w ułamku sekundy zorientowała się, że skończył jej się czas. Miętko postąpiła krok do przodu, lewa ręka wyprysnęła zza pleców i przytknęła do brzucha mężczyzny paralizator. Trzask wyładowania był słabo słyszalny, facet kwiknął krótko, przewrócił oczami i zwałił się jak kłoda na ziemię, już znacznie głośniej. Oceniała, że jest nieprzytomny i nie ma potrzeby poprawiać ataku, nogą zamknęła drzwi, podniosła do góry koszulę, wyciągnęła z kabury na plecach pistolet z tłumikiem (niezbyt wygodna czynność, gdy człowiek naprawdę się spieszy) i wbiegła do pokoju po lewej stronie korytarza. Rozgrzebane łóżko, pety, butelki, syf i malaria. Poza tym pusto.

249

r

Właśnie miała się odwrócić, gdy kątem oka zauważyła ruch. Jakiś inny facet, znacznie większy od poprzedniego, podnosił pistolet. Stał może o dwa i pół metra, zbyt daleko, by użyć paralizatora, więc Zuzanna rzuciła się w bok i zaryzykowała strzał z biodra, oceniwszy, że z pewnością nie podniesie broni szybciej niż przeciwnik.

Kula trafiła mężczyznę w zewnętrzną część prawego uda i obróciła

0 ćwiartkę koła. Broń opadła lufą w dół, ale facet nawet nie jęknął. Zaczął się po sekundzie obracać z powrotem i podnosić pistolet. Zuzanna miała tym razem wystarczająco dużo czasu i wolę wzięcia spraw w swoje ręce. Skoczyła do przodu i nim mężczyzna zdołał wycelować, była przy nim, z lewą ręką wyciągniętą do przodu. Paralizator, choć częściowo rozładowany, spisał się bez zarzutu. Brzęczenie, stłumiony charkot zaatakowanego, błysk białek, upadek, podobny do poprzedniego, tyle żeznaczony krwią...

Następnych pięć minut Zuzanna spędziła bardzo pracowicie. Zabrała z korytarza plecak, upewniła się, że na klatce panuje martwa cisza, zamknęła drzwi na oba zamki i łańcuch. Nieprzytomnemu mężczyźnie prowizorycznie przewiązała ranę, postrzał oceniła zresztą jako powierzchowny i niezagrażający życiu. Krwawienie po chwili ustało. Wyciągniętą z plecaka taśmą izolacyjną unieruchomiła obu mężczyzn, wiążąc im ręce na plecach i krępując nogi. Z niemałym trudem usadziła ich na krzesłach - była silna, ale obaj ważyli około stu kilogramów każdy, więc to i tak wyczyn, podnieść bezwładnego bydlaka o wadze kwintala - zakneblowała obu, a następnie zarówno jednego, jak

1 drugiego przymocowała taśmą do oparcia. Przeszła do przedpokoju, zdjęła koszulę, poczuła się zbrukana, stojąc nago w takim syfie, czym prędzej wyciągnęła z

plecaka ubranie i poczuwszy od specjalistycznej, oddychającej bielizny, założyła je. Wróciła do pokoju, po czym zajęła miejsce naprzeciwko obu jeńców, którzy pomału dochodzili do siebie.

Już w czasie walki wydało jej się, że postrzelony mężczyzna jest tym, którego szuka, teraz zyskała pewność. Facet na fotografii było o jakieś sześć-osiem lat młodszy, ale dochodzący do przytomności osobnik siedzący o dwa metry przed nią nazywał się Walkiewicz, bez dwóch zdań. Pomyślała, że ma niebywałe szczęście, wiadomości ABW okazały się prawdziwe, co nie zdarza się często, a interesujący ją obiekt nie spędzał świąt u przyjaciół, rodzeństwa bądź na firmowej kolacyjce u szefa.

250

Jako pierwszy obudził się kumpel Walkiewicza. Otworzył oczy, przez chwilę mrugał, jakby oślepiiony i chyba trochę nieświadomy, co się z nim dzieje. Potem szarpnął się raz i drugi, w końcu dostrzegł Zuzannę. Najwyraźniej przypomniał sobie, co się stało, bo poruszył się chyba już tylko odruchowo, po czym zastygł, wbijając wzrok na przemian w jej twarz i trzymany w rękę pistolet. Zuzanna zignorowała go. Na razie jej nie interesował.

Walkiewicz dochodził do siebie wolniej. Być może działał jeszcze szok wywołany postrzałem - lekki, nielekki, zawsze postrzał - być może gorzej reagował na paralizator. Oprzytomniał dobre trzy minuty po kompanie. Nie szarpał się ani nie toczył wściekłym wzrokiem. Najpewniej od początku prawidłowo ocenił sytuację: on i kolega byli związani niczym świąteczne balerony, a naprzeciw mieli rudowłosą kobietę, która pokonała ich w otwartej walce, a teraz siedziała naprzeciwko z nieprzenikniętym wyrazem twarzy, paskudnym sig sauerem w rękę i wyglądała na osobę niewahającą się przed niczym.

Toteż po prostu czekał na rozwój wypadków.

Wypadki zaczęły rozwijać się bardzo szybko.

- Gdzie jest dziecko? - zapytała Zuzanna cicho, patrząc mężczyźnie prosto w oczy.

Tamten wzruszył ramionami. Możliwe, że nie zrozumiał pytania. Miał cholernego pecha.

Zuzanna wstała, niespiesznie podeszła do jeńca, przytknęła mu koniec rury tłumika do kolana, chwilę szukała najlepszej lokalizacji, po czym nacisnęła spust. Fuknięcie, rozprysk krwi, ryk stłumiony taśmą izolacyjną. Facet odbił się zdrową nogą od podłogi i wyrócił na plecy. Wił się niczym piskorz. Rana krwawiła obficie, ból musiał być nie do zniesienia. Oczy mężczyzny zaszły mgłą, sprawiał wrażenie, że za chwilę się udusi. Ale Zuzanna już wcześniej sprawdziła, że nie ma kataru i może swobodnie oddychać przez nos, więc nie zrywała taśmy.

Stała za plecami Walkiewicza i podniosła go, po czym wróciła na miejsce.

Mężczyzna pomału się uspokajał, choć jeszcze klatka piersiowa podnosiła się i opadała w nienormalnie szybkim, nieregularnym rytmie. Krew sięgała już dołu nogawki.

- Gdzie jest dziecko? - zapytała ponownie, gdy uznała, że jeńiec może się skupić na pytaniu. Znowu patrzyła mu prosto w oczy i starała się mówić wyraźnie.

251

Tym razem reakcja była inna, Zuzanna zresztą zdziwiłaby się, gdyby nie była.

Tamten pokiwał głową, dając do zrozumienia, że ma coś ważnego do przekazania. Zuzanna westchnęła cicho, wstała i znowu podeszła do mężczyzny. Walkiewicz jakby chciał się cofnąć, ale ona delikatnym gestem dotknęła zakrytych taśmą ust.

- Jeśli będziesz wrzeszczał, strzelę w drugie kolano. Jeśli będziesz zaprzeczał, strzelę w drugie kolano. Jeśli będziesz kręcił, strzelę w drugie kolano. A potem zabiorę się za twoje jaja.

Mówiła cicho i wolno, ale tym razem komunikat dotarł, bo tamten pokiwał głową jeszcze bardziej energicznie. Jednym ruchem zerwała taśmę.

Walkiewicz charknął i splunął na bok, po czym spojrzał szybko na Zuzannę, jakby bojąc się, czy nie zinterpretowała splunięcia opacznie.

- Nie strzelaj - powiedział ochrypłym, łamiącym się głosem ze wschodnim akcentem. - Nie wiem, gdzie jest dziecko. Nie strzelaj. Byłem przy porwaniu, ale potem przyjechałem tutaj. To oni ją zabrali.

Zuzanna pokręciła głową i przytknęła lufę do zdrowego kolana. Stara zasada: jeżeli grozisz, zawsze bądź gotowy do realizacji groźby. Język spustowy zaczął wędrować w stronę nasady rękojeści.

- Nie strzelaj! - każdy twardeł w takiej sytuacji zaczyna skamleć. I mówić coraz szybciej, coraz natarczywiej, coraz bardziej przekonywująco. - Pomogę ci. Jestem tylko najemnikiem. Oni nic mnie nie obchodzą.

- Więc gdzie jest dziecko?

- Zabrali ją tamci dwaj. Mówili, że zawiozą ją do Dawidów.

Dawidy. Miejscowość pod Warszawą.

- Dobrze ci idzie. Mów dalej.

- Nic więcej nie wiem.

Zuzanna szybkim ruchem zakleiła mężczyźnie taśmą usta i strzeliła.

Znowu fuknięcie tłumika, znowu rozprysk krwi, znowu upadek. Facet mało nie złamał sobie karku, chwilę wił się w konwulsjach, po czym zemdlał na dobre.

Podeszła i sprawdziła, czy może oddychać. Mógł. Oba kolana krwawiły mocno, ale nie przejmowała się tym. Utrata krwi Walkiewicza była problemem Walkiewicza; zresztą przejściowym.

Zuzanna zwróciła się w stronę drugiego mężczyzny, który w wymuszonym milczeniu obserwował dziejące się tuż przed nosem sceny. Oczy

252

mówiły wszystko: szaleńczy strach był tylko pierwszym, łatwo dającym się zauważyć elementem przerażonego spojrzenia. Zuzanna zerwała taśmę z ust mężczyzny, przytknęła lufę do lewego kolana i zapytała:

- Dla kogo pracujesz?

- Ja nie gawariu haraszo na polskom. Ja nie ponimaju wsiewo -mówił szybko, jeszcze szybciej niż Walkiewicz. I znacznie od niego głośniej.

- Mów ciszej. Dla kawo ty rabotajesz?

- Jewo zawut Jurij.

- Kakij Jurij?

- Nie znaju. Prosto Jurij - sama żarliwość. Rozbiegane oczy. I ślina cieknąca z kącika ust.

- Co dla niego robisz?
- Prosto, rabotaju. Ochrana, reket.
- A co robi Jurij?
- On rabotajet na bossa.
- Kim jest boss?
- Nie znaju. Prawda, nie znaju. No, ja słyszał tolka warszawskij adres, gdzie oni wstriečajutsia.
- Jaki adres?
- Warszawa. Centr. Ulica Chmielnaja.

Bingo. Adres uzyskany od Carrieego. Przyjście tutaj okazało się nie najgorszym pomysłem.

- Haraszo - Zuzanna kiwnęła głową i zakleiła mężczyźnie usta taśmą. Wróciła do poprzedniego rozmówcy.

Walkiewicz chrapał i kręcił głową. Jeszcze nie odzyskał świadomości. Ponownie ustawiła krzesło w pionie, po czym zajęła się mieszkaniem.

Przytulne gniazdko: dwie małe sypialnie, składające się z barłogu i pustych flaszek po wódce, oraz równie atrakcyjna kuchnia, łazienka i salon. Zuzanna w obu sypialniach znalazła broń oraz telefony komórkowe. Broń zignorowała, aparaty wsadziła do kieszeni. Pomimo dalszych poszukiwań nie natrafiła na nic istotnego. Ani dokumentów, ani notatek, map czy zdjęć. Tamci mimo wszystko byli dobrze wyszkoleni.

Wróciła do salonu, zdrowego faceta przeciągnęła razem z krzesłem do jednej z sypialni. Długim kawałkiem taśmy owinęła mu głowę, dokładnie zaklejając uszy, po czym zamknęła drzwi. Nadszedł czas weryfikacji zeznań.

253

Walkiewicz był już całkowicie przytomny. Wodził za nią wzrokiem będącym czystą, o równych proporcjach i pierwszorzędnej jakości, mieszaniną nienawiści i strachu.

- Przypominam ci, że następny będzie strzał w jaja. Nie zginiesz od tego, ale podobno to strasznie boli. Nie jestem facetem, nie mam osobistych doświadczeń, ale intuicyjnie byłabym skłonna się z tym zgodzić. Musi cholernie boleć. Pewnie bardziej niż oba kolana naraz. Więc odpowiadaj, proszę. Zgoda?

Ożywczy miks gróźb i uprzejmego tonu podziałał niezawodnie. Nienawiść i przerażenie kiwnęły głową. Zuzanna podeszła do mężczyzny i ponownie zerwała taśmę.

- Gdzie w Dawidach?
- Nie wiem dokładnie, przysięgam - głos był znacznie słabszy niż przy pierwszej turze, bardziej chrapliwy. I pojawiły się w nim błagalne tony. Proszące. Nalegające. - Mówili coś o ulicy Głównej. Nie znam dokładnego adresu.
- Przypomnij sobie.
- Ulica Główna. Dom z dużą działką. Tam ją mieli zawieźć.
- Jaki dom z jaką działką?
- Nie wiem, przysięgam. Powiedzieli mi tylko tyle. Szef dba, żebyśmy nie wiedzieli za dużo.
- Kim jest szef?

Walkiewicz zawahał się. Zuzanna leniwym ruchem skierowała lufę w stronę jego

krocza.

- Nazywa się Jurij Fomin. Rosjanin. Był w służbach. Nic więcej nie wiem.
- Gdzie go mogę znaleźć?
- Nie wiem, przysięgam. On dzwoni do mnie, jak chce się spotkać.
- Zuzanna wyciągnęła z kieszeni komórkę znaną obok barługu

Walkiewicza.

- Mam to, widzisz? Jak się kontaktujesz z Jurijem?
- Wysyłam esemesa. On oddzwania.
- Treść?
- Dziesięć liczb.
- Jaki klucz?
- Data i godzina, pisana odwrotnie.
- Kłamiesz. To szyfr dla dzieci.

254

- Nie, przysięgam. Możesz spróbować. On oddzwoni.
- Jeżeli poprosisz go, żeby tu przyszedł, przyjdzie?
- Nie. Zawsze wzywa mnie do siebie.

Zuzanna zastanowiła się. Ona by też tak postępowała.

- Byłeś na Chmielnej?

Przez wykrzywioną bólem twarz przemknął cień.

- Na Chmielnej? Na Chmielnej nie ma nic ważnego.
- Kłamiesz. Jest Jurij - Zuzanna nawet nie podniosła głosu, po prostu podeszła do krzesła. Oczy Walkiewicza jak na komendę rozbiegły się w różnych kierunkach i najwyraźniej miały zamiar wyskoczyć z orbit.

-Nie strzelaj, Jezu Chryste, nie strzelaj. Na Chmielnej jest siedziba firmy, gdzie może czasem Jurij bywa, na Chmielnej osiemnaście, uwierz mi, on tam bywa, ale ja nie wiem, jestem tylko najemnikiem, uwierz mi, nie strzelaj...

Zuzanna nie słuchała. Cofnęła się o krok. Poczekała, aż rozszalałe oczy jeńca przestaną tańczyć, a oddech się uspokoi.

- Kim jest szef Jurija?

Walkiewicz uniósł głowę. Zuzanna zrozumiała, że niczego się na ten temat nie dowie. Strach przed szefem szefa był większy niż strach przed Jurijem i utratą jaj razem wziętych.

8.

- Witam, panie prezesie.
- Cześć Jurij. Jakie wieści?
- Szukamy. Zmieniła komórkę i mieszkanie.
- Jestem bardzo niezadowolony, że wczoraj się nie udało.
- Wiem, panie prezesie. Może mi pan wierzyć, że ja także. Jest pewien trop...
- Mianowicie?
- Ona próbuje nas znaleźć - Jurij przez chwilę wyjaśniał, czego dotyczyły wczorajsze poszukiwania. - Jest szansa, że sama do nas przyjdzie.

Koordynator zastanowił się.

- Myślisz, że to możliwe?

255

- Nie wykluczam. Jest uparta. Dużo umie.
- Dzwoniłeś już w sprawie dziecka?
- Nie. Czekałem na pana polecenie.
- W takim razie wstrzymaj się. Poczekaj na jej działania i bądź gotów.
- Oczywiście.
- Jak ta druga sprawa? Naszych przyjaciół z policji?
- Kręcą się w kółko. Zaszli się gdzieś, ale nadal idą fałszywym tropem.
- Bardzo dobrze. Ale nie ma powodu uważać ich za głupich. Uruchom naszego człowieka, niech się rozejrzy. Niech pilnuje interesu.
- Już dzwonię.
- Na razie

Jurij rozłączył się. Ważąc każde słowo, wystukał tekst, po czym wysłał esemesa. A potem usiadł do komputera i napisał szczegółową instrukcję dalszego postępowania.

9.
Wyjście z domu okazało się koszmarem

Jadwiga zeszła do garażu, by zapalić w obu pojazdach silniki i pozwolić im się rozgrzać. Była to najłatwiejsza część zadania. Krzeptowski, Tyszkiewicz i Tolak znieśli i załadowali sprzęt, po czym przez blisko pół godziny odsnieżali wjazd do garażu. Wrota zamarzły na amen, śnieg nawiał na podjeździe zaspę wysoką na metr. W końcu, po wielu próbach, przekleństwach i klikaniu pilotem, drzwi w akompaniamencie upiornego trzasku, jaki wydają tylko umierające zawiasy, podniosły się. Krzeptowski wszedł do środka, minął terenówkę z siedzącą za kierownicą Jadwigą i wszedł do ratraka. Po chwili ogromna maszyna wypęzła na zewnątrz, dzięki zamontowanemu z przodu pługowi odgarniając śnieg z podjazdu. Volvo sprawnie pokonało wzniesienie, Tolak i Tyszkiewicz zajęli miejsca pasażerów, brama garażowa opadła z hukiem i mały konwój ruszył w drogę. Jakub rozejrzał się - do tej pory niewiele uwagi zwracał na to, co się dzieje dookoła, zajęty odmrażaniem i odkopywaniem cholernych drzwi - i przeżył prawdziwy szok. Zaraz potem zaczął się bać. Silnik

256

warczał równomiernie, ale to było jedyne w miarę stałe odniesienie do rzeczywistości. Reszta zmieniała się jak w kalejdoskopie.

Padający śnieg to odsłaniał, to zakrywał elementy krajobrazu. Przez przednią szybę widoczność tylko krótkimi chwilami sięgała dziesięciu metrów; najczęściej oscylowała wokół zera. Nie było widać niczego: ani drogi, ani poboczy, ani zaparkowanych samochodów, przystanków czy znaków drogowych. Panował półmrok koloru ołowiu, jasne smugi rzucane przez reflektory tworzyły wraz z wirującym śniegiem kompozycje plastyczne przypominające sen wariata.

Krzeptowski jechał na wyczucie. Włączył GPS - rano obaj z Tolakiem spędzili w szoferce ponad pół godziny i nie znaleźli niczego, co wskazywałoby, że GPS został podłączony do jakiegokolwiek urządzenia, które wysyłałoby ich położenie na zewnątrz - i starał się jechać według jego wskazań. Na razie urządzenie sprawowało się bez zarzutu. Gdy sygnalizowało skręt, skręcali. Na prostych odcinkach trzymali się kursu. Póki co obyło się bez kolizji.

Jakub obejrzał się. Jadącego za nimi volvo nie było widać; czasem tylko błysnęła

sina poświata ksenonowych reflektorów. Jadwiga starała się trzymać blisko i była to dobra taktyka: prędkość konwoju nie przekraczała dwudziestu kilometrów na godzinę, więc nie było specjalnego niebezpieczeństwa, że przy gwałtownym hamowaniu terenówka wjedzie ratrakowi w tyłek, mogła natomiast korzystać z dobrodziejstw świeżo odgarniętego przez pług śniegu.

Choć ogrzewanie działało z pełną mocą i w kabinie panowała znośna temperatura, nadmuchi nie radził sobie z postępującym w zastraszającym tempie zamrożeniem przedniej szyby. Śnieg przyklepał się do szklanej, profilowanej tafli i nim wycieraczki zdołały go odgarnąć, zamarzał. Musieli przyjąć prostą jak drut procedurę: co kilka minut postój, pospieszne odkrobywanie szyb i rozpaczliwie pospieszne skrywanie się w kabinie.

Już drugie takie wyjście omal nie skończyło się źle. Wskoczyli i szybko zorientowali się, że temperatura spadła od ich ostatniej bytności na świeżym powietrzu, dosłownie przed kilkoma minutami. Obaj w pośpiechu nie założyli gogli ani masek śnieżnych umożliwiających oddychanie w niskich temperaturach. Obszerne, obszyte futrem kaptury kurtek osłaniały co prawda twarz z trzech stron, ale wspomagany wiatrem mróz był już tak duży, że poczuli się bardzo

257

źle. Wiatr i śnieg siekły wściekle odkryte fragmenty twarzy, wciskały się w każdą lukę. W pośpiechu i niemal na oślep machnęli kilka razy skrobaczkami i wrócili do kabiny. W milczeniu sięgnęli do plecaków i wyciągnęli maski i gogle. Chwilę otrząsali się z szoku, po czym Krzeptowski położył ręce na kierownicy. Maszyna ruszyła do przodu.

- Minus trzydzieści pięć - mruknął komisarz, zerkając na odczyt temperatury.
- A ma być jeszcze gorzej - Jakub tarł intensywnie policzek. - Za to wiatr chyba trochę osłabł.
- Nie zauważyłem.
- Ja też nie. Staram się myśleć pozytywnie.

Krzeptowski chciał parsknąć śmiechem, ale zeszywniałe usta przepuściły tylko coś w rodzaju chrapnięcia. Śmieszna, jakby niedokończoną kierownicę ratraka - brakowało jej górnej połówki - trzymał jednak pewnie i nie odrywał wzroku od drogi. W końcu wyjechali na Puławską. Widoczność nadal była bliska zeru, ale Puławska to szeroka, trzypasmowa ulica, więc ryzyko wpadnięcia na zaparkowane na poboczu samochody albo niezauważenia jakiegoś zakrętu zmalało. Krzeptowski nie sądził, by ktokolwiek chciał się przemieszczać w tych warunkach, zwykle samochody z napędem na jedną oś z pewnością nie przejechałyby stu metrów.

Było pusto. Miasto, o ile w prześwitach pomiędzy padającą skośnie zasłoną dało się cokolwiek zauważyć, wyglądało jak po przejściu moru. Pomimo tego, że była prawie dziesiąta rano, panował szarostalowy półmrok. Latarnie uliczne paliły się jeszcze, ale ich znaczenie sprowadzało się do czegoś w rodzaju latarni morskich - nie rozświetlały otoczenia, raczej dły się jak żółtawe punkciki uszeregowane w prostą linię i wskazujące drogę.

Krzeptowski włączył halogeny przeciwmgielne i potężne reflektory umieszczone na ramie nad kabiną maszyny, ale efekt był odwrotny do zamierzonego. Światło odbijało się od bariery śniegu i lodu i wracało do kabiny, oślepiając kierowcę. Komisarz

wyłączył halogeny, zostawiając tylko zwykłe światła.

Do Pałacu Mostowskich dojechali po półtorej godzinie. Jakub uznał to za cud. Kilkakrotnie wydawało się, że nie ruszą dalej ani na krok. Szerokie gąsienice ratraka i trzystukonny silnik nadal radziły sobie bardzo dobrze z przeszkodami terenowymi, ale przez większość trasy

258

po prostu nic nie było widać. Musieli czyścić szyby dosłownie co dwieście metrów. Jednak po jakimś czasie wiatr zaczął rzeczywiście słabnąć, śnieg padać bardziej pionowo i widoczność nieco się poprawiła.

Gdy dojechali na miejsce, wiatr ustał zupełnie. Zatrzymali się na parkingu przed budynkiem. Volvo, wyglądające niczym pojazd jakiegoś szalonego bałwana, zaparkowało tuż obok.

- Dacie sobie radę? - zapytał Jakub wysiadającego z auta Tolaka.

- Już myślałem, że nie dojedziemy. Silnik nam przerywał. Szczerze mówiąc, wątpię, czy damy radę go uruchomić, jak skończymy z tym - kiwnął w stronę budynku.

-Wstaw go do bramy. Zawsze to trochę cieplej. A w razie czego przyjedziemy po was.

Tolak wzruszył ramionami. Wyglądał, jakby chciał jak najszybciej znaleźć się pod dachem.

- Zdzwońmy się za parę godzin. Gdyby łączność nie działała, a samochód odpalił, wracamy do domu. Jeśli nie...

- Znajdziemy was. Uważajcie na siebie.

- Wy też. Cześć.

Krzepkowski podszedł do Jadwigi i objął ją. A potem usiadł za kierownicą ratraka, poczekał, aż Jakub zajmie miejsce pasażera, i ruszył.

10.

Komisarz Henryk Niespodziany przespał całą noc, mimo to obudził się zmięty i połamany. Wieczorem długo nie mógł zasnąć, przewracał się z boku na bok, nie był w stanie znaleźć wygodnej pozycji. Doskwierała mu nadwaga, nadciśnienie, wiek, samotność i poczucie klęski; wszystko ubrane w niekończące się ciągi ponurych myśli. Miał świadomość, że wpakował, się w nie lada tarapaty; pieniądze były doskonałym motywatorem, ale ostatecznie zawiodły w ślepy zaułek. Współpraca z Jurijem szarpała nerwy i doskonale obrazowała powiedzenie o równi pochyłej; niestety, wycofanie się nie było możliwe i nie chodziło tylko o przyzwyczajenie do lepszego życia.

Potem usnął, ale śniły mu się złe rzeczy. Dźwięk esemesa wyrwał go ze snu zmęczonego i niespokojnego.

259

Początkowo nie zidentyfikował przyczyny pobudki. Niemal na ślepo przeciągnął dłoń po szafce stojącej obok łóżka (pustego; od dwunastu lat był rozwodnikiem) i uniósł do oczu telefon.

„Zajrzyj do poczty” odczytał z niejakim trudem. Bez okularów był niczym niepełnosprawny.

Westchnął. Podobne polecenia z reguły wiązały się z dużym wysiłkiem i ryzykiem, ale Henio doskonale wiedział, że nie może ich zignorować; za to mu między innymi płacono, by prywatna komórka była zawsze włączona i by bezzwłocznie wykonywał to, co przynosiła wola tajemniczego zleceniodawcy.

Westchnął jeszcze raz, wstał, zadrżał od chłodu i w drodze do łazienki włączył komputer (dar od Jurija; najnowszy model iBooka). Po chwili wrócił do pokoju, ubrał się ciepło, po czym zalogował się do pewnego niezbyt popularnego serwisu społecznościowego. Wszedł do poczty i zabrał się za rozszyfrowywanie wiadomości. Gdy skończył, zaklął, a potem spojrzął bezradnie za okno.

Po zakończeniu przesłuchania Zuzanna poszła do łazienki i zwymiotowała. Już wcześniej miała świadomość, że znalazła się na drodze bez odwrotu. Siła, biorąca się z rozpacz i chęci odzyskania dziecka, pchała ją do przodu, nakazywała działać, bez względu na to, ilu ludziom po drodze trzeba będzie przysporzyć cierpienia. Ale nie umiała wyłączyć uczuć i wyrzutów sumienia, które, ongiś schowane głęboko, wraz z porwaniem Zosi paradoksalnie znów doszły do głosu. I kłuły jej obolałą duszę, niczym rozpalone do białości igły wnikaające w każdy punkt na ciełe. Oparła się głową o ścianę i stała tak długo. Serce nie chciało się uspokoić, w żołądku trwała prawdziwa wojna, nudności narastały i odpływały, niczym wzburzony ocean. W końcu, starając się niczego nie dotykać, przez papier toaletowy odkręciła kran i umyła twarz. Bała się spojrzeć w lustro. Zakręciła kran i wyszła. Obaj mężczyźni spoczywali na krzesłach. Pochyleni na bok. Martwi.

260

nr

Starła się przypomnieć sobie, czego dotykała. Wytarła te miejsca starannie - gest śmieszny i najprawdopodobniej zbędny, ale rutynowo wykonała go - założyła kurtkę i czapkę, po czym wyszła, zamknąwszy drzwi na klucz znaleziony w przedpokoju. Zeszła na parter, ku swej uldze na klatce schodowej nie spotykając nikogo. Gdy wyszła na zewnątrz, mróz zaatakował. Maski odwalą kawał dobrej roboty, ale i tak powietrze, które dochodziło do płuc, było ostre niczym brzytwa. Starła się oddychać powoli przez nos. Po kilku wdechach i wydechach nabrała nawet pewnej wprawy. Zauważyła, że co prawda jest znacznie zimniej niż wtedy, gdy wchodziła do budynku, ale za to prawie nie wieje. W sumie tak było lepiej. Wiatr i nieustanne bombardowanie drobinek zamrożonego śniegu były nie do wytrzymania. Przed samą temperaturą można się było osłonić.

Gdy przyjeżdżała tu dwie godziny temu, ukształtowanie terenu wyglądało zgoła inaczej. Stojące wszędzie samochody posłużyły nieokiełznanej przyrodzie jako podstawy konstrukcyjne do budowy najbardziej fantazyjnych brył geometrycznych. Śnieg i lód układały się w półkoliste diuny albo wysokie na dwa metry hały. Wyznaczały nowe przejścia i utrudniały dostęp do poprzednich.

Swój samochód poznała po lakierze, śnieg nie oblepił po prostu kawałka burty. Do drzwi kierowcy nie sposób się było dostać; te od strony pasażera były bardziej dostępne. Z trudem dotarła do bagażnika, wcisnęła guzik pilota, potężny akumulator poradził sobie z oporem zamrożonych zamków, rygle odskoczyły z trzaskiem, ale to wcale nie oznaczało, że bagażnik da się otworzyć. Chwilę szarpała się z zamrożoną

gumą, po czym wróciła do drzwi pasażera. Kosztem oderwanej gumowej uszczelki udało jej się uchylić.

Wpełzła do samochodu, wrzuciła na luz i przekreśliła kluczyk. Rozrusznik kwękał przez chwilę, w końcu silnik zaczął pracować. Początkowo trząsał całym samochodem i wydawał najprzeróżniejsze dźwięki, w końcu złapał właściwy rytm i ustabilizował się na poziomie tysiąca obrotów. Zuzanna sięgnęła do tyłu i wyciągnęła z przestrzeni bagażowej solidną stalową łopatę. Wyszła na zewnątrz - mróz nie zrobił takiego wrażenia jak przed momentem, może zaczęła się przyzwyczajać - i zaczęła usuwać zaspę, która uformowała się tuż przed maską. Nie było to proste, śnieg był co prawda świeży, ale zdążył zamarznąć na kość, musiała z wielkim wysiłkiem odkuwać ogromne, ciężkie płyty.

261

Nie narzekała na kondycję i ogólną sprawność fizyczną, ale gdy po dwudziestu minutach skończyła, była wykończona. Wpełzła z powrotem do środka, rzuciła narzędzie do tyłu i chwilę siedziała, dysząc. Para nadal szła z ust, ale silnik rozgrzał się i we wnętrzu zrobiło się niemal ciepło. Przesunęła się na siedzenie kierowcy. Wszystkie nadmuchy i systemy podgrzewania skierowane były na szyby. Zuzanna po krótkim zastanowieniu uznała widoczność za wystarczającą. Wrzuciła jedynkę i ruszyła. Wskaźnik temperatury sygnalizował, że silnik jest nadal niedogrzany, ale nie miała czasu czekać. Wskazania zewnętrznego termometru zatrzymały się na liczbie trzydziestu ośmiu stopni poniżej zera.

Samochód zarzuciło, koła buksowały w zmrożonej magmie, ale mimo wszystko wyjechała na ulicę. Nie bardzo wiedziała, którądy jechać, GPS zaczynał trochę wariować, obraz kołysał się jak pijany. Prowadziła na wyczucie, przebijając się przez księżycowe zaspę, a większe zatopy po prostu omijając. Dwa razy omal nie wpadła na stojące na poboczu samochody, za trzecim razem uderzyła mocno zderzakiem w coś, co na pewno nie było zmrożonym śniegiem. Wrzuciła wsteczny, wycofała i stwierdziła, że wbiła się w tył samochodu stojącego dwoma kołami na ulicy. Ominęła go i pojechała dalej.

Zastanawiała się nad następnym krokiem. Mogła jechać bezpośrednio do Dawidów. Daleka droga, ale przy obecnym stanie pogody było prawdopodobne, że może ją pokonać. Nie poruszała się zbyt szybko, ale póki co land cruiser sprawnie radził sobie z zaspami. Z drugiej strony, informacja o miejscu przebywania Zosi była nieprecyzyjna, mapa wskazywała, że ulica Główna jest dość długa, stoi przy niej około stu posesji i sprawdzenie każdej zajmie czas, którego Zuzanna nie miała. Niewykluczone, że za kilka godzin pogoda na dobre unieruchomi jakikolwiek mechaniczny środek lokomocji i o żadnych poszukiwaniach nie będzie mowy. Potrzebowała precyzyjniejszej informacji. Być może zdołałaby ją uzyskać pod adresem na Chmielnej, to nawet było po drodze, w centrum miasta, tyle że zdawała sobie sprawę, że ten obiekt jest najprawdopodobniej mocno strzeżony, zarówno przez strażników, jak i zabezpieczenia elektroniczne. Jednak gra była warta ryzyka - mogła skonkretyzować wiadomości co do porywaczy i miejsca przetrzymywania Zosi. Wyciągnęła komórkę. Ku jej zaskoczeniu sieć nadal pracowała. Wybrała pierwszy z listy numer. Usłyszała sygnał, pozwoliła mu wy-

262

brzmieć pięć razy, po czym przerwała połączenie. Po półminucie zadzwoniła ponownie.

Niemal natychmiast usłyszała znajomy głos.

- Wyjechałeś?
- Jeszcze nie. Nie bardzo mam jak.
- Niedobrze dla ciebie, dobrze dla mnie. Mam następną robotę.
- Ciekawe. Kiedy?
- Teraz.
- Co to za robota?
- Za dwa razy większą kasę.
- 1 nic więcej nie powinienem wiedzieć? -Nie.

- U mnie?
- Sesja wyjazdowa.

Carrie zachichotał cichutko. Być może właśnie wyglądał przez okno.

- Jest dość chłodno.
- Musisz się w takim razie ciepło ubrać. Poza tym pojedziemy samochodem.
- Samochodem? Może nie dać rady.
- Ten da. Wchodzisz?

Tym razem Zuzanna usłyszała ciche westchnienie.

- Masz duży dar przekonywania. Podjedziesz po mnie?
- Za jakieś czterdzieści minut.
- Poszukam ciepłych kałesonów.
- Załóż dwie pary. Zanim przyjadę, wejdź do Google Earth i poszukaj tego budynku, który znalazłeś przy szukaniu adresu IP.

- Kojarzę.
- To dobrze. Zrób jak największe zbliżenie, chcę wiedzieć wszystko

0 jego otoczeniu. Mogą być też nieco starsze zdjęcia, żeby ten cholerny śnieg nie przysłaniał widoku dachu. Wszystko wydrukuj w jak największej rozdzielczości. W różnych ujęciach. Interesuje mnie dach

1 otoczenie budynku. Znajdź dane na temat tej firmy. Udziałowcy, zarząd, filie, oddziały. Adresy, może jakieś zdjęcia.

- Dasz mi tydzień?
- Cześć. Rozłączyła się.

263

—
Zyskała sojusznika, sprawnego, myślącego, odważnego, ale o dostaniu się do środka musiała pomyśleć sama. Okazała się na tyle przezorna, by kiedyś, czas jakiś temu, zaopatrzyć się w stosowny sprzęt, broń i samochód. Nie przewidywała konkretnego rozwoju wydarzeń, chciała po prostu być przygotowana na różne niespodzianki. Sama najlepiej wiedziała, że przy jej życiorysie o niespodzianki nietrudno, więc pomalutku, korzystając z rozległych, wypracowywanych latami kontaktów, dokonała zakupów, wynajęła zapasowe mieszkanie, o którym nie wiedział nikt postronny, postarała się o zapewnienie sobie kilku kompletów autentycznych dokumentów na różne nazwiska oraz odpowiednich sojuszników.

Ale teraz była całkowicie zdana na własne siły. Od zawsze: od tego dnia, od piekielnych siedmiu i pół miesiąca ciąży, od przyjścia Zosi na świat. Sama. Nauczyła się, choć nie było to łatwe, radzić sobie z tym. Matka, pchana do działania wyrzutami sumienia i rozpaczą, nieznoszącym sprzeciwu głosem zażądała, by Zuzanna umożliwiła jej zajęcie się Zosią. W związku z czym Zuzanna mogła, choć początkowo nawet nie chciała o tym słyszeć, zająć się własnym życiem. Ale nigdy nie zapomniała o najważniejszym, o tym, co w istocie było jej motywacją i zarazem nadzieją na przyszłość: chęci spędzenia z córką całego życia, jakie jeszcze pozostało, cieszenie się nawet najdrobniejszymi przeblyskami świadomości, strzępkami uśmiechu, delikatnymi gestami dłoni. To był żar, który napędzał wszystkie witalne silniki Zuzanny.

Otrząsnęła się z tych myśli i na powrót skoncentrowała na drodze.

Przejechała Wisłę mostem Łazienkowskim, potem udało jej się nawet rozpędzić do czterdziestu kilometrów na godzinę. Wóz szarpał i kołysał, ale parł do przodu. Silnik pracował równo, jednak ogrzewanie, choć czyniło temperaturę wewnątrz kabiny znośną, przegrywało walkę z mrozem; szyba co jakiś czas robiła się kompletnie nieprzejrzysta. Wtedy Zuzanna zjeżdżała na pobocze, zatrzymywała się i zeskrobywała lód.

Gdy dotarła na miejsce, miała za sobą przejechanych blisko osiem kilometrów. Po drodze nie spotkała żywego ducha. Mieszkańcy Warszawy stawiali czoła największej w swych dziejach klęsce żywiołowej, barykadując się w domach.

- Podjechałam.
- Schodzę.

264

Czekała tuż pod klatką schodową, nie wyłączając silnika. Śnieg padał w dalszym ciągu, ale z nieco mniejszą intensywnością. Wiatr ustał zupełnie. Mróz natomiast sięgnął czterdziestu stopni. Zuzanna zaobserwowała, że temperatura spadała o jeden stopień na godzinę. Liczyła, że silnik będzie mógł pracować do minus czterdziestu pięciu. Może, przy ogromnym szczęściu, czterdziestu siedmiu. Miała zatem najwyżej siedem godzin i na dodatek nie było co do tego żadnej pewności: gwarancje dawane przez producentów arktycznych smarów i dodatków do die-słowskiego paliwa mogły okazać się marketingowymi przechwałkami.

Carrie ukazał się w drzwiach, okutany najprawdopodobniej we wszystkie ciepłe rzeczy, jakie mógł znaleźć w szafach. Przebiegł kilkanaście metrów, chwilę mocował się z drzwiami, w końcu odemknął je z głośnym trzaskiem i z widoczną ulgą zajął miejsce obok Zuzanny.

- Nienawidzę zimna - powiedział zeszywniałymi ustami.
- Przez najbliższych parę dni będziesz musiał się przyzwyczaić - spojrzała na niego przelotnie, po czym rzuciła mu kopertę oraz klucze. Ruszyła. - Hi masz pieniądze i klucze do mojego zapasowego mieszkania. Nie ma w nim takich luksusów jak w twoim, ale jest bezpiecznie. Nikt o nim nie wie. Gdyby cwaniaczkom, którym dobieramy się do dupy, przyszło do głowy prześledzić poszukiwania i namierzyć IP twojego komputera, tam cię nie znajdą.

- Umiem się zabezpieczyć. Moje mieszkanie jest spoko.
- Nigdy nie uważaj przeciwników za głupszych od siebie. Mogłeś namierzyć ich, mogą namierzyć ciebie. Jeżeli chcesz, po robocie możesz wrócić do siebie. Wszystko mi jedno.

Carrie spojrzał na nią i skinął głową.

- Skorzystam. Dzięki. Jesteś przekonująca, mówiłem ci? Co za robota?

- Musimy się włamać do budynku przy Chmielnej. I dobrać się do wewnętrznych baz danych. Ja cię wprowadzę do środka. Ty masz tylko usiąść do komputerów. Potem wycofamy się i każde pójdzie w swoją stronę. Umiesz prowadzić?

- Słucham? - Carrie, zajęty rozcieraniem policzków, nie był przygotowany na gwałtowną zmianę tematu.

- Czy umiesz prowadzić samochód?

- Owszem.

- To już - zatrzymała się na poboczu i wysiadła. Carrie siedział przez chwilę bez ruchu, po czym zaczął gramolić się na fotel kierowcy.

Zuzanna obeszła maskę, otworzyła drzwi i zajęła miejsce pasażera. -Gdzie masz te zdjęcia?

Haker wskazał kartonową teczkę, którą wcześniej wepchnął do kieszeni drzwi.

Zuzanna otworzyła ją i zaczęła przyglądać się wydrukowi. Były bardzo wyraźne i zrobione niedawno - minęły już czasy, gdy zdjęcia satelitarne Warszawy miały wielomiesięczne poślizgi. Dach upstrzony kilkoma dużych rozmiarów antenami satelitarnymi. Bariera okalająca budynek i oddzielająca go od sąsiadów. O ile dało się dostrzec, żadnych kamer. Zuzanna tego się właśnie spodziewała. Wzięła następne zdjęcie przedstawiające dach z nieco dalszej perspektywy. Sąsiadował z nim następny, mniej więcej tej samej wysokości.

- Ten obok, to zwykły mieszkalny dom, w prywatnych rękach -Carrie zerknął na nią przelotnie.

- Bardzo dobrze. To nam ułatwi zadanie. Dowiedziałeś się czegoś o firmie?

- Miałem mało czasu. Jest trochę informacji publicznych, zobacz sobie, wydrukowałem ciekawsze. Z rzeczy niejawnych udało się tylko dotrzeć do części serwera, ale to wszystko jest zakodowane. Zrzuciłem na pendrive" a. Mam ze sobą laptopa, możesz obejrzeć, jak chcesz. Ale wiele się nie dowiesz. Musiałbym nad tym posiedzieć.

- Nieważne. Więcej danych mają na twardych dyskach bez dostępu zewnętrznej sieci.

„A". Spółka Akcyjna. Data założenia, historia, obecny zarząd. Proszę, proszę. Pięciu dostatnio ubranych dżentelmenów. Zygmunt Wieszczycki, nawet przystojny, po pięćdziesiątce, na oko biznesmen, Arkadiusz Możyczko, młody, łysy, na oko bandzior; trzech następnych, doskonale anonimowych i bezbarwnych. Przyjrzała się uważnie prezesowi. Czy to Jurij? Nie. Nie wyglądał jak żołnierz służb specjalnych. Nawet były. Co innego figurujący obok wiceprezes, jak mu tam, Możyczko. Kwadratowa szczeka, krótko ostrzyżony, niebieskie oczy. To może być Jurij, a Wieszczycki może być jego szefem. Może. Nie musi. Pewnie nie jest.

Carrie prowadził w sposób dość ryzykancki, Zuzannie poniewczasie przyszło do głowy, że hakerzy bywają nader często niefrasobliwi. Land cruiser szarpał i podskakiwał na wybojach, koła traciły przyczepność, silnik wył na zwiększonych obrotach, widoczność nie przekraczała dwudziestu metrów, niebo, raczej nie niebo, tylko lecące niemal tuż nad ziemią chmury, miały nadal barwę ołowiu.

W końcu dojechali. Zuzanna kazała Carriemu zatrzymać samochód mniej więcej dwieście metrów od celu. Nie sądziła, aby ktokolwiek mógł i miał ochotę cokolwiek zidentyfikować lub rozpoznać, ale na zupełnie wyludnionej Chmielnej nie chciała wzbudzać sensacji. Toteż Carrie zaparkował land cruisera przy ulicy Górskiego. Zuzanna sięgnęła do tyłu i wyciągnęła torbę ze sprzętem. Wyjęła z niej wytłumiony pistolet maszynowy, kilka zapasowych magazynków, granaty hukowo-błyskowe, latarkę, pudełko z narzędziami i uniwersalny wytrych, a także lornetkę i noktowizor. Carrie obserwował te przygotowania w milczeniu i bez powodzenia starał się zachować obojętną minę.

- Posłuchaj mnie uważnie - Zuzanna z trzaskiem włożyła magazynek, przełożyła pasek przez szyję, schowała broń pod kurtkę, po czym odwróciła się w stronę hakera.

- Gramy przeciw niebezpiecznym ludziom. Nie próbuj mi pomagać i trzymaj się z tyłu, obojętnie, co się będzie działo. Cały czas masz widzieć moje plecy, rozumiesz?

- Rozumiem. I rozumiem też, że nie odpuszczisz.

- Nie mogę.

- Na nagraniu było twoje mieszkanie. Chłopcy z pistoletami przyszli cię zabić. Chcesz ich znaleźć.

- A ty byś nie chciał? - zapytała. Carrie skonstatował, że właśnie przyznała, kogo szukali nocni goście.

- Chciałbym. Ale niekoniecznie próbowałbym sam wymierzać sprawiedliwość.

- Sprawiedliwość? - wydeła wargi i Carrie ujrzał dawną Zuzannę. Po krótkiej chwili zrezygnowana mina powróciła. Zuzanna zasunęła zamek kurtki, założyła czapkę, gogle i maskę, po czym otworzyła drzwi. - Dawno wyzbyłam się przekonania, że na świecie w ogóle jest coś takiego. Po prostu chodź za mną. A gdyby coś mi się stało, weź samochód i jedź do mojego mieszkania. Może uda ci się przetrwać.

Zatrasnęła drzwi.

Carrie wysiadł bez słowa i wzdrygnął się. Nie miał maski ani gogli, więc po prostu mocno zaciągnął sznurki okalające kaptur, by jak najmniejszy fragment twarzy dotykał powietrza. Nos od razu zrobił się czerwony i zaczął boleć. Starał się o tym nie myśleć. Jeszcze nigdy w życiu nie było mu tak zimno.

267

Ruszyli przed siebie. Przez jedno z podwórek, wśród akompaniamentu skrzypiącego pod butami śniegu, wyszli na Chmielną. Wysilek w to włożony równał się przebiegnięciu połowy maratonu. Zapadali się wyżej kolan, śnieg więził stopy, z ogromnym trudem stawiali kroki. Pokonanie dwustu metrów zajęło im piętnaście minut. W końcu doszli do domu oznaczonego numerem szesnaście. Zuzanna wyciągnęła z kieszeni wytrych.

Operowanie tym delikatnym narzędziem w grubych rękawicach nie jest łatwe, jednak

po krótkiej chwili rozległo się ciche szczękniecie i zamek ustąpił. Zuzanna nacisnęła klamkę i oboje znaleźli się wewnątrz budynku. Carrie zamknęła drzwi. Zaczęli wchodzić po schodach, starając się nie wywoływać hałasu. W końcu dotarli na drugie piętro.

Zwykły zamek zamontowany w drzwiach prowadzących na strych Zuzanna pokonała w dziesięć sekund. Starannie zamknęła drzwi. Byli na obszernym poddaszu.

Pośrodku: komin, obok: drabina wycelowana prosto w wyłaz dachowy. Zuzanna sięgnęła do plecaka, wyjęła lornetkę i zaczęła wchodzić po drabinie. Wyłaz zamknięty był tylko na rygiel.

- Poczekaj tu - rzuciła w stronę Carrie.

Odciągnęła rygiel i popchnęła klapę. Nic. Metrowa warstwa śniegu oraz lód przyspawały stal do obramowania. Zeszła na dół, rozejrzała się i dostrzegła stojącą pod oknem stalową rurę, najwyraźniej pozostałość po dawno przebrzmiałym remoncie. Przez pięć minut obstukiwała obramowanie, potem zmienił ją Carrie.

Dopiero po dwudziestu minutach coś się poruszyło. Naparli oboje, stojąc razem na drabinie. Szceble trzeszczały złowieszczo, drabina bujała się, ale w końcu klapa skapitulowała. Po paru pchnięciach udało się ją postawić pionowo. Do środka wionęło mrozem. Zuzanna wychyliła się do połowy, podniosła lornetkę - gumowe podkładki były sztywne jak stal, musiała je nieco odsunąć, by nie przymarzły do plastikowej szybki gogli - i zaczęła obserwować sąsiedni dach.

Na pierwszym planie bariera, coś jakby półtorametrowej wysokości płot oddzielający jeden dach od drugiego, obecnie sprawiający wrażenie śnieżnego muru. Wystające ponad niego cztery anteny, w tym jedna o średnicy co najmniej dwóch metrów.

Najwyraźniej ktoś oczyszczał je z lodu i śniegu; były stosunkowo mało oblepione.

Kilka stalowych skrzyń kryjących jakieś agregaty. Poza tym cisza i spokój. Zuzanna nie dostrzegła nikogo, najmniejszego poruszenia; to oczywiście nie

268

J*

musiało świadczyć o niczym, potencjalni strażnicy mogli obserwować teren przez kamery. Pomimo kilkukrotnego przepatrzenia całej powierzchni nie dostrzegła żadnych obiektów. Być może przykrył je śnieg. Musiała zaryzykować.

- Chodź - powiedziała w stronę Carrie.

Wyszła na dach, poczekała, aż jej towarzysz wygramolił się na górę, po czym cicho zamknęła wyłaz. Dach był płaski i pod grubą warstwą śniegu trudno było dostrzec jego kształt. Postanowiła trzymać się środka. Ostrożnie stawiała kroki. Zapadała się niemal do pasa. Zastanawiała ją, na ile śnieg związany jest mocno z podłożem. W sumie trzymała się na nogach dość pewnie. Carrie starał się iść dokładnie po jej śladzie.

Po przejściu może trzydziestu kroków dotarli do bariery. Zuzanna oczyściła niewielki fragment stalowej konstrukcji, weszła na stalowe przesło, odbiła się i wylądowała na dachu sąsiednim.

Była u celu.

12.

Drzwi otwarto tak cicho, że Helena, siedząca na łóżku i oparta o ścianę, poderwała głowę dopiero usłyszawszy szuranie butów po betonie. Do pokoju weszło trzech

zamaskowanych mężczyzn. Jeden z nich trzymał w objęciach dziecko, drugi niósł składane łóżko i naręczce koców. Ostatni miał wolne ręce. W odróżnieniu od kompanów uśmiechał się przyjaźnie. Białe zęby odcinały się od czerni kominiarki. Helena myślała, że śni.

- Witam, pani Heleno. Widzę, że już się pani obudziła. To doskonale. Mam do pani serdeczną prośbę. Znalazła się w naszym towarzystwie pewna dziewczynka. Wymaga specjalnej opieki, a obawiam się, że mój personel nie jest w stanie jej zapewnić na odpowiednim poziomie - mężczyzna miał głos równie miły jak uśmiech, a garderobę dobraną ze smakiem i dopasowaną do nienagannej figury.

Pierwsza niespodzianka.

Helena dałaby sobie głowę uciąć, że słyszała kiedyś głos tego człowieka.

Druza niespodzianka.

269

Zosia. To był widok, który zapamiętała na zawsze: wózek, promienny pokój pomalowany we wszystkie kolory tęczy i siedząca bez ruchu dziewczynka, patrząca w ścianę niewidzącymi oczami. Cóż ona tu robi, do diabła?

- Co to za dziecko? - zapytała ochryple. Elegant wyglądał na szefa, więc pytanie skierowała bezpośrednio do niego. Skąd go zna? Czy on też ją poznał? Wie, kim jest? Głupie pytanie, oczywiście, że wie. Przecież zdaje sobie sprawę, kogo kazał porwać.

- Po prostu przebywa pod naszą czasową opieką - mężczyzna uśmiechnął się jeszcze szerzej. Obserwował Helenę uważnie. Domyślał się, że zna dziewczynkę? Wiedział?

- Pod opieką? A gdzie jej rodzice?

- Chwilowo nie mogą się nią zająć. Dlatego zwracam się do pani o pomoc.

Trzeci z mężczyzn rozłożył pod wolną ścianą łóżko polowe i rzucił na nie koce, po czym wyszedł z pomieszczenia.

- Znalazła się tutaj tak jak ja? Została porwana?

- Och, nie nazwałbym tego porwaniem - oczy rozmówcy spoważniały. - Po prostu chwilowo zmieniła adres.

- Czego pan ode mnie chce? - ponieważ pomyślała, że takie pytania nie mają sensu, niestety za późno ugryzła się w język.

- Poza tym, aby pani zaopiekowała się dzieckiem, tylko jednej rzeczy. Z tego powodu pozwoliłem sobie zaprosić tu panią.

- Zaprosić! - Helena prychnęła. Niemal przywarła plecami do ściany. - Napadliście na mój dom. Zabiliście psa!

- Rzucił się na moich ludzi. Zapewniam, że ani jemu, ani pani nie miał spaść włos z głowy. Pani zaczęła strzelać...

- Oczywiście. A pan by nie zaczął, gdyby do domu wdarło się kilku drabów, wybijając okna? Bez żartów.

- No cóż, obawiałem się, że gdy po prostu zapukamy i zaprosimy panią na przejażdżkę, spotkamy się z odmową - mężczyzna ponownie się uśmiechnął. - A tak jest pani tutaj, cała i zdrowa, zaopatrzona we wszystko, co potrzebne do przeżycia tych kilku dni.

- Kilku dni? A co potem?

- Odzyska pani wolność i będzie się cieszyć towarzystwem męża.

- Tak po prostu?
- Tak po prostu.

270

Helena zastanowiła się. Zerknęła na leżącą na łóżku Zosię i doszła do wniosku, że nie ma wielkiego wyboru. Mężczyźni byli zamaskowani, nie chcieli, by ich rozpoznano. Może jest szansa?

- Czego pan ode mnie chce?
- Nic wielkiego. Wykonam telefon do męża. Przekażę pani słuchawkę. Powie pani nadkomisarzowi, że jest cała i zdrowa i czuje się bardzo dobrze. Oto całe zadanie. Jeżeli mąż nie będzie robił głupstw, za kilka dni odzyska pani wolność.
- A... dziewczynka? - omal nie powiedziała „Zosia”. Nie miała pojęcia, czy rozmówca wie o jej relacjach z Zuzanną, ale sama nie chciała niczego zdradzać. Czuli, że tak będzie lepiej.
- No cóż, dziecko oczywiście wróci do rodziców - ton całkowitej szczeroci. Gładki, empatyczny i przekonujący.

Helena nie usłyszała odpowiedzi, bo właśnie sobie przypominała. Wiedziała, kim jest ten człowiek.

- Dobrze - powiedziała. - Niech pan dzwoni. Zna pan numer?

13.

- Dzień dobry. Nazywam się Jakub Tyszkiewicz. Jestem nadkomisarzem policji. Prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa pana sąsiada piętro wyżej, Bartosza Wicherka. Mogę zadać kilka pytań?
- Ja tam nikogo nie znam - dobiegło zza drzwi.
- Tylko kilka pytań - powtórzył monotonnym głosem. - To bardzo ważne.
- Nic nie wiem.
- Mimo to proszę otworzyć.

Szczęknął zamek i Jakub wszedł do niewielkiego, zagraconego korytarzyka.

To już siódmy lokator, siódme mieszkanie i siódma próba. Poprzednie nie wniosły niczego. Sąsiedzi, jak zwykle, „niczego nie widzieli i nie słyszeli, jeden z drugim Wicherka widywał z daleka, ot tylko co dzień dobry mówił, on się odklaniał, bo ogólnie grzeczny z niego człowiek, nie można powiedzieć, ale poza tym nie wiem nic. Czy ktoś go odwiedzał? Panie, ja tam w robocie ciągle jestem, a jak przychodzę do domu, to śpię albo telewizję oglądam, inne sprawy mnie nie

271

interesują, po co mam człowiekowi w zupę zaglądać, no nie?”. Jakub już po drugim spotkaniu mógł sporządzić pewien wzorzec i odczytywać rozmówcom ich zeznania z kartki, jeszcze przed złożeniem.

Przyjazd tutaj, zgodnie zresztą z przewidywaniami, okazał się zwykłą stratą czasu. Mimo to obaj przepytali lokatorów niezwykle starannie. Nie pominęli niczego, zajrzeli w każdy kąt, nawet pijanego dozorcę doprowadzili do pionu. Odkryli dwie meliny i nielegalny burdel, wzbudzając zresztą zrozumiłą panikę nieco zbyt zwiewnie jak na tę porę roku odzianego personelu.

W kwestii znalezienia zabójcy Wicherka nie posunęli się jednak nawet o milimetr.

W milczeniu odnaleźli ratrak, odkopali go i pojechali pod blok Smotrycza. Winda nie działała, w holu paliła się co druga lampa. Weszli na piąte piętro. Krzeptowski

otworzył drzwi kluczem. Na wszelki wypadek obaj wyjęli broń, co okazało się zbędną ostrożnością. Wszystko było tak jak wczoraj, kiedy Krzeptowski powitał Tolaka. Porządek i spokój. Półki z książkami i niedojedzone resztki pizzy w kuchni. Już po minucie ogarnęło ich zniechęcenie.

- Bryndza.
- Kompletna. Żadnych śladów.
- Musimy jeszcze raz popytać sąsiadów.
- Popytamy. Ale myślę o czymś innym.
- A konkretnie? - Krzeptowski w końcu przestał rozglądać się po pokoju i spojrzał na Tyszkiewicza.
- Poprosiłeś Smotrycza, żeby coś sprawdził na temat Zuzanny.
- Owszem.
- Otóż to. Antoś...
- Wiesz, że nie lubił. Antoni...
- Antoni, niech ci będzie...
- Nie mi. Jemu.
- Och, zamknij się, więc otóż ten nasz Antoni był sprytny i bystry. Tak sobie myślę, że to, co robił, uznał za ważne. Na tyle ważne, że zrobił kopie. Informatycy w ogóle mają to do siebie, że strasznie nie lubią być od czegoś uzależnieni. W tym wypadku od pojedynczego nośnika danych. No więc, może zrobił kopie i wysyłał gdzieś albo napisał sobie specjalny program, który robił to automatycznie.

272

- To możliwe - Krzeptowski omal nie uderzył się w czoło. Powinien był sam o tym pomyśleć. - Antoni był bardziej sprytny, niż myślimy. Jak nie chciał, aby go ktoś namierzył, potrafił się ukryć w mysiej dziurze. Ale rzeczywiście miał zwyczaj zapisywać co ważniejsze dane. Nawet mówił mi kiedyś o tym. Możliwe, że znalazł coś więcej, niż zdążył przysłać.
- Właśnie. A nie mówił, gdzie zapisuje?
- Nie. Masz jakiś pomysł?
- Pewnie jest tysiąc miejsc, w których mógł schować dane, tyle że żadne konkretne nie przychodzi mi do głowy. Zacząłbym po prostu od jego służbowego komputera.

Krzeptowski spojrzał przeciągle na Jakuba i wyjął komórkę.

- Jadwiga? Tu twój ulubiony góral. Halo, słyszysz mnie? Strasznie trzeszczy. O, teraz lepiej. Jak idzie? Aha, szukacie. Świetnie. Słuchaj, wpadliśmy tu z nadkomisarzem na pomysł, że można spróbować przejrzeć służbowy komputer Antoniego, rozumiesz. Jest jakiś informatyk na służbie? No właśnie. Machnij mu przed nosem upoważnieniem, niech ruszy dupę sprzed telewizora i postara się wejść do danych Smotrycza. Co? Nie działają telewizory? Nie ma sygnału? To wielka strata, powiedz, że łączę się w bólu. Podejrzewamy, że Smotrycz mógł przechowywać coś istotnego. Świetnie, wiedziałem, że się zrozumiemy. Buziaki. Tylko się za ładnie nie uśmiechaj do tych palantów, rozumiesz? Pa - rozłączył się, po czym powiedział do Tyszkiewicza: - Postara się sprawdzić.
- Słyszałem. Myślę sobie tak. Ktoś z jakiegoś powodu wziął cały nasz zespół na celownik. Miał dostatecznie dużo środków i możliwości, by zorganizować

inwigilację i podsłuch, łącznie z podsłuchiowaniem rozmów telefonicznych wszystkich członków zespołu. Nie wiem, z jakiego powodu, to .w tej chwili nieważne. Podsłuchał twoją rozmowę z Antonim. Mówiliście niejasno, ale być może zaniepokoiło go to. Zaczął śledzić robotę Smotrycza, są takie wirusy, trojany, które pozwalają dokładnie widzieć pulpit śledzonego komputera, zobaczył, kogo dotyczą poszukiwania, i zaniepokoił się na tyle, by wysłać ekipę, która postanowiła osobiście wypytać Smotrycza o przyczyny jego ciekawości. Nie wiem, dlaczego nie próbowali dotrzeć do ciebie, może uznali, że próba porwania akurat twojej skromnej osoby wiąże się ze zbyt dużym ryzykiem. Ale ponieważ nadal chodzisz luzem, wiemy kogo dotyczyły poszukiwania.

273

V

- Zuzanny.

- No więc właśnie. Może naprawdę nadszedł czas, aby spotkać się z panną Cehak i zadać jej parę pytań?

- Nie mamy żadnych konkretnych podejrzeń. Twoim zdaniem ona stoi za porwaniem?

- Nie wiem. Raczej nie sędzę. Jest policjantką, w końcu. Ale Antoni zniknął tuż po rozmowie z tobą na temat Zuzanny, kochanki mojej żony. Może ktoś próbuje Zuzannę kryć i porywa Smotrycza i Helenę, by ją chronić?

- To by znaczyło, że Zuźka jest umoczona w coś grubego. Na tyle grubego, że warto ryzykować podwójne porwanie. I to, że jest policjantką, jeszcze bardziej komplikuje sprawę.

- Owszem. Masz do niej numer?

- Taaa, zdążyłem skopiować książkę.

- Dzwoń. I umów nas. Nie mów, o co chodzi.

Krzepkowski ponownie wyjął aparat i wybrał numer. Nim rozległ się sygnał, Tyszkiewicz złapał go za rękę. Krzepkowski przerwał połączenie i spojrzał pytająco.

- Załóżmy, że Zuzanna jest w coś umoczona. Może jej telefon jest monitorowany.

-No i?

- Wszystkie połączenia. Przychodzące i wychodzące.

- Kurwa.

- No właśnie.

- Daj mi telefon.

-Ale...

-Daj.

Jakub wyciągnął aparat. Krzepkowski wprawnie go rozłożył, wyciągnął z kieszeni dodatkową kartę SIM, którą także otrzymał od Tolaka, i włożył ją do aparatu w miejsce starej.

- Jednorazówka - mruknął wyjaśniająco. Ze swojej komórki odczytał numer Zuzanny, po czym wybrał go na klawiaturze aparatu Jakuba. Trzymał długo słuchawkę przy uchu, potem skrzywił się. Spróbował jeszcze raz. Z tym samym efektem.

- Poczta głosowa.

- Dziewczynka może nie mieć zasięgu. Albo śpi i wyłączyła telefon.
- Albo rozrabia dalej.

274

- Zostaw jej wiadomość. Może oddzwoni.

Krzeptowski wybrał numer po raz trzeci, zostawił na skrzynce krótką prośbę o kontakt, po czym rozłączył się. Rozłożył komórkę, wyciągnął z niej kartę i włożył do kieszeni. Po chwili aparat ze starą kartą wrócił do Jakuba.

Jakub już otwierał usta, gdy rozległ się dzwonek. Początkowo nie zareagował, przyzwyczajony do innego sygnału. W telefonie otrzymanym od Tolaka nie chciało mu się nawet sprawdzać rodzaju dzwonek. Po chwili zorientował się, że dźwięk dochodzi z jego własnej kieszeni. Wyjął wrzuconą przed sekundą komórkę i zamarł. Ten numer znał na pamięć, nawet obudzony w środku nocy.

Helena.

W odróżnieniu od Jakuba Krzeptowski zachował zimną krew. Zobaczywszy bezbrzeżnie zdumiony wyraz twarzy Tyszkiewicza, odebrał mu aparat i w ciągu kilku sekund połączył go ze swoim za pomocą kabla USB. W swoim aparacie włączył opcję dyktafonu, nastawionego na nagrywanie pliku z urządzenia zewnętrznego, po czym zwrócił telefon Jakubowi. Ten nacisnął zieloną słuchawkę powolnym, jakby sennym ruchem.

- Halo?
- Kuba? T\i Lena. Ze mną wszystko w porządku. Nie jestem sama, ale czuję się dobrze...

Świat zakołysał się. Jakub miał tak mocno zaciśnięte szczęki, że przez moment był pewien, że nie będzie w stanie wykrztusić słowa.

- Kubuś? Jesteś tam?
 - Tak - powiedział w końcu.
 - To dobrze. Nie martw się o mnie, mam dobre warunki. Przyrzekasz, że nie będziesz?
 - Co nie będę?
 - Martwił się. Są inne osoby, o które trzeba się martwić, ale ze mną naprawdę wszystko okej.
 - W de dźwięk. Nie do zidentyfikowania.
- Lena...

- Muszę kończyć. Całuję. Ktoś jeszcze chciałby z tobą porozmawiać. U nas straszny wiatr. Pa.

- Lena... - Jakub niemal krzyknął.

W słuchawce rozległ się trzask i po chwili Tyszkiewicz usłyszał inny głos. Męski, ale pozbawiony intonacji, bezosobowy,

275

mechaniczny. Najpewniej przepuszczony przez urządzenie zniekształcające dźwięk.

- Czy mam przyjemność rozmawiać z nadkomisarzem Jakubem Tyszkiewiczem?
- Przyjemność? Nie wiem. Ale jestem przy telefonie - Jakub starał się skoncentrować na ukryciu drżenia głosu. Obawiał się, że bez specjalnego powodzenia.
- Stoi przede mną pani Helena Berezowicz. Osoba o niezwykle fascynującej

osobowości, olśniewającej urodzie, nieprzeciętnej inteligencji, obdarzona niezwykłym, absolutnie fantastycznym talentem. Jest chlubą naszego kraju. I z racji uczucia, jakim pana darzy, również, jak sędzę, pańską. Domniemuję, że pod taką oceną małżonki mógłby się pan podpisać?

Jakub przełknął ślinę. Pytanie pozostało bez odpowiedzi. Ale rozmówca chyba nie spodziewał się jej.

- Milczenie bywa zgodą, wnoszę zatem, że podziela pan mą diagnozę. Jeśli natomiast chodzi o pana, muszę wyznać, że zarówno pańscy przyjaciele, jak i koledzy z pracy, zwierzchników nie wyłączając, wyrażają się o panu bardzo pochlebnie. Jestem z tego faktu niezmiernie zadowolony, ponieważ, jak sędzę, ułatwia mi zadanie.

- Zadanie? O czym pan mówi?

- Spieszę z tłumaczeniami. Otóż sędzę, że pozytywne opinie o panu wynikają z faktu, że jest pan człowiekiem inteligentnym i zarazem odpowiedzialnym. Pojmującym bardzo poważnie zadania, które przed nim stoją. Czy mam rację? Czy zgadza się pan z taką oceną, nadkomisarzu?

- Nie komentuję opinii na swój temat.

- Godna pochwały powściągliwość. Mimo wszystko na pewno wie pan swoje. Wie pan, które opinie są zgodne z pana odczuciami, które krzywdzące, a które, proszę wybaczyć śmiałość, formułowane nieco na wyrost. Otóż ja podzielam pogląd, że jest pan człowiekiem bardzo byстрыm i odpowiedzialnym. I właśnie z tego powodu chciałbym się do pana zwrócić z pewną prośbą.

Najwyraźniej nadszedł czas prośb.

- Słucham - Jakub zamknął oczy i starał się wyobrazić sobie rozmówcę. Nie było to łatwe, głos falował, cichł do szeptu lub stawał się niemal normalny, o ile oczywiście można mówić o normalności w wypadku dźwięku przetworzonego przez komputer.

276

- Otóż jak pan wie, uroczą pani Helena chwilowo zmieniła miejsce pobytu i korzysta z mojej gościny. Ze swej strony mogę zapewnić, że jest naprawdę w znakomitej formie, ciepło ubrana, syta i cieszy się, no, w pewnym zakresie ograniczoną, ale jednak, sporą swobodą ruchów. Pozwoliłem sobie zaprosić tutaj małżonkę z powodów czysto praktycznych, jako że staram się być człowiekiem podchodzącym do życia w sposób maksymalnie uproszczony i pragmatyczny. Otóż wiem, że prowadzi pan pewne działania związane ze śmiercią niejakiego Wicherka. Czy mam rację?

- Powiedzmy.

- Widzę, że oprócz tego, że jest pan inteligentny, jest pan również ostrożny. To doskonale. Naprawdę doskonale. Przyjmijmy zatem, że mam rację i naprawdę prowadzi pan śledztwo w sprawie Wicherka. Sam Wicherka, szczerze mówiąc, nic mnie nie obchodzi, ale tak się składa, że pańskie poszukiwania wkroczyły nieco na moje terytorium. Prowadzę w tym kraju rozległe interesy i cenię sobie spokój. Czy na razie to, co mówię jest dla pan jasne?

- Całkowicie.

- Fantastycznie. Idźmy dalej. Otóż chciałbym pana prosić, aby od tego momentu

wszystkie ustalenia, obserwacje czy fakty związane z tą sprawą przekazywał pan mnie, zanim opowie pan o nich swoim przełożonym. Dzwoni pan i wspólnie naradzamy się, co dalej. Jakimi faktami niepokoić pańskich szefów, a jakimi nie zwracać im głowy. Czy możemy się tak umówić?

Milczenie.

- Rozumiem, że mój wniosek przeszedł przez aklamację - Jakub nie był pewien, ale szarmancki ton i dobry humor rozmówcy nieco osłabły. Ale może to wina tych cholernych zakłóceń. - Podsumowując: pani Helenie włos z głowy nie spadnie, jeżeli pan potraktuje poważnie moją prośbę. Wszystko, czego się pan dowie, raportuje pan mnie i ja decyduję, co dalej. Proszę kontaktować się za pomocą telefonu pani Heleny. Gdyby z powodu pogody wysiadła łączność, proszę umieszczać raport na swoim służbowym komputerze w Komendzie Stołecznej. A teraz żegnam, panie nadkomisarzu.

- Jeszcze jedno - Jakub wydobył z siebie głos, choć nadal nie był z niego zadowolony. Płaskie, schrypnięte i ciche głosy z pewnością nie robią wrażenia na tego pokroju rozmówcach.

277

- Proszę? Ach tak, chciał pan coś powiedzieć, nadkomisarzu?

- Tak. Ja również mam prośbę.

- Prośbę? Ależ proszę bardzo. W końcu są...

- Otóż chodzi o to - Jakub nie słuchał. Miał nadal zamknięte oczy i po prostu mówił - że jestem silnie związany ze swoją żoną i bardzo mi na niej zależy. Chciałbym, aby zadbał pan, by nic jej się nie stało. By nie spadł jej włos z głowy. Ponieważ, -jak sądzę, to pan podjął decyzję o porwaniu, uznaję, że ponosi pan osobistą odpowiedzialność. Bardzo dobrze, lubię jasne sytuacje. Chciałbym, aby z kolei mnie pan dobrze zrozumiał: bezpieczeństwo mojej żony leży w pańskich rękach.

- Cóż to...

-1 jeszcze jedno. Zakładam, że ma pan spore możliwości. Że nie jest problemem, aby dotrzeć do różnych danych. Otóż, gdy zajrzy pan do teczki personalnej z nazwiskiem Tyszkiewicz i spojrzy w moją biografię, zwłaszcza dotyczącą okresu, kiedy służyłem w wojsku, stwierdzi pan, że bywam człowiekiem bardzo upartym. Zawsze staram się osiągnąć cel, zwłaszcza pod presją. Usilnie nalegam, aby przeczytał pan uważnie mój profil oraz przebieg kariery zawodowej, a następnie wyciągnął wnioski. I nauczył się tych wniosków na pamięć, ponieważ w najbliższym okresie będą w pana życiu odgrywały niebagatelną rolę. A teraz żegnam.

14.

Cztery wielkie anteny satelitarne. Niewielka nadbudówka opatrzona stalowymi drzwiami. Pofałdowany i wzburzony ocean śnieżnej pokrywy. Cisza.

Zuzanna przyjrzała się wyдутым czasom. Były oczyszczone z lodu i śniegu, od nadbudówki prowadziły do nich względnie uprzątnięte ścieżki. Ktoś zadbał o to, by łączność funkcjonowała bez zakłóceń. Ostrożnie podeszła do największej wycelowanej w niebo, co najmniej dwumetrowej anteny. Do zamontowanego pośrodku konwertera było dwa i pół metra. W normalnych warunkach Zuzanna

odbiłaby się lekko i bez wysiłku dotknęła środka tarczy. Teraz udało jej się to dopiero za czwartym razem, gdy już myślała, że będzie musiała wezwać na pomoc Carrie'ego.

278

Wybiła się z obu stóp, wkładając w ten ruch ostatki energii, jakie jej jeszcze pozostały. Do tej pory nie zdawała sobie sprawy, jak szybko traci siły. Po trzech skokach płuca paliły ją niczym martenowski piec, serce waliło jak oszalałe, a ręce mdlały z wysiłku. W końcu zawisła na konwerterze, podciągnęła się nieco i opadła w dół, starając się jak najmocniej nacisnąć na urządzenie. Usłyszała trzask i wyładowała na śniegu. Trzymała w ręku półmetrowej długości serce anteny stanowiące o jakości połączenia z satelitą.

Gestem nakazała Carriemu, by się cofnął - właśnie ten moment sobie upatrzył, by zacząć przechodzić przez barierę - po czym co sił pobiegła w stronę nadbudówki. Szybko zdjęła plecak i wyciągnęła z niego paralizator. Pistolet maszynowy na wszelki wypadek trzymała na podorędziu.

Zanim skrzypnęły drzwi, zdążyła solidnie zmarznąć. Miała wrażenie, że znajduje się na drodze głównego natarcia nieokiełznanych, dzikich sił, które postanowiły ją zabić. Już dawno przyzwyczała się do dreszczy wstrząsających całym ciałem, już dawno uznała za normalny fakt, że nie można oddychać swobodnie. Ale czymś nowym było sztywnienie ubrania, zamarzanie gogli, niemożność wykonania najprostszego ruchu. Pomyślała, że jeżeli oczekiwanie potrwa jeszcze jakiś czas, dajmy na to minutę lub dwie, nie będzie w stanie pokonać nawet chorego na niedowład kończyn pięciolatka. I cała nadzieja, że da się jeszcze z jej życia ocalić coś wartościowego, umrze tu, na dachu warszawskiej, śródmiejskiej kamienicy, o piętnaście metrów od celu. Zgrzytnięcie zawiasów pobudziło serce do zwawszego działania, uderzenie adrenaliny pozwoliło na moment zapomnieć o paralizującym zimnie. Ujrzała przed sobą plecy technika, który przyszedł sprawdzić przyczyny urwania kontaktu z satelitą. Najszybciej, jak potrafiła

- choć w normalnych warunkach taka szybkość byłaby śmiechu warta
- skoczyła do przodu i nim mężczyzna zdążył zareagować, przytknęła mu paralizator do biodra. Nie ryzykowała ataku przez kurtkę, wyładowanie mogło okazać się zbyt słabe, by zaszkodzić facetowi odzianemu w kilka grubych, jak należało sądzić, warstw ubrania. Biodro natomiast wydawało się dogodnym celem ataku. Było nim. Trzask wyładowania tylko nieznacznie wyprzedził w czasie krzyk mężczyzny. Wyrzucił ręce do góry i zwałił się jak kłoda w śnieg.

279

Zuzanna oceniła, że ma może minutę. Złapała technika za kołnierz kurtki i pociągnęła w stronę nadbudówki. Wrzuciła bezwładne ciało do środka, skrepowała mu ręce plastikowymi kajdankami, po czym wyszła na zewnątrz. Odnalazła plecak i machnęła ręką Carriemu.

Haker niezgrabnie przeszedł przez barierę i z niemałym trudem doczłapał do nadbudówki. Zuzanna w tym czasie zdjęła puchówkę

- krepowała ruchy i była zbędna w zamkniętych pomieszczeniach. Wzięła w ręce pistolet maszynowy, trzasnęła magazynkiem, do kieszeni wsadziła kilka następnych.

Do pasa przytroczyła granaty hukowe. Na twarz naciągnęła kominiarkę, drugą rzuciła Carriemu.

- Załóż to. Wchodzę. Dam ci znać, kiedy możesz się stąd ruszyć
- powiedziała.
- Żartujesz.
- Nie.

Spojrzał na nią zupełnie inaczej niż dotychczas. Do dzisiaj miał wrażenie, że jest po prostu ostrą babką oddzielającą się od świata barierą wulgarności i agresywnych tekstów, na dodatek grającą w jakąś prywatną grę, której on jest tylko jednym z elementów. Nie miał złudzeń, że uratowała mu tyłek, ponieważ czuła do niego sympatię lub po prostu jej się spodobał. Wiedział, że jest jej do czegoś potrzebny, zakomunikowała mu to jasno wkrótce po tym nieszczęsnym włamie, ale miały miesiące, a ona nie zgłaszała się z niczym konkretnym. Owszem, była u niego może dziesięć razy, nawet sporo rozmawiali, na nieśmiałe próby podrywu zareagowała jak na jej standardy niemal z czułością, po prostu powiedziała, żeby dał sobie spokój, bo i tak nic z tego nie będzie, i przez tych kilka spotkań wzbudziła w nim rosnącą fascynację. Niemal zapomniał o prawdziwych przyczynach tej znajomości i w końcu nadszedł dzisiejszy dzień. Nie miał żadnych oporów, przeszukiwanie sieci było jego żywiołem i sposobem na życie, umiał z tego nawet uczynić swój zawód. Jednak teraz, gdy zobaczył ją odzianą w kamizelkę kuloodporną i kominiarkę, trzymającą w rękach paskudnie wyglądający pistolet maszynowy, gdy w jej twarzy wyczytał coś, co zdecydowanie mu się nie podobało, stwierdził, że doszedł do granicy, poza którą czeka go naprawdę inne życie. Raczej nie był na nie przygotowany.

- Nie jestem pewien, czy chcę tam wchodzić.
- Zapłaciłam ci. Zgodziłeś się. - Zuzanna: beznamiętny ton, wargi zaciśnięte.

Carrie: dreszcz.

280

- Za ostro grasz jak dla mnie. Nie w mojej lidze.
- Ja wchodzę, ty tylko usiądziesz do komputerów. Nikt cię nawet nie zobaczy. Zrobisz to, co umiesz najlepiej, a potem pójdziesz w swoją stronę.
- Mnie może nikt nie zobaczy, ale ja zapewne zobaczę za dużo.
- Nie mam zamiaru cię zabijać, jeśli o to ci chodzi - Zuzanna wzruszyła ramionami. Była zniecierpliwiona. - I tak już za dużo trupów. W twoim interesie jest zapomnieć to, co ewentualnie zobaczysz i czego się dowiesz. Z mojej strony nic ci nie grozi, poza mną nikt o tobie nie wie.

Wahał się.

- Idę - powiedziała. - Skończył mi się czas na dyskusje.

Odwróciła się i zaczęła schodzić po schodach. Myślała o tym, że czuje się zawiedziona i powinna być zła. Ale nie była. Nie umiała tego wytłumaczyć. Po kilku krokach dostrzegła kamerę zamontowaną w korytarzyku drugiego piętra. Obiektów ku jej uldze skierowany był w dół, ku wchodzącym gościom. Chwilę nasłuchiwała, po czym przyłożyła kolbę do ramienia, wycelowała i strzeliła. Strzał był prawie niesłyszalny, natomiast sama kamera rozpadła się z głośnym trzaskiem. Znowu przez chwilę nasłuchiwała, ale nadal panował spokój. Ruszyła w dół. Doszła do korytarza. Rozbita kamera celowała w stronę pierwszego piętra. Korytarz był

pusty, a drzwi prowadzące do pomieszczeń pozamykane. Pomyślała, że nie starczy jej czasu, by posprawdzać wszystkie.

Nie sądziła, by ktoś nie zainteresował się zniknięciem technika dłużej niż pięć minut po jego wyjściu na dach. Z tego minęły już dwie. Pomimo to ostrożnie weszła w głąb korytarza. Nacisnęła klamkę pierwszych drzwi. Otworzyły się z lekkim skrzypnięciem. Pokój, jakich tysiące: obrotowy fotel, biurko, ciekłokrystaliczny ekran, w kącie szafa z segregatorami. Okno w całości pokryte zmrożoną mozaiką. Pusto i głucho.

Pozostałych sześć pokoi było równie bezbarwnych i równie rozczarowujących. Zuzanna pomyślała, że jest mało prawdopodobne, by dokumenty w nich zgromadzone kryły coś ciekawego.

Ruszyła w dół, w stronę pierwszego piętra. Znowu ostrożne zejście, kamera, strzał. Tym razem skryta za załomem ściany poczekała,

281

aż wybrzmi echo wytworzone przez opadające szczątki urządzenia. Nie czekała długo. Usłyszała na schodach ostrożne kroki. Dwóch ludzi poruszających się cicho. Zatrzymali się gdzieś w okolicach kamery. Wskoczyła z wysuniętą do przodu lufą. Obaj mężczyźni, odziani w czarne, ochroniarskie pseudomundury, ujrzeni ją za późno, by zareagować. Zdecydowanym ruchem położyła palec na ustach, trzymając automat prawą ręką. Gestem pokazała, by odpięli kabury i powoli wyjęli pistolety. Oba posłusznie upadły na ziemię. Zuzanna podeszła do mężczyzn, kazała im się odwrócić i dwoma szybkimi ruchami kolby pozbawiła przytomności.

Kopniakiem odrzuciła broń, po czym plastikowymi kajdankami skrupowała strażnikom ręce na plecach. Dwie następne pary poszły na unieruchomienie nóg. Położyła ich plecami do siebie i piątą taśmą związała ze sobą. Po zakneblowaniu ich wartość bojowa spadła do zera.

Na parterze usłyszała ruch, trzasnęły jakieś drzwi, ktoś zaczął wchodzić na górę. Wyciągnęła z plecaka taser - elektryczny paralizator działający na odległość. Gdy kroki sięgnęły podestu pierwszego piętra, wychyliła się i strzeliła w stronę odległej o kilka metrów sylwetki. Dwie strzałki, ciągnąc za sobą cienkie druciki elektrycznych przewodów, wbiły się w tułów mężczyzny. Nastąpiło automatyczne wyładowanie, strażnik chrapnął i wywrócił się na plecy. Zbiegła po schodach, omal nie wywracając się o leżącego mężczyznę. Przywiązała go do bariery i szybkim krokiem zeszła na parter.

W stróżówce usytuowanej na wprost zamkniętych na głucho drzwi wejściowych żywego ducha - najpewniej rezydowali w niej dwaj ochroniarze, których załatwiła na pierwszym piętrze. Po lewej recepcja, prosta, nowoczesna i niezbyt kosztowna. Za recepcją drzwi otwarte na oścież. Na wprost sala konferencyjna i krótki korytarzyk z trzema czy czterema drzwiami. Jedne z nich wykonane ze stali i zaopatrzone w kontrolę dostępu.

Zuzanna stwierdziła, że forsowanie ich zajmie zbyt wiele czasu. Strzeliła do dwóch kamer umieszczonych w recepcji, po czym pobiegła na górę. Mężczyzna przywiązany do bariery już nieco oprzytomniał, choć wyglądał, jakby za chwilę miał zwymiotować.

- Kod dostępu do drzwi na dole - powiedziała cicho.

Mężczyzna spojrział na nią rozmazanym wzrokiem.

- Kod dostępu.

Nic.

282

Przytknęła lufę do płatka ucha i strzeliła. Kula odbiła się od ściany i poleciała w górę schodów, a mężczyzna wrzasnął w udreće. Szarpnął się, ale plastikowa taśma trzymała mocno.

- Kod dostępu.

- Sześć, osiem, dwa, cztery, krzyżyk.

- Ilu ludzi tam na dole?

- Nie wiem.

Przytknęła lufę do lewego łokcia. Oczy mężczyzny rozszerzyły się jeszcze bardziej.

-Ilu?

- Trzech. Może czterech.

- Uzbrojeni?

- Nie. Technicy.

Uderzyła go kolbą w głowę i pozbawiła przytomności. Wkrótce okaże się, ile warte są informacje wymuszone bólem i strachem.

Ponownie zeszła do recepcji. Odetchnęła kilka razy i ruszyła w stronę stalowych drzwi. Teraz zaczynała się właściwa część występu.

Wstukala szybko kod i z ulgą skonstatowała, że dioda zmienia kolor na zielony przy akompaniamencie lekkiego trzasku elektrycznego zamka. Uchyliła ostrożnie drzwi i wrzuciła, najdalej jak mogła, dwa granaty hukowe. Podwójna eksplozja zatrzęsała murami, Zuzanna usłyszała ją lepiej niż dobrze, i to pomimo tkwiących w uszach stoperów. Wyciągnęła je, odczekała sekundę i wskoczyła do środka.

Schody biegły ostro w dół. Zeszła na poziom minus jeden. Pomieszczenie było słabo oświetlone, co utrudniało dokładne rozpoznanie jego topografii, wydawało jej się, że stoi w dość sporej hali, gęsto zastawionej roboczymi blatami z ustawionymi na nich komputerowymi ekranami. Usłyszała charkot i kaszel, zrobiła dwa kroki w przód i niemal potknęła się o leżącego na betonowej podłodze mężczyznę. Skrępowała go i ruszyła dalej. Po kilku krokach natknęła się na następnego, nieprzytomnego. Temu również skuła ręce i nogi. Doszła do przeciwległej ściany i ruszyła w lewo. Doszła do drzwi. Uchyliła je. Nikogo.

Kolejne pomieszczenie było zamknięte. Dobiegał stamtąd szum wentylatorów.

Serwerownia?

Obeszła jeszcze raz całe pomieszczenie. Strażnik na górze mówił o trzech, czterech technikach. Natknęła się na razie na dwóch. Kłamał, był źle poinformowany albo ona coś przeoczyła.

283

Cofnęła się na schody. Stamtąd również nie prowadziły żadne drzwi. Zajrzała do dwóch gabinetów. W drugim przyjrzała się szafie. Pchnęła ją w bok. Bingo.

Najwyraźniej ktoś ufał na tyle elektronicznym zabezpieczeniom i strażnikom, że nie uznał za stosowne lepiej ukryć przejścia. Krótki korytarzyk i tylko jedne drzwi na końcu. Podeszła do nich ostrożnie, stwierdzając, że jest obserwowana przez kamerę

umieszczoną w szklanej półkuli zawieszanej pod sufitem. Drzwi były zamknięte. Odsunęła się, stanęła z boku i strzeliła w okolice zamka. Kule wyrwały go razem z fragmentami drewnianej konstrukcji. Kopniakiem otworzyła drzwi i wrzuciła kolejny, ostatni już granat. Huk wstrząsnął murami piwnicy, sypnął kurzem i ceglanym pyłem.

Po sekundzie wpadła do pomieszczenia.

Przez te cholerne stopery nie usłyszała strzału. Po prostu poczuła potężne uderzenie w okolicach klatki piersiowej; nim straciła przytomność, ujrzała nad sobą pochylającą się twarz. Mogłaby przysiąc, że już ją kiedyś widziała, ale nie była w stanie sobie przypomnieć gdzie. Może później, obiecała sobie. Jak będę w lepszej formie.

- Grzeczna dziewczynka - powiedział Jurij Fomin. Wyjął z uszu stopery i z wdzięcznością spojrzął na zaimprovizowaną z biurka i szafy barykadę, która pozwoliła mu przetrwać wybuch granatu. - Sama przyszła do tatusia.

15.

Po zakończeniu rozmowy Jakub siedział odrętwiały. Nie mógł wykonać najmniejszego ruchu. Trzymał w ręku słuchawkę i patrzył bezmyślnie przed siebie; nie docierały do niego prośby ani pytania komisarza.

Krzepkowski w końcu machnął ręką i sam dokończył przeszukiwanie mieszkania; nie osiągnął żadnych wartych odnotowania rezultatów. Następny kwadrans spędził na przepytywaniu sąsiadów. Z równym skutkiem mógł w tym czasie oglądać telewizję. Nie dowiedział się niczego. Ewentualni porywacze byli niczym duchy.

Wrócił do mieszkania i łagodnie pociągnął Jakuba za rękaw. Tyszkiewicz wstał i bez słowa ruszył w kierunku drzwi. Echo mechanicznych kroków odbijało się od ścian.

284

Gdy zeszli na dół, w milczeniu odkopali ratrak, w milczeniu długo rozcierali policzki, w milczeniu wsłuchiwali się w warkot silnika. Widoczność poprawiła się, może było nawet nieco jaśniej. Śnieg padał drobnymi płatkami, powietrze jakby zastygło w bezruchu. Termometr wskazywał czterdzieści jeden stopni poniżej zera, ale mógł się mylić. Gdy przechodzili od klatki schodowej do maszyny, a potem próbowali ją odkopać - ogółem spędzili na powietrzu może sześć minut - mieli wrażenie, że krew zastyga im w żyłach.

Ruszyli w stronę Pałacu Mostowskich. Krzepkowski nawet nie bardzo wiedział, o co zapytać ani co powiedzieć, uznał więc, że się w ogóle nie będzie odzywał.

Wystarczył rzut oka na twarz Jakuba: zaciętą, wściekłą, a jednocześnie skupioną.

Rzeczywiście, Tyszkiewicz był zły i zmartwiony. Telefon od porywacza wprawił go w drżenie; zdawał się mówić, że mężczyzna po drugiej stronie linii doskonale panuje nad sytuacją i trzyma wszystkie najważniejsze karty w ręku.

Wiedział, że musi zacząć myśleć. Założył słuchawki i zaczął odsłuchiwać nagranie.

Gdy się skończyło, kliknął przyciskiem i odsłuchiwał jeszcze raz. A potem jeszcze.

Słowa wymienione z Heleną pomijał; sprawiały tylko ból. Skoncentrował się na komputerowo zniekształconym głosie mężczyzny.

Minęli Ogród Saski, wyglądem przypominający górskie pasmo na Księżycu. Część drzew wywrócił wiatr. Część runęła pod ciężarem śniegu. Ostatnie stały jeszcze, upodabniając się do gigantycznych kul cukrowej waty.

Jechali przez miasto wymarłe.

Jakub przesłuchał nagranie od początku, łącznie z krótką wymianą zdań z Heleną. Coś mu nie dawało spokoju. Coś było nie tak.

- Zatrzymaj - powiedział nagle. Zdjął słuchawki i patrzył na towarzysza rozszerzonymi oczami.

- Słucham? - Krzeptowski z trudem ocknął się z zamyślenia, ale posłusznie skreślił ku poboczu; nader względne pojęcie w panujących warunkach; po czym gwałtownym szarpnięciem zatrzymał pojazd. Zmniejszył obroty pracującej z całą mocą dmuchawy. Zrobiło się nieco ciszej.

-Co?

- Lena chciała mi coś przekazać. Posłuchaj.

285

Wyjął słuchawki z aparatu, ustawił głośność na pełny regulator i włączył przycisk odtwarzania.

„- ...To dobrze. Nie martw się o mnie, mam dobre warunki. Przyrzekasz, że nie będziesz?

- Co nie będę?

- Martwił się. Są inne osoby, o które trzeba się martwić, ale ze mną naprawdę wszystko okej.

Dźwięk. Jakby kilka niewyraźnych sylab wypowiedzianych przez małe dziecko.

- Lena...

- Muszę kończyć. Całuję. Ktoś jeszcze chciałby z tobą porozmawiać. U nas straszny wiatr. Pa.

- Lena".

Pstryknął przyciskiem i nagranie ucichło.

- Słyszałeś?

- Słyszałem.

- Są dwie rzeczy. Po pierwsze ten dźwięk w de.

- Nie bardzo mi się kojarzy.

- A mi owszem. To dziecko.

- Dziecko? - Krzeptowski kliknął przyciskiem i ponownie odsłuchał fragment, który rozbrzmiewał przed chwilą. - Możliwe - powiedział, gdy głosy umilkły.

- To nie jest zwykle dziecko. Myślę, że to córka Zuzanny.

- Zuzanny? - Krzeptowski pokręcił głową. Łamigłówka była już i tak wystarczająco skomplikowana, bez żadnych dodatkowych elementów. - Co tam robi dziecko Zuzanny?

- Oczywiście mogę się mylić, nie widziałem tej dziewczynki na oczy, znam ją tylko z relacji Leny. Powiedziała, że dziecko nie mówi, tylko wokalizuje, wypowiada pojedyncze sylaby, jak niemowlak. „Da, da, be, be" te rzeczy. I tak mi się skojarzyło. Zwłaszcza, że Lena mówi o innych osobach, o które należy się martwić. Jakby chciała mi zwrócić na coś uwagę.

- To by znaczyło - Krzeptowski zamknął oczy - że ktoś na całego dobrał się do zespołu. Do ciebie poprzez Lenę, do Zuzanny poprzez córkę, do Smotrycza. Zostaje tylko Jadwiga, Henio i ja.

-1 Tolak.

-1 Tolak.
28B

iśr.

- Rozumiem, że ten ktoś chce mieć na nas wpływ. Po co porywa dodatkowe osoby, skoro ma mnie w ręku?

- Może Smotrycz nadepnął mu na odcisk swoimi poszukiwaniami. W sprawie Zuzanny.

- To dlaczego porwał córkę Zuzanny?

- Wiesz, jak to jest. Jeżeli jest w coś umoczona, chciał mieć na nią trzymanie. Może zaczęła brykać.

- Albo nie jest wcale umoczona, tylko wpadła na coś, niezależnie od nas. Znasz ją. Nie lubi dzielić się sukcesami.

- Wiem. To wszystko spekulacje. Mówiłeś o dwóch rzeczach. Co z tą drugą?

- Wiatr.

- Proszę?

- Pamiętasz, co powiedziała Lena? Na końcu?

- Coś o wietrze.

- No właśnie. Kiedyś namalowała obraz. Genialny. Chciałem koniecznie, żeby został u nas. Nazwałem go „U nas straszny wiatr”. Pogoda wtedy była paskudna, wiało jak cholera.

-No i?

- Helena się nawet zgodziła, ale jej agent uparł się, żeby go wystawić na sprzedaż. I poszedł, za kupę forsy, tyle że pod tytułem „Nieuchwytny”.

- Nadal nie kojarzę.

- Helena po prostu chciała mi dać do zrozumienia, kim jest porywacz - Jakub spojrzawszy Krzeptowskiemu prosto w oczy. - Miała do dyspozycji tylko kilka sekund i nie mogła mówić otwarcie. Zakładam, że rozpoznała porywacza i w ten sposób powiedziała, kim jest. A ja wiem, jak go znaleźć.

-No?

- Muszę wykonać telefon. Problem polega na tym, że numer, który mnie interesuje, jest zapisany na karcie SIM w mojej komórce.

- Nie skopiowałeś książki telefonicznej?

- Nie miałem głowy. Mimo to muszę mieć ten numer.

- Chyba nie chcesz teraz jechać na wieś?

- Nie - Jakub wzruszył ramionami. Wyraz skupienia na twarzy pogłębił się. - Jak sobie nie przypomnę, pojedziemy prosto do tej osoby.

- Spróbuj sobie przypomnieć. Może jej nie być w domu.

287

- Poważnie?

Krzeptowski puścił mimo uszu ton pytania. Jakub siedział przez chwilę bez ruchu, po czym sięgnął po aparat. Z widocznym wahaniem wybrał dziewięć cyfr.

- Bardzo przepraszam. Widzę, że się pomyliłem. Słucham? Nie, nie robię sobie jaj. Do widzenia.

Pudło.

- Francesca? Nie? Przepraszam. Tak, pomyłka. Do widzenia.

Pudło.

- Ben? - westchnienie. - Cieszę się, że cię słyszę. Co słyhać? W porządku? To świetnie. U mnie? To i owo. Chcąc być całkowicie szczerym, potrzebuję twojej pomocy. Teraz. Mogę do ciebie przyjechać?

Bingo.

IB.

Benjamin Nathaniel Barlow stanowił wybuchowe połączenie wykwintnych brytyjskich manier, dobrodusznego poczucia humoru i żelaznego, oślego wręcz upor. Blisko połowę swojego pięćdziesięcioletniego życiorysu starannie ukrywał przed światem. Jakub poznał go rok temu, podczas przyjęcia sylwestrowego, które niemal nie skończyło się śmiercią większości uczestników. Barlow od tej pory twierdził, że razem z Krzeptowskim uratowali życie jego żonie Francesce i w tym stwierdzeniu nie było cienia przesady. Istotnie, gdyby nie obaj policjanci, Ben zostałby wdowcem.

O ile sam uszedłby z życiem.

„Jestem typowym Angolem”, śmiał się przy byle okazji. „Mieszkam w Warszawie, nawet mówię po polsku, mam żonę Włoszkę, właścicielkę pizzerii, a sam handluję chińską porcelaną”. Rzeczywiście, galeria Bena, położona pod jednym z najbardziej prestiżowych adresów w Warszawie, cieszyła się ogromnym powodzeniem. Jej właściciela trudno byłoby jednak nazwać po prostu handlarzem porcelaną. Był kimś więcej: człowiekiem obdarzonym wyrobionym smakiem i poczuciem estetyki, znawcą historii sztuki, kolekcjonerem rzeczy pięknych. Przy tym wszystkim miał, rzecz jasna, częsty wśród przedstawicieli jego narodu, zmysł do biznesu.

288

Uwielbiał malarstwo Heleny, Jakub podejrzewał, że po cichu admirał również samą Helenę, co wzbudzało zresztą głośno i najczęściej publicznie wyrażane sceny zazdrości odgrywane przez Francescę. Ben znosił wybryki żony z wyrozumiałością zakochanego nastolatka. Kochał ją miłością wielką i w pierwszorzędnym gatunku, nie wahał się jej okazywać - co z kolei, jak na przedstawiciela narodu pełnego powściągliwych dżentelmenów było bardzo nietypowe - i raczej nie dawał powodów do zazdrości. Sympatia do Heleny była czysto platoniczna i stanowiła wyraz podziwu dla jej urody, talentu i osobowości. Ben bardzo dbał o to, by nie przekroczyć granicy, poza którą natknąłby się na nieustępliwego myśliwego w postaci nadkomisarza Jakuba Tyszkiewicza, skrupulatnie strzegącego swego, często wyimaginowanego, terytorium.

Przy tym wszystkim Ben Barlow był człowiekiem poważnie traktującym zobowiązania i dotrzymującym obietnic. „Pamiętaj”, powiedział Jakubowi, gdy obaj leżeli łożko w łożko w zakopiańskim szpitalu, lecząc rany postrzałowe i niegroźne co prawda, ale rozległe odmrożenia, „że jestem ci wdzięczny. Gdybyś czegokolwiek kiedyś potrzebował, na przykład jakiejś nieoficjalnej informacji albo bardziej konkretnej pomocy, możesz na mnie liczyć. Wielu rzeczy o mnie nie wiesz. Zająłem się biznesem, ale kiedyś zajmowałem się zupełnie czymś innym. Rozumiesz? Dzwonił

bez wahania".

Jakub wtedy nie przywiązywał wagi do tej deklaracji, pochłonięty walką z bólem i troską o Helenę leżącą dwie sale dalej. Niepotrzebnie zresztą, ponieważ Helena przebywała w szpitalu czysto profilaktycznie. W zasadzie odmroziła sobie tylko koniuszek nosa i to ona opiekowała się Jakubem i Benem, który z kolei bardzo martwił się o Franceskę leżącą piętro niżej na oddziale intensywnej terapii.

Walka o jej życie trwała kilka dni, w końcu Francesca odzyskała przytomność. Ben wyraźnie odżył. Od tej pory obie pary zaprzyjaźniły się bardzo, spędzając razem wiele popołudni i często wyjeżdżając razem na weekendy. Ben nigdy nie wracał do rozmowy w szpitalu, ale Jakub, obserwując go z bliska i mając w podświadomości własne doświadczenia, stwierdził ze zdumieniem, że ten zażywny pięćdziesięciolatek najprawdopodobniej również w młodości był żołnierzem, może nawet wysokiego stopnia. Możliwe też, że miał do czynienia ze służbami specjalnymi. To były ledwie uchwytnie rzeczy: szybkie

289

i dyskretne spojrzenia, jakimi Ben lustrował pomieszczenia, do których wchodził, dobór pokoi hotelowych, sposób poruszania się po ulicy czy na otwartej przestrzeni. Jakub wyczuwał w nim bratnią duszę. Byli ludźmi z tej samej gliny.

- Okej. Dziękuję. Przyjadę ze Staszkiem za... powiedzmy pół godziny. Może czterdzieści minut, o ile mojego środka lokomocji szlag nie trafi, oczywiście. Do zobaczenia.

Rozłączył się.

- Jedziemy na Bielany.

- Do Bena? - Krzeptowski wrzucił bieg, wyjechał na środek drogi i wcisnął mocno gaz. Ratriak szarpnął do przodu i zaczął gwałtownie przyspieszać.

- Owszem.

- Dlaczego akurat do niego?

- Być może będzie mógł pomóc. O ile zechce.

Krzeptowski spojrzał pytająco. Jakub po prostu patrzył przed siebie.

- Tym skurwysynom się wydaje, że trzymają wszystkie sznurki w ręku. Że porywając Helenę, mają mnie w garści. Ale popełnili błąd - powiedział cicho. Jakby do siebie.

- Wiem.

- Wiem, że wiesz. Natomiast mam nadzieję, że oni nie wiedzą. O ile się nie mylę, pomoże nam cholerny przypadek. Ale to taki sam dobry powód, by złapać ich za jaja, jak każdy inny, nie sądzisz?

17.

Obudziła się. Po chwili przypomniała sobie (instynkt podpowiedział jej, że musi zrobić to naprawdę szybko), gdzie przebywa i co się wydarzyło. Siedziała oparta plecami o ścianę, ręce miała skrępowane na plecach, możliwe nawet, że własnymi kajdankami. Bolało ją zebro, z trudem mogła oddychać. Pomyślała obojętnie, że najprawdopodobniej jest złamane; równie obojętnie doszła do wniosku, że w obecnej sytuacji nie ma to żadnego znaczenia.

Na krześle ustawionym o dwa metry od jej celujących w sufit stóp siedział człowiek, którego знаła ze zdjęcia. Możliwe, że mogła się założyć, że to Jurij. Dopiero teraz

miała okazję mu się przyjrzeć. Krótka

290

charakterystyka: człowiek stanowczy, skłonny do używania przemocy. Spokojny. Opanowany. Ó bardzo mocno ograniczonej mimice.

- Dobrze ci szło, prawie do końca - powiedział. Mówił po polsku z silnym akcentem, ale zrozumiale i poprawnie. - Jesteś sprytna. Nie pomyśleliśmy o odśnieżeniu kamer na dachu. Brawo. Skąd znasz ten adres?

Milczała. Nawet nie myślała o stawianiu oporu. Po prostu nie wiedziała, co odpowiedzieć. Konkretnie: nie wiedziała co odpowiedzieć temu człowiekowi.

Jurij westchnął.

- Sądzę, że zdajesz sobie sprawę, że mogę cię zmusić do mówienia. Nie będę miał żadnych oporów i zahamowań związanych z faktem, że jesteś kobietą. To zresztą nawet lepiej, kobietę można złamać szybciej. Więc powiedz mi, jak wpadłaś, gdzie nas szukać?

Pomyślała, że co prawda nie modliła się od bardzo dawna, od niemal trzynastu lat (jakoś nie mogła w sobie znaleźć dość motywacji), jednak najpewniej nadszedł właściwy czas, by zacząć. Próbowwała przypomnieć sobie słowa, choćby Ojciec Nasz; miała pustkę w głowie. Żebro kłuło przy każdym oddechu jakby rozpalonym żelazem, ręce zdrętwiały, pistolet w ręku Jurija świecił matowo, a ona nie mogła sobie przypomnieć drugiego wersu. Ojciec Nasz, któryś jest w niebie... Jak to idzie, do cholery?

Opuściła głowę.

Usłyszała szurnięcie krzesła, zamknęła oczy, z zupełnym spokojem próbując wyobrazić sobie, co za chwilę nastąpi. Prąd? Serum prawdy? Bicie? Gwałt? Strzał był bardzo głośny i zaskoczył ją do tego stopnia, że przez ułamek sekundy naprawdę nie wiedziała, co się stało. Poderwała głowę w momencie, kiedy Jurij zrywał się z krzesła. Tuż wcześniej usłyszała, że kula wbija się w ścianę, gdzieś obok niej i nieco powyżej, zignorowała to, błyskawicznie stanęła na nogi (miała je swobodne, Jurij najwyraźniej uznał, że krępując jej tylko ręce i mając w ręku pistolet, całkowicie panuje nad sytuacją) i rzuciła się do przodu, nie zważając na ból.

Jurij oczywiście słyszał ruch, ale zdecydował wpierw stawić czoła bardziej konkretnemu niebezpieczeństwu - człowiek z pistoletem, choć

291

za pierwszym razem spudłował, miał jeszcze dość kul w magazynku, by strzelić co najmniej raz lub dwa, nim Jurij zdoła zlokalizować cel i zneutralizować go - i popełnił błąd, dopuścił bowiem, by Zuzanna znalazła się za jego plecami. Ciężki, zimowy but zatoczył niewielki łuk i trafił prosto w bok stawu kolanowego Rosjanina. Chrupot miażdżonej kości był nadto wymowny, mężczyzna, jakkolwiek potężny i silny, upadł na podłogę. Dopiero wtedy krzyknął z bólu. Zuzanną wymierzyła drugiego kopniaka i broń poleciała w kąt wraz z kawałkiem oderwanego palca. Jednak Jurij nie zamierzał się poddać. Lewą ręką zagarnął powietrze i złapał Zuzannę za kostkę, po czym mocno szarpnął. Wywróciła się na plecy i niemal straciła przytomność. Żebro zaatakowało z taką samą bezwzględnością jak przeciwnik, po

prostu dało jasno do zrozumienia, że nie życzy sobie takiego traktowania. Zignorowała je, zresztą i tak nie miała specjalnie innego wyboru. Kopnęła drugą nogą w dłoń zaciśniętą na kostce, Jurij krzyknął i poluzował chwyt. Wyszarpnęła uwięzioną stopę, czym prędzej przekreśliła się na brzuch, podniosła się do kłku i wstała.

Jurij podniósł się także, choć o sekundę później. Twarz wykrzywiła mu wściekłość. Ciężar ciała starał się utrzymywać na zdrowej nodze. Zrobił krok do przodu i wtedy padł drugi strzał.

Kula tym razem odnalazła cel. Wbiła się w pierś mężczyzny; Jurij osunął się na ziemię. Do wymalowanej nadal na twarzy wściekłości doszły zaskoczenie i ból. Stęknął i zaczął pluć krwią. Próbował wstać, ale bez rezultatu. Po chwili zastygł w bezruchu. Siedział niemal dokładnie w miejscu, w którym jeszcze przed chwilą Zuzanna próbowała przypomnieć sobie dalsze słowa modlitwy.

Carrie stał w progu z dymiącym jeszcze pistoletem - najprawdopodobniej odebrany strażnikowi, Zuzanna po zrewidowaniu ich w pośpiechu po prostu odłożyła broń na bok, poza pole widzenia skrępowanych ochroniarzy; błąd, który się bardzo opłacił - i walczył z nudnościami. Strzelał do człowieka po raz pierwszy w życiu, w ogóle pierwszy raz trzymał w ręku broń.

Nie tak sobie wyobrażał ten dzień i nie tak wyobrażał sobie spłacenie długu wobec tej dziwnej, nieprzeniknionej kobiety. Czuł, że wtedy na dachu powinien czym prędzej zawrócić i pojechać do domu, pomimo to jakaś przemożna siła wepchnęła go do środka. Zszedł

292

na dół kilka minut po Zuzannie, słyszał odgłosy walki, sam borykał się z narastającą paniką i żołądkiem fikającym koziołki. Minał przytomnych już i wściekle łypiących ochroniarzy przytroczonych do poręczy schodów, poszedł dalej, po czym o mało nie potknął się o strażnika leżącego kondygnację niżej. Niedaleko dostrzegł pistolet. Podniósł go machinalnie, od razu czując się pewniej i z obrzydzeniem stwierdzając, że ten rodzaj atawistycznego poczucia siły sprawia mu przyjemność.

Gdy zszedł do piwnicy, instynktownie poczuł, że coś jest nie tak i Zuzannie grozi niebezpieczeństwo. Najciszej, jak potrafił, podszedł do otwartych drzwi. Zobaczył barczystego mężczyznę siedzącego na krześle z pistoletem w ręku i opartą o ścianę Zuzannę, która wyglądała, jakby spała. Nie miał czasu zastanowić się nad tym, ani nawet pomyśleć, co ma robić dalej, mężczyzna bowiem wstał gwałtownie, odsuwając krzesło i zrobił krok w stronę Zuzanny.

Carrie wycelował w plecy faceta i strzelił, dopiero ponieważ orientując się, że nawet nie sprawdził, czy pistolet jest odbezpieczony i przeładowany. Odrzut broni zaskoczył go w równym stopniu co huk. Szybko zorientował się, że spudłował. Potem stał jak skamieniały, w panice obserwując rozgrywającą się tuż przed nosem walkę, i w końcu, gdy mężczyzna ponownie się wyprostował, a Zuzanna zeszła z linii strzału, wycelował ponownie, tym razem starannie, a następnie pociągnął za spust. Potem zastanawiał się, jakim cudownym sposobem udało mu się nie zemdleć. Gdy napastnik opadł na ścianę i zamknął oczy, charcząc okropnie, nogi się pod nim ugięły i poczuł, że traci kontrolę nad pęcherzem. Zmoczenie spodni było kwestią sekund, mimo wszystko zdołał się opanować.

Zuzanna nie miała czasu mdleć. Wstała, skrzywiła się, bo żebro nie dało o sobie zapomnieć, na wszelki wypadek kopnięciem posłała pistolet Jurija z kąta za drzwi. Stała przed Carriem. Chłopak spojrzął na nią mętnym wzrokiem. Oceniała, że jest na granicy świadomości.

- Dasz radę mnie rozwiązać? - zapytała miękko.
- Słucham? - nie sprawiał wrażenia człowieka, do którego dociera rzeczywistość. Ale próbował się skupić. - Rozwiązać? Postaram się. Rozwiązać? Tak. Zuzanna zerknęła na Jurija. Nadal bez ruchu siedział pod ścianą. Z wielkiej rany na piersi sączyła się krew, całkowicie pokrywając jasny

293

pulower i spływając na spodnie. Zuzanna miała wrażenie, że klatka piersiowa mężczyzny unosi się w powolnym, niemal niezauważalnym rytmie.

- W moim plecaku jest nóż - powiedziała łagodnie. Carrie nadal był daleko. - Będzie ci łatwiej zrobić to nożem, o ile oczywiście nie utniesz mi ręk.

Haker rozejrzał się, po czym podążył za wzrokiem Zuzanny. Podeszedł chwiejnie do plecaka, przez chwilę grzebał w nim bez specjalnego przekonania, w końcu wyciągnął zgrabnego spydera. Zuzanna poczuła chłód stali na nadgarstkach i nim zdążyła pomyśleć, że cholernie ryzykuje, była wolna.

Przez dłuższą chwilę rozcierała zdrętwiałe ręce. Podeszła do Jurija i przytknęła mu dłoń do szyi. Wyczuła puls. Nieregularny i słaby, ale wyraźny. Mężczyzna miał zamknięte oczy i oddychał cicho. Wyprostowała się.

- Dziękuję. A teraz oprzytomnij. Potrzebuję cię - powiedziała do Carrie'ego.
18.

- Kuuuuubaaaaa! - Francesca jak zwykle zareagowała na jego widok wybuchem zaraźliwego entuzjazmu. Bywał on niekiedy krępujący, zwłaszcza w obecności Heleny i Bena, który co prawda obserwował tego rodzaju wysoki z wyrozumiałym uśmiechem, ale Jakub w tym wypadku rezerwie Barlowa nie wierzył za grosz. Fransi była niewysoka i dość rozłożysta w biodrach, twarz jednak miała piękną, nieco podobną do fizjonomii słynnej rodaczki Monicy Bellucci. Jakub osobiście uważał, że uroda Franceski Schiavone-Barlow jest nawet bardziej interesująca.

- To miło bardzo widzieć cię, w zdrowiu. Ja nadzieję mam, że u ciebie dobrze wszystko, co?

- Tak, Fransi, dziękuję. Możemy wejść?

- Jasne. Wchodzić mi szybko. Zimno jest.

Rzeczywiście, nawet krótkie otwarcie drzwi znacznie wpływało na ciepłość stosunkowo dobrze ogrzanych pomieszczeń. Przeszli przez próg, Francesca z hukiem zamknęła drzwi.

294

Znaleźli się w twierdzy Fransi i Bena, przedwojennej willi utrzymanej w modernistycznym stylu. Właściciele nadali jej blask i niepowtarzalny charakter. Dwupiętrowa budowla z płaskim dachem została odrestaurowana z dbałością o szczegóły i architektoniczne detale. Elewacja w kolorze ecru kontrastowała z mahoniowymi framugami okien, gustownie dobrane oświetlenie wieczorami uwypuklało piękno i lekkość projektu, z czasem stanowiącego coś w rodzaju

architektonicznego wzorca w tej części Starych Bielan

- Potrzebuję twojej pomocy - powiedział Jakub, gdy po dziesięciu minutach upewniania się, na co goście mieliby ochotę (Lasagne, w święta? Chyba żartujesz Francesko, podaj te pyszne śledzie w śmietanie, które zrobiłaś według przepisu sąsiadki. Jestem pewien, że goście dawno nie jedli czegoś podobnego), goście i gospodarz zostali w saloniku sami.

- Nareszcie - Ben mówił po polsku prawie bez akcentu. Jego zdolności językowe były zadziwiające. - Co tylko będę mógł.

Jakub bez słowa postawił komórkę na szklanym blacie niskiego, klubowego stolika. Włączył odtwarzanie i podkręcił głośność.

„Kuba? Tu Lena. Ze mną wszystko w porządku. Nie jestem sama, ale czuję się dobrze...”

Nagranie trwało blisko cztery minuty i w tym czasie żaden ze zgromadzonych w pokoju mężczyzn nie odezwał się ani słowem. Jakub miał zamknięte oczy, Krzeptowski wypatrywał czegoś w zapadającym za oknem zmroku, a Ben po prostu patrzył na leżący na stoliku aparat.

- Przyjmij wyrazy szczerego współczucia - powiedział, gdy rozległ się mechaniczny trzask i głos umilkł. Twarz miał ściągniętą, po niedawnym uśmiechu i życzliwym spojrzeniu nie zostało śladu. - Naprawdę bardzo mi przykro. Lena jest wspaniałą kobietą. Domyślam się, co musisz przeżywać.

- Dziękuję. Chcę zrobić wszystko, by ta strata była przejściowa i trwała jak najkrócej.

- To zrozumiałe. Jak mogę ci pomóc? - ceremonialne wyrazy współczucia musiały zostać wypowiedziane, Ben, choć mieszkał od wielu lat w Polsce, był w końcu przedstawicielem narodu przywiązującego ogromną wagę do właściwych form zachowania. I tak stosunkowo szybko przeszedł do rzeczy.

- Słyszałeś nagranie. Lena zwróciła mi uwagę, że porywaczem jest facet, który kupił od niej obraz. „U nas straszny wiatr” to hasło znane

295

tylko mnie i jej. Faktycznie obraz nazywał się „Nieuchwytny”. Pamiętasz, jak w czerwcu wasza ambasada zorganizowała wystawę młodej polskiej sztuki? Lena była zaproszona jako główny artysta.

- Pamiętam - Ben uśmiechnął się lekko. Organizacja tej wystawy kosztowała go dwa lunche z attache kulturalnym oraz bardzo długą kolację z ambasadorem. - To była bardzo fajna impreza.

- Lena czuła się jak gwiazda. Sprzedała wszystkie swoje obrazy...

- Zasluguje, by być gwiazdą.

- Wiem. Na tej imprezie „Nieuchwytnego” kupił pewien facet.

- Chcesz przejrzeć listę zaproszonych gości? Listę transakcji?

- Owszem. I nagrania.

- Wątpię, by przyjęcie było rejestrowane - Ben potrząsnął głową.

- Możemy się upewnić? Lista gości jest okej, ale chciałbym mieć też jego podobiznę.

Barlow myślał intensywnie. Bardzo mu się nie podobało to, co usłyszał, ponieważ...
...doskonale współgrało z wydarzeniami ostatnich dni. Oraz informacjami dyskretnie

wyszeptanymi przy piwie przez dawnych kolegów.

Jeszcze ta pogoda.

- Domyślasz się powodów, dla których Helena została porwana? -zapytał w końcu.

- Z grubsza. Prowadzę śledztwo związane z zabójstwem pewnego meteorologa. Sprawa okazała się bardziej skomplikowana, niż się wydawało jeszcze trzy dni temu. Różnym ważnym ludziom zależy na wykryciu sprawców, a szybko okazało się też, że innym ludziom zależy, aby sprawców nie wykryć. Jestem, a raczej byłem szefem dochodzenia. Porywacze sądzą, że więżąc Lenę, mają mnie w ręku.

- Meteorologa? - Barlow spojrział mimowolnie za okno, za którym umierał świat.

- To zbieg okoliczności?

- Nie sądzę. Ten meteorolog sporządził raport, gdzie w sposób ścisły i precyzyjny opisał dzisiejszą katastrofę. Raport został utajniony. Mamy powody przypuszczać, że raport i zabójstwo są ze sobą powiązane. Inaczej mówiąc, raport i chęć utajnienia go mogły być przyczyną zabójstwa.

- Okej - Barlow w zamyśleniu tarł podbródek. - Myślę, że powinieneś mi opowiedzieć więcej. Być może będę w stanie ci pomóc, ale nie mogę działać po omacku.

296

JF

19.

Komisarz Niespodziany przysiągł sobie przy najbliższej okazji rzucić całą tę współpracę w cholerę.

Choć ubrał się najcieplej, jak mógł, dwa razy wychodził przed klatkę i wracał do domu, by dobrać jeszcze pewne elementy garderoby. Gdy w końcu znalazł się na ulicy, poczuł, że pomimo grubego szala, którym okrył twarz, pozostawiając tylko wąską szparę na oczy, skóra zaczęła piec. Na wysokości ust błyskawicznie utworzyła się lodowa skorupa powiększająca się z każdym oddechem. Wiele warstw ubrania krępowało ruchy, niemal nie pozwalało się schylić.

Jego własny samochód, stareńki opel astra, oczywiście odmówił posłuszeństwa.

Akumulator zakręcił dwa razy silnikiem i zamilkł. Henio wiedział, że dalsze próby

nic nie dadzą; auto było równie skore do współpracy, jak okalające go zasy

Gdy wysiadł i rozejrzał się, nie dostrzegł na ulicy żadnych poruszających się

pojazdów. Gdzieś w oddali przemknął samotny przechodzień, pochylony i

przytykający rękę do ust; poza tym miasto sprawiało wrażenie wymarłego.

W normalnych warunkach, czasem gdy był w dobrym nastroju, fundował sobie

spacer do komendy. Zajmował mu godzinę i był męczący, ale Henio wmawiał sobie,

że to dla dobra organizmu i odzyskania dawno utraconej kondycji fizycznej. Teraz

spacer odpadał; komisarz nie sądził, by był w stanie przejść więcej niż pół kilometra.

Zapadał się wyżej kolan, a i tak chodnik wokół jego bloku sprawiało wrażenie

niedawno czyszczonego. Dalej mogło być znacznie gorzej.

Mimo to ruszył do przodu. Wymyślał na cały świat, obiecując sobie, że już nigdy nie przyjmie podobnych zleceń, choćby nie wiadomo jakie kokosy obiecywano.

Wyciągał nogi ze śniegu i brnął, klnąc i złorzecząc. Krok, następny i jeszcze jeden.

Niech to szlag!

20.

Tylko kilka chwil zajęło Zuzannie przekonanie obu, lekko jeszcze oszołomionych techników, by zdradzili kod dostępu do serwerowni

297

oraz loginy i hasła potrzebne do wejścia do systemu. Carrie, blady i lekko chwiejący się na nogach, wyciągnął ze swojego plecaka laptopa, wszedł do serwerowni i podłączył się do głównego serwera. Uznał, że ściąganie wszystkich danych nie ma specjalnego sensu, chciał po prostu przejrzeć zawartość dysków, by ewentualnie wyselekcjonować to, co najistotniejsze.

Zuzanna, posykurując z bólu, pod lufą wyprowadziła obu techników na górę, gdzie dołączyli do ochroniarzy przykutych do poręczy schodów. Upewniwszy się, że wszyscy są dobrze skrepowani, zaczęła przeszukiwanie budynku, ze szczególnym uwzględnieniem gabinetów. Szło jej wolno, żebro bolało przy każdym ruchu, adrenalina opadła, a ciało zaczęło odreagowywać stres, zmęczenie i zimno.

Wstrząsana dreszczami, zaciskając zęby, przeszukiwała pokój po pokoju.

W jednym z nich odkryła segregator opatrzony nalepką „Umowy najmu”. Nie znalazła w nim niczego ciekawego. Zabrała go jednak ze sobą. Drugi zatytułowany był „Filie”. Siedem lokalizacji. Przy drugiej zamarła. Dawidy Bankowe, ulica Główna sześć. Zamknięte centrum szkoleniowe. Brak oferty dla klientów zewnętrznych.

Czyżby to było takie proste?

Ten segregator również wrzuciła do plecaka.

W budynku było zimno, nie więcej niż dwanaście stopni. Chciała jak najszybciej opuścić te mury. Zeszła do piwnicy. Żebro nie dokuczało już tak bardzo.

- Jak idzie? - zapytała Carrie.

- Dopiero zacząłem przeglądać. Jest tego bardzo dużo, większa część zaszyfrowana. Muszę mieć kilka dni, żeby się dostać do danych.

- Nie mamy nawet kilku godzin. Dasz radę wymontować twarde dyski?

- Owszem - Carrie wzruszył ramionami. Nadal był blady, ale przynajmniej zaczął myśleć. - Piętnaście minut.

- Działaj. Zabierzemy je ze sobą.

Carrie skinął głową. Wyciągnął ze swojego plecaka śrubokręt i zaczął odkręcać tylną pokrywę serwera.

Zuzanna ostrożnie weszła do pokoju, w którym odbyła się walka. Powoli podeszła do rannego. Jurij żył jeszcze, choć nadal był nieprzytomny. Plama krwi na podłodze powiększyła się. Piers mężczyzny unosiła się lekko, poruszana nieregularnym i płytkim oddechem.

298

Z wahaniem, przełamując niechęć i odrazę, obszukała go. Z kieszeni swetra, starając się nie pobrudzić rąk, wyciągnęła komórkę. Niczego innego godnego uwagi nie znalazła.

Cofnęła się, podniosła z ziemi krzesło kopnięte przez Rosjanina i usiadła. Weszła do menu telefonu, wybrała opcję książki telefonicznej i otworzyła ją. Dziewiętnaście numerów, dziewiętnaście skrytych pod pseudonimami kontaktów.

Po dłuższej chwili uświadomiła sobie, jak bardzo doskwiera jej chłód. Adrenalina

definitywnie przestała działać, a dreszcze się nasiliły. Przyszło jej do głowy, że najprawdopodobniej ma gorączkę. Poczula się kompletnie wyczerpana i wyzuta z energii. Apatia, stan często występujący po ogromnym wysiłku i napięciu nerwowym, podkradła się niepostrzeżenie i zaatakowała bez uprzedzenia. Niejasno zdała sobie sprawę, że najważniejsze dopiero przed nią, że musi skoncentrować wszystkie siły na ostatnim zadaniu, że nie może poddać się fizycznej słabości. Ale nie miała siły się ruszyć, nie miała siły myśleć.

Nie miała siły pozostać przy życiu.

- Gotowe. - Carrie: głos jak zza grubej kurtyny. Zuzanna z najwyższym trudem zmusiła się do otwarcia oczu.

- Już? - mruknęła. Wrzuciła telefon do kieszeni i powoli wyprostowała się.

- Cztery dyski. Wydaje mi się, że wziąłem wszystko co najważniejsze.

- Dobrze - tym razem głos był głośniejszy od szeptu.

- Chodź - Carrie podszedł i wyciągnął dłoń. - Pomogę ci.

- Dam sobie radę. Idź na górę i poczekaj. Mam jeszcze coś do załatwienia.

21.

.....r.....*.....••.....-

.....

- Tak, George, teraz. No, niestety, wiem, jaka jest pogoda i że są święta. Uwierź mi, jeżeli nie chodziłoby o naprawdę ważną sprawę, nie niepokoiłbym cię. Tak, dobrze zrozumiałeś, chcemy pojechać do ambasady i obejrzeć pewne nagrania z czerwca, a także zapoznać się z listą transakcji i nabywcami dzieł sztuki. Przestań, wiem, że rutynowo archiwizujecie nagrania przez rok, a niekiedy nawet dłużej. Skończył się etap taśm wideo, pamiętasz? Musisz zadzwonić do ambasadora? Może 299

Z wahaniem, przełamując niechęć i odrazę, obszukała go. Z kieszeni swetra, starając się nie pobrudzić rąk, wyciągnęła komórkę. Niczego innego godnego uwagi nie znalazła.

Cofnęła się, podniosła z ziemi krzesło kopnięte przez Rosjanina i usiadła. Weszła do menu telefonu, wybrała opcję książki telefonicznej i otworzyła ją. Dziewiętnaście numerów, dziewiętnaście skrytych pod pseudonimami kontaktów.

Po dłuższej chwili uświadomiła sobie, jak bardzo doskwiera jej chłód. Adrenalina definitywnie przestała działać, a dreszcze się nasiliły. Przyszło jej do głowy, że najprawdopodobniej ma gorączkę. Poczula się kompletnie wyczerpana i wyzuta z energii. Apatia, stan często występujący po ogromnym wysiłku i napięciu nerwowym, podkradła się niepostrzeżenie i zaatakowała bez uprzedzenia. Niejasno zdała sobie sprawę, że najważniejsze dopiero przed nią, że musi skoncentrować wszystkie siły na ostatnim zadaniu, że nie może poddać się fizycznej słabości. Ale nie miała siły się ruszyć, nie miała siły myśleć.

Nie miała siły pozostać przy życiu.

- Gotowe. - Carrie: głos jak zza grubej kurtyny. Zuzanna z najwyższym trudem zmusiła się do otwarcia oczu.

- Już? - mruknęła. Wrzuciła telefon do kieszeni i powoli wyprostowała się.

- Cztery dyski. Wydaje mi się, że wziąłem wszystko co najważniejsze.

- Dobrze - tym razem głos był głośniejszy od szeptu.

- Chodź - Carrie podszedł i wyciągnął dłoń. - Pomogę ci.
- Dam sobie radę. Idź na górę i poczekaj. Mam jeszcze coś do załatwienia.
- Tak, George, teraz. No, niestety, wiem, jaka jest pogoda i że są święta. Uwierz mi, jeżeli nie chodziłoby o naprawdę ważną sprawę, nie niepokoiłbym cię. Tak, dobrze zrozumiałeś, chcemy pojechać do ambasady i obejrzeć pewne nagrania z czerwca, a także zapoznać się z listą transakcji i nabywcami dzieł sztuki. Przestań, wiem, że rutynowo archiwizujecie nagrania przez rok, a niekiedy nawet dłużej. Skończył się etap taśm wideo, pamiętasz? Musisz zadzwonić do ambasadora? Może

299

chcesz, żebym sam zadzwonił? Jednak nie? W takim razie przekaż ambasadorowi, że Ben Barlow nalega, by móc dostać się do archiwum ambasady i spędzić tam godzinę lub dwie. Aha, powiedz także, że nie przyjdę sam. Będzie mi towarzyszyło dwóch współpracowników. Będę zobowiązany. Czekam. Dziękuję.

Ben odłożył aparat i spojrzał na obu policjantów. Z kuchni dochodziły odgłosy pracowitej krzątania.

- Mój znajomy postara się załatwić nam dostęp do wykazu transakcji oraz nagrań - powiedział. Jego ogorzała twarz była bledsza niż zwykle, ale może to kwestia pogody. Temperatury. Ciśnienia. Ogólnej sytuacji politycznej.
- Nie wyglądał na zachwyconego - mruknął Tyszkiewicz. Nie rozumiał wszystkiego z wypowiedzianych szybko angielskich zdań, ale podstawowy sens złapał prawidłowo.
- Bo nie był. Jest pierwszy dzień świąt, mamy zimę dwustulecia, a on musi zawracać głowę ambasadorowi - Barlow uśmiechnął się szeroko. - Dla biurokratów dni wolne od pracy są nietykalne. Poza tym George Wakeman to dupek. Myśli tylko o wyrwaniu się stąd.
- Dupkami usłany jest cały świat - potwierdził Tyszkiewicz. - Domyślasz się może, według jakiego klucza dobierani są goście na tego typu imprezach?
- Różnie. W tym wypadku impreza była typowo promocyjna, toteż zaproszono zarówno mieszkających w Polsce Brytyjczyków, jak i Polaków, którzy mogliby potencjalnie być zainteresowani mecenatem dla młodych artystów, a może byliby chętni i byłoby ich stać, by po prostu kupić ten czy ów obraz lub rzeźbę. Zaproszenia szły przez znajomości ambasadora, George'a Wakemana albo ludzi od kontaktów biznesowych.

-Ach tak - Jakub myślał intensywnie. Chciał już wyjść. Bez przejrzenia listy gości, zidentyfikowania rozmówcy i ustalenia jego personaliów nie byli w stanie posunąć się do przodu.

Do salonu weszła Francesca i zaprosiła ich do jadalni. Śledzie w śmietanie okazały się rewelacją dnia. Fransi była niezwykle utalentowaną kucharką, przyrządzone przez nią potrawy charakteryzowały się niezwykle smakiem, były przy tym pięknie podane.

Rozmowa przez jakiś czas toczyła się wokół pogody, paraliżu służb komunalnych, przerwanej komunikacji. Ben podchodził do tego z filo-

300

zoficznym spokojem, twierdząc, że takie anomalie pogodowe trwają krótko i jakby źle nie było, razem z Fransi są w stanie przetrzymać każdy kataklizm. W razie czego

będą oczekiwali nadejścia lepszych czasów w małżeńskim łożu, przykryci potrójną puchową kołdrą; czy będą oczekiwali beczynnie, to zupełnie inna sprawa. Francesca zarumieniała się lekko i stwierdziła, żeby wybił sobie głupstwa z głowy, mają bowiem poważniejsze zmartwienia. Ben na przemian mrugał zawzięcie do Jakuba i podnosił oczy do nieba.

Tyszkiewicz na moment zapomniał o kłopotach. Zawsze czuł się doskonale w towarzystwie tych ludzi. Powodowali, że nawet będąc w najgorszym nastroju, potrafił z większym optymizmem spojrzeć w przyszłość.

W końcu w kieszeni Bena zadzwonił komórka.

- Tak, George? Rozmawiałeś z ambasadorem? Świetnie. Zgodził się? Okej, jestem ci głęboko wdzięczny. Chcę zaraz ruszyć. Powiedzmy, że w ciągu godziny powinienem dotrzeć na miejsce. Jeszcze raz dziękuję.

- Ruszamy? - zapytał Jakub, gdy Barlow odłożył aparat.

- Tak. Ambasador nie miał nic przeciw temu, abyśmy poszperali w archiwum.

- Gdzie wy chcecie jechać? - Francesca wojowniczo wysunęła podbródek do przodu. - W taką pogodę?

- Tyszkiewicz zawahał się. Lubił Fransi, ale nie wiedział, czy chce wtajemniczać ją w swoje sprawy.

- Musimy coś sprawdzić w archiwum ambasady - Ben dobrze znał swoją żonę. Kręcenie tylko pogorszyłoby sytuację.

- Teraz?

- Niestety, Fransi. To bardzo pilne.

- Nie takie pilne, żeby nie mogło poczekać - Francesca przeszła na angielski, który był jej zdecydowanie mocniejszą stroną niż język przybranej ojczyzny. - Zamarzniecie na śmierć. Nie zgadzam się.

- Niestety. Musimy.

-Ale...

- Mamy pojazd specjalnie przystosowany do poruszania się przy takiej pogodzie

- włączył się do rozmowy Jakub. Spieszyło mu się. Nie chciał konfliktów. Musiał ją przekonać. - Ben za kilka godzin będzie z powrotem.

301

- Wszystko jedno, w taką pogodę o nieszczęście nietrudno - wskazała ręką za okno, za którym zapadał mrok.

- Fransi, proszę cię - Jakub wstał. - Bardzo cię proszę. To dla mnie niezwykle ważne.

Francesca przyjrzała mu się w skupieniu: Jakub w potrzebie. Poszarzała twarz, sine usta, przekrwione oczy. Zmartwiony i smutny. Jakby zrezygnowany. Potrzebuje pomocy. Dług, który u niego zaciągnęli...

Popatrzyła na męża, a potem na Krzeptowskiego, milczącego, potężnego górala, którego nie imażo się nieszczęście i na którego zawsze można było liczyć. Skinęła głową. Niechętnie. Ale jednak.

- Jedźcie - powiedziała. - Tylko uważajcie na siebie.

22.

- Posłuchaj uważnie - Zuzanna zatrzymała samochód dwieście metrów od mającego w mroku budynku Komendy Stołecznej. - Mówiłam serio. Możesz

zatrzymać się u mnie, mieszkanie jest anonimowe, nikt o nim nie wie. W środku masz zapasy na kilka dni, powinieneś dać radę. Ale najpierw przekażesz dyski z Chmielnej wraz z nagraniami, które odczytaliśmy u ciebie w domu, i charakterystykami gości z zasobów ABW nadkomisarzowi Jakubowi Tyszkiewiczowi albo aspirant Jadwidze Stec. Tylko im. Do rąk własnych. Zapamiętasz?

- Jakub Tyszkiewicz. Nadkomisarz. Jadwiga Stec.

- Po prostu poproś dyżurnego, żeby cię z którymś z nich skontaktował. Nie udzielaj żadnych wyjaśnień. Powiedz, że dostałeś materiały ode mnie, nie wiesz, gdzie jestem, nie znasz mnie, robisz mi przysługę. Koniec. Oczekaj, aż to wszystko się skończy, wyjedź z kraju i zapomnij, co widziałeś wczoraj i dziś. Masz kasę, na jakiś czas ci wystarczy, przy twoich zdolnościach nie powinieneś mieć problemu, żeby się jakoś ustawić i normalnie żyć.

- A ty? - Carrie odebrał to przemówienie jako pożegnanie. Zresztą: całkowicie prawidłowo i zgodnie z intencją rozmówczyni.

- Ja? - Westchnienie. Nieznaczące opadnięcie ramion. - Skończę to, co zaczęłam.

- Chcę ci pomóc.

- Nie. - Głowa: lewo, prawo. - Nie masz nic więcej do roboty.

302

- Mimo wszystko...

- Koniec dyskusji.

Carrie wpatrywał się w jej twarz, jakby chcąc zapamiętać każdy szczegół.

- Mam wrażenie, że więcej cię nie zobaczę.

- To całkiem możliwe - w głosie Zuzanny było tyle smutku, tyle pogodzenia z losem, tyle rezygnacji, że Carriego coś ścisnęło w gardle. - Spłaciłeś dług, masz kasę, jesteś wolny. Zaczynaj wszystko od nowa. Teraz idź.

-Nie o to chodzi...

- Wiem. Mimo wszystko tak będzie lepiej. Uwierz mi.

Haker nie wykonał żadnego ruchu, a Zuzanna po prostu patrzyła na niego. W końcu sięgnął do klamki i zaczął otwierać drzwi. Mróz wdarł się do środka z energią międzykontynentalnej rakiety balistycznej.

- Carrie - usłyszał.

Odwrócił się, a wtedy Zuzanna nachyliła się i delikatnie pocałowała go w usta. To było mniej niż muśnięcie motyla i trwało ledwie sekundę, ale jemu wydawało się, że poszybował do raju. Chciał odwzajemnić pocałunek, dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo intensywnie o tym marzył, Zuzanna odsunęła się jednak i wbiła wzrok w przednią szybę.

- Idź już - powiedziała.

Jeszcze przez chwilę trwał w oszołomieniu, nie zwracając uwagi na zimno. W końcu jednak wysiadł i sennym ruchem zatrzęsął drzwi. Silnik land cruisera ryknął, samochód skoczył do przodu; bardzo szybko zniknął za zakrętem.

23.

Henio nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu.

Po przejściu mniej więcej dwustu metrów całkowicie poważnie brał pod uwagę

odejście z tego świata. Był niemal pewien, że zostanie na tej cholernej, opustoszałej ulicy, zamarznięty niczym lodowa figura. Mróz atakował ze wszystkich stron, odbierał energię, zatrzymywał, sprawiał ból. Droga usiana była zaspami i stojącymi

303

r
wszędzie samochodami, ale nawet w tych teoretycznie bardziej przewianych miejscach posuwanie się do przodu wymagało wysiłku graniczącego z utratą przytomności.

I wtedy Henio, poprzez pulsującą w skroniach krew, usłyszał warkot silnika. Początkowo słaby, narastał bardzo szybko. Komisarz odwrócił się i jak przez mgłę (oczy łzawiły i nie było z nich wielkiego pożytku; Henio zresztą najczęściej trzymał je zamknięte, wtedy mniej bolały) zobaczył potężną sylwetkę śnieżnego pługu. Machnął rozpaczliwie ręką i ku jego nieopisanej radości pług zatrzymał się. Kierowca był ponury niczym otaczający go krajobraz, ale na widok policyjnej legitymacji zgodził się podwieźć komisarza do komendy, oczywiście „o ile wozu szlag nie trafi”.

Wyprawa nabrała tempa.

24.

Major Jan Tolak walczył z ogarniającym go zmęczeniem. Co gorzej, około południa zaczęła go boleć głowa. Tępe ćmienienie przekształciło się w zdrowe łupanie i dokuczalo coraz bardziej. Ogrzewanie w tych starych murach nigdy nie działało zbyt dobrze, a teraz zawiodło kompletnie; Tolak był gotów się założyć, że nawet w najcieplejszym pomieszczeniu nie ma więcej niż osiem stopni.

Policjanci, którzy pełnili dyżur, snuli się po komendzie osowiali, zmarznięci i zniechęceni. O żadnym patrolowaniu miasta czy wyjeździe na interwencje nie było mowy. Większość samochodów nie dała się nawet zapalić; te, których silniki uruchomiono, utykały już na parkingu. Łączność rwała się i nie można było na niej polegać.

Dla Tolaka i Jadwigi pustki w komendzie były wręcz pomocą, ograniczały bowiem radykalnie liczbę wścibskich spojrzeń i niedyskretnych pytań. Okazali swoje upoważnienia dyżurnemu oficerowi; ten z lekkim zdziwieniem, ale bez protestu poinformował, że pokój Jadwigi, wyposażony w komputery z dostępem do sieci i bazy danych, jest wolny i może być oddany do ich całkowitej dyspozycji.

Jadwiga pierwsze kroki skierowała do laboratorium, w którym spędziła kwadrans. Szefowa zmiany była jej dobrą znajomą, która szybko zrozumiała, na czym polega istota problemu i dlaczego po-

304

ściech z badaniem próbek DNA jest nieodzowny. Zobowiązała się do utrzymania zlecenia w stuprocentowej dyskrekcji.

Potem Jadwiga wróciła do przydzielonego pokoju. Zdjęcia sprawców porwania wrzuciła do komputera, po czym zaczęła przeszukiwać policyjną bazę danych. Po godzinie, wyraźnie czymś podekscytowana, wybiegła z pokoju niczym Szewińska w najlepszych latach.

Tolak tymczasem bezmyślnie wpatrywał się w portret pamięciowy sporządzony na

podstawie zeznań Winiarskiej. Obejrzał dla porównania setki zdjęć. Nie znalazł niczego. Trop wyglądał na całkowicie i definitywnie martwy. Niemal ucieszył się, kiedy dzwonek telefonu przerwał gnuśną, wypełnioną wilgotnym zimnem ciszę.

- Jasiu? Tu Jasiu. Możesz rozmawiać?
- Cześć - ten głos Tolak poznałby nawet w grobie. Nie sposób go było z czymkolwiek pomylić. Należał do dobrego znajomego i kontaktu operacyjnego zarazem.

Bardzo dziwne. W tej sytuacji, kontakt nie powinien był raczej się odezwać.

- Radzisz sobie jakoś?
- Powiedzmy. Trochę marzną.
- Poważnie? Nie zauważyłem, żeby było specjalnie zimno - głos zadrgał wesołością. Niemal autentyczną.
- Uwierz na słowo. Jest.
- No dobra, niech ci będzie. Chcesz znać najnowsze wieści?
- Od ciebie? Zawsze.
- Masz dostęp do sieci?
- Jeszcze mam.
- Przyślę ci coś. Procedura ta co zwykle.
- Coś ważnego?
- Portret świętego Mikołaja.
- Sorry, głupie pytanie. Będziesz pod telefonem?
- Póki działa, tak.
- Gdybym miał pytania, zadzwonię.
- Nie krępuj się.

Tolak rozłączył się, po czym spojrzał na ekran komputera. Sieć rzeczywiście jeszcze funkcjonowała, co Tolak osobiście uważał za coś w rodzaju cudu. Zalogował się do pewnego serwera zlokalizowanego gdzieś na peryferiach sieci używanej przez służby.

Wpisał

305

I

ośmionakowe hasło i otworzył skrzynkę pocztową. Miał jedną nową wiadomość. Zawierała kilkanaście linijek tekstu i załącznik. Po kliknięciu okazało się, że to dwudziestosekundowy film w formacie AVI.

Całkiem dobrej jakości, kolorowy, niemy. Głównym bohaterem był brodaty mężczyzna ubrany w kombinezon, jakiego najczęściej używają technicy albo monterzy. Duży identyfikator z wyraźnie widocznym logiem jednego z największych na rynku operatorów telekomunikacyjnych wisiał przymocowany do rozpiętej kurtki. Mężczyzna trzymał w ręku skrzynkę narzędziową. Pierwsze ujęcie przedstawiało krótką scenę rozmowy z barczystym facetem, który wyglądał na tajniaka, następnie drogę brodacza od recepcji do holu windowego. Podczas oczekiwania na windę postać mężczyzny została sfilmowana w zbliżeniu. Daszek czapki rzucał głęboki cień; rysów twarzy nie dało się rozpoznać. Tolak w zamyśleniu obejrzał film trzykrotnie, po czym rzucił okiem na tekst.

„Przesyłam ci filmik, według wszelkiego prawdopodobieństwa przedstawiający snajpera, który dokonał zamachu na prezydenta dwa dni temu. Film został nagrany

przez kamerę przemysłową w holu budynku biurowego, z dachu którego dokonano zamachu. Facet wszedł do biurowca, został sprawdzony przez naszego człowieka na parterze. Był czysty i miał oryginalne, wystawione przez pracodawcę upoważnienie umożliwiające poruszanie się po budynku. Wjechał na górę, po czym śrubokrętem załatwił jednego z naszych. W serwerowni miał ukryty karabin h&k PSG 1. Wszedł na dach. Załatwił dwóch następnych funkcjonariuszy, dokonał zamachu na prezydenta, zjechał na linie od strony Wierzbowej i rozpląnął się w powietrzu. Karabin był fabrycznie nowy, ale na razie nie znaleźliśmy drogi od producenta do zamachowca. Świadcowie zeznali, że facet miał około stu osiemdziesięciu dwóch, trzech centymetrów wzrostu, był barczysty i zachowywał się bardzo przyjaźnie. Oczy piwne, bródka typu hiszpańskiego. Używał rękawiczek. Mówił czysto, bez gwarowych naleciałości ani obcego akcentu. Miał dość wysoki głos. To na razie tyle".

Zamach.

Zamachowiec.

Kontakt, wysoko postawiony funkcjonariusz Biura Ochrony Rządu, zgodnie z zawartą umową, przekazał najważniejsze ustalenia śledztwa dotyczącego zamachu. Dla Tolaka oznaczało to tyle, że ludzie, którzy

306

odcięli go od zwierzchników i pozbawili znaczenia, nie wiedzą i nie kontrolują wszystkiego. Ich wpływy sięgają wysoko, nie są jednak wszechmocni. Umowa z BOR-em, dotycząca przekazywania, w obie zresztą strony, informacji, które mogą mieć związek z zamachem, została zawarta ustnie w wąskim, absolutnie godnym zaufania gronie. Dwóch borowików wysokiego szczebla, szef Tolaka i sam Tolak. Szef Tolaka jest out. Ale Tolak pozostał w grze. BOR działa i wywiązuje się z umowy.

Obejrzał film jeszcze raz. Coś nie dawało mu spokoju, może sposób poruszania się zamachowca, drobny gest dłoni...

Do pokoju weszła Jadwiga. Była blada i także wyglądała na bardzo zmęczoną. Kaskada kręconych włosów błyszczała mniej niż zwykle. Tolak błyskawicznie zamknął używane przed chwilą aplikacje. Nie był pewien, czy zdołał zamknąć na swej twarzy wyraz całkowitego zaskoczenia.

- Mam parę informacji - powiedziała i z widoczną ulgą usiadła na krześle obok. Położyła na biurku spory pakunek owinięty w plastikową torbę. Nie zwróciła uwagi na zachowanie rozmówcy. - Myślisz, że dałoby się zorganizować kawę?

- Owszem - odparł. Podszedł do stojącego w kącie czajnika i pstryknął włącznikiem. Odnalazł dwa kubki, nasypał obficie kawy do obu, po czym zalał wrzątkiem. Jeden z kubków wręczył Jadwidze. Ręce już prawie mu nie drżały.

- Po pierwsze kilka minut temu rozmawiałam z pewnym młodym człowiekiem. Bardzo przystojnym...

Tolak westchnął. Jadwiga przyglądała się zawartości kubka.

- Wręczył mi przesyłkę. Nie zgadniesz od kogo.

- Nawet nie będę próbował.

- Od Zuzanny.

Tolak poderwał głowę. Spojrzał szybko na leżącą na biurku paczkę.

- Co w niej jest?
- Czemu tak zbladłeś?
- Co w niej jest? - prawie krzyczał.

Jadwiga wzruszyła ramionami. Przyglądała się rozmówcy uważnie.

- TWarde dyski. I pamięć flash.
- Na pewno? Sprawdzaliśmy?
- Zobacz sam.

307

Tolak zdawał sobie sprawę, że i tak go to nie minie. Podeszedł do biurka i ostrożnie zajrzał do plastikowej torby. Rzeczywiście. Cztery twarde dyski. Pendrive. Nie wyglądały specjalnie śmiercionośnie.

-I?

-I nic. Koleś wręczył mi pakuneczek, powiedział, że od Zuzanny, nic więcej nie wie, musi zmykać i rzeczywiście zniknął we mgle szybciej, niż się pojawił.

- Masz pojęcie, co tam może być?
- Najmniejszego. Jestem ostatnią osobą, której Zuzanna cokolwiek mówi.

Tolak zastanowił się. Co za cholerny dzień.

- Pendrive" a możemy przejrzeć sami. A przy dyskach musi nam pomóc informatyk.

- Zabije mnie, jeśli go jeszcze o coś poproszę.
- Będzie musiał zabić nas oboje. Ja też go poproszę.

25.

Jakub nie spodziewał się fajerwerków emocji w trakcie przeglądania zwykłych filmów nagranych kamerą przemysłową, ale złapał się na tym, że niemal obgryza paznokcie ze zdenerwowania.

Najpierw irytująco długo jechali z willi Bena do ambasady. Po drodze minęli sześć maszyn, które próbowały odsnieżyć przynajmniej główne szlaki komunikacyjne miasta (najwyraźniej, korzystając z pogodowego zawieszenia broni, służby komunalne przypuściły kontratak), co było oczywiście pozytywnym objawem, ale zwalniało tempo marszu. Gdy wyjechali na Marszałkowską trafili właśnie na taką grupę ciężkich pług-solarek, które jadąc całą szerokością ulicy, skutecznie blokowały ruch. Krzeptowskiemu w końcu udało się je wyprzedzić, ale stracili kilka cennych minut. Dodatkowo musieli wielokrotnie stawać i czyścić szyby. Na miejsce przyjechali wykończeni.

Zaparkowali tuż przed drzwiami wejściowymi, nie przejmując się, jak na ironię wyraźnie widocznym, zakazem postoju. Brnąc w śniegu grubo powyżej kolan, zapukali do drzwi. Otworzył im zmarznięty i zły

308

sekretarz kulturalny George Wakeman, znajomy Bena i pośrednik w kontaktach z ambasadorem. Musieli wysłuchać pouczeń o zasadach korzystania z archiwum oraz oświadczenia o niestosowności przeszkadzania pracownikom ambasady (to słowo zostało wypowiedziane z wyraźnym naciskiem) w czasie świąt, na dodatek przy takiej pogodzie. Na pytanie Wakemana, kim są dwaj towarzysze Bena, ten wzruszył ramionami i skwitował pytanie nic niemówiącym stwierdzeniem o stałych współpracownikach. Wakeman machnął w końcu ręką; sprawa dotyczyła nieważnego

przyjęcia wydanego z powodów kurtuazyjnych wiele miesięcy temu.

Ben wyluszczył prośbę: chodzi o dane człowieka, który nabył obraz młodej polskiej malarki Heleny Berezowicz. „Nieuchwytny”. Tak, chcielibyśmy to wiedzieć teraz, George.

Wakeman wzruszył ramionami.

- Pamiętam tego człowieka doskonale. Nazywa się Zygmunt Wiesz-czycki.

Mogłem ci to powiedzieć przez telefon.

- Chcielibyśmy mieć jego zdjęcie i adres.

- Mój Boże, Ben, chyba żartujesz. Absolutnie... - głos Wakemana był niemal tak chłodny, jak temperatura na zewnątrz.

- George, proszę - Ben Barlow bynajmniej nie wyglądał, jakby prosił. Żądał. - To dla nas bardzo ważne. Chcemy adres.

-1 chcemy również obejrzeć nagrania z tego przyjęcia - dodał Jakub.

Wakeman spojrzał na nadkomisarza z niechęcią. Barlow postąpił krok.

- No dobrze. Chodźmy do archiwum.

Jakub szybko docenił zamiłowanie Anglików do dobrze wykonanej roboty. Na grzbiecie każdego opakowania naklejono datę nagrania, Wakeman od razu znalazł właściwą płytę. Gdy wsunął dysk do odtwarzacza, ekran telewizora podzielił się na sześć części, ukazując obraz nagrywany z sześciu kamer. Jeden z nich przedstawiał hol wejściowy, dwa główną salę, a reszta ogród, w którym odbyła się najważniejsza część wernisażu.

Jakub szybko dostrzegł Helenę.

Siedział jak skamieniały. Przestał myśleć i prowadzić dochodzenie, mógł się skupić tylko na obrazie przedstawiającym ciemnooką kobietę o kuszących kształtach i tajemniczym uśmiechu. Kobieta rozmawiała

309

z gośćmi, trzymając w ręku ciągle ten sam wysmukły kieliszek wina i zdawała się nie zwracać zbytnej uwagi na pożądliwe spojrzenia panów oraz zazdrosny wzrok pań. Była gwiazdą wieczoru i doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

Wakeman wcisnął pauzę. Chwilę manipulował przy wielofunkcyjnym pilocie. Na ekranie ukazało się menu, sekretarz wybrał opcję numer jeden i ukazał się obraz z pierwszej kamery, zajmujący cały ekran. Jakość kolorowego filmu była więcej niż zadowalająca.

- To on - mruknął. Puścił film w normalnym tempie.

Centralną część ekranu zajmowała grupa trzech pochłoniętych rozmową mężczyzn.

Po chwili jeden z nich zaczął zbierać się do wyjścia, jednak obaj rozmówcy nie chcieli kończyć spotkania, łapiąc wychodzącego za rękaw marynarki, tłumacząc coś i obficie gestykułując. Mężczyzna w końcu łagodnie wyswobodził się z uchwytu natrętów, uściśnął obie dłonie i opuścił pomieszczenia ambasady.

- Który? - zapytał Krzeptowski.

- Ten, co wyszedł.

- Jest pan pewien?

-Tak.

- Czy to nagranie jest dźwiękowe?

- Nie sędzę - Wakeman zawahał się. - Nie, raczej nie.
- A ja sędzę, że raczej tak - Jakub zmrużył oczy. - Może akurat nie na takim przyjęciu, ale sędzę, że często macie tu gości, których podsłuchujecie. Chcecie wiedzieć, co mówią.

Wakeman zastygł w oburzeniu, Barlow natomiast uśmiechnął się.

Odebrał sekretarzowi pilota, chwilę przy nim pogmerał; pojawił się szum. Cofnął nagranie do momentu, w którym mężczyźni stali obok siebie.

„- Musi mi pan obiecać, że się spotkamy - mówił facet trzymający wychodzącego za rękaw. - Niezwykle mi na tym zależy...”

- ...oczywiście - ton uprzejmy i cierpliwy. Uśmiech. - Z przyjemnością się z panem spotkam...

- ...w przyszłym tygodniu...

- Doskonale. Naprawdę doskonale. Ten termin mi odpowiada...

- A zatem do zobaczenia”.

Wszyscy milczeli przez chwilę.

310

- George, mamy ostatnią dziś prośbę. Zależy nam na ustaleniu adresu tego człowieka - odezwał się w końcu Ben. - I to już będzie z naszej strony wszystko. 26.

- To się wszystko zadziwiająco łączy.

- To świetnie. Mnie tam się nic nie łączy.

Drzwi za informatykiem zamknęły się piętnaście minut temu. Po długich namowach obiecał dobrać się do zawartości twardych dysków. Rezultatów nie należało się jednak spodziewać zbyt szybko. Młody człowiek pożegnał ich pesymistycznym stwierdzeniem „o ile w ogóle”, po czym powlókł się do swego pokoju.

Gdy zostali sami, obejrzelili zawartość pamięci flash. Film z dwoma mordercami zrobił duże wrażenie. Dossier najemnych cyngli również.

- Co to jest twoim zdaniem? - Tolak widział przecież. Chciał to jednak usłyszeć od Jadwigi.

- Faceci czekali na kogoś, komu chcieli zrobić kuku. Ten ktoś miał na tyle rozumu, by nie pojawić się w tym mieszkaniu. Wcześniej ukrył kamerę aktywowaną czujką ruchu. Nagrał ich. Podrzucił nam nagranie.

- Zuzanna?

- Możliwe.

- Dzwoń do niej. Może zechciałaby udzielić jakichś wyjaśnień.

Jadwiga wyciągnęła telefon. Brak zasięgu. Komórka Tolaka: to samo.

Linia stacjonarna działała jeszcze, ale komórka Zuzanny była martwa.

Oboje westchnęli jak na komendę.

- No dobrze. Przyjmijmy, że chciała nam podrzucić jakiś ślad -Jadwiga przygryzła dolną wargę. Ten mimowolny gest pomagał jej myśleć.

- W sprawie Wicherka?

- To nie jest mieszkanie Wicherka. Ale być może Zuzanna chciała nam zwrócić na coś uwagę. Mówi: to są ludzie umoczeni w sprawę. Ci dwaj z nagrania i szóstka na zdjęciach. Wszystko najemni zabójcy, byli żołnierze albo goście z sił specjalnych. To mi się dobrze klei z facetami i wydarzeniami z domu Jakuba.

- Mianowicie?

311

- Wyników badań próbek DNA nie ma jeszcze, powinny być późnym wieczorem albo jutro, o ile oczywiście nie wysiadzie prąd. Ale dała wyniki analiza porównawcza odcisków palców - westchnęła ponownie i pociągnęła łyk kawy. Skrzywiła się, jak zwykle przy takich okazjach.

- Znalazłaś coś? - Tolak ożywił się nieco.

- No właśnie. Jeden z porywaczy, ten pogryziony przez psa, był notowany. Został zatrzymany w związku z porwaniem pewnego znanego biznesmena. Była taka sprawa kilka lat temu, rodzina wpłaciła ponad milion euro okupu, a facet został i tak zamordowany. No więc tego naszego porywacza zatrzymano, ale niczego mu nie udowodniono; prokurator nie mógł postawić zarzutów. Jednak informacje operacyjne dołączone do raportu mówią, że facet był Szwedem i cynglem na zlecenie. W ogóle ciekawa postać. Kiedyś służył w wojsku, potem krótko pracował w jednostce antyterrorystycznej, w końcu rzucił się na szerokie wody kariery międzynarodowej. Doszedł do wniosku, że w Szwecji nie ma wielkiego pola do popisu i przeniósł się do nas. Był bardzo dobrym strzelcem i całkowicie bezwzględny człowiekiem. Nawet się trochę polskiego nauczył i podobno umiał się też porozumieć po rosyjsku. Jego zdolności szybko dostrzegli chłopcy z miasta i zaczęli zatrudniać do różnych zleceń. Wyrobił sobie renomę dobrego fachowca i dyskretnego pracownika, na którym można polegać. Ostatnio zniknął.

- Rzeczywiście, pasuje - Tolak pokiwał głową. Kawa nie smakowała mu, ale czuł, że kofeina robi dobrą robotę. - Wiadomo coś o jego zleceniodawcach?

- Miasto swoje raporty ogłasza z dość dużym opóźnieniem - Jadwiga uśmiechnęła się. - Rozmawiałam z szefem wywiadowców. Znał gościa. Podobno kilka miesięcy temu ktoś szukał dobrych fachowców do dużej roboty. I kilku ludzi zniknęło z rynku. Między innymi ten Szwed.

- Wiadomo, kto szukał?

- Nie - wzruszyła ramionami. - Padło tylko imię: Jurij.

- Chodziło o porwanie żony Jakuba?

- Nic. Nawet cienia sugestii. Nie sądzę, aby jakiś tajemniczy ktoś zbierał najlepszych cyngli, by zorganizować jedno porwanie.

- Zamach na prezydenta?

312

- Prędzej. Chociaż naszego Szweda znaleźliśmy w domu Jakuba, czyli ewidentnie brał udział w porwaniu, wydaje mi się, że porwanie to tylko część jakiejś większej akcji. Może zamach na prezydenta ma z tym związek.

-1 zniknięcie Smotrycza.

-1 zniknięcie Smotrycza.

-1 zdjęcia od Zuzanny.

-Też.

Oboje zamyślili się.

- Mimo wszystko zamach na prezydenta i porwania to inny kaliber operacji. Zabicie głowy państwa ma kontekst ewidentnie polityczny. Myślę, że jest ściśle związane z tym, co się ostatnio dzieje: przejściem władzy przez tę szumowinę

Terleckiego, zmianą konstytucji i tak dalej. Skala makro - Tolak bardziej myślał na głos, niż mówił do Jadwigi. - A porwania i próba zabójstwa z filmu mogą być próbą wywarcia nacisku na nasz zespół, czyli pewnie mają związek ze śmiercią Wicherka. Skala mikro. Czy makro łączy się z mikro?

- Można się tylko domyślać - Jadwiga skończyła kawę. Miała dość. Była solidnie zmęczona i zmarznięta. Skoki ciśnienia i zimno wysysały z niej siły w niepokojącym tempie.

- Może tak. A może nie - Tolak wstał i podszedł do komputera. Właśnie przed chwilą zdecydował. - Obejrzyj to.

Uruchomił film, który otrzymał od funkcjonariusza BOR-u. Jadwiga przysunęła się do monitora. Po dwudziestu sekundach podniosła wzrok. Oczy miała rozszerzone. Twarz koloru kredy.

- Co to jest?

- Według wszelkiego prawdopodobieństwa człowiek, który zastrzelił prezydenta Rzeczypospolitej. Nagranie zostało wykonane tuż przed zamachem na parterze biurowca, z dachu którego strzelano.

- Zamachowiec? - zapytała, jakby nie rozumiejąc wypowiedzianych przez Tolaka słów.

- Najprawdopodobniej tak.

- Skąd to masz?

Milczenie.

-Puśćjeszcze raz.

Powtórkę obejrzała w jeszcze większym skupieniu niż poprzednio. Potem przez chwilę zastanawiała się, a następnie odtworzyła film ponownie, już bez pomocy Tolaka.

313

- Mamy poważny problem - powiedziała, gdy obraz zatrzymał się po raz czwarty.

- Jeszcze jeden?

- Ten jest naprawdę poważny. Tolak tylko gorzko się zaśmiał.

Odległość od Pałacu Mostowskich, w którym mieści się Komenda Stołeczna Policji, do Dawidów Bankowych wynosi dwadzieścia kilka kilometrów. Teoretycznie, nawet przy tej pogodzie, podróż powinna zająć nie więcej niż godzinę. Zajęła blisko cztery i omal nie skończyła się całkowitą katastrofą.

Początkowo wszystko szło dobrze. Opady ustały, widoczność była więcej niż zadowalająca, mrok rozświecały nieliczne co prawda, ale dające niezłą orientację w terenie latarnie, na wymarłe ulice wyjechało nawet kilkanaście pługów służb miejskich, które warcząc silnikami, próbowały stawić czoła nawałnicy.

Zuzanna dość szybko pokonała Marszałkowską i znalazła się na Puławskiej. Silnik land cruisera pracował miarowo, choć miała wrażenie, że z coraz większym wysiłkiem. Wewnątrz samochodu panowała znośna temperatura. Reflektory rozjaśniały mrok, powietrze było krystalicznie czyste.

Ze zdziwieniem przyjęła ogarniającą ją falę ulgi i spokoju. Doszła do wniosku, że tak czy inaczej wszystko się skończy. Że czekająca ją erupcja przemocy - nastąpi,

Zuzanna nie miała żadnych wątpliwości - zakończy jej życie w dotychczasowym kształcie. Paradoksalnie, porwanie Zosi i zabójstwo matki przyszło w dobrym momencie; tak jak żyła przedtem, żyć już dalej nie mogła. Siła, która trzymała jej emocje na wodzy, która pomagała jej się opanowywać w tysiącu drobnych, codziennych konfliktach i upokorzeniach, zmniejszała się i w końcu niemal stuknęła o zero. Związek z Heleną tylko na moment podładował akumulatory. W jej ramionach odszukiwała spokój, piękno i harmonię; stany duszy, których na co dzień najbardziej jej brakowało. Rozstanie przyplącała depresją i wyczerpaniem sił witalnych do dna.

314

Wczorajsze wydarzenia postawiły jasno określony cel. Wyzwoliły ostatnie rezerwy. Naprawdę ostatnie.

Bała się, że może zginąć. Nie, nie chodziło o nią; śmierć nie wydawała się złym rozwiązaniem. Martwiła się o Zosię, o istotę, której była coś winna, dla której była jedyną ostoją, a którą świat traktował z obojętnością, lekceważeniem i fałszywym współczuciem.

Zosia nie obchodziła nikogo, poza Zuzanną. Z tego punktu widzenia śmierć oznaczałaby koniec kłopotów matki i początek prawdziwych kłopotów córki. To z kolei kazało Zuzannie zachować ostrożność i kalkulować ryzyko.

Skupiła się. Przeanalizowała sposób przeprowadzenia operacji, zadania, poszczególne etapy.

Główna sześć.

Hipoteza: dziecko jest pilnowane, ale nie nadmiernie. Niepełnosprawna dziewczynka, której mózgowie porażenie dziecięce było najmniejszym z problemów, nie stanowiła dla nikogo żadnego zagrożenia. Nie mogła knuć, zrealizować planów ucieczki ani stawiać oporu; nie miała żadnej możliwości wyrażenia swej woli. Porwania są wbrew pozorom operacjami skomplikowanymi, w których łatwo o błąd. Im mniejszy krąg wtajemniczonych, tym lepiej. Wniosek: porwania i dozoru podjęła się ta sama ekipa. Walkiewicz został wyeliminowany, pozostało zatem dwóch ochroniarzy, to wszystko. Nie powinni stanowić problemu, jeśli zdeterminowana matka rozegra to dobrze. W końcu dojechała do toru wyścigów konnych. Warunki jazdy były coraz trudniejsze, zasy jakby urosły i wdarły się z poboczy na drogę. Zuzanna już dawno zapomniała o prostym torze jazdy; musiała manewrować i omijać większe wzniesienia, niektóre dochodzące nawet do dwóch metrów. Jazda przypominała kluczenie krętym wozem.

System kontroli trakcji land cruisera pracował poprawnie, mimo to koła co i rusz traciły przyczepność. Dno samochodu szorowało o śnieg, który pod wpływem mrozu uzyskał twardość pancernej blachy. Kilkukrotnie zakopała się; tylko czołgowej konstrukcji samochodu, ogromnej mocy silnika i własnym, niemałym umiejętnościom zawdzięczała wydostanie się z pułapek; za każdym razem kosztowało ją to coraz więcej nerwów i sił.

315

W końcu minęła skrzyżowanie z Poleczki. O ile bliżej centrum miasta dostrzegła kilka wozów służb komunalnych - w równej proporcji porzuconych gdzieś na poboczu oraz jeszcze funkcjonujących - o tyle teraz ulica, szeroka, trzypasmowa

arteria była opustoszała. Zresztą trudno byłoby nazwać ją arterią: martwe księżycowe pole było znacznie lepszym określeniem. Zuzanna miała nawet wrażenie, że stojące przy drodze domy i budynki są oświetlone w znacznie mniejszym stopniu niż zazwyczaj; ludzie instynktownie oszczędzali prąd, jakby podświadomie liczyli na to, że jeżeli będą go mniej zużywali, starczy na dłużej.

Przeciętne tempo jazdy spadło do piętnastu kilometrów na godzinę. Chwilami samochód jechał na wprost i po równym, chwilami kluczył niby wytrawny slalomista. Czasami zatrzymywał się, cofał i tracił czas na poszukiwania lepszej drogi.

Termometr wskazywał czterdzieści pięć stopni poniżej zera.

W końcu stało się to, co musiało się stać i czego Zuzanna przez cały czas podświadomie oczekiwała. Silnik zakrzusił się. Zuzanna zerknęła na deskę rozdzielczą, która przygasła, po czym zaczęła falować różnokolorowymi lampkami. Samochód szarpnął, Zuzanna mocno przytrzymała kierownicę, potem znowu przeniosła wzrok na szybę. Popełniła błąd, który i tak zresztą nie miał wielkiego znaczenia; land cruiser umierał.

Dwutonowa maszyna z prędkością dwudziestu kilometrów na godzinę wbiła się w ogromną, blisko półtorametrowej wysokości zasnę, usypaną w najbardziej niekorzystny z punktu widzenia Zuzanny sposób: od północy łagodna, niczym ośła łączka, po kilkunastu metrach gwałtownie wznosiła się ku górze, by na południowym końcu osiągnąć maksymalną wysokość. Zuzanna wjechała na nią właśnie od owego łagodnego zbocza. Samochód zagrzebał się po osie, a to, że był taki silny i wytrzymały, podziało, paradoksalnie, na jego niekorzyść. Silnik pchał auto do przodu, dwudzie-stocalowe opony uzbrojone w łańcuchy wgryzały się w zmrożony na kość firn i land cruiser, nim utknął na dobre, zdołał przejechać jeszcze blisko dziesięć metrów. Gdy śnieg sięgnął maski i wyspał się na nią, samochód stanął z gwałtownym szarpnięciem. Silnik zgasł. Bezwładnościowy pas spełnił swe zadanie, Zuzannie udało się uniknąć uderzenia nosem w kierownicę.

316

Chwilę siedziała w bezruchu. Szybko porzuciła początkowe zdumienie i złość. Brała pod uwagę taki obrót spraw; w gruncie rzeczy nastąpił i tak później, niż zakładała. Po prostu liczyła na cud, wiedziała, że przy tej temperaturze każdy kilometr, każde sto metrów pokonane w osłoniętej od wiatru i mrozu kabinie samochodu szybko przybliży ją do celu. Pokonywanie dystansu na własnych nogach to jeden wielki znak zapytania.

W końcu roześmiała się nerwowo, po czym odetchnęła z ulgą. Zerknęła na zegarek. Osiemnasta.

Obliczała, że od celu dzieli ją sześć, może siedem kilometrów. Mapa, zanim jeszcze GPS wyzionął ducha, wskazywała, że numer szósty znajduje się od północy, czyli od strony, z której nadejdzie. Tak więc siedem kilometrów to maksimum. Odpięła się z pasa i z mozołem przedostała na tylne siedzenie. Otworzyła plecak. Do tkwiącego w nim MP-5 i sig sauera dorzuciła z torby kilka dodatkowych magazynków, kilka kostek C4, dwa ostatnie granaty hukowe, mapę, dwie tabliczki czekolady, termos z gorącą herbatą - rano była gorąca, teraz byłoby nieźle, gdy po prostu nie zamarzła - oraz kompas.

Z torby wyjęła papacnę, najlepszą czapkę na tego typu pogodę, futrzany hełm z opuszczanymi nausznikami. Na głowę założyła kominiarkę. Na dłoniach miała cienkie bawełniane rękawiczki. Dopięła zamek błyskawiczny puchówki, założyła czapkę, rękawice z jednym palcem podbite grubym futrem, gogle i neoprenową maskę śnieżną, westchnęła, po czym wysiadła.

Mróz ogarnął ją, odebrał oddech, sdamsił. Wiatru właściwie nie było, tylko lekkie podmuchy delikatnie szeptały wśród zasp, ale Zuzanna zachwiała się i oparła o maskę samochodu, jakby uderzona ciosem wytrawnego boksera. Przez chwilę walczyła z paniką, z instynktem samozachowawczym, który nakazywał natychmiastowy powrót do samochodu, tej wyspy nadziei i ratunku.

Powstrzymała się ostatkiem sił. Z zaciśniętymi ustami i zdesperowanym wzrokiem przeszła na tył samochodu i z trudem otworzyła bagażnik. Wyciągnęła z niego narty oraz kije. Zmieniła buty ze zwykłych na narciarskie. Moment, kiedy była w samych, podwójnych i wełnianych co prawda, skarpetach, przyprawił ją o kolejną porcję dreszczy. Zarzuciła na ramię narty i z kijami w ręku zaczęła przedzierać się ku początkowi zasy. Dobrnęła do celu zdyszana, postawienie

317

nawet jednego kroku, gdy śnieg sięga wyżej pasa, zdawało się wysiłkiem niemal nadludzkim. W końcu dotarła do mniej więcej równego kawałka podłoża. Rzuciła narty w śnieg i z niemałym trudem przypięła je. Przełożyła dłonie przez pęde przy kijach i poczyniła pierwszy, niepewny krok.

Świecący gdzieś wysoko księżyc beznamytnie przyglądał się martwemu krajobrazowi.

28.

- Zygmunt Wieszczycki - Jakub wpatrywał się to w kartkę z wydrukowanym nazwiskiem i adresem, to w zdjęcie przedstawiające twarz mężczyzny z półprofilu. - Zamieszkały w Warszawie przy Malczewskiego czternaście.

- Przystojny. Arystokratyczny nos - mruknął Krzeptowski.

- Sprawia wrażenie zamożnego.

- Jeżeli rzeczywiście robi to, co robi, musi być. A chce jeszcze bardziej.

Siedzieli w ratraku zaparkowanym przed ambasadą. Silnik pracował na wolnych obrotach, powoli rozgrzewając kabinę. Dookoła panowała ciemność, rozświetlana przez nieliczne palące się w mieszkaniach lampy i latarnie uliczne stojące w Alejach Ujazdowskich. Twarz Krzeptowskiego była ledwie widoczna w blasku kabinowej lampki.

Ben Barlow pożegnał się przed pięcioma minutami, mówiąc, że ma coś jeszcze do załatwienia. Zapewnił, że na własną rękę wróci do domu. Pogoda obecnie, jego zdaniem, nie odbiega od pogody panującej rok temu na Kasprowym. Dał sobie wtedy radę, da i teraz. Oni się spieszą i nie będzie ich zatrzymywał. Chce podkreślić, że nadal pozostaje ich dłużnikiem, bo to, co dzisiaj zrobił, w żadnej mierze długu nie spłaciło. Tak uważa on sam i jest pewien, że Francesca podzieliłaby jego zdanie. Ogólnie: czas na was, chłopcy, a trąbka do boju gra.

- Co robimy? - zapytał Jakub. Pytanie zawierało w sobie wszystko: rozpacz, bezradność i strach. I brak pomysłu na dalsze działanie. Krzeptowski wiedział z

doświadczenia, że to niebezpieczny stan; Jakub nigdy nie zdradzał się z wahaniami. Pytał o zdanie, ale z reguły miał

318

własne. Dociekał, co dalej, jednak przeważnie wiedział, jaki powinien być następny krok.

- Nic o facecie nie wiemy - powiedział ostrożnie Krzeptowski. - Mamy jego imię, nazwisko, zdjęcie i adres, pod którym go ewentualnie zastaniemy. Wiemy, że kupił obraz. Nie mamy cienia dowodu, że jest zamieszany w porwanie. Tylko niejasną interpretację niejasnej wskazówki. Stanowiącej w najlepszym razie poszlakę.

- Nie pomagasz mi...

- Sam nie wiem, co robić - Krzeptowski wzruszył ramionami. - Normalnego śledztwa nie poprowadzimy. Nie ma czasu. Jest całkiem prawdopodobne, że za chwilę będziemy naprawdę musieli pomyśleć o jakimś schronieniu. Może powinniśmy wrócić do tego naszego mieszkania, kwatery głównej. Wiem, że...

- Nie, nie wiesz - Jakub w końcu spojrzał na Krzeptowskiego i Krzeptowski przestraszył się; takiego wyrazu twarzy jeszcze nie widział. - Nie wiesz. Jak dłuży mi się każda minuta. Jak...

- Przestań - Krzeptowski nie miał zamiaru wdawać się w żadne licytacje. On też, na swój sposób, przeżywał porwanie. Czuł się odpowiedzialny za nich oboje. - Nie musisz mi opowiadać, jaki jesteś biedny.

Zamilkł. Obaj siedzieli i patrzyli przed siebie. Silnik mruczał usypiająco.

- To nie było fair.

- Przepraszam.

- Masz za co. Nieważne. Mam pewien pomysł - powiedział Tyszkiewicz cicho.

- Świetnie. Ja nie mam żadnego.

- Zadzwoń do Jadwigi i poproś ją, żeby poszukała czegoś o tym gościu. Może gdzieś figuruje. Jeżeli był na wernisażu i kupił obraz Heleny za czterysta tysięcy złotych, musi mieć kasę. O takich ludziach sporo wiadomo. Niech poszuka i w zasobach policji, i w internecie.

- Zadzwonię. Ale wątpię, żeby gość swoje szemrane interesy publikował w internecie, jak w niektórych kiepskich kryminałach.

- Ja też wątpię. Ale im więcej będziemy o nim wiedzieli, tym lepiej. Może nam się coś skojarzy.

W czasie, gdy Krzeptowski odbywał rozmowę telefoniczną, Jakub myślał intensywnie. Wszystko, czego się dowiedział, próbował złożyć w jedną całość. Wahał się. Tak bywa; gdy zyskasz dowód, ogarniają cię

319

wątpliwości, bo sprawa robi się z gatunku prostej alternatywy: tak lub nie.

Prowadzenie śledztwa jest w pewnym sensie mniej obciążające psychicznie; możesz cały czas cyzelować szczegóły. Uzyskanie śladu, wyraźnego, ale nierozstrzygującego, bywa utrudnieniem.

Niestety, nie było innych dowodów. Nie było czasu. I nie było wyboru. Jakub westchnął, sięgnął po kartonową teczkę otrzymaną od premiera i otworzył ją.

„Niech pan zapamięta - szeptał niemal do ucha premier, gdy Jakub trzymał rękę na kłamec, a pozostali, siedzący przy szklanym stoliku uczestnicy narady byli oddaleni o

kilka metrów i zajęci swoimi sprawami. - Gdyby pan potrzebował wsparcia, po prostu fizycznej pomocy na najwyższym poziomie, proszę zadzwonić pod ten numer i wypowiedzieć sześciocyfrowe hasło, które ma pan zapisane obok numeru telefonu. Ktoś oddzwoni, wtedy proszę wyjawić swoją prośbę. Człowiek, z którym będzie pan rozmawiał, jest ze wszech miar godny zaufania. O ile oczywiście w obecnej sytuacji jeszcze ktokolwiek może być", dodał, widząc sceptyczną minę Jakuba.

Do tej pory Tyszkiewicz nawet nie pamiętał tego fragmentu rozmowy, nie przywiązywał do niego zbytnej wagi. Szczerze mówiąc, myślał, że śledztwo ułoży się nieco inaczej.

Tyle że jeszcze wtedy, w kancelarii premiera, Helena cieszyła się wolnością. Odczytał napisany długopisem numer i powoli, uważnie wcisnął odpowiednie klawisze. Nim pojawił się sygnał, w panice zastanawiał się, co powie temu człowiekowi. Zamierzał go przecież poprosić o coś, co nie jest związane ze sprawą Wicherka. Przynajmniej: nie ma dowodów, że jest.

Głos w słuchawce był schrypnięty i ostry.

- Halo?
- Piętnaście, osiemnaście, trzydzieści dwa.
- Przyjąłem. Oddzwonię.

Połączenie zostało przerwane. Po piętnastu sekundach aparat zawibrował.

- Słucham.
- Potrzebuję wsparcia.
- Rozumiem. Gdzie i kiedy?
- Teraz. W Warszawie.

320

wątpliwości, bo sprawa robi się z gatunku prostej alternatywy: tak lub nie. Prowadzenie śledztwa jest w pewnym sensie mniej obciążające psychicznie; możesz cały czas cyzelować szczegóły. Uzyskanie śladu, wyraźnego, ale nierozstrzygującego, bywa utrudnieniem.

Niestety, nie było innych dowodów. Nie było czasu. I nie było wyboru. Jakub westchnął, sięgnął po kartonową teczkę otrzymaną od premiera i otworzył ją. „Niech pan zapamięta - szeptał niemal do ucha premier, gdy Jakub trzymał rękę na kłamec, a pozostali, siedzący przy szklanym stoliku uczestnicy narady byli oddaleni o kilka metrów i zajęci swoimi sprawami. - Gdyby pan potrzebował wsparcia, po prostu fizycznej pomocy na najwyższym poziomie, proszę zadzwonić pod ten numer i wypowiedzieć sześciocyfrowe hasło, które ma pan zapisane obok numeru telefonu. Ktoś oddzwoni, wtedy proszę wyjawić swoją prośbę. Człowiek, z którym będzie pan rozmawiał, jest ze wszech miar godny zaufania. O ile oczywiście w obecnej sytuacji jeszcze ktokolwiek może być", dodał, widząc sceptyczną minę Jakuba.

Do tej pory Tyszkiewicz nawet nie pamiętał tego fragmentu rozmowy, nie przywiązywał do niego zbytnej wagi. Szczerze mówiąc, myślał, że śledztwo ułoży się nieco inaczej.

Tyle że jeszcze wtedy, w kancelarii premiera, Helena cieszyła się wolnością. Odczytał napisany długopisem numer i powoli, uważnie wcisnął odpowiednie klawisze. Nim pojawił się sygnał, w panice zastanawiał się, co powie temu człowiekowi. Zamierzał go przecież poprosić o coś, co nie jest związane ze sprawą

Wicherka. Przynajmniej: nie ma dowodów, że jest.

Głos w słuchawce był schrypnięty i ostry.

- Halo?
- Piętnaście, osiemnaście, trzydzieści dwa.
- Przyjąłem. Oddzwonię.

Połączenie zostało przerwane. Po piętnastu sekundach aparat zawibrował.

- Słucham.
- Potrzebuję wsparcia.
- Rozumiem. Gdzie i kiedy?
- Teraz. W Warszawie.

320

- O jakiego rodzaju wsparcie chodzi?
- Dwunastu ludzi, w tym dwóch strzelców wyborowych.
- Każdy z moich ludzi jest strzelcem wyborowym. Rodzaj zadania?
- Wejście do obiektu zamkniętego. Najprawdopodobniej wolno stojącego domu jednorodzinnego.
- Zakładnicy?
- Brak pewności. Ale to bardzo możliwe.
- Nie ma pan przeprowadzonego rozpoznania?
- Jeszcze nie. Właśnie tam jadę.
- Proszę zostawić to nam. Adres?

Jakub zawahał się przez moment. Od tej chwili nie będzie odwrotu. Wojna wkroczy na ulice Warszawy.

- Malczewskiego czternaście.
- Możemy tam dotrzeć w ciągu godziny. Proszę bez nas nie zaczynać.
- Chciałbym być dobrze zrozumiany. Prowadzę śledztwo dotyczące bardzo poważnych przestępstw. Nie chcę się pchać przed szereg, ale najpierw muszę porozmawiać z właścicielem tego obiektu. Dopiero potem, w zależności od rozwoju sytuacji, zaatakujemy. Lub nie. Najpierw przesłuchanie, potem atak. Rozumiemy się?
- Zrozumiałem już za pierwszym razem - w głosie rozmówcy zadzwieczał lód.
- Dobrze. W takim razie spotkajmy się za godzinę. Proszę zadzwonić, gdy będzie pan ze swoimi ludźmi w pobliżu.
- Skontaktuję się.

Połączenie zostało zakończone.

- Kto to był? - zapytał Krzeptowski. Skończył rozmawiać z Jadwigą i od pewnego czasu przysłuchiwał się uważnie rozmowie.
- Nie znam gościa. Jakiś lokalny Rambo.
- Prosisz o wsparcie lokalnego Rambo, którego nawet nie znasz?
- Premier dał mi namiar na kogoś, kto pomoże w razie potrzeby.
- A twoim zdaniem jest taka potrzeba?
- Stasiu, pobudka. Jeśli rzeczywiście mamy do czynienia z gościem, który porywa Helenę i być może Smotrycza, śledzi członków policyjnego zespołu dochodzeniowego, to nie jest chłopiec z piaskownicy. Jego siedziba czy mieszkanie, wszystko jedno, jest dobrze zabezpieczona. Wyobrażam sobie, że ma kilku albo kilkunastu ochroniarzy,

byłych żołnierzy, którzy potrafią zabić bez mrugnięcia okiem. Więc wezwałem kawalerię.

Krzepkowski popatrzył przeciągle i zrezygnował z zabrania głosu. W ratraku zrobiło się niemal gorąco. Przednia szyba była czysta, a widoczność więcej niż zadowalająca. Zgrzytnął biegiem i ruszył. Czekala ich droga na Mokotów.
29.

Aspirant Jadwiga Stec jeszcze nie ochłoneła po najnowszym seansie filmowym i szybkim przetrwaniu niesionej przez niego treści, gdy odebrała telefon od Krzepkowskiego. Zwykle, zwłaszcza ostatnio, kontakt z tym olbrzymim troglodytą sprawiał jej nieklamana przyjemność; teraz poczuła się rozkojarzona. Miała przy tym wrażenie, że siedzący obok Tolak, bezmyślnie wpatrujący się w ekran, ma w głowie taki sam galimatias.

- Kto to był? - zapytał w końcu major.
- Staszek. Chce, żebyśmy kogoś sprawdzili.
- Aha. Kogo?
- Niejakiego... - zerknęła na kartkę, na której w pośpiechu zanotowała kilka słów - Zygmunta Wieszczyckiego.
- Wieszczycki? - Tolak zamyślił się. Podjął ogromny wysiłek, by wyrzucić z głowy postać z filmu i to, o czym rozmawiali z Jadwigą jeszcze kilka minut temu. Coś mu zaczęło świtać. - Zygmunta Wieszczycki?
- Znasz go?
- Nie. Ale być może coś o nim słyszałem.
- Być może? Nie jesteś pewien, że słyszałeś?
- Niczego nie jestem pewien. O co chodzi Krzepkowskiemu?
- Nie był łaskaw wyjaśnić. Ma to związek z porwaniem żony Jakuba. Tak mi się wydaje.

Tolak zrezygnował z prób przypominania sobie faceta. Brzmienie nazwiska zapaliło w mózgu światełko, ale zbyt słabe, by obejrzeć w jego blasku konkrety.

- Mamy dwa komputery. Wejdz do bazy danych, ja poszukam w internecie. Jadwiga wzruszyła ramionami. Policyjna baza danych była dziurawa jak rzeszoto, a w internecie można było znaleźć najczęściej bezwar-

322

tościowe śmieci. Ale posłusznie weszła na policyjny serwer i zaczęła poszukiwania. Już na początku poczuła się zaskoczona, ponieważ nazwisko Wieszczycki figurowało w bazie kilkakrotnie.

Po pierwsze facet kilka lat temu wystąpił o pozwolenie na broń. Otrzymał je po przebyciu standardowej procedury. Do wniosku został dołączony krótki życiorys (nic nadzwyczajnego, biznesmen, jakich tysiące) oraz opinia psychologa, niezawierająca niczego ponad standardowe formułki. Drugi plik zawierał wystąpienie spółki, w której Wieszczycki był udziałowcem, o pozwolenie na nabycie ziemi. Spółka była podmiotem z dominującym kapitałem zagranicznym spoza obszaru UE; według prawa musiała ubiegać się o pozwolenie; spotkała się z odmową.

Trzeci plik - inna lokalizacja nieruchomości. I znowu odmowa. Czwarta - to samo. Piąty plik zawierał skany odwołań spółki od decyzji. Sprawy przeszły przez wszystkie instancje sądowe. Najwyższy Sąd Administracyjny decyzje podtrzymał. Wszystkie sprawy były dość stare, najświeższa zakończyła się przed półtora rokiem. Trzy nieudane transakcje. Trzy różne lokalizacje, ale wszystkie sprawy bliźniaczo do siebie podobne.

Jadwiga weszła do Krajowego Rejestru Sądowego i wpisała nazwę spółki, w której Wieszczycki był udziałowcem. Zarząd, rada nadzorcza, kapitał zakładowy. Nic nadzwyczajnego. Profil działalności: tak szeroki, że firma mogła zajmować się dosłownie wszystkim. Od handlu gumką od majtek poprzez wydobywanie ropy naftowej i innych surowców energetycznych, aż po produkcję komputerów.

Uruchomiła drukarkę i wydrukowała skany wniosków o nabycie ziemi, życiorys dołączony do pozwolenia na broń, zdjęcie (przystojny, siwy pan - lubię takich, pomyślała) i parę innych drobiazgów, które wydały jej się istotne.

- Masz coś? - zapytał Tolak, odchyliwszy się na krześle.

- Nic rewolucyjnego. Facet jest biznesmenem, prowadzi rozległą działalność, ma udziały w kilkunastu firmach. Wszystkie średniej wielkości, obroty największej nie przekraczają trzydziestu milionów rocznie.

- To nie tak mało.

323

- Średni kaliber, powiedziałabym. Do naszych rekinów biznesu bardzo mu daleko.

- Ja dotarłem do informacji, że gość uchodzi za coś w rodzaju guru od młodej polskiej sztuki. Zobacz - wskazał na ekran. Jadwiga pochyliła się.

„Na aukcji zorganizowanej w warszawskim hotelu Bristol został sprzedany obraz Heleny Berezowicz, największej gwiazdy młodego polskiego malarstwa. Cena wywoławcza, wynosząca sto tysięcy złotych, nie utrzymała się nawet piętnastu sekund. Licytacja była niezwykle zażarta. Ostatecznie obraz «Rozpacz» sprzedano za rekordową kwotę czterystu pięćdziesięciu tysięcy złotych. Nabywcą został pan Zygmunt Wieszczycki, biznesmen mający opinię mecenasa sztuki, człowiek wielce zasłużony w promocji polskiej kultury za granicą, co zarazem nie przeszkadza mu robienia na tejże polskiej sztuce doskonałych interesów. Należy przypuszczać, że obraz «Rozpacz» również został potraktowany przez nabywcę jako lokata kapitału. Biorąc pod uwagę wzrost cen dzieł Heleny Berezowicz na przestrzeni ostatnich dwóch lat, inwestycja ta wydaje się nawet pewniejsza niż najbardziej operatywne fundusze kapitałowe”.

30.

Zuzanna miała nadzieję, że tylko pierwszych kilka kroków, powiedzmy: sto metrów albo pół kilometra, sprawi jej trudność. Potem złapie właściwy rytm ruchu, nauczy się wybierać optymalną trasę, organizm choć trochę przyzwyczai się do warunków atmosferycznych.

Nic z tego. Pierwszy krok był męczarnią. I każdy następny.

Choć ciężar ciała rozłożyła równomiernie na powierzchni obu nart, nogi zapadały się do pół łydki. Zuzanna miała wrażenie, że kolejny krok będzie krokiem ostatnim. Już po kilkunastu metrach poczuła się wyczerpana i osłabiona; nabrała żelaznej

pewności, iż nie posunie się choćby o centymetr. Musiała stanąć, by zaczerpnąć tchu i opanować narastającą panikę. Zimno wdzierало się pod ubranie, atakowało ze wszystkich stron, bez wytchnienia, bez chwili przerwy i bez litości. Ciałem wstrząsały dreszcze. Każdy oddech był walką o życie.

W końcu ruszyła dalej. Panika ustąpiła, przynajmniej częściowo, oddech mniej więcej wrócił do normy Powietrze parzyło, na to nie

324

było rady. Zuzanna wmówiła sobie, że to histeria napędzana wyobraźnią: maska śnieżna funkcjonowała prawidłowo i mocnym, choć niedoskonałym filtrem izolowała od bezpośredniego zetknięcia się dróg oddechowych z powietrzem.

Utrzymanie się na powierzchni śnieżnej pokrywy kosztowało w dalszym ciągu ogromnie dużo sił, jednak niektóre fragmenty terenu były zmrożone, skorupa podobna do szkła trzymała ciężar ciała Zuzanny na powierzchni i wtedy jakoś szło. Można było złapać właściwy biegowy krok i sporymi odcinkami posuwać się naprawdę szybko.

Zmiana podłoża za pierwszym razem zakończyła się upadkiem. Zuzanna jechała szybko, lód pozwalał na długie kroki i mocne odepchnięcia kijkami. W jednym momencie lód zamienił się w puch, sypką mączkę, zmrożoną co prawda, ale o luźnej konsystencji. Dzioby nart poleciały w dół, Zuzanna straciła równowagę i upadła na twarz, nurkując co najmniej pół metra pod powierzchnię śniegu. Błyskawicznie zabrakło jej powietrza. Zaplątała się w kije, narty majtały gdzieś nad głową. Wydostanie się na powierzchnię zajęło dwie minuty. Przez ostatnie trzydzieści sekund była pewna, że przegra.

Cudem się udało. Gdy stanęła z powrotem na nogach, drżała. Nie zwracała uwagi na pokłady śniegu, które zaległy pod kurtką, za kołnierzem, w rękawiczkach. Była szczęśliwa, że żyje. Była szczęśliwa, że znowu może działać.

Rozejrzała się. Domy wzdłuż Puławskiej stały ciche, skąpo oświetlone i wyglądały na martwe. Zwykły hałas wielkiego miasta był tylko odległym wspomnieniem. Zuzanna postanowiła posuwać się wzdłuż ulicy. Miała nadzieję, że tak będzie mimo wszystko bezpieczniej i prościej. Stałe punkty orientacyjne pozwalały pokonywać trasę bez ryzyka zabłądzenia.

Ruszyła. Pierwszy krok był ostrożny, jakby wchodziła na cienki lód ze stumetrową otchłanią pod spodem. Następny również ostrożny, badawczy. Ale potem już poszło. Po piętnastu minutach stwierdziła, że posuwa się w przeciętnym tempie wolno idącego piechura. Jeżeli nie wydarzy się nic nadzwyczajnego i pogoda nie sprawi kolejnych niespodzianek, powinna dotrzeć do celu za godzinę i kwadrans. Niechby - półtorej godziny. Obliczała, że na ten czas wystarczy jej siła i ciepłota ciała nie spadnie poniżej krytycznej.

Jeżeli nie zdąży...

325

31.

Mężczyzna był niski i szczupły. Miał mocny uścisk dłoni. Stalowo-szare oczy lustrowały rozmówcę badawczo.

- Dreszer, dowódca jednostki specjalnej GROM - powiedział. Jego głos brzmiał jeszcze surowiej niż przez telefon.

Tyszkiewicza zatkąło. Może to wina niewiedzy, rozkojarzenia albo ogólnego gapiostwa. Ale, nie wiedzieć czemu, wsparcie i uosabiającego je człowieka wyobrażał sobie inaczej, może bardziej... anonimowo.

O generale brygady Lucjanie Dreszerze było głośno kilka lat temu. W sierpniu dwa tysiące siódmego sformowano wzmocniony batalion Wojska Polskiego przeznaczony do wsparcia polskich sił stabilizacyjnych w Afganistanie. Batalion ów, wydzielony głównie z sił dowodzonej przez Dreszera Piątej Brygady Pancernej, udał się na garnizonowy poligon, by zapoznać się z nowymi systemami broni oraz przećwiczyć zgranie jednostek, po czym jeszcze tego samego wieczora po prostu rozpląnął się w powietrzu. Po prostu zniknął, jakby nigdy nie istniał.

Skandal miał zasięg międzynarodowy. Bataliony nie znikają bez śladu. Wnikliwe śledztwo nie przyniosło rezultatów. Formalnie nikomu nie postawiono zarzutów; jednak kilka miesięcy później generał Dreszer został odwołany ze stanowiska. Przez jakiś czas pozostawał bez przydziału. Zaszła w wyniku wyborów zmiany na scenie politycznej okazały się dla niego szczęśliwe, nowy minister obrony narodowej mianował go dowódcą jednostki specjalnej GROM.

Tak czy inaczej, Tyszkiewicz i Krzeptowski sporo o nim słyszeli jeszcze przed aferą ze znikającym batalionem. Uchodził za wyborczego stratega, szczycił się ukończeniem West Point i miał prawdziwy, niezłomny charakter.

Teraz patrzył prosto w ich zdumione oczy i czekał.

- Nadkomisarz Jakub Tyszkiewicz - wybąkał w końcu Jakub, odwzajemniając uścisk dłoni.

- Komisarz Stanisław Krzeptowski.

- Premier uprzedził mnie, że możecie panowie dzwonić. Służyliście obaj w wojsku, prawda?

Po raz kolejny zaskoczył ich. Ale zdumienie trwało krócej niż za pierwszym razem. Możliwe, że zaczęli się przyzwyczajać.

- Owszem.

326

31.

Mężczyzna był niski i szczupły. Miał mocny uścisk dłoni. Stalowo-szare oczy lustrowały rozmówcę badawczo.

- Dreszer, dowódca jednostki specjalnej GROM - powiedział. Jego głos brzmiał jeszcze surowiej niż przez telefon.

Tyszkiewicza zatkąło. Może to wina niewiedzy, rozkojarzenia albo ogólnego gapiostwa. Ale, nie wiedzieć czemu, wsparcie i uosabiającego je człowieka wyobrażał sobie inaczej, może bardziej... anonimowo.

O generale brygady Lucjanie Dreszerze było głośno kilka lat temu. W sierpniu dwa tysiące siódmego sformowano wzmocniony batalion Wojska Polskiego przeznaczony do wsparcia polskich sił stabilizacyjnych w Afganistanie. Batalion ów, wydzielony głównie z sił dowodzonej przez Dreszera Piątej Brygady Pancernej, udał się na garnizonowy poligon, by zapoznać się z nowymi systemami broni oraz przećwiczyć zgranie jednostek, po czym jeszcze tego samego wieczora po prostu rozpląnął się w powietrzu. Po prostu zniknął, jakby nigdy nie istniał.

Skandal miał zasięg międzynarodowy. Bataliony nie znikają bez śladu. Wnikliwe

śledztwo nie przyniosło rezultatów. Formalnie nikomu nie postawiono zarzutów; jednak kilka miesięcy później generał Dreszer został odwołany ze stanowiska. Przez jakiś czas pozostawał bez przydziału. Zaszło w wyniku wyborów zmiany na scenie politycznej okazały się dla niego szczęśliwe, nowy minister obrony narodowej mianował go dowódcą jednostki specjalnej GROM.

Tak czy inaczej, Tyszkiewicz i Krzeptowski sporo o nim słyszeli jeszcze przed aferą ze znikającym batalionem. Uchodził za wybornego stratega, szczylił się ukończeniem West Point i miał prawdziwy, niezłomny charakter.

Teraz patrzył prosto w ich zdumione oczy i czekał.

- Nadkomisarz Jakub Tyszkiewicz - wybąkał w końcu Jakub, odwzajemniając uścisk dłoni.

- Komisarz Stanisław Krzeptowski.

- Premier uprzedził mnie, że możecie panowie dzwonić. Służyliście obaj w wojsku, prawda?

Po raz kolejny zaskoczył ich. Ale zdumienie trwało krócej niż za pierwszym razem. Możliwe, że zaczęli się przyzwyczajać.

- Owszem.

326

- Macie za sobą udział w misjach?

-Tak jest.

- Nagum Thal? To pan dowodził?

- Ja. Stare dzieje... - Tyszkiewicz poczuł się jak na egzaminie. Nawet nie zapytał, skąd facet w ciągu godziny od anonimowego przecież telefonu zebrał o rozmówcy tak szczegółowe informacje. Już dawno postanowił niczemu się nie dziwić i starał się tej Unii konsekwentnie trzymać.

- Pewnych zachowań i umiejętności się nie zapomina - dyskusja z tym człowiekiem musiała być niezwykle trudna. W dziewięciu przypadkach na dziesięć jednostronna i skazana na niepowodzenie. Chociaż akurat w tym momencie opinia zabrzmiała niemal jak pochwała.

- Proszę powiedzieć, czego panowie ode mnie i moich ludzi oczekujecie. Jakub rozejrzał się. Nie dostrzegł żadnych ludzi. Ulica wyglądała na wymarłą. Nie tylko konkret i błyskawiczne przejście do rzeczy okupowały górę hierarchii priorytetów generała. Maskowanie również.

- Szukamy sprawcy poważnych przestępstw. Być może mieszka on pod adresem, który panu podałem. Facet nazywa się Zygmunt Wieszczycki. Mam pewien numer telefonu... Mniejsza z tym, skąd. Ten numer jest kluczowy w udowodnieniu przestępstwa. Zadzwońię na niego. Jeżeli Wieszczycki odbierze, będzie to oznaczało, że jest tym, kogo szukamy.

- Mam techniczną możliwość zlokalizowania dzwonka telefonu i przy sprzyjających okolicznościach również podsłuchania rozmowy

- Dreszer miał kamienną minę, ale zdawał się już planować operację.

- Wtedy wejdziemy i aresztujemy go. Jeżeli jest tym, o kogo nam chodzi, może nie chcieć do tego dopuścić. Prawdopodobnie dom jest chroniony, zarówno przez zabezpieczenia elektroniczne, jak i strażników. Wtedy byłaby robota dla pana chłopaków.

- Priorytety?
- Jeżeli jest winny, możliwe, że w tym domu znajduje się jeden lub więcej zakładników. Mało prawdopodobne, ale całkowicie wykluczyć tego nie można. Więc priorytetem numer jeden jest ich życie. Priorytetem numer dwa jest pochwycenie żywcem głównego lokatora.
- Sugeruję inne rozwiązanie. Po prostu wejdźmy i schwytajmy tego człowieka. Wtedy go pan przesłucha. Jeżeli okaże się, że to pomyłka, wycofamy się.

327

- A jeżeli nie? Jaką będę miał pewność, że działając pod presją, nie wyprze się wszystkiego? Niczego mu nie udowodnimy.
- Jak pan chce. Są sposoby, by skłonić ludzi do mówienia.
- Wiem. Ale na razie chcę spróbować inaczej.

Generał wzruszył ramionami.

- Odezwę się za pół godziny.
- Niezłe jaja - mruknął Krzeptowski, gdy drobna sylwetka dowódcy GROM-u zniknęła w ciemności.

Ratrak stał pół kilometra od posesji Wieszczyckiego, z wyłączonymi reflektorami, ale pracującym silnikiem.

- Lepszego wsparcia nie można sobie wymarzyć.
- Jak go nazwała prasa? „Kontrowersyjny generał”?
- 1 jeszcze „Generał Znikający Punkt”.

- Kurna.

Zamyślili się.

- Ale słyszałem też inne rzeczy - powiedział Krzeptowski. Temperatura w kabinie usypiała.

-No?

- Że to podobno facet, któremu o coś chodzi. O coś więcej niż od-bębnienie od pierwszego do pierwszego.
- Obiło mi się o uszy. Patriota.
- No, w ustach części ludzi to niemal obelga.
- W moich na przykład nie.
- No to jest nas dwóch.

-Wiem

Zamyślili się ponownie.

- Jak to rozegramy?
- Zadzwoń na numer Heleny. Facet odbierze. Mam nadzieję, że Dreszer go usłyszy. Wtedy będziemy wiedzieć, że gość jest w domu. Wejdziemy i aresztujemy go. - Jakub wyprostował się. Zaczął odczuwać zmęczenie. I głód. Musiał zacząć działać.

- Zły pomysł. Nadal nie mamy żadnego dowodu.
- Jeżeli ma przy sobie komórkę Heleny, to będzie dowód.
- A jeżeli nie? Jeżeli komórka Heleny leży Bóg wie gdzie, a do niego zadzwoni urządzenie przekierowujące o anonimowym numerze? Będiesz tylko wiedział, że do faceta przekręcił ktoś z zastrzeżonego numeru. A zeznanie Dreszera, że akurat wtedy, kiedy dzwoniłeś...

** JB

- Mało się w tej chwili przejmuję dowodami procesowymi. Chcę tylko wiedzieć, że to on. Potem możemy dokonać formalnego przeszukania - Jakub po raz kolejny dzisiaj sięgnął do kartonowej teczki otrzymanej od premiera. Wyciągnął z niej podpisany przez prokuratora generalnego nakaz rewizji. Wystawiony in blanco.

- Pan premier był łaskaw pomyśleć o wszystkim.

- Nie o wszystkim. Nie przewidział, że będę używał otrzymanych od niego pełnomocnictw w prywatnej sprawie.

- Jakiej prywatnej? Porwanie jest przestępstwem ściganym z urzędu.

- Stasiu, nie kpij. Tylko domniemujemy, że Wicherek, porwanie i Wieszczycki to fragmenty tej samej układanki. Premier tak sugerował, ale to domysły. Póki co zajmujemy się czymś innym niż zabójstwem Wicherka. I powiem więcej. W ogóle mnie to nie martwi.

- To dobrze - Krzeptowski spojrzał na nadkomisarza z troską. - Bo już zaczynałem myśleć, że masz wyrzuty sumienia.

- Nie - Jakub wyjrzał przez okno. - Nie masz wrażenia, że psuje się pogoda?

- Jeszcze bardziej? - Krzeptowski rozejrzał się. - Możliwe. Mnie nie pytaj, mnie się już dawno pokręciło. Dwa dni temu bym sobie dał rękę uciąć, że będzie ocieplenie i czarne święta.

Zadzwoił telefon Krzeptowskiego. Komisarz odebrał, jego twarz od razu nabrała jaśniejszych odcieni.

- Witaj. Tak, u nas wszystko w porządku, właśnie się zastanawiamy, kiedy zrobić fajrant, żebyś mógł w końcu cię zobaczyć - Krzeptowski mrugnął do Jakuba, ale spoważniał, widząc jego ponurą minę. - Masz coś? Wspaniale. Mów. - Słuchał przez kilka minut w skupieniu. Nie przerywał. - To wszystko? Dzięki. Odezwiemy się. Krzeptowski odłożył aparat i w tym momencie paskudny dźwięk fabrycznej melodyjki wwiercił się Tyszkiewiczowi w ucho. Wyjął z kieszeni własną komórkę. - Tak?

- Może pan dzwonić - głos Dreszera był tak samo stanowczy, jak podczas pierwszej rozmowy.

Jakub rozłączył się, odetchnął parę razy i wybrał numer Heleny. Sygnał był jasny i czysty. Brzmiał długo.

- Nie odbiera - Tyszkiewicz spojrzał na Krzeptowskiego bezradnie.

- Dziwne. Kazał ci dzwonić, a potem udaje, że go nie ma.

Milczenie.

- Generał idzie - powiedział w końcu Jakub.

Drzwi ratraka uchyliły się gwałtownie.

- Jest w domu - powiedział Dreszer bez żadnych wstępów. - Możemy ruszać, o ile plan nie uległ zmianie.

- Eh, ty to jesteś stachanowiec!

Jadwiga drgnęła zaskoczona. Nawet nie usłyszała skrzypnięcia drzwi. Gdy wróciła

między Żywych, Niezamyślonych I Nieoderwa-nych Od Rzeczywistości, mrugnęła parę razy i skoncentrowała wzrok na stojącej w drzwiach śnieżnej figurze. Nie przypominała niczego, co znalazły przedtem. Ale głos...

- Dyżur mi wlepił - figura zwała się na krzesło z głębokim westchnieniem ulgi. Przy dokładniejszej analizie fonoskopijnej można było dojść do wniosku, że głos należy do Henia Niespodzianego. Stąd prosty wniosek, że reszta, składająca się z sopli, grud zamrożonego śniegu i czegoś w środku, także jest Heniem Niespodzianym. - Miałem fart. Zabrał mnie pług. Inaczej bym chyba umarł. Jadwiga doszła do wniosku, że może zaryzykować włączenie się do rozmowy.

- Samochód zdechł?

- Kompletnie - Henio mrugnął parę razy. Przetarł twarz ręką, czerwoną niczym rak wyjęty z wrzątku. Zerknął na ekran komputera. -A co ciebie tu przywiało?

- Służba...

- Nie - Kurwa - Drużba. Wicherek?

- Wicherek, porwania - Jadwiga nie miała jakichś specjalnych oporów przed dzieleniem się wiedzą. Po prostu nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. - Sprawdzam możliwości, szukam w bazie danych.

- Porwania? - Henio zajęty czyszczeniem okularów, zamarł z chusteczką w rękę. Spojrzał na Jadwigę ze zdumieniem. - Jakie porwania?

- Prawda, nic nie wiesz - Jadwiga uświadomiła sobie, że Henio wypadł z obiegu informacji po rozwiązaniu zespołu. Jeszcze przed Wigilią. - Żona Jakuba została porwana. I zniknął Smotrycz.

330

4*

- Jak to zniknął?

- Po prostu. Był w domu, a potem wyparował. Nikt nic nie widział. Jego komórka nie odpowiada. A żonę Jakuba porwano, i to akurat jest pewne. Na spółkę z psem załatwiła dwóch porywaczy, Jakub ze Staszkiem stuknęli następnych dwóch. Pozostałym udało się uciec. Z Heleną.

- Kurwa, co za historia - Henio zapomniał o zmęczeniu i targających nim dreszczach. W szybkim tempie dochodził do wniosku, że wpakował się w straszne gówno. - Porwanie? Trupy? O co do cholery chodzi?

- Nie wiadomo. Na razie nie udało się znaleźć powiązania pomiędzy zabójstwem Wicherka a porwaniem. I zniknięciem Antoniego. Ale szukam.

- Coś znalazłaś?

- Niewiele - Jadwiga w kilku zdaniach streściła rezultaty poszukiwań. Bez szczegółów. Była bardzo zmęczona i nie sądziła, że Henio może się do czegoś przydać. Nie chciało jej się opowiadać wszystkiego.

Henio założył okulary, korzystając z faktu, że Jadwiga przez pół minuty była odwrócona w poszukiwaniu herbaty, odczytał z ekranu komputera to, nad czym aktualnie pracowała, po czym zamyślił się głęboko.

Musiał podjąć najpoważniejszą decyzję w swoim życiu.

33.

Nadkomisarz Jakub Tyszkiewicz spojrział w bok - martwota krajobrazu nie zmieniła się ani o jotę - westchnął i zdecydowanym ruchem nacisnął dzwonek. Krzeptowski

chciał coś powiedzieć w ostatniej chwili, może powstrzymać go, ale spóźnił się. Dziesięć minut wcześniej Jakub stoczył formalną bitwę z Krzeptowskim i Dreszerem. Obaj za nic nie chcieli słyszeć o jego pomysłe przeprowadzenia akcji. Dreszer wręcz żądał bezpośredniego ataku rezydencji. Jakub chciał to rozegrać po swojemu. W końcu udało mu się ich przekonać.

Tyszkiewicz miał świadomość, że są obserwowani przez kamerę umieszczoną wysoko na murowanym słupie stanowiącym fragment ozdobnej, kutej ręcznie bramy. Po chwili z głośnika dobiegły niewyraźne słowa.

331

- W jakiej sprawie? - usłyszał.

Nachylił się w stronę częściowo zasłoniętego przez łód sitka mikrofonu.

- Policja. Proszę otworzyć.

- W jakiej sprawie? - głos sprawiał wrażenie nagranych na taśmę.

- Chcielibyśmy porozmawiać z Zygmuntem Wieszczyckim.

Trzask. Cisza.

Krzeptowski spojrzał na Jakuba. Oczywiście pod goglami i maską śnieżną ciężko było zobaczyć cokolwiek, ale Jakub mógł iść o zakład, że o głowę przewyższający go góral uśmiechnął się. Może nawet ironicznie. A w oczach miał: „A nie mówiłem?”. Jednak pomylił się. Nie zdążyli wymienić poglądów na temat dalszego postępowania, gdy rozległ się brzęczyk. Jakub szarpnął za klamkę i stalowa furtka ustąpiła, nawet całkiem lekko. Weszli na teren rezydencji.

Biorąc pod uwagę panujące warunki i rozpościerający się dookoła krajobraz przypominający filmy, których akcja dzieje się w postapo-kaliptycznym świecie zniszczonym przez wojnę atomową, posiadłość Wieszczyckiego utrzymana była niemal w stanie idealnym. Oczywiście, śnieg nie zniknął. Zalegał wielkimi hałdami i przykrywał ogród oraz elementy małej architektury. Ale ścieżka prowadząca od furtki do domu, a także biegnący równolegle podjazd dla samochodów były uprzątnięte aż do pięknej granitowej kostki, która zresztą musiała kosztować majątek. Droga zajęła krótką chwilę. Gdyby nie blisko pięćdziesiąt stopni mrozu, byłoby całkiem przyjemnie.

Gdy doszli do wejścia, ogromne dwuskrzydłowe drzwi uchylły się, oszczędzono im zatem oczekiwania. Szybko przeszli przez próg.

Jakub aż zmrużył oczy, tak jasno oświetlony był hol wejściowy. Wysoki na co najmniej cztery metry, ogromny, wyłożony najwyższej klasy egzotycznym drewnem, przywodził na myśl wejście do pałacu; w istocie dokładnie tę funkcję pełnił.

Otworzył im mężczyzna, ubrany w udane połączenie garnituru z mundurem. Wysoki, niemal dorównujący wzrostem Krzeptowskiemu, mocno zbudowany, o przystojnej, nieprzeniknionej twarzy. Mógł być szefem służby, jak i szefem ochrony. Wyglądał na inteligentnego, zdecydowanego i lojalnego pracownika.

Jakub zdjął czapkę, gogle i maskę. Pierwsze wrażenie wizualne: „Nieuchwytny”.

Zieleń bezkresnej przestrzeni i szarografitowe smugi

332

jakby pędzących bolidów, stanowiących surrealistyczny kontrapunkt dla całkowicie realistycznie oddanego tła. Obraz wisiał na wprost wejścia, na przemyślnie wyeksponowanym miejscu.

Jakub swego czasu musiał stoczyć prawdziwą walkę z agentem Leny, który uparł się, by „Nieuchwytnego” wystawić na sprzedaż. Tyszkiewicz chciał go mieć wyłącznie dla siebie; w końcu uległ. Ale nigdy nie przestał żałować.

Suma transakcji do dziś wzbudzała w środowisku handlarzy sztuką sporo emocji. Konkretnie, wszyscy, którzy w tym biznesie nie brali udziału, aż skręcali się z zazdrości i frustracji.

- Piękny, prawda?

Jakub i Krzeptowski odwrócili się. W połowie schodów stał następny mężczyzna. Niższy od odźwiernego, szczupły, szpakowaty, koło pięćdziesiątki. Choć na inteligentnej, cienko ciosanej twarzy malowała się sama życzliwość i przyjazne zaciekawienie, biła od niego siła i władza.

Człowiek ze zdjęcia, gość brytyjskiej ambasady, nabywca „Nieuchwytnego”, Zygmunt Wieszczycki.

Facet, na którego nie mieli nic, poza cieniami poszłak.

- Piękny - przyznał Jakub. - Przykuwający uwagę.

- Jest ozdobą mojej kolekcji - Wieszczycki zszedł na dół i stanął przed gośćmi. - Wisi, jak panowie widzicie, na honorowym miejscu. Czym mogę służyć?

- Nadkomisarz Jakub Tyszkiewicz - Jakub sięgnął za pazuchę, kątem oka zauważając, że odźwierny nieznacznie marszczy brwi. Sam obserwował twarz rozmówcy, nieruchomą niczym kamienna maska. Wypowiedziane przed chwilą nazwisko nie zrobiło na gospodarzu żadnego wrażenia. Tyszkiewicz wyjął służbową legitymację i podstawił mężczyźnie niemal pod nos. - Pan Zygmunt Wieszczycki?

- To ja. Czym mogę służyć?

- Mamy nakaz rewizji.

- Jestem o coś podejrzany?

Jakub nie odpowiedział. Nadal przyglądał się Wieszczyckiemu. Krzeptowski w tym czasie, po odbyciu krótkiego pojedynku na spojrzenia i zmarszczenia brwi z odźwiernym-ochroniarzem-majordomem, równie ostentacyjnie rozglądał się dookoła, mając taką minę, jakby gospodarz i wszyscy jego współpracownicy mieli być lada chwila

333

aresztowani pod najcięższymi zarzutami. Co nie musiało być zbyt dalekie od prawdy.

- Pan jest gospodarzem tego domu?

- Owszem.

- Poproszę dowód osobisty - powiedział Jakub, gdy wydawało się, że zapamiętał już każdą zmarszczkę na twarzy mężczyzny.

- Słucham?

- Dowód osobisty. Muszę się upewnić, że rozmawiam z właściwą osobą - powtórzył Jakub cierpliwie, starając się nadać swemu głosowi jak najuprzejmniejsze brzmienie.

- Proszę nie żartować - maska życzliwości i dobrego wychowania gospodarza po raz pierwszy uchyliła się nieco. Sprawiał wrażenie urażonego. - Nazywam się Zygmunt Wieszczycki. To powinno wystarczyć.

- Ale nie wystarcza - Jakub pokręcił głową, nadal patrząc mu prosto w oczy. - Poproszę dowód osobisty.

- Sądzę, że nie ma pan prawa...
- Mamy dwa wyjścia. Albo pokaże nam pan dowód osobisty i pozwoli przeszukać dom, albo zakujemy pana w kajdanki, położymy twarzą do ziemi, dowód weźmiemy sobie sami, a dom przeszukamy bez pana zezwolenia.
- Nie sądzą, młody człowieku. Nie sądzą - obaj policjanci milczeli. Po prostu wpatrywali się w rozmówcę, ignorując ostatnie, nieco zbyt ostentacyjnie spokojnym tonem wypowiedziane zdania. Wieszczycki po jakimś czasie spasował, ale Jakubowi przemknęło przez głowę, że i ten gest, gest poddania się, jest starannie wyreżyserowany. Ten człowiek niczego nie robił spontanicznie.
- Proszę - Wieszczycki sięgnął do kieszeni i wyciągnął skórzany, elegancki portfel, na odległość pachnący grubymi pieniędzmi. Otworzył go i wyjął sztywną, plastikową kartę.

Jakub wziął ją bez słowa i przekazał Krzeptowskiemu, który zaczął z uwagą studiować zatopione w plastiku informacje. Gospodarz stał bez ruchu z miną zdradzającą połączenie odrazy i zniecierpliwienia. Milczenie ciągnęło się w nieskończoność. Wszyscy mieli okazję posłuchać wściekłych sapnięć majordoma, a także trzasków i stukotów rozlegających się gdzieś w głębi domu.

Budynek po swoim walczył z pogodą. I sprawiał wrażenie, jakby zaczął przegrywać.

334

34.

Już miała wszystko. I mróz, i śnieg, i wiatr.

I mgłę.

Była gotowa.

Długo się przygotowywała. Długo zbierała siły.

Ale nadszedł w końcu czas.

Teraz uderza.

35.

Komisarz Niespodziany dwukrotnie wybierał numer wbity w książkę telefoniczną prywatnej komórki. I dwukrotnie się rozłączał.

Do tej pory traktował zlecenia od Jurija jako coś najwyżej nagannego moralnie; miał oczywiście świadomość, że popełnia przestępstwo, ale niegroźne dla nikogo, nikomu nieszkodzące. Ot, parę informacji, przekazywanych od czasu do czasu, dalekich od jakiegoś grubego kalibru. Mocodawca był hojny i doceniał wysiłki. Współpraca przebiegała gładko i z korzyścią dla obu stron.

Z korzyścią dla komisarza Henryka Niespodzianego z pewnością.

Teraz jednak Henio miał żelazną pewność, że sprawy mają się zgoła inaczej. W grę wchodziło porwanie, może dwa porwania i pięć trupów. Sześć, licząc z Wicherkiem. Przekazując informacje, których żądał Jurij, narażał na śmiertelne niebezpieczeństwo przynajmniej jeszcze jedną osobę. Polecenie nie pozostawiało jednak pola do twórczych interpretacji: monitoring wszystkich poczynań członków zespołu. I regularne meldunki.

Henio wiedział, że taki meldunek złoży.

Nie chodziło tylko o wynagrodzenie. Nigdy nie przyznał tego głośno, ale po prostu bał się Jurija. Czuł lęk, wyobraźnia podpowiadała mu rodzaj kary, który spotka go w

razie niedotrzymania warunków umowy. Nigdy nie usłyszał żadnych gróźb, ale był dostatecznie długo na rynku i napatrzył się na tak wiele przypadków naginania woli różnych ludzi do oczekiwań innych ludzi, że groźby nie musiały paść. Mogły zostać niewypowiedziane, co nie zmieniało faktu, że były jak najbardziej realne.

335

W końcu zdecydował się. Wybrał numer i niemal z ulgą usłyszał sygnał, a potem znajomy głos.

- Tu Kowalski - powiedział. - Mam wiadomość.

- Tu Nowak. Słucham.

- Pilna sprawa. W miejscu pracy.

-Kod?

- Czerwony.

- Rozumiem. Proszę poczekać - połączenie zostało zawieszono. Henio otarł pot z czoła. Siedział w swoim pokoju sam, ale w każdej chwili ktoś mógł do niego zajrzeć.

- Jest pan tam? - usłyszał po minucie.

- Jestem.

- Za pół godziny proszę czekać przy wejściu głównym.

-Ale...

- Pół godziny. Proszę się nie spóźnić.

36.

Zuzanna popadła w takie zobojętnienie, że początkowo niczego nie zauważyła. Miarowo odbijała się kijami, podnosiła wysoko nogi, by wydostać spod śniegu narty, ostrożnie wyczuwała teren przed sobą. Księżyc nie oświecał drogi, ale w czasie zimy, gdy śnieg pokrywa ziemię, nigdy nie jest zupełnie ciemno. Toteż, chociaż już od kilkunastu minut posuwała się przez płaskie, pozbawione zabudowań i drzew pole, była przekonana, że utrzymuje właściwy kierunek. Miała dobrze rozwinięty zmysł orientacji; oprócz tego dwa razy sprawdziła wskazania kompasu - wszystko się zgadzało.

Nie rozglądała się na boki, patrzyła przed siebie i pod nogi. Chciała uniknąć następnej wywrotki, wołała więc posuwać się wolniej, ale na pewniaka; wsłuchana była także w sygnały wysyłane przez własny organizm. Znała go dobrze, wiedziała, na co go stać, wiedziała, jakie ma możliwości i rezerwy. Toteż popadła w coś w rodzaju zobojętnienia, ponieważ zarówno wyszukiwanie drogi, jak i wysiłek oraz monitorowanie organizmu stały się poniekąd automatyczne i niewymagające specjalnej uwagi.

Właśnie dlatego pierwsze sygnały nadchodzącego kataklizmu zwyczajnie przegapiła. Nie poczuła na policzkach pierwszych podmuchów

336

wiatru, ponieważ twarz ginęła pod grubą neoprenową maską. Nie dostrzegła tańczących płatków śniegu, bo jej horyzont umieszczony był o metr od dziobów nart. Nie poczuła spadku temperatury; była dobrze osłonięta i rozgrzana biegiem.

Ale zobaczyła mgłę.

Nagle, bez ostrzeżenia, pomiędzy nią a nartami przemknął pierzasty obłoczek. Nie zwróciła na niego uwagi, myślała, że to przywidzenie. Ale drugi, znacznie gęstszy i większy, spowodował, że jej myśli wyrwały się z ustalonego toru. Przez chwilę

przestała dostrzegać śnieg i narty. Gdy obłok zniknął, zauważyła drobne płatki śniegu; z pewnością nie były kurzawką zerwaną z ziemi przez jakiś zapomniany podmuch.

Podniosła wzrok. Widoczność pogorszyła się znacznie (Kiedy ostatni raz patrzyła wyżej niż na dzioby nart? Pięć minut temu?), śnieg gęstniał z sekundy na sekundę, ale nie on był przyczyną. Zuzannie zdawało się, że chmury sięgnęły ziemi; tuż nad zmrożoną skorupą biegły postrzępione obłoki ni to mgły, ni to chmur i dopiero teraz, gdy dostrzegła, jak szybko się przemieszczają, poczuła oddziaływanie wiatru. Nie był jeszcze silny, ale wzmagał się.

Zuzanna w jednej chwili zrozumiała wszystko. Cisza panująca od kilku godzin, względna równowaga sił, pozwalająca ludziom chwycić oddech i podjąć próby opanowania sytuacji, była tylko niewielkim antraktem przed mającą nastąpić główną częścią przedstawienia. Jasno uświadomiła sobie, że może być naprawdę znacznie gorzej, że to, co do tej pory wydawało jej się złą pogodą, nie było żadną złą pogodą; stanowiło tylko przekąskę przed głównym daniem.

W nagłym przypływie energii przyspieszyła kroku. Nawet bez pogorszenia pogody zauważała u siebie pierwsze objawy hipotermii. Policzki i nos przestały boleć jakies dziesięć minut temu - mogło to oznaczać, że są odmrożone. Zdała sobie sprawę, że jeżeli nie znajdzie się u celu w ciągu najbliższych minut, nic już nie będzie ważne. Zostanie na zawsze na tym zamrożonym polu.

Czuła, że pistolet maszynowy obja się o plecy. Kurtka i kamizelka kuloodporna amortyzowały uderzenia, ale plecak wpadł w nieprzyjemny rezonans i zdawał się kołysać na ramionach w rytmie najczęściej przeciwnym do ruchu ramion i bioder. Zuzannie szybko zaczęło brakować tchu, mróz pomimo maski wlewał do przełyku ogień, podstawowym zadaniem stała się walka o den. Płuca zdawały się płonąć.

337

Bardzo szybko straciła wyczucie kierunku i czasu. Nie miała pojęcia, czy od zauważenia pierwszych oznak ataku minęła minuta, kwadrans czy godzina. Nie dostrzegała nart ani swoich własnych rąk; mgła zasłaniała wszystko. Wiatr zbijał z nóg. Gogle błyskawicznie pokryły się śniegiem.

Zatrzymała się i spojrzała za siebie. Ślad urywał się w ciemności, metr od piątek nart. Niezdarnym ruchem wyciągnęła z kieszeni kompas. Musiała go podnieść niemal do oczu, a i tak nie była pewna czy prawidłowo odczytała kierunek. Choć zakrawało to na cud, na razie nie musiała korygować trasy. Schowała kompas i zastanowiła się. Według bardzo nieprecyzyjnych i czysto szacunkowych obliczeń, miała jeszcze do przebycia około dwóch kilometrów. W optymistycznym wariancie półtora. Kawalek pola, osiemset, może tysiąc metrów drogi prostopadłej do Głównej, skręt w lewo, dwieście metrów, cel.

Ruszyła. Zauważyła, że posuwa się skośnie do osi natarcia wiatru, żeglarze nazwaliby taki kurs baksztagiem To było dobre; nie sądziła, by miała siłę iść pod wiatr. Podmuchy, choć nieregularne, stawały się coraz mocniejsze; w pewnym sensie nawet pomagały, uderzając w plecy i prawy bok. Mimo kilku grubych warstw ubrania czuła na ramionach, rękach i w tyle głowy nieustanne staccato drobnych uderzeń śniegu, w tak niskiej temperaturze zamienionego w grad. Zuzanna miała nadzieję, że rozmiar lodowych kulek nie powiększy się, nim zdoła dobrnąć do celu:

przy tej prędkości opadania, wystarczy by osiągnęły wielkość grochu. Nic więcej nie byłoby trzeba.

Narty stawiały opór. Coraz więcej wysiłku wymagało wyciąganie ich ze zmrożonej magmy, coraz większej uwagi wymagało wynajdywanie trasy. Oszalałe, mroźne piekło zdawało się nie mieć końca ani początku. Zdawało się być po prostu bezmyślną siłą pragnącą unicestwić wszystko, co spotka na swej drodze.

Zuzanna poruszała się tylko siłą woli; siły fizyczne opuściły ją, podobnie jak świadomość i pamięć. Czynności wykonywała mechanicznie. Mózg, z wdrukowanym wcześniej harmonogramem postępowania, pracował niczym zapomniany komputer, którego użytkownicy już dawno wyginęli; on jednak, zgodnie z programem, nadal wykonuje zaplanowane sekwencje decyzji i czynności.

Gdy komputer zdał sobie sprawę, że stoi przed ogrodzeniem (śmiesznie niskim, bowiem poziom chodnika podniósł się o więcej niż metr) domu, który był celem podróży, nie zrobiło to na nim żadnego

338

wrażenia. Rozkazał ręce, by stuknęła kilka razy kijkiem narciarskim w tabliczkę z numerem posesji. Z chrobotem odpadła dwucentymetro-wa warstwa lodu. Przyjął do wiadomości fakt, że tabliczka wskazuje właściwy adres. Dom stojący w głębi posesji majaczył w ciemności i mgle, jawiąc się raczej jako cień niż konkretny kształt. Ale był tam; komputer przynajmniej miał taką nadzieję.

Walcząc z ogarniającą ciało sennością i apatią, niejasno uświadomił sobie, że ma tylko jedną szansę, i to szansę, którą musi wykorzystać w ciągu najbliższych kilku minut. Gdyby okazało się, że nie ten dom jest celem, że mieszka w nim kto inny, z pewnością nie zdołałby rozpocząć nowych poszukiwań. Najprawdopodobniej nie starczy mu również sił, by znaleźć po prostu jakiś pierwszy zamieszkały dom i poprosić o pomoc.

Wydał polecenie, ciało z trudem schyliło się i odpięło narty. Nie było to proste w kamizelce kuloodpornej i w zeszywniałym od mrozu ubraniu, ale za trzecim razem udało się. Kije i narty zostały wbite w śnieg.

Komputer uświadomił sobie niejasno, że nadal nie ma pomysłu, jak, w razie sukcesu, będzie wyglądał odwrót. Założywszy, że odzyska Zosię i będzie musiał szybko się wycofać: jak miałby to zrobić? Poruszać się z dzieckiem na ręku piechotą? Odpada. Środkiem lokomocji? Nie miał takiego. Wątpił, czy w ogóle jest jakiś pojazd mechaniczny, który byłby w stanie funkcjonować przy tej pogodzie.

Wszystko to skonstatował z całkowitą obojętnością. Przyjdzie czas, zastanowi się. Teraz musi wykonać najważniejszy punkt zadania: wejść do środka i odzyskać córkę. O ile tam jest.

W tym momencie wszystkie znajdujące się w zasięgu wzroku świa-da - daleka i samotna latarnia oraz kilka pojedynczych okien majaczących we mgle niczym upiorne poświaty - zgasły. Pogoda zaatakowała jeden z ostatnich bastionów cywilizacji i zdobyła go.

Zapadła nieprzenikniona ciemność.

37.

Jakub otworzył usta, by zadać pierwsze konkretne pytanie, z serii tych, które przed wejściem wydawały się nawet sensowne, całkiem sprytne i których Krzeptowski,

sceptyk i obśmiewacz, nie wykiął, tylko

339

skwitował solidnym skrzywieniem ust, co w jego wypadku oznaczało: „No, ostatecznie może być”. Te pytania teraz wydawały się kretyńskie i pozbawione sensu, jednak nie miały dającej się na poczekaniu wymyślić alternatywy. Więc, jako się rzekło, Jakub właśnie nabierał tchu, by wypowiedzieć pierwsze sylaby i sprawdzić, jak się ma sens tego pytania do obecnej sytuacji... ..gdy zgasło światło.

Nie było żadnych ostrzeżeń typu mrugająca żarówka czy gwałtowny spadek napięcia. Po prostu gustowne lampy w holu wejściowym paliły się równym blaskiem - oświetlając wszystkie troski i rozterki wymalowane na twarzach obu policjantów i uprzejmie znudzoną minę gospodarza - by w następnej sekundzie przestać się palić i cokolwiek oświecać. Ciemności były tak głębokie, że aż nierealne. Jakub miał wrażenie, że zapadł w gwałtowny, nieoczekiwany sen.

To nie był jednak sen, choć z pewnego punktu widzenia lepiej by się stało, gdyby rzeczywiście nim był. Tyszkiewicz poczuł za sobą ruch, coś przemknęło tuż obok i uderzyło w Wieszczyckiego. Gospodarz stęknął i z towarzyszeniem świstu wypuszczanego z płuc powietrza upadł na podłogę. Jakub usłyszał następny stłumiony łomot, to Krzeptowski, kumpel i partner, chytry góral o sękatych łapach, gołębim sercu i refleksie szermierza, upadł także, zapewne sięgając równocześnie po broń. Jakub na swój refleks nie narzekał, toteż rejestrował rozgrywające się wokół wydarzenia również w trakcie lotu na podłogę.

Uderzył boleśnie łokciem o podłogę i w tym momencie z głębi domu, z miejsca, w którym powinno znajdować się zwieńczenie holu wejściowego, huknął strzał. Kula przeleciała obok ze świstem i wbiła się w ścianę gdzieś za nadkomisarzem. Nie sposób było odgadnąć, kto strzelał: ludzie Wieszczyckiego raczej nie ryzykowaliby, ponieważ mogli trafić swego pryncypała. Gdyby z kolei założyć, że strzelcem był któryś z ludzi Dreszera - choć Bóg świadkiem, nie wiadomo, jakim cudem miałby się znaleźć w środku w sposób niezauważony - narażałby na niebezpieczeństwo osoby, z którymi współpracował.

To wszystko przemknęło Jakubowi przez głowę w ułamku sekundy, nim jeszcze wybrzmiało krótkie echo wystrzału. Zaraz potem skupił się na wyciąganiu pistoletu. Czuł w rękę chłodną rękojeść, lufa niemal wychynęła na świadko dzieńne (czy może raczej nocne), gdy gdzieś

340

ze schodów runął oślepiający, jaskrawy blask. Ktoś włączył do akcji mocną latarkę i od razu skierował ją na cel.

- Zostańcie tam, gdzie jesteście - usłyszał spokojny głos. - Obaj. I trzymajcie ręce na widoku.

38.

Mężczyźni byli młodzi, ubrani jak na tę pogodę zbyt lekko, co zresztą zdawało się nie zaprzętać w najmniejszym stopniu ich uwagi i uśmiechali się przyjaźnie. Dotarli na miejsce równo pół godziny po telefonie. Może ich samochód był sprawniejszy niż Henia, a może kwaterowali pięćset metrów od komendy. Henio miał to w dupie, czuł mdłości i chciał załatwić sprawę jak najszybciej.

Gładko przeszli przez formalności przy wejściu, dyżurny wpisał dane do księgi ze

znudzoną miną.

- Proszę powiedzieć, czego dokładnie się pan dowiedział? - zapytał jeden z mężczyzn, gdy stanęli na korytarzu, pustym i zimnym, jak i cała reszta komendy.

- Co wiecie o porwaniu żony mojego kolegi? - warknął komisarz.

Tamten uniósł brew.

- Wezwał nas pan, byśmy zgodnie z procedurą uzyskali informacje, ocenili ich wagę i przydatność, a potem przedsięwzięli adekwatne do sytuacji postępowanie. Nic nie wiem o żadnych porwaniach.

Henio przyjrzał im się dokładnie. Miał z nimi do czynienia po raz pierwszy. Z twarzy, młodych i niczym się niewyróżniających, nie mógł wyczytać niczego, co pomogłoby mu podjąć decyzję, jak ma do ciężkiej cholery dalej postępować.

- Porwano żonę szefa zespołu. Podobno porywacze grozili mu. Co ma z tym wspólnego pan i mój mocodawca?

-Nic.

- Na pewno?

Robię z siebie durnia, pomyślał komisarz. Jestem tylko płatnym informatorem. Nikt mnie przecież nie będzie wtajemniczał w nic istotnego.

Przybysze milczeli. Najwyraźniej uznali temat za zakończony.

Henio westchnął.

341

- Jedna z policjantek, również członek zespołu, poszukuje informacji na temat niejakiego Zygmunta Wieszczyckiego - powiedział zrezygnowany. Na twarzach mężczyzn nie drgnął nawet jeden mięsień. - Sprawdza jego powiązania biznesowe, spółki, aktywa i tak dalej. Podobno robi to na prośbę innego członka zespołu.

- Ciekawe - rozmówca już się nie uśmiechał. - Może mnie pan do niej zaprowadzić?

- Po co?

- Chcę z nią porozmawiać.

- Pod jakim pretekstem?

- Czy taki wystarczy? - zapytał rozmówca, podtykając Heniowi pod nos jakiś ciemny przedmiot. Gdy komisarz skupił wzrok, skonstatował, że patrzy na legitymację służbową wysokiego stopniem funkcjonariusza Centralnego Biura Śledczego.

39.

To prawda, świadomość Zuzanny pewnie nie funkcjonowała zbyt dobrze. Ocena sytuacji, refleks, sprawność - także. Nie reagowała prawidłowo na bodźce zewnętrzne; miała początki hipotermii i kilka pierwszych odmrożeń. Możliwe, że krew cofnęła się nieco, by zapobiec gwałtownej utracie temperatury, by chronić najważniejsze dla funkcjonowania ciała organy.

Pierwszą reakcją obronną organizmu na zimno jest obkurczenie naczyń obwodowych i przesunięcie krwi w kierunku głębiej położonych tkanek. Ponieważ przez krążenie ustroj usuwa nadmiar ciepła, reakcja ta powoduje izolację głębiej położonych i ważniejszych tkanek. Sprawność izolacji wzrasta nawet sześciokrotnie. Innym mechanizmem obronnym jest drżenie mięśni. Wydajność ruchowa tych skurczów jest żadna, ale ciepła jest na tyle duża, że pozwala zwiększyć metabolizm dwu- a nawet

czterokrotnie. Wszystko po to, by chronić wątrobę, serce, nerki. Tym samym na pastwę mrozu wystawione zostają części ciała pozbawione krwi.

To wszystko było wysoce prawdopodobne.

Pozostały jednak rutyna, wyszkolenie i siła woli. Komputer działał nadal.

342

Wybuch ładunku C4, ustawionego tuż przy drzwiach wejściowych do budynku, zabrzmiał głucho, jakby z oddali. Gdyby warunki były inne, komputer bez trudu obliczyłby, że znajduje się najwyżej siedem metrów od drzwi i eksplozji; warunki jednak pozostawały dalekie od normalnych i komputer nie myślał o obliczeniach; w ogóle go nie obchodziły. Ładunek zadziałał prawidłowo, oto konkret wart wzmianki. Komputer obiecywał sobie, że zareaguje naprawdę szybko; wiedział, że od tej chwili czas zacznie mieć decydujące znaczenie. W rzeczywistości, nim ręce podniosły pistolet maszynowy i chwiejnym, kolistym ruchem skierowały go w stronę zapasowych, bocznych drzwi (konkretnie: w miejsce, gdzie wedle wszelkiego prawdopodobieństwa powinien znajdować się zamek albo rygiel), a następnie nacisnęły spust, minęło dobrych piętnaście sekund. Komputer nie brał pod uwagę, że pistolet może zawieść: nie pamiętał, czy broń przed wyruszeniem na wyprawę została przesmarowana zimowymi smarami. Jego uwaga była skoncentrowana tylko na zaplanowanych czynnościach; robił swoje, niezależnie od woli, świadomości czy słabnącego z minuty na minutę aparatu wykonawczego.

Heckler i Koch to jednak dobra firma, godna zaufania. Można powiedzieć, że pod pewnymi względami niemająca sobie równych.

Charkot kilkustrzałowej serii był znacznie cichszy niż wybuch C4 i tylko nieco głośniejszy niż jazgot umierających drzwi. Drewno, całe szczęście nie wzmocnione blachą ani żelaznymi okuciami, poddało się po pierwszym ciosie. Kule wyszarpały solidne kęsy wokół zamka. Komputer na wszelki wypadek posłał drugą serię w okolice klamki (ciało stało z boku, komputer pamiętał o pewnych nieprzyjemnych konsekwencjach związanych z rykoszetami), po czym rozkazał kopnąć drzwi.

Uderzenie było śmiechu warte, ciało omal się przy nim nie wywróciło, ale okazało się skuteczne. Drzwi otwierały się do wewnątrz, siła pocisków musiała je oderwać od framugi (zamarzniętej na kość) i ukazało się przejście, na tyle obszerne by pomieścić człowieka.

Co dalej?

Ciało na polecenia komputera reagowało z ospałością; pływak, przemierzający basen wypełniony miodem, poruszałyby się szybciej. Komputer wysłał sygnał alarmowy: wielkie czerwone świadko z akompaniamentem wycia najgłośniejszej syreny z arsenału komputerowych syren. Wibracje, szarpanie, wstrząsy podobne do elektrycznych. Ciało musiało

343

się obudzić, musiało uruchomić zapasowe zbiorniki paliwa i nie zważając na poniesione straty, przystąpić do działania. Sam komputer to nie wszystko; za centrum decyzyjnym zawsze muszą stać żelazne bataliony.

Przez wieczność nie działało się nic. Potem podniosła się ręka z pistoletem: niepewnie, drżąc, chwiejnie. Druga chwyciła za łożę broni. Ciało skoncentrowało wzrok.

Zastanowiło się (komputer też nie był wszechmogący, nie myślał o wszystkim naraz),

zdjęło lewą rękę z łoża pistoletu i strąciło z głowy papachę. Słyszalność poprawiła się, taką przynajmniej komputer miał nadzieję; w ogóle ostatnio stracił na pewności siebie. Wysłał jeszcze jeden impuls. Ciało odebrało go.

I po trwającej wieczność chwili zareagowało. Zuzanna oprzytomniała.

Weszła do środka.

W środku domu było oczywiście cieplej niż na zewnątrz. Oddech uspokajał się. Myśli zaczęły się konkretyzować, oprócz instynktu i woli do głosu doszła także inteligencja.

W pomieszczeniu panowała ciemność.

Zuzanna zapaliła przymocowaną u dołu lufy latarkę. Snop światła był cienki i ostry, wystarczył jednak do oceny sytuacji. Znajdowała się w wąskim korytarzu o betonowych, pokrytych szronem ścianach. W lewo: zakręt i dalsza część korytarza, na razie niewidoczna; po prawej schody na górę. Zuzanna wdrukowała sobie ten obraz w pamięć i zgasiła latarkę. Automatycznym ruchem wyciągnęła z plecaka noktowizyjne gogle. O dziwo, bateria uruchomiła mechanizm, jednak efekt był więcej niż marny. By noktowizor spełniał swe zadanie, potrzebuje choć odrobinę jasności.

Plan: marsz ku górze. Ku światłu.

Zuzanna ostrożnie zrobiła kilka kroków, stopą wyczuła pierwszy schodek. Poczwała dochodzący z góry oddech ciepła, który na swych skrzydłach przyniósł coś jeszcze: smród eksplozji. Z drzwi wejściowych raczej nie zostało zbyt wiele; Zuzanna liczyła na to, że potencjalni obrońcy obiektu skupią się na tej prymitywnej dywersji: na jej skutkach i potencjalnych konsekwencjach.

Nie przeliczyła się. Poprzez kominiarkę usłyszała głosy, przytłumione, przestraszone i podniecone. Dwa? Nie była pewna. Może trzy. Nie więcej.

Zaczęła wchodzić po stopniach. Stawiała stopę ostrożnie, wyczuwając grunt, przenosiła ciężar ciała na górną nogę, ostrożnie dostawiała

344

dolną. Na sekundę zatrzymywała się, po czym powtarzała sekwencję od nowa.

W końcu dotarła do miejsca, gdzie schody zawracały o sto osiemdziesiąt stopni.

Głosy na górze stały się wyraźniejsze, do oddechu ciepła doszedł całkiem wyraźnie wyczuwalny jęzor lodowatego podmuchu. I tak umiarkowana ciepłota pomieszczeń cofała się przed frontalnym, idącym od wysadzonych drzwi atakiem.

Zuzanna zaczęła się wspinać po drugim biegu schodów. Noktowizor obudził się, z góry dochodził niewyraźny poblask, słaby, ale wystarczający. Zaczęła dostrzegać kontury ścian klatki schodowej i zwieńczenie schodów. Ostrożnie pokonała kilka ostatnich stopni. Stała i zaczęła nasłuchiwać. Głosy umilkły, mimo wszystko miała wrażenie, że ich właściciele nadal stoją obok drzwi i czekają na coś. Może nie wiedzą, co robić. Albo chcą sprawić niespodziankę potencjalnemu agresorowi. Uśmiechnęła się w duchu. Agresywna amatorszczyzna nadal rządziła światem, ale w starciu z cichym zawodowstwem zawsze przegrywała.

Zuzanna odczepiła z pasa granat hukowo-błyskowy, wsadziła do uszu stopery.

Obliczyła, że drzwi wejściowe ze zgromadzonym wokół nich komitetem powitalnym są nie dalej niż o pięć metrów i wieńczą krótki hol wejściowy. Być może myliła się i mieszkańcy domu są zupełnie niewinni, nie dbała jednak o to; gdyby miała pewność,

że znajduje się na pewno w obiekcie, w którym przebywa jej dziecko, a ludzie, których głosy słyszała, są cerberami, użyłaby granatu obronnego.

Odetchnęła bezgłośnie, odbezpieczyła granat i rzuciła go w stronę drzwi, na pół sekundy wychylając się zza framugi.

Zdażyła się cofnąć i policzyć do trzech, gdy huknęło. Pamiętała, by zamknąć oczy, a i tak błysk, wielokrotnie wzmocniony przez noktowizor, boleśnie poraził ją gwałtownym, różnokolorowym, oślepiającym światłem. Gdy ponownie spojrzała na świat, przez chwilę widziała tylko jasne kręgi; mimo to wyskoczyła z kryjówki i znalazła się w holu, daleko obszerniejszym, niż pierwotnie przypuszczała.

Wspomnienie po drzwiach wejściowych. Otwór ziejący mrozem. Dwóch nieprzytomnych ludzi leżących na podłodze. Obok broń: pistolet i wielkokalibrowa śrutowa strzelba.

Podniosła obie sztuki broni i wrzuciła do piwnicy. Na tyle szybko, na ile pozwalało jej ciężkie ubranie i postępujące osłabienie, skrepowała

345

strażnikom ręce na plecach wyciągniętymi z kieszeni plastikowymi kajdankami. Czy pozostaną przy życiu, było jej właściwie obojętne - chciała sobie jednak zapewnić źródło informacji, gdyby myliła się, co do miejsca przebywania Zosi.

Wyprostowała się i zaczęła nasłuchiwać. Nie była to czynność zwieńczona spektakularnym sukcesem: wiatr wdzierał się do holu i wypełniał go ponurym szumem.

Z otwartych drzwi pokoju dochodził słaby blask. Kontury wnętrza rozmazywały się w upiornym, zielonym obrazie noktowizora. Zuzanna ruszyła do przodu. Zajrzała do kuchni. Nikogo. Duży pokój. Pusto. Na stole resztki kolacji i szklanki z gorącą jeszcze herbatą.

Trzy...

Huk wystrzału był ogłuszający. Kula uderzyła w górną część ramięczka kamizelki i poleciała w dal. Zuzanna straciła równowagę i upadła na plecy. Jej szczęście: strzelec był kiepski, albo zdenerwowany. Być może jedno i drugie. Choć żebro zakłuło paskudnie - już niemal o nim zapomniała, w czasie biegu prawie nie czuła bólu - nie straciła przytomności. Podniosła lufę pistoletu maszynowego i puściła krótką serię w kierunku, z którego padł strzał. Nie łudziła się, że trafi. Chciała po prostu pokazać napastnikowi, że żyje i ma się czym bronić. Chciała skłonić go do zastanowienia się i zyskać czas.

Rzeczywiście, napastnik powstrzymał się od dalszego strzelania. Zuzanna podniosła się na czworaki, kilkoma szybkimi krokami osiągnęła ścianę i wstała, korzystając z zasłony.

Strzelec musiał znajdować się na piętrze.

Gdy zgasło światło, może dwie minuty przed atakiem, wstał od stołu i poszedł na górę. Może po latarkę. Usłyszał wybuch i zaczął ostrożnie schodzić w dół. Huk granatu nie obezwładnił go; najprawdopodobniej był jeszcze za załomem schodów i jedyne, co odczuł, to solidne dzwonięcie w uszach. Dochodził do siebie, gdy Zuzanna krępowała jego towarzyszy i sprawdzała kuchnię. Gdy weszła do salonu, pokonał ostatni bieg schodów, cicho podszedł do drzwi i strzelił do majaczącej w ciemności sylwetki.

Tak to się pewnie odbyło.

Zuzanna nie miała siły na żadne wojny podjazdowe, na żadne podchody, na próby przechytrzenia przeciwnika. Nie wiedziała, z kim ma do czynienia, zakładała jednak, że trzeci strażnik być może nie

dorównuje jej wyszkoleniem i determinacją, jest jednak nieporównywalnie bardziej wypoczęty i sprawny fizycznie. A czas oraz znajomość topografii budynku grają zdecydowanie na jego korzyść.

Zuzanna odpięła z pasa ostatni granat, odbezpieczyła i rzuciła przed siebie, w stronę holu. Podłużny cylinder wylądował na podłodze, odbił się od przeciwległej ściany i eksplodował. Sekundę wcześniej Zuzanna zamknęła oczy i przycisnęła dłonie do uszu - nie zdążyła włożyć stoperów, zdaje się, że nawet je zgubiła - po czym rzuciła się w kierunku korytarza, wprost w niewygasłe jeszcze, gromowe echo. Ciemność walczyła o lepsze z rozmazaną zieloną mgłą, jednak dostrzegła na ziemi, tuż za ścianą, leżącą bez ruchu sylwetkę. Nie namyślając się wiele, strzeliła do niej krótką serią, po czym zapaliła latarkę.

Mężczyzna odziany był w gruby sweter założony na coś w rodzaju roboczego kombinezonu. Umarł bez świadomości umierania - granat wybuchnął metr od niego i pozbawił przytomności. Pomimo to Zuzanna nie czuła wyrzutów sumienia. Nie miała żadnych wątpliwości, że swoje życie zawdzięcza przypadkowi i niestarannemu celowaniu leżącego na podłodze mężczyzny.

Tym razem nie zgasła latarki. Założyła, że walka została zakończona.

Pięć minut później, po sprawdzeniu wszystkich pomieszczeń na parterze i piętrze była pewna. Żadnych strażników więcej; po Zosi ani śladu.

Zeszła do piwnicy, czując, że dreszcze coraz silniej wstrząsają jej ciałem. W domu był przeciąg: drzwi na parterze zostały poważnie uszkodzone, drzwi w piwnicy, którymi dostała się do budynku, pozostały półotwarte; system zapewniał diabelnie sprawną cyrkulację huraganowego mroźnego powietrza. Przymknęła drzwi w piwnicy, podparła je znalezioną w kącie łopatą; miała wrażenie, że przeciąg nieco osłabł. Starła się zwalczyć postępującą drętwotę coraz większych partii ciała oraz nie zwracać uwagi na dreszcze. Miała gorączkę, z czego nie zdawała sobie zresztą sprawy.

Zajrzała do pierwszego z brzegu pomieszczenia. Jak przez mgłę (pulsująca w żyłach krew, kolorowe kręgi przed oczami?) zobaczyła krótki korytarzyk i dwoje stalowych drzwi. Nacisnęła na klamkę. Zamknięte. Pomyślała, że najprawdopodobniej za chwilę zemdleje. Nacisnęła na klamkę ponownie. Wydawało się, że za drzwiami ktoś się poruszył.

347

- Kto tam? - usłyszała. No tak, faktycznie zemdląca. Ten głos należy do snu. Jest znajomy, nawet kochany, ale przecież może być tylko złudzeniem. - Kto tam? - usłyszała ponownie, tym razem mocniej. I wyraźniej.

- Odsuń się pod ścianę - powiedziała słabo. Ostatnie, co zapamiętała, to trzask serii i chrobot konającego zamka. Potem odpłynęła w ciemność.

40.

Jakub usłyszał dźwięk, jakby uruchamianego silnika o dużej mocy. Dochodził gdzieś z głębi domu. Po kilku sekundach zabłysło światło, nieco neutralizując oślepiający blask latarki. To takie oczywiste - człowiek w rodzaju Wieszczyckiego na pewno nie zapomina o drobiazgach w rodzaju generatora prądu.

Hol było oświetlone gorzej niż poprzednio - awaryjny system uruchamiał co trzecie źródło światła - ale i tak dało się dostrzec wszystko, co najważniejsze. Gospodarz właśnie podnosił się z podłogi, razem z odźwiernym ochroniarzem. Ochroniarz miał przepaszającą minę, Wieszczycki natomiast wyglądał na lekko oszołomionego. Z głębi domu nadchodził mężczyzna, klon - bliźniak odźwiernego, z pistoletem w rękę - to on strzelał, być może tylko na postrach. Na schodach natomiast stał trzeci mężczyzna, trzymający w jednym ręku niepotrzebną już latarkę, a w drugiej pistolet. Robił to w sposób wskazujący dobitnie, że umie posługiwać się bronią w sposób rutynowy i nie będzie przeprowadzał godzinnych wywodów filozoficznych, gdy przyjdzie mu strzelić do człowieka. Z pewnością był przeciwnikiem, którego naprawdę należało się bać, choć obaj pozostali ochroniarze nie dysponowali bynajmniej fizjonomiami uczestników niedzielnego kółka różańcowego.

- Troszkę za gwałtownie - mruknął Wieszczycki, gdy stanął na nogach i wygładził nieco zmiętą marynarkę.

- Zgasło światło, panie prezesie. Byłem przekonany, że to atak - usprawiedliwiał się ochroniarz, który go wyrócił.

- Za to ci płacę - gołym okiem można było dostrzec, że maska dobrego wychowania i uprzejmej obojętności nie będzie na razie w użyciu. Gospodarz zaczynał być zły. - Zabierz im broń - warknął w stronę odźwiernego.

348

Mężczyzna podszedł ostrożnie do obu policjantów, uważając, by nie znaleźć się na linii strzału człowieka na schodach. Wyłuskał glocka z dłoni Jakuba, potem to samo zrobił z bronią Krzeptowskiego. Cofnął się o krok.

- Wstać - polecił. Obaj policjanci niechętnie i z ociąganiem spełnili polecenie. Ochroniarz zaczął fachowo i systematycznie przeszukiwać Jakuba.

- Jest pan zadziwiającym człowiekiem, nadkomisarzu - powiedział Wieszczycki, podchodząc. - Sądziłem, że mimo pana brawury będzie się pan raczej trzymał na dystans. Że uzna pan względną równowagę sił.

- Równowagę sił? - Jakub otrząsnął się już z zaskoczenia i zaczął myśleć. - Nie wiem, o czym pan mówi.

- Och, doskonale pan wie - machnął ręką rozmówca.

Jakub poczuł, że ręce ochroniarza, które metodycznie przeszukiwały każdy fragment ubrania, zatrzymały się. Co było zresztą absolutnie do przewidzenia. Po sekundzie zaczęły manipulować z ożywieniem, po czym wyciągnęły na światło dzienne mikrofon na krótkim kablu, podłączony do miniaturowego nadajnika.

- Miał to, panie prezesie - oznajmił ochroniarz. Satysfakcja z dobrze wykonanej roboty była w jego głosie doskonale słyszalna. - Podśluch

- dodał na wszelki wypadek.

Wieszczycki spochmurniał. Być może do tej pory uznawał, że uda mu się tę cześć meczu rozegrać według własnego scenariusza. Podśluch w kieszeni jednego z gości nadawał całemu zajściu, a także nieoczekiwanej wizycie zupełnie nowy sens.

Jakub w tym czasie walczył z natłokiem sprzecznych myśli.

Wściekłość: w wyniku głupiego przypadku, jakim była awaria prądu

- spodziewana przecież, Wicherek przewidywał takie konsekwencje -sprawy wymknęły się spod kontroli.

Szansa: Wieszczycki i jego ekipa zareagowali nerwowo, być może myśląc, że wyłączenie prądu jest działaniem celowym, dezorganizującym i osłabiającym obronę przeciwnika. Wieszczycki niemal się odkrył. Nie powiedział co prawda nic obciążającego, ale jego zachowanie wyraźnie świadczyło, że od początku nie traktował wizyty tych akurat policjantów jako czystego przypadku.

Na razie: pozostawało tylko stać bez ruchu (dwie lufy wycelowane w człowieka to całkiem dobry powód, by nawet głębiej nie westchnąć) i czekać na rozwój wypadków.

Ktoś coś mówił o rozwoju wypadków?

349

Huk był ogłuszający i wszechogarniający. Poraził zmysł słuchu na równi z osłepiającym błyskiem. Jakub upadł na podłogę półprzytomny. Jak przez mgłę widział tarzających się w męce strażników i samego Wieszczyckiego, pękające od wybuchów szyby i drzwi wejściowe (eksplozje były na tyle mocne, by poradzić sobie ze zbrojonym szkłem okien oraz z ozdobnymi drzwiami wzmocnionymi kilkumilimetrową stalową blachą, a na tyle słabe, by nie zrobić krzywdy nikomu, kto stał choć metr dalej), białe odziane postacie, niewyraźne i mgliste w żółtawym blasku awaryjnego oświetlenia. Słyszał kilka okrzyków (Bóg świadkiem, ciężko wyczuć, kto krzyczał i na jaki temat), kilka strzałów (to samo), kilka przekleństw i okrzyków bólu, kilka krótkich, stłumionych (awaria słuchu?) serii z pistoletów maszynowych. A potem wszystko ucichło.

Jakub nie bardzo zdawał sobie sprawę, ile trwało jego wylogowanie z rzeczywistego biegu wydarzeń. Gdy Dreszer powiedział mu potem, że wszystko zajęło około dwóch minut, wruszył ramionami. Jak dla niego równie dobre były dwie godziny. Albo dwie doby. Ale z braku lepszej opcji, uwierzył generałowi na słowo.

Atak wydzielonego oddziału Grupy Reagowania Operacyjno-Mo-bilnego zakończył się całkowitym sukcesem. Atakujący nie ponieśli strat. Obrońcy, zaskoczeni i dezorientowani, w większości niezdający sobie sprawy, że są atakowani (takie działania są podstawą operacyjną GROM-u), zanotowali na swoim koncie dwóch zabitych i dwóch ciężko rannych. Jedyne poważniejszy opór stawił strażnik przebywający w piwnicy. Zajęty był uruchamianiem generatora (żeby być precyzyjnym: generator uruchamiał się sam, ale strażnik miał na liście swoich obowiązków sprawdzenie, czy niczego nie brakuje, czy kanał wentylacyjny odpowiedzialny za odprowadzenie spalin funkcjonuje prawidłowo i czy paliwo dociera swobodnie do gaźnika urządzenia).

Usłyszawszy na górze huk spowodowany eksplozjami granatów hukowych (rozpoznał je bez pudła, sam posługiwał się nimi podczas kilkunastu akcji bojowych, będących ozdobą jego bogatego wojennego życiorysu), sięgnął po wiszącą u pasa pistolet i ostrożnie wyjrzał zza rogu korytarza. Na tyle wcześniej, by zauważyć

wpadającego w próg żołnierza (bez dwóch zdań wyszkolonego żołnierza, co do tego ochroniarz nie miał żadnych wątpliwości; sam atakował w ten sposób wcale nie tak dawno), i na tyle późno, by zdążyć oddać tylko jeden

350

celny strzał. Kula uderzyła napastnika w środek kamizelki i odrzuciła na ścianę; niestety (z punktu widzenia obrońcy niestety), napastnik miał towarzysza. Towarzysz strzelił znacznie bardziej skutecznie -wszystkie trzy kule z krótkiej serii znalazły drogę do celu. Strażnik osunął się, znacząc ścianę krwawym śladem biegnącym z góry na dół.

Na wyższych kondygnacjach trwała tymczasem nerwowa krzątanina. Cztery dwójki operatorów przeszukiwały willę. Oprócz trzech unieszkodliwionych ochroniarzy na dole i jednego zabitego w piwnicy, na górnych piętrach znaleziono tylko jednego zmoczonego ze strachu człowieka, który nie wyglądał na ochroniarza; mówiąc szczerze, wyglądał jak obraz nędzy i rozpaczy.

Najbardziej pieczołowicie zajęto się gospodarzem. Jeszcze na wpół-przytomny został skępowany, starannie przeszukany i zamknięty w jednym z pokoi na parterze. Metr dalej stał jeden z żołnierzy i nie spuszczał z niego oka. Ochroniarze zostali rozdzieleni i również umieszczeni w pokojach pod strażą

- Co się właściwie stało? - zapytał Krzeptowski. Zdecydowanie szybciej od Jakuba wrócił do formy. Razem z Dreszerem siedzieli w saloniku, zajmując zestaw wypoczynkowy wart trzy ich roczne pensje razem wzięte.

- Wysiadło zasilanie w całej okolicy, być może nawet w połowie Warszawy. Należało się tego spodziewać. I tak się dziwię, że ta przestarzała infrastruktura wytrzymała aż tyle. Oni zareagowali nerwowo. Po znalezieniu u pana - skinał głową w stronę nadal kiwającego się Tyszkiewicza - podsłuchu, wiedzieli już, że to nie żadna rutynowa wizyta (wiedzieli już od początku, ale Tyszkiewicz nie zdradzał Dreszerowi kulisów akcji). Może mieli ustalone procedury na taką okoliczność.

- Jak weszliście?

-Tajemnica szefa kuchni - Dreszer nawet się nie uśmiechnął. -Największym problemem było ominięcie instalacji alarmowej zamontowanej w ogrodzie. Częściowo pomógł nam śnieg. Reszta to rutyna. Co robimy dalej?

- Przesłuchamy tych ludzi - odezwał się Tyszkiewicz. Mówił cicho, z wyraźnym trudem. - Czy tu jest jakaś piwnica?

- Jest. Nawet całkiem obszerna.

- Dobrze. Chcę przesłuchać Wieszczyckiego. Komisarz Krzeptowski zajmie się ochroniarzami.

351

r

- Jest jeszcze to zasikane nieszczęście na górze - powiedział Dreszer. - Wygląda jak sekretarz pana domu. Albo ktoś w tym rodzaju. Może być cennym źródłem informacji.

- Dobrze, zajmiemy się nim. Czy pana ludzie mają doświadczenie w przeszukiwaniu obiektów pod kątem znajdowania informacji lub dowodów rzeczowych?

- Trzech przyszło z policji - Dreszer wzruszył ramionami. - Ale wszyscy są uważni i inteligentni, więc jeżeli powie pan, czego mają szukać, znajdą to.
- Sam nie wiem - Tyszkiewicz wzdrygnął się. Adrenalina opadła, zaczęło mu doskwierać zimno. - Mają szukać dowodów przestępczej działalności.
- Rozumiem - nieruchoma twarz generała nie pozwalała poznać, co tak naprawdę ukrywa się za tą maską. - Mamy przestępcę, a nie mamy dowodów.
- Mamy potencjalnego przestępcę - podkreślił Tyszkiewicz. - I tak już złamaliśmy prawo. Powiedzmy, że mamy uzasadnione podejrzenia. Dobra, dość gadania. Proponuję, aby pana ludzie pod komendą komisarza przeszukali całą nieruchomość.

41

Mężczyzna nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte. Henio zaczął wiercić się niespokojnie.

- Może poszła do kibla - powiedział. Wyższy z mężczyzn spojrzał beznamiętnie.
- Gdzie?

Henio wskazał brodą koniec korytarza.

- Może pan iść. To na razie tyle - mężczyzna poklepał Niespodzianego po ramieniu i razem z towarzyszem ruszył w stronę toalet.

42.

Jadwiga poczuła, że musi zrobić przerwę. Od rana pracowała bez wytchnienia, na najwyższych obrotach. Obraz śledztwa zmieniał się

352

kilkakrotnie, jednak w końcu ustabilizował się. Konkrety układały się w logiczną całość.

Zamknęła pokój na klucz i poszła do toalety. Wewnątrz było pusto i zimno, pachniało środkiem odkażającym. Zamknęła się w jednej z kabin i usiadła na sedesie.

Powoli zaczęły do niej docierać konsekwencje dzisiejszych odkryć i nieprawdopodobna ilość pracy, która czekała kogoś, kto zostanie wyznaczony do poprowadzenia oficjalnego śledztwa, w którym zabójstwo Wicherka, a także porwania Heleny i Smotrycza będą tylko jednym z wielu elementów.

Na czele stało zabójstwo prezydenta...

...usłyszała skrzypnięcie. Nie był to zwykły dźwięk towarzyszący otwieraniu drzwi; ktoś starał się uniknąć hałasu. Mimo to usłyszała szelest ubrania i mlaskanie mokrych butów na ceramicznych płytkach podłogi. Kroki były ciężkie, należały zdecydowanie do mężczyzny... Jadwiga, najciszej jak mogła, wstała i podciągnęła spodnie.

...raczej dwóch mężczyzn, poruszających się cicho i ostrożnie.

Delikatnym ruchem zaczęła wyciągać pistolet, gdy ktoś szarpnął za klamkę jej kabiny. Wstrzymała oddech.

- Aspirant Jadwiga Stec? - usłyszała.
- Kto pyta? - odparła po chwili.
- Nadkomisarz Leszek Antoniewicz, Centralne Biuro Śledcze.

Zdumienie odebrało jej mowę.

43.

Major Jan Tolak po wyjściu od informatyka poczuł, że kręci mu się w głowie. Szczerze? Powinien się położyć i przespać, przykryty ciepłą kołdrą. Dwie godziny

snu i być może choć trochę odpuściłyby te cholerne dreszcze, a myślałoby mu się klarowniej. Konkretnie: w ogóle by mu się myślało.

Informacje odczytane z twardych dysków (precyzyjnie: pierwsza partia informacji z jednego zaledwie dysku) stanowiły przełom. Przedstawiały setki faktów, zarejestrowanych zdarzeń, poszczególnych operacji. Już w tej chwili można dojrzeć mechanizmy, motywacje i sprawców.

- Wy to jesteście ambitni - usłyszał.

Oficer dyżurny. Zrobił sobie chwilę przerwy.

353

- My? To znaczy kto? - zdziwił się Tolak. Nie chciało mu się rozmawiać.

- Ten wasz zespół. Niby święta i cholerna zamieć, a wszyscy w robocie.

- Nie wszyscy. Tylko Jadwiga i ja.

-1 Henio Niespodziany.

- Henio jest na dyżurze - Tolak pokręcił głową. Musiał, naprawdę musiał się położyć.

- Na jakim dyżurze? - zdziwił się oficer. Wyglądało na to, że zupełnie szczerze. - Nie ma go w grafiku.

- Jak to nie ma?

- Normalnie. Ma wolne. Bodajże do Nowego Roku. A nie dość że się zjawził, to jeszcze jacyś faceci z cebeesiu do niego przyszli.

- Z cebeesiu? - zapytał Tolak, przeciągając ostatnią sylabę. W jednej chwili przypomniał sobie samobójstwo naczelnika, urwanie kontaktu z centralą, film przedstawiający domniemanego zabójcę prezydenta, listę płac z dysku... - Nie wiesz, gdzie poszli?

- No, chyba do was, tak mi się zdaje.

- Kurwa mać - krzyknął Tolak i zaczął biec. Po drodze wyszarpnął pistolet.

44.

Krzepkowski wybrał numer Jadwigi. Gdy rozmawiał z nią ostatnio, prosiła, by zadzwonił za jakiś czas, bo coraz więcej fragmentów układanki zaczyna do siebie pasować, więc, powiedzmy za godzinę lub półtorej, będzie najpewniej czekała na niego następna porcja informacji. No więc dzwoni.

Niestety, choć sygnał brzmiał w słuchawce tak wyraźnie, jakby nie było żadnych cholernych anomalii pogodowych, nikt nie odbierał.

Gdy włączyła się poczta głosowa, zostawił wiadomość. A potem, tknięty złym przeczuciem, popadł w ponurą zadumę.

45.

Komórka w kieszeni Jadwigi rozdzwoniła się niespodziewanie. Jej właścicielka aż podskoczyła. Trzymała już w ręku pistolet, zastanawiała

354

się nad odpowiedzią gościowi z cebeesiu, jednocześnie chciała odebrać połączenie. Wiedziała przecież, kto może dzwonić. Kto na pewno dzwoni. Kto pomoże...

W akompaniamencie trasku pękającego drewna drzwi otworzyły się gwałtownie i uderzyły ją w klatkę piersiową. Kopnięcie musiało być silne, uderzenie pchnęło Jadwigę na ścianę i pozbawiło tchu. Pistolet wyleciał jej z ręki i spadł gdzieś za sedesem. Druga ręka, uwięziona w kieszeni z komórką, nie zdążyła w niczym pomóc.

Jadwiga ujrzała wysokiego mężczyznę, który trzymał w ręku najlepszy argument za tym, by zastygnąć w bezruchu i nie próbować wzywać pomocy, ani żadnej z tych cwanych rzeczy, o których czyta się w sensacyjnych książkach.

Argument ów miał kaliber dziewięć milimetrów i siedemnaście naboji w magazynku. 4B.

Tolak szarpnął za klamkę. Zamknięte. Nacisnął jeszcze raz. Z tym samym skutkiem. Zawahał się przez moment. Gdzieś w oddali usłyszał dzwonek komórki. Potem jeszcze jeden. Dźwięku nie sposób było pomylić z żadnym innym: to kiczowate plumkanie wydobywał z siebie aparat Jadwigi, z czego zresztą była bardzo dumna. Nikt nie odbierał. Dziwne, Jadwiga była na gorącej linii z tym pieprzonym górale, jedli sobie z dzióbków przez cały dzień, co zresztą pod koniec dnia zaczęło majora przyprawiać o mdłości. Być może wyszła do toalety i zabrała ze sobą komórkę. Może nie odbiera, bo jest zajęta tym, co z reguły robi się w ubikacji; a może..

Gości z cebeesiu nie było nigdzie widać, od drzwi pokoju natomiast wprost do toalet prowadziły podwójne śnieżne ślady...

Ruszył biegiem. Miał na nogach ciężkie zimowe buty, ze specjalnie wzmocnianą podeszwą. Nie był zatem cichy ani specjalnie szybki. Cel osiągnął jednak po kilku sekundach. Przez drzwi usłyszał kolejny dzwonek komórki, a chwilę potem potężny trzask, jakby wyłamywanego drewna. Nacisnął klamkę. Ktoś zablokował drzwi od wewnątrz. Cofnął się o krok i trzymając wysoko pistolet obiema rękoma, kopnął z całej siły tuż poniżej zamka.

355

Zabolała go noga, ale drzwi były out, poddały się bez dalszych dyskusji. Rąbnęły z hukiem o ścianę.

Naprzeciwno (jeden w półbrocie; obaj broń w rękach) dwaj wysocy mężczyźni w długich płaszczach, niczym z jakiegoś hollywoodzkiego demobilu. Ten odwrócony właśnie naciskał na spust.

Huk wystrzału zagrzmiął gromowo w małym pomieszczeniu. Kula przeleciała może o centymetr od twarzy Tolaka i odłupała solidny kawał tynku gdzieś za jego plecami. Mężczyzna nie zwykł chybiać z tej odległości, toteż zdumienie na ułamek sekundy zwolniło jego reakcję. Przesunął lufę odrobinę w prawo...

Tolak strzelił dwukrotnie. Kule trafiły mężczyznę w pierś i pchnęły w kierunku drugiego, który stał bokiem do drzwi. Obaj stracili równowagę i upadli, pistolet poleciał w kąt pomieszczenia.

Tolak postąpił krok do przodu i wycelował w głowę drugiego mężczyzny.

- Daj mi tylko pretekst - wycedził przez zęby. - Chętnie sobie jeszcze postrzelam.

Facet ani drgnął. Jadwiga z głośnym westchnieniem opadła na kolana i zaczęła drzeć.

47.

W końcu zrobiło się naprawdę zimno.

Helena przeniosła Zosię na swoje łóżko - dziewczynka była całkowicie bierna, zamknięta w apatii, Helena, patrząc na nią, miała nieustanne kłopoty z przełknięciem śliny i ochotę na płacz - i okryła kocami siebie i dziecko. W końcu zdołała się rozgrzać. Pałace się non stop świado nie pomagało zasnąć, ale mimo to zapadła w sen. Obudziła ją, paradoksalnie, ciemność. Otworzyła oczy, ale nie zobaczyła nic. Pomyślała, że jeszcze śpi, ale ciche pomrukiwanie Zosi i ciepło jej drobnego ciała

uświadomiły jej, że to już nie sen.

Dziwne.

Do tej pory okratowana i zabezpieczona przed stłuczeniem żarówka non stop rozświetlała celę. Nowe porządki?

Nie zdążyła się nad tym głębiej zastanowić, gdy usłyszała huk dochodzący gdzieś z góry. Był przytłumiony i głuchy, ale na tyle silny,

356

by wstrząsnąć ścianami piwnicy. Stalowa rama łóżka zabrzęczała krótko. Echo eksplozji jeszcze brzmiało jej w uszach, kompletna ciemność wspomagała wyobraźnię w podsuwaniu coraz to bardziej fantastycznych rozwiązań (Awaria? Atak przybywającej na odsiecz kawalerii?), ale Helena nie należała do osób, które poddają się panikarskim nastrojom. Przemogła się, zwalczyła chęć wydostania się żołądka przez gardło, wysunęła się spod koca, dbając, by Zosia pozostała przykryta, w ciemności wymacała buty, założyła je, po czym powoli, wyciągając przed siebie ręce, poszła w stronę drzwi.

Wyczuła je po czterech krokach, były zimne i przykre w dotyku. Stanęła w taki sposób, by osłoniły ją, w razie gdyby ktoś chciał wejść do pomieszczenia. Gdy będzie to ktoś z ochrony, no cóż, może nadarzy się sposobność, by zaskoczyć go, obezwładnić i poszukać okazji do ucieczki. Gdyby to jednak było wybawienie... Wydawało jej się, że słyszy głosy rozmowy. Zaraz potem, ze znacznie bliższej odległości dobiegł chrobot, jakby gigantycznego kornika. Coś cicho skrzypnęło. Kroki? Czy zasilana paniką wyobraźnia?

Przez jakiś czas nie działo się nic.

Dlatego następny huk, który targnął piwnicą, znacznie mocniejszy i bardziej donośny niż poprzedni, mocno ją przestraszył. Tym głębsza była cisza, która po nim zapadła. Po trudnym do określenia, ciągnącym się w nieskończoność czasie usłyszała strzał, potem znowu huk, jakby bliższy i jeszcze głośniejszy. A jeszcze później kroki, ostrożne, lekkie, pełne wahania.

Ktoś poruszył klamką. Helena zastygła.

- Kto tam? - zapytała w końcu.

Cisza.

- Kto tam? - powtórzyła.

- Odsuń się pod ścianę - usłyszała. Ten głos sprawił, że zadrżała i z trudem powstrzymała się od krzyku. Opanowała się na tyle, by przytulić plecy do zimnego tynku, o dwa metry od drzwi. Usłyszała terkot, trzask rozdzieranego metalu i drzwi uchyliły się. Do piwnicy wpadła smuga światła. Jednocześnie z zewnątrz dobiegł odgłos upadającego na podłogę ciała.

Helena przez chwilę naprawdę nie wiedziała, co czynić dalej. Z jednej strony głos był znany, należał do Zuzanny, upragnionej i oczekiwanej kawalerii - jednego z wariantów przybywającej z odsieczą

357

by wstrząsnąć ścianami piwnicy. Stalowa rama łóżka zabrzęczała krótko. Echo eksplozji jeszcze brzmiało jej w uszach, kompletna ciemność wspomagała wyobraźnię w podsuwaniu coraz to bardziej fantastycznych rozwiązań (Awaria? Atak przybywającej na odsiecz kawalerii?), ale Helena nie należała do osób, które poddają

się panikarskim nastrojom. Przemogła się, zwalczyła chęć wydostania się żołądka przez gardło, wysunęła się spod koca, dbając, by Zosia pozostała przykryta, w ciemności wymacała buty, założyła je, po czym powoli, wyciągając przed siebie ręce, poszła w stronę drzwi.

Wyczuła je po czterech krokach, były zimne i przykre w dotyku. Stała w taki sposób, by osłoniły ją, w razie gdyby ktoś chciał wejść do pomieszczenia. Gdy będzie to ktoś z ochrony, no cóż, może nadarzy się sposobność, by zaskoczyć go, obezwładnić i poszukać okazji do ucieczki. Gdyby to jednak było wybawienie... Wydawało jej się, że słyszy głosy rozmowy. Zaraz potem, ze znacznie bliższej odległości dobiegł chrobot, jakby gigantycznego kornika. Coś cicho skrzypnęło. Kroki? Czy zasilana paniką wyobraźnia?

Przez jakiś czas nie działo się nic.

Dlatego następny huk, który targnął piwnicą, znacznie mocniejszy i bardziej donośny niż poprzedni, mocno ją przestraszył. Tym głębsza była cisza, która po nim zapadła. Po trudnym do określenia, ciągnącym się w nieskończoność czasie usłyszała strzał, potem znowu huk, jakby bliższy i jeszcze głośniejszy. A jeszcze później kroki, ostrożne, lekkie, pełne wahania.

Ktoś poruszył klamkę. Helena zastygła.

- Kto tam? - zapytała w końcu.

Cisza.

- Kto tam? - powtórzyła.

- Odsuń się pod ścianę - usłyszała. Ten głos sprawił, że zadrżała i z trudem powstrzymała się od krzyku. Opanowała się na tyle, by przytulić plecy do zimnego tynku, o dwa metry od drzwi. Usłyszała terkot, trzask rozdzieranego metalu i drzwi uchyliły się. Do piwnicy wpadła smuga światła. Jednocześnie z zewnątrz dobiegł odgłos upadającego na podłogę ciała.

Helena przez chwilę naprawdę nie wiedziała, co czynić dalej. Z jednej strony głos był znany, należał do Zuzanny, upragnionej i oczekiwanej kawalerii - jednego z wariantów przybywającej z odsieczą

357

kawalerii, chcąc być precyzyjnym - z drugiej odgłos upadającego ciała był aż nadto dobrze rozpoznawalny i dobitny.

Czy za Zuzanną zszedł do piwnicy ktoś jeszcze, pozbawił ją przytomności i czeka na rozwój wypadków? Czy Zuzanna oberwała rykoszetem?

Wpadająca do piwnicy pozioma smuga światła nie zmieniała położenia. Nie było słuchać żadnych podejrzanych hałasów, szurania butów, stłumionego oddechu, szelestu ubrania. Jeżeli w korytarzu ktoś się czał, był niezwykle cierpliwy i umiał czekać.

W odróżnieniu od Heleny.

Ostrożnie, starając się nie patrzeć w kierunku źródła światła, by nie odzwyczajając wzroku od ciemności, podeszła do drzwi. Powoli, bardzo powoli wyjrzała. Zobaczyła leżącą na ziemi latarkę przymocowaną do pistoletu maszynowego. A w głębi, w niemal całkowitej ciemności, leżące bezwładnie ciało.

Przez chwilę wpatrywała się w dal, w głąb korytarza. Ale pomimo wyteżania wzroku i naprawdę uważnego nasłuchiwania, nie dostrzegła ani nie usłyszała nikogo.

Ostrożnie podeszła do leżącego na gołym betonie ciała. Przekreśliła je na plecy. Ostrożnie zdjęła kominiarkę. W niewyraźnym świetle nadal świecącej do środka jej więzienia latarki dostrzegła to, czego się spodziewała; bladą, nieruchomą, kochaną twarz Zuzanny.

Następnych dziesięć minut Helena spędziła niezwykle pracowicie. Zaciągnęła Zuzannę do swojej celi i ostrożnie ułożyła na łóżku obok Zosi. Z niemałym trudem zdjęła zamrożoną na kość puchówkę i obie kamizelki. W pomieszczeniu było naprawdę zimno, zadbała zatem, by zarówno dziecko, jak i matka były dobrze okryte grubą warstwą koców. Zuzanna oddychała płytko, puls miała słaby, ale regularny. Następnie, trzymając niewprawnie broń i posługując się nadal świecąca latarką, wyszła po schodach na górę. Dwaj leżący w holu wejściowym ochroniarze odzyskali przytomność, więzy jednak pozwalały im tylko kłąć i złorzeczyć; najwyraźniej nie stanowili zagrożenia. Helena obeszła ich szerokim łukiem. Po kilku krokach natknęła się na trzeciego, martwego strażnika. Poczowała, że robi jej się niedobrze. Nadal nie dotykając niczego, w kilka minut zlustrowała cały dom. Nie znalazła nikogo więcej. Ze strony wroga wewnętrznego zagrożenia nie było.

Mina jej zrzędła, gdy wyjrzała za okno. Poprzez niewielki nieza-marznięty fragment szyby dostrzegła kłębiącą się zamieć i gęstą mgłę. Dopiero teraz zwróciła uwagę na ponure wycie wiatru. Pomyślała

358

ze wstrętem o spędzeniu nadchodzących godzin pod jednym dachem z żywymi i martwymi strażnikami, ale stwierdziła, że nie ma wyboru. Próba ucieczki z Zosią oraz osłabioną, wyczerpaną i chorą Zuzanną w taką pogodę mogłaby zakończyć się wyłączeniem katastrofą.

Poczowała dojmujące zimno. Ponownie ominęła strażników i obejrzała drzwi wejściowe. W zasadzie mogła sobie darować - po drzwiach pozostało tylko wspomnienie. Pomyślała, że to właściwie jest sprawa kluczowa: jeśli nie uda się zasłonić wejścia, dom wychłodzi się w ciągu kwadransa i nikt nie przeżyje do rana. Niewiele się namyślając, pomagając sobie bronią jak dźwignią, wyjęła z zawiasów drzwi prowadzące do salonu. Były oczywiście znacznie cieńsze i nieco węższe od wejściowych, ale mogły stanowić pierwszą barierę dla śniegu i wiatru. Z niemałym trudem przystawiła je do otworu wejściowego. Napór powietrza zmniejszył się nieco. Podparła prowizoryczną zasłonę krzesłem, by wiatr jej nie wywrócił. Potem pomyśli nad czymś solidniejszym.

Zeszła do piwnicy i zajrzała do Zuzanny. Była nadal nieprzytomna. Ręce i twarz rozgrzewały się bardzo powoli, puls i oddech odzyskały jednak regularność.

Usłyszała stukanie.

Po dłuższej, wypełnionej przerażeniem chwili sięgnęła po leżący obok pistolet maszynowy i skierowała lufę w stronę drzwi. Stukanie dochodziło gdzieś z korytarza.

- Jest tam ktoś? - męski głos, stłumiony, ale wyraźny. Z pewnością nie należał do żadnego ze strażników, którzy zamaskowani odwiedzali ją w celi trzy razy dziennie, przynosząc jedzenie. Należał natomiast...

Helena przypomniała sobie małą imprezkę z kolegami Jakuba z pracy. Jakub wyraźnie był zadowolony z wrażenia, jakie zrobiła na tych ludziach (nawet na takiej małej, cycatej, na którą Staszek Krzeptowski patrzył jak kot na mleko), pamiętała, że

bawiła się świetnie. Z kilkoma z nich dawało się nawet porozmawiać na inne tematy niż praca w policji. I teraz wydało jej się (nie była pewna, bo jej pewność siebie mocno osłabła ostatnimi czasy), że ten głos należał do jednego z poznanych wtedy policjantów. Nie pamiętała jego nazwiska.

- Jest tam ktoś? - usłyszała ponownie. Tym razem już wyraźnie, głos dochodził zza stalowych drzwi w głębi korytarza, identycznych z tymi, które jeszcze do niedawna odgradzały jej celę od świata zewnętrznego. - Jestem uwięziony. Proszę mnie wypuścić.

359

0*

k

Helena nacisnęła na klamkę. Zamknięte. Nie dostrzegła żadnych zewnętrznych rygli ani zasuwek. Pomyślała o trzymanej w ręku broni, ale nie była pewna, czy zdoła strzelić w taki sposób, by nie zrobić sobie krzywdy. Byłoby idiotycznie utonąć przy wejściu do portu.

- Proszę poczekać. Muszę znaleźć klucz - krzyknęła.

- Poczekać - głos mężczyzny wyraźnie się ożywił. Zabrzmiała w nim prawdziwa nadzieja. - Pewnie, że poczekać.

Klucz. Gdzie może być? U strażników oczywiście. Należy ich zapytać.

Ponownie poszła na parter. Świado latarki osłabło w widoczny sposób. Jeżeli się nie pospieszy, zostanie sama, w ciemnym, pustym, obcym domu, z dwoma strażnikami, którzy tylko czekają na okazję, by wyzwolić się z pęt i na powrót zagonić więźniów do cel.

Ale strażnicy na razie okazji się nie doczekali; siedzieli tam, gdzie ich zostawiła, przykrępowani do wmurowanego w ścianę kaloryfera. Pęta założone przez Zuzannę okazały się wystarczające.

- Gdzie jest klucz do cel? - zapytała, świecąc jednemu ze strażników prosto w oczy.

Tamten patrzył z wściekłością, po czym splunął. Nie wykazywał nawet odrobiny empatii.

- Gdzie jest klucz do cel? - powtórzyła odrobinę głośniejsze.

Tym razem splunięcia nie było, pozostało tylko złe spojrzenie i obietnica rozkosznej zemsty, w razie gdyby autor spojrzenia jakimś cudem uwolnił się z więzów.

Helena nie dała mu takiej szansy. Podniosła pistolet maszynowy i wycelowawszy wysoko ponad głowę opartych o ścianę ochroniarzy, nacisnęła spust.

Kopnęło, zarzuciło lufą. Seria dziesięciu pocisków wywalila całkiem zgrabny ścieg metr ponad strażnikami. Obaj krzyknęli odruchowo i zaczęli kasłać, zakrztusiwszy się opadającym na nich ceglany pyłem. Helena dała im minutę, walcząc w tym czasie z upajającą satysfakcją i podnoszącym włosy na głowie poczuciem siły.

- Gdzie są klucze od cel? - zapytała po raz trzeci, gdy uznała, że strażnicy mogą skoncentrować się na pytaniu i odpowiedzi.

Odpowiedź przyszła szybko, można rzec, odwrotna pocztą.

-Wkieszeni-powiedziałten drugi. Pokazał oczami.-Umniewkieszeni.

Helena przyjrzała się uważnie więzom (obaj mężczyźni mieli ręce skrepowane na plecach i przywiązane do kaloryfera, nogi związane

w kostkach) i doszła do wniosku, że jedyne niebezpieczeństwo, jakie jej może grozić, to niespodziewane kopnięcie. Uważając zatem, by nie znaleźć się w zasięgu nóg obu ochroniarzy, obeszła ich ostrożnie i trzymając broń jedną ręką oraz świecąc prosto w oczy niedawnemu rozmówcy, włożyła mu rękę do kieszeni kombinezonu.

Spodziewała się Bóg wie czego, ale po prostu wyciągnęła pęk kluczy. Możliwe, że tamci byli kiepsko opłacani. Albo zaczęli marznąć.

W każdym razie: żadnych niespodzianek.

Czym prędzej zeszła na dół. Drżącymi rękoma, przy naprawdę słabym świetle latarki, zaczęła dobierać klucze. Za trzecim razem powiodło się. Klucz zgrzytnął i przekręcił się lekko. Nacisnęła na kłamkę. Drzwi poddały się bez oporu.

W świetle latarki ukazał się chudy, wysoki facet w okularach, z obandażowaną głową. Przysłonił oczy ręką i cofnął się nieco. Helena przypomniała sobie.

- Antoni? Antoni Smotrycz? - zapytała.

- To ja. Wybawco, kim jesteś?

- Helena, żona Jakuba Tyszkiewicza. Witaj na wolności.

48.

Przestępca?

Nie wyglądał na to. Wyglądał jak zdrowy, pozbawiony trosk fizycznych i materialnych obywatel, zdobywca świata, kolekcjoner sztuki. Pomimo tego, że siedział na brzeżku krzesła, ze skutymi z tyłu rękoma, które przeszkadzały w zajęciu wygodniejszej pozycji, spoglądał na Jakuba bez cienia niechęci czy agresji. Ot, mina wyrażająca znie-smaczenie i zniecierpliwienie zaistniałą sytuacją. Musiał być bardzo pewny siebie, ten pan Wieszczycki.

- Pamięta pan, za ile kupił obraz „Nieuchwytny”? - zapytał Jakub od niechcienia. Nadal nie mógł rozgryźć tego faceta.

- Będziemy rozmawiali o moich transakcjach? - Wieszczycki nawet nie drgnął. - Ciekawe.

- Będziemy rozmawiali o różnych rzeczach - Jakub patrzył mu prosto w twarz, starając się dostrzec coś, co pozwoliłoby nakierować tę

361

bezsensowną wymianę zdań na właściwy tor. - Ale chciałbym zacząć od tego właśnie. Za ile kupił pan obraz?

- Nadkomisarz, tak? Dobrze zapamiętałem? Ma pan stopień nadkomisarza? A zatem, panie nadkomisarzu, oświadczam, że nie będę z panem rozmawiał na ten ani na żaden inny temat...

- Ile, panie Wieszczycki? - Jakub nie podnosił głosu i starał się nawet nie mrugnąć.

- Natomiast proponuję, a właściwie radzę ze szczerego serca, by wykręcił pan numer któregoś ze swoich zwierzchników, na przykład komendanta stołecznego policji, zreferował mu pokrótce sytuację i zapytał o dalsze instrukcje.

- A zatem nie może pan sobie przypomnieć. No dobrze. Wróćmy do tego jeszcze. Proszę powiedzieć, od kogo pan kupił ten obraz.

- Telefon.

- To proste pytanie. Od kogo pan kupił obraz? Nie chce pan powiedzieć, ile pan

zapłacił, ale ja sędzę, że obraz jest bardzo cenny. Pamięta pan zatem nazwisko autorki. Niemożliwe, aby pan wydał kupę pieniędzy na dzieło malarza, którego pan nie zapamiętał. Mylę się?

- Niech pan dzwoni. Sędzę, że to ostatnia szansa...

- Widzę, że szwankuje panu pamięć. Postaram się ją odświeżyć - Jakub wstał i zbliżył się do Wieszczyckiego. Sięgnął głęboko do kieszeni kurtki. Po chwili wyciągnął z niej niewielki kartonik, może osiem na dziesięć centymetrów. Podsunął go przesłuchiwanemu pod nos. -To ta osoba, prawda? Autorka „Nieuchwytnego”. Nazywa się Helena Berezowicz. Naprawdę pan jej nie pamięta?

49.

W toalecie, tak zwykle cichej i zwyczajnej, wybuchło isticie dantejskie piekło. W ciągu minuty zaroiło się od funkcjonariuszy. Błyskawicznie rozbroili obu mężczyzn - ten postrzelony miał na sobie kamizelkę kuloodporną, więc jego obrażenia ograniczały się do złamanego zebra - skuli ich i po krótkich przepychankach kompetencyjnych, powiedli w kierunku piwnic, gdzie mieściły się policyjne areszty. Tolak chętnie by ich przesłuchał, ale uznał, że ma ważniejsze sprawy

362

na głowie; na czele listy znajdowało się schwytnie komisarza Henryka Niespodzianego.

Okazało się to nadzwyczaj łatwe. Henio, tuż po wskazaniu drogi do pokoju Jadwigi wezwanym przez siebie cynglom, wpadł w panikę i postanowił niezwłocznie wynieść się do wszystkich diabłów. Przy wyjściu został jednak zatrzymany przez pełnego podejrzeń dyżurnego. Zanim zdołał wytłumaczyć, dlaczego pomimo wszczętego alarmu i strzelaniny musi oddalić się z terenu komendy, pościg ukazał się w drzwiach i Henio został aresztowany. Tolak tym razem nie dał sobie go wydrzeć z rąk. Po krótkiej awanturze, wsparty przez Jadwigę, która machała pełnomocnictwem i krzyczała niczym syrena okrętowa, udało się w końcu zasiaść w gabinecie, uprzednio starannie zamknąwszy drzwi na klucz.

Tolak darował sobie wstępy, w rodzaju „dlaczego to zrobiłeś, Heniu?”. Zadawał proste, krótkie pytania. Ku swemu zdziwieniu, otrzymywał jasne, wyraźne odpowiedzi. Henio najwyraźniej liczył na docenienie jego dobrej woli i chęci zmazania win. Tolak był skłonny obiecać mu wszystko.

Tak, mówił Henio, brał pieniądze. Od mniej więcej roku. Stała pensja, plus premia za ekstrawiadości. Ostatnim jego zadaniem było monitorowanie poczynań zespołu i meldowanie o każdym ruchu. Nie, nie domyśla się powodów. Nie wspomniano o tym. Podano mu numer alarmowy, na który miał dzwonić w razie wykrycia czegoś interesującego. Rutynowe meldunki składał e-mailem, zaszyfrowanym, codziennie wieczorem. Nie, nie zna mocodawców. Wie, że jeden z nich ma na imię Jurij. Czy jest szefem? Nie, raczej nie. Wygląda na generała, ale nie głównodowodzącego. Kontakt przy pomocy komórki. Pod dwa wbite w książkę telefony. Ten pierwszy rutynowy. Ten drugi alarmowy. Hasło, odzew. Czyjego goście byli naprawdę z cebeesiu? A kto to może wiedzieć. Trzeba by ich zapytać. - Może też okazać się skłonni do współpracy.

Tolak w końcu zadzwonił po dyżurnego i przekazał Henia w ręce dwóch barczystych

policjantów. Bez słowa wyprowadzili komisarza, a polecenie zapewnienia mu osobnej celi skwitowali ledwie widocznym wzruszeniem ramion. Tolak właśnie miał dać hasło do odwrotu, gdy ponownie otworzyły się drzwi. Mężczyzna, który w nich stanął, był niezwykle przystojny i miał życzliwy wyraz twarzy. Wełniany sweter leżał na nim, jakby był robiony na miarę.

363

- Nadkomisarz Ludwik Mailert, Centralne Biuro Śledcze. Macie państwo chwilę? - zapytał.

- Ja nie mam. Muszę zadzwonić - odparła Jadwiga.

- Poczekaj. Panie nadkomisarzu, mogę pana przeprosić na pięć minut? Musimy skończyć pewną rozmowę.

Gdy po trzystu sekundach Mailert ponownie stanął w drzwiach, Jadwiga właśnie wychodziła. Gość spojrzął na nią z zainteresowaniem, ale zignorowała go. Miała dość wizyt cebeesiu, dziś i w przyszłości.

Mailert rozsiadł się na krześle.

- To pan ujął dwóch sprawców włamania do mieszkania przy Zamenhofa? Tolak spojrzął na niego ze zdumieniem. O czym facet mówi? Włamanie? Ach, tak. Dwóch typków na klatce schodowej, roztrzęsiona staruszka, tetetka, sztamajza do łamania zamków... Kiedy to było? Rok temu? Dwa lata? Wieczność?

- Owszem.

- Dlaczego? ,

- Słucham?

- Dlaczego pan ich ujął? Zajmuje się pan łapaniem włamywaczy?

- A pan?

- No więc?

- Po co pan pyta?

- Bo z natury jestem ciekawski. Więc?

- Proszę posłuchać. Mieliśmy tu przed chwilą strzelaninę. Goście podawali się za oficerów pańskiego biura. Jestem piekielnie zmęczony. Mój dzień pracy skończył się jakiś czas temu. Może mi pan zdradzić, dlaczego mam odpowiadać na pańskie pytania?

Mailert westchnął. Wstał, wyciągnął zza pazuchy niewielki kartonik i podsunął Tolakowi pod nos.

- Zna pan tego człowieka?

Naczelnik.

- Znam.

- Prowadzę śledztwo w sprawie jego śmierci.

- Co mają z tym wspólnego włamywacze?

- To nie byli zwykli włamywacze. Dlatego interesuje mnie pański udział.

- Jestem o coś podejrzany?

- Przeciwnie. Może nam pan pomóc wyjaśnić niektóre rzeczy.

364

V

- Nadkomisarz Ludwik Mailert, Centralne Biuro Śledcze. Macie państwo chwilę? - zapytał.

- Ja nie mam. Muszę zadzwonić - odparła Jadwiga.

- Poczekaj. Panie nadkomisarzu, mogę pana przeprosić na pięć minut? Musimy skończyć pewną rozmowę.

Gdy po trzystu sekundach Mailert ponownie stanął w drzwiach, Jadwiga właśnie wychodziła. Gość spojrzął na nią z zainteresowaniem, ale zignorowała go. Miała dość wizyt cebeesiu, dziś i w przyszłości.

Mailert rozsiadł się na krześle.

- To pan ujął dwóch sprawców włamania do mieszkania przy Zamenhofa? Tolak spojrzął na niego ze zdumieniem. O czym facet mówi? Włamanie? Ach, tak. Dwóch typków na klatce schodowej, roztrzęsiona staruszka, tetetka, sztamajza do łamania zamków... Kiedy to było? Rok temu? Dwa lata? Wieczność?

- Owszem.

- Dlaczego? ,

- Słucham?

- Dlaczego pan ich ujął? Zajmuje się pan łapaniem włamywaczy?

- A pan?

- No więc?

- Po co pan pyta?

- Bo z natury jestem ciekawski. Więc?

- Proszę posłuchać. Mieliśmy tu przed chwilą strzelaninę. Goście podawali się za oficerów pańskiego biura. Jestem piekielnie zmęczony. Mój dzień pracy skończył się jakiś czas temu. Może mi pan zdradzić, dlaczego mam odpowiadać na pańskie pytania?

Mailert westchnął. Wstał, wyciągnął zza pazuchy niewielki kartonik i podsunął Tolakowi pod nos.

- Zna pan tego człowieka?

Naczelnik.

- Znam.

- Prowadzę śledztwo w sprawie jego śmierci.

- Co mają z tym wspólnego włamywacze?

- To nie byli zwykli włamywacze. Dlatego interesuje mnie pański udział.

- Jestem o coś podejrzany?

- Przeciwnie. Może nam pan pomóc wyjaśnić niektóre rzeczy.

364

- A pan mi wyjaśni?

- Być może. O ile usłyszę odpowiedź na pytanie.

- O Boże...

Tolak zamilkł na chwilę. Facet wyglądał na takiego, którego trudno zniechęcić.

- No dobrze. To był czysty przypadek. Musiałem odbyć rozmowę telefoniczną.

Na zewnątrz się nie dało, wszedłem na pierwszą z brzegu klatkę schodową.

Zauważyłem tych typków włamywających się do jakiegoś mieszkania. Powiedzmy, że poczułem w sobie konieczność wykazania odpowiedzialnej postawy. Zatrzymałem ich. Tyle.

Mailert roześmiał się.

- Piękny ciąg przypadków.

- Ale prawdziwy.

Spoglądali na siebie w milczeniu.

- Z pistoletu, który im pan zarekwirował, kilka miesięcy temu zastrzelono córkę prezesa Najwyższej Izby Kontroli - powiedział Mailert od niechcienia. - A wie pan, do kogo włamywali się ci ludzie?

- Powiniennem?

- Do matki naczelnika Wydziału do walki z Terrorem Kryminalnym i Zabójstw. Pana niedawnego szefa. Podobno nie chcieli jej zrobić nic złego, tylko nastraszyć porządnie. Mimo że sprawcy zostali aresztowani, kilka godzin później naczelnik popełnił samobójstwo. Może jednak zechce mi pan opowiedzieć całą historię dokładniej?

W ciągu krótkiej chwili Krzeptowski z targanego dzikim niepokojem pesymisty stał się najszcześliwszym człowiekiem pod słońcem. Wystarczył krótki rzut oka na display komórki. Przerwał w pół słowa rozmowę z jednym z operatorów i odebrał połączenie.

- Witaj, strasznie się martwiłem. Nie oddzwaniałaś. - Stojący obok żołnierz uśmiechnął się nieznacznie.

- Były ma... kłopo... - trzaski i szumy. Połączenie wyglądało, jakby miało natychmiast wyzionąć ducha. Pomimo odległości i zakłóceń głos Jadwigi brzmiał niepokojąco. Brzmiał w nim przestrach.

- Co się stało? - Krzeptowski spoważniał w sekundę.

365

- Już wsz... w porzą... Słuchaj, bo to waż... mam wiad... o ...czyc-kim... Wysyłam ci wiadomość przez bramkę esemesową.

- Naprawdę nic ci nie jest?

-W porząd... odbierz es... - w słuchawce rozległ się pisk i połączenie zostało przerwane.

- Dupa - mruknął Krzeptowski, wpatrując się w martwy wyświetlacz.

- Przy tej pogodzie i tak się dziwię, że komórki jeszcze działają - powiedział Dreszer, który niespodziewanie zjawił się obok komisarza.

- Właśnie.

- Dom jest czysty - generał skrzywił się nieznacznie. - Można się było tego spodziewać. Wstępne przeszukanie nie przyniosło niczego konkretnego.

Zabezpieczyliśmy trzy komputery, dostęp do części danych jest zabezpieczony hasłem. Ochroniarze milczą, ale nie naciskałem ich zbyt mocno. Myślę, że należy zacząć od tego niby-sekretarza. Jest najsłabszym ogniwem.

- Od moich współpracowników mam zaraz otrzymać nowe dane na temat gospodarza tego przybytku.

- Bardzo dobrze - Dreszer zignorował bezradność w głosie rozmówcy. Od początku miał wrażenie, że akcja jest uderzeniem w ciemno. Ale telefon od premiera nie pozostawiał wątpliwości: pomoc tym dwóm policjantom najprawdopodobniej

była najważniejszym zadaniem w długiej i obfitej w sukcesy karierze generała. Kto wie, czy nie ostatnim.

Po chwili ekranik telefonu ożył. Najwyraźniej łączność umierała na raty. Gdy Krzeptowski odczytał wszystkie pięć części wiadomości, aż gwizdnął. Wyglądało na to, że mogą ruszyć z miejsca.

Co prawda w zupełnie innym kierunku niż zakładany.

51.

Grupa interwencyjna otrzymała sygnał alarmowy wkrótce potem, gdy jeden z członków ochrony nacisnął przycisk antynapadowy.

Do zadań grupy należało monitorowanie czterech obiektów, z których najbliższy, przy Głównej sześć, leżał o niespełna kilometr, najdalszy oddalony był o nieco ponad pięć kilometrów. Grupa wyposażona była w środki techniczne umożliwiające szybkie przemieszczanie się oraz podjęcie skutecznych działań w razie jakiegokolwiek zagrożenia.

366

Dowódca miał do dyspozycji pięciu ludzi, z których każdy legitymował się długim stażem w wojsku, policji lub służbach specjalnych. Ich praca do tej pory nie była warta bajecznego wynagrodzenia: rutynowe patrole, regularne kontrole systemów zabezpieczeń, krótkie odprawy z szefami poszczególnych obiektów. Rutyna była niebezpieczna, dowódca doskonale o tym wiedział, ale na razie udało mu się utrzymać swoich ludzi w karchach. Zdawali sobie sprawę, że w ich miejsce szef może zatrudnić następnych chętnych; na rynku nie ma zbyt wiele pracy o takim wynagrodzeniu.

Jednak dowódca miał świadomość, że nie są tu trzymani tylko dla zabawy. Wiedział, że kiedyś nadejdzie moment, gdy będą musieli porzucić wygodne spędzanie czasu przed komputerem lub telewizorem i wkroczyć do akcji, wspinając się na wyżyny swych profesjonalnych umiejętności.

Gdy zaczęło padać i temperatura osiągnęła poziom dwudziestu kilku stopni poniżej zera, pomyślał, że byłoby ironią losu, gdyby teraz, po pół roku jałowego oczekiwania na wydarzenia, które być może nigdy nie miały nadejść, stało się coś, co będzie wymagało szybkiej i zdecydowanej interwencji. Oczywiście nie bał się stojących przed nim zadań. Był dobrze wyszkolonym fachowcem, stale utrwalającym swoje umiejętności i doskonale wiedział, jak zareagować w razie potrzeby. Nie, bał się raczej nieprzewidzianych okoliczności, splotu czynników, które sprawią, że realizacja zadania zostanie utrudniona lub wręcz niemożliwa do wykonania.

I właśnie stało się to, czego się obawiał, w najgorszym możliwym momencie.

Brzęczyk alarmu wyrwał go z płytkiej drzemki. Otworzył oczy, ale ciemność dookoła sprawiła, że nie bardzo wiedział, czy jeszcze śni, czy jest już po właściwej stronie jawy. Wymacał leżącą obok latarkę, zapalił ją, odrzucił koce, wstał, klnąc na panującą w pokoju temperaturę, i podszedł do komputera. Jeden z obiektów, Główna sześć, błyskał na czerwono.

Dowódca odczytał informację. Naruszenie strefy ochronnej. Sabotaż. Niezależnie od działań ochrony obiektu procedura wymagała natychmiastowej reakcji grupy interwencyjnej.

Krzykiem postawił na nogi pozostałych członków ekipy. Byli gotowi w dwie minuty.

Całe szczęście obiekt przy Głównej sześć był niedaleko. Niecały kilometr.

Nic dziwnego, że Krzeptowski zdecydował się przerwać przesłuchanie.

Jakub upewnił się, że Wieszczycki jest dobrze przymocowany do krzesła i raczej ma słabe szanse na spektakularną ucieczkę, po czym wyszedł z komisarzem na korytarz.

- Kurwa mać - powiedział kilka minut później, gdy dwukrotnie przeczytał otrzymanego od Jadwigi pięcioczęściowego esemesa i wysłuchał dodatkowej relacji Krzeptowskiego.

- Złap go za jaja, zmuś do powiedzenia, gdzie jest Helena i zamykamy sprawę.

- Raczej ją dopiero zaczynamy.

- Dokładnie.

Nawet nie zdążył się nad tym głębiej zastanowić, gdy w kieszeni odezwała się jego własna komórka.

-Ben?

- Owszem - głos było słychać źle, ale słowa dało się rozróżnić. - Jak wam idzie?

- Dość niemrawo, powiedziałbym - Jakub przypomniał sobie, że pomimo używania jednorazowej karty SIM rozmowy nadal nie są zbyt bezpieczne.

- Znalazłem coś ciekawego na temat gościa, o którym ostatnio rozmawialiśmy - brytyjski akcent, zwykle niezauważalny, teraz był wyraźnie widoczny. Pogoda i zmęczenie dawało się we znaki każdemu. - Interesuje cię?

- Owszem, jak najbardziej. Jak...

- Nieważne w tej chwili. Masz dostęp do sieci? - trzaski nasiliły się. Jakub obawiał się, że połączenie zostanie za chwilę zerwane. Spojrzał na Krzeptowskiego, który z wielkim zainteresowaniem przysłuchiwał się trwającej rozmowie.

- Jest tu internet? - zapytał.

- Nawet bardzo szybki. I działa - komisarz pokazał oczami wyższą kondygnację, na której znajdował się komputer.

- Mam - rzucił w słuchawkę Jakub.

- Okej. Podaj mi swój adres e-mailowy. I słuchaj uważnie, jak masz odczytać to, co dostaniesz.

53.

- Co ty tu robisz?

-Aty?

- Przyszło do mnie trzech. Nie miałem szans. Zaskoczyli mnie.

- No to jest nas dwoje.

- A jak...? - Smotrycz omiół oczami otoczenie.

- Kawaleria przybyła na odsiecz - Helena uśmiechnęła się lekko. Po czym, widząc pytanie w oczach niedawnego więźnia, dodała: - Zuzanna.

- No jasne - Smotrycz pokręcił z podziwem głową i też się uśmiechnął, a potem skrzywił niemiłosiernie. Głowa, poczuwszy od uszkodzonej błony bębenkowej, pękała z bólu. - Można się było domyślić, że jeżeli jest ktoś, kto ma dostatecznie

duże jaja, by coś takiego zrobić, to jest to nasza złotowłosa przyjaciółka. Przepraszam

- dodał szybko, widząc minę Heleny. - Nie miałem na myśli, że Jakub...

- Nie szkodzi. Ale koniec gadania. Mamy sporo roboty.
- Musimy wiać? - domyślił się podkomisarz.
- Niezupełnie. Pogoda się pogorszyła. Chodź, wytłumaczę ci po drodze.

Następnych dziesięć minut spędzili pracownicy. Zaczęli od przetransportowania więźniów do piwnicy, do celi, która jeszcze niedawno stanowiła miejsce odosobnienia Smotrycza. Helena stała oddalona o kilka kroków i całkiem pewnie mierzyła do strażników z pistoletu, Smotrycz natomiast ostrożnie, uważając, by nie stanąć na linii strzału, odpiął więźniów od kaloryfera, dwoma kopami postawił na nogi, po czym cała grupa w milczeniu udała się do piwnicy. Ostatniego ze strażników Smotrycz z lubością przytrzasnął stalowymi drzwiami -był to jeden z jego oprawców. Potem, gdy już zamknął drzwi, przez chwilę jeszcze z uśmiechem na twarzy słuchał jęków i przekleństw, po czym poszedł za Heleną na górę.

Za pomocą koców uszczelnili prowizoryczną osłonę zrujnowanego wybuchem otworu wejściowego. Wrócili do piwnicy. Smotrycz uruchomił znaleziony w jednym z pomieszczeń generator prądu. W głębi korytarza rozbłysła pojedyncza żarówka.

- Zapasy benzyny wystarczą nam na dobę. Może trochę więcej. Jeżeli pogoda odpuści wcześniej, damy radę. Jak nie...

369

- Wtedy będziemy się martwić. Musisz mi pomóc przenieść Zuzannę na górę.
- Co z nią?
- Jest nieprzytomna. Wyziębiona.
- Nie bardzo wiem, co można zrobić.
- Musimy dbać, by było jej ciepło.

Przenieśli Zuzannę na pierwsze piętro, do jednej z sypialni. Helena już wcześniej zrzuciła z łóżka używaną przez któregoś ze strażników pościel i ze znalezionych w szafie nowych koców ułożyła wygodne legowisko. Drugie łóżko przygotowała dla Zosi.

Ostrożnie położyli Zuzannę na łóżku, Helena z czułością przykryła ją podwójną warstwą koców. Elektryczny kaloryfer grzał pełną mocą.

- Kto to? - zapytał Smotrycz, gdy po raz drugi zeszli do piwnicy i stanęli przed łóżkiem, na którym spała Zosia.

- To... - Helena zawahała się - ...córka Zuzanny.

- Córka Zuzanny? - Smotrycz wybałuszył oczy. Najwyraźniej nie ma końca niespodziankom tego dziwnego wieczoru. - Nie wiedziałem, że ma dziecko.

- Nikt nie wiedział - Helena wzruszyła ramionami. - Musimy ją przenieść na górę.

- Ja to zrobię.

Smotrycz podszedł do łóżka, ostrożnie zdjął koc, po czym delikatnie wziął na ręce kruche, wychudzone ciało. Dziewczynka wykonała gest, jakby zamierzała osłonić głowę. Zakwiliła cicho.

Ucho odezwało się ostrym bólem. Zacisnął zęby i poszedł na górę.

54.

Dowódca kłął w bezsilnej złości.

On i jego ludzie spędzili ponad dziesięć minut na próbach otworzenia wrót do garażu. Niestety, z braku prądu nie działał elektryczny siłownik; próby ręcznego otwarcia

zakończyły się fiaskiem. Odrzwia przymarzły do betonu podłogi na dobre. Użycie skuterów okazało się niemożliwe. Grupa ruszyła do celu na piechotę, ale dowódca po kilkudziesięciu metrach zdecydował o wycofaniu się. Wiatr w dosłownym sensie wywraçał, śnieg uniemożliwiał orientację w terenie. Już po mi-

370

nucie stracili się z oczu; nawoływań nie było słycać, wiatr wypychał słowa z powrotem do gardła.

Cel był nie do osiągnięcia.

Dowódcy udało się w końcu znaleźć wszystkich ludzi i z najbliższej odległości wykrzyzczyć rozkaz do odwrotu. Został przyjęty z ulgą.

Po powrocie do bazy dowódca próbował połączyć się z centralą lub szefem.

Bezskutecznie. Oba kontakty nie odpowiadały.

Co w niczym nie zmieniało podstawowego zadania: gdy tylko pogoda nieco się poprawi, ruszą.

55.

Tyszkiewicz oderwał wzrok od komputera i popatrzył na zagląającego mu przez ramię Krzeptowskiego. Komisarz zaczął się szeroko uśmiecać.

- Komplecik - powiedział.

- Gumofilce i berecik - Tyszkiewicz wstał. - Myślę, że przeniesiemy

Wieszczyckiego na dół. Tam są bardzo przyjemne piwnice. I żeby nam się łatwiej rozmawiało, będę potrzebował paru rzeczy.

Gdy wyjaśnił, o jakie rzeczy chodzi, Krzeptowski, znający go od tylu lat, przestraszył się.

56.

Wieszczycki był siwy i metrykalnie liczył sobie lat pięćdziesiąt dwa, ale miał ciało czterdziestolatka. Ładnie wyrzeźbione mięśnie długie, wypukła klatka piersiowa, płaski, umięśniony brzuch. Na pierwszy rzut oka można było poznać, że człowiek ten spędza dużo czasu na świeżym powietrzu i nie ogranicza się tylko do czytania w parku. Ciało zdradzało raczej upartego biegacza, wspierającego dobrą kondycję wizytą w siłowni przynajmniej co trzeci dzień. Ogólnie: witalny zdobywca świata w pełni swych możliwości.

Teraz siedział nagi, przywiązany do krzesła stojącego na środku pustej, zimnej piwnicy. Na głowie miał czarny worek, umożliwiający powolne oddychanie i skutecznie oddzielający od świata nieprzeniknioną

371

barierą ciemności. Gdy żołnierze dostarczali Wieszczyckiego do piwnicy, szarpał się i wrywał. Przy rozbieraniu stawiał również zaciekle opór. Darował sobie sugestie o telefonie do komendanta. Zdawał sobie sprawę, że nadszedł czas walki o życie. Obok krzesła stało urządzenie, które miało przywrócić interlokutorowi pamięć w razie jej zaniku.

Jakub wyjął z kieszeni komórkę Krzeptowskiego. Wybrał ostatnią wiadomość od Jadwigi.

- Piętnasty grudnia. Siedemdziesiąt tysięcy złotych. Zakup karabinu snajperskiego heckler & koch PSG1 - czytał z ekranu wolno, by słowa miały czas dotrzeć do rozmówcy. - Kilku różnych pośredników. Dla kogoś z zewnątrz transakcja

nie do wyśledzenia. Potwierdzą to jeszcze szczegółowe badania, ale już teraz można przyjąć z niemal stuprocentową pewnością, że z tego karabinu zastrzelono prezydenta Rzeczypospolitej.

Więzięń drgnął. Westchnął chrapliwie. Nie odpowiedział.

- Honoraria dla posłów partii rządzącej. Daty: od sierpnia do listopada bieżącego roku. Kwoty: od pięciuset tysięcy do dwóch milionów złotych. Lista płac ludzi, którzy dla pana pracują. Bardzo ciekawa galeria: żołnierze, policjanci, prokuratorzy, sędziowie, dziennikarze. Daty przekazywania informacji i pieniędzy. Pliki audio z zarejestrowanymi spotkaniami. To są wszystko dane zaczerpnięte z systemu informatycznego pańskiej firmy. Bardzo pan systematyczny, panie koordynatorze. Mam wymieniać dalej?

- Nie ma pan pojęcia, na co się porwał - głos Wieszczyckiego był przytłumiony przez worek i emocje.

- Przeciwnie - Jakub wstał. - Wiem doskonale. Mam dość dowodów, by wsadzić pana do więzienia do końca życia. Natomiast muszę przyznać, że nie to mnie w tej chwili interesuje najbardziej. Chcę wiedzieć, gdzie jest moja żona.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Mam do zaproponowania prosty układ, panie Wieszczycki. Powie mi pan, gdzie ukrył swoją żonę, a ja obiecuję, że spędzi pan resztę życia we względnym, więziennym komforcie. Kto wie, może prawnikom uda się nawet załatwić przedterminowe zwolnienie. W razie odmowy będzie się pan mógł skoncentrować na najbliższych trzydziestu minutach. Te pół godziny będzie najbardziej dolegliwym, najbardziej upiornym okresem w pana życiu, może mi pan wierzyć.

372

Wieszczycki zaczął drżeć. W piwnicy nie było więcej niż kilka stopni powyżej zera. Z pewnością mniej niż dziesięć.

Gdy milczenie przedłużało się, Jakub westchnął.

- Nie chciałem tego robić. Sądziłem, że jest pan człowiekiem rozsądnym - powiedział, podchodząc do krzesła. - Jednak ludzkie wybory są nieodgadnione... Po czym włączył przemysłową nagrzewnicę wycelowaną prosto w gospodarza.
57.

- Wiem, gdzie jest Helena - powiedział Tyszkiewicz pół godziny później. Krzeptowski i Dreszer siedzieli w salonie. Z ich twarzy trudno było wywnioskować, czy słyszeli przytłumione krzyki, jeszcze przed chwilą dochodzące z piwnicy -
Jedziemy.

- Niestety nie - Dreszer pokręcił głową. - Pogoda...

- Nie interesuje mnie to. Jeżeli pan nie chce, pojedę sam.

- Jest minus pięćdziesiąt osiem stopni mrozu. Wiatr: sześćdziesiąt metrów na sekundę. Widzialność na poziomie dwóch metrów. Nie ma takiego pojazdu mechanicznego, który będzie funkcjonował przy tej temperaturze. Nawet panów ratrak. Po wyjeździe z garażu silnik przestanie pracować w ciągu kilku minut.

ROZDZIAŁ V

26 grudnia 2011 roku

1.

Powoli wyczerpywała siły.

Wiatr jeszcze walczył. I mróz. Śnieg zdawał się mieć konieczną energię. -

Wiedziała jednak, że na razie to koniec.

Że musi odpuścić. Z wolna, nie od razu, bez pośpiechu.

Na razie wystarczy.

Wróci tu jeszcze.

Za rok. Lub dwa.

Zuzannę obudził delikatny dotyk.

Przez dłuższą chwilę nie wiedziała, gdzie się znajduje. Panował półmrok rozświetlony tylko słabym blaskiem niewielkiego kinkietu. Z dołu dochodziło niewyraźne buczenie, najczęściej zagłuszane przez ponure

375

wycie wiatru dobiegające z oddali. Grube, pluszowe zasłony aż falowały, poruszane podmuchami przeciskającymi się przez nieszczelne okna.

Skupiła wzrok na ciemnej sylwetce siedzącej na skraju łóżka.

Helena.

- Co ty tu robisz? - zapytała słabo.

- Opiekuję się tobą i Zosią - sylwetka poruszyła się. Zuzanna dostrzegła w półmroku cień uśmiechu.

- Zosia - gwałtownie oparła się na łokciu. Żebro zaatakowało. Przygryzła wargi.

- Co z nią?

- Wszystko w porządku. Nie zrobili jej krzywdy. Śpi.

Zuzannę przeszedł dreszcz. Ulga to niewłaściwe określenie. Poczowała się jakby urodzona na nowo.

- Skąd się tu wzięłaś?

- Te szumowiny porwały mnie... - Helena zastanowiła się -... dwa dni temu?

Trzy? Straciłam rachubę czasu. Który dzisiaj jest?

- A która godzina?

Helena zachichotała.

- Też nie wiem.

- Wyruszyłam dwudziestego piątego po południu. Końcówki drogi trochę nie pamiętam.

- No, jak na oderwaną od rzeczywistości nieźle narozrabiałaś. Jeden zabity, dwóch nie bardzo przytomnych. Razem z Antonim zamknęliśmy ich w piwnicy.

- Z Antonim? Jakim Antonim?

- Twoim kolegą z pracy. Z tego co pamiętam, nazywa się Smotrycz.

Zuzanna zamknęła oczy. Mrok w jej umyśle, zamiast się rozjaśniać, gęstniał.

- Musimy natychmiast się stąd wynosić - powiedziała i słabym ruchem zdjęła z siebie koce. - I nie jest bezpiecznie.

- Nigdzie nie idziemy.

- Idziemy. Jak najszybciej. Nie zdajesz sobie sprawy...

- Zdaję sobie bardzo dobrze. Pogadałam z twoim kolegą. On też sądzi, że jesteśmy ofiarami jakiejś grubszej afery. Problem w tym, że w tej chwili ewakuacja jest niemożliwa.

-Bo?

- Nie chcę żebyś wstawiała, dlatego nie proponuję, żebyś wyjrzała za okno. Termometr pękł, a skala skończyła się na minus pięćdzie-

376

sięciu stopniach. Wieje taki wiatr, że nie można się utrzymać na nogach. Śnieg bombarduje jak karabin maszynowy. Mgła. Brak nam środka transportu. Jesteś bardzo osłabiona, Smotrycz był torturowany i wchodzi na ściany z bólu, a mamy twoją córkę, którą trzeba nieść. Jak chcesz się stąd wydostać?

Zuzanna myślała. Wolno. Dużo wolniej niż zwykle.

- Ochrona miała na pewno system powiadamiania alarmowego -powiedziała po dłuższej chwili. - Jakiś przycisk antynapadowy albo coś w tym rodzaju. Pewnie musi się też zgłaszać do swoich mocodawców co jakiś czas i meldować, czy wszystko w porządku. Ile czasu upłynęło od mojego przybycia?

- Trzy godziny? Cztery?

- Już dawno ogłoszono alarm. Jeżeli ja tu dotarłam, może dotrzeć też grupa interwencyjna.

- Jeżeli ktoś miałby być, już by był. Odkąd się pojawiłaś, pogoda znacznie się pogorszyła. Nikt nie będzie chciał ryzykować wyjścia z domu. Na piechotę nie da rady, żaden samochód się nie przebije przez taki śnieg. Nie mówiąc o odpaleniu go.

- Racja - mruknęła Zuzanna. - Ale ci ludzie nie zrezygnują tak łatwo.

- Wiesz coś o tych ludziach? - Helena przekrzywiła głowę i uważniej przyjrzała się bladej twarzy rozmówczyni. Przy okazji poczuła, zważywszy na okoliczności zgoła idiotyczne, znajome mrowienie w dole brzucha.

- Owszem. Muszę obejrzeć dom - Zuzanna nie dostrzegła błysku w oku rozmówczyni. Zdecydowanym ruchem odrzuciła koc i opuściła nogi na podłogę. Wcześniej czyjaś życzliwa ręka rozebrała ją z obu kamizelek i nałożyła na powrót ulubioną bluzę z polaru, ale i tak jej ciałem targnęły dreszcze. Musiała się powstrzymać, by nie zacząć szczekać zębami.

- Zejdę z tobą. Dobrze nam zrobi kubek gorącej herbaty.

- Gdzie Smotrycz?

- Śpi w sąsiednim pokoju.

Inspekcja budynku zajęła Zuzannie pół godziny. Zaczęła od strażników na dole. Gdy pojawiła się w celi z pistoletem w ręku, cofnęli się pod ścianę. Nie wykazywali chęci stawiania oporu. W miarę składnie opowiedzieli o systemie zabezpieczeń. Tak, jest alarm. Zamontowany w drzwiach wejściowych. Tak, najprawdopodobniej się uruchomił

377

i wysłał sygnał. Także przycisk antynapadowy. Miał ten trzeci. Grupa interwencyjna? No, tak, jest. Miała przyjechać w ciągu pięciu minut. Nie, nie wiedzą, gdzie stacjonuje. Już dawno powinna tu być. Nie, nie można jej odwołać. W razie alarmu ma przyjechać i sprawdzić. Tak, obok jest wolno stojący garaż, a w nim dwa skutery śnieżne. Wczoraj działały, garaż jest ogrzewany węglowym piecem, dołożyliśmy wieczorem, niedługo przed atakiem. Skutery są sprawne i zatankowane.

Zuzanna przyjrzała się uważnie. Nie kłamali. Zdawali sobie sprawę, że rozmówczyni dobrze wie, o co pyta. Nie chcieli ryzykować jej gniewu.

Nie wiedzieli, że gdyby fizjonomia któregoś z nich była podobna do portretów pamięciowych porywaczy Zosi, sporządzonych przez ekipę Bondaruka, lub pary zabójców, zarejestrowanych przez kamerę w jej dawnym mieszkaniu, żadna ostrożność by ich nie uratowała.

Ale te twarze były całkowicie anonimowe.

Zuzanna bez słowa zamknęła drzwi na klucz. Rozejrzała się. Przypomniała sobie, którędy dostała się do budynku. Z uznaniem pokiwała głową nad zabezpieczeniem drzwi do piwnicy, na wszelki wypadek podparła je dodatkową, znaną w kącie stalową rurą, po czym wróciła na górę. W holu zaimprovizowaną osłonę otworu wejściowego uznała za zbyt prowizoryczną. Z pomocą Heleny przesunęła z salonu ciężki kredens, na dobre barykadując dostęp do budynku. Obeszła wszystkie pomieszczenia na parterze, wyglądając przez okna, co było czynnością jałową i wykonaną czysto odruchowo. Szyby były całkowicie zamrożone i nie przepuszczały z zewnątrz obrazu rzeczywistości.

Odnalazła plecak i pistolet maszynowy. Cztery pełne magazynki i pięćdziesiąt naboju luzem. Broń strażników: glock z trzema magazynkami i śrutowa strzelba mossberg z okazałym zapasem naboju.

To było więcej niż trzeba.

Z wdzięcznością przyjęła od Heleny duży kubek gorącej herbaty. Gorący płyn smakował jak nigdy; po chwili dreszcze nieco się zmniejszyły. Poczuli się naprawdę lepiej, choć daleko było do dawnej formy.

Wiedziona impulsem podeszła do Heleny i pocałowała ją. Z wielką, od dawna nieodczuwaną radością poczuła, że pocałunek został odwzajemniony. Może nawet z jeszcze większą namiętnością. Brak oświecenia wyłączył wzrok, ale sprzyjał wzmocnieniu wszystkich pozostałych zmysłów.

378

- Chodź - mruknęła Helena, złapała Zuzannę za rękę i pociągnęła za sobą na górę. Gdy weszły do sypialni, z łobuzerskim uśmieszkiem zamknęła starannie drzwi i zablokowała klamkę krzesłem. Smotrycz spał jak dziecko w sąsiednim pokoju, ale nie należało kusić losu.

Rozebrały się w gorączkowym pośpiechu. Zimno dawało się we znaki, szybko więc zniknęły pod grubą warstwą koców.

3.

Śmiech.

Niezbyt głośny, żaden tam rechot, po prostu zdrowy, przepojony autentyczną wesołością chichocik zaprawiony solidną domieszką ulgi i odprężenia. Helena kilka razy słyszała śmiejącą się Zuzannę; takiej nie widziała nigdy.

- To głupie - Zuzanna w końcu przestała się śmiać i spojrzała na Helenę. Leżały ciasno splecione. Zmęczone. Szczęśliwie.

- Te chichoty? Trochę. Mam nadzieję, że nie dotyczą mnie - Helena też się uśmiechnęła. Ciało śpiewało z radości; dawno się tak nie czuła.

- Nie. Pomyślałam sobie, że moja matka, gdyby mogła nas w tej chwili zobaczyć, powiedziała by, że wszystkie pretensje, jakie zgłaszała przez całe swoje i moje życie, były uzasadnione. A Zosia, taka jaka się urodziła, jest karą za takie zachowanie.

- Poważnie? Tak myśli?

- Myślała. Nie żyje.

Helenie wydało się, że się przesłyszała. Zuzanna wypowiedziała ostatnie zdanie tak obojętnym tonem, że to po prostu nie mogła być prawda.

- Co ty mówisz? - wykrztusiła w końcu. - Umarła?

- Została zastrzelona podczas porwania Zosi.

Helena uwierzyła. Hi nie było miejsca na zmyślane bajeczki.

- Mój Boże, tak mi przykro - powiedziała po dłuższej chwili. - Wyobrażam sobie, co musisz czuć.

- Nie sędzę. Sama sobie tego nie wyobrażam. Nie wiem, co czuję. Chociaż nie, wiem. Ulgę.

-Ulgę?

379

- Chodź - mruknęła Helena, złapała Zuzannę za rękę i pociągnęła za sobą na górę.

Gdy weszły do sypialni, z łobuzerskim uśmieszkiem zamknęła starannie drzwi i zablokowała klamkę krzesłem. Smotrycz spał jak dziecko w sąsiednim pokoju, ale nie należało kusić losu.

Rozebrały się w gorączkowym pośpiechu. Zimno dawało się we znaki, szybko więc zniknęły pod grubą warstwą koców.

3.

Śmiech.

Niezbyt głośny, żaden tam rechot, po prostu zdrowy, przepojony autentyczną wesołością chichocik zaprawiony solidną domieszką ulgi i odprężenia. Helena kilka razy słyszała śmiejącą się Zuzannę; takiej nie widziała nigdy.

- To głupie - Zuzanna w końcu przestała się śmiać i spojrzała na Helenę. Leżały ciasno splecione. Zmęczone. Szczęśliwie.

-Te chichoty? Trochę. Mam nadzieję, że nie dotyczą mnie -Helena też się uśmiechnęła. Ciało śpiewało z radości; dawno się tak nie czuła.

- Nie. Pomyślałam sobie, że moja matka, gdyby mogła nas w tej chwili zobaczyć, powiedziałyby, że wszystkie pretensje, jakie zgłaszała przez całe swoje i moje życie, były uzasadnione. A Zosia, taka jaka się urodziła, jest karą za takie zachowanie.

- Poważnie? Tak myśli?

- Myślała. Nie żyje.

Helenie wydało się, że się przesłyszała. Zuzanna wypowiedziała ostatnie zdanie tak obojętnym tonem, że to po prostu nie mogła być prawda.

- Co ty mówisz? - wykrztusiła w końcu. - Umarła?

- Została zastrzelona podczas porwania Zosi.

Helena uwierzyła. Tu nie było miejsca na zmyślane bajeczki.

- Mój Boże, tak mi przykro - powiedziała po dłuższej chwili. - Wyobrażam sobie, co musisz czuć.

- Nie sędzę. Sama sobie tego nie wyobrażam. Nie wiem, co czuję. Chociaż nie, wiem. Ulgę.

-Ulgę?

379

- Presja. Przez całe dorosłe życie. A nawet część dzieciństwa, odkąd matka zorientowała się, że... no wiesz.
- Że nie będziesz miała chłopaka?
- Stawała na głowie, żeby to zmienić - Zuzanna potrząsnęła głową. - Lekarze, psychiatrzy, psychologowie, jacyś znachorzy.
- Żartujesz.
- Przeciwnie. Nie mówię ci nawet połowy. Wzbudzała we mnie nieustanne poczucie winy. Staralam się spełnić jej oczekiwania, wiedziałam, że bardzo cierpi, jest samotna i chyba w sumie mnie kocha, choć nie umie tego okazać. Poznawała mnie z jakimiś chłopakami, czasami nawet do rzeczy. Jeden był ze mną, kiedy mnie zgwałcono. Przedtem było fajnie, facet był starszy ode mnie i wyglądał na zakochanego, zaczęłam nawet myśleć, że coś z tego będzie. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że na moją przypadłość nie ma lekarstwa.

- Zgwałcono? - zapytała Helena ostrożnie. Gdy kiedyś odwiedziła Zuzannę i poznała Zosię, Zuzanna nie udzieliła żadnych wyjaśnień na temat przyczyn, dzięki którym mała pojawiła się na świecie. Helena domyślała się, że mogły być dramatyczne. Oczywiście nie domagała się wyjaśnień. Związek z Zuzanną toczył się w swoim rytmie; pancierz, jakim otoczona była jej piękna partnerka, pękał bardzo powoli.

Teraz najwidoczniej pękł do końca.

- Miałam siedemnaście lat. Wracaliśmy z kina. Mieliśmy iść do niego i myślę, że byłam zdecydowana pójść na całość. Nie myślałam wtedy o matce. Myślałam o swoim życiu, że jak już się zdecyduje, może stanie się łatwiejsze. Normalne.

- Jest normalne.

- Nie. Uwierz mi. Moje życie nie jest normalne pod żadnym względem. Helena podniosła się na łokciu. Zuzanna już się nie uśmiechała. Wrócił stary obraz: smutek. Bezbrzeżna melancholia, która, gdy w rzadkich momentach spadała maska agresji i szorstkości, dominowała nad osobowością jej nosicielki. Melancholia i ciężar przeszłych, ale rzutujących na teraźniejszość wydarzeń.

- Było ich trzech, zwykle osiedlowe łebki, jeden chodził do mojej szkoły i próbował się kiedyś przystawiać. Pogoniłam go. Zaatakowali nas zupełnie bez powodu, no może gdybym się inaczej zachowywała, nie doszłoby do tego. Ale nie spodobało im się moje spojrzenie albo że trzymam tego mojego niedoszłego chłopaka za rękę, albo po prostu

380

- Presja. Przez całe dorosłe życie. A nawet część dzieciństwa, odkąd matka zorientowała się, że... no wiesz.
- Że nie będziesz miała chłopaka?
- Stawała na głowie, żeby to zmienić - Zuzanna potrząsnęła głową. - Lekarze, psychiatrzy, psychologowie, jacyś znachorzy.
- Żartujesz.
- Przeciwnie. Nie mówię ci nawet połowy. Wzbudzała we mnie nieustanne poczucie winy. Staralam się spełnić jej oczekiwania, wiedziałam, że bardzo cierpi, jest samotna i chyba w sumie mnie kocha, choć nie umie tego okazać. Poznawała

'mnie z jakimiś chłopakami, czasami nawet do rzeczy. Jeden był ze mną, kiedy mnie zgwałcono. Przedtem było fajnie, facet był starszy ode mnie i wyglądał na zakochanego, zaczęłam nawet myśleć, że coś z tego będzie. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że na moją przypadłość nie ma lekarstwa.

- Zgwałcono? - zapytała Helena ostrożnie. Gdy kiedyś odwiedziła Zuzannę i poznała Zosię, Zuzanna nie udzieliła żadnych wyjaśnień na temat przyczyn, dzięki którym mała pojawiła się na świecie. Helena domyślała się, że mogły być dramatyczne. Oczywiście nie domagała się wyjaśnień. Związek z Zuzanną toczył się w swoim rytmie; pancierz, jakim otoczona była jej piękna partnerka, pękał bardzo powoli.

Teraz najwidoczniej pękł do końca.

- Miałam siedemnaście lat. Wracaliśmy z kina. Mieliśmy iść do niego i myślę, że byłam zdecydowana pójść na całość. Nie myślałam wtedy o matce. Myślałam o swoim życiu, że jak już się zdecyduję, może stanie się łatwiejsze. Normalne.

- Jest normalne.

- Nie. Uwierz mi. Moje życie nie jest normalne pod żadnym względem. Helena podniosła się na łokciu. Zuzanna już się nie uśmiechała. Wrócił stary obraz: smutek. Bezbrzeżna melancholia, która, gdy w rzadkich momentach spadała maska agresji i szorstkości, dominowała nad osobowością jej nosicielki. Melancholia i ciężar przeszłych, ale rzutujących na teraźniejszość wydarzeń.

- Było ich trzech, zwykle osiedlowe łebki, jeden chodził do mojej szkoły i próbował się kiedyś przystawiać. Pogoniłam go. Zaatakowali nas zupełnie bez powodu, no może gdybym się inaczej zachowywała, nie doszłoby do tego. Ale nie spodobało im się moje spojrzenie albo że trzymam tego mojego niedoszłego chłopaka za rękę, albo po prostu

380

byli nagrzani i mieli ochotę narozrabiać. Chłopaka pobili do nieprzytomności, a mnie zgwałcili. Po kolei, wszyscy trzej. Na koniec pocięli nożem. Niewiele pamiętam, szczerze mówiąc.

Helena nie mogła wykonać najmniejszego gestu. Zwykle, banalne słowa, wypowiedane w takim miejscu i w takich okolicznościach, miały ciężar stutonowego walca. Przygniatały. Obezwładniały.

- Leżałam przez kilka tygodni w szpitalu. Mój niedoszły chłopak prawie pół roku. Nigdy nie odzyskał pełnej sprawności, lekarze musieli mu wyciąć jedną nerkę, a lewe kolano na zawsze pozostanie sztywne. Ja, paradoksalnie, byłam w lepszym stanie. Fizycznie doszłam do siebie całkiem szybko. Tyle że wkrótce po wyjściu ze szpitala okazało się, że jestem w ciąży.

- Zosia.

- Owszem. Matka oszalała ze zgryzoty, miała wyrzuty sumienia, że to przez nią, a żeby było śmieszniej, jednocześnie zaczęła mną gardzić. Tak przynajmniej sędzę. Może traktowała gwałt jako karę za moje zachowanie.

- Niemożliwe - Helena usiadła. Koc spadł, odkrywając ramiona i piersi. Nie czuła zimna.

- Żądała, abym usunęła ciążę, podpadałam pod ustawę, to byłoby nawet zgodne z prawem - Zuzanna zdawała się w ogóle nie zwracać uwagi na Helenę. Ani na nic

innego. - Ale coś się we mnie zacięło i postanowiłam, że urodzę. Na złość sobie i wszystkim innym. W ogóle wtedy niewiele myślałam, latałam jak odrętwiała w jakimś odległym kosmosie, ale tego akurat byłam pewna: chcę urodzić i wziąć na siebie odpowiedzialność. Nie myślałam o konkretach, na przykład, z czego będę żyć. Miałam niespełna osiemnaście lat i byłam jeszcze przed maturą. Matka stała się moim największym wrogiem. W jej świecie nie funkcjonowały takie pojęcia, jak gwałt i córka lesbijka. Postawiłam na swoim. Zosia przyszła na świat. Helena zerknęła na leżącą pod przeciwległą ścianą dziewczynkę. Oddychała regularnie. Wyglądała krucho i bezbrinnie.

- W czasie ciąży czułam się fatalnie, parę razy chciałam przyznać matce rację i usunąć dziecko. Donosiłam ją na złość sobie. Sama chyba chciałam się ukarać. Przychodziły mi do głowy i takie myśli, że będę się mogła odegrać na dziecku, zwłaszcza gdyby okazało się podobne do tatusia - Zuzanna uśmiechnęła się blado.

381

- Niemożliwe.

- Wydaje się niemożliwe. Ale tak wtedy myślałam. Zosia urodziła się jako wcześniak, sześć tygodni przed terminem. Leżała w inkubatorze. Zobaczyłam ją po raz pierwszy dopiero po kilku dniach. I wtedy zmieniło się wszystko.

- Poczulaś sens.

- Sens i siłę. Głupie pomysły przeszły, jak ręką odjął. Problem się zrobił wtedy, gdy lekarze oznajmili mi, że Zośka nigdy nie będzie chodzić ani mówić, ani nie zobaczy świata.

- Problem...

- Nie ze mną. Kopnęło mnie, nie powiem, ale tym bardziej wzmogło motywację. Miałam już naprawdę po co żyć, wiedziałam, że dziecko przez całe życie będzie ode mnie uzależnione. Muszę mu zapewnić opiekę i ochronę, najlepszą, jaką można zdobyć. I nic nie jest ważniejsze niż szczęśliwe życie mojego dziecka.

- Każda odpowiedzialna matka by tak pomyślała.

- Tyle że nie każda odpowiedzialna matka natychmiast po takim postanowieniu wali głową w mur. Jak masz dziecko niepełnosprawne, nikogo nie obchodzisz, ty i twoje problemy. Na każdą decyzję trzeba czekać miesiącami. Opieka jest na takim poziomie... Neurologia to nauka bezradna jak saper na polu minowym. Brak jakichkolwiek zorganizowanych mechanizmów pomocy. Dziecku i matce. Są teoretycznie specjalne placówki, ale uwierz mi, nie chciałabyś w nich spędzić ani minuty. W efekcie zostajesz sama. A im większe dziecko, tym większy problem.

- Dlatego Zosia była w domu? Z matką?

- Częściowo. Matka chciała wziąć na siebie winę i uczyniła z opieki nad Zosią prywatny czyściec. Doszło do tego, że musiałam się prosić o wizyty. Sama nie do końca rozumiem, co tak naprawdę nią kierowało. Traktowała Zosię dobrze, ale z urzędowym chłodem. Mnie otwarcie nienawidziła.

-Aci... sprawcy?

- Och, złapano ich następnego dnia. Dostali łagodne wyroki, dwóch było niepełnoletnich. Wszyscy niekarani. Choć sąd miał moje pełne zeznanie i zeznanie tego mojego chłopaka, obrońcy sprytnie zagrali na młodym wieku i niekaralności. Pamiętam, że na ogłaszaniu wyroku niemalże się śmiali.

- Więc stąd twoja praca...?

- Że niby poszukiwanie sprawiedliwości? - zaśmiała się gorzko. - Aż taka głupia nie byłam. Po tym wszystkim, gdy już matka uwolniła mój czas, zastanawiałam się, co w ogóle zrobić ze swoim życiem. Najpierw rzeczywiście myślałam, że się zemszczę. Zaczęłam trenować thai box, potem szybko przerzuciłam się na mieszane sztuki walki. Zawsze byłam sprawna fizycznie, więc po dwóch latach zostało niewielu facetów, którzy mogliby mi dać radę - uśmiechnęła się smutno. - W międzyczasie zrobiłam maturę, oczywiście w innej szkole, w poprzedniej byłam zbyt... popularna. Rozsadzała mnie energia, same treningi niczego nie załatwiały, a niechęć do wszystkiego dookoła trudno wyrazić, łamiąc kości sparingpartnerom. Ktoś kiedyś powiedział, że jestem jak komandos. Pomyślałam sobie, czemu nie, zwłaszcza że tam rządzą faceci. I poszłam do szkoły policyjnej, a potem trafiłam do jednostki antyterrorystycznej.

- Wydawało mi się, że jesteś w dochodzeniówce.

- Wylali mnie po roku. Nie mogli ścierpieć, że byłam lepsza od większości z nich. No i kilku chciało mi się dobrać do tyłka, przeważnie w sensie dosłownym. Już wtedy wiedziałam, że praca w policji to zły pomysł, ale zostałam, bo...

-Bo?

Zuzanna przełknęła ślinę. Ta spowiedź jednak dużo ją kosztowała. Nie była pewna, czy chce ją doprowadzić do końca.

Ale było już za późno na odwrót.

- Bo zauważyłam, że mogę tam robić rzeczy... - zawahała się -...dające pieniądze.

- Pieniądze? - Helena znowu pomyślała, że się przesłyszała. Naprawdę chodzi o coś tak banalnego?

- Pieniądze. Duże. Ostatnio bardzo duże.

- Łapówki?

- Nie - pokręciła głową.

- Przystępstwa?

Zuzanna nie zauważyła, że po policzkach zaczęły jej płynąć łzy.

- Po co? W jakim celu?

Pytanie zawisło w próżni. Zuzanna płakała już na całego. Jakby ból, przez tyle lat tamowany i spychany na samo dno duszy, znalazł w końcu ujście.

Później, gdy już się uspokoiła, a Helena usnęła, ubrała się, sprawdziła, czy obie najważniejsze w jej życiu kobiety są dobrze okryte, dotknęła delikatnym gestem bladego policzka córki, po czym zeszła na dół.

Czuwała z bronią gotową do strzału, aż nadszedł ołowiany i brudny świt.

4.

- Kubuś - delikatne szarpnięcie za ramię. - Wstawaj. Już czas.

- Usnąłem? - zapytał, jeszcze nie do końca przytomny, ale już z nogami na podłodze salonu.

- Skąd. Siedziałeś przez trzy godziny z zamkniętymi oczami.

- Dowcip ci wraca.
- Nigdzie nie wyjeżdżał. Pogoda się poprawia.

Tak się umówili. Jeden czuwa, drugi odpoczywa. Pobudka w razie poprawy warunków.

Jakub przetarł oczy. W salonie panował półmrok, rozjaśniany przez mały kinkiet w holu. Żołnierzy nie było widać; pełnili wartę albo spali. Jakub założył buty, ciepłą bluzę i wstał. Wziął z fotela ryszstunek. Po dwóch minutach był gotowy.

- Powiedział coś?
- Śpiewał. Dałeś mu nieźle w kość. Jak tylko zaczął się wahać, po prostu patrzyłem na tę cholerną nagrzewnicę i zaraz sobie wszystko przypomniał. - Krzeptowski był blady i zmęczony. Pogodna zwykle twarz była ściągnięta zmartwieniem. - Jest taki syf, że nawet sobie nie wyobrażasz.
- Wyobrażam. Działajcie zgodnie z planem. Biorę ludzi i jadę.
- Komórki wysiadły. Łączność przez kanał Dreszera.
- Okej. Punkt zborny: fabryka.
- Fabryka może być trefna.
- Mamy ochronę - Jakub spojrzał na wchodzącego do salonu generała. - To my jesteśmy ci dobrzy.
- Ten cały spisek może działać i bez wodza - Krzeptowski pokręcił głową. - Struktura jest bardzo autonomiczna. I zabezpieczona procedurami postępowania.

384

- Ale koniec końców bez ośrodka decyzyjnego padnie. Straci motywację. To tylko najemnicy. A grube ryby zaraz wygarniesz.
- Może. Wszystko może nie być takie proste.

Jakub klepnął go w ramię.

- Nigdy nie jest proste - powiedział i poszedł do garażu.

Trzej przydzieleni operatorzy zdążyli już uruchomić ratrak, wcześniej uzupełniwszy paliwo. Po krótkiej dyskusji okazało się, że jeden z nich umie się maszyną posługiwać. Jakub z ulgą pozbył się przywileju bycia kierowcą. Wrota poszły w górę i ratrak wyjechał na zewnątrz.

Panowały głębokie ciemności (piąta rano to w grudniu środek nocy), ale nawet w świede samych reflektorów można było dostrzec, że pogoda się poprawiła. Mróz zelżał o kilka stopni, ale przede wszystkim uspokoił się wiatr. Nie kładł już drzew, nie pędził poziomo lodowatych kryształków, w jakie zamieniały się płatki śniegu, nie obalał ludzi i samochodów. Nie ustał zupełnie, ale był możliwy do zniesienia; Jakub miał wrażenie, że słabnie z każdą chwilą.

Mgła również nieco się przerzedziła. Mniej intensywnie padał śnieg.

Gdy wyjechali na ulicę, Jakub odniósł wrażenie, że jest w tym miejscu pierwszy raz w życiu. Hałdy śniegu, nietknięte ludzką ręką, zalegały nawet i na trzy metry wysoko. Tworzyły najprzeróżniejsze, fantastyczne formy przestrzenne; niekiedy całkowicie tarasowały przejazd.

Ale kierowca znał się na rzeczy. Nie forsował tempa, wiedział, że najważniejsze jest utrzymanie płynności ruchu; nawet gąsienicowa maszyna, przystosowana do poruszania się w trudnych warunkach może nie dać rady, gdy postawi się przed nią zbyt trudne zadanie. Toteż żołnierz wybierał trasę uważnie, z wprawą manewrował

między zaspami, trafnie oceniał sytuację; w efekcie ratrak sprawnie posuwał się do przodu.

Oczywiście o żadnym komforcie nie było mowy. Maszyna kołysała się niczym niszczyciel na sztormowym morzu, wdrapywała się na wzniesienia i gwałtownie opadała w dół, przechylała gwałtownie na boki. Jakub jednak nakazał jak najszybszą jazdę, ograniczoną tylko obawą przed uszkodzeniem ratraka. Wygoda pasażerów była rzeczą drugorzędną.

Gdy skręcili w lewo, w aleję Niepodległości, kierowca spojrzał na Tyszkiewicza i bez słowa dodał gazu.

385

- No i jak?

- Chyba trochę lepiej.

Dowódca wyjrzał przez drzwi. Nadal wiało, ale chyba rzeczywiście słabiej.

Temperaturę ciężko było ocenić; jak dla niego była o co najmniej trzydzieści stopni zbyt niska. Nie znosił mrozu.

- Skutery?

- Ni cholery. Musimy pojechać na nartach. - Ochroniarz skończył rozcierać ręce, potem wziął się za policzki.

- Teraz?

- Myślę, że jeszcze jakieś dwadzieścia minut. Byłem na zewnątrz przez kilkanaście sekund, a i tak nie mogę się prawie ruszyć.

- Dobrze - dowódca podjął decyzję. - Ruszamy za dwadzieścia minut.

G.

- Nie śpisz? - zapytała Zuzanna, wchodząc do pokoju. Helena siedziała na łóżku. Zosia wbijała nieruchome oczy w sufit. - Musimy się zbierać.

- Obudziłam się jakiś czas temu - odpowiedź była stłumiona, zgłoski jakby z trudem przepychały się przez gardło.

- Przejaśniło się trochę. I przestało wiać. Uruchomiłam skutery śnieżne.

Będziemy musieli...

- Zu... - głos był jeszcze cichszy. Helena wpatrywała się w Zuzannę rozszerzonymi oczami. - Te rzeczy... te przestępstwa...

- Lepiej, żebyś nie wiedziała - temat nie został zakończony. Nie było wyznania wszystkich win. Brakowało także pokuty. Oczyszczenia. - To już za mną.

- Powiedz.

- Lepiej nie.

- Pieniądze nie tłumaczą...

- Nie wiesz, ile można załatwić za pieniądze. Ile dzięki nim można zmienić - wbrew swojej woli podniosła głos.

- Tak można usprawiedliwić każdą podłość... - krzyknęła Helena. Najwięcej w tym krzyku było rozczarowania. I rozpacz.

386

- Czyżby? Czyżby? Tak się bardzo łatwo mówi, nie mając dzieci i żadnych kłopotów materialnych...

Milczenie.

Helena patrzyła przed siebie. Bładość policzków wyraźnie odcinała się od półmroku.

Zuzannie dopiero po dłuższej chwili udało się uspokoić.

- Przepraszam. Może to jest robota dla psychiatry, nie wiem - powiedziała cicho.

- Może jestem chora; na pewno, jak to się mówi, nieprzystosowana społecznie.

Socjopatka.

- Nie wiem, co zrobiłaś, może masz rację, że nie powinnam wiedzieć. Ale myślisz, że nikt nie wpadnie na ślad? - Helena w końcu na nią spojrzała. - Nie domyśli się?

- To bez znaczenia - Zuzanna poczuła się jeszcze bardziej zmęczona niż wczoraj wieczorem. Bolało ją całe ciało. - Dwanaście lat temu wkroczyłam do piekła i już nigdy stamtąd nie wyszłam.

7.

Cel: dwa kilometry.

Posuwali się ulicą Baletową, prostopadłą od Puławskiej. Kierowca nie tracił tempa, silnik pracował równo, ciężka maszyna pruła dziewiczy śnieg. Żadna uliczna latarnia nie rozświetlała egipskich ciemności, do świtu pozostawała jeszcze co najmniej godzina i kwadrans. Siedzący obok żołnierze nie odzywali się. Mieli obojętne miny i zdawali się nie myśleć, co ich czeka.

Wcześniej, jeszcze w willi Wieszczyckiego, korzystając z ostatnich chwil działania internetu, namierzyli adres przy Głównej sześć za pomocą programu Google Earth. Interesujący ich obiekt był wolno stojącym domem jednorodzinny z osobnym garażem. Za nim znajdowało się otwarte pole, co nie stwarzało dogodnych możliwości skrytego podejścia. Z drugiej strony, ciemności, zimowy kamuflaż wszystkich uczestników akcji oraz fakt utrudnionej obserwacji przedpola przez ewentualnych strażników pozwalały wierzyć, że atak nie musi być z góry skazany na niepowodzenie.

Pięćset metrów od celu kierowca zatrzymał ratrak. Dwaj operatorzy tworzący sekcję Delta Dwa wyskoczyli na zewnątrz i korzystając z rakiet śnieżnych, szybko zniknęli w ciemności.

387

Maszyna przejechała powoli jeszcze sto metrów, po czym kierowca zatrzymał ją i wyłączył silnik. Ulica była całkowicie pusta, pod zalegającym śniegiem trudno było nawet rozpoznać, gdzie znajdują się poszczególne domy.

Jakub westchnął, złapał M-4 i wysiadł. Wraz z kierowcą tworzył sekcję Delta Jeden. Ich zadanie polegało na zaatakowaniu obiektu od frontu.

Droga zajęła im dziesięć minut. Tuż przed osiągnięciem pozycji wyjściowych Delta Dwa zameldowała, że znajduje się o pięćdziesiąt metrów od celu.

Byli gotowi.

8.

Patrol interwencyjny opuścił bazę i zgodnie z rozkazem dowódcy, przyjętym zresztą z niezadowolaniem, przemieszczał się na nartach. Dowódca był zdecydowany; mieli do przejścia tylko dziewięćset metrów.

Dwie posesje przed celem dowódca posłał parę strażników w boczną drogę, z zadaniem obejścia celu od tyłu. Główna część patrolu po dwudziestu minutach była na miejscu.

Zmęczenie po chwili minęło. Wrócił spokojny oddech. Członkowie grupy zdjęli narty

i na wszelki wypadek przygotowali broń.

9.

- Jak się czujesz?
- Lepiej. Wziąłem cztery paracetamole.
- Słabo wyglądasz.
- Teraz i tak jest okej. Wcześniej wchodziłem na ścianę.
- Dasz radę ponieść Zosię?
- Ja ją wezmę - Helena wysunęła się przed Smotrycza. - Antoni umie obchodzić się z bronią lepiej ode mnie. W razie czego, będzie z niego większy pożytek. Zuzanna pokręciła głową. Nie podobało jej się to. Sama powinna zająć się Zosią. Ale wiedziała, że w razie przybycia grupy interwen-

388

cyjnej - poprawa pogody działała w obie strony, skoro oni mogli się ruszyć, przeciwnicy z pewnością również odzyskali mobilność - jej umiejętności będą stanowiły jedyną gwarancję ocalenia. Z tej grupy była zdecydowanie najlepszym strzelcem.

- W porządku. Zaopiekuj się Zosią. Antoni weźmie strzelbę - podniosła pistolet maszynowy. - Mamy do przejścia dwadzieścia metrów w śniegu po pas. Wejdziemy do garażu, odpalimy skutery i odjedziemy. Antoni pojedzie z Leną, ja z Zośką. Któreś z was prowadziło kiedyś skuter?

Zgodnie pokręcili głowami. Zuzanna przewróciła oczami, ale cierpliwym tonem wyjaśniła:

- Jeździ się trochę jak na zwykłym skuterze. Gaz w rączce, biegi i sprzęgło tak samo. Gazu dodawać trzeba łagodnie.
- Chcesz jechać sama, z Zosią?
- Znalazłam kawałek liny. Posadzę ją przed sobą i przywiążę... Gotowi?

Odpowiedziały jej dwa niepewne i przestraszone skinienia.

- Idziemy.

Zdecydowanym ruchem zdjęła blokadę i z niemałym trudem otworzyła drzwi. Prześwit do połowy zatarasowany był śniegiem. Przerzuciła automat przez plecy i złapała za stojącą obok szuflę do śniegu. Kilkoma szybkimi ruchami utorowała drogę. Wyjście z piwnicy znajdowało się poniżej poziomu gruntu, musiała więc podejść kilka metrów do góry. Rozejrzała się uważnie. Świat wyglądał na bezludny w martwym, zielonkawym świetle noktowizora. Nikogo. Cisza.

Wróciła. Spojrzała na Smotrycza.

- Oczyszczysz trasę. Z grubsza, żeby się tak bardzo nie zapadać. Pójdę na końcu i będę ubezpieczała.

Smotrycz nie protestował. Helena wzięła Zosię w objęcia i wyszli.

10.

Leżeli na wielkiej zaspie, o siedemdziesiąt metrów od obiektu. Mieli stosunkowo dobre pole widzenia - posesja poprzedzająca interesujący ich adres była niezabudowana, dawała możliwość obserwowania obiektu po skosie.

389

- Widzę ruch - operator oderwał na moment wzrok od noktowizora.
- Gdzie?
- Na prawo od wejścia.

Jakub spojrział. Rzeczywiście. Na poziomie gruntu coś się ruszało. Wyżej: zniszczone drzwi do obiektu, framuga okopcona.

Zarepetował broń.

- Dwoje... troje ludzi. Ten z przodu chyba toruje drogę. Ten z tyłu ma broń - głos operatora był monotony, niemal mechaniczny. - Pistolet maszynowy...
- Chcą zwiać - mruknął Tyszkiewicz. - Musieli dostać cynk.
- Możliwe. Posuwają się w stronę garażu. Po skuter albo coś...
- Jeżeli pojedą w stronę Warszawy, zdejmujemy ich.
- Mogą pojechać w drugą stronę.

Jakub wzruszył ramionami. Musieli zacząć improwizować.

- Delta Dwa, pozycja? - rzucił do mikrofonu.
- Dokładnie na tyłach budynku - usłyszał.
- Obejdźcie od lewej. Trzy osoby próbują się wydostać i uciec. Dwie są uzbrojone. Pomiedzy nimi jest zakładnik - mówił, obserwując uciekinierów. Mieli do garażu najwyżej dziesięć metrów. - Najprawdopodobniej znajduje się pośrodku.

Spróbujcie obezwładnić eskortę.

- Wykonujemy, Delta Jeden.
- Mamy gości - mruknął towarzysz Jakuba.
- Gdzie? - nadkomisarz był tak skoncentrowany na celu, że w pierwszej chwili nie zrozumiał, o czym tamten mówi.
- Na wprost. Dochodzą do posesji.

Jakub gwałtownie przerzucił obiektyw noktowizora. Uchwycił czterech ludzi odpinających narty. Nawet w tak kiepskim świetle można było zauważyć, że są uzbrojeni w broń maszynową.

Przybyła na plac boju ekipa całkowicie zmieniała układ sił.

11.

Strzelec rozglądał się uważnie i starał nasłuchiwać, wiedział jednak, że takie środki bezpieczeństwa mogą się okazać dalece niewystarczające. Monotonny zgrzyt łopaty, którą machał Smotrycz, wypełniał zmysł słuchu bez reszty.

390

Pomimo to usłyszał coś niepokojącego, właściwie nawet z dwóch miejsc naraz.

Gdzieś za domem zaskrzypiał śnieg. Po chwili odgłos powtórzył się, w momencie, w którym strzelec był już odwrócony twarzą w stronę niebezpieczeństwa. Jednocześnie, poprzez dźwięki wydawane przez nadal pracującego w pocie czoła Smotrycza, dobiegł inny, od ulicy. Może uderzenie narty o nartę.

Może.

Niebezpieczeństwo od frontu chwilowo zignorował. Było dalsze i jeszcze nierozpoznane. To, co miał przed sobą niosło konkretne zagrożenie: dwie ciemne sylwetki, w zielonkawym świetle noktowizora całkowicie wyraźne i jednoznaczne. Dwóch uzbrojonych ludzi, dwadzieścia metrów.

Płynnym ruchem podniósł pistolet maszynowy, wycelował w głowę pierwszego z

napastników, ściągnął spust, po czym przeniósł ogień na następnego. Druga seria niemal zlała się z pierwszą. Choć wyciszone przez tłumik, zabrzmiały w mroźnym powietrzu wyraźnie i ostro.

12.

Dowódca był zaskoczony tylko przez sekundę. Członkowie grupy zdążyli zdjąć narty i odstawić je na bok, gdy usłyszeli stłumiony warkot serii. Ktoś strzelał, stojąc przed domem. Do nich?

Nie, raczej nie. Byli schowani za ogrodzeniem przysypanym grubą warstwą śniegu; konstrukcja kryła ich przed zagrożeniem od strony domu. Nie było słycać świstu przelatujących kul, brzęku rykoszetów, nic. Dowódca ostrożnie wyjrzał zza osłony. Dwie ciemne sylwetki leżały na śniegu, kilka metrów od garażu. Trzecia, nieco oddalona, pochylała się nad celownikiem pistoletu maszynowego skierowanego gdzieś w stronę zaplecza posesji.

Kim byli ci ludzie? Ochrona ewakuująca więźniów? Czy odsiecz, która wykończywszy strażników, próbuje zwiać?

Odsiecz raczej byłaby liczniejsza. Nie ograniczałyby się do jednej osoby. Dowódca wyciągnął z kieszeni komórkę. Sieć była nadal nieaktywna. Zaklął po raz kolejny, pomyślał, że to grube niedopatrzenie, by nie przewidzieć alternatywnego systemu łączności, po czym ostrożnie ruszył do przodu.

391

Ciemna postać odwróciła się i zaczęła strzelać. Sekundę później otworzyli ogień członkowie grupy interwencyjnej.

Dowódca już tego nie widział. Pierwsza kula z serii trafiła prosto w gardło. Strzelec odwrócił się i upadł w śnieg. Za wysokim ogrodzeniem ktoś klęczał, najprawdopodobniej członek zespołu interwencyjnego, towarzysz zlikwidowanej przed chwilą pary. Strzelec nacisnął spust, pistolet kopnął krótko, trzy pociski poleciały w stronę przeciwnika.

Strzał w gardło. Krew trysnęła szerokim strumieniem, wyraźnie widocznym nawet z tej odległości.

14.

- Delta Dwa pod ostrzałem-krzyknął łączący obok Jakuba operator. Błyskawicznym ruchem zamienił noktowizor na karabinek szturmowy M-4.

Tyszkiewicz nie zdążył wydać żadnego polecenia, gdy przed budynkiem rozległa się kolejna, przytłumiona seria i pierwszy z grupy narciarzy upadł na ziemię. Pozostała trójka odpowiedziała ogniem.

Uciekinierzy walczyli z patrolem interwencyjnym przybyłym na nartach.

Jakub nacisnął spust.

Jeden z narciarzy upadł. Pozostali dwaj nadal ostrzeliwali znajdującą się przed budynkiem grupkę uciekinierów. Leżący obok Jakuba operator strzelił krótką serią. Liczba narciarzy zmniejszyła się do jednego.

Ostatni członek grupy interwencyjnej w końcu zorientował się w niebezpieczeństwie. Przeturlał się na bok i otworzył ogień w stronę śnieżnej hałdy, za którą skrywał się Jakub. Strzelał bardzo celnie - śnieg tuż przed twarzą Tyszkiewicza zagotował się, obok z gwizdem przeszła kula.

Operator jęknął i odjechał na brzuchu do tyłu, znacząc śnieg krwawą smugą. Z oddali

Jakub usłyszał znane już, wytłumione szczeknięcie, daleki krzyk umierającego człowieka, po czym strzały ucichły.

392

15.

Strzelec obserwował przedpole. Słyszał serie dochodzące z obu stron. Strzelił. Usłyszał krzyk. Najprawdopodobniej uciszył ostatniego z grupy napastników atakujących z prawej flanki. Pozostał jeden, być może dwóch napastników leżących za hałdą po lewej.

Miał dogodną pozycję strzelecką. Zmienił magazynek i skupił się na przyrządach celowniczych. Gdy tamci zaatakują, będzie gotowy.

IG.

Operator jęknął. Przytknął dłoń do policzka. Kula rozorała szeroką bruzdę i spowodowała obfite krwawienie, ale większych szkód nie wyrządziła.

Jakub przeturlał się w bok, mniej więcej dwa metry od poprzedniego stanowiska. Ostrożnie wyjrzał na przedpole. Strzelec, który rozprawił się z ostatnim członkiem grupy interwencyjnej, był niemal niewidoczny. Jednak niewyraźny, podłużny cień przed jego stanowiskiem wskazywał jednoznacznie, że celuje dokładnie w stronę nadkomisarza.

Nie usłyszał, że za jego plecami, może o piętnaście metrów, wyrosło dwóch mężczyzn, ostatnich członków patrolu interwencyjnego. Popełnili błąd i poszli nieco za daleko. Dwie posesje dalej wyszli na drogę i zaczęli się cofać w stronę Głównej sześć. Zobaczyli wielką zaspę i leżącego na jej szczycie człowieka z karabinem. Nikt od nich. Decyzja była prosta.

Zdecydowanym ruchem podnieśli broń.

17.

Strzelec obserwował tajemniczego człowieka po lewej. Widział fragment jego głowy, reszta skryta była za wysoką hałdą śniegu. Tamten nie strzelał, czekał. Strzelec wiedział, że z tamtego miejsca padały strzały, jednak był niemal pewien, że nie w jego kierunku; raczej w stronę narciarzy przybyłych na odsiecz pokonanym w domu

393

strażnikom. Strzelec zatem również nie otwierał ognia, ale nie zdejmował palca ze spustu. Intuicja podpowiadała mu, że to nie koniec, że limit ofiar nie został jeszcze wyczerpany.

Intuicja, jak zwykle, nie zawiodła go.

Za plecami zaczajonego mężczyzny zamajaczyły dwie niewyraźne sylwetki. Były może o piętnaście metrów od niego; zawahały się przez chwilę, analizując sytuację. Wahanie było naprawdę krótkie, napastnicy jak na komendę podnieśli broń i wycelowali w plecy ukrytego za hałdą przybysza, najprawdopodobniej nieświadomego niebezpieczeństwa.

Napastnicy stali blisko siebie; takich błędów nie powinno się popełniać. Odległość nie była duża, cel wyraźnie widoczny i niemal nieruchomy. Strzelec ustawił broń na ogień ciągły, po czym nacisnął spust. Piętnaście kul poszybowało w stronę celu.

Obie postacie upadły w śnieg. ,

Sekundę później padł ostatni strzał tego starcia.

18.

Kule zagwizdały Jakubowi nad głową.

Gdyby miał czas, by się nad tym zastanowić, z pewnością doszedłby do wniosku, że nie on był celem ataku. Seria poszła co najmniej półtora metra wyżej; leżący na śniegu strzelec do tej pory nie pudłował w ten sposób, przeciwnie. Jego strzały były niezwykle celne, świadczyły o wysokich umiejętnościach i stalowych nerwach. Jednak Tyszkiewicz dał się ponieść potężnemu kopowi adrenaliny, która wyzwoliła się w jego organizmie; zareagował odruchowo, starając się zlikwidować źródło potencjalnego zagrożenia.

To nie był ekstremalnie trudny strzał; Jakubowi zdarzało się wykonywać nieporównanie bardziej skomplikowane zadania bojowe. Wstrzymał oddech, w szkłe celownika optycznego, dostrzegł sylwetkę strzelca, łagodnym, płynnym ruchem pociągnął za spust.

Wystrzał zabrzmiał ostro w mroźnym powietrzu, potem iglica stuknęła metalicznie... Cisza zabrzmiała niemal tak samo donośnie jak kanonada.

394

Potem usłyszał krzyk. Straszny, przeszywający zew rozpacz, bólu i strachu. Ten krzyk wydał się czymś znajomym, nawet nie wydał się, był czymś znajomym, bliskim, kochanym...

Mając świadomość, że popełnia błąd, poderwał się na nogi i biegiem ruszył przed siebie. Zmienił magazynek, wysunął lufę do przodu i biegł, ile tchu starczyło. Strzelec leżał bez ruchu. Na kurtce, tuż obok szyi, powiększała się ciemna plama. Klęcząca nad nim zakapturzona postać nadal krzyczała. Obok, wprost na śniegu, leżał zrobiony z koców podłużny kokon, z którego dobywało się ciche kwilenie kojarzące się z czymś dalekim, mało uchwytnym, a jednocześnie dziwnie znajomym...

Najbliżej leżący człowiek próbował wstać. Jakub dostrzegł, że on również trzyma coś w rękach i to coś bynajmniej nie kwili, nie gada, w ogóle się nie odzywa.

Wielkokalibrowe strzelby śrutowe z reguły są milczące jak głaz.

- Rzuć broń! - krzyknął. - Policja!

Postać znieruchomiała, pozostając na klęczkach. Po chwili wahania odrzuciła strzelbę.

- To ja, Smotrycz.

Jakub rozpoznał głos, słaby i przestraszony, ale nawet nie miał czasu ucieszyć się z tego nieoczekiwanego spotkania. Klęczący człowiek przestał tracić energię na nieproduktywne wrzaski. Pochylił się nad leżącą postacią, błyskawicznie rozpiął pokrytą krwią kurtkę i przytknął ucho do klatki piersiowej. Najwyraźniej nie był zadowolony z efektu, bo zdecydowanym ruchem zdjął okalający głowę kaptur, a potem narciarską czapkę. Kruczoczarne włosy rozsypały się po plecach.

Jakub drgnął.

Helena delikatnie zdjęła strzelcowi maskę śnieżną.

Zuzanna. Błada, z zamkniętymi sinymi ustami.

Jakub również klęknął, tuż obok żony. Zwróciła ku niemu twarz ściągniętą bólem i rozpaczą, z oczami zamglonymi przez łzy. Nie sprawiała wrażenia, że poznaje, kto przybył jej z pomocą. Nie liczyło się dla niej nic poza umierającym na śniegu

człowiekiem.

Rana szyi krwawiła okropnie.

Zuzanna otworzyła oczy. Być może rozpoznała pochylające się nad nią twarze; wargi rozchyliły się nieco w smutnej namiastce uśmiechu. Jakub pochylił się.

- Zaopiekujcie... się... Zosią - usłyszał.

395

19.

Jechali w milczeniu.

Jakub, Helena trzymająca w objęciach Zosię, Smotrycz i krwawiący, ale przytomny operator.

Od strzelaniny minął kwadrans. Jakub długo trzymał w ramionach Helinę, potem serdecznie uściskał Smotrycza. Już w ratraku odbył krótką rozmowę z Krzeptowskim, w kilku zdaniach streszczając ostatnie wydarzenia i nakazując natychmiastowe przysłanie do Dawidów ekipy kryminalistycznej.

Uzgodnili następne posunięcia i Jakub rozłączył się.

Zima cofała się na całym froncie. Śnieg przestał padać, mgła ustąpiła, wiatr osłabł prawie do zera, temperatura podnosiła się zauważalnie. Wicherek najwyraźniej się pomylił. Anomalia trwała krócej i była znacznie słabsza od prognozowanej. Jakub niespecjalnie się tym martwił; szczerze mówiąc, w ogóle o tym nie myślał.

Było już całkowicie jasno, niebo przybrało normalną barwę, jakże odległą od wczorajszej ołowianej zasłony. Na ulicach pojawił się ruch. Za Wyścigami spotkali gąsienicowy, wojskowy pług, który mozolnie, z widocznym wysiłkiem, starał się utorować pierwszy ślad wśród księżycowego krajobrazu.

- Odwieszysz ich do Komendy Stołecznej, odszukasz aspirant Jadwigę Stec. Chcę, żebyś został z nimi, aż to się wszystko skończy - powiedział Jakub do żołnierza, gdy ratrak zatrzymał się na wprost wejścia do budynku Urzędu Rady Ministrów.

Operator kiwnął głową. Wyglądał na osłabionego, opatrunek trzymał się twarzy w dość prowizoryczny sposób, rozkazy jednak wykonywał dokładnie i miał twarz wzbudzającą zaufanie. Wyglądało na to, że da sobie radę. Jakub przechylił się do tyłu, pocałował Helinę (znacznie dłużej, niż pozwalał na to nieubłagane upływający czas), mruknął „na razie” do Smotrycza, rażno wyskoczył z ratraka i przewiesił przez pierś karabin szturmowy. Ratrak wionął spalinami i ruszył w stronę centrum miasta. Tyszkiewicz dojrzał stojącą nieopodal grupkę biało odzianych żołnierzy z bronią gotową do strzału. Na jej czele stał generał Lucjan Dreszer. Trzymał w ręku niewielki neseser. Spojrzał na Jakuba pytająco, a Jakub skinął głową.

W milczeniu uściśli sobie dłonie.

396

19.

Jechali w milczeniu.

Jakub, Helena trzymająca w objęciach Zosię, Smotrycz i krwawiący, ale przytomny operator.

Od strzelaniny minął kwadrans. Jakub długo trzymał w ramionach Helinę, potem serdecznie uściskał Smotrycza. Już w ratraku odbył krótką rozmowę z Krzeptowskim, w kilku zdaniach streszczając ostatnie wydarzenia i nakazując natychmiastowe przysłanie do Dawidów ekipy kryminalistycznej.

Uzgodnili następne posunięcia i Jakub rozłączył się.

Zima cofała się na całym froncie. Śnieg przestał padać, mgła ustąpiła, wiatr osłabł prawie do zera, temperatura podnosiła się zauważalnie. Wicherek najwyraźniej się pomylił. Anomalia trwała krócej i była znacznie słabsza od prognozowanej. Jakub niespecjalnie się tym martwił; szczerze mówiąc, w ogóle o tym nie myślał.

Było już całkowicie jasno, niebo przybrało normalną barwę, jakże odległą od wczorajszej ołowianej zasłony. Na ulicach pojawił się ruch. Za Wyścigami spotkali gąsienicowy, wojskowy pług, który mozolnie, z widocznym wysiłkiem, starał się utorować pierwszy ślad wśród księżycowego krajobrazu.

- Odwieszysz ich do Komendy Stołecznej, odszukasz aspirant Jadwigę Stec. Chcę, żebyś został z nimi, aż to się wszystko skończy - powiedział Jakub do żołnierza, gdy ratrak zatrzymał się na wprost wejścia do budynku Urzędu Rady Ministrów.

Operator kiwnął głową. Wyglądał na osłabionego, opatrunek trzymał się twarzy w dość prowizoryczny sposób, rozkazy jednak wykonywał dokładnie i miał twarz wzbudzającą zaufanie. Wyglądało na to, że da sobie radę. Jakub przechylił się do tyłu, pocałował Helenę (znacznie dłużej, niż pozwalał na to nieubłagane upływający czas), mruknął „na razie” do Smotrycza, rażno wyskoczył z ratraka i przewiesił przez pierś karabin szturmowy. Ratrak wionął spalinami i ruszył w stronę centrum miasta. Tyszkiewicz dojrzał stojącą nieopodal grupkę biało odzianych żołnierzy z bronią gotową do strzału. Na jej czele stał generał Lucjan Dreszer. Trzymał w ręku niewielki neseser. Spojrzał na Jakuba pytająco, a Jakub skinął głową.

W milczeniu uściśnieli sobie dłonie.

396

Gdy podeszli do budynku, otworzyły się drzwi i wyszło z nich kilku ludzi ubranych w cywilne płaszcze. Równie dobrze mogli mieć na sobie galowe mundury. Nawet z odległości kilometra wyglądali na funkcjonariuszy służb.

- W jakiej sprawie? - zapytał jeden z nich. Asysta Jakuba zrobiła na nim wrażenie, ale starał się to ukryć.

- Jestem umówiony z panem premierem.

- Umówiony? Ciekawe. Nie widziałem w grafiku premiera żadnych spotkań - ponownie zerknął na stojących za Jakubem żołnierzy i nieco łagodniejszym tonem dodał: - Trwa nadzwyczajne posiedzenie Rady Ministrów. Pan premier nie ma czasu.

- Dla mnie znajdzie - Jakub starał się, by nie wypadło to nonszalancko, ale sądząc po minie rozmówcy, chyba tak właśnie wypadło.

- Nie sędzę - tamten starał się zachować spokój, podobnie jak stojący za jego plecami funkcjonariusze. - Pan premier nie życzył sobie widzieć nikogo.

Tyszkiewicz powolnym gestem sięgnął za pazuchę. Wyciągnął stamtąd złożoną we czworo kartkę, rozłożył ją i podsunął rozmówcy pod nos.

- Proszę uważnie przeczytać - powiedział. Drugą ręką dobył z kieszeni legitymację służbową.

Tamten powiódł wzrokiem po tekście, przyjrzał się legitymacji. Wszystko odbyło się w ciszy.

- Mimo wszystko... Otrzymałem bardzo wyraźne instrukcje, aby posiedzenie Rady Ministrów przebiegało bez zakłóceń.

- Od kogo?

- Proszę?
- Od kogo pan otrzymał instrukcje?
- Od swojego przełożonego, działającego z upoważnienia pana premiera - ostatnie dwa słowa mężczyzna wymówił z pewnym niemal niezauważalnym lekceważeniem.
- Nazwisko.
- Słucham?
- Nazwisko przełożonego. I kontakt do niego.
- Pan żartuje.
- W najmniejszym stopniu - Jakub postąpił krok do przodu i niemal zetknął się nosem z rozmówcą. - Chcesz załatwić to na siłę?

397

Naprawdę? Za mną stoi sześciu żołnierzy jednostki specjalnej GROM. Może o niej słyszałeś. Mrugnę okiem i oni zdmuchną twoich harcerzy, zanim zdążą sięgnąć do kieszeni po swoje zabawki. Po co ci to? Zwłaszcza że - dodał jeszcze ciszej, jakby starając się, by nic z tego, co powie, nie dotarło do nikogo poza nimi dwoma - układ, któremu służysz, to karta bita. Starzy chłopcy rządzą i będą rządzić nadal. Jak myślisz, co zrobią, gdy kurz opadnie, a oni zaczną zastanawiać się, kto w godzinach próby nawalił, a kto nie? Kto brykał, a kto do końca stał po ich stronie? Uwierz mi, umieją pamiętać zasługi i zapomnieć przewiny. O ile chcą.

Wyprostował się. Powietrze było nieruchome, niebo jaśniało z każdą chwilą. Gdyby którykolwiek ze stojących pośrodku Alej Ujazdowskich mężczyzn zechciał zwrócić na to uwagę, stwierdziłby, że robi się całkiem przyjemny, świąteczny dzień.

- Dobrze - powiedział mężczyzna, gdy już kilkakrotnie przełknął ślinę i poruszył ustami w niemym dialogu wewnętrznym. - Przekażę panu premierowi, że pan chce się z nim spotkać.

- Trafie - powiedział Jakub. - Myślę, że wraz ze swoimi ludźmi powinien pan pilnować wejścia przed niepożądanymi gośćmi. Zarządzenie przełożonego nadal obowiązuje, do odwołania.

Tamten skinął głową. Jakub uśmiechnął się, obejrzał się ku swoim towarzyszom i wszedł do budynku.

20.

- Słyszał pan nazwisko Zygmunt Wieszczycki? - Jakub zadał pytanie, zanim jeszcze na dobre umościł się na wygodnej skórzanej kanapie. Wcześniej zdjął kurtkę. Pistolet tkwił w kaburze na biodrze, w każdej chwili gotów do użytku. Tyszkiewicz udawał, że nie widzi wlepionych w broń spojrzeń zgromadzonych w pokoju dostojników. Rzeczywiście, premier prowadził ostatnią, pożegnalną sesję gabinetu. Nastroje były łatwe do odgadnięcia. Za niespełna dwie godziny rząd miał stawić się w sejmie. Żadnych wątpliwości: wotum nieufności wobec premiera znajdzie wystarczające poparcie. Mimo wszystko szef rządu zgodził się na półgodzinną przerwę w posiedzeniu. Miał nieprzeniknioną twarz, gdy razem ze swoją starą gwardią zajmował

398

Naprawdę? Za mną stoi sześciu żołnierzy jednostki specjalnej GROM. Może o niej słyszałeś. Mrugnę okiem i oni zdmuchną twoich harcerzy, zanim zdążą sięgnąć do

kieszeni po swoje zabawki. Po co ci to? Zwłaszcza że - dodał jeszcze ciszej, jakby starając się, by nic z tego, co powie, nie dotarło do nikogo poza nimi dwoma - układ, któremu służysz, to karta bita. Starzy chłopcy rządzą i będą rządzić nadal. Jak myślisz, co zrobią, gdy kurz opadnie, a oni zaczną zastanawiać się, kto w godzinach próby nawalił, a kto nie? Kto brykał, a kto do końca stał po ich stronie? Uwierz mi, umięją pamiętać zasługi i zapomnieć przewiny. O ile chcą.

Wyprostował się. Powietrze było nieruchome, niebo jaśniało z każdą chwilą. Gdyby którykolwiek ze stojących pośrodku Alej Ujazdowskich mężczyzn zechciał zwrócić na to uwagę, stwierdziłby, że robi się całkiem przyjemny, świąteczny dzień.

- Dobrze - powiedział mężczyzna, gdy już kilkakrotnie przełknął ślinę i poruszył ustami w niemym dialogu wewnętrznym. - Przekażę panu premierowi, że pan chce się z nim spotkać.

- Trafie - powiedział Jakub. - Myślę, że wraz ze swoimi ludźmi powinien pan pilnować wejścia przed niepożądanymi gośćmi. Zarządzenie przełożonego nadal obowiązuje, do odwołania.

Tamten skinął głową. Jakub uśmiechnął się, obejrzał się ku swoim towarzyszom i wszedł do budynku.

20.

- Słyszał pan nazwisko Zygmunt Wieszczycki? - Jakub zadał pytanie, zanim jeszcze na dobre umościł się na wygodnej skórzanej kanapie. Wcześniej zdjął kurtkę. Pistolet tkwił w kaburze na biodrze, w każdej chwili gotów do użytku. Tyszkiewicz udawał, że nie widzi wlepionych w broń spojrzeń zgromadzonych w pokoju dostojników. Rzeczywiście, premier prowadził ostatnią, pożegnalną sesję gabinetu. Nastroje były łatwe do odgadnięcia. Za niespełna dwie godziny rząd miał stawić się w sejmie. Żadnych wątpliwości: wotum nieufności wobec premiera znajdzie wystarczające poparcie. Mimo wszystko szef rządu zgodził się na półgodzinną przerwę w posiedzeniu. Miał nieprzeniknioną twarz, gdy razem ze swoją starą gwardią zajmował

398

miejsce przy niskim klubowym stoliku. Dreszer siedział obok Jakuba z neseserem na kolanach. Broni nie było widać, ale nadkomisarz był pewien, że pojawi się w razie konieczności.

- Nie - premier pokręcił głową. W oczach błysnęło zaniepokojenie. Być może zaczął mieć nadzieję, że nadkomisarz przynosi informacje, które pomogą rzucić choć odrobinę światła na przyczyny ostatnich wydarzeń. Lub rządzące nimi mechanizmy.

- Stefan Kowalczyk?

-Nie.

- Władysław Spingler?

- Być może. To jeden z naszych dużych biznesmenów, prawda?

- Owszem. Jan Barański? Karol Wleciałowicz?

- To samo. Miliardowy biznes. Spotkałem kilkakrotnie tych ludzi. Dlaczego pan pyta?

- Ponieważ to oni stoją za wszystkimi tragicznymi wydarzeniami, które miały miejsce w ciągu ostatnich kilku miesięcy.

W gabinecie zapadła cisza. Towarzyszący premierowi dygnitarze przybrali

zaskoczony wyraz twarzy. Jakub ostentacyjnie przyjrzał się każdej z osobna. Zaskoczenie to dopiero etap pierwszy. Na jednej z nich zaraz pojawi się coś jeszcze.

- Jest pan w stanie to jakoś wyjaśnić?
- O tym za chwilę. Chciałbym na razie zapytać, kiedy pan mniej więcej zorientował się, że służby zaczęły być kompletnie niewydolne?
- Pyta pan o prowadzenie śledztw?
- Między innymi. Pytam o zdolność wyegzekwowania wykonania poleceń. Dlaczego śledztwa w sprawach porwań, zabójstw i tajemniczych samobójstw nie przyniosły niczego konkretnego? I dlaczego w piętnaście minut po wyjściu z tego gabinetu porwano moją żonę, by złapać mnie za jaja i kontrolować dochodzenie, które mi pan zlecił?
- Porwano pana żonę?
- Ci ludzie nie cofają się przed niczym. A zatem?

Milczenie.

- Służby podlegają konkretnym ministrom.
- Właśnie - Jakub po omacku znalazł zielony przycisk i nacisnął go. Zarówno ręka, przycisk, jak i reszta komórki tkwiły głęboko w kieszeni polarowej bluzy. Przez chwilę nie działo się nic. Tyszkiewicz był już pewien, że eksperyment się nie powiedzie, że omylił się w rachubach...

399

...gdy rozległ się dźwięk dzwonka.

Przytłumiony ubraniem, niewyraźny, pikający cienko jedną z tych idiotycznych fabrycznych melodyjek, niemniej wyraźnie wydobywający się z urzędzenia, które znajdowało się w gabinecie. Jakub wstał gwałtownie i wyciągnął broń. Wszyscy siedzący naprzeciwko mężczyźni odchyłili się w tył.

Minister spraw wewnętrznych zbladł tak, jakby z jego twarzy w ciągu ułamka sekundy wyparowała ostatnia czerwona krwinka. Uczynił gest, jakby chciał zerwać się z kanapy. Być może myślał o opuszczeniu gabinetu. Widok dziewięciomilimetrowego otworu lufy policyjnego glocka, umieszczony tuż przed jego twarzą, na razie odwiódł go od tego, jak i - zapewne - szeregu innych pomysłów. Usiadł naprawdę bardzo spokojnie, choć jego oczy do spokojnych z pewnością nie należały.

Siedzący po obu stronach ministrowie obrony narodowej i spraw zagranicznych odsunęli się, na razie jeszcze niewiele pojmując, ale zdając sobie doskonale sprawę, że sytuacja wymknęła się spod kontroli i lepiej siedzieć jak najdalej od faceta, którego mózg może rozprysnąć się na ścianie w razie najmniejszej pomyłki trzymającego pistolet człowieka.

O pomyłce nie było mowy. Jakub nigdy nie był tak pewny swego.

- Dochodzimy do sedna - powiedział w stronę siedzącego bez ruchu premiera. Wyciągnął drugą rękę z kieszeni. Trzymał w niej telefon komórkowy. - Ten aparat należy do wspomnianego przeze mnie na wstępie Zygmunta Wieszczyckiego. W książce telefonicznej znajduje się szereg numerów telefonów do rozmaitych osób, czasami występujących pod nazwiskami, czasami pod pseudonimami. Numer, który wybrałem, oznaczony był kodem „Przyjaciel numer dwa”. Panie generale, byłby pan uprzejmy? - zwrócił się do Dreszera.

General podniósł się, odłożył neseser i podszedł do kanapy.

- Proszę wstać - powiedział cicho.

Polityk spojrział w panice na premiera, swego wieloletniego przyjaciela i towarzysza partyjnych walk. Razem weszli na szczyt. Jeden spadnie. Nie ten, którego katastrofa została zaplanowana.

Premier nadal nie wykonał najmniejszego gestu. Minister, blady jak ściana, niezgrabnie stanął na nogi. Dreszer wprawnym ruchem obszukał go. Wyciągnął z kieszeni dwa telefony komórkowe. Na displayu jednego nich widać było napis: „połączenie nieodebrane”.

400

- Po to mnie pan zatrudnił, prawda, panie premierze? - zapytał łagodnie Tyszkiewicz. Widział szefa rządu kątem oka, cały czas bowiem obserwował twarz swego najwyższego przełożonego przez przyrządy celownicze pistoletu. Ale i tak miał wrażenie, że premier się uśmiechnął.

- Jest pan bystry, mówiono mi o tym - odparł lekko drżącym głosem. Nic dziwnego; co innego snuć najbardziej nawet wyrafinowane intrygi gabinetowe, a co innego mieć bezpośrednio do czynienia z przemocą, mogącą w każdej chwili zakończyć się gwałtowną śmiercią.

- Pochlebia mi pan, będę się upierał, że niezasłużenie. Ale to jest właśnie rzecz, która już po opuszczeniu tych murów, a jeszcze zanim dowiedziałem się, że porwano mi żonę, najbardziej nie dawała mi spokoju. Dlaczego na centralną postać mającą rozwikłać gigantyczną aferę polityczną wybrał pan człowieka o znikomym doświadczeniu kryminalnym? Przecież pan mnie nie znał. A twierdzenia o mojej uczciwości i moralnym kręgosłupie można, za przeproszeniem, między bajki włożyć. Owszem, bywam uparty i potrafię osiągać cele, które sobie zakładam, ale tu chodziło o coś innego - podniósł rękę widząc, że premier zabiera się do zaprezentowania swojej wersji historii. Na wszystko przyjdzie czas. - Chodziło o to, że z dostępnych panu akt, które uznał za stosowne przedstawić panu obecny z nami minister, domyślił się pan, że śledztwo, które prowadziłem, w jakiś żywotny sposób dotknęło strefy interesów grupy, o której wspomniałem na początku.

Premier kiwnął głową. Na jego twarzy pojawiło się coś na kształt uśmiechu.

- To wszystko nieprawda - powiedział minister. Już zdążył nieco ochłonąć.

Opanował strach i zaczął myśleć. - Daj mi wytłumaczyć...

- Będziesz miał okazję, bez obaw - premier spojrział na niego w taki sposób, w jaki z reguły obdarza się spojrzeniem psie gównem przylepiając się do buta. -

Będziesz miał dużo czasu na pogawędki z prokuratorem.

-Nie...

- Proponuję, aby panem ministrem zaopiekowali się żołnierze, którzy czekają za drzwiami. Czy pan generał zechciałby?

Dreszer skinął głową, wstał, podszedł do drzwi, krótkim rozkazem uruchomił dwóch swoich ludzi. Po chwili drzwi zamknęły się,

401

a na kanapie zrobiło się znacznie więcej miejsca. Ministrowie obrony narodowej i spraw zagranicznych, jeszcze biali na twarzach, dyskretnie odetchnęli z ulgą.

- Od jak dawna zdawał pan sobie sprawę, że ma pan w swoim otoczeniu kreta? -

Jakub schował w końcu pistolet oraz komórkę Wieszczyckiego, po czym zajął miejsce naprzeciwko premiera.

- Podejrzewałem od dłuższego czasu. Pewności nabrałem po zamachu z trzeciego grudnia. Narada szefów służb otoczona była ścisłą tajemnicą, krąg ludzi, od których mógł wyciec termin i miejsce spotkania, był ściśle ograniczony.

- U nas. Spisek mógł być sterowany z zewnątrz.

- Wpadło mi to do głowy. Toteż osobiście skontaktowałem się z szefami państw, których przedstawiciele zginęli w tym ohydny zamachu. Już wtedy wiedziałem, że nie mogę nikomu ufać. I po jakimś czasie otrzymałem wyniki wewnętrznych śledztw. Wynikało z nich, że przeciek nastąpił w moim otoczeniu.

- Rozumiem - Jakub w zasadzie wszystko to wiedział. Premier potwierdzał tylko przypuszczenia. - A domyśla się pan powodu?

- Mam pewne podejrzenia - szef rządu już się nie uśmiechał. Wymownym gestem spojrzął na zegarek. - Czas nam się kończy. Wolałbym usłyszeć konkrety. Potem czeka mnie dymisja.

- Niekoniecznie. Być może do dymisji nie dojdzie.

- Optymista z pana.

- Nie - Jakub wykonał gest w stronę Dreszera. Generał otworzył neseser i wyjął z niego laptop.

- Zarejestrowaliśmy zeznanie wideo Zygmunta Wieszczyckiego, koordynatora i można powiedzieć, dyrektora zarządzającego całego przedsięwzięcia. Opowiada on w dość obszerny sposób, kto wchodził w skład spółki, jakie były motywy jej udziałowców, jakie zgromadzili środki oraz jakich metod użyli, by osiągnąć cel. Nagranie jest dość długie, ale mogę streścić najważniejsze punkty. Chce pan posłuchać? Obiecuję, że nie zajmę dużo czasu.

Premier ponownie zerknął na zegarek. Westchnął.

- Najpóźniej za dwadzieścia minut powinienem ruszyć do sejmu. Nie chcę, by zaczęli beze mnie.

- Dwadzieścia minut w zupełności wystarczy. Spisek, mówiąc w największym skrócie, funkcjonował jak normalna firma. Miał udziałow-

402
ców, zarząd oraz pracowników. Głównymi udziałowcami byli czterej wymienieni przeze mnie na początku rozmowy dżentelmeni. Wkład każdego: pół miliarda złotych. Wkład Wieszczyckiego w gotówce to pięćdziesiąt milionów, ale ponieważ wziął na siebie całość pracy organizacyjnej i zdecydowaną większość ryzyka, wszyscy udziałowcy mieli po dwadzieścia procent. Poza Wieszczyckim pozostali biznesmeni chcieli pozostać całkowicie anonimowi.

- Ponad dwa miliardy złotych. Gigantyczny kapitał - pokręcił głową premier.

- Chodzi o gigantyczne przedsięwzięcie, z gigantycznymi kosztami inwestycyjnymi. Po pierwsze należało zatrudnić armię ludzi, prawdziwych fachowców z różnych dziedzin: informatyki, łączności, ochrony, porwań, zabójstw, public relations i tak dalej. Wbrew pozorom nie jest to takie proste, na rynku co prawda jest bardzo dużo różnych fachowców, ale spiskowcom chodziło o pewien specyficzny typ pracowników, pozbawionych skrupułów, niezadających pytań, gotowych do wydajnej, długotrwałej pracy, niejednokrotnie w stresie. Wieszczycki

spisał się na medal, zwerbował masę byłych żołnierzy, funkcjonariuszy i specjalistów służb specjalnych z kilkunastu krajów Europy, kusząc ich bajecznymi wynagrodzeniami. Dalej. Należało kupić szereg rozmaitych nieruchomości przeznaczonych na siedziby firm, stanowiących przykrywkę przedsięwzięcia, centra monitoringu, miejsca odosobnienia, miejsca przesłuchań, czy w końcu dyskretne lokale lub posiadłości, gdzie można by bez skrępowania prowadzić interesujące rozmowy, na przykład z posłami z pańskiej partii. Tak więc stworzono bazę organizacyjną oraz wypełniono ją treścią ludzką. Można było zacząć etap drugi, którego zwieńczeniem miało być przejęcie władzy w państwie. W tym celu bardzo głęboko zinfiltrowano najważniejsze służby państwowe, na czele z policją, cebeesiem, CBA, ABW, kontrwywiadem wojskowym i tak dalej. Tu poszły największe pieniądze. Nie wszystkim udało się kupić; tych likwidowano, zmuszano do samobójstwa lub usuwano w inny sposób. Ci, którzy przychodzili w ich miejsce, byli już ludźmi pracującymi na rzecz Wieszczyckiego. Nic dziwnego, że śledztwa w sprawie zabójstw i rozmaitych tajemniczych wypadków różnych państwowych dygnitarzy dreptały w miejscu. Wieszczycki zblatował Joachima Terleckiego i użył jego partii jako narzędzia realizacji celów spółki. Kolejnym, a zarazem ostatnim

403
etapem było usunięcie prezydenta, zmiana konstytucji i przekazanie całej władzy w ręce Terleckiego, który, jak pan zapewne się domyśla, jest całkowicie zależny od Wieszczyckiego i reszty udziałowców, tańczy dokładnie tak, jak mu zagrają. Gdyby nie splot nieco przypadkowych okoliczności, za godzinę zostałby wybrany nowy premier i rząd w Polsce objęłaby spółka, z Wieszczyckim jako dyrektorem zarządzającym.

- Przecież to niemożliwe - wybuchnął minister spraw zagranicznych. Był czerwony na twarzy. - Zupełnie niemożliwe. Są zobowiązania międzynarodowe, regulacje prawne, Bruksela. U nas działają związki zawodowe, prasa. Nie da się tak po prostu zniewolić trzydziestu ośmiu milionów obywateli.

- Och, cele spółki nie były aż tak ambitne. Nie chcieli kontrolować wszystkiego. Ich cel był bardzo konkretny, obliczony na długotrwałą, bezpieczny zysk.

- Mianowicie?

- Nie przychodzi panu do głowy nic, co byłoby na tyle opłacalne, by zaryzykować zamach stanu, zabójstwo prezydenta i szeregu innych osób oraz poniesienie tak ogromnych kosztów? Coś, co w wypadku uczciwej realizacji nie tylko wzbogaciłoby państwo polskie, ale i zmieniłoby geopolityczny układ sił w naszym regionie, a nawet w całej Europie?

Premier zawahał się przez chwilę, nawet wymienił krótkie spojrzenie ze swoimi współpracownikami, ale Jakub miał nieodparte wrażenie, że znał odpowiedź na zadane pytanie.

- Łupki.

- Tak jest. Chodzi o eksploatację gazu łupkowego. Wiedział pan o tym?

-No cóż...

Oczywiście, że wiedział. Był starym lisem. Już wcześniej wiedział wszystko, tyle że nie miał dowodów. Jakub odwalił brudną robotę

1 dowody się znalazły.

- Mniejsza z tym. Na ile eksperci obliczają nasze złoza?

- Trzy biliony metrów sześciennych. Wartości nawet biliona dolarów.

- A zatem zna pan stawkę, o którą grano. Przejęcie państwa było narzędziem do osiągnięcia zysku lub... - Jakub zawahał się.

-Lub?

- Powstrzymania się od wypracowywania go.

404

- Powstrzymania...?

- W niektórych wypadkach rezygnacja z zysku może być również niezwykle opłacalna.

Zapadła cisza. Premier wyglądał na zmęczonego i sfrustrowanego, ale słuchał bardzo uważnie. Wszystkie klocki były już na swoim miejscu.

- Myśli pan o naszych potężnych sąsiadach? - zapytał cicho.

- Dowodów nie mam. Przesłuchanie Wieszczyckiego było siłą rzeczy pobieżne.

Ktoś, kto będzie prowadził śledztwo, musi sprawdzić jeszcze bardzo wiele faktów, powiązań, operacji finansowych i tak dalej. Praca na kilka miesięcy. Ale cel spółki już dziś jest dla mnie jasny. Spółka starała się o zakup ziemi w miejscach złóż.

Dostała odmowy. Państwo przydzieliło koncesje wydobywcze komu innemu.

Przeprowadzono opisaną przez mnie operację zmiany władzy. W nowej rzeczywistości politycznej wszystkie dotychczasowe umowy z zachodnimi koncernami miały być wypowiedzane, koncesje przejmowałyby spółki zależne od Wieszczyckiego i pozostałych udziałowców. Jest międzynarodowa awantura?

Trudno, państwo zapłaci odszkodowania. W gruncie rzeczy to robota dla prawników; jestem przekonany, że szereg znanych kancelarii bardzo by się wzbogaciło, prowadząc procesy. Jednak Wieszczycki i jego kumple wychodzą z tego czyści jak łąza. Wszystko odbywa się legalnie, a cel jest wart każdej ceny. Kontrola złóż pozwoli trzymać w ręku karty o niewyobrażalnej sile rażenia. Zarówno eksploatacja, jak i powstrzymanie się od niej to atuty zmieniające siłę Polski. W tym wypadku, precyzyjnie rzecz biorąc, spółki, która trzymałaby w ręku lejce. Wyobrażam sobie doskonale, jak mając wszelkie koncesje na wydobycie gazu, rozmawiam z Rosjanami. Podstawowe pytanie brzmi; daragije druzja, ile jesteście skłonni zapłacić, byśmy przez trzydzieści lat nie wydobywali nic?

- Całkowicie słuszne rozumowanie. I można też sobie wyobrazić jeszcze inny jego wariant: Wieszczycki i spółka robili to na zlecenie -premier znowu sprawiał Wrażenie, jakby przedstawiony przed chwilą scenariusz nie był dla niego całkowitym zaskoczeniem.

- Przyszło mi to do głowy. Podległe panu służby, jak już pan je oczywiście oczyści ze śmieci, powinny pójść tym tropem.

- Oczywiście - premier wstał i zwrócił się do ministra obrony. -Muszę porozmawiać z Warownym. Natychmiast. - Wiesław Warow-

405

ny pełnił funkcję prokuratora generalnego. Minister obrony niemal wybiegł z gabinetu.

- Dobrze. Panie nadkomisarzu, nie będę się rozwodził, jak bardzo jestem

wdzięczny i ile Polska panu zawdzięcza. Pan i pana ludzie zasługują na najwyższe uznanie. Dokończymy rozmowę później. Na mnie już naprawdę czas.

- Rozumiem. Proszę zabrać to - Jakub wziął od Dreszera laptop i podał premierowi. - Może na razie wystarczy, by pan w sejmie po prostu puścił to nagranie.

- Dziękuję. Acha - odwrócił się, będąc już niemal w drzwiach - czy udało się panu ustalić, kto dokonał zamachu na prezydenta?

Jakub zaklął w duchu. Liczył na to, że wśród gorączki pobieżnej relacji, pochłonięty zadaniem utrzymania władzy, premier nie zapyta o to. Poniewczasie przypomniał sobie, że premier i zmarły tragicznie prezydent byli najbliższymi przyjaciółmi od dwudziestu lat. Śmierć głowy państwa szef rządu potraktował bardzo osobiście.

- Owszem, panie premierze - z ociąganiem odparł Jakub. - Niestety tak.

- Niestety?

- To dla mnie dość bolesny temat. Zamachowcem okazał się członek mojego zespołu, komisarz Zuzanna Cehak. Nie żyje.

Zapadło milczenie

- Policjantka? Kobieta? - szef rządu kręcił głową.

- To długa historia - Tyszkiewicz zrobił najbardziej zniechęcającą minę, na jaką go było stać. - Ma jeszcze sporo luk.

- Dobrze. Opowie mi pan później. Teraz naprawdę muszę iść.

- Powodzenia, panie premierze.

Premier raczej tego nie usłyszał. Drzwi zamknęły się, zanim Tyszkiewicz skończył zdanie.

M

EPILOG

28 grudnia 2011 roku

- Nie rozumiem. Słyszę słowa, ale nie dostrzegam sensu - Smotrycz kręcił głową. Na lewym uchu tkwił opatrunek. Najgorsze bóle zaczęły już mijać. - Miała dziecko. Miała dla kogo żyć.

- Właśnie o to chodzi - Tyszkiewicz wypił łyk kawy. Gratulował sobie, że w końcu przyniósł własną i dziwił się, dlaczego nie zrobił tego wcześniej. - Dziecko jest tu kluczem, o ile oczywiście udało mi się prawidłowo wychwycić sens z opowiadania Heleny.

- Jak dziecko może być kluczem do tylu morderstw? - Jadwiga poparła Smotrycza.

- Pieniądze - Tyszkiewicz usadził się wygodniej na niewygodnym krześle. Ich pokój, ten sam co przed kilkoma dniami, zapewniał ten sam co przed kilkoma dniami komfort. Pewne rzeczy są niezmiennie.

Tyle że brakowało Zuzanny, Henia i Tolaka.

- Jasne. Ale mimo wszystko...

- Dwa i pół miliona euro - powiedział Jakub spokojnie.

- Dwa i pół... O kurwa. Rzeczywiście... Chociaż nie, nie rzeczywiście. To nadal bez sensu.

- Dwa lata temu w Stanach przeprowadzono pewien eksperyment medyczny. Osobie całkowicie upośledzonej, niezdolnej do samodzielnego poruszania się i

niemówiącej, wszepiono do mózgu nanorobota.

407

Miał za zadanie wykryć uszkodzenia neuronów i naprawić je. Neurony potrafią się regenerować, patent polegał na tym, by dać im impuls do działania i wskazać sposób regeneracji. Operacja i rehabilitacja sprawiły cuda. Po jakimś czasie chory odzyskał sprawność ruchową, a także zaczął sylabizować. Mógł zacząć mniej więcej normalnie żyć. Metoda jest dostępna na rynku, tyle że operacja razem z rehabilitacją kosztuje ponad million dolarów. Teraz rozumiecie?

-Zaczynamy...

- Pieniądze nie były celem samym w sobie. Zuzanna chciała lepszego życia dla córki. W wypadku Zosi operacja miała dać osiemdziesiąt procent szans usunięcia uszkodzeń mózgu. Mała być może nie odzyskałaby wzroku, ale mogłaby nauczyć się mówić, chodzić i zacząć w miarę normalnie funkcjonować. Zuzanna czuła, że jest jej to winna, że nadzieja na w zasadzie normalne życie warta jest każdego wysiłku i każdego działania, nawet przestępstwa. Więc dała się zwerbować Wieszczyckiemu.

- Przestępstwa... - prychnął Smotrycz. W jakiś przedziwny sposób wina Zuzanny dotknęła go osobiście. - Ona naprawdę myślała, że zabije szefów wywiadów największych państw na świecie i naszego prezydenta i ujdzie jej to na sucho? Że jej mocodawcy nie będą jej chcieli uciszyć? Służby specjalne wszystkich zainteresowanych państw złapać? Teraz na terroryzm jest nie najlepsza koniunktura, wszyscy chcą złych wsadzać do pierdła.

- Wieszczycki chciał ją uciszyć, nie udało się. Wysłał do jej mieszkania dwóch ludzi. Nie wiem, co myślała. Miała w sobie dużo sprytu, instynkt wojownika i matczyną miłość. I była popieprzona, przecież podrzucenie nam twardych dysków z Chmielnej ostatecznie ją demaskowało. Może uznała, że da radę zniknąć, a zapewnienie dziecku lepszego życia jest warte każdej ceny, bez względu na koszty prawne, organizacyjne, moralne, jakie chcecie. Tyle.

Wcale nie było „tyle”. Jakub myślał o Zuzannie znacznie więcej, niżby sobie tego życzył. Myślał o kobiecie, która uratowała mu życie, a którą zabił. O kobiecie, która dopuściła się najbardziej odrażających mordów politycznych w historii Polski, a która przesyłając zawartość serwerowni Wieszczyckiego, otwarcie się zdekspirowała; o kobiecie, która uszczęśliwiła jego żonę i potrafiła być świetną matką.

O człowieku, którego nigdy nie zrozumie.

408

*

- Zawsze mówiłem, że to odbezpieczony granat - Krzeptowski uśmiechnął się i spojrział na Jadwigę. „My nie jesteśmy tacy, no nie? My jesteśmy normalni”, zdawał się mówić. Jadwiga odpowiedziała nieznacznym uśmiechem.

- Dobra. Zostawmy Zuzannę. Te sprawy kończy nasz przyjaciel major. - Tolak został szefem śledztwa mającego doprowadzić do wyjaśnienia wszystkich spraw związanych z zabójstwem prezydenta i zamachem stanu. Terlecki śpiewał jak skowronek, licząc na złagodzenie kary. Wieszczycki i pozostali udziałowcy spółki liczyli na pomoc prawników; ich sytuacja nie była jednak godna pozazdroszczenia.

Tolak radził sobie świetnie, umiał wciągnąć do współpracy nawet CBS; Mailert stał się jego prawą ręką. Tyszkiewicz życzył im obu wszystkiego najlepszego. - Musimy w końcu zabrać się za Wicherka. Wdowa po panu prezydencie podobno mocno naciska.

- No właśnie - Krzeptowski podniósł palec do góry. - Pytałem Wieszczyckiego siedem razy, czy miał cokolwiek wspólnego ze śmiercią tego nieszczęsnego naukowca. Nie przyznał się. Więc słucham: kto, waszym zdaniem, zabił Wicherka? Komisarz, ku swemu zdumieniu, usłyszał w odpowiedzi zdrowy, odprężający śmiech.
KONIEC

Jak zwykle nie obyło się bez psychicznej i merytorycznej pomocy mojej żony Kasi, która, obarczona codziennymi obowiązkami, poświęciła mi każdą wolną chwilę, by bez końca dyskutować o postaciach i zdarzeniach występujących w książce. Kasiu, dziękuję.

Dziękuję także za pomoc: dr. Bohdanowi Firkowi, Leszkowi Giętko, Andrzejowi Dudziukowi, Darkowi Bal-cerzykowi. Bez ich wydatnej pomocy projekt ten raczej nie ujrzałby światła dziennego.

Pawłowi Drożdżiakowi, mojemu instruktorowi MMA, za umożliwienie zacytowania fragmentu strony internetowej poświęconej samoobronie kobiet, oraz Arturowi Korbasewiczowi za szereg cennych merytorycznych uwag.

Wszystkie książki Marcina Ciszewskiego dostępne są teraz w wersji audio tylko w serwisie audioteka.pl Przy zakupach wpisz kod: "WARBOOK" a otrzymasz Zniżkę 10%

Nie czekaj. Zajrzyj do nas!

Marcin Ciszewski

Marcin Ciszewski

WWW.WAW.PL

MAJOR

Więcej pełnych akcji powieści militarnych znajdziesz na WWW.WARBOOK.PL